

KRZYSZTOF A.
ZAJĄS

OSZPICYN

PRZERAŻAJĄCY DRESZCZOWIEC, KTÓRY NIE DA CI ZASNAĆ.
DOPÓKI NIE PRZECZYTASZ GO DO KOŃCA.

WOJCIECH CHMIELARZ

MARGINESY



KRZYSZTOF A.
ZAJĄS

OSZPICYN

PRZERAŻAJĄCY DRESZCZOWIEC, KTÓRY NIE DA CI ZASNAĆ.
DOPÓKI NIE PRZECZYTASZ GO DO KOŃCA.

WOJCIECH CHMIELARZ

MARGINESY



KRZYSZTOF A.
ZAJAS



MARGINESY

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych PIOTR ZDANOWICZ
Zdjęcia na okładce © David Ridley / Arcangel
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Krzysztof Zajas
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65586-76-6

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a,
01-540 Warszawa
tel. 48 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Mojej nieżyjącej Mamie, Helenie Zajas z domu Czernek, oraz Henrykowi Schönkerowi – dwojgu oświęcimianom, którzy nigdy się nie spotkali, a powinni byli.

Ta powieść jest w jakimś sensie ich niemożliwą rozmową.

Ja sobie wmawiałem, że to powietrze jest martwe. Że śmierć chodzi w powietrzu.

Zygmunt Feiler, wypowiedź na stronie www.oszpicin.pl

musimy zatem wiedzieć

policzyć dokładnie

zawołać po imieniu

opatrzyć na drogę

Zbigniew Herbert, *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*

CZĘŚĆ PIERWSZA

1994

Dzieci się bawią

czy nie widzicie? ta zgasła świeca jest czartem.

K.K. Baczyński

Widziałem tego człowieka zaledwie trzy razy. Może cztery, ale czwartego razu nie jestem pewien. Zawsze, bez względu na pogodę, miał na sobie czarny kapelusz i długi brązowy płaszcz z dobrej wełny, z futrzanym kołnierzem, jakie nosiło się pół wieku wcześniej. Czwartego razu nie jestem pewien, ponieważ nie widziałem twarzy. Trudno powiedzieć, czy miał wtedy jeszcze jakąkolwiek twarz, ale takie stwierdzenie na samym początku wystawia mnie na śmieszność. Tracę wiarygodność, a do opowiedzenia tej historii będzie mi bardzo potrzebna. Znacznie bardziej niż ustalanie, czy za czwartym razem miał twarz, czy jej nie miał. Mówię poważnie.

Pierwszy raz spotkałem go w roku 1994, we wrześniu, podczas pełni księżyca. Nie, żadne wampiry, nic z tych rzeczy. Najzwyczajniej wracałem z wyjazdu do Sępni, gdzie ktoś podobno coś znalazł, a ponieważ prawdopodobnie to coś było złote, ukrył i nie chciał oddać. W tych okolicach, gdzie ostatnia wojna oprócz pamiątek bezprzykładnej makabry rozrzuciła również tu i ówdzie trochę złota, tego rodzaju sensacje budziły szczególne zainteresowanie. Niemal każda rodzina miała na ten temat swoje opowieści, latami układane z faktów, domysłów i plotek głęboko zanurzonych w ludzkiej potrzebie przekształcania pragnień w legendę. Wiadomość o skarbie w Sępni przekablował mi pan Bolek Czech, jedyny policjant na tamtejszym posterunku, gdy tylko po uprzejmym donosie od sąsiadów wyruszył na wieś. Od razu zadzwonił do redakcji. „Dziennikarz powinien się dowiedzieć pierwszy, nie?”, wyjaśnił ze śmiechem kierując nim motywy, ale ja wiedziałem swoje. Liczył na to, że załatwię jego córce pracę. Kończyła polonistykę w Krakowie i podobnie jak armia koleżanek i kolegów szukała jakiegokolwiek zajęcia, by nie umrzeć z głodu. Humanisci tak mają. Z pogardą odrzucają przyziemny pragmatyzm, a potem płaczą. Cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Stary kawaler Władek Borowiec, operator koparki z sępniańskiej spółdzielni rolniczej, kopał rowy pod fundament nowej wiaty. Miał pod nią stanąć świeżo zakupiony kombajn, który nie mieścił się w starych garażach ze względu na rewelacyjnie szeroki nagarniacz do zbóż – ponad sześć metrów! Takiego jeszcze tu nie widzieli i trzeba było wybudować osobne stanowisko, z odpowiednio wzmocnionym podłożem. Około południa Borowiec porzucił swoje zajęcie i zniknął, a mieszkańcy sąsiadującego z placem domu natychmiast zadzwonili do prezesa. Nie potrafili wyjaśnić, w jakim celu pilnie

obserwowali pracę operatora, twierdzili, że tak tylko, z nudów. W ich przekonaniu Władek znalazł coś bardzo cennego („Torbę ze złotem, panie!”) i polecał to schować. Matka i dwóch synów opowiadali z przejęciem, nawzajem sobie przerywając i ustalając na bieżąco szczegóły. Przysięgali na rany Chrystusa, że operator biegł pochylony, trzymając się za brzuch, gdzie na pewno coś ukrywał. Prezes zadzwonił do starszego aspiranta Czecha, a ten do mnie i we trójkę poszliśmy szukać Borowca z workiem złota.

Znaleźliśmy go po godzinie, w sadzie za domem, gdzie ostrzył szpadel.

– Borowiec, czego nie pracujecie? – spytał ostro prezes.

Mężczyzna natychmiast złapał się za brzuch.

– Zebrało mnie, panie prezesie. Musiałem.

Kiedy mówił, jego oczy latały na wszystkie strony, jakby najciekawsze rzeczy działy się gdzieś za naszymi plecami.

– Ale już wam przeszło? – cisnął przełożony.

Borowiec nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie wrócił do pracy. Nie powiedział, do czego mu naostrzona łopata. Odpowiadał półsłówkami i zerkał w bok.

Ja nie pytałem o nic. Zauważyłem tylko, że łopatę u góry, w miejscu mocowania trzonka, oblepiały resztki świeżej ziemi. Dzień był słoneczny i suchy, co znaczyło, że ktoś nią kopał całkiem niedawno, w ciągu ostatniej godziny. Podczas gdy prezes i Czech usiłowali wydobyć z niego jakieś informacje, ruszyłem na obchód ogrodu. W tej samej chwili usłyszałem za sobą wściekły krzyk. Borowiec zostawił swoich rozmówców i rzucił się za mną ze stekiem wyzwisk, z których zrozumiałem, że to jego ziemia i nie mam prawa po niej chodzić. Zanim zdołałem zrobić zdziwioną minę, zaczął szarpać mnie za bluzę. Nie jestem gigantem, ale potrafię się bronić, więc go przewróciłem na trawę i wykręciłem ręce na plecy. Charczał jak wściekły zwierz, kiedy rozglądałem się po ogrodzie.

Jeśli martwy przedmiot może stać głupio, to tak właśnie stała beczka na deszczówkę w rogu szopy. Nie pod zardzewiałą końcówką rynny, tylko pół metra dalej. Pod rynną widniało jedynie odcisnięte w podłożu kółko. Odsunęliśmy beczkę i naszym oczom ukazał się placek równiutko uklepanej ziemi. Dopiero co naostrzoną łopatą odgarnąłem wierzchnią warstwę i wyjąłem niewielkie zawiniątko. Tamci trzymali Władka Borowca we dwóch, ale i tak się wyrwał, skacząc na mnie z obłędem w oczach. Moje ciało zareagowało samo – niemal bezwiednie uderzyłem go trzonkiem najpierw w krocze, a potem w kark. Kiedy zgiął się wpół i opadł na kolana, starszy aspirant Czech skuł go

na wszelki wypadek kajdankami. W trójkę pochyliliśmy się nad znaleziskiem. W natłuszczonej szmacie znajdował się srebrny rewolwer z drewnianymi okładzinami na kolbie i pustym bębenkiem. Oczywiście, facet nie miał pozwolenia na broń i nie chciał powiedzieć, jak wszedł w jej posiadanie. Dopiero kiedy prezes zapytał, czy to znalezisko z placu budowy, uśmiechnął się szeroko i odparł, że tak.

Zabrali go do komendy w Oszpicy, żeby spisać zeznania i sporządzić oskarżenie o nielegalne posiadanie broni, a ja popytałem jeszcze sąsiadów o torbę ze złotem, a kiedy zrobiło się ciemno, ruszyłem z powrotem do domu. W drodze myślałem o pytaniu prezesa, a właściwie podpowiedzi, i postanowiłem zapamiętać ten epizod.

Nie był to rewelacyjny materiał na artykuł, ot, takie tam igraszki lokalsów z wojenną historią w tle, dlatego trochę zdegustowany i zły postanowiłem się odstresować i wróciłem do miasta okężnie, przez Szerszeń. Miałem tam takie miejsce, gdzie oddawałem się pewnej przyjemności. Nie, nic z rzeczy zakazanych, po prostu lubię sikać na łonie natury. Wielu facetów lubi. U mnie to rodzaj drobnego prywatnego obrządku, trochę jak u dzikich zwierząt, które znaczą sobie terytorium. Moim terytorium była grobla między starymi stawami, porośnięta drzewami po obu stronach. Środkiem biegła wąska droga z błotnistymi koleinami, które nigdy do końca nie wysychały. Zaparkowałem na wydeptanym skrawku pobocza i ruszyłem między stawy. Wieczór rozlał się po wodzie oleistą mazią. Nad lasem unosił się księżyc i rzucał na staw swoje obolałe odbicie. Było niesamowicie cicho. Żadnego chlupotu fal, żadnego plusku ryb, nawet żaby zamilkły. Nagle niebo tuż nad księżycem przeciął meteor. Szedł niemal poziomo i żarzył się jasno, by na koniec buchnąć mocniejszym płomieniem, jak flara, i zgasnąć. Przez moment jeszcze nad horyzontem majaczyła świetlna krecha, a potem znikła. Wrześniowa perseida! Są rzadkie i zwykle słabe. Po nacieszeniu oczu uroczym widowiskiem zawróciłem do samochodu, spojrzawszy w lewo, gdzie ciągnęły się błotniste koleiny wiodące w czarny tunel pod księżycem, sklepiony koronami dębów i olch. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może po prostu spodobała mi się ciemność pod dachem z dębowych liści, których błyszcząca powierzchnia połyskiwała drobinami żółtego światła. Może w absolutnej ciszy usłyszałem jakiś dźwięk. A może dostrzegłem ruch, nie wiem. Po prostu zrobiłem to: przystanąłem i wpatrywałem się w tę nieprzeniknioną czelusć.

Ktoś stał pod drzewem.

Chyba wiedziałem, że tam stoi, jeszcze zanim zobaczyłem go w światłach samochodu, który daleko za mną brał zakręt. Snop światła omiótł okolicę jak latarnia morska w przyspieszonym tempie, ale to wystarczyło. Ktoś stał i patrzył na mnie. Błysnął czarny kapelusz, wąska, ostra twarz, jak u ludowego świątka, prosty płaszcz z grubym koł-

nierzem. Oczy... wydawało mi się, że są czerwone. Odległość wynosiła jakieś piętnaście metrów, a jednak widziałem go wyraźnie.

Światła samochodu znikły i wróciła martwa cisza. Nie miałem przy sobie latarki ani niczego do obrony, mój nóż myśliwski został w bagażniku poloneza. Ja się jeszcze nie bałem, ale moje ciało już tak. Po skórze biegały drobinki dreszczy. W takich chwilach człowiekowi zwykle przychodzi do głowy dwie nawzajem wykluczające się reakcje. Albo rzucasz się do ucieczki, albo stoisz nieruchomo z nadzieją, że gość sobie pójdzie. Każde z rozwiązań ma swoje minusy. Ucieczka prowokuje pogoń, a czekanie w miejscu daje przewagę przeciwnikowi. Chyba dlatego postanowiłem do niego podejść. Ale po co? „Przepraszam, czy pan przypadkiem nie chce mnie zabić? Bo jeśli tak, to pozwoli pan, że zacznę uciekać”. Oczy usiłowały przebić się przez księżycową poświatę i rozpoznać kształty w napiętej czerni. Ruszyłem powoli i był to chyba najwolniejszy marsz w moim życiu. Stawiałem kroki do przodu, ale jakbym szedł do tyłu. Kiedy pod butem chrupnęła złamana gałązka, wszystkie włosy stanęły mi dęba. Nieuchronnie zbliżałem się do granicy światła i cienia, owal księżycy przesłoniły korony porastających groble drzew. Oswajałem się z mrokiem, spięty do granic wytrzymałości i gotowy pod byle pretekstem zwiać na szosę do samochodu. Widziałem już zarys pnia, odległy o trzy, cztery metry...

Nikogo nie było. Dreptałem na palcach, gotów w każdej chwili uskoczyć czy zasłonić się, nie wiem. Oczy z wolna przyzwyczajały się i widziały coraz więcej, wpatrując się w ciemność jak w ekran, na którym zaraz pojawi się upiorna postać. Nie pojawił się nikt. Z trudem postawiłem kilka kroków, z wyciągniętymi rękami, jakbym chciał rozgarnąć tę błotnistą czernią. Cisza. Nic. Nikogo.

Musiało mi się przywidzieć. Wycofałem się tyłem w krąg księżycowego światła i dopiero tam zorientowałem się, że cały czas ściskam w dłoni pęk kluczy, jak kastet. Szedłem do samochodu, wciąż oglądając się za siebie. Wszystko jakby wracało do normy. Ciepły wrześnieowy wieczór na powrót wygładził się w piękny obrazek, z księżycem w tle. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Wracał też spokój. Zwolniłem kroku. Przed wejściem do samochodu niemal dla formalności obejrzałem się ostatni raz i moją uwagę przyciągnął pływający środkiem stawu przedmiot.

Spokojnie.

Zdarza się, że ludzie wrzucają do wody rozmaite rzeczy.

Niektóre z nich nie toną, tylko pływają po powierzchni do czasu, aż ktoś je wyłowi albo rozpadną się ze starości.

Latem dzieci kąpią się w tych stawach i jedno z nich zapomniało zabrać kółko do

domu.

Jest koniec września, nie kąpią się od miesiąca.

Guma jest trwała.

Środkiem oświetlonego księżycem stawu płynęła dmuchana dziecięca zabawka. O tej porze trzciny są jeszcze zielone, ale już dorodne, okazałe, z szerokimi liśćmi, które trącone najłagodniejszym powiewem wiatru, ocierają się o siebie z szelestem. Brązowe pałki gną wierzchołki ku ziemi i napinają łodygi, gotowe w każdej chwili wystrzelić w górę lub opaść. Teraz panowała kompletna martwota. Pochylone gromady trzciny wyglądały jak kolumna zgarbionych uchodźców, zastygłych w pół kroku. A jednak gumowa zabawka sunęła jednostajnie po błyszczącej powierzchni wody, pchana przez nic. Miała kształt żaby, z szeroko rozcapierzonymi łapami i kulfoniastym, niezgrabnym łbem z przodu. Nie przypominała nadmuchiwanego kółka ze sklepowej, poza tym była cienka, jakby za chuda. Nie mogłaby utrzymać na powierzchni nawet całkiem małego dziecka. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest słabo nadmuchana, ale chyba nie do końca o to chodziło. Coś było nie tak z łapami. Sterczały dziarsko na cztery strony, śmiesznie długie i sztywne jak patyki. Kiedy tak płynęło przed siebie, kółko naprawdę przypominało żabę. Wielką żabę, z grzbietem przestrzelonym na wylot armatnią kulą.

Zapominając o niedawnym strachu, poszedłem groblą do miejsca, skąd najlepiej było widać sunący po wodzie obiekt, i usiadłem na miękkiej trawie, nie spuszczać z niego oka. Zaokrąglony łeb na przedzie rozgarniał wodę. Spod tylnych łap rozchodziły się smukłe prążki fal, które tworzyły za żeglującą żabą regularny stożek. Płynęła prosto na mnie. Bezgłośnie. Jednostajnie. Jak łódź.

Zatrzymała się pięć metrów od brzegu. W blasku księżyca widziałem sztywne przednie łapy, obły tułów z wielką dziurą pośrodku oraz wpatrzone we mnie oczy. Czerwone. Kto wpadł na idiotyczny pomysł, by zielonej żabie domalować czerwone oczy? Wdzieliście kiedyś coś takiego? Te niewątpliwie były czerwone. Podpłynęła i znieruchomiała przede mną, jak niemy świadek nieznanego.

Wzdrygnąłem się i odruchowo podciągnąłem do góry stopy. W tym momencie dmuchnął wiatr. Trzciny ożyły i wokół mnie rozległ się szelest papirusowych szeptów. Gładkie dotychczas lustro wody pofałdowało się i chlupnęło o brzeg, łeb żaby uniósł się i opadł. Trwało to sekundę, ale wystarczyło. Zerwałem się i pobiegłem do samochodu. Mój cień biegł nieco szybciej. Dopadłem poloneza, przekręciłem kluczyk w stacyjce i głośno poganiałem rżący rozrusznik. Coś krzyczałem, ale nie pamiętam co. Na pewno kłąłem na ten nieszczęsny mechanizm. Kiedy wreszcie odpalił, wrzuciłem jedynkę i z rykiem silnika wyostałem się na szosę. Gnałem środkiem drogi w kierunku

miasta, patrząc w lusterko, czy koszmarna żaba mnie nie ściga. Nagle przestałem zerkać, zdjęty nowym strachem, że go zobaczę za plecami, na tylnym siedzeniu. Czerwone oczy, ostry nos, lekko rozchylone w uśmiechu usta... te same co u dmuchanej zabawki. Dodałem gazu i powtarzałem na głos jakieś słowa, chyba imiona szkolnych kolegów, żeby nie myśleć.

Żaba na wodzie miała twarz mężczyzny spod drzewa.

Po powrocie do domu zamknąłem się w sypialni, padłem w ubraniu na łóżko i próbowałem poukładać te kawałki w sensowną całość. Mężczyzna pod drzewem i dmuchana żaba. Cisza i nagły podmuch. Ciemność i światło księżyca. Pary. Brakowało trzeciego składnika, łącznika, spoiwa. Doszedłszy w nerwowych rozważaniach do tego punktu, przypomniałem sobie jeszcze jeden szczegół. Żaba na czubku łba miała znak, dwa trójkąty równoboczne złączone wierzchołkami. Coś jak pozioma klepsydra.

Na trzeci element układanki musiałem zaczekać pięć lat.

Śmierci sympatycznych państwa Kolanowskich początkowo nie poświęcano nadmiernej uwagi. Przez całą jesień 1994 roku w centrum zainteresowania znajdował się worek ze złotem, jaki rzekomo wykopał Władek Borowiec na placu sępniańskiej spółdzielni rolnej. Niemal codziennie do redakcji „Głosu Oszpicyna” dzwonił ktoś z nową rewelacją, której był „absolutnie pewien” i na którą miał „niezbite dowody”. Te sensacje – a raczej doniesienia, bo miały wiele wspólnego z donosami – trafiały oczywiście do mnie, Wojciecha Jaromina, dziennikarza piszącego artykuł o skarbie z Sępni.

– Proszę pana, tu nie ma co owijać w bawełnę! – twierdziła kategorycznie pewna nobliwa dama. – Wszyscy wiedzą, że tamci groszem nie śmierzają, a nagle dom zaczęli budować! To ja się pytam: za co? Skąd wzięli pieniądze?

– No właśnie, skąd? – grałem głupka.

– Jak to skąd? Wykopali!

– A gdzie wykopali?

– To już wasza robota, dowiedzieć się gdzie. Od tego są dziennikarze – burknęła i się rozłączyła.

Inny pan z kolei był pewien, że jego sąsiad regularnie nocami penetruje teren za domem z wykrywaczem metali i kartką w ręku. „Musi mieć jakiś plan, co nie?” – pytał podchwytliwie, chcąc koniecznie wzbudzić moją ciekawość. Połknąłem haczyk i pojechałem do sąsiada na rozpoznanie. Okazało się, że owszem, chodził wieczorami po ogrodzie, ale latem, gdy zwalczał ślimaki, a na kartce miał instrukcję stosowania środka chemicznego. Starsze małżeństwo z przedmieścia chciało mnie koniecznie namówić na rewizję z asystą policji u pewnego pana naprzeciwko, ponieważ „tam się straszne rzeczy dzieją w piwnicy”. Kiedy odesłałem ich na komisariat, zaperzyli się, że nie są żadnymi donosicielami i że to ja powinienem załatwić „podobne sprawy”.

Po kilkunastu takich telefonach straciłem ochotę na ich odbieranie, dlatego kiedy zadzwoniła tamta kobieta, początkowo ją zlekceważyłem.

– Kogo, pani zdaniem, powinienem tym razem odwiedzić? – spytałem, żując bułkę z szynką.

– Mnie – odparła zupełnie poważnie.

– O! Czy my się znamy? Nieważne, poznamy się. Już jadę!

– Proszę nie żartować. Pamięta pan nieszczęśliwy wypadek sprzed trzech tygodni? Babcia i dziadek przejechani przez własnych wnuków?

– Oczywiście. O co chodzi?

– Jestem matką tych chłopców – odparła głosem z dna studni, a ja od razu odłożyłem bułkę na stół i wzięłem do ręki długopis. Doskonale pamiętałem tamten wypadek.

Na początku października starsi państwo zabrali wnuki na działkę, podjechali pod domek i wysiedli, żeby otworzyć drzwi. Kiedy oboje znaleźli się przed samochodem, jeden z siedzących w środku braci bliźniaków błyskawicznie przeskoczył z tylnego siedzenia za kierownicę, przesunął automatyczną skrzynię biegów na D i wcisnął gaz. Policjanci nie umieli sobie wyobrazić, jak siedmiolatek zdołał tak szybko dosięgnąć stopą pedału, w każdym razie wysoko orurowany nissan patrol przygniótł starszych państwa Kolanowskich do ściany domku. Zmarli przed przybyciem lekarza. Pogotowie zawiadomił jeden z działkowiczów, zaalarmowany hukem gniecionej blachy i miażdżonych kości. Na widok masakry zachował na tyle zimną krew, by pobiec do budynku administracji ogródków działkowych i zadzwonić. Kiedy wrócił na miejsce tragedii, chłopcy nadal siedzieli w samochodzie. Nic nie mówili, tylko patrzyli przed siebie. Lekarz uznał, że są w szoku, i zaczął delikatnie ich pytać. Ten zza kierownicy nie umiał powiedzieć, dlaczego to zrobił. Po prostu zrobił, i tyle. Żaden z nich nie płakał.

Pierwszy na miejsce przybył wtedy Mariusz Węgrzyn, znajomy policjant. Od niego usłyszałem tę historię. „Możesz sobie wyobrazić dziecko, z którego wielka pompa wyssała życie? Oni tak wyglądali”. Słuchając martwego głosu kobiety po drugiej stronie słuchawki, przypominałem sobie tamte słowa aspiranta Węgrzyna.

– Na kiedy jest to zaproszenie? – spytałem, unosząc się na krześle.

– Na teraz. Czekamy z mężem.

Zawinałem resztę bułki w papier, schowałem do plecaka i ruszyłem do wyjścia.

Wyszedłem na korytarz budynku ratusza, gdzie dzięki prezydentowi miasta mieliśmy na drugim piętrze redakcję. Znak tyleż jego uprzejmości, co chęci kontroli lokalnych mediów. Zbiegając po schodach, natknąłem się na radnego Łopatkę. Usiłowałem go wyminąć, ale zagroził mi drogę.

– I co, znalazł pan ten skarb? – zapytał. Są tacy ludzie, w których śmiechu słychać piłowanie przeciwnika na pół. Radny do nich należał.

– Nie – odparłem i chciałem pójść dalej, ale przystawił mi palec do piersi. Jak pi-

stolet.

– Pamiętaj, synu, że od kopania w tym mieście jest Łopatko – powiedział z uśmiechem. A potem nagle spoważniał i pchnął mnie tym swoim palcem. – Zrozumiałeś, co mówię?

– Trudno nie zrozumieć. Łopatka, do kopania.

Przecisnąłem się między balustradą a jego wypiętym brzuchem i zbiegłem po schodach. Przechylił się i krzyknął za mną:

– Jak coś znajdziesz, Jaromin, najpierw przyjdź do mnie. Inne pomysły odradzam. Słyszałeś?

Oczywiście, że słyszałem, ale nie miałem zamiaru odpowiadać. Powtarzał to kilkakrotnie w ciągu ostatnich tygodni, bynajmniej nie w formie grzecznej prośby. Alfred Łopatko był w tym mieście nie tylko radnym, ale i biznesmenem budowlanym, co próbował ukryć, przekazując dyrektorski stołek jednemu z zaufanych kumpi, o czym wszyscy wiedzieli. Miał też w kieszeni pozostałych radnych, a prezes spółdzielni rolniczej w Sępni był jego krewnym. Zainteresowanie owianymi legendą znaleziskami w tych okolicach zdawało się wzbudzać w nim nieopanowaną gorączkę.

Podjechałem pod elegancką willę. Stara ulica prowadziła w dół miasta i dalej do sztucznego zbiornika wodnego, z przystanią dla łodzi i kawiarnią na piętrze nad jachtklubem. Mój ciemnozielony polonez wśród parkujących tu samochodów prezentował się jak ubogi rezydent przy pańskim stole. Jak łachmyta na weselu. Kundel na wystawie psów rasowych. Na podjeździe u Kolanowskich stał słynny nissan patrol, który widocznie nadal przedstawiał dla nich większą wartość niż świeżo nabyta trauma. Zanim zdołałem gruntownie zastanowić się nad tym, skąd ci wszyscy ludzie wzięli takie auta na samym początku gospodarczej transformacji postsowieckiego kraju, drzwi się otworzyły i stanęła w nich ubrana na czarno blondynka. Zeszła do mnie po trzech schodach i pierwsza wyciągnęła rękę.

– Ewa Kolanowska. Dziękuję, że pan przyjechał.

Miała drobną, okrągłą twarz, ładnie zarysowane usta i proste włosy, obcięte powyżej ramion. Po powitaniu założyła kosmyk za prawe ucho i poprowadziła mnie do środka. Szedłem za nią po stopniach, mając przed nosem rytmicznie pracujące pod obcisłą spódnicą pośladki i myśląc o tym, jak erotyczna potrafi być żałoba. Onieśmielony błyszczącymi podłogami, chciałem w przedpokoju zdjąć buty, ale powstrzymała mnie. Obawy o stan podłóg w salonie okazały się płonne, ponieważ wcale nie tam mnie poprowadziła, lecz do gabinetu po prawej stronie, gdzie w fotelu czekał jej mąż. Wysoki, na krótko ostrzyżony szatyn, przedstawił się jako Ryszard Kolanowski. Na stoliku stała

kawa i ciastka. Kobieta starannie zamknęła drzwi. Usiadłem.

– Czemu zawdzięczam to miłe zaproszenie? – spytałem, kiedy już nalano mi kawy i podsunęto herbatniki. Natychmiast zjadłem dwa.

– Chodzi o to, że nie wiemy... – zaczęła kobieta, ale zgubiła wątek i nie umiała wybrnąć z tej frazy. Z głośnym chrzęstem wyłamywała sobie nadgarstki w dłoniach.

– Chodzi o naszych synów – podjął jej mąż. – Coś dziwnego się z nimi dzieje. Nie wiemy, jak to wyjaśnić.

Uniosłem filiżankę z kawą do ust i czekałem na dalszy ciąg, ale teraz zamilkli oboje. Z oczywistych dla dwudziestopięciolatka powodów Ewa budziła moje większe zainteresowanie, więc spojrzałem na nią.

– Macie państwo na myśli tych dwóch chłopców, którzy spowodowali... to znaczy przyczynili się do śmierci... – Teraz ja nie umiałem skończyć zdania.

– Moich rodziców – dokończył Ryszard. – Piotrusia i Pawełka. Oni, jak by to powiedzieć, nie są normalni.

Znowu zamilkł, a ja wciąż patrzyłem tylko na nią. Zginała nadgarstek, aż rozległo się ciche pstryknięcie, wtedy zginała drugi, pstryk, i tak w kółko. Wzrok miała skierowany gdzieś w dół na lewo, pod stół z kawą i ciastkami. Założyła nogę na nogę, smukłe łydki w kształcie odwróconego V prezentowały się fenomenalnie.

– Nic dziwnego, że zachowanie odbiega od normy – odezwałem się po chwili daremnego oczekiwania na konkrety. – Taka trauma musiała odbić się na ich psychice. Dziwne byłoby, gdyby się nie odbiła. Obawiam się jednak, że to zadanie raczej dla terapeuty niż dziennikarza. Czy chłopcy są pod opieką psychologa?

Kierowałem pytanie do matki, ale znowu odezwał się ojciec. Jako głowa rodziny poczuwał się do prowadzenia rozmowy. A może po prostu był odważniejszy od niej.

– To nie jest tego rodzaju dziwne zachowanie, o jakim pan myśli. Nie chodzi o szok, w każdym razie nie taki, jakiego można by się spodziewać. Właściwie to oni są całkiem spokojni, czasami jakby nawet trochę za spokojni. Śpią normalnie, dobrze jedzą, bawią się z kolegami, chodzą do szkoły i nie mamy żadnych skarg od nauczycieli. Słowem, wszystko jest w porządku.

– Ale nie jest – rzuciła kobieta i pokiwała głową, jakby chciała samą siebie utwierdzić w przekonaniu, że ma rację. Potem odchyliła się do tyłu i zmieniła nogi, kładąc lewe kolano na prawym. Błysnęły białe majtki. Szybko odwróciłem wzrok.

– Czy zechcieliby państwo podać mi więcej szczegółów? Na razie to wszystko brzmi dosyć enigmatycznie, pomijając fakt, że nadal nie rozumiem, dlaczego zwracacie

się akurat do mnie.

Wymienili krótkie spojrzenia i tym razem to ona zdecydowała się na dłuższą przemowę. Zrozumiałem, że telefon do mnie był jej pomysłem i uważała za stosowne teraz się z niego wytłumaczyć. Byłem wówczas dosyć pewnym siebie, nieco bezczelnym młodzieńcem, świat stał, a może siedział przede mną otworem i mogłem z niego brać, na co miałem ochotę. Gdybym wtedy, w 1994 roku, wiedział to, co wiem dzisiaj, nie słuchałbym jej i wyszedłbym natychmiast, a najpewniej wyniósł się z miasta jeszcze tego samego dnia, by przez następne lata z sukcesem wspinać się po szczeblach dziennikarskiej kariery. Ale życie nie oferuje nam aż takich przywilejów. Kiedy już wiemy, jest za późno. Albo odwrotnie: kiedy można jeszcze coś zrobić, nie mamy pojęcia, co by to mogło być.

– Zaczęło się dwa tygodnie po pogrzebie teściów. Mąż poszedł do pracy, a ja zostałam w domu, ponieważ Piotruś miał lekką gorączkę i pozwoliłam im obu nie iść do szkoły. Wydawało się, że jakoś ochłonęliśmy po tragedii, chłopcy dali sobie z nią radę, tak przynajmniej twierdził psychiatra. Poszli do szkoły, wrócili do kolegów, wszystko wyglądało, no... jakby dobrze. Wtedy Piotrek dostał tej gorączki. Myślałam, że przeziębienie, ale nie miał kataru ani bólu gardła, nie kaszłał, tylko sama gorączka. Zwykle natychmiast zarażali się od siebie, ale Pawełek był zdrowy. Położyłam jednego do łóżka, drugiemu puściłam film na wideo i zesłam do kuchni. Po godzinie poszłam sprawdzić, co się dzieje, bo jakoś podejrzanie cicho się zrobiło. W progu omal nie zemdlałam. Obaj siedzieli na kanapie, a na ekranie szedł film o... o... – westchnęła z jękiem i spojrzała na mnie. Jej rozchylone wargi na ułamek sekundy połączyła nitka śliny, co wzmoгло moje zainteresowanie. Powierciłem się na krześle.

– Jaki film?

– To było... nagranie stamtąd. Spod domku.

– Spod jakiego domku?

– Oni oglądali śmierć swoich dziadków! – jęknęła. – Rozumie pan? Film o przygniataniu ich do ściany – zaszlochała. – Nie, ja tego nie wytrzymam!

Mąż przechylił się przez oparcie fotela i objął ją ramieniem. Wtuliła twarz w jego niebieski sweter i łkała cicho. Patrzyłem chwilę na oboje i dopiero kiedy do mojego mózgu – zajętego dotychczas łydkami i wargami z nitką śliny – dotarły jej słowa, wzdrygnąłem się. Brzmiały absurdalnie. Kobieta sprawiała wrażenie normalnej, to znaczy normalnie przejętej, nie było powodu jej nie wierzyć. Z drugiej strony – nie sposób było jej wierzyć.

Kiedy trochę ochłonęła, a ja zbierałem się do zadania pytań, powstrzymała mnie,

unosząc dłoń. Lekko odepchnęła męża. Wzięła głęboki wdech, jakby miała wypić setkę wódki jednym haustem.

– To jeszcze nie wszystko. Film był niemy, bez dźwięku, i się powtarzał. Samochód rusza, przygniata mamę i tatę, oboje wybałuszają oczy, z ust chlusta krew, samochód odskakuje, a oni padają jak szmaciane lalki. I znowu od początku. Myślałam, że oszaleję! Wie pan, jak cofali taśmę? – Pokręciłem głową, ale ona nie zwracała na mnie uwagi. Mówiła do siebie. – Piotruś klaskał w dłonie, Pawełek śmiał się z uciechy i film szedł od nowa. Za trzecim razem wrzasnęłam na całe gardło i ekran na sekundę zgasł, a potem pojawił się film animowany, ten z taśmy. Później sprawdziłam, w kieszeni odtworzacza znajdowała się kasetka z Królikiem Bugsem, którą tam włożyłam.

Skończyła i ciężko opadła na fotel. Oszołomiony, zastanawiałem się przez chwilę nad tym, co właśnie usłyszałem, a Kolanowscy spuścili głowy. Sami wyglądali jak dzieci. Historyjka brzmiała na tyle nieprawdopodobnie, że niemal wiarygodnie. Jest taki rodzaj bzdury, która wydaje się niemożliwa do wymyślenia i musi być prawdziwa. Nie wiedziałem, jak im powiedzieć, że to idiotyzm. Zamiast tego spytałem:

– Czy chłopcy to jakoś później tłumaczyli?

– Nie, niczego nie pamiętali. Albo świetnie udawali. Nie mam pojęcia, po co mieliby to robić, może to wszystko działo się, nie wiem, poza ich świadomością...

Odetchnęła i zakryła dłońmi twarz, jakby opowiedzenie strasznej rzeczy obcemu człowiekowi przyniosło jej ulgę. Fenomen spowiedzi. Ryszard Kolanowski dzielnie znosił fakty z pełną ubolewania miną, a ja się zastanawiałem, czy jej wierzy, czy tylko udaje. Gdyby miał ją za wariatkę, wcale bym mu się nie dziwił. Tak myślałem wtedy, bo dzisiaj już nie.

Kiedy chwila się wysyciła i należało ją zakończyć, sięgnąłem dla odprężenia po filiżankę, siorbnąłem łyk chłodnej już kawy i spytałem:

– Powiedziała pani „zaczęło się”. Czy jest jeszcze coś?

Pokiwała głową i lekko uniosła dłoń ku mężowi na znak, że panuje nad sobą. Posłusznie odsunął się na swój fotel.

– O tamtym nie dało się z nimi rozmawiać. Niczego nie pamiętali i dziwili się, o co mi chodzi. Nie jestem psychologiem, ale nie zauważyłam żadnych oznak kłamstwa czy, bo ja wiem, zmyślenia. Matka takie rzeczy u swoich dzieci natychmiast rozpoznaje. Przecież oni mają po siedem lat! Potem zaczęłam podejrzewać, że to ze mną było coś nie tak, i dałam spokój. Po trzech tygodniach, kiedy już prawie zapomniałam, tamto wróciło.

– Oglądanie filmu? – spytałem odruchowo.

– Nie. Coś innego. Z psem. Rysiek, ty opowiedz.

Kolanowski z przygnębioną miną łyknął wody ze szklanki, jakby chciał naoliwić struny głosowe, i przedstawił zdarzenie z psem. Zacząłem notować.

– Mieliśmy suczkę, foksteriera, nazywała się Kora. Pewnego dnia weszła na drzewo i skoczyła w dół. Nabiła się na pręty ogrodzenia i zginęła na miejscu.

– Czy foksteriery chodzą po drzewach?

– Pan sobie kpi.

– Nie kpię. Po prostu próbuję zrozumieć niezrozumiałe.

– Nigdy nie chodziła po drzewach, bo psy tego nie potrafią. Foksteriery również. Ale tamtego dnia wdrapała się po pniu jak kot, doszła do końca grubej gałęzi i skoczyła. Prowadził ją Pawełek, nasz syn.

– Co pan rozumie przez „prowadził”?

Ojciec miał świadomość, że mocno wykracza poza granice zdrowego rozsądku. Westchnął.

– Stał pod drzewem i powtarzał pod nosem „hop, hop”. Wiem, jak to brzmi. Gdybym nie widział i nie słyszał, sam bym nie uwierzył. Ale dokładnie tak było: Pawełek stał nieopodal starej jabłoni i powtarzał „hop, hop”. Jak treser. Kora przeszła na poziomy konar, sięgający niemal ogrodzenia, a kiedy klasnęła i krzyknęła głośniejsz „hop!”, skoczyła. Pręty przeszły przez nią na wylot. Gdy podbiegłem, już się nie ruszała.

– Chciała przeskoczyć za ogrodzenie? – spytałem, czując mrowienie w karku. Wyobraziłem sobie przebitego psa i krew ściekającą po metalowych prętach.

– Nie mam pojęcia, czego chciała – ciągnął Kolanowski. – Nie o nią chodzi, tylko o mojego syna. Kiedy Kora spadła na pręty, odwrócił się do mnie z uśmiechem. Podbiegłem do niej i stwierdziłem, że nie żyje, więc rzuciłem się za chłopcem. Już go nie było. Wpadłem do domu i pobiegłem na górę do ich pokoju, a oni siedzieli na kanapie i oglądali bajkę. Obaj! Porwałem Pawełka za rękę i szarpnąłem z całej siły, zrzucając go na podłogę. Zrobił wielkie oczy, jakby w ogóle nie rozumiał, o co chodzi. Potem zaczął płakać. Uderzyłem go w twarz tak mocno, że zatoczył się pod telewizor. Stuknął głową w kant nogi od stolika i zemdlał. Boże święty!

Zasłonił twarz dłońmi i teraz sam wyglądał na kogoś, kogo należało przytulić. Żona siedziała nieruchomo, a ja zastanawiałem się, co z tym wszystkim począć. Albo robili mnie w balona, a wtedy powinienem wyjść, trzaskając drzwiami, albo mówili prawdę, a ta nie mieściła się w żadnym z dopuszczalnych planów działania. Chyba jednak nie

udawali. Nie wyglądali na oszustów, tylko na parę poważnych, dorosłych ludzi, których dzieci zaczęły wyprawiać niesamowite rzeczy. Zresztą po cóż mieliby oszukiwać? Nie znali mnie, ja też widziałem ich pierwszy raz na oczy. Nic nas nie łączyło. Do teraz.

Kiedy ochłonęli trochę, przeszedłem do konkluzji.

– Przepraszam bardzo, wszystko to brzmi niezwykle ciekawie i fascynująco, ale czego właściwie państwo ode mnie oczekujecie?

Kobieta podniosła na mnie zmęczony wzrok.

– A co mieliśmy zrobić? Zadzwoić na policję i powiedzieć, że nasze dzieci najpierw zabiły dziadków, a potem oglądały sobie film z egzekucji? A jak im się znudziło, dla odświeżenia wrażeń zabiły naszego psa, każąc mu włączyć na drzewo? Nie wiem, na ile pan nam wierzy, podejrzewam, że w ogóle, ale policja z pewnością odebrałaby to po swojemu, wezwałaby pogotowie. Do nas, nie do dzieci.

Faktycznie.

– Powiedzmy, że wierzę, ale nadal nie pojmuję, dlaczego właśnie ja – powiedziałem, rozkładając ręce. Kobieta rozpogodziła się i odparła szybko:

– Czytałam pana artykuł o tym dziecku, które rzucało nożami.

– A, tak. I co z tego?

– Widzi pan, to może mieć z tym coś wspólnego.

Dwa tygodnie wcześniej napisałem krótki zabawny tekścik o synku znajomego. Dzieciak w wieku sześciu lat rzucał nożami do celu jak stary nożownik. Nie wiadomo, kiedy się nauczył. Rodzice byli pod wrażeniem, ja też, więc popełniłem artykułik o nieznanych możliwościach naszych pociech: mały zapychacz na pół kolumny z morałem, że powinniśmy rozwijać lokalne talenty.

– I pani przypuszcza, że to jakoś łączy się z tresurą psów?

Wzruszyła ramionami. Jej zaczerwienione oczy znowu nabrały blasku, kiedy podniosła się i zarządziła:

– Niech pan pozwoli za mną.

Wyszliśmy z gabinetu i przez salon ruszyliśmy schodami na piętro. Ona pierwsza, ja za nią, z widokiem na pracujące pośladki, mąż na końcu. Otworzyła drzwi do jednego z pokoi i ujrzałem chłopców na kanapie przed telewizorem. Wyglądali jak najbardziej normalni chłopcy pod słońcem. Na ekranie Lord Vader machał świetlistym mieczem przed nosem mistrza Obi-Wana.

– Cześć, chłopaki! – zawołałem, a oni spojrzeli chmurnie. Dopiero kiedy mama wy-

łączyła wideo, przyjrzeni mi się uważniej.

– Za kim jesteście, za Vaderem czy Obi-Wanem? – spytałem, żeby przełamać lody.

– Za Vaderem – odparli zgodnie, jakby to było oczywiste. Tymczasem ojciec wyszedł zza moich pleców z tarczą do rzutek. Zdjął obrazek i zawiesił ją na ścianie, a jednemu z chłopców wręczył spory nóż z brązową rączką. Był to wojskowy bagnet – taki sam miałem w domu.

– Pawełku, pokaż panu.

Mały wstał z kanapy, zważył w dłoni bagnet, złapał go za klingę i prawie nie mierząc, rzucił. Nóż świsnął w powietrzu i wbił się dokładnie w dziesiątkę. Patrzyłem przez chwilę, oniemiały, po czym podszedłem do tarczy. Od spodu była deska i nóż przebił ją niemal do samej ściany. Trochę się pomęczyłem, nim go wyjąłem. Robiąc dobrą minę do złej gry, krzyknąłem z uśmiechem:

– Brawo, mały! Lord Vader cię tego nauczył?

Nie odezwał się, tylko zerknął niepewnie na rodziców. Stali z ponurymi minami, jak na pogrzebie. Podszedłem do chłopca i wesoło poklepałem go po ramieniu. Byłem jedynym rozbawionym stworzeniem w tym domu.

– Jesteś świetny, naprawdę. Mógłbyś to powtórzyć?

Mały nie zastanawiał się ani przez sekundę. Schwycił bagnet, wziął zamach i rzucił. Tym razem nie tylko trafił dokładnie w to samo miejsce, ale uderzenie okazało się tak silne, że ostrze przeszło na wylot i rozłupało tarczę na dwie połówki, które z hukiem spadły na podłogę. Nóż tkwił w ścianie. Przestałem się uśmiechać. Mały przestąpił z nogi na nogę i spytał:

– Mamo, mogę już iść?

Kolanowska bez słowa skinęła głową. Mąż stał nieporuszony jak głaz i patrzył na mnie. Ja przeskakiwałem wzrokiem z chłopców na rodziców i z rodziców na chłopców, czując, jak beztroski uśmiech spływa z mojej twarzy niczym makijaż z klauna.

W ten oto sposób w październiku 1994 roku zostałem dziecięcym detektywem w Oszpicynie. Śledztwo miało potrwać piętnaście lat i zmarnować mi życie.

Tamtego dnia nie wróciłem do redakcji, lecz prosto od Kolanowskich pojechałem do Łozów, niewielkiej wsi między Oszpicynem a Sępnią, gdzie mieszkał Grzesiek Wilk. To jego synek był tym samorodnym talentem w dziedzinie nożownictwa. Tylko taki trop przyszedł mi do głowy. Przez całą drogę rozmyślałem o tym, co właśnie usłyszałem i zobaczyłem na ulicy Brzegi, u pogrążonej w rozpacz rodziny Kolanowskich, której jakaś wyjątkowo złośliwa odmiana losu do świeżej żałoby po rodzicach dołożyła obłąd własnych dzieci. Najechanie autem na dziadków, doprowadzenie psa do okrutnego samobójstwa, rzucanie nożami... co tak działa? Pierwsza myśl, że chodzi o rzadką chorobę psychiczną, była kusząca, ale na dłuższą metę nie wytrzymywała krytyki. Obaj naraz? Może to schorzenie dopada wyłącznie bliźniaków? Kolanowscy stanowczo twierdzili, że pytany o to psychiatra zaprzeczył. Nie ma takich chorób. Może się nie znał...

Nauce z pewnością znane są zdolności mentalnego wpływania na zwierzęta, rodzaj psychicznej sugestii, z wydawaniem rozkazów włącznie. Niewykluczone, że podobnie można wyjaśnić nagły talent do rzucania nożami, choć jego pojawienie się u dwóch chłopców w tym samym miejscu i czasie dość istotnie redukowało wiarygodność takiego wytłumaczenia. Zabicie własnych dziadków nie mieściło się w żadnych ramach.

Właściwie Kolanowscy nie wyjaśnili mi, czego ode mnie chcą.

Twierdzili, że zależy im na dyskrecji, co było zrozumiałe. Liczyli, że moje dziennikarskie śledztwo pomoże im znaleźć źródło tych „anomalii”, jak je nazwali, a tym samym wyleczyć dzieci. Tak się wyrazili: wyleczyć. Okej, my, dwudziestopięcioletni dziennikarze, przed którymi świat stoi otworem, możemy się podjąć każdego zadania, nawet leczenia sadystycznej paranoi u dzieci, proszę bardzo. Pozostawało pytanie „za ile?”, dyktowane realiami nowej, kapitalistycznej rzeczywistości. O pieniądzach jednak nie było mowy. W odpowiedzi na moje aluzje pani Kolanowska zdobyła się na pełen uroku uśmiech i stwierdziła, że tak sensacyjny materiał z pewnością wzbogaci moje zawodowe doświadczenie. Jej mąż natychmiast dorzucił coś o przewidywanej gratyfikacji, ale bez konkretów. Przypomniłem sobie wypasionego nissana patrola. Przeniosłem wzrok na nią, dając do zrozumienia, że wszelkie pogłębianie moich doświadczeń w tym mieście jest bardzo mile widziane. Bezwstydne, wiem, ale tak wtedy szkolili

dziennikarzy. Nie to co dzisiaj.

Grześka Wilka zastałem na boisku LZS Sępnianka, gdzie zawzięcie trenował. Koniec października był wilgotny i chłodny, świat rozmazał się za filtrem brudnej mgły, której mokre szmaty oblepiały drzewa w sadach i badyłe w przydomowych ogródkach. Podbiegł zdyszany i na moje pytanie o syna zawahał się, uciekł wzrokiem w bok, a potem odparł, że już wszystko w porządku.

– Przeszło mu?

– Tak.

– Jesteś pewien? – dopytywałem, wpatrując się w te jego rozbiegane oczy, podobne do oczu Władka Borowca przyłapanego ze sztychówką w ogrodzie. – Tak po prostu przestał?

Pokiwał głową i pobiegł z powrotem na boisko. Rozczarowany, postanowiłem przekonać się na własne oczy i pojechałem do Wilków.

Kiedy ich odwiedziłem poprzednim razem, mały Dominik rzucał każdym nożem, jaki mu się podsunęło pod nos, czy to był wielki majcher do krojenia chleba, czy mały nóż do obierania ziemniaków. To nawet mogła być fajna zabawa, gdyby nie jego przerażająca celność. Trafiał we wszystko, w co chciał. Grzesiek później opowiadał mi z głupią miną, jak na szufladzie ze sztućcami założył kłódkę.

– Żona trochę się boi.

– Żona? – zdziwiłem się. – A ty nie?

Uśmiechnął się smutno, jakbym go przyłapał na kłamstwie.

– Wiesz, głupio bać się, że twój sześciolatek rzuci w ciebie nożem.

Jasne, że głupio. Ale w ten sposób się przyznał. Do strachu. Bo mały Dominik zniecka może mu wbić nóż w plecy. Wtedy to brzmiało nawet całkiem śmiesznie i chyba głównie z tego powodu napisałem tamten artykuł, który zwrócił uwagę pięknej pani Kolanowskiej. Teraz nie było już tak śmiesznie.

I nagle mu przeszło?

Wilkowie mieszkali w starym parterowym domu z cegły, niegdyś czerwonej, a teraz niemal czarnej. Po zabłoconym podwórzu łąziły smętne kury, pies na łańcuchu omiótł mnie niechętnym spojrzeniem, szczechnął dwukrotnie dla formalności i wlaźł z powrotem do budy. Na drzwiach pokrytych łuszczącą się farbą wisiała ciężka kołatka w kształcie końskiego strzemienia. Cała posiadłość dobitnie dowodziła, że piłkarze na wsi to hobbyści i kopią piłkę z pasji, nie dla pieniędzy.

Zastukałem. W środku rozległo się szuranie i drzwi się uchyliły.

Na mój widok pani Wilkowa, nieładna szatynka o byle jak spiętych włosach, okrągłej twarzy i zmęczonych oczach, spuściła wzrok i oznajmiła, że męża nie ma.

– Wiem. Chciałbym chwilę porozmawiać z panią.

– A o co chodzi?

Usiłowała spojrzeć hardo, ale nie bardzo jej wyszło i uciekła wzrokiem w bok, na przejeżdżający drogą samochód.

– O Dominika. Grzesiek mówił, że już nie rzuca nożami.

– Nie.

Nie wyglądała wcale na ucieszoną ozdrowieniem syna. Przeciwnie, można było pomyśleć, że Dominik zamienił noże na granaty.

– To chyba bardzo dobrze! – krzyknąłem mimo to z entuzjazmem, ale ona tylko rozciągnęła usta w rozpaczliwej próbie uśmiechu.

– Mogę wejść i pogadać z nim?

– Z kim? – spytała półprzymkniętymi oczami.

– No z Dominikiem!

– Wolałabym nie.

Powiedziała to z rozpaczą. Coś się wydarzyło, byłem pewien, należało się tylko do tego czegoś odpowiednio dobrać. Właśnie gorączkowo układałem w głowie sprytne zdanie, które otworzy mi drzwi, gdy z głębi domu dobiegł donośny huk i pisk. Kobieta jęknęła i znikła w sieni. Odczekałem chwilę i poszedłem za nią. Uznałem, że rumor oraz uchylone wejście dają mi takie uprawnienia.

W kuchni na podłodze leżało przewrócone krzesło z oparciem.

Przed nim siedział sześciolatek Dominik z widelcem wbitym w podłogę między kolanami. Matka nerwowymi ruchami zbierała na ścierkę resztki jedzenia, jakby to był dowód przestępstwa. Na mój widok chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Tak. Niech pan już sobie idzie.

Powiedziała to tonem, z którego dla młodego i trochę bezczelnego dziennikarza wynikało jedno: teraz nie należy sobie iść.

– Jest pani pewna, że wszystko w porządku? – mówiłem do niej, ale patrzyłem na dziecko. Dominik miał zmętniałe i jakby niewidzące oczy, a spod wbitego w deski widelca wystawały kłaki czarnej sierści z odrobiną krwi. Rozejrzałem się po kuchni w poszukiwaniu jej właściciela, ale jedyną sensowną odpowiedź podsunął mi uchylony

w oknie lufcik. Spojrzałem na matkę.

– Co to było, kot?

Nie odpowiedziała. Wtedy mały Dominik poruszył się, odsłonił zęby w szczerbatym uśmiechu i pokazał mi wyrwany z podłogi widelec, chwając się dobrze wykonaną robotą. Usiłował wstać. Podparł się rękami i uniósł najpierw tyłek, jak raczkujące niemowlę, a dopiero potem oderwał ręce od podłogi i się wyprostował. Kobieta z głośnym jękiem dopadła do niego, porwała na ręce i krzyknęła, żebym się natychmiast wynosił. Zobaczyłem jednak wystarczająco dużo – chłopiec nie zdołał się wyprostować. Przez sekundę chwiał się na miękkich nogach, a następnie poleciał na bok jak kłoda. Przed runięciem na podłogę uchroniły go silne ręce matki. Cały czas się uśmiechał.

– Co mu się stało? – krzyknąłem, mając przed oczami trzęsące się kolana, które nie potrafiły utrzymać ciężaru sześciolatka. Kiedy widziałem go poprzednim razem, biegał po domu zdrów jak ryba.

– Niech się pan wynosi!!! – wrzasnęła Wilkowa na całe gardło i uciekła z dzieckiem do pokoju. Rozważałem, czy nie pójść za nią, ale zrezygnowałem i ruszyłem do wyjścia. W progu zderzyłem się z Grześkiem Wilkiem.

– Co mu się stało? – powtórzyłem pytanie, wskazując palcem za siebie. Powietrze zgęstniało od napięcia.

– Czego tu szukasz? – warknął, ignorując moje pytanie.

– Chciałem się upewnić, że z Dominikiem wszystko w porządku po tym... wiesz... rzucaniu nożami. Widzę, że nie.

– Nie twoja zasrana sprawa.

Pchnął mnie lekko do kuchni i prawie nie słuchał pospiesznych wyjaśnień. Bez wdawania się w szczegóły chciałem opowiedzieć o podobnym przypadku spontanicznego nożownictwa u innego chłopca, ale bez powodzenia. Patrzył na uchylone drzwi do pokoju, gdzie zniknęła żona z synem, a na mnie nacierał całym rozgrzanym po treningu ciałem. Był prawie o głowę wyższy i szerszy w ramionach, nie miałem większych szans. Rozpocząłem negocjacje.

– Grzesiek, uspokój się. Chciałem tylko pogadać. Co się tu u was dzieje? Na co on jest chory?

Trochę ochłonął. Jakieś resztki rozsądku podpowiedziały mu, że przegina.

– Powiedziałem: nie twoja sprawa. Słyszałeś, że masz się wynosić, i najlepiej będzie, jak to zrobisz od razu.

Uniosłem ręce, poddając się bez walki, ale gadałem dalej.

– Jasne, już spadam. Powiedz mi przynajmniej, na co on choruje.

Bo to jakaś choroba, prawda? Ostatnio biegał jak żrebak...

Chciałem jeszcze powiedzieć, że takie rzeczy na pewno można leczyć i żeby poszli do ortopedy, ale gdy zza ściany doszedł szloch pani Wilkowej, Grzesiek pobiegł do pokoju. W progu zatrzymał się na sekundę, odwrócił i wymierzył we mnie palec.

– Nie ma cię tu.

Może w innych okolicznościach chwyciłbym się awaryjnych rozwiązań, by postawić na swoim, ale w jego głosie kryła się grożąca śmiercią stanowczość. W oczach też. Wzruszyłem ramionami i zrobiłem w tył zwrot. Z sypialni dochodziły okrzyki, jęki i szlochy... Wybiegłem.

Mgła trochę się przerzedziła, ale zaczął wiać zimny wiatr.

Zapiąłem kurtkę pod szyję i poszedłem wzdłuż płotu do zaparkowanego za zakrętem samochodu. Wciąż miałem przed oczami napiętą twarz Dominika, gdy z uśmiechem próbował stanąć na nogi, a ze szpary między zębami wypływała mu struzka śliny. Jak u debila. Mały, niezdarny stworek, który był już mówiącym i chodzącym człowiekiem, ale się cofnął. Do czego? I dlaczego?

Na murku betonowego silosu na obornik siedział czarny kot i lizał zraniony koniec ogona, postrzępiony jak sznurówka w starym bucie.

Zobaczył mnie, zjeżył się i uciekł za stodołę. Zapiął kogut, ale ten dźwięk w ogóle nie pasował do mglistego październikowego popołudnia.

Wstrząsnąłem się od chłodu. Zamglona wieś pogrążała się w jakimś beznadziejnym smutku, mokra i bezradna jak wyłowiony topielec.

Szedłem do samochodu wolnym krokiem i próbowałem ogarnąć myślami zdarzenia z ostatnich godzin. Wszystko to było dziwaczne, głupie, straszne i zarazem przygnębiające. Jak ta mgła. Czy mgłę można zrozumieć? Nie, trzeba ją przeczekać. Do wieczora, kiedy białe mleko zmienia się w czarne mleko.

Powrotna droga wiodła obok zagrody Borowców, więc zaszedłem od tyłu za szopę do miejsca, gdzie Władek miał zakopany rewolwer.

Beczka stała z powrotem na swoim miejscu, pod rynną, pełna wody.

Ktoś podłożył pod nią dwie deski, żeby się nie zapadła w świeżo rozkopanej ziemi. Ostrożnie postawiłem nogę na błotnistych grudach.

But zapadał się w miękkie podłoże o pstrokatym, czarno-żółtym zabarwieniu. Humus pomieszany z gliną. Miejsce zryto na co najmniej metr, znacznie szerzej niż wtedy, gdy niefortunny (albo fortunny) operator koparki ukrywał swoją nielegalną broń. Rozejrza-

łem się dokoła.

Nikogo nie było i przez chwilę wahałem się, czy nie poszukać w szopie łopaty i nie sprawdzić, co tam teraz jest. Ostatecznie zrezygnowałem z tego pomysłu. Gdyby mnie tu ktoś przyłapał, mógłbym mieć kłopoty większe niż z wściekłym Grześkiem Wilkiem.

Wiedziałem jedno: kopali. Czyli rewolwer był przykrywką, właściwy schowek znajdował się pod nim.

Zakopali albo wykopali.

Skarb z Sępnia.

Kiedy parę dni później Ewa Kolanowska zadzwoniła po raz drugi, nie zastanawiałem się ani przez sekundę. Był mokry początek listopada, na podjeździe willi przy ulicy Brzegi walały się zgniłe liście, pokrywały też dach i maskę nissana stojącego w ogrodzie, pod tym samym drzewem, z którego spadła na druty nieszczęsna foksterierka Kora.

Odstawili i nie używają, pomyślałem. Gałęzie zwisały nad samochodem, jakby go pilnowały: zgarbionego starca szukającego pod drzewem opadłych owoców.

Kobieta otworzyła drzwi, zanim nacisnąłem dzwonek. Uśmiechała się, ale jej oczy pozostały puste. Zupełnie jakby ktoś inny od środka sterował jej reakcjami. Na twarzy widniały ślady ledwie obeschłych i niedbale wycieranych rękawem łez. Nie zdążyłem spytać, co się stało, kiedy wzięła mnie za rękę i powiodła ku drzwiom do piwnicy. Jej dłoń była wilgotna i zimna jak ryba. Za naszymi plecami drzwi wejściowe zamknęły się z cichym trzaskiem i w przedsionku zrobiło się mrocznie.

Przekręciła wyłącznik światła i zaczęła schodzić, jedną ręką sunąc po nieotynkowanej ścianie, w drugiej ściskając kurczowo moją, jakby to była lina asekuracyjna. Odruchowo pochyliłem głowę przed zwisającymi pajęczynami, na które ona nie zwracała uwagi. Gdy znaleźliśmy się na dole, skręciła w prawo, włączyła kolejne światło i pchnęła mnie lekko do przodu, a sama schowała się za moimi plecami.

– W co się bawimy? – zapytałem półgłosem. Chciałem, by zabrzmiał aksamitnie i uwodzicielsko, ale ona zupełnie go zignorowała i pokazała brodą, bym szedł dalej.

Czułem się dziwnie w tej pantomimie gestów i nastrojów. Nadzieja na przygodę z atrakcyjną żoną ospicyńskiego mieszczanina z wolna ustępowała miejsca niespokojnej czujności. W korytarzu stał zakurzony staroświecki rower. Byłem trochę spięty, więc dla odprężenia klepnałem skórzane siodełko. „Nie martw się, stary, ruszymy jeszcze w drogę!”.

Doszedłem do uchylonych drzwi, namacałem za framugą wyłącznik i kiedy rozbłysło światło, zerknąłem do środka. Na drewnianych półkach stały w rzędach słoiki z przetworami, w olbrzymich ilościach, jak zapasy zgromadzone na przetrwanie wojny. Regały zajmowały całą ścianę, a kiedy uchyliłem szerzej drzwi, dostrzegłem podobne na

obu ścianach po prawej i lewej. Armia słoików w różnych rozmiarach i kolorach.

Domyśliłem się, że to marynaty przygotowywane latami przez rozjechaną babcię Kolanowską. Pachniało wilgotnym kurzem, kiszonym koprem i jeszcze czymś, czego nie umiałem zidentyfikować. Zakurzony łebek gołej żarówki rzucał mdłe światło, więc nie od razu zauważyłem.

Kobieta pchnęła mnie w lewo. Sama została w pobliżu drzwi, gotowa w każdej chwili uciec. Tak mi się zdawało.

Regały opierały się o ścianę, a od frontu wzmacniały je grube kwadratowe słupki, tak zwane kantówki, o boku około dziesięciu centymetrów. Na każdej ścianie trzy: dwie po bokach i jedna na środku.

Od nich do muru szły poprzeczki wspierające deski półek. W środkowej kantówce regału za drzwiami tkwił długi stalowy pręt, podobny do tych, z których zrobione było ogrodzenie. Pod nim tkwił przytwierdzony do słupka okazały szczur. Zwisiał głową w dół, zatrzymany w biegu jak na stopklatce, wzdłuż tułowia dyndał odwinięty ogon w kształcie interaktywnego znaku zapytania. Od rozwartego w śmiertelnym uśmiechu pyszczka biegła do podłogi ciemna strużka, rozlewając się na betonie w plamę.

Zrobiłem krok w przód i dotknąłem końcówki pręta. Tkwił mocno.

Musiał zostać pchnięty ze sporą siłą, więc natychmiast przyszedł mi do głowy Kolanowski. Nie było go jednak w domu. Szarpnąłem pręt, ale natychmiast zrezygnowałem. Wyobraziłem sobie szczurzego trupa opadającego z głośnym plaśnięciem w kałużę własnej krwi. Wycofałem się tyłem i stanąłem obok Ewy.

– Dlaczego on to zrobił?

Nie odezwała się, stała nadal nieruchomo.

– Czy mąż nie słyszał o trutkach na szczury? W sklepie gospodarczym widziałem też wielkie metalowe pułapki, podobno skuteczne...

Kilka sekund zajęło jej przetrwanie moich słów, po czym nagle zrozumiała i potrząsnęła głową. Sierp jasnych włosów zakołysał się wokół ucha. Jeden wąski kosmyk zaczął się na policzku i pozostał tam jak mikroport. Wyobraziłem sobie, jak biorę ten kosmyk w dwa palce i zakładam za cieniutką muszlę jej ucha...

– To nie mój mąż.

Tym razem ja potrząsnąłem głową, mocno i z niedowierzaniem.

– Naprawdę?! Więc kto? Chyba nie chce pani powiedzieć, że talenty synów zyskały nowy wymiar...

Odwróciłem się, szukając w jej oczach zaprzeczenia swoich podejrzeń, a wtedy wy-

darzyło się coś absolutnie dziwnego. Zarzuciła mi ręce na szyję i mocno przywarła całym ciałem do mojego, nadeptując przy okazji na moją prawą stopę. Jej usta znalazły się tuż przy moim uchu, gorący oddech łaskotał małżowinę.

– Nienawidzę szczurów – szepnęła.

Wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, dziennikarze byli dosyć bezczelni, no ale nie aż tak. Stałem zeszywniały, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. W końcu natura zadziałała i niezgrabnie objąłem jej kibić. Przyłgnęła do mnie mocniej i zapewne tylko grubej jesiennej odzieży zawdzięczaliśmy fakt, że nie poczułem twardych sutków na jej sterczących pod swetrem piersiach, a ona nie poczuła moich nabrzmiewających spodni. Oddychałem szybko, próbując nad sobą zapanować. Na mojej szyi wisiała przestraszona i podniecona kobieta, obok mnie wisiał przybity przez nią do regału szczur, na podłodze leżała paczka z drutami do ogrodzenia. Były pod ręką, wystarczyło odwrócić się i sięgnąć.

– Kiedy to się skończy? – spytała szeptem i rozluźniła nieco uchwyt.

„Co się skończy?”, chciałem odparować, ale nie mogłem.

Podniecenie trzymało mnie w kleszczach i choć miałem ochotę odepchnąć ją i uciec, równocześnie bardzo nie chciałem tego robić.

Chyba coś wyczuła, bo ponownie przywarła mocno i chuchnęła mi w ucho gorącym powietrzem. Przekręciłem głowę i wtedy mój wzrok padł na szczura.

– Wszystko będzie dobrze – wycharczałem i z trudem zebrałem siły, by odkleić ją od siebie i utorować sobie drogę do wyjścia.

Sięgnąłem do karku, jakbym odpinał kamizelkę ratunkową po udanych ćwiczeniach na wypadek katastrofy, i schwyciłem Ewę za nadgarstki.

Ustała. Jej ręce opadły ze mnie jak podpory od startującej rakiety, już niepotrzebne. Odsunęła się. Silniki odpalono, ale nikt nie odleciał.

Cofnąłem się ku drzwiom, a wtedy nagle spytała rzeczowo:

– Mógłbyś to sprzątnąć?

Patrzyła mi prosto w oczy, a jej szeroko otwarte powieki w ogóle nie mrugały. Podniecenie uleciało ze mnie jak bąbelki z niewypitego szampana, szybko i bezpowrotnie. Pozostało jeszcze zdziwienie i ten nieokreślony niepokój, że dzieje się coś poza naszą kontrolą. Kiedy starałem się uspokoić oddech, wpatrywała się we mnie zimnym, nie-ludzkim wzrokiem. Przyglądaliście się kiedyś w dzieciństwie szklanym oczkom pluszowego misia? Ja często. Błysk światła i iluzja żywej reakcji. Ale tylko iluzja, na ułamek sekundy. Miś nie żyje, blask jest sztuczny, a jęczyczek uszyto z czerwonego filcu.

Takie mniej więcej były wbite we mnie oczy Ewy Kolanowskiej.

I wysunięty spomiędzy warg skrawek czerwieni.

Trwaliśmy w bezruchu kilka sekund i wtedy zamruła żarówka.

One tak robią tuż przed przepaleniem się. Nie czekałem, aż w piwnicy zapadną ciemności, tylko odsunąłem Kolanowską na bok, złapałem za sterzący drut w miejscu, gdzie było jakieś dizajnerskie spłaszczenie, i obróciłem w obie strony. Puścił. Wyrwałem go razem ze zwisającym trupkiem gryzonia, minąłem obserwującą mnie kobietę i pobiegłem ku wyjściu. Żarówka znowu zamruła, tym razem w korytarzu. Kiedy rozbliżyła na nowo, ujrzałem w głębi piwnicy jednego z synów Kolanowskich. Uśmiechał się. Zwolniłem na ułamek sekundy, żeby coś powiedzieć albo zrobić, ale ponieważ nie miałem pojęcia co, pobiegłem schodami w górę. W holu potknąłem się o próg i omal nie runąłem na wycieraczkę, podpierając się wyciągniętym przed siebie prętem. Pysk szczura zostawił na ganku krwawą smugę.

Za nissanem patrolem, w kącie ogrodu znajdowała się nagrabiona sterta suchych liści. Cisnąłem w nią prętem ze zwłokami i pobiegłem do furtki. W progu domu stała pani Kolanowska i machała mi dłonią na pożegnanie, jakby nasza randka należała do całkiem udanych.

Uśmiechnięta. Kompletnie niezborne.

Coś krzyknąłem, nie pamiętam co, i odjechałem.

Wiem, uciekłem. Najzwyczajniej w świecie spietrałem się i nie umiałem sobie wyjaśnić czego właściwie. Naczelnemu zresztą też nie.

Słuchał mnie z zaciekawieniem psychiatry.

– Czekaj, jeszcze raz. Wzięła cię za rękę, sprowadziła do piwnicy, a tam wisiał przebity włócznią szczur.

– Nie włócznią, tylko zwykłym metalowym prętem.

– Dobrze, prętem. I ona powiedziała, że to zrobiła, ponieważ nienawidzi szczurów.

– Nie do końca – prostowałem cierpliwie i z niechęcią. – Nie powiedziała, że to zrobiła. Wywnioskowałem z jej słów i zachowania.

Mówiła, że to nie jej mąż.

– Okej, ale nie przyznała się, więc twoje podejrzenie wynika wyłącznie z własnych implikacji, które przeszły w komplikacje.

Uderzenie było silne, nie mogła tego zrobić kobieta ani dziecko, więc musiał to być jej mąż. A ponieważ to nie był jej mąż, co sama zaznaczyła, doszedłeś do wniosku, że to ona. Dlatego się przestraszyłeś.

Janusz Karpiński patrzył na mnie spod przymrużonych powiek w oczekiwaniu, że wreszcie dostrzegę nielogiczność swojej relacji, względnie palnę coś takiego, co mnie ostatecznie pogrąży.

– Nie chodzi o nią! To znaczy chodzi, ale w innym sensie. Ona była jakaś taka... nie chcę powiedzieć „dziwna”, ale nie mam żadnego lepszego słowa. Zadzwoiła, by pokazać mi kolejną niezwykłość związaną z jej synami, ale tak naprawdę przybiła w piwnicy szczura drutem do regału ze słoikami, a mnie sprowadziła tam po to, żeby... no właśnie nie wiem. Żeby się pochwalić? Postraszyć?

– I w tym celu zarzuciła ci ręce na szyję – uzupełnił Karpiński, marszcząc nos. Niezawodna oznaka niedowierzania i dystansu.

Wiedziałem, do czego zmierza.

– Nie! Ona sama była wystraszona, autentycznie, tego się nie da tak łatwo odegrać. Bała się i czekała, aż też się przestraszę. Tak to wyglądało. Badawczo mi się przyglą-

dała, sprawdzała, jakie wrażenie wywarło na mnie całe to piwniczne widowisko. Wie pan, była w środku i jednocześnie na zewnątrz.

– W piwnicy i w ogrodzie?

– Nie. Trochę była sobą, a trochę patrzyła na siebie.

– Badawczo ci się przyglądała, patrząc z zewnątrz na siebie...

– Eee, to beznadziejne – zirytowałem się. – Pan jest fotografem, a fotografia jest płaska.

– Za to Ewa Kolanowska całkiem wypukła – odparł, ale już sobie poszedłem, przerywając tę nieadekwatną wymianę. Zresztą nie powiedziałem mu wszystkiego. Pomiąłem nasze podniecenie, tam, w piwnicy, które omal nie skończyło się nerwowym, szybkim seksem na stojąco. Pomiąłem twarz małego Kolanowskiego po drugiej stronie piwnicznego podziemia. Nagle się przeraziłem: widział nas przytulonych do siebie, doniesie o tym ojcu i lada chwila będę miał na karku zazdrosnego męża! Nic się nie wydarzyło, a dostanę po zębach...

Usiadłem na krześle i żeby się skupić, próbowałem pozbierać fakty. Chłopcy od Kolanowskich rzucają nożami jak zawodowi mordercy. Wcześniej najechali samochodem na dziadków, zabijając oboje na miejscu. Następnie oglądali film z tragicznego zdarzenia i cofali taśmę kłaśnięciem, co jednak jest na tyle niewiarygodne, że należy to uznać za projekcję oszołomionej matki. Synek Wilków też rzucał nożami jak zawodowy morderca, ale przestał, za to stracił władzę w nogach i chodzi jak paralytyk. Do tego chyba zidiociał. Władek Borowiec coś znalazł i zakopał pod beczką na deszczówkę. Twierdził, że rewolwer. Potem ktoś inny kopał w tym samym miejscu. Ewa Kolanowska przestraszyła się gryzonia w piwnicy, którego sama (prawdopodobnie) zabiła, więc zadzwoniła po mnie, trudno powiedzieć po co. Tyle fakty. A teraz emocje. Bliźniacy od Kolanowskich w ogóle nie przejęli się zabiciem własnych dziadków, a hipotetyczny filmik według relacji matki służył im do zabawy. Jeden z nich obserwował nas w piwnicy, z uśmiechem. Ona również się uśmiechała przy pożegnaniu.

Mały debil Dominiczek też się uśmiechał na podłodze, chociaż męczył się strasznie, żeby wstać. Z czego oni wszyscy się śmieją?

Poprawka. Oni się nie śmiali, tylko uśmiechali, a to nie to samo.

Śmiech odpręża, jest wyzwalający i swobodny, natomiast uśmiechem można zranić. Albo i zabić. Bywa jak smagnięcie batem. Kiedy człowiek po prostu się śmieje, robi to dla siebie, podczas gdy uśmiech jest komunikatem skierowanym do kogoś. W tym przypadku do mnie. Co zrozpaczony i udręczony człowiek może komunikować uśmiechem?

Że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Wszystko to razem nie trzymało się kupy, moja głowa po spotkaniu z Ewą Kolanowską w piwnicy też nie. Z dziennikarskiego doświadczenia wiedziałem, że dobrym sposobem na uporządkowanie danych jest próba zapisania ich w jakiejś sensownej konfiguracji. Otwarłem mały notebook, przywieziony z Niemiec po wakacyjnej pracy przy owocach, z którego byłem bardzo dumny, po czym wpisałem wielki tytuł „Skarb w Sępni”. Przyjrzałem mu się krytycznie, usunąłem i napisałem inny: „Dzieci rzucają nożami”. Przypomniałem sobie uśmiech małego Wilka ze zwisającą z wargi śliną i znowu cofnąłem. Wystukałem palcami „Dzieci się bawią”. Tak, ten mi się spodobał.

– Jak ci idzie? – spytał naczelny i moja ulga przysła w jednej sekundzie. Skuliłem się i odparłem:

– Właśnie zaczynam. Zebrałem już materiały...

– Jakie materiały?

Przystąpiłem do wyjaśniania, ale przerwał mi niecierpliwie:

– Nie będzie żadnego pisania o skarbie w Sępni. Tego tematu nie ma.

– Jak to nie ma? – zdziwiłem się teatralnie, by zyskać na czasie.

– Tam nie było żadnego skarbu, Jaromin. Ludzkie gadanie plus pobudzona przez biedę wyobraźnia. Zero konkretów.

– A Władek Borowiec?

– Borowiec znalazł rewolwer, uznał, że wygląda na sprawny, i zabrał do domu. Wiesz, dla chłopca z wioski pod lasem takie znalezisko to też skarb. Jak dobrze podejdziesz, to i dzika ustrzeli.

Redaktor Karpiński mówił to wszystko spokojnym i nieco natarczywym głosem. „Nie zajmuj się tym, to nie dla ciebie”, brzmiał komunikat.

A potem się uśmiechnął.

Dzień uśmiechniętych komunikatów.

– Napisz coś o nowym moście na Sowie. Słyszałeś, mam nadzieję, o uchwale rady miasta?

Owszem, słyszałem o planach budowy mostu, widziałem nawet plany architektoniczne i bardzo nie podobało mi się, że obwodnica wokół miasta przechodzić miała przez moje ulubione stawy.

Zachwalanie tej inwestycji nijak nie leżało w moim interesie.

– Bierz się do roboty. A o tym – pokazał palcem na ekran notebooka z wielkim tytu-

łem o bawiących się dzieciach – zapomnij.

Karpiński pochylił się i poczułem odór czegoś, co mogło być na wpół przetrawioną jajecznicą na cebuli. Zniżył głos do szeptu i powtórzył:

- Wojtek, zostaw to.
- Polecenie służbowe czy prośba?
- Jedno i drugie.

Ścisnął mnie za ramię i odszedł do swojego gabinetu. Patrzyłem na jego oddalające się plecy i myślałem o jego pełnym troski szepcie, w którym brakowało jedynie: „Dla twojego dobra”. Moja dłoń bezwiednie powędrowała ku myszce, by ustawić kursor na końcu zapisanej frazy, a następnie zaznaczyć cały tytuł. Palec wskazujący na klawiszu DELETE dokończył dzieła.

Jeszcze przez chwilę zastanawiałem się nad tym, że w słowach szefa nie było prośby ani polecenia, tylko groźba, ale dałem za wygraną. Tak będzie lepiej. Uniknę dalszych komplikacji z rodziną Kolanowskich i może uda mi się przywrócić normalne relacje z Wilkami. To całkiem mili ludzie, ale zestresowani chorobą syna.

Wyjąłem z szuflady teczkę z materiałami na posiedzenie rady miasta i pochyliłem się nad planem mostu. Obwodnica szła przez łąki, potem zakręcała lekko w lewo i biegła dalej w kierunku dużych zakładów chemicznych. Przecinała mój staw dokładnie przez środek.

Zastanawiałem się, czy podzielią go na dwa mniejsze, czy w ogóle zasypią. Tak mi zeszło do popołudnia. Powoli zapominałem o piwnicy Kolanowskich.

Przeglądałem papiery, a na pustym ekranie przenośnego komputerka migał samotny kursor. Wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, byłem młody i bezczelny, ale głupi. Nie wiedziałem jeszcze, że rzeczy usunięte są silniejsze od zapisanych.

Kiedy wyszedłem z pracy po piątej, było już prawie ciemno. Bure chmury dały sobie spokój i ruszyły gdzieś dalej, a spod ich grubej warstwy na zachodzie biła granatowa łuna. Pas niczyjego nieba, bez nocy i bez dnia. Ta pierwsza szła dopiero od wschodu, ten drugi już odstąpił od swoich roszczeń i zgasł. Stałem na środku rynku i rozejrzałem się wkoło, jakbym trafił tu pierwszy raz. W mokrych kamienicach tu i ówdzie paliło się światło, ktoś kręcił się po pokoju albo kuchni, brał coś do ręki i odkładał. Było zimno, a na myśl o mojej pustej garsonierze w bloku zrobiło mi się jeszcze zimniej. Nie chciałem tam wracać, przynajmniej nie teraz. Czy się bałem? Nie, wtedy jeszcze nie.

Komiczną myśl o czającym się na mnie za rogiem Ryszardzie Kolanowskim trudno było nazwać strachem.

Skręciłem do kawiarni. Mieściła się w dawnym sklepie żelaznym U Budziły i nazywała się Kofe Inka, ponieważ tak miała na imię żona właściciela, Pawła Kopcia. Pogratulowałem mu kiedyś pomysłowej nazwy, a on w rewanżu postawił mi kawę i tak zaczęła się nasza sympatyczna znajomość. Rodowity oszpicynianin, dawny hokeista, który po otrzymaniu kopniaka łyżwą w nos zamienił uprawianie sportu na biznes. Z całym niezłym skutkiem, zważywszy na fakt, że kawiarnia nigdy nie świeciła pustkami, a wieczorami trudno było znaleźć wolny stolik.

Mnie się udało i usiadłem w kącie, tuż przy wejściu do toalety, zamówiwszy kawę, a po krótkim namyśle również brandy. Wydała mi się przydatnym doradcą w myśleniu, a raczej niemyśleniu o ostatnim dniu. Spisała się na tyle dobrze, że zamówiłem jeszcze jedną, która okazała się doradczynią nie gorszą od poprzedniczki i do kompletu brakowało tylko trzeciej. *Aller guten Dinge sind drei*, jak mówią Niemcy, a Rosjanie: *Boh trojcu lubit*. Trzecia wypogodziła mnie do tego stopnia, że zapomniałem o sile swoich pieniędzy i zamówiłem czwartą.

Tę przyniósł mi już osobiście sam właściciel.

– Dostałeś spadek czy wylali cię z roboty? – spytał bez ogródek, dzwoniąc kieliszkiem w szklany blat. Odsunąłem mu krzesło nogą.

– Siadaj. Sobie nie przyniosłeś? Na koszt firmy.

– Nie piję – odparł. – Inaczej bym zbankrutował.

– Aż tak lubisz?

– Nie, ale połowa miasta piłaby ze mną na koszt firmy. Co u ciebie? Znalazłeś ten skarb z Sępni?

Na dźwięk tych słów jeden z klientów natychmiast odwrócił głowę w naszą stronę. Zmrużył oczy i lustrował nas wzrokiem przez parę sekund.

– Jak usiądziesz i pochylisz się ku mnie, to ci odpowiem. Nie będę krzyczał na całą knajpę.

– To jest kawiarnia – sprostował Paweł.

– Kawiarnia z piwem to już chyba knajpa, prawda?

– Do brandy nie trzeba pić kawy, można też piwo, prawda? – zaproponował, ale posłusznie odsunął krzesło i usiadł obok. Facet przy sąsiednim stoliku obejrzał się ponownie.

– Nie tylko nie znalazłem, ale właśnie zabronili mi szukać. Stary powiedział, że mam sobie dać spokój. „Nie ma tego tematu, Jaromin!”.

– Znaczy się, że nasz radny Łopatko wziął sprawy w swoje ręce!

Jak zwykle. Ale to właściwie dobra wiadomość – ucieszył się. – W pewnym sensie znalazłeś ten skarb.

Facet znad piwa spojrzął po raz trzeci i wtedy uświadomiłem sobie, że skądś znam tę twarz. Ostry nos, na który kiedyś mówiono „krogulczy”, grube czarne brwi i wysunięta warga... tak. Widziałem go za oknem w sklepie jubilerskim na osiedlu Murarzy. Układał na wystawie pudełka z biżuterią. Miał długie zagięte palce i wyglądało to tak, jakby te wszystkie kosztowności nie tyle wystawiał, co grabił.

– W pewnym sensie – mruknąłem, przyglądając się obejmującym szklanek piwa szponom.

– I co, dasz sobie spokój? – spytał Kopeć z uśmiechem. – Jak cię znam, to pewnie nie.

Skrzywiłem się.

– Proszę cię, jak do mnie mówisz, nie uśmiechaj się. Mam dość na dzisiaj znaczących uśmiechów. Znasz tego gościa?

Paweł nawet nie spojrzął we wskazanym przeze mnie kierunku, tylko pochylił się i szepnął:

– Jubiler Szpindel. Piękna postać Oszpicyna. Nadawałby się do opowieści wigilij-

nej prosto z Dickensa. Mój kuzyn praktykował kiedyś u niego przez dwa lata i uciekł. Do dzisiaj nie wiadomo dlaczego. – Paweł jeszcze bardziej zniżył głos. – Nie chcesz go poznać, prawda?

Odchyliłem się na krześle i dopiłem czwartą brandy. Człowiek o nazwisku Szpindel ostentacyjnie odwrócił się od nas i pochylił nad swoją szklanką, ale odniosłem wrażenie, że wciąż nasłuchuje.

Odstawiłem głośno kieliszek.

– Wiesz, szeptę też mi dzisiaj nie najlepiej robią. O czym tu u ciebie można pogadać zwyczajnym głosem? O pogodzie?

– Nie musimy gadać. Posiedź jeszcze chwilę, a potem idź do domu.

Bo chyba nie przyjechałeś samochodem, co?

Pokręciłem głową, choć mój polonez stał pięćdziesiąt metrów stąd.

– Przejdę się. Muszę coś wymyślić w sprawie nowego mostu.

Wiesz, wystrzałowy materiał na pierwszą stronę o tym, jak teraz ciężarówki będą jeździć środkiem stawu. Dodajmy: pięknego stawu.

– Nie marudź – odparł Paweł. – Też lubię nasze stawy i mam do nich sentyment, uczyłem się tam grać w hokeja. Temu miastu potrzeba jednak nowoczesnej obwodnicy, inaczej ciężarówki rozjadą to malownicze stare centrum. Są też inne korzyści. Będzie lepszy dojazd do szpitala zakładowego. Nawiasem mówiąc, muszę tam zaraz pojechać.

– Ktoś ci zachorował? – spytałem odruchowo, żeby podtrzymać rozmowę. Zainteresował mnie Szpindel, a konkretnie jego szponiaste ręce, które obejmowały szklankę z piwem. Było w nich coś fascynującego, jakiś niezwykle skuteczny i pewny uchwyt. Niewątpliwy i integralny. Wzorzec uchwytu. Patrzyłem z nieco już pijaną uwagą, dlatego w pierwszej chwili nie dotarł do mnie sens odpowiedzi Pawła.

– Żona pojechała na badania z synem. Ma jakieś problemy z gardłem czy coś takiego. Przez telefon twierdziła, że przestał mówić.

I chyba ma coś z nogami. Dobra, to ja lecę. Nie zamawiaj już więcej i idź do domu, dobrze? Nie wyganiem cię, ale...

Wstał i ruszył w stronę kontuaru, gdzie rzucił parę słów jednej z kelnerek, pokazując na mnie. Prawdopodobnie polecił jej anulować mój rachunek, przeciw czemu zwykle protestowałem, ale dzisiaj mi się nie chciało, ponieważ moją uwagę przyciągały długie i zagięte palce jubilera Szpindla. Obejmowały szklankę tak, jakby ją chciały pochłonąć.

Wreszcie uniosły ją w górę, przechyliły i reszta piwa znikła w czeluści gdzieś mię-

dzy krogulczym nosem i sterczącym jak kosa podbródkiem.

Odstawił pustą szklanę, wstał i wyszedł. Był wysoki i chudy – faktycznie jak z Dickens.

Paweł skończył rozmowę z kelnerką, włożył kurtkę i skierował się do wyjścia. Nagle zadzwoniło mi w uszach. „Chyba ma coś z nogami”.

Zerwałem się i pobiegłem za nim.

– Możesz powtórzyć, co powiedziałeś o swoim synu? Że co mu się stało?

Zatrzymany w pół kroku Paweł popatrzył na moją dłoń ciągnącą go za rękaw.

– Spokojnie. Powiedziałem, że żona go wzięła na badania, bo ma coś z gardłem.

– Ale dalej! Coś o nogach.

Wzruszył ramionami i zapiał kurtkę pod szyję.

– Nie wiem dokładnie. Chyba zaczął utykać. Zaraz się dowiem.

– Słuchaj, Paweł... mogę z tobą pojechać?

Skręciliśmy z rynku w ciasną uliczkę biegnącą do parkingu, zupełnie ciemną. Paweł nagle uskoczył w bok, a potem wykonał klasycznego piłkarskiego kopa. Rozległ się ostry pisk i coś z płaskim odbiło się od ściany.

– Kurwa mać, z tymi szczurami! Pierdolca można dostać! U ciebie na Manhattanie też ich jest tyle? Gonią jak króliki! Na zapleczu nie można na minutę zostawić otwartych drzwi. Normalnie sanepid mnie zamknie.

Zawahałem się i w moim *brandy brain* zapaliła się jeszcze jedna mała lampeczka, ale wtedy nie zwróciłem na nią większej uwagi.

A Manhattan dlatego, że tak nazywano w Oszpicynie jedyne dwa wieżowce, wybudowane obok siebie na skarpie pod miastem. Widok na łąki był z nich olśniewający.

– To co, weźmiesz mnie? – natarłem podniecony myślą o chorych nogach małego Kopcia. Doszliśmy do samochodu i wtedy Paweł zatrzymał się, spojrzał na mnie i powiedział poważnie:

– Nie gniewaj się, stary, ale wolałbym nie. To rodzinna sprawa.

Uniosłem ręce do góry.

– Okej, jasne, nie ma o czym mówić. Daj znać, jak poszło.

Pozegnaliśmy się i wróciłem na Rynek Starego Miasta. Z okien kawiarni padały długie smugi żółtego światła, ciepłe i zachęcające.

Zrobiłem trzy kroki w ich kierunku, ale zawróciłem i poszedłem do poloneza. Wsiadłem, przekręciłem klucz w stacyjce, a potem go wyjąłem i wysiadłem. Nie bądź głupi,

powiedziałem sobie całkiem stanowczo i bezdyskusyjnie. Zgodziłem się ze sobą, zabrałem z tylnego siedzenia grubą kurtkę i ruszyłem piechotą na ukos przez rynek.

Latarnie usiłowały wypełniać swoje zadanie i rozlewały wokół siebie blade kałuże imitacji oświetlenia, rozmazane wszechobecną listopadową mgłą. Minałem wielką kamienicę z wieżyczką, aptekę na rogu i zagłębiłem się w niewielki park na tyłach dawnego pomnika bohaterów, po przemianie ustrojowej zredukowanego do postumentu.

Bez napisów. Z braku lamp tu było jeszcze ciemniej, tylko reflektory rzadko przejeżdżających samochodów oświetlały zaułek krótkimi błyskami. W jednym z nich mignął mi tuż przy ścianie podłużny cień.

Nie miałem sportowej żyłki Pawła Kopcia i nie próbowałem nawet powtórzyć jego piłkarskiego wyczynu, godnego LZS Sępnianka.

Odsunąłem się od ściany i szedłem bokiem po drugiej stronie uliczki, patrząc cały czas na prawo. „Nienawidzę szczurów”, szepnęła mi do ucha Ewa Kolanowska w piwnicy i w tej chwili byłem gotów absolutnie się z nią zgodzić. Zwolniłem kroku i pilnie obserwowałem chodnik przy murze. Dlatego na dźwięk ludzkiego głosu podskoczyłem jak oparzony.

– Trzeba się spieszyć, kolego.

Odwróciłem się. Serce waliło mi od wypitej brandy. Na ławce siedział mężczyzna w kapeluszu.

Z laską.

W pierwszej chwili pomyślałem o tamtym tajemniczym osobniku na grobli, ale to nie on.

Ten był niski, gruby, a jego kapelusz miał krótkie i pogięte rondo, z którego krople ściekały na klapy czarnej marynarki i ukrytą pod nią kamizelkę. Stary Cygan.

– Dlaczego mam się spieszyć? – spytałem, rozejrzawszy się na boki. Moje nikłe raczej doświadczenia z Cyganami sprowadzały się do założenia, że lepiej na nich uważać, ale w pobliżu nikt się nie czaił, siedział sam. Wyciągnął laskę w kierunku tak pilnie obserwowanej ściany i powiedział z przekonaniem:

– Bierz się do roboty!

W jego sposobie mówienia była jakaś wada, i nie chodziło o akcent.

Raczej o seplenienie, spowodowane chyba brakami w uzębieniu, coś, co w połączeniu ze świstaniem przez wąsy sprawiało wrażenie ni to bełkotu, ni gaworzenia malucha. Gdyby nie ponura listopadowa aura i łomoczące w pijanej piersi serce, może widok starego Cygana w obwisłym kapeluszu i z krótkimi nóżkami pod ławką by mnie

ubawił. Nie było mi jednak do śmiechu. On za to, czymś rozweselony, powtórzył z satysfakcją:

– Bieście do loboty!

– Do jakiej roboty? Czy my się znamy?

Nie odpowiedział. Podpierając brodę na gałce laski, spoglądał filuternie, zadowolony z mojego zaskoczenia, jakby osiągnął efekt, o który mu chodziło. Rozejrzałem się po parku. Byliśmy sami. Deszcz przestał padać, ale z drzew kapła woda i wilgoć przenikała wszystko jak eter.

Nie odpowiedział, więc sam szukałem odpowiedzi. O czym on mówi, o szczurach czy o dzieciach? A może o jednych i drugich? Co on o mnie wie? Kręciło mi się w głowie od tych zagadek. Skąd wie o moich poszukiwaniach? Dlaczego mam się spieszyć? I dlaczego ja?

– Dlaczego ja? – spytałem na głos.

– A dlaczego ja jestem Cigan? – odpowiedział pytaniem. Jego świdrujące oczy, czarne jak węgle, wpatrywały się we mnie, gdy tymczasem filuterny uśmiech zgasł zastąpiony nagłym smutkiem.

Odwrociłem się i zrobiłem krok, a wtedy wyseplenił na pożegnanie: – Pilnuj dzieci.

Nie zatrzymałem się, chciałem się uwolnić od tego cygańskiego sfinksa za siedem groszy, ale on powiedział jeszcze raz:

– Pilnuj dzieci... ziemi...

Oddaliłem się już na parę metrów i nie dosłyszałem, czy powiedział „w ziemi” czy „z ziemi”, „pod ziemią” albo może „przed ziemią”. Przyspieszyłem kroku, czując, jak głowa zaczyna mi pękać z bólu i słowa starego Cygana wypiera z niej marzenie o tabletkie przeciwbólowej. W polonezie miałem zapasowy listek z aspiryną i zawahałem się, czy nie wrócić, ale ponowne przejście obok ławki z zagadkowym rozmówcą chwilowo przekraczało moje możliwości.

Przyspieszyłem kroku, byle jak najszybciej znaleźć się w domu.

Minąłem plac Kostkiewicza i wzdłuż klasztornej ściany zmierzałem w kierunku oszpicyńskiego Manhattanu. Mogłem jeszcze pójść skrótem – ścieżką obok cmentarza komunalnego, ale zrezygnowałem. Omiotłem tylko wzrokiem bladą lunę od lamp nagrobnych, pozostałość po Zaduszkach, i walcząc z przenikliwym kłuciem w skroniach, podążyłem szerokim chodnikiem. Ta droga biegła z kolei obok dawnego cmentarza żydowskiego. Nad zwalistą ścianą kirkutu górowały korony drzew wyrastających prosto ze szczelin w popękanych macewach: strzelistych topól i pękatych lip, wykarmionych

bogata, życiodajną glebą. Ludzki las.

Co ten Cygan gadał o ziemi?

Skręciłem w prawo do siebie. Wieczór gnił na dobre, wszędzie unosił się zapach rozkładu namokłych liści, pomieszany z chłodnym oddechem idącej od łąk nocy. Gdzieś tam na ich drugim brzegu rozciągały się moje stawy, dla których gnicie stanowiło *modus operandi*, a życie rozwijało się w nich bujnie tylko dzięki ustawicznej śmierci.

Przed wejściem do klatki schodowej minęła mnie kobieta z dzieckiem.

Prowadzona za rękę dziewczynka uśmiechnęła się spod czerwonej kapuzy. Zanim zniknęły za blokiem, pomachała mi jeszcze na pożegnanie, żebym nie myślał, że jej sympatia dla mnie stanowi przypadkowy zbieg okoliczności. Jeszcze jeden tajemniczy uśmiech i kogoś zabiję. Nie miałem cierpliwości, by czekać na windę, i wbiegłem na piąte piętro, przeskakując po trzy stopnie. Wpadłem do kuchni, porwałem butelkę wody i szybkimi łykami popijałem rozgryzione tabletki. Wziąłem dwie, na wszelki wypadek. Rozebrany do samych slipek, wśliznąłem się pod kołdrę i zacisnąłem powieki, czekając, aż proszki zaczną działać. Chciałem jak najszybciej zasnąć i zapomnieć o tym cholernym, pełnym uśmiechów dniu.

Nie zasnąłem. Zamykałem oczy, a potem je otwierałem, by spojrzeć w okno i upewnić się, że nadal jest noc. We śnie przychodził stary Cygan i powtarzał „śpieście”. Od zachodniej strony, tam, gdzie muzeum, widziałem pomarańczową łunę. Całą noc, aż do rana.

W środku nocy usłyszałem dudnienie końskich kopyt. Leśną drogą pędził chłopski wóz bez woźnicy, rozpryskując błoto. Ciężkie, pociągowe konie biegły jak szalone, a ich charkot rytmicznie zgrywał się z dzwonieniem podków uderzających o rozkołysane orczyki. Były martwe, w świetle księżyca błyszcząły ich białe, pozbawione skóry czaszki. Na platformie podskakiwał szary tłumok, który mógł być zakutanym w płaszcz dzieckiem. Trzęsąc się na wybojach, wóz zniknął za zakrętem, ale dudnienie nie ustawało. „Śpieście, śpieście”, powtarzał stary Cygan.

Niewiele o mnie wiecie, prawda? Byłem w tym mieście od niespełna roku i zdążyłem je polubić. Zaraz po Bożym Narodzeniu przyjechałem poszukać mieszkania do wynajęcia, ponieważ pracę w redakcji miałem rozpocząć w poniedziałek trzeciego stycznia. „Głos Oszpicyna” nie zajmował szczególnie wysokiej pozycji na liście moich zawodowych marzeń i tytuły prasy krakowskiej lokowały się niemal bez wyjątku wyżej. Jak się kończy dziennikarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim, to ma się aspiracje nieco większe niż gazeta zwyczajnego małopolskiego miasteczka średniej wielkości. „Sprawdzisz się tam, nabierzesz doświadczenia i wrócisz z tarczą”, skwitowała matka moje wahania i uległem.

No, jednak nie całkiem zwyczajnego miasteczka. Nazwa „Oszpicyn” na całym świecie funkcjonowała niemal jako synonim Holokaustu, z powodu największego obozu zagłady i utworzonego po wojnie na jego miejscu muzeum. Urodziłem się i wychowałem w Krakowie, sześćdziesiąt kilometrów stąd, ale nigdy wcześniej tu nie byłem, więc kiedy miałem podjąć decyzję o przeprowadzce, walczyły we mnie dwa sprzeczne, równie silne przekonania. Ludzie na całym świecie dzielą się na tych, którzy koniecznie muszą choć raz w życiu przyjechać i zobaczyć to miejsce, oraz tych, którzy za nic tu nie przyjadą. Wszyscy natomiast zgodnie stawiają pełne zdumienia pytanie: „jak można tam żyć?”. Też je stawiałem, a kiedy mój promotor z pewnym zażenowaniem składał mi propozycję pracy w tym nie całkiem zwyczajnym miasteczku, pytanie ze zdumiewającego przeszło w fundamentalne. Co zadecydowało? Głos matki, jasne, ale nie tylko.

Rady rodziców mają to do siebie, że są do bólu przewidywalne i nie trzeba ich słyszeć, by je znać. Poza tym w wieku dwudziestu czterech lat od głosu matki zwykle ważniejszy jest wpływ innej kobiety, nawet gdy jest się synem wychowywanym bez ojca.

Ta inna miała rude włosy, piegowate piersi, długi nos, była Żydówką i zostawiła mnie na piątym roku studiów, wyjeżdżając do Szwecji z moim najlepszym przyjacielem. Nawiasem mówiąc, Ukraińcem spod Sanoka. Nasza ostatnia rozmowa toczyła się na krakowskich Plantach, w dusznym zapachu kwitnących kasztanów.

Dwukrotnie obeszliliśmy dokoła Stare Miasto, rozmawiając niezwykle poważnie o miłości, literaturze, muzyce, malarstwie, życiu i innych banałach, które w tym wieku

wydają się najważniejsze. Bardzo mi na tej dziewczynie zależało. Patetyczny marsz wkoło dawnych murów obronnych traktowałem jak ostateczny egzamin przed decyzją o wspólnej przyszłości, więc starałem się, jak mogłem. Cytowałem Baczyńskiego, opisywałem obrazy Rembrandta, analizowałem kwartety Schuberta i Bóg wie co jeszcze wygadywałem, byle zaimponować lub przynajmniej dorównać, co w wyobrażeniu młodzińców niemal zawsze oznacza: uwieść. Ona słuchała i komentowała, ale z pewnym roztargnieniem. Milkła w pół słowa i uciekała oczami na bok, jakby sikający pod murami miejskimi krakowski jamnik był bardziej interesujący od nieźle zorientowanego w kulturze magistranta dziennikarstwa. Kiedy wreszcie przerwałem swoje popisy i zapytałem ją o tego jamnika, zatrzymała się, spojrzała na mnie zażawionymi oczami i odparła:

– Wojtek, ja nie mogę żyć w tym kraju.

Staliśmy akurat na szerokiej alejce w pobliżu hotelu Royal, wysoki baldachim z kasztanów powalał narkotycznym aromatem, do tego przyłączyły się jeszcze bzy – było przepięknie. Wciągałem to wszystko jak najlepszy towar i lewitowałem w miłosnym uniesieniu, absolutnie przekonany, że ona też. A tu taki fajans...

– No co ty, Lida. Spójrz wokół siebie, weź głęboki oddech, poczuj w sobie to cudowne powietrze. Jak można nie kochać takiego pięknego świata! Uwierz mi, szczęście jest bardzo proste...

Takie głupoty gadałem. Ona natychmiast je wychwyciła, ponieważ była bystra. Jak to dziennikarka.

– Boże, jaki ty głupi jesteś.

A potem, widząc moją zdziwioną minę, odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem. Dogoniłem ją i schwyciłem za rękę.

Szarpnęła się.

– Zostaw mnie! Nie będę brać żadnego oddechu, rozumiesz? Nie chcę!

– Daj spokój, Lidka, nie odchodź tak. – Czułem, że coś się ostatecznie decyduje, więc odpaliłem najpotężniejszą racę: – Kocham cię.

Nie zareagowała. Maszerowała energicznie jak aktywistka na manifestacji o prawa kobiet, podczas gdy ja truchtałem przy niej i bredziłem coś o pięknej wiośnie i jej zapachach. Wreszcie się zatrzymała. Uniosła palec i syknęła mi w twarz:

– Tu wszędzie w powietrzu jest śmierć.

I odeszła. Stałem przez chwilę wbity w asfalt alejki absurdalnym na mój osąd argumentem, przede wszystkim jednak jej odrazą do tego, co mówiłem. Nasze światy zupeł-

nie do siebie nie pasowały i właśnie mi to oświadczyła z całą swoją rudą stanowczością. Postąłem z pięć minut, a kiedy stopy zechciały się wreszcie odkleić od podłoża, powlokłem się przed siebie noga za nogą. Lidka znikła gdzieś, przepadła, i przez parę dni jej nie widziałem.

Natknąłem się na nią przypadkowo, na przystanku tramwajowym pod filharmonią. Stała schowana za tablicą reklamową i całowała się z tym Ukraińcem spod Sanoka. Minąłem ich na sztywnych nogach, nie odwracając głowy, i wsiadłem do pierwszego tramwaju, jaki nadjechał.

Dotarłem do końcowej pętli, chyba gdzieś na peryferiach Nowej Huty, potem przesiedziałem całą trasę powrotną do Cichego Kącika na ostatnim siedzeniu ostatniego wagonu, a potem jeszcze raz do Huty i z powrotem. Nie pamiętam, o czym myślałem, chyba o niczym.

Gapilem się w okno, ślizgałem wzrokiem po mijanych osiedlach, ludziach przechodzących obok siebie obojętnie, pustych polach Mogiły i dojrzewała we mnie straceńcza refleksja, że Lidka miała rację.

Wszędzie czai się śmierć.

Nigdy później już nie rozmawialiśmy. Wyjechała pod koniec wakacji, kiedy pracowałem w Niemczech, zbierając owoce. Po powrocie przez miesiąc piłem za swoje i pisałem beznadziejne wiersze, a w październiku zgodziłem się na tę pracę w „Głosie Oszpicyna”.

Tak było ponad rok temu. A teraz był listopadowy poranek, pełen ludzkiej nędzy, jeszcze bardziej przegniły niż poprzedni wieczór.

Leżałem sztywny w przepoconej pościeli i wsłuchiwałem się we własną głowę, która nabrzmiewała nowym bólem. Przez watę snu przedzierały się do świadomości wczorajsze frazy, jak okrzyki halabardników na murach twierdzy: „nienawidzę szczurów”; „kurwa mać, z tymi szczurami!”; „nie ma tematu”; „śpieście... pilnuj dzieci...”. I dudnienie.

Tylko skąd taki kac? Przecież wypilem raptem cztery kieliszki brandy!

W odpowiedzi ułożyłem jakieś skomplikowane i nie całkiem zborne równanie, w którym rolę ostatecznego wyniku odgrywało wyrażenie „efekt psychosomatyczny”. Byłem zirytowany piwnicą, podniecony Ewą Kolanowską, wściekły na szefa i zaintrygowany starym Cyganem.

Wystarczyłoby na kaca i bez picia.

Wyjaśnienie dodało mi otuchy na tyle, że zwlokłem się z łóżka i ruszyłem do kuchni

na poszukiwanie wody. Była w kranie. Nalałem i wypilem dwie szklanki, aż mnie zemdlilo. Kiedy w łazience na kolanach obejmowałem oburącz muszlę klozetową i mój wzrok padł na kołyszące się lustro wody, przypomniały mi się historie o szczurach, które potrafią wędrować rurami kanalizacyjnymi. Zerwałem się na równe nogi i zatrzasnąłem kłapę sedesu. Przeniosłem się do umywalki i tam dokończyłem dzieła oczyszczenia. Trochę pomogło. Zaparzyłem gorzkiej herbaty, wziąłem gorący kubek w drżące dłonie i usiadłem na taborecie przy oknie, z widokiem na podmiejskie łąki.

Snuła się mgła. Właściwie nie mgła, a rozpylona mżawka, coś pomiędzy chmurą a deszczem. W powiewach słabego wiatru wiła się nad mokrą, burozieloną trawą, która po pierwszych przymrozkach zbrązowieje i wyschnie, a następnie zgnije pod śniegiem. Ścieżką na ukos biegł biały kundel, z nosem przy ziemi, jak to robią psy idące czymś tropem. W pewnej chwili zatrzymał się, podniósł pysk i zawył donośnie. Opuścił łeb i rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić efekt, potem zawył jeszcze raz i pobiegł dalej. Przebiegł ulicę Podborską i zniknął między blokami. Ścieżka była pusta. Łyknąłem herbaty, zastanawiając się, czy taka siąpiąca mżawka wzmacnia psie wycie, czy je wytłumia.

Powinna tłumić, ale słyszałem je tak wyraźnie, jakbym stał tuż obok.

Sprawdziłem okno, było zamknięte. W głowie mi wyje, pomyślałem i upiłem kolejny łyk. Ciężko poprawy. Krucha, ale jednak postępująca stabilizacja.

Na ścieżce pojawił się człowiek i serce mi podskoczyło. Zaraz potem żołądek, a przez skronie przeszła igła nagłego bólu. Rozpoznałem sylwetkę i moją kruchą stabilizację diabli wzięli. Wysoki i lekko przygarbiony, z długim nosem i jeszcze dłuższymi palcami u sięgających niemal do kolan rąk. Jak on się nazywa? Szpindel. Szedł jak wariat: robił kilka szybkich kroków, potem przystawał, rozglądał się i znowu ruszał ścieżką przed siebie. Marsz, przystanek, obrót głową, marsz.

Krogulczym nosem kręcił na wszystkie strony jak radarem usiłującym złapać jakiś sygnał. Wreszcie przystanął, spojrzął pod nogi, kopnął coś, pochylił się i pomacał ręką, po czym wstał i odszedł, tym razem już bez zatrzymywania. Pobiegł przed siebie biegiem człowieka, który znalazł to, czego szukał.

Odprowadziłem go wzrokiem, a potem zrobiło mi się niedobrze.

Wpatrzony w pozólkłą miskę umywalki, wyrzucałem z siebie nieczystości, a kiedy wreszcie odczułem ulgę, postanowiłem sprawdzić to coś, o co zaczepiła noga jubilera Szpindla. Najpierw jednak musiałem wykonać nadludzki wysiłek i ubrać się. Fatalny kac. Nie pijcie wieczorem brandy z kawą.

Zimny poranek zadziałał orzeźwiająco. Doszedłem do ścieżki i pochyłony sprawdza-

łem metr po metrze. Po chwili coś znalazłem – betonowy słupek, podobny do tych, jakimi geometrzy znaczą granice działek, tylko trochę szerszy i trójkątny w przekroju. Był całkowicie wkopany w ziemię, a but Szpindla zapewne zaczepił o jeden z narożników, wystający zaledwie centymetr nad powierzchnią. Łatwo było go przeoczyć albo wziąć za zwykły kamień. Odgarnąłem zgniłą trawę i próbowałem zdrapać warstwę ziemi zakrywającą resztę słupka, ale udeptany grunt nie poddawał się łatwo. Od dłubania palcami w pochylonej pozycji zrobiło mi się znowu niedobrze i pobiegłem do mieszkania. Mocne postanowienie, by po kolejnej ablucji powrócić i drapać dalej, napotkało na zdecydowany opór organizmu. Wycieńczony padłem na łóżko i wlepiłem oczy w sufit.

Chyba zasnąłem, ponieważ obudził mnie telefon. Dzwonił jak alarm przeciwlotniczy i nie dał się zignorować. Spojrzałem na zegarek.

Wpół do dziesiątej. Spałem ponad godzinę. W drodze do biurka, skąd dochodził straszliwy dźwięk, układałem odpowiedzi. Jeśli szef, to zaraz będę w redakcji. Jeśli Paweł Kopeć, to może się wreszcie czegoś dowiem o chorobie jego synka. Jeśli Kolanowska, to mnie nie ma. Gdy ostrożnie podniosłem słuchawkę, rozległ się w niej głos Karpińskiego:

– Wybierasz się tu dzisiaj?

– No. A co?

Starąłem się mówić normalnie. Każdy na kacu tak robi. Musi za tym stać jakieś poczucie winy.

– To się pospiesz. Jest coś akurat dla ciebie.

– Co pan ma na myśli? – spytałem, trąc czoło lewą dłonią.

Ulokowany gdzieś w płacie czołowym ból działał jak przesłona na oczy i wszystko widziałem trochę niewyraźnie. Coś dla mnie? Znowu ta niezrównoważona kobieta z ulicy Brzezi? Co tym razem wymyśliła?

Dziecko w piekarniku?

– Znowu dzieci?

Po drugiej stronie rozległ się krótki szczekliwy śmiech.

– Bingo.

Obiecałem wam rzetelną opowieść, bez ściemy i metafizyki, więc będzie bardziej wiarygodnie, jeśli ten następny przypadek opowie ktoś inny. Matka. Przesłuchiwał ją aspirant Mariusz Węgrzyn w komendzie w Oszpicynie po tym, jak już doszła do siebie i była w stanie mówić. Na szczęście Mariusz wpadł na genialny w swej prostocie pomysł, by nagrać jej wypowiedź w całości na ukryty pod biurkiem magnetofon.

Później pożyczył mi tę taśmę i siedziałem pół dnia i całą noc, by ją spisać, słowo po słowie. Przy kawie, ale bez brandy. Czasami cofałem taśmę dziesięć razy, wsłuchując się w dudniący jak spod ziemi głos delikatnej kobiety, która normalnie mówiła wysokim, śpiewnym sopranem.

– *Mogłaby pani opowiedzieć wszystko od początku?*

– *No tak. To znaczy od kiedy?*

– *Od samego rana.*

– *Tak, od rana. Wstałam jak zwykle koło szóstej, żeby zrobić mężowi śniadanie. On wychodzi do pracy na siódmą. Tak, Łukaszek spał*

w swoim łóżeczku, w sypialni. Tata, to znaczy teść, też, w dużym pokoju.

Chodziliśmy cicho, żeby ich nie obudzić. Kroiłam chleb, żółty ser, kiełbasę krakowską, Staszek się mył. Gotowałam wodę na herbatę. Mój mąż pije rano herbatę z cytryną i cukrem. Nie lubi, żeby była gorąca, to uchyliłam okno. No tak, żeby ostudzić. Na dworze było jeszcze ciemno, tylko ta luna...

– *Jaka luna?*

– *No tak... ta nad muzeum.*

– *Ma pani na myśli światła latarni?*

– *[Oburzenie] Jakich latarni? Tam nie ma żadnych latarni! Luna nad drzewami, od tamtej strony.*

– *Zostawmy to. Co było dalej?*

– *No więc tak, było to, że mąż wyszedł. O wpół do siódmej.*

Zrobiłam sobie kawy, usiadłam w kuchni przy oknie i patrzyłam. Na tę lunę. Nie lubię jej. Boję się.

– Co pani jeszcze widziała?

– Zaczęło się robić jasno. Oni spali, to znaczy Łukaszek i teść.

Trochę mnie to zdziwiło, bo zawsze wstawali zaraz po mnie. Ale było mokro i zimno, niż, to pewnie dlatego śpią, tak pomyślałam. No tak, śpią.

Pod drzewem stał człowiek.

– Kto to był?

– Nie wiem. Wysoki, w płaszczu i kapeluszu. Patrzył na mnie.

Schowałam się do pokoju, a potem znowu wyjrzałam i już go nie było.

No to mi ulżyło.

– Która to była godzina?

– No właśnie, tak. Jak oni o siódmej dalej śpią, myślę, to nic w domu nie zrobię. Ani prania nie nastawię, ani nie posprzątam, obiadu też nie ugotuję, bo nic nie mam w lodówce. No i wtedy pomyślałam o warzywniaku. Tam zaraz za naszym blokiem, wie pan. Jancia otwiera o szóstej i mogłabym szybko wyskoczyć coś kupić. [Jęk] Po co ja to pomyślałam?

– I co, wyszła pani do sklepu? Która była godzina?

– No tak, mogło być jakieś piętnaście po siódmej. Oni ciągle spali, wiem, bo zaglądałam do sypialni i do dużego pokoju. Spali, przysięgam!

– Spokojnie, pani Gawęł. Nikt pani nie oskarża. Proszę opowiadać dalej.

– [Głośne westchnienie] Tak, poszłam do warzywniaka, za rogiem.

Niedaleko. Myślałam, że wrócę za dziesięć minut. Bo to blisko jest, tak?

Za rogiem. Idzie się chodnikiem i zakręca, a potem zaraz jest sklep.

Bliziotko, przysięgam. I tam w sklepie stał ten człowiek w płaszczu i kapeluszu, coś kupował. Stałam za nim i czekałam, aż skończy. Ile tak można gadać? Dwie minuty? Trzy? A on gadał i gadał. O ziemniakach coś, że jak za płytka w ziemi, to światło dochodzi i robią się zielone.

Więc no, żeby mu wybrać odpowiednie. Tak mówił, że ziemniaki muszą być „odpowiednie”. Wybierał i wybierał, a ja czekałam. Pani Jancia też przewracała oczami i mu te ziemniaki ładowała do siatki, potem wyjmowała i wkładała inne, te, co on chciał. Wszystko z zabandażowaną ręką. Z dziesięć minut to trwało. Ja się zaczęłam denerwować i powiedziałam, żeby się pospieszył, bo tu ludzie czekają, tak. Nie reagował. Aż wreszcie się wkurzyłam i zawołałam: „Niech się pan pospieszy, do diabła!”. Tak powiedziałam, „do diabła”. A wie pan dlaczego?

- *Dlaczego?*
- *Bo teraz myślę, że to był diabeł. On wszystko tak zaplanował i specjalnie mnie w tym sklepie przytrzymał. Żeby nie zdążyła.*
- *[Chrząknięcie policjanta] Dobrze. Co było dalej?*
- *Dalej? No tak, jak ja mu powiedziałam „do diabła”, to on się odwrócił i powiedział: „Zamknij się, kobieto. Idź, pilnuj dzieci”. Tak powiedział, strasznym głosem. To ja się pana pytam, czemu tak powiedział? Bo wiedział. Musiał wiedzieć.*
- *Sądzi pani, że miał z tym coś wspólnego?*
- *No tak, na pewno miał. Niemożliwe, żeby to się wszystko tak zbiegło.*
- *Ale czy zna pani jakieś fakty, które by wskazywały na jego udział w... nieszczęściu? Widziała go pani później? Kręcił się w pobliżu mieszkania?*
- *No tak, nie widziałam. Ale to na pewno on.*
- *Dobrze. Co było dalej?*
- *W końcu kupił te ziemniaki i wyszedł. W drzwiach się obrócił i tak popatrzył na mnie, jakby mnie chciał przepalić na wylot. Takie oczy miał świ-drujące, jak ogień.*
- *Ogień?*
- *Tak. Czerwone były.*
- *[Chrząknięcie] Nie ma ludzi z czerwonymi oczami.*
- *Wiem! Ale mówiłam już panu, że to diabeł.*
- *Zostawmy to. Czy jeszcze coś się w sklepie wydarzyło?*
- *Oczywiście! Szczury.*
- *Jakie szczury?*
- *Te, co pogryzły panią Jancię w rękę. Na zapleczu. Pokazywała mi bandaż. Musiała zdezynfekować spirytusem. Trzy ją ugryzły naraz, jak sięgała do skrzyni z jabłkami. Mówiła, że siedziały tam specjalnie i czekały na nią. Wszystkie trzy. Wyciągnęła rękę, a one jak na komendę: cap, cap, cap! Jak wściekłe psy. Kazałam jej zrobić badanie na wściekliznę. Obiecała, że na pewno zrobi. No a potem kupiłam czerwonych buraków, trochę marchewki, cebulę, seler, natkę pietruszki, bo jeszcze wyglądała świeżo, tak, i jeszcze ziemniaki. Bez wybierania, zwyczajnie nabrałam do siatki takimi krótkimi widłami w kształcie łopatk, z kulkami na końcach. Zamiast Janci, co miała ten bandaż na ręce. Pięć kilo.*

[Chwila ciszy]

– I co dalej?

– Nic. Tak się zastanawiam, czy te szczury nie były z nim w zмовie.

– Słucham?

– Bo jakby one nie pogryzły pani Janci i ona nie musiała mi pokazywać tej zaban-
dażowanej ręki, tobym kupiła co trzeba i poszła do domu. Może bym wtedy zdążyła...

– Sugeruje pani, że człowiek w kapeluszu, który kupował przed panią ziemniaki w
sklepie warzywnym, specjalnie wypuścił szczury do magazynu, żeby pogryzły sprze-
dawczynię? I żeby on zdążył w tym czasie dokonać zbrodni?

– No tak! A dlaczego by nie? Przez to byłam tam pół godziny zamiast pięć minut.
Zdążyłabym...

– Na co?

– [Westchnienie kobiety] Niech mnie pan już nie męczy, panie poruczniku.

– Jestem aspirantem. Nie doszliśmy jeszcze do najważniejszego.

Proszę się skupić, zapomnieć o diable i spróbować opowiedzieć po kolei, co pani
następnie robiła.

– Nic. Wzięłam zakupy i poszłam do domu.

– [Długa cisza] Pani Gawęł, musi nam pani o tym opowiedzieć.

Wszystko, co pani pamięta.

– No dobrze. Weszłam do mieszkania, postawiłam zakupy na podłodze w przedpo-
koju, zdjęłam buty i zamknęłam drzwi na zamek.

– Były zamknięte, kiedy pani wchodziła?

– No tak. Zamknięte. Przecież zamykałam.

– I nie zauważyła pani niczego podejrzanego? Jakichś śladów włamania, obcych
osób na klatce schodowej?

[Cisza, potem głos Węgrzyna]

– Skoro nie widziała pani niczego podejrzanego, skąd przypuszczenie, że zrobił to
mężczyzna w kapeluszu?

– I płaszczu, z czerwonymi oczami.

– W płaszczu. Więc skąd? Jak się dostał do środka?

– Nie powiedziałam, że wszedł do środka i to zrobił, tylko że miał
z tym coś wspólnego. Poza tym diabeł może wejść przez zamknięte drzwi.

– [Z irytacją] Niech pani wreszcie da spokój z tym diabłem!

Przecież to idiotyzm! [Pauza] Przepraszam. Proszę mówić dalej.

– Weszłam do kuchni z zakupami, postawiłam je na taborecie, ziemniaki na podłodze przy zlewie. Na parapecie stała szklanka z moją niedopitą kawą. Upiłam łyk. Była zimna.

– Czy to się pani wydaje ważne?

– Co?

– To, że kawa była zimna.

– Prosił pan, żebym opowiedziała wszystko, co pamiętam. No to mówię, że kawa była zimna. Odstawiłam szklankę i... i...

– I...?

– Weszłam do pokoju.

[Długa cisza]

– Pani Gawęł...? Najlepiej po kolei. Da pani radę.

– [Przerwa, potem głęboki wydech] Dobrze. Weszłam do pokoju i zobaczyłam ojca, to znaczy teścia, leżącego w swoim łóżku, z głową dziwnie uniesioną do góry. Jakby wisiała w powietrzu. Z szyi ściekała na poduszkę krew, wszędzie jej było pełno. Jedna ręka leżała na brzuchu, druga opadała na podłogę. Oczy miał otwarte i wytrzeszczone, mówi się o takich, że wyłażą z orbit. Język wypętał z uchylonych ust jak ślimak ze skorupy. Wyglądał obrzydliwie. Nie to żebym nie lubiła swojego teścia, o zmarłych tak nie wolno mówić, ale w tamtym momencie budził we mnie prawdziwe obrzydzenie. Nie chciałabym tak wyglądać po śmierci.

W pewnej chwili wydało mi się, że poruszył językiem, ale to mogło być złudzenie wynikające z faktu, że miałam w oczach łzy. Mój syn Łukasz siedział na fotelu i bawił się wędką dziadka. Trzymał w ręku wygięty w łuk kij i powoli kręcił kołowrotkiem. Koniec uchwytu tkwił zablokowany w oparciu fotela. Szło mu z trudem, ponieważ żyłka była już mocno napięta i w pokoju rozlegały się pojedyncze kliknięcia zapadki.

Klik, klik, klik. Głowa teścia wykonywała wtedy minimalny ruch, drgnięcie. Może dlatego wydawało mi się, że język w ustach się rusza.

Zrozumiałam wtedy, co ich łączy. Podeszłam bliżej i wtedy dostrzegłam żyłkę biegnącą od potylicy teścia do kinkietu za wersalką, a potem zakręcającą i dochodzącą do szczytu wędki. Łukaszek ścisnął opleciony uchwyt w prawej rączce, a lewą naciskał korbkę. Kiedy krzyknęłam, odwrócił się i zobaczyłam na jego twarzy uśmiech. Powiedział: „Złowiłem rybkę!”. Bawił się w wędkarza.

– Co pani wtedy...

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłam! Chciał pan usłyszeć wszystko, co pamiętam. Wyjęłam mu wędkę z rąk i zwolniłam żyłkę, a wtedy głowa taty opadła na zakrwawioną poduszkę. Język się schował, a pod uniesionym podbródkiem zobaczyłam długie czerwone nacięcie, z którego spływała krew na szyję i dalej, na pościel. Odpięłam błystkę na karku teścia i zdjęłam z niego śmiertelną pętlę. Sprawdziłam puls, ale niczego nie wyczułam, choć ciało było jeszcze ciepłe. Chciałam zemdleć, ale nie mogłam. Łukaszek siedział na podłodze i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. W ustach miał nitkę śliny. Dopiero kiedy w jego oczach błysnęło światło zrozumienia, zaczął głośno płakać. Wzięłam go na ręce i wyniosłam do sypialni. Potem zadzwoniłam po pogotowie i do was.

[Cisza]

– Czy syn coś mówił? Komentował w jakiś sposób całe zdarzenie?

Może wspominał o osobach trzecich? Ktoś go odwiedził pod pani nieobecność? Pomagał zapiąć żyłkę na szyi?

– Pan jest durniem. Nic więcej nie powiem.

– Hm, proszę się zastanowić.

[Długa cisza, potem kliknięcie i zatrzymanie taśmy.]

Właśnie tej ostatniej przemowy Barbary Gawęł słuchałem dziesięć razy, wyłapując już nie znaczenia, ale brzmienia. Jej głos opadł o kilka tonacji, dosłownie. Mówiła jak z głębokiego dołu, monotownie i płynnie, pozbawiona emocji, które jeszcze kilka minut wcześniej nie pozwalały jej zebrać myśli i kazały bredzić coś o diabłach. Relacjonowała fakty z beznamiętną rzeczowością, jakby mówił za nią automat. Ale automaty nie używają figur w rodzaju „mówi się o takich, że wyłażą z orbit” ani nie silą się na metafory i porównania. „Mogło to być złudzenie wynikające z faktu, że miałam w oczach łzy”. Cóż za fenomenalna fraza w ustach matki, której syn właśnie udusił wędką własnego dziadka!

I jeszcze to „klik, klik, klik”. Gdybym miał wytypować podejrzanego wyłącznie na podstawie tego nagrania, bez wahania wskazałbym Barbarę Gawęł, a nie na przykład mężczyznę w kapeluszu, z czerwonymi oczami. Oczy uznałbym za zmyślenie i ściemę, gdyby nie to, że... że sam je widziałem. Bo co do tego, że ona spotkała tego samego człowieka co ja wtedy we wrześniu na grobli, nie miałem wątpliwości. Zmieniało to dosyć istotnie mój dotychczasowy sposób myślenia o całej sprawie.

Zaraz po intrygującym telefonie popędziłem do redakcji, a następnie na miejsce zbrodni. Gawłowie mieszkali na osiedlu w pobliżu muzeum i rzeczywiście z ich okna widać było w oddali dachy baraków, wieże strażnicze i zakrzywione słupy z drutem kolczastym.

Piękny pejzaż na popołudniowy odpoczynek po znoej pracy dla dobra ludzkości. Co prawda, widywałem lepsze. Podczas niedawnej wycieczki rowerowej miałem nowo wybudowany dom z ogrodem, z którego rozciągał się widok na słynną bramę i tory kolejowe. W niedzielne przedpołudnie rodzina wraca z kościoła, siada z kawą i plackiem rabarbarowym na tarasie i zażywa rozkoszy sielskiego życia z panoramą krematoriów w tle. Fascynujące. Placek nieco kwaśny, ale kawę można dosłodzić. Dzieci biegają po trawniku, skaczą za piłką i huśtają się na drewnianej huśtawce. Jej rama konstrukcyjna przypomina szubienicę.

Ale tylko trochę, nie za bardzo.

Przez okno zdołałem jedynie zerknąć, ponieważ służbisty posterunkowy przepędził

mnie z mieszkania, twierdząc, że przeszkadzam w prowadzeniu czynności śledczych. Na szczęście na mój widok pani Gawęł z niezrozumiałych względów rozpromieniła się i życzliwie zgodziła przyjmując mnie później, kiedy już sobie pójdzie „całe to śledztwo”. Głos miała wysoki, łagodny i ciepły. Siedzieli z mężem na kanapie i trzymali się za ręce. Łukaszek bawił się plastikowym pistoletem.

Zaraz potem udałem się do przyszpitalnej kostnicy, gdzie zawieszono ciało seniora rodziny Gawłów. Pracujący tam stróże, niejako w ramach doskonalenia kompetencji zawodowych, pozbawieni są wszelkich skrupułów, dzięki czemu wiele można z nimi załatwić za pomocą prostych gestów niezobowiązującej ludzkiej wdzięczności.

Nalany facet z beczkowatym brzuchem schował flaszkę za pazuchę i wpuścił mnie do środka.

– Tylko szybko, zaraz będą go brać na krojenie.

Odchyliłem prześcieradło i powstrzymując odruchy wymiotne, przyjrzałem się twarzy zmarłego. Była tak biała, że aż niebieska, pomijając pręgę na szyi, jeszcze trochę czerwoną, ale już właściwie fioletową. Nacięcie było głębokie i długie na całą szerokość twarzy, aż pod małżowiny uszne, gdzie żyłka dalej już nie zdołała ciąć i zostawiła na skórze dwie fałdy. Na środku rozcięcia widziałem fragmenty chrząstek z grdyki.

– Dobra żyłka, szczupakowa – usłyszałem za plecami i wzdrygnąłem się. Doleciał mnie odór przetrawionego alkoholu i powrócił problem umywalki.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Pracownik kostnicy podszedł bliżej.

– Panie, to była co najmniej trzydziestka piątka albo nawet czterdziestka. Gruba. Cieńsza by strzeliła jak nic.

– Zna się pan na łowieniu ryb, co? – spytałem, przechodząc na wszelki wypadek na drugą stronę stołu, gdzie mieścił się metalowy zlew.

Dzięki temu oddaliłem się też od złożonego oddechu stróża.

– Od dziecka łowię. Na blachę też, chociaż szczupaki najlepiej to na żywca. Ale trzeba mieć przypon z plecionki.

– Jasne – przytaknąłem, nie mając pojęcia, co to jest przypon z plecionki. – Taka czterdziestka, jak pan powiedział, może przeciąć szyję?

– Może. Tylko trzeba mieć kupę siły, żeby tak zaciąć. Dziecko nie da rady, nie ma kija.

Czekałem na dalsze prawdy z gatunku tych niepodważalnych, ekspert jednak nie spieszył się. Badał, na ile mnie stać. Wyjąłem dwadzieścia tysięcy złotych. Za tyle

można było wtedy kupić książkę.

Albo pół litra wódki, zależnie od zainteresowań. Schował i powiedział:

– Normalnie żyłka nie przetnie skóry. Wrzyna się w ciało, ale nie przecina. Musi być coś jeszcze.

Cedził słowa powoli, sycąc się swoją chwilową przewagą. Rzadkie intelektualne satysfakcje prostaków. Czekałem i czekałem, wreszcie spytałem przenikliwie:

– Co?

– Widzisz pan, on musiał najpierw tę skórę na szyi naciąć. Ja to widzę tak: wziął nóż, przystawił do szyi, przejechał delikatnie po skórze, a potem włożył żyłkę w nacięcie. I dopiero wtedy zaciągnął. Ale żeby aż tak? Niemożliwe.

Pokręcił z powątpiewaniem głową i odszedł, uznając widocznie, że powiedział wystarczająco dużo. Poczekałem jeszcze trochę, spojrzałem w wyłupiaste oczy trupa, a potem od drzwi rozległ się okrzyk stróża:

– Dobra, zmykaj pan! Karetka przyjechała!

Pokazał mi brodą drugie wyjście za metalowym zlewem, przez które wymknąłem się na tyły kostnicy, wprost do szpitalnego parku.

Przez przymknięte drzwi słyszałem wchodzących ludzi, więc odczekałem jeszcze minutę, a potem ścieżką między drzewami wyszedłem na ulicę pięćdziesiąt metrów dalej. Odpaliłem poloneza i wróciłem do redakcji. Teraz priorytetowym celem było jak najszybsze skontaktowanie się z Ewą Kolanowską.

Odebrała po pierwszym dzwonku. Jakby siedziała w salonie z ręką na słuchawce.

– Słucham?

– Dzień dobry, mówi Wojtek Jaromin. Czy moglibyśmy się spotkać? Mam coś nowego.

– Coś nowego w czym? – spytała chłodno. Zaskoczony reakcją, a raczej jej brakiem, potrzebowałem kilku sekund na wymyślenie odpowiedzi. Poprosiłem o rozmowę w cztery oczy, a ona najpierw spytała, czy to musi być koniecznie dzisiaj, potem zaś łaskawie się zgodziła, zaznaczając, że ma tylko chwilę. Podziękowałem i pojechałem.

Zmroziło mnie od progu, kiedy usłyszałem powściągliwie:

– Dzień dobry panu. Proszę wejść.

Albo zapomniała, że ostatnio szeptała do mnie czule po imieniu, albo postanowiła rozpocząć naszą grę wstępną od początku. Dla wygody przyjąłem drugą wersję i dostosowałem się.

– Dzień dobry. Przepraszam, że nachodzę panią znienacka, ale pojawiły się nowe fakty w związku z pani... z tym, co przydarzyło się pani i pani dzieciom.

– Mnie? – zdziwiła się tak autentycznie, że mnie zatkało. – Moim dzieciom? Co pan ma na myśli?

– Mogę wejść? Nie chciałbym tu, na schodach...

– Proszę – odparła miękko i odsunęła się na tyle, bym mógł precyzyjnie się do środka. Stałem w obszernym wejściu do salonu, czekając na zaproszenie, ale się nie doczekałem. Zostaliśmy w przedpokoju!

– Cóż to za rewelacje ma pan dla mnie, panie dziennikarzu?

Skupiłem się. Jak chłodno, to chłodno.

– Dzisiaj rano doszło do makabrycznego wypadku w naszym mieście. Mały chłopiec udusił swojego dziadka wędką na szczupaki.

A skoro coś podobnego przytrafiło się pani synom, Pawełkowi i Piotrusiowi, pomyślałem, że mogłoby to być dla pani interesujące. Dla mnie w każdym razie jest...

Nie wiedziałem, co dalej mówić, cała bezczelność młodego dziennikarza poszła gdzieś w maliny, a ona stała wyprostowana, z założonymi rękami i błakającym się po twarzy uśmiechem.

Najwyraźniej ją to bawiło. Przerwałem, a potem palnąłem:

– Czy chłopcy nadal rzucają nożami?

– Nożami? No wie pan. – Odwróciła się teatralnie i krzyknęła za siebie: – Ryszardzie! Pozwól tu na chwilę!

Na piętrze stuknęły drzwi i po schodach zszedł do nas Ryszard Kolanowski. Podał mi dłoń na powitanie i uprzejmie spytał, w czym może pomóc.

– Pan twierdzi, że nasi chłopcy rzucają jakimiś nożami. Może ty zrozumiesz, o czym jest mowa. Czyżby coś mnie ominęło podczas ostatniej, i jedynej, wizyty pana Wojtka u nas?

Jedynej! Jakby mnie tu wczoraj nie było! Dochodziłem do siebie po jej bezczelnym kłamstwie, podczas gdy pan Ryszard spokojnie wyjaśniał, że nic takiego sobie nie przypomina i o ile dobrze pamięta, rozmawialiśmy wówczas o kłopotach z dziećmi, które czasem opacznie rozumieją potrzebę komunikacji ze zwierzętami, co może prowadzić do przykrych konsekwencji.

– Ale pan Wojtek nie jest jeszcze szczęśliwym mężem i ojcem, więc rozumiem jego ograniczone doświadczenie w tym względzie – zakończył, patrząc mi w oczy z nie-

wzruszoną uprzejmością.

Spoglądałem to na niego, to na nią.

– Spróbuję inaczej. Wspominała pani o tym, że kiedyś chłopcy oglądali film przedstawiający śmierć starszych państwa Kolanowskich.

Jeden z nich kłaśnięciem przewijał taśmę w odtwarzaczu wideo, a drugi bił mu brawo i obaj doskonale się bawili. Podczas dzisiejszego...

nieszczęśliwego wypadku doszło do nieco podobnego zachowania małego chłopca, który...

Kolanowska przerwała mi stanowczo.

– Przepraszam bardzo, ale mam tego dosyć! Czy pan słyszy, co mówi? Przecież to jakaś piramidalna bzdura! Kłaśnięciem? Taśmę w odtwarzaczu? Doprawdy, nie wiem jak ty, Ryszardzie, ale ja chyba nie mam ochoty słuchać pana. Za chwilę pewnie jeszcze się dowiem, że, bo ja wiem, włóczęgi zabijam szczury w piwnicy!

Tego już było za wiele. Zacisnąłem zęby i wymamrotałem, że przykro mi z powodu całego nieporozumienia i nie mam więcej nic do powiedzenia. Nie było sensu dalej dyskutować, co oboje zgodnie i przekonująco dali mi do zrozumienia. Ukłoniłem się i odwróciłem na pięcie, by jak najszybciej opuścić ten zwariowany dom. „Odprowadzę pana, Ryśku”, usłyszałem za plecami głos i zaraz potem stukot wysokich obcasów.

Doszliśmy do drzwi wejściowych. Położyłem dłoń na klamce, ale nie zdążyłem jej nacisnąć. Ewa Kolanowska złapała mocno moją rękę i wepchnęła sobie pod sukienkę. Majtki w kroczu były wilgotne.

– Zobacz, jaka jestem podniecona – wydyszała mi prosto w ucho. – Świetnie się spisałeś, króliczku. Przyjdź jeszcze.

Z przerażeniem zerknąłem za siebie. Kolanowski wchodził po schodach na górę, wystarczyło, żeby się odwrócił...

Wyrwałem dłoń spod sukienki i wypadłem na ganek. Pamiętałem o wystającym narożniku wycieraczki, przez który ostatnio omal nie wywinąłem orła na schody, ale i tak się potknąłem. Pod nogami zamigotała mi brązowa plama na betonie. Złapałem równowagę i pobiegłem do samochodu. Zatraskując furtkę, zauważyłem, że pod jabłonią nie ma już nissana patrola. Sberta suchych liści nadal leżała w kącie ogrodu, ale bez pręta ze szczurem. Uprzątnęli ślady.

Ewa stała na szczycie schodów i wesoło machała do mnie ręką.

Oczywiście z uśmiechem. Kompletnie niezborne.

Zanim oddałem taśmę Węgrzynowi, słuchałem jej i słuchałem, do samego rana. Zastanawiały mnie te zmiany tembru głosu. Raz brzmiał śpiewnie i wysoko, jak to u płażącej blondynki, innym razem zniżał się do niskiego basu. W pierwszej chwili sądziłem, że coś jest nie tak z nagraniem, z głowicą w magnetofonie albo z mikrofonem, ale głos przesłuchującego ją aspiranta brzmiał normalnie. Tylko u niej były te zachwiania, fale, jakby mówiły na przemian dwie osoby. I te częste powtórzenia „tak” i „no tak”, zbyt częste. Najważniejsze jednak wydały mi się emocje. Kobieta przechodziła od naturalnego w jej stanie wstrząsu, niemal szoku – kiedy człowiek nie panuje nad sobą i szlocha, wzdycha, nie kończy zdań – do spokojnej i beznamiętnej relacji, jakby czytała nudne sprawozdanie. Wtedy właśnie włączał się ten burkliwy bas. „W pewnej chwili wydawało mi się, że poruszył językiem, ale to mogło być złudzenie wynikające z faktu, że miałam w oczach łzy”. Tak nie mówi człowiek przejęty śmiercią bliskiej osoby. Ale w takim razie kto to mówił?

Człowiek w płaszczu i kapeluszu, z czerwonymi oczami. Diabeł.

Ona go widziała tak samo wyraźnie jak ja, a nawet lepiej. Oczywiście, nie przeszło mi nawet przez myśl, by tego diabła traktować poważnie, aż takim wariatem wówczas nie byłem. Po prostu facet był w tę historię wplątany, należało jedynie ustalić, jak i z której strony. A czerwone oczy musiały być efektem jakiejś rzadkiej cechy osobniczej, podobnej chociażby do tej u albinosów. Tak, to było sensowne wytłumaczenie.

Zapisałem na kartce: ALBINOS.

Kiedyś na zajęciach z kompozycji uczono nas, że zanim się przystąpi do pisania tekstu, należy wyznaczyć sobie podstawowe współrzędne, kierunki, w jakich podążać będzie myśl. Najlepiej w tym celu skupić się na wybranym przedmiocie i spróbować spojrzeć na niego z możliwie wielu perspektyw. Taki kubizm intelektualny. Każda rzecz jest wielowymiarowa, wystarczy ją trochę obrócić, a zacznie wyglądać inaczej. Siedziałem więc nad kartką i wypisywałem różne „przedmioty sprawy”, by następnie łączyć je liniami, strzałkami, łukami i szukać wzajemnych zależności. Po dwóch godzinach takiej zabawy miałem przed nosem kupę papierów zabazgranych tak gęsto, że nie było już wiadomo, co się z czym łączy. Inaczej mówiąc, wszystko się łączyło ze

wszystkim. Oprócz jednego hasła. Tylko „słupek” nie miał żadnego odniesienia. Tak, słupek. Zakreśliłem go czerwonym kółkiem i postawiłem wykrzyknik, nie mając pojęcia dlaczego.

Nie było innej rady, jak ubrać się i pójść na łąki jeszcze raz. Kiedy zapinałem kurtkę, zadzwonił telefon. Mama.

– Przyjedziesz na niedzielę? Kurczaka kupiłam. Zrobię ci rosół.

– Nie wiem jeszcze, mamó. Dużo pracy.

W słuchawce zapadła znacząca cisza, opatrzona nieuchronnym w takich momentach westchnieniem.

Syn nigdy nie sprostą oczekiwaniom matki. Zwłaszcza gdy jest jedynakiem. Mówiłem już, że jestem jedynakiem i że wychowywałem się bez ojca? Nigdy go nie widziałem. Matka pomijała ów, co by nie powiedzieć, fundamentalny dla mnie problem milczeniem i w tej jednej kwestii prezentowała zwyczajną nieustępliwość. W akcie urodzenia w rubryce „ojciec” kazała wpisać „Jan”, ale nigdy ani słowem nie wspomniała o tym, że znała kogoś o takim imieniu. Kiedy pytałem o to jej brata, wuja Leona, odpowiadał na bardzo różne sposoby, z których najlepiej pamiętam dwa, ponieważ najczęściej je powtarzał. Pierwsza odpowiedź brzmiała: „Historia bywa nie tylko okrutna, lubi też płatać figle”, i zawierała jakieś mętne aluzje do działalności politycznej matki w młodości. Druga natomiast zawierała głównie troskę o stan mego ducha: „Lepiej, żebyś nie wiedział”. Na moje szczeniackie protesty, że to nieuczciwe i mam prawo wiedzieć coś o swoim ojcu, oboje zgodnie odpowiadali wzruszeniem ramion.

Obiecałem mamie, że przyjadę, odłożyłem słuchawkę i wyszedłem na dwór. Mżawka ostatecznie zdecydowała się przejść w stan mgły.

Wbiłem się w nią rozgrzanym od myślenia czołem i powoli spływała na mnie ulga chłodu. Ulicami jechały samochody, chodnikami szli ludzie, z drzew spadały krople i ostatnie liście, brązowe i gotowe do rychłego rozkładu. Jesień. Po tej stronie wszystko normalnie, tak jak powinno być.

Ale po tamtej, na którą nieopatrznie przeszedłem, nie pasowało nic.

Wilkowie, Kolanowscy, Paweł Kopeć i Barbara Gaweł wciągnęli mnie w serię absurdalnych zdarzeń i opowieści po to tylko, by następnie się z nich wycofać, zostawiając mnie z bólem głowy i plątaniną nieczytelnych powiązań na zabazgranych kartkach. Sieć była tak gęsta, że przestawała być siecią, a stawała się kłębowiskiem.

Widziałem kiedyś nad morzem rybaków pracujących przy sieciach.

Rozwiesili na płocie kłęby sznurów i cierpliwie przekładali przez nie drewniane pa-

tyczki. Nie patrzyli na całość. Każdy z nich skupiał się na jednym węźle, a kiedy udało mu się go rozplątać, przechodził do następnego, i tak aż do skutku. Długo, cierpliwie i bez nerwowych ruchów. Uznałem to za dobry wzór do naśladowania. Uchwycić się jednej nici i spróbować wyplątać ją z kłębowiska. Zaczniemy od najprostszej. Ale która to jest? Stałem przed przejściem dla pieszych, by przepuścić autobus miejski z numerem 10 i napisem PODBORZE. To właściwie przedmieście Oszpicyna, na drodze do Sępni. Tak, ta nić wydała mi się najmniej splątana i od niej postanowiłem zacząć.

Trójkątnego słupka nie było. Ktoś go wykopał i w tym samym miejscu wetknął inny słupek, kwadratowy, z wyżłobionym pośrodku krzyżem, taki, jakich używa się w geodezji do znakowania granicy działki. Obok wbito kołek z wierzchołkiem pomalowanym białą farbą.

Rozglądałem się w zdumieniu po zamglonej łące i dostrzegłem kolejne kołki zakreślające wyraźny prostokąt. Wyglądało na to, że ktoś kupił ten teren. Maszerowałem po mokrej trawie od słupka do słupka, odruchowo mierząc odległości krokami, i zastanawiałem się nad znaczeniem tego nowego faktu, a raczej jego miejscem w splątanej sieci zależności i powiązań. Działka była długa na pięćdziesiąt metrów i szeroka na czterdzieści, czyli miała dokładnie dwa tysiące metrów kwadratowych, dwadzieścia arów. Tamten słupek, wkopany w miejsce trójkątnego, znajdował się pośrodku działki, a ja zupełnie nie rozumiałem powodów tego dodatkowego oznakowania. Trzy metry dalej był drugi, identyczny.

Od ulicy wyglądało to jak boisko szkolne z zaznaczoną bramką do grania w piłkę nożną. Prздеptałem całą działkę, ale drugiej bramki nie znalazłem, więc chyba jednak nie to. Może brama...

Nagle poczułem, że coś mnie łaskocze w łydkę, i podskoczyłem z krzykiem. Za mną stał biały piesek i radośnie merdał ogonem. Serce waliło mi jak młot, ale on się tym najwyraźniej nie przejmował.

– Idźże, głupi kundlu! – krzyknąłem i piesek odbiegł na kilka kroków, ale wrócił, gdy zobaczył, że stoję w miejscu. Zamachał ogonem i szczeknął. – Czego chcesz?

Diabli wiedzą, co pies rozumie, a czego nie, ale ten najwyraźniej coś z mojego pytania zrozumiał, ponieważ odbiegł znowu na parę metrów i machnął ogonem. Ja też zrozumiałem i ruszyłem za nim, a on szczeknął zadowolony. Przeszliśmy na drugi koniec działki, ten najbardziej oddalony od szosy. Tam kundel położył się na trawie i obrócił na grzbiet. Nigdy nie miałem psa, ale wiedziałem, że taki gest oznacza zaproszenie do zabawy. Potarłosłem go więc po brzuchu, a on z radości wystawił język i przewrócił się na bok, zmuszając mnie do przyklęknienia na jednym kolanie. Wtedy coś usłysza-

łem. Rozejrzałem się zaskoczony, ale ten dźwięk dobiegał jakby spod ziemi. Pochyliłem się. Tak, to stamtąd dochodziło dudnienie.

Dobrze mnie zrozumcie. To nie jest tak, że opisuję tu jakieś moje wymysły albo urojenia, żeby opowieść była ciekawsza. Usiłuję tylko spojrzeć na przedmiot z różnych perspektyw. I trzymam się tylko faktów. Pochyliłem się nad kundlem leżącym na trawie i usłyszałem, jak pod ziemią coś dudni. Gdyby to się działo w jednej z europejskich metropolii, pomyślałbym, że pode mną biegnie linia metra albo innej kolei podziemnej. Byłem jednak na łąkach pod Oszpicynem. Drugie przypuszczenie wiązało się z pobliskimi kopalniami węgla kamiennego, których korytarze mogły sięgać aż dotąd. Odrzuciłem ten pomysł z tego prostego powodu, że kopalniane wyrobiska znajdowały się na głębokości kilkuset metrów, skąd żaden dźwięk nie mógłby dotrzeć aż na powierzchnię. Poza tym to nie było to. Nie słyszałem wybuchu ani rytmicznego łomotu maszyn górniczych, tylko coś jakby bulgot. Pies znieruchomiał i patrzył na mnie z wywalonym jęzorem. Szczerze mówiąc, wyglądał okropnie, jak zdechły. Ale jego oczy były zupełnie przytomne i uważne. Ludzkie. Patrzył i badał, czy też to słyszę.

Skinąłem lekko głową na potwierdzenie, a wówczas zerwał się i pobiegł przed siebie. W tej samej chwili na ścieżce pojawił się wysoki, przygarbiony człowiek o długich rękach zakończonych rozcapierzonymi palcami. Ebenezer Scrooge. Jubiler Szpindel.

– Co pan wyprawia! – warknął niemile. – Proszę się wynosić z mojej działki.

Poderwałem się na nogi i otrzepałem kolana.

– Myślałem, że to zwykła ścieżka przez łąki. Wszyscy tędy chodzą.

Ściągnął krzaczaste brwi tak, że razem z krogulczym nosem tworzyły karnawałową maseczkę jakiegoś Pantalone.

– Chodzili. Już nie wolno. To teren prywatny.

Podszedłem do niego z wyciągniętą ręką i przedstawiłem się. Nie podał mi dłoni. Przyglądał mi się spode łba i poruszał ustami, jakby mu tam w środku buszowała mała jaszczurka. Czekałem, aż spomiędzy warg wysunie się ogon.

– Kiedy pan ją kupił, wczoraj? Dwa dni temu nie było tu żadnych słupków. To znaczy był jeden, ale inny.

– Nie twoja sprawa, synu. Żegnam.

Zrobił krok do przodu i wydało mi się, że lada moment wyciągnie te swoje długie łapy i zacznie mnie dusić. Cofnąłem się i poszedłem ścieżką ku szosie. Nie miałem ochoty zadzierać z tym mrocznym typem.

Kiedy znalazłem się poza działką, odpowiedzialny za bezczelność komponent mojej dziennikarskiej duszy kazał mi się odwrócić i krzyknąć:

– To jedna z tych złotonośnych działek? Będziecie kopać?

– Wynoś się! – ryknął. Machnął rękami jak szaman, który przepędza złego ducha.

Parsknąłem nieszczerym rechotem i pobiegłem do domu. Piesek biegł jakiś czas przy mnie, potem zawrócił na łąki. Gdy chwilę później siedziałem w kuchni przy oknie, z kubkiem w dłoni, widziałem przez mgłę zgarbioną postać snującą się po trawie i zawzięcie z kimś dyskutującą, nie wiadomo tylko z kim. Szpindel maszerował wzdłuż granic działki i rozmawiał. Wtedy zrozumiałem, że to świr.

Rosół smakował wyśmienicie, pieczeń w sosie chrzanowym również, nie mówiąc już o czerwonych buraczkach z ukręconym przez mamę majonezem. Tego ze sklepu wciąż nie uznawała. Patrzyła na mnie smutnym wzrokiem i koniecznie chciała wiedzieć, czy mi smakuje.

Pytała trzykrotnie.

– Mamo, czy tego nie widać? Popatrz, grzeczny chłopczyk wszystko zjadł.

Postukałem widelcem w pusty talerz, pomazany czerwono-białymi smugami po sosie i buraczkach. Uśmiechnęła się na dwie sekundy i znowu posmutniała. Ulicę Józefa za oknem wypełniało niskie listopadowe słońce, mętne jak mocz cukrzyka i zimne jak jego niedokrwione palce u nóg. Przez chwilę zastanawiałem się, czy umówić się z kolegami w jednej z knajp, które wokół Rynku Głównego mnożyły się w zachwycającym tempie, a pierwsze pojawiały się również na Kazimierzu, ale po namyśle dałem spokój. Od czasu zakończenia studiów nie kontaktowałem się z żadnym z nich, trochę z braku ochoty, trochę z powodu Lidy. Nie wiedziałem, co wcześniej naopowiadała naszym wspólnym znajomym i szczerze mówiąc, nie chciałem wiedzieć.

Wystarczało mi mocno uzasadnione podejrzenie, że były to rzeczy niemiłe. Spojrzałem za okno. Nie. Nie zadzwonię.

– Wychodzisz? – spytała, odgadując moje rozterki. Wzruszyłem ramionami.

– Chyba nie. Jestem zmęczony.

– Połóż się na chwilę. Jak wstaniesz, zrobię ci dobrej herbaty.

Upiekłam piernik.

Pogładziła mnie po dłoni i wyszła z brudnymi nakryciami do kuchni. Podniosłem się ciężko, poczłapałem do swojego pokoju, zaciągnąłem zasłony i padłem w ubraniu na łóżko. Byłem naprawdę zmęczony. Poprzedniej nocy spałem krótko i źle, zaafierowany próbami ułożenia oszpicyńskich faktów w zborną narrację i zrozumienia, co się właściwie dzieje. Wcześniej wpadłem tylko na chwilę do redakcji, by powiedzieć, że idę do domu pracować nad nowym tekstem. Szef nawet na mnie nie spojrział, wzruszył ramionami i wyszedł do magistratu. Nie chciał ze mną rozmawiać i ja też nie chciałem rozmawiać z nikim. Tak się chwilowo ukształtowały moje relacje z Oszpicynem. Usiadłem

przed stertą pokreślonych papierów i usiłowałem poskładać w całość coś, co w najśmielszych nawet pomysłach w całość składać się nie chciało.

A kiedy w niedzielę przed południem podniosłem opuchnięte od wgapienia się w chaos powieki i ujrzałem za oknem trupioblada zawieszinę, nawet ucieszyłem się na myśl o rosole z kurczaka.

Mój wysłużony polonez w drodze z Oszpicyna do Krakowa dzielnie przebijał się przez mgłę, charcząc i poskrzypując na dziurach, jakby łoskotem chciał sobie dodać odwagi. Z grobli na stawach przed Sępnią pozostały tylko niewyraźne rysunki drzew, sterczące ze skłębionego mleka jak maszty Latającego Holendra, który dziwnym trafem utknął w śródlądowej sadzawce. Nie mogłem sobie odmówić przyjemności. Zjechałem z drogi i wkroczyłem w tę nieokreśloność.

Widać było w tej mgle najwyżej na dziesięć metrów. Chłód, wilgoć, krople na gałęziach. To ten dąb? Chyba tak. Podreptałem wokół pnia, nie mając pojęcia, czego szukam, a następnie w gąszczu mokrych trzcin oddałem się temu, po co przyszedłem. Ulga. Lekkość. Chwila zapomnienia.

Kiedy wróciłem na groblę, kilka metrów przede mną stał piesek.

W pierwszej chwili myślałem, że to ten sam kundel z łąk pod miastem.

Przekrzywił łebek i przyglądał mi się z uwagą, nieruchomy jak odpustowa figurka pieska, którą można wygrać na strzelnicy.

– Hej, piesku! – zawołałem i klepnąłem dłonią w udo, ale nie zareagował. – Skąd się tu wzięłeś? – zagaiłem i zrobiłem krok w jego stronę, a wtedy warknął groźnie. Zrobiłem kolejny i wesoły kundelek, z którym dwa dni wcześniej bawiłem się w najlepsze, wyszczerzył kły z ostrzegawczym charkotem.

Nagle wydał mi się większy i masywniejszy, a po chwili zobaczyłem na jego boku rude łaty. To był inny pies i nagle obleciał mnie strach. Pochylił łeb i warczał jak wściekły brytan, chociaż był kudłatą suczką z elegancko przystrzyżonym włosiem, jak to się praktykuje na przykład u foksterierów. Po sekundzie skoczył.

Uciekłem. Całą drogę przekonywałem się, że to efekt mojego niewyspania i ogólnego przemęczenia. Kiedy już uznałem łaciata foksterierkę za przywidzenie, zamyśliłem się nad tym, że w scenie pod drzewem na grobli jeszcze coś się nie zgadzało. Tylko co? Dopiero gdy wjeżdżałem do Krakowa, a mgła całkiem się rozwiła i rodzinne miasto przywitało mnie jaskrawym słońcem, zrozumiałem. Wszystko wkoło oblepiała mglista wilgoć i chłód, ale trawa pod drzewem była zwiędła.

I ciepła. Tak, wszedłem pod drzewo i owionęło mnie suche ciepło...

Obudził mnie delikatny dotyk.

– Wojtuś, nie śpij tyle. Herbata gotowa.

Mama siedziała na brzegu łóżka ze smutną twarzą i gładziła mnie po policzku. Zerwałem się trochę za szybko i głowę przeszył mi nagły ból. Przetarłem dłońmi twarz, by zetrzeć z niej watę snu.

– Spałem?

– Prawie dwie godziny. I krzyczałeś przez sen.

Otwarłem szerzej oczy. Słońce zdążyło schować się za kamienicami Kazimierza i w pokoju panował półmrok.

– Co krzyczałem?

– Uspokajałeś jakiegoś psa. Żeby nie gryzł, bo jesteś swój. Wy tam macie psa?

– Nie, mam. Co z tą herbatą?

W kuchni na stole czekał szklany dzbanek ze złocistym płynem i talerz z pokrojonym piernikiem. Zabrałem się do niego z nagłym apetytem. Matka nałożyła mi od razu dwa kawałki i usiadła naprzeciwko, żeby patrzeć.

– Zaparzyłam zieloną, jak lubisz. Na pewno tam nie masz czasu zrobić sobie porządnej herbaty.

Nie odpowiedziałem, żułem tylko miękkie, puszyste ciasto i popijałem aromatyczny płyn. Mama patrzyła i patrzyła, a z jej twarzy nie znikał wyraz czujnej, smutnej uwagi. Wreszcie spytała:

– Masz tam kłopoty, prawda?

Skąd one to wiedzą? Możesz cały świat okłamać i latami funkcjonować w fałszywej rzeczywistości, ale matki nie oszukasz.

Spojrzy ci w oczy i już wie. A ty wiesz, że zaprzeczanie nie ma sensu i jedynie pogorszy sytuację. Matka to twoje lustro. Cała sztuka w tym, byś umiał się w nim przeglądać.

Przełknąłem ostatni kęs, popiłem herbatą i możliwie najbardziej neutralnym tonem zrelacjonowałem ospicyńskie wydarzenia. Gdzie przeważały fakty, opisywałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, natomiast miejsca najbardziej ryzykowne ograniczałem do minimum, wspierając się krytycznym dystansem. Opowieść Ewy Kolanowskiej o filmiku ze śmierci jej teściów przedstawiłem jako wymysł zrozpaczonej i nadwrażliwej kobiety, dodatkowo przestraszonej nożowniczymi talentami synów. Sporo miejsca poświęciłem sprawie skarbu w Sępni, choć zastrzegąłem się, że nie widzę

związku między tymi sprawami. „Wszystko się łączy”, wtrąciła cicho matka. W swojej relacji pominąłem trzy rzeczy: kółko na wodzie, starego Cygana i rękę pod sukienką. Zakończyłem z sumiennym zapewnieniem, że chodzi mi tylko o napisanie rzetelnego artykułu i właśnie pracuję nad uporządkowaniem zebranych materiałów, których jest dużo i które są z różnych parafii. Tak się wyraziłem: „parafii”, żeby podkreślić własny dystans.

Skończyłem i nałożyłem sobie solidny kawałek piernika, a matka przypatrywała mi się w milczeniu. „Boże, to miasto”, szepnęła wreszcie.

Jej palce delikatnie gładziły serwetę, usiłowała wyprostować proste.

– Wierysz w to? – spytała, odwracając wzrok ku oknu. Zapadł zmierzch i włączyły się latarnie na ulicy. Światło naturalne przeszło w sztuczne. Mówiła „tam” i „to miasto”, żeby nie używać nazwy „Oszipcyn”. Oprócz samych mieszkańców nikt na całym świecie nie umiał tej nazwy wypowiedzieć normalnie. Gdyby ktoś wątpił w związek między słowem a rzeczą, to tu miał dowód.

– Ale w co?

Jej ostry profil na tle granatowego nieba przypomniiał mi okładkę jakiejś płyty, ale nie mogłem sobie przypomnieć jakiej. Kiedy znowu się odezwała, daleko za oknem, w szparze między jej rozchylonymi ustami, błysnęła mała złocista kropczka. Jowisz.

– W to wszystko, co pominąłeś.

Zagryzłem wargi, a potem ogarnęła mnie nagła złość. Ona też mi wszystkiego nie mówiła. Ba, ukrywała najważniejsze rzeczy! Do dzisiaj nie wiem, kim jestem i po co w ogóle przyszedłem na świat! Zaciąłem się w środku i postanowiłem brnąć w zaprzeczanie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Chciałem jeszcze dodać, że moje zainteresowanie ogranicza się do napisania dobrego artykułu, ale odpuściłem. Obrona przed zarzutami, których nikt nie stawia, jest dowodem winy, a nie niewinności.

Czyżby coś wiedziała?

– Wydawało mi się, że zależy ci na prawdzie – odparła smutno.

Całe życie zeszło jej na smutku, którego nienawidziłem i nie rozumiałem. W czasach licealnych miałem nawet domowy program rozweselenia matki za pomocą niez mordowanego i permanentnego poczucia humoru, ale dałem spokój pewnego dnia, gdy opowiedziałem dowcip o izraelskiej wycieczce w autobusie na gaz. Spiorunowała mnie wtedy wzrokiem i odparła, że przy następnym dowcipie o Żydach spoliczkuje mnie.

„Nie ucz się od idiotów”, dodała, gdy zaskoczony wyjaśniłem, że ten kawał opowiedział nam nauczyciel na lekcji wychowawczej. Od tamtego czasu chyba już nie zdobyłem się w domu na żaden żart.

Zależy mi na prawdzie, tłumaczyłem mamie, dlatego ograniczam się do faktów i w miarę możliwości unikam fantazjowania, w przeciwieństwie do niektórych mieszkańców „tego miasta”. Pokiwała głową i taktownie nie drążyła tematu, a ja się zastanawiałem, czy precyzyjne rzucanie nożami przez małego Wilka oraz synów Kolanowskiej należy do porządku faktów czy fantastycznych urojeń.

Widziałem na własne oczy. Powoli zacząłem się wycofywać.

– Mamo, muszę wracać. Jutro rano idę na posiedzenie rady miasta i powinienem się przygotować. Plany mostu są wymagające – zażartowałem nieudolnie. Mówiłem, że w domu żarty mi nie wychodzą.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, posyłając cię tam – westchnęła.

Zaprotestowałem.

– Nie posłałaś mnie, mamo. Sam chciałem. Nie odbieraj mi prawa do własnych decyzji.

– Jesteś pewien, że to twoja decyzja? – spytała i nie czekając na mój kolejny protest, wstała i wyszła do sypialni. Myślałem, że się obraziła, ale po chwili wróciła. Podała mi wyrwany z zeszytu kawałek kartki.

– Zadzwoń do niego i opowiedz o swoich sensacjach. Może ci coś podsunie.

Zerknąłem na zapisane równiutkim pismem nazwisko i numer telefonu. Mama uczyła się jeszcze w szkole kaligrafii.

Henryk Hirsch

33-25635

– Dlaczego mi to dajesz? Co to za facet?

Przyglądałem się nazwisku na kartce i mój wprawiony w kombinatoryce mózg od razu zaczął je umieszczać w myślowych diagramach. Wzruszyła ramionami.

– Po prostu znajomy z czasów studenckich. Wiem, że tam mieszka.

Kiedyś był miłym człowiekiem, dlatego cię do niego wysyłam. – Zawahała się, po czym dodała: – I nic nie kombinuj, bo niczego więcej tam nie ma.

Nie wiedziałem, czy mówi o moich ospicyńskich sensacjach, czy swoich związkach z rzeczonym Henrykiem Hirszem. Drugi wariant wydał mi się ciekawszy.

– Czy to mój ojciec?

– Nie!

Odpowiedź była stanowcza. Ponieważ matka patrzyła mi w oczy, skwitowałem jej reakcję ironicznym uśmiechem z nadzieją, że w ten sposób udało mi się doprowadzić do remisu.

Byłem wtedy nie tylko bezczelny i naiwny, ale też głupi. Nie miałem szans na remis.

Posiedzenie rady miasta przebiegło całkowicie niezgodnie z planem. Miało być o nowym moście na Sowie, a było o wszystkim naraz, a zwłaszcza o tym, co mnie obchodziło najbardziej. Lubię być zaskakiwany przez okoliczności – komponent ryzyka w dziennikarskiej duszy.

Woźny usadził mnie na krzeselku pod ścianą, niedaleko burmistrza i jego sekretarzy, skąd miałem dobry ogląd sytuacji. To były czasy jeszcze bez konferencyjnych systemów nagłaśniania i mikrofonów przed nosem każdego radnego, więc jeśli ktoś chciał coś powiedzieć, musiał wstać i krzyczeć na całą salę. Mikrofon miał tylko przewodniczący rady i to on rozdawał przywileje zabierania głosu, przynajmniej na początku.

Zaczął się od przedstawienia planów budowy obwodnicy wokół miasta. Ich część stanowił nowy most i projekt przedzielenia stawu Wójtowiec na dwie połówki – jedna z nich miała zostać całkowicie zasypana, a powstała w ten sposób grobla stanowić równocześnie nasyp pod szosę. Dokładnie w moim ulubionym miejscu. Dwóch młodych architektów rozdało wszystkim kopie planów, a potem jeden z nich rzeczowym i monotonnym głosem zagłębił się w szczegóły. Argumenty były przewidywalne i wszystkim doskonale znane: chodziło o odciążenie starego centrum z wąskimi uliczkami, w których nie mieściły się ciężarówki, a przy okazji zbudowanie wygodnej infrastruktury dla narastającego ruchu turystycznego przy muzeum. Trzeci ważny argument to udrożnienie trasy przelotowej ze Śląska w Beskidy, idącej przez Oszpicyń i fundującej mieszkańcom komunikacyjne horrendum w każdy weekend od wiosny do jesieni. Coś tam notowałem, średnio słuchając, ponieważ większość z tych spraw była mi już doskonale znana, podobnie jak pozostałym zebranych. Kiedy opowieści o kosztorysach i sponsorach znudziły mnie do reszty, zacząłem przyglądać się twarzom oszpicyńskich radnych.

Część z nich znałem. Na przykład Alfreda Łopatkę, który wyszczerzył się do mnie w uśmiechu, a jego oczy mówiły: „prędzej czy później zjem cię, Jaromin”. Wokół niego siedziało kilku przydupasów przerzucających się zapewne bardzo zabawnymi komentarzami kwitowanymi zbiorowym rechotem. Dalej od przewodniczącego siedziała grupa na oko nieco inteligentniejsza, skupiona na planach i zawzięcie coś notująca. Wśród tamtych twarzy rozpoznałem nauczyciela historii z miejscowego liceum, brodacza o

bardzo pochlebnej opinii zarówno wśród uczniów, jak i rodziców. Słuchając, pochylał nisko głowę, a w jego palcach wirował długopis wprawiany w ruch pulchnymi palcami. Nazywał się Piotr Stefanowski i w roku osiemdziesiątym należał do grona założycieli oraz najaktywniejszych członków tutejszej Solidarności. Pomyślałem, że powinienem kiedyś z nim porozmawiać.

Trzecią grupę radnych stanowili śmieszni faceci w ciasnych marynarkach i wymiętych koszulach, z cienkimi krawatami pod szyją i twarzami bez wyrazu. Sprawiali wrażenie nie tyle pełnowartościowych ludzi, ile form gotowych przyjąć każdą treść pod polityczną lub finansową presją. Takie futerały na poglądy. Domyślałem się, że stanowili szarą strefę idei, wypełniacz do zagospodarowania przez zręcznych demagogów. Nie patrzyli na referenta, tylko wodzili wzrokiem po sali, oferując swoje usługi przy najbliższym głosowaniu.

To oni są solą demokracji: ludzie bez poglądów, do wynajęcia.

Kiedy już obejrzałem sobie wszystkich i zająłem się rysowaniem skomplikowanego motywu roślinnego w swoim notatniku, rozległ się donośny głos radnego:

– Panie przewodniczący! Zostawmy te tabelki i cyferki, przecież wszystko jest w papierach. Porozmawiajmy o prawdziwych problemach miasta!

To był Stefanowski. Długopis zastygł mu w palcach, oczy błyszczały mieszaniną oburzenia i rozbawienia.

– Co pan ma na myśli? Czy zatłoczone ulice i zagrożenie dla naszych dzieci na przejściach dla pieszych to nie są prawdziwe problemy miasta? – spytał surowo przewodniczący i dla wzmocnienia efektu zmarszczył brwi. Stefanowski nie dał się zbić z tropu.

– Dla naszych dzieci, panie przewodniczący, widzę większe zagrożenie gdzie indziej. Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy.

W sali natychmiast zrobił się ruch. Ludzie zaczęli szemrać między sobą, jedni z przejęciem, inni z głupawymi uśmiechami. Widać było, że temat trafił na podatny grunt. Odłożyłem motyw roślinny i łakomie nadstawiłem ucha. Nareszcie zaczęło się coś dziać.

– Co stary kawaler wie o dzieciach? – mruknął basem Łopatko, czym wzbudził skwapliwą wesołość u swoich kompanów.

– I pedał – dorzucił jeden z nich, a reszta przytaknęła z zadowoleniem. Spojrzałem na Stefanowskiego. Jego pogodna twarz nie drgnęła, był przyzwyczajony.

– Domyślam się – podjął przewodniczący – że chodzi panu o dwa tragiczne wypadki z udziałem dzieci, do jakich ostatnio u nas doszło. Ale o czym mielibyśmy dyskutować?

To sprawa dla policji, ewentualnie dla psychologów rodzinnych. Poza tym dwa wypadki to jeszcze nie seria.

I co by ona miała znaczyć? – Zawiesił głos i potoczył wzrokiem po zebranych w poszukiwaniu sprzymierzeńców. – Że nasze dzieci są mordercami?

– Na przykład – palnął w odpowiedzi Stefanowski i zawrzało.

Rozespana sala w sekundę obudziła się i z ferworem ruszyła do walki o coś, co trudno było jednoznacznie nazwać. Niby chodziło o dobre imię „naszych dzieci”, ale chyba bardziej o to, żeby nie poruszać tego problemu. Moje zainteresowanie rosło jak krzywa wzrostu gospodarczego po transformacji. „Skandal!”, „hańba!”, słychać było zewsząd. Ktoś krzyknął: „Wara od naszych dzieci!”, jakby Stefanowski był notorycznym kidnaperelem albo pedofilem. „To porządne miasto!”, rozległo się z innej strony. Przewodniczący rady dla formalności uciszał towarzystwo, ale na jego twarzy malowało się coś w rodzaju satysfakcji.

Stefanowski podniósł rękę i trzymał ją niewzruszenie w powietrzu tak długo, aż prowadzący nie mógł jej zignorować i oddał mu głos.

Nauczyciel wstał.

– Te gwałtowne krzyki i protesty dowodzą, że problem nie tylko istnieje, ale jest dobrze rozpoznany i dotyczy wielu z nas. – Tu spojrzął znacząco na Łopatkę. – W mieście dzieje się coś niedobrego i wie o tym doskonale każdy, kto ma w domu małe dziecko. Po dwóch, a właściwie trzech wypadkach śmiertelnych oraz kilku innych niewyjaśnionych zdarzeniach rodzice zaczęli z niepokojem przyglądać się swoim pociechom. Podobne obawy dochodzą do nas od przedszkolank i nauczycielek szkół podstawowych. Biorą masowo zwolnienia, ponieważ nie chcą pracować z dziećmi. Ostatnio jeden z uczniów wyznał mi w sekrecie, że u niego w domu panuje dziwna psychoza w związku z młodszą siostrą. Wszyscy nieustannie ją obserwują, podglądają, nie zostawiają samej bez opieki, a nawet nie chcą zostawać z nią w pojedynkę w mieszkaniu. Wyznaczają sobie przy niej dyżury!

„Dlaczego?”, spytałem mojego ucznia. Wicie państwo, co mi odpowiedział? Że się jej boją. Siedmioletniej dziewczynki! Jeżeli pan przewodniczący, który sam ma dwoje wnuków w podobnym wieku, nie widzi w tym żadnego problemu, to gratuluję samopoczucia. Ja widzę.

Skończył, ale nie usiadł, tylko stał nadal z rękami opartymi na blacie prezydyjnego stołu i wpatrywał się w przewodniczącego. W sali zapadła martwa cisza. Każdy na swój użytek przetrawiał w sobie słowa Stefanowskiego i po wielu twarzach widać było, że problem nie jest im obcy. Ktoś głośno prychnął, ktoś inny obejrzał się z głupa-

wym uśmieszkiem w stylu „ale jątka, co?”, ale większość siedziała w milczeniu ze spuszczoneymi głowami. Przewodniczący potarł dłonią brodę, jakby ścierał z niej niewidzialną pajęczynę, i właśnie chciał coś odpowiedzieć, gdy rozległ się chrapliwy głos:

– To jakieś bzdury.

Wszyscy spojrzeli na Łopatkę. Poruszył brwiami, odczekał chwilę, po czym powtórzył:

– To brednie! Co pan właściwie sugeruje, panie Stefanowski? Że nasze dzieci nas zabijają celowo? Że tu jest jakaś „psychoza”, jak pan to nazywa, i powinniśmy ją rozstrzygnąć na posiedzeniu rady miasta? To nienormalne! A jaki problem? Że co? Proszę bardzo, niech pan to powie wprost: jak się ten problem nazywa?

Wstał, tak samo podparł się rękami i patrzył Stefanowskiemu buńczucznie w oczy. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem jak dwa niedźwiedzie w Tatrach przed pojedynkiem o kosz na śmieci, aż wreszcie nauczyciel odparł ze spokojem:

– Świetnie, że to pan właśnie zareagował na moje słowa, panie Łopatko. Jako jeden z czołowych tutejszych archeologów amatorów doskonale zdaje pan sobie sprawę z przeszłości miasta i tego, jak rzutuje ona na teraźniejszość. A jako dziadek chłopca, który trzy dni temu udusił wędką swojego drugiego dziadka, wie pan również doskonale, na czym polega tak zwana psychoza, choć usiłuje pan jej nie dostrzegać. Proszę spytać córki.

Córki! A więc Barbara Gawęł jest córką Łopatki! Zanotowałem tę cenną wiadomość w swoim zeszyciku i podkreśliłem podwójną linią.

– To bezczelność! – zapienił się Łopatko. – Pan mnie obraża! Nic panu do mojej rodziny, a jeśli jeszcze raz naruszy pan powagę rodzinnej żałoby, załatwimy to inaczej. Ostrzegam pana!

– Niech się pan tak nie unosi – ciągnął niewzruszony Stefanowski, a ja z rozkoszą chłonałem wirujące w powietrzu jony awantury.

Wreszcie mój osobisty i dziwaczny temat oszpiczyńskich dzieci wypłynął na forum publiczne. I jak się okazało, całkiem nieźle się tu zadomowił. – Krzyk jest dowodem winy, nie racji. A co do obrażania, pan sam siebie najbardziej obraża, grając tu przed nami głupka z samozaparciem godnym lepszej sprawy – zakończył nauczyciel historii i lekko pochylił się do przodu, jakby resztę chciał dopowiedzieć ciałem.

Tego już Łopatko nie mógł znieść. Z piekielnym jazgotem odsunął metalowe krzesło i ruszył ku Stefanowskiemu z zaciśniętymi pięściami.

– Ja ci, kurwa, dam archeologa! – wydyszał przez rozszerzone nozdrza.

Wszyscy wstali, a dwóch z jego kolegów pospieszyło za nim w celach koncyliacyjnych. W ostatniej chwili schwycili go za ręce, kiedy wyciągnął je przed siebie, by odepchnąć obrońców i dopaść Stefanowskiego w celach zupełnie niekoncyliacyjnych. Ten stał bez ruchu i czekał. W przeciwieństwie do innych znanych mi historyków był to kawał chłopca i rozstrzygnięcie starcia z wściekłym Łopatką wcale nie wydawało się oczywiste.

– Spokojnie, panowie! Proszę o spokój! Cisza! Wracajcie na swoje miejsca! – apelował przez mikrofon przewodniczący, ale z miernym skutkiem, ponieważ wszyscy otoczyli dwóch gotujących się do starcia radnych. Ja też wstałem i właśnie miałem do nich dołączyć, gdy ktoś złapał mnie za łokieć.

– Zostaw – powiedział starszy mężczyzna w wytartej marynarce i usadził mnie z powrotem na krześle. – Najpierw niech się pokasają między sobą.

Usiadłem posłusznie, ponieważ jego głęboki i miękki głos miał w sobie coś niesłychanie kojącego. Mężczyzna przycupnął na sąsiednim krześle i spokojnie przypatrywał się rejuwachowi skłębionych garniturów, w jaki zamieniło się posiedzenie rady miasta poświęcone ulżeniu doli mieszkańców. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, może pięćdziesiąt pięć, z dobrze już posiwiałymi włosami i wąską, porytą bruzdami twarzą. Wystawał z niej ostry nos i wydatne wargi, z których dolna, bardziej mięsista, lekko zwisała, odsłaniając mocne żółte zęby. Kiedy spojrział na mnie, zobaczyłem w jego oczach czarną otchłań, bez podziału na źrenice i tęczówki. Białe gałki z czarnymi kółkami pośrodku. Był nieco podobny do jubilera Szpindla.

– Kim pan jest? – spytałem jak dziecko w przedstawieniu *Mały Książę*.

– Jeszcze nie – odparł zagadkowo. – Przyjdź do mnie. Najlepiej po rozmowie z Gawłową.

Zanim zdążyłem się zdziwić, skąd zna moje najbliższe plany, przewodniczący nakazał wszystkim powrót na swoje miejsca i tym razem jego autorytet znalazł posłuch. Radni zaczęli siadać, szurając krzesłami, co na moment znowu wywołało ogólny harmider, a potem zapadła cisza. Przewodniczący skinął ręką młodemu architektowi, by kontynuował swoje wywody, ale zanim ten zdążył się odezwać, ktoś krzyknął:

– Co w mieście robiła hrabina Kublicka?

Głos dobiegł od strony zwolenników nauczyciela Stefanowskiego.

On sam pokręcił tylko głową. Zanotowałem nazwisko KUBLICKA i otoczyłem je kółkiem.

– Proszę nie przerywać! – zagrział przewodniczący. Chwiejny spokój został jednak znowu naruszony i szwy zebrania pruły się dalej.

– W mieście jest plaga szczurów! – krzyknął ktoś inny. – Może tym się zajmiemy?!

– Zajmijcie się sobą – odpalił jeden z kompanów Łopatki, jeśli dobrze pamiętam, Józef Gruda. – Wam potrzebne leczenie!

– Szczury pogryzły dzieci! – Czyjś głos wywołał kolejną falę komentarzy i dyskusji w podgrupach. – Zaraza jest w mieście!

– Sami jesteście zaraza! Do wariatkowa z wami!

Pyskówka wszczęła się na nowo i chłonałem ją z podnieceniem, zapominając o moim sąsiedzie, który nagle wstał i oświadczył, że wychodzi.

– Znowu niczego nie załatwię.

– Gdzie mam pana szukać? – rzuciłem za nim.

– Ktoś ci chyba musi wskazać drogę, nie? – odparł, odsłaniając żółte zęby w grymasie, po czym odwrócił się i odszedł. Chciałem pobiec za nim, ale wtedy za rękę złapał mnie burmistrz, nasz dobroczyńca i lokalodawca.

– Tylko nie próbuj tego opisywać, synu – mruknął z przekonaniem godnym *capo di tutti capi*. – Jeśli chcesz zachować tę posadę – dodał, gdybym nie zrozumiał. Rozumiałem doskonale i o posadę na razie byłem spokojny. Chciałem opisać, ale nie to.

Wybiegłem z budynku. Rynek miasta nadal spowijała listopadowa mgła. Ostatnio słońce w ogóle nie wychodziło. Rozejrzałem się, jednak mężczyzny w wytartym garniturze nigdzie nie było. Wróciłem, żeby porozmawiać z nauczycielem, który z zawodu historyka uczynił sobie klucz do tego, co się dzieje, ale i jego nie zastałem. Niestety, zdążył już opuścić obrady ze swoimi akolitami i poszedł sobie. Odwróciłem się na pięcie i miałem wyjść, gdy znowu ktoś mnie złapał za rękę. Może to jakaś lokalna tradycja rozpoczynania rozmów kularowych, to szarpanie za łokieć.

– Przyjdiesz do mnie jutro, Jaromin. Mam z tobą do pogadania.

Radny Łopatko. Mistrz dobrego wychowania i pokojowego współistnienia narodów.

– To zaproszenie czy rozkaz? – spytałem z bezczelnym dziennikarskim uśmiechem.

– Nazywaj sobie, jak chcesz. Jutro rano o ósmej.

– O ósmej to ja się przewracam na drugi bok.

– To se, kurwa, nastaw budzik. Bo jak nie, to ja cię przewrócę na drugi bok tak, że więcej nie wstaniesz.

Rozjuszony warczał do mnie, jakbym był pierwszym zastępcą jego głównego prze-

ciwnika, Stefanowskiego.

– Miłe, na pewno przyjdę. A będą ciasteczka do kawy? Prosiłbym kremówkę od Kocłaczkowej. Albo dwie.

Nie czekałem na odpowiedź, łatwo mogłem ją sobie wyobrazić.

Typy pokroju Łopatki są nie tylko organicznie prymitywne, ale i do bólu przewidywalne. Jak teksty disco polo.

Plan na następny dzień miałem gotowy. Łopatko, Stefanowski, człowiek w wytartym garniturze, hrabina Kublicka. I Hirsz.

Po powrocie do redakcji złapałem za telefon i wybrałem numer szkoły. Postanowiłem kuć żelazo póki gorące, a dzisiejszy kawałek wydawał się rozpalony do czerwoności. Odebrała sekretarka i poprosiłem o rozmowę z nauczycielem historii.

– Pan profesor jest teraz na lekcji. Kończy dziś późno i raczej nie znajdzie czasu na spotkanie – poinformowała mnie suchym, stanowczym głosem. Zdziwiło mnie, że w dniu posiedzenia rady Stefanowski ma lekcje.

– Niedawno widziałem go w ratuszu, więc chyba dzisiaj nie pracuje w szkole – za ryzykowałem. Zapadła cisza, a następnie rozległ się krótki kaszel. Symptomy nerwowego poszukiwania wykrętów.

– To są zajęcia poza harmonogramem. A kto właściwie mówi?

– Wojciech Jaromin z „Głosu Oszpicyna”. Byłem dzisiaj na posiedzeniu rady. Chciałbym dopytać profesora o kilka szczegółów.

W słuchawce usłyszałem szuranie, trzeszczenie, podwójne stuknięcie, a potem dobiegł z niej głos Stefanowskiego:

– Jeśli chodzi o moją wymianę zdań z panem Łopatką, nie mam nic więcej do powiedzenia. Tę sprawę uważam za zamkniętą.

Ze sposobu mówienia były spokój i opanowanie. Silny człowiek.

Ciekawe, jak długo wytrzyma. Czuję, że czas mi wycieka przez palce.

– Chciałbym porozmawiać o dzieciach.

Zamknął usta, ponieważ usłyszałem świst powietrza przedzierającego się z nosa na wolność przez jego siwiejący zarost.

Wahał się.

– A konkretnie?

– Dlaczego zabijają.

Znowu ten świst, tym razem dłuższy, a potem konkret. Stefanowski lubił konkrety.

– Nie tutaj. U mnie w domu, o ósmej. Macierewicza 5/2.

Zanotowałem, podziękowałem, rozłączyłem się i głęboko odetchnąłem. To już było coś. Moje plany pogrzebienia w brudach tego miasta nabierały rumieńców. Kto to opu-

blikuje, to już inna sprawa, pomyślałem i w tym momencie zza moich pleców doleciało znaczące chrząknięcie. Obróciłem się sztywny jak robot.

– Byłeś w ratuszu? – spytał naczelny, kładąc mi rękę na ramieniu.

Ostrożnie przytaknąłem.

– To bierz się do roboty, na środe chcę mieć artykuł. A na dzisiaj dwie krótkie notatki z obu tematów.

– Czyli?

– Most i szczury. Rozumiem, że projekt deratyzacji miasta przeszedł?

– Tak – przytaknąłem, kurcząc się w środku. Jakiej deratyzacji?

– No to raz-dwa – komenderował Karpiński. – I narysuj do tego jakieś gryzonie.

Szef wyszedł, a ja zerknąłem na moje szpargały i zakląłem cicho.

Dwie notatki na dzisiaj, niech to szlag. Trzeba było odłożyć inne sprawy na później.

Ulica Macierewicza mieściła się w samym środku starego osiedla mieszkaniowego, wybudowanego jeszcze w czasie wojny przez Niemców i przeznaczonego dla robotników tutejszych zakładów chemicznych. Perfidia nazistów polegająca na utworzeniu fabryki chemikaliów w tym samym mieście, w którym powstał największy kompleks komór gazowych, zaiste godna jest nietzscheańskiej refleksji nad człowiekiem. Plan nie został zrealizowany do końca, elementy fabryki posłużyły po wojnie do zbudowania zakładów produkujących głównie syntetyczny kauczuk i polichlorek winylu, natomiast polniemieckie bloki zainicjowały powstanie wielkiego osiedla.

Komuniści zachowali projekt hitlerowski, nieco go tylko modyfikując.

Stefanowski otworzył natychmiast po dzwonku. Szybko uścisnął mi dłoń i zamknął starannie drzwi na podwójny zamek, po czym poprowadził mnie do obszernego gabinetu z oknem wychodzącym na niewielki skwer. Zerknął na ciemność za szybą, zaciągnął grube zasłony i usadził mnie na pękatym skórzanym fotelu, który mógł mieć nawet sto lat. Stara skóra skrzypnęła pod moim tyłkiem.

– Napije się pan herbaty? – spytał uprzejmie, ale jego oczy mówiły, że szkoda mu czasu na jej przygotowanie.

– Nie, dziękuję. Chyba że zrobi pan również dla siebie.

– Ja już piłem – zakończył temat herbaty i bez ceregieli przeszedł do sedna. – Co pan wie?

Poprawiłem się, zmuszając fotel do skrzypienia i starannie dobierając słowa, opowiedziałem o trzech znanych mi przypadkach: Kolanowskich, Kopciów i Wilków. Przy

dwóch pierwszych kiwał rytmicznie głową, jakby pozytywnie weryfikował podawane przeze mnie fakty, natomiast przy opowieści o małym Dominiku, który najpierw rzucał nożami, a potem utracił ten talent wraz ze sprawnością nóg, zaintrygowany nadstawił ucha.

– W Łozach – zamyślił się. – To niedaleko od miejsca, gdzie ten traktorzysta wykopał złoto.

Potwierdziłem i wniosłem poprawkę, że tego złota nikt dotychczas nie widział, tylko ludzie gadają. Wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie widać. Znika, jak tylko się pojawi. Jest niewidzialne.

Czułem się trochę jak na przesłuchaniu, więc żeby uwolnić się spod jego spojrzenia, dodałem parę słów o tym, co się wydarzyło u rodziny Gawłów.

– Pomyślałem, że cztery przypadki to już nie przypadek – ciągnąłem – dlatego kiedy wspomniał pan na posiedzeniu rady miasta o dziecięcej psychozie, postanowiłem podzielić się z panem swoimi...

wątpliwościami. Właściwie to chętnie usłyszałbym, co pan wie na ten temat.

Zakończyłem i czekałem na jego odpowiedź. Nie doczekałem się.

Patrzył wciąż na mnie i skubał palcami siwy zarost, a potem rzucił mi to pytanie, ni to twierdzenie.

– Nie powiedział mi pan wszystkiego.

Otwarłem usta, by zaprotestować, ale mnie uprzedził.

– Rozumiem pana. Jako młody człowiek, mieszkający tu raptem od kilku miesięcy, ma pan pełne prawo poszukiwać racjonalnych odpowiedzi i prowadzić dziennikarskie śledztwo zgodnie z regułami zdrowego rozsądku. Zakładam, że te trzy przypadki, pośladane w całość, tworzą w pańskiej młodej wyobraźni całkiem ciekawy materiał literacki, być może nawet na książkę o tym, jak straszna historia odciska dziś swoje piętno na życiu tego nieszczęsnego miasta. Rozumiem też, że niektóre przypadki – te pominięte przez pana – wymykają się zgrabnej literackiej formule i wiodą pańską narrację na manowce. Inaczej mówiąc, chciałby pan opisać to, co się dzieje, ale wydarzenia przekraczają pańskie możliwości.

– Nie wiem, o czym pan mówi – bąknąłem.

Przybliżył twarz do mojej.

– Cuda się dzieją, prawda?

Czekał. Chciałem przyznać mu rację, z drugiej strony obawiałem się kompromitacji

na wstępie. Nie miałem pojęcia, na ile ten człowiek rozmawia ze mną poważnie, a na ile robi ze mnie durnia, by później obśmiać przed naczelnym. Byłem tu nowy, młody i raczej sam.

Nieufność należała do żelaznego repertuaru. Z trzeciej strony to właśnie ten człowiek dał mi do ręki argument, że moje niejasne i – dobrze, powiedzmy to – dziwaczne doświadczenia podzielane są przez innych.

Biłem się z myślami, co mu powiedzieć z galerii zdarzeń (szczur przebity prętem, taśma wideo z zabójstwa starych Kolanowskich, Cygan na ławce i tak dalej), a tymczasem on wstał energicznie z kanapy i ruszył do przedpokoju.

– Niech pan pozwoli za mną – rzucił przez ramię. Posłusznie ruszyłem za nim.

Wyszliśmy na klatkę schodową oświetloną tylko jedną słabą żarówką. Poprowadził mnie brudnymi schodami na drugie piętro. Po drodze prawie na pewno widziałem dwa wielkie szczury, umykające przed nami gdzieś w głąb korytarza, i zastanawiałem się, czy w tym mieście chociaż jeden dom jest od nich wolny. Znaleźliśmy się przed szerokimi odrapanymi drzwiami i nauczyciel nacisnął dzwonek. Po drugiej stronie rozległo się szuranie kapci, szcęknięcie zamka.

W uchylonych drzwiach ukazała się blada twarz kobiety w średnim wieku. Wyglądała na zmęczoną. Nie, gorzej: wyglądała jak zmore. Albo jak człowiek ciężko chory.

– Dobry wieczór, pani Szwagrykowa. Wpuści nas pani na chwilę?

To mój uczeń.

Kobieta obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem, a ja postarałem się o najmiłszy uśmiech, na jaki stać było moją zaskoczoną twarz.

Uczeń? Tak szybko?

– Pana to zawsze, panie Piotrze.

Otworzyła szerzej drzwi i zrobiła nam miejsce. Weszliśmy do dusznego przedpokoju, w którym rozchodził się zapach smażonego mięsa, kapusty i czegoś jeszcze, o czym wolałem nie myśleć. Stałem pod ścianą, a oni odbyli krótką naradę.

– Dobrze, ale tylko jedno – zdecydowała pani Szwagrykowa i mój nowy nauczyciel wprowadził mnie do pierwszego pokoju na prawo.

Kobieta zamknęła za nami drzwi i oparła się o nie plecami. Przy małym stoliku siedziało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Oboje coś zawzięcie rysowali. Ona miała na oko sześć lat, on może osiem.

– Damian, wyjdź na chwilę – zarządziła matka i chłopiec posłusznie wyszedł. Dziewczynka z przechyloną do okna główką i wysuniętym nieco językiem nadal zajmo-

wała się rysowaniem. Ubrana już była w różową pizamkę, po obu stronach stolika stały rozścielone łóżeczka.

– Monisiu, przywitaj się z panem Piotrem.

Dziecko nic nie powiedziało, nie podniosło nawet wzroku znad rysunku. Kobieta westchnęła. Stefanowski poklepał ją uspokajająco po ramieniu i podszedł do stolika. Wydobył z kieszeni pudełko zapalek, położył na stoliku, wyjął ze środka jedną i wbił ją na sztorc, siarką do góry. Pudełka wykonywano wtedy jeszcze z cieniutkiej sklejki i bez trudu można je było przedziurawić. Z tekturowymi tak się nie da.

Dziewczynka popatrzyła na pana Piotra, uśmiechnęła się jak pojętna uczennica, a następnie wpatrzyła się w pudełko.

Przez chwilę nic się nie działo. Już wypuszczałem z płuc wstrzymany oddech, gdy nagle zapalka buchnęła jasnym płomieniem.

Pani Szwagrzykowa jęknęła cicho. Stefanowski podszedł do stolika, zdmuchnął płomień i pogładził dziewczynkę po włosach. Gapiłem się zaskoczony na osmalony kikut zapalki, a on spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami, jakby chciał zapytać, czy mi się podobało.

Matka wyrzuciła z siebie pełne żałości pytanie:

– Panie Piotrze, kiedy to się skończy?

– Nie wiem, pani Szwagrzykowa. Naprawdę nie wiem.

Kobieta przeniosła obolały wzrok na mnie i poczułem się w obowiązku coś powiedzieć, by uzasadnić swoją obecność.

– Pracujemy nad tym, proszę się nie martwić.

Zabrzmiało idiotycznie.

Mimo to wiedziona jakimś niezrozumiałym dla mnie zaufaniem kobieta odetchnęła z ulgą. Miałem serię pytań na końcu języka, Stefanowski jednak przymknął oczy i pokręcił w milczeniu głową. Nie teraz. Podziękował kobiecie, ucałował ją szarmancko w dłoń i wyszliśmy na ciemną klatkę schodową.

Wyłącznik na drugim piętrze nie działał i schodziliśmy po ciemku, a ja stawiałem kroki ścierpłymi od napięcia stopami, czekając, kiedy nadepnę na oślizły ogon i rozlegnie się pisk. Na szczęście nic takiego nie zaszło.

– Każde z czwórki dzieci ma coś – wyjaśnił Stefanowski, gdy z powrotem usiadłem w skrzypiącym fotelu. – Damian, który wyszedł, odkręca wzrokiem kurki z wodą, co

ciekawe, tylko w wannie.

Z pozostałej dwójki jedno wertuje kartki w książkach, a drugie też zapala zapalniczki. Wszystko oczami, rozumie pan? Jak w bajce. Nawet na chwilę nie można ich zostawić samych w domu. Żal mi tej kobiety, naprawdę.

Jest u kresu wytrzymałości. A mąż pije – zakończył filozoficznie, jakby to miał być jakiś morał.

– Była z nimi u lekarza? – spytałem, przypominając sobie Pawła Kopcia i jego synka. Powinienem spróbować jednak z nim porozmawiać.

Stefanowski zaświstał przez zarost.

– Wie pan, jacy są lekarze. Niczego nie powiedzą, bez względu na to, czy potrafią postawić sensowną diagnozę, czy nie. W tych przypadkach raczej nie. Bo jaka tu może być diagnoza: dziecięca telekineza? Magiczne zdolności? Zresztą podczas wizyt w przychodni talenty się nie ujawniły, żadne z nich nie zdołało się popisać. Szczerze mówiąc, gdybym był lekarzem, też bym odesłał kobietę do domu, wcześniej ją porządnie ochrzaniając, żeby sobie nie stroiła żartów ze służby zdrowia.

– Ochrzanił ją?

– Trochę – przyznał niechętnie. – Od tego czasu boi się z kimkolwiek o tym rozmawiać. Oprócz mnie, ponieważ wysłuchałem jej do końca i obiecałem znaleźć jakąś pomoc. Dzisiaj to pan występował w roli kolejnego wcielenia jej nadziei. Proszę tego nie bagatelizować.

A mąż pije – zakończył filozoficznie.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu i każdy po swojemu przetrawiał nową dawkę dziecięcych fenomenów. Kłębiły mi się w głowie najbardziej szalone pomysły, od filmów dla młodzieży pełnych szczeniackiej cudowności i czarów za siedem groszy aż do pornowych wizji rodem z amerykańskich horrorów. Stefanowski przyglądał mi się z uwagą nauczyciela oczekującego właściwej odpowiedzi. Zdawałem przed nim pierwszy egzamin.

– Czegoś tu jednak nie rozumiem – zacząłem ostrożnie. – To znaczy wielu rzeczy nie rozumiem, ale dziwna wydaje mi się reakcja ludzi. Przecież jeśli prawdą jest to, o czym pan mówił na posiedzeniu rady miasta, że ludzie boją się własnych dzieci, to dlaczego nie chcą o tym rozmawiać? Dlaczego udają, że tego nie ma? Lekarz, zamiast ochrzaniać panią Szwagrzykową, powinien połączyć ten przypadek z pozostałymi i szukać rozwiązań, bo ja wiem, źródła tych anomalii.

Radny Łopatko powinien zająć się tym choćby po to, by chronić własny tyłek. Nie

wiadomo, jaki następny numer wywinie jego wnuczek.

Domyślam się, że takich historii jest znacznie więcej. Całe miasto wie i nikt nie reaguje? Przecież coś z tym, do diabła, trzeba zrobić!

– Tak, jest ich znacznie więcej – potwierdził. – A pan co by zrobił?

– Nie wiem – odparłem bez namysłu. – Ale coś na pewno.

Cicho sapnął przez nos. Nagle przysłała mi do głowy właściwa odpowiedź.

– A pan czego oczekiwał po radzie miasta? Co właściwie chciał pan osiągnąć?

– Nie wiem dokładnie – przyznał. – Po prostu miałem potrzebę powiedzenia tego, co wszyscy usiłują przemilczeć i zamieść pod dywan.

– Zmierzył mnie kosym spojrzeniem. – Pan, zdaje się, ma podobny problem.

– Ale co to jest? Co oni ukrywają?

– Właśnie tego chciałem się dowiedzieć, prowokując Łopatkę do awantury. Liczyłem, że straci nad sobą kontrolę i palnie coś takiego, czego mógłbym się uchwycić i pójść dalej. Miałem cichą nadzieję na usłyszenie choćby jednego konkretnego w sprawie słynnych wykopalisk przeprowadzanych pod płaszczykiem robót ziemnych pod nowe budowy.

Już pan pewnie doszedł do tej mądrości: w okolicy króluje cisza. Mowa nie służy mówieniu, tylko umacnianiu wszechwładnej ciszy spowijającej to miasto jak, nie przy mierzając, dzisiejsza mgła. Oni wszyscy milczą, bo jedno nieopatrzne słowo mogłoby uruchomić lawinę zdarzeń, nad którymi nikt nie będzie w stanie zapanować. Mieliśmy próbkę w postaci tego nieszczęsnego Borowca. Ledwie machnął parę razy łyżką koparki i pobiegł do domu, a już ruszyła fala domysłów, plotek, donosów, aż skończyło się aresztowaniem. Nie ma żadnych faktów, a konsekwencje poważne. Dlatego chciałem sprowokować Łopatkę, żeby coś zdradził.

– Ale się nie udało.

– Nie udało się. Stoję w miejscu. Stoimy – poprawił się i obdarzył mnie bladym uśmiechem, a potem ciężko podniósł się z kanapy. – Powinienem jednak zrobić panu tej herbaty.

– To ma jakiś związek z przeszłością Oszpicyna, prawda? – spytałem, gdy mijaliśmy mnie w drodze do kuchni.

Nie zdążył odpowiedzieć. Rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła i zasłona w oknie wyduła się jak uderzona pięścią, a następnie coś z hukiem upadło na drewnianą podłogę. Błyskawicznie osłoniłem głowę rękami i zsunąłem się z fotela. Na czworakach podpełzłem do okna.

Przez dziurę w szybie usłyszałem szybkie kroki. Ktoś uciekał przez trawnik między blokami. Obok mojego łokcia leżał na podłodze wielki otoczek. Wyrzałem ostrożnie, ale w mglistym świetle jedynej latarni nic nie było widać. Wycofałem się i biegiem ruszyłem do wyjścia.

Stefanowski, blady jak ściana, chciał mnie powstrzymać, krzycząc coś o niebezpiecznych ludziach, ale nie słuchałem. Niosła mnie adrenalina i napięcie nagromadzone wskutek rozmowy z nauczycielem. Wściekły wypadłem na ulicę przed blokiem i rozejrzałem się w obie strony.

Ruszyłem w lewo. Minałem murowany śmietnik i właśnie chciałem do niego zajrzeć, gdy w ciemności usłyszałem przed sobą krzyk. Pobiegłem do wylotu ulicy i zobaczyłem parking przed dawnym Pewexem, zamienionym teraz na minimarket. Stało tam kilka samochodów i kiedy zastanawiałem się, który to z nich, duży fiat 125p ryknął poluzowaną rurą wydechową i odjechał z piskiem opon. Pobiegłem za nim, ale nawet nie zdołałem odczytać tablic rejestracyjnych. Chyba był niebieski.

Rozdygotany rozglądałem się wkoło, myśląc co dalej, gdy przede mną z mroku wyłonił się jakiś człowiek. Utykał na jedną nogę i pojękiwał z bólu, a kiedy mnie zauważył, natychmiast umilkł i skręcił w lewo.

– Panie, kto to był? – zawołałem. Mężczyzna jednak nie odpowiedział i przyspieszył kroku. Uciekał przede mną, a kiedy postanowiłem go dogonić, usłyszałem syrenę i zza zakrętu wyskoczył samochód z migającym niebieskim kogutem. Zahamował gwałtownie przede mną i ze środka wypadł młody policjant.

– Co pan tu robi? Jak się pan nazywa?

– Neil Armstrong. Właśnie spadłem z księżyca. Pan nie?

– Proszę o dokumenty.

Policjant za kierownicą otworzył okno i przyglądał mi się intensywnie. Pokazałem ręką ciemność.

– Nieważne, chłopie! Gońcie ich!

– To my tu jesteśmy od decydowania, nie pan. Nie odpowiedział mi pan na pytanie, co tu robi.

– Ścigałem chuligana, który wybił okno w mieszkaniu. Właśnie odjechał dużym fiatem. Ucieka. Będziemy tu stali i dyskutowali czy pojedziecie za nim?

Chłopak patrzył na mnie z ukosa. Oni tak robią, żeby sobie dodać powagi. Pochylają głowę i zerkają na ciebie spode łba. W ich wyobrażeniu ma to być groźne.

– Na razie rozmawiam z panem. Jeszcze raz pytam, skąd pan się tu wziął.

Opowiedziałem szybko o wizycie u znajomego, kamieniu, tupocie nóg i odjeżdżającym samochodzie. Na zakończenie wspomniałem o świadku, którego chyba potrącili i który gdzieś tu powinien być.

Policjant rozejrzył się z kwaśną miną po pustym parkingu.

– Faktycznie, cały parking świadków – westchnął. – No to chodźmy obejrzyć to okno. Proszę wsiadać.

Otworzył mi tylne drzwi radiowozu i gestem dłoni zaprosił do środka.

– On tymczasem zniknął. O to wam chodzi? – spytałem z łokciem na drzwiach.

Bez słowa pokazał mi brodą, że mam wsiadać. Nie pozostało mi nic innego, jak wykonać polecenie, i pojechaliśmy we trójkę pod blok Stefanowskiego. Czekał na nas przed wejściem do klatki schodowej.

Obok niego stało kilkoro sąsiadów, między innymi pani Szwagrykówna.

– Kto to był? – spytał nauczyciel, widząc mnie gramolącego się z pojazdu.

Odparłem, że nie zdążyłem się przyjrzeć, ponieważ panowie policjanci koniecznie musieli obejrzyć mój dowód osobisty, a teraz chcą obejrzyć dziurę w oknie. Stefanowski pokiwał głową, jakby moja sarkastyczna uwaga w ogóle go nie zaskoczyła. Policjanci polecieli ludziom rozejść się i zabrali nas obu do mieszkania profesora.

Wykorzystując chwilę, gdy nasze oczy spotkały się, Stefanowski wykonał ledwie dostrzegalny gest przeczenia, co miało znaczyć, żebym nie mówił. Potaknąłem, nie wiedząc właściwie, na co się zgadzam. Jedno było pewne – zawiązał się spisek.

Przesłuchiwali nas do północy i po trzy razy zadawali te same pytania, jakbyśmy to my byli głównymi podejrzanymi w sprawie.

Najpierw mnie to okropnie irytowało i docinałem im ile wlezie uwagami w rodzaju: „No, pan to ma głowę, panie posterunkowy!”, później już tylko się głupio uśmiechałem. Poważny i skupiony profesor Stefanowski na powtarzane w kółko pytania odpowiadał wyczerpująco i cierpliwie, jakby bał się naruszyć jakiś kodeks honorowy. Rozumiałem go. Jako nie tylko szanowany nauczyciel liceum, ale i radny nie mógł sobie pozwolić na prowokacje wobec policji. Ja mogłem, ponieważ byłem wtedy młody, naiwny i bezczelny. I głupi.

Rozumiałem go również z innego powodu. Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, by dostrzec związek pomiędzy kłótnią w radzie miasta, kamieniem a traktowaniem nas przez policję. Mówiłem już, że sprawy lubią się układać w trójkąty. Filozofowie nazywają to *tertium comparationis*, czyli „trzecia część porównania”, ponieważ pozwala dostrzec wspólny element dwóch zestawionych przedmiotów. Mówiłem też, że dwa przypadki nic jeszcze nie znaczą, ale trzeci – wspólny – zamienia zbieg okoliczności w serię. Kiedy policjanci wyszli, zabierając ze sobą kamień w charakterze „dowodu rzeczowego”, jak się wyrazili, pożegnałem Stefanowskiego bez zbędnych słów. Obaj wiedzieliśmy, że seria na ten dzień wyglądała następująco: Łopatko – kamień – policja.

Kiedy następnego dnia o świcie udałem się na wymuszone spotkanie z radnym Alfredem Łopatką, rozważałem ten trójkąt na wszystkie strony i postanowiłem zachować daleko posuniętą ostrożność.

A jednak mnie zaskoczył. Załedwie usiadłem na krześle i rozejrzałem się po niegustownie urządzonym gabinecie (ogromne jak transatlantyk biurko z wielką lampą na złoconej nodze, kiczowate pejzaże na ścianach, bufiasty fotel prezesa z czarnej skóry, na podłodze czerwony dywan), uderzył mnie w twarz pytaniem:

– Skąd pan znasz Hirsza?

Zdumiony opadłem na krzesło, a Łopatko zmrużył oczy, zainteresowany efektem, jaki wywarło jego pytanie. Rój domysłów zawirował przede mną: zdrada matki, podsłuch,

nieopatrznie zostawiona na biurku kartka... Skąd ten facet wiedział? Czyżby jego macki sięgały aż tak daleko? Ale właściwie jak daleko? Dokąd? Pomógł mi sam radny.

– Siedzieliście razem w ratuszu. Czego od pana chciał?

Więc to był Henryk Hirsz! Nagle uświadomiłem sobie, że poprzedniego wieczoru nie zadałem Stefanowskiemu dwóch najważniejszych pytań: o Hirsza właśnie i o hrabinę Kublicką.

A przecież po to między innymi tam poszedłem.

– Dziękuję za pomoc. Nareszcie wiem, kto się do mnie dosiadł.

Może mi pan jeszcze wyjaśni, kim jest hrabina Kublicka?

Znowu zmrużył oczy, szukając w moim pytaniu podstęp. Żyjemy w dwóch wymiarach, tym wymówionym i tym przemilczanym, ale Łopatko należał do mistrzów przechodzenia z jednego w drugi. Był pewien, że wszyscy tak mają.

– Przecież to ona cię przysłała do Oszpicyna, co nie?

Wysunął wargi do przodu i odsłonił zęby, co miało mnie poinformować, że jest zbyt szczwanym lisem, bym go mógł wywieść w pole w tak prymitywny sposób. Pozwoliłem mu tak myśleć i też się wyszczerzyłem. Usiłował ukryć wściekłość, ale ludziom tego pokroju ten numer zwykle nie wychodzi.

– Nic mnie ta baba nie obchodzi! Gadaj, czego się dowiedziałeś o skarbie.

Obchodziła go, i to bardzo. Wzrokiem uciekł na ścianę, pomiędzy malarskie kicze, które najwyraźniej pełniły funkcję relaksacyjną. Jeden z nich przedstawiał ośnieżoną chatkę na leśnej polanie, a drugi...

przyjrzałem się. Tak, drugi przedstawiał groblę między stawami, z ławą szuwarów, pałkami trzciny i lecącą nad nimi kaczką oraz pojedynczym drzewem w tle. Tak, z dużym prawdopodobieństwem była to moja grobla. Usiłowałem odczytać inicjały malarza, ale jak wiadomo, oni się podpisują nieczytelnie. Ujrzałem tylko inicjały: KF.

– Skoro pana nie obchodzi, to niech mi pan coś o niej powie.

Podniósł się z westchnieniem i podszedł do półki z książkami.

Wziąłem je za atrapy, same grzbiety z tektury, przyklejone dla wywołania złudnego wrażenia, że gospodarz gabinetu zna czynność czytania z autopsji, ale myliłem się. To były prawdziwe książki. Wyjął jeden z okazałych albumów i rzucił na blat.

– Nie będę strzepił języka. Sam se poczytaj.

Ciężki wolumin nosił tytuł *Rody szlacheckie Małopolski*.

W alfabetycznym układzie prezentował krótkie historie poszczególnych rodzin zie-

miańskich, z rycinami pałacików i dworów oraz portretami dawnych właścicieli w kontuszach i galowych mundurach różnych sąsiednich imperiów. Szybko przerzuciłem strony na K i znalazłem hasło KUBLICCY oraz szkic skromnego prostokątnego dworku z jedną wieżyczką, który coś mi przypominał. Nim zdążyłem cokolwiek odczytać, Łopatko odebrał mi książkę i włożył z powrotem na półkę.

– To mój egzemplarz. Znajdź se własny. Posłuchaj, synuś – przeszedł do sedna w wyszukany styl. – Domyślasz się, bo jesteś łebski chłopak... Łebski jesteś, co nie? – upewnił się retorycznie, a ja skwapliwie przytaknąłem, że jestem łebski. Mój dziennikarski nos mi podpowiadał, że trzeba przytakiwać. – No więc domyślasz się, że nie ma żadnego skarbu. Ludzie nie mogą zapomnieć, co się tu działo w czasie wojny. Patrzą na te druty w muzeum, na baraki i nie potrafią się pogodzić z przeszłością. Dlatego opowiadają bajki. Bo widzisz, bajki są fajne, jak się chce zapomnieć o faktach. A jakie są fakty? Ano takie, że za okupacji wszyscy tu handlowali żydowskim złotem, niektórzy nawet zbili na tym niezłe majątki; bo to jest życie, co nie? Jak daje okazję do zarobienia, trzeba z niej korzystać. Cały świat stoi na takim myśleniu, czemu tu miałyby być inaczej?

Zawiesił głos, żebym miał czas docenić głębię jego wywodów.

Podszedł do okna, uchylił firankę i rzucił okiem na rynek miasta. Moje oczy powędrowały za nim. Mglisty poranek szykował się do przejścia w mgliste południe. Kolejny dzień bez szans na roz pogodzenie, pomyślałem smętnie. Łopatko odwrócił się.

– Ale to dawne dzieje, chłopcze – kontynuował tonem starego szeryfa, który przyucza młodego zastępcę do trudnego zawodu. Moje uszy słuchały jego słów, a oczy usiłowały wychwycić w jego twarzy drgnięcia zaprzeczające temu, co mówił. – Dzisiaj nic z tamtych warunków nie pozostało, tylko ludzie nie mogą zapomnieć. Dlatego jak tylko dzieje się coś, co ma związek z dziurą w ziemi, natychmiast uruchamiają te swoje bajki o skarbie. To może też mieć coś wspólnego z biedą – zakończył filozoficznie, znowu dając mi czas na refleksję.

– Tak, z biedą – zgodziłem się. „Albo z bogactwem”, dopowiedziałem w myślach, mając przed oczami wielkie magazyny jego firmy.

– To dobrze, że się rozumiemy – rzekł z ulgą. – Widzi pan, nie chciałbym, żeby wyssane z palca artykuły o jakimś pożydowskim złocie w ziemi zepsuły mi uczciwy biznes. Legalny, uczciwy biznes – powtórzył z naciskiem.

– To znaczy? – spytałem. Przechodził z „ty” na „pan” i z powrotem ze swobodą hegemonu dyskursu.

– Jak pan wie, prowadzę firmę budowlaną. Jasne, przepisana na szwagra, ale o tym

też pan nie musi pisać, co nie? – Zaśmiał się nieszczercze jak Mefisto w prowincjonalnym teatrze. – Żyjemy w czasach transformacji, dobrej transformacji, czyli takiej, w ramach której trzeba zburzyć wiele starego i wybudować jeszcze więcej nowego. Obaliliśmy komunę i musimy nadrobić dziesiątki straconych lat. Nareszcie jesteśmy u siebie, rządymy się po swojemu i dla siebie. Chcemy żyć i pracować dla jutra, a nie bez przerwy grzebać się w przeszłości, płakać nad zmarłymi i snuć rojenia o skarbach, jakie nam zostawili. Obwodnicę wokół Oszpicyna będzie budować moja firma. Nikt jeszcze o tym nie wie, ale ja już wiem. Tak działałem, dlatego do czegoś w życiu doszedłem.

– Znowu śmiech. – Teraz ty też już wiesz. A żeby taka robota szła w spokoju do przodu, nie można jej ciągle rzucać kłód pod nogi.

Widzisz, ja chcę budować, iść przed siebie i nie oglądać się na to, że ktoś tam kiedyś coś komuś... A jak w połowie roboty zacznie się znowu gadanie o skarbach, wszystko stanie. Trzeba będzie wstrzymać prace, zawalić terminy i odesłać robotników do domu po to, żeby na ich miejsce przyszła jakaś komisja historyków, archeologów, strażników pamięci i kogo tam jeszcze przygna wiatr sensacji. Nic z tego dobrego nie wyniknie, poza opóźnieniami. A kto za to zapłaci? No właśnie: ja!

Zakończył przemowę i wlepił we mnie okrągłe oczka obwiedzione sporym wątkiem prezesowego dobrobytu. Chciał zobaczyć, czy mnie przekonał. Ponieważ nic nie mówiłem, doprecyzował swoje oczekiwania.

– Dlatego chcę wiedzieć, co ludzie gadają. Żeby zapobiec demolce, zanim do niej dojdzie. Rozumiesz, Jaromin?

Mówił sugestywnie i do rzeczy. Prawie mnie przekonał. Nie chciałem mu jednak dawać zawczasu satysfakcji, więc zamiast potwierdzić, spytałem:

– Czy to dlatego nazywają pana archeologiem amatorem?

Zagryzł wargi i cień wściekłości przemknął mu po twarzy jak... jak szczur. Szybko nad sobą zapanował. Był dobrze przygotowany do rozmowy.

– O to powinien pan spytać tego profesorka, Stefanowskiego. On to wymyślił.

Pomilczeliśmy chwilę. Wysłuchałem tego, co miał do powiedzenia, pozostało mi dojść do tej drugiej informacji, przemilczanej.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego Henryk Hirsz?

– Nic – odparł natychmiast. – On mnie też nie obchodzi.

Pokiwałem głową, żeby myślał, że się zgadzam. Zaterkotał telefon i Łopatko w milczeniu wysłuchiwał jakiejś intrygującej informacji. Na zakończenie wyszczerzył zęby i bez słowa odłożył słuchawkę. Wstałem, by się pożegnać, a on spytał, czy się zrozumie-

liśmy.

– Tak, myślę, że tak – zgodziłem się uprzejmie. Podeszedłem do stolika w rogu gabinetu i wziąłem do ręki stary zabytkowy kałamarz.

– Co to jest?

– Pamiątka rodzinna – odparł bez wahania.

– Ładne – uśmiechnąłem się, a po jego twarzy znów biegały cienie.

Obejrzałem ukośną rysę na szkle kałamarza i potarłem palcem złoty uchwyt przykrywki w kształcie małej menory. Może i rodzinna, ale raczej nie twojej rodziny, pomyślałem. Jeśli przodkowie Łopatki poszli kiedykolwiek do synagogi, to raczej po to, żeby ją podpalić.

Kiedy tylko z powrotem znalazłem się w redakcyjnym pokoju, chwyciłem za telefon i wybrałem numer Henryka Hirsza. Odebrał dopiero po piątym dzwonku. Zaprosił mnie do siebie. Pobiegłem przez zawilgocony rynek, mijając podupadający dom towarowy o nazwie Tęcza. Jak mi wyjaśniał naczelny, zaadaptowano w tym celu stary bunkier, wybudowany przez hitlerowców nie wiedząc czemu na środku głównego placu miasta. Kojarzył się ze wszystkim, tylko nie z tęczą.

Chyba że dawny peerelowski urzędnik miał na myśli jakieś oszpiczyńskie pojednanie, choć trudno dociec kogo z kim. Mieszkanie Hirsza mieściło się w odrapanej kamienicy po drugiej stronie niewielkiego placu obok kościoła parafialnego. Wchodząc do brudnej bramy, minąłem po lewej podłużny budynek z wysokimi, zaokrąglonymi u góry oknami i wielkim szyldem HURTOWNIA DYWANÓW. Podobno kiedyś była tu synagoga. Wyściełajmy drogę Mesjaszowi. Niezłe.

Przez bramę przeszedłem na kwadratowe podwórze, którego główną ozdobę stanowił murowany śmietnik pod szarą, pozbawioną okien ścianą. Z szelestu śmieci wnioskowałem, że jest licznie zamieszkały. Wydawało mi się nawet, że w uchylonych drzwiczkach raz i drugi mignął łysy ogon. Wejście do mieszkań w oficynie mogło bez żadnej dodatkowej scenografii zagrać w filmie wojennym. Właściwie wyglądało tak, jakby wojna nadal tu trwała.

– Szybko to panu poszło – powiedział Henryk Hirsz, kiedy już wpuścił mnie do mieszkania. W przeciwieństwie do części wspólnej kamienicy było tu czysto i schludnie, pachniało ziołami. Usadził mnie przy stole w obszernej kuchni i bez pytania nalał z czajniczka gorącej herbaty.

– Miałem numer telefonu od matki – wyjaśniłem. – Tylko nie wiedziałem, że to pan.

– Ja wiedziałem – odparł i przyjrzał mi się uważnie. Przez moment miałem wrażenie, że szuka czegoś w moich rysach. – A więc to ty.

– Przepraszam, jaki „ty”? – spytałem i myśl jak błyskawica przecięła moje niebo. – Czy pan znał mojego ojca?

Henryk Hirsz uśmiechnął się szerzej i łyknął herbaty z cieniutkiej filiżanki w niebieskie kwiaty. Cały herbaciany zestaw wyglądał jak ilustracja do *Piosenki o porcelanie*

Miłosza.

– Znałem. Ale – uniosł dłoń, widząc, że otwieram usta – najpierw powiedz mi, co wiesz. Mogę ci mówić po imieniu, prawda? Ja jestem Henryk. Albo Henoch, jak wolisz. Jesteś chrześcijaninem?

W pierwszym odruchu uznałem to pytanie za niestosowne i nazbyt ingerujące w moją prywatność. Zostałem ochrzczony, dosyć dobrze pamiętam pierwszą komunię, zwłaszcza rower od chrestnych, ale nie wiedziałem właściwie, czy to wystarczy, aby być chrześcijaninem. Do kościoła nie chodziłem od piątej klasy podstawówki i wszelkie nagabywania mamy w tej kwestii zbywałem opryskliwą odmową.

Denerwowali mnie księża i ta atmosfera sztucznej podniosłości, spod której wyłaził niski, ziemski interes. Wolałem dziennikarstwo – podobna chytrość, tylko z otwartą przyłbicą. Ale pytanie było dobre w tym sensie, że nie umiałem na nie odpowiedzieć.

– Nie wiem – przyznałem. – Czy to teraz ważne?

– W tym kraju to zawsze jest ważne. Czasem bardzo ważne.

A niekiedy decyduje o życiu lub śmierci. Pytam z ciekawości, bo Henoch jest uniwersalny: żydowski, chrześcijański i islamski. O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Zbył moje pytanie o ojca, czym mnie zirytował i wpędził w wątpliwość, czy w ogóle zaczynać temat dzieci. Podjąłem go tylko dlatego, że w ustanowionej właśnie między nami relacji wybrzmiała niepisana umowa: ja powiem jemu, on powie mnie. Irytacja powoli ustępowała ciekawości. Może matka w ten zawołowany sposób chciała mnie naprowadzić na wiedzę, której sama nie umiała z siebie wykrztusić?

Po raz drugi w ciągu doby zabrałem się do streszczania wydarzeń w rodzinach Kolanowskich, Wilków, Gawłów i Kopciów. Podobnie jak u Stefanowskiego, i tym razem miałem wrażenie, że słuchający chce się dowiedzieć czegoś nie ode mnie, lecz o mnie. Oni obaj, Stefanowski i Hirs, już wiedzieli. Ile? Tego z kolei ja nie wiedziałem, więc snując swoją opowieść na nowo, dorzuciłem trochę z poprzednio przemilczanych faktów.

Powiedziałem o szcurze w piwnicy, o dziwactwach Ewy Kolanowskiej, która to wyrzucała mnie z domu, to jak kochanka uwodziła rozwibrowaną zmysłowością. Im dłużej mówiłem, tym większa ulga na mnie spływała, jakbym odreagowywał ukrywanie faktów przez innych. Fenomen spowiedzi. Wspomniałem też o Cyganie na ławce.

– Stary Maldor cię dopadł? – mruknął Hirs. – Nawiasem mówiąc, to wariat.

Swoją uwagę skwitował chrypiącym rechotem, chociaż dla mnie nie było niczego śmiesznego w mojej sytuacji pionka w rękach nierozpoznanych sił.

– Czy nie mógłby mi pan powiedzieć... nie mógłbyś mi po prostu powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Co się dzieje z dziećmi w tym mieście? To jakaś zaraza? Klątwą? Zbiorowa choroba psychiczna?

– Pewnie wszystkiego po trochu – odparł, wysuwając dolną wargę.

– A ty jak sądzisz?

Znowu się zirytowałem. Przyszedłem do człowieka, który wie znacznie więcej ode mnie, wyjaśniłem swoje rozterki z poukładaniem faktów, proszę o pomoc w rozwikłaniu dziwacznej i groźnej zagadki, a on kluczy i odkłada istotę rzeczy.

– Nic nie sędzę – z trudem powstrzymałem się przed krzykiem. – Przyszedłem tu, bo właśnie nic, do jasnej cholery, nie sędzę, i liczyłem na jakieś wyjaśnienia! Czy ktoś z was mógłby mi wreszcie pomóc, zamiast bawić się mną? Czego wy ode mnie właściwie chcecie? Jaka jest moja rola w tej waszej rozgrywce?

Wykrzykiwałem pytania, niesiony na fali nagromadzonej we mnie od kilku dni złości. Czuję się jak ktoś, komu normalna, codzienna, na pozór oswojona rzeczywistość nagle zaczyna wymykać się z rąk, a otoczenie daje mu do zrozumienia, że tak właśnie jest dobrze i tak powinno być. Podobnie czuje się początkujący jeździec, kiedy koń pod nim nagle rusza galopem, wodze wysuwają się z dłoni, kolana trzeszczą pod ciężarem rozkołysanego ciała i odbywa się rozpaczliwa walka o utrzymanie w siodle, a instruktor woła, że wszystko świetnie. Mój temat dzieci właśnie zaczął pode mną galopować i nie potrafiłem go ogarnąć. Ledwie trzymałem się w siodle.

Hirsz wysłuchał tego w spokoju, choć powinien się obrazić. Kiedy zamilkłem, podniósł się z krzesła i skinął dłonią, żebym mu towarzyszył.

Pokój za kuchnią, dokąd mnie zaprowadził, na pierwszy rzut oka przypominał magazyn w bibliotece albo w muzeum – wszędzie stały paczki, pudła, stopy tekturowych teczek i luźnych papierów, zapisanych ręcznie i na maszynie. Zastawione nimi było także ciemne biurko pod oknem i dwa krzesła pod ścianą. Z jednego z nich Henryk zdjął sterkę maszynopisów i zachęcająco klepnął dłonią w zakurzoną bordową tapicerkę. Usiadłem tyłem do okna i wtedy dopiero dostrzegłem w kącie pokoju dziewczynkę w czerwonej sukience. Przykucnęła przy jednym z pudeł i w półmroku przeglądała jego zawartość. Brała do ręki niewielki kartonik, który mógł być zdjęciem, wpatrywała się przez chwilę, po czym odkładała na bok i brała następny. Robiła to tak cicho i dyskretnie, że niemal nie istniała. Hirsz delikatnie położył jej rękę na ramieniu i pokazał drzwi do sąsiedniego pokoju. Dziewczynka bez słowa wstała i wyszła. Podczas tych trzech sekund, gdy maszerowała przez zagracony gabinet, widziałem jej profil. Czarne kręcone włosy, lekko zgarbiony nos, drobne usta i dłonie z długimi palcami. Mogła mieć

dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Nie odwróciła się, być może w ogóle mnie nie widziała. Wyszła i bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi.

– To Sara, moja wnuczka – wyjaśnił Hirsz, napotkawszy moje pytające spojrzenie. – Jestem jej jedynym krewnym. To znaczy w Polsce.

– Gdzie są jej rodzice? – spytałem.

– W Izraelu – odparł, uciekając wzrokiem. – Wszyscy, których tu nie ma, są w Izraelu. – Uśmiechnął się, jakby cieszyło go dorzucanie mi nowych zagadek do kolekcji. Podszedł do stosu teczek na biurku i klepnął wymownie dłonią. – Ścisłej rzecz biorąc, wszyscy, których mam tutaj, są w Izraelu.

– Zbierasz informacje o Żydach w Izraelu?

– O oszpicyńskich Żydach w Izraelu – doprecyzował, ignorując moją ironię. – Tych ocalałych. Jest ich jeszcze trochę, właściwie całkiem spora garstka. Tobie może się to wydać zabawne, ale wiesz... te teczki mogłyby być całkiem puste.

– Nie o to mi chodziło – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Chciałem tylko powiedzieć, że...

Przerwał mi ruchem ręki i zamilkłem. Z tych niezręczności nie było dobrego wyjścia. Mówienie o Żydach w Oszpicynie miało w sobie ciężar, którego nikt nie umiał udźwignąć. Zestawienie tych dwóch słów, „Żydzi” i „Oszpicyn”, odbierało mówieniu sens. A ponieważ wiedziałem o tych sprawach niewiele, właściwie nic, postanowiłem milczeć.

Okazało się to najlepszym rozwiązaniem, bo Henryk zaczął mówić.

– Urodziłem się w tym mieście wiosną roku tysiąc dziewięćset czterdziestego, dokładnie czternastego czerwca. Podobno dzień był piękny, słoneczny, jeden z tych pierwszych czerwcowych upałów zapowiadających lato i wakacje. Poród odbywał się tu, w tym pokoju, łóżko stało w tamtym kącie, gdzie przed chwilą bawiła się Sara. Wiem to nie od rodziców, bo oboje zginęli w obozie, ale od sąsiadki. Słyszała wszystko przez otwarte okno i opowiedziała mi wiele lat później, w liście przysłanym z Jaffy. Leży w jednej z tamtych teczek. W tym samym liście jest jej historia. Nie mam zamiaru cię teraz zanudzać, ale jedno może być dla ciebie ciekawe. Poród zaczął się po południu, a ta sąsiadka, panna Peszka Klajman, wcześniej pojechała na wycieczkę rowerową za miasto. Kiedy wracały z koleżanką przez pola po drugiej stronie miasta, za rzeką, zobaczyły zbiegowisko na olbrzymim placu obok magazynów i podjechały bliżej, żeby się dowiedzieć, kim są dziwni biali ludzie stojący w długim szeregu. Niemiecki wartownik odpędził je natychmiast, ale zdążyły dostrzec tłum nagich męskich ciał ustawionych

do kontroli. To był pierwszy transport więźniów, Polaków z więzienia w Tarnowie. Urodziłem się tego samego dnia, kiedy powstał obóz.

Zamilkł i odwrócił wzrok w stronę okna. Zrobiłem to samo i przyglądałem się brudnej szybie w odrapanych drewnianych ramach, które mogły być świadkami tamtego wydarzenia przed pięćdziesięciu czterema laty. Wąskie, prostokątne kwatery zamykane były na niewielkie klamki w kształcie korbek wygiętych w „S”. Wyobraziłem sobie, jak przez otwarte przy upale okno dochodzi do sąsiednich mieszkań krzyk rodzącej kobiety, jak zmęczona i przejęta Peszka Klajman zatrzymuje się, zsiada z roweru, opiera go szybko o ścianę i biegnie dowiedzieć się, co się dzieje. Starsze kobiety każą jej wyjść, bo to nie jest widok dla niezamężnej dziewczyny, ale ona i tak podsłuchuje za ścianą do momentu, kiedy rozlega się przenikliwy płacz noworodka.

Potem biegnie do siebie opowiedzieć o wszystkim matce i nie wie, od czego zacząć: od narodzin nowego Żyda w ich kamienicy czy od tych nagich mężczyzn na placu.

Powinienem jakoś o to zapytać, ale zabrakło mi słów. On zdawał sobie sprawę ze stanu mojego ducha i odpowiadał na pytania, których nie umiałem zadać.

– Dotrwała w obozach do końca wojny, wróciła do Oszpicyna tylko po to, by się przekonać, że nikogo z jej rodziny ani znajomych nie ma, i zaraz potem wyjechała do Izraela. Zmarła w ubiegłym roku.

Wcześniej zdążyła mi przysłać ten list. Nie mogła uwierzyć, że żyję i że ją znalazłem. – Popatrzył mi w oczy, odczytując z nich kolejne pytanie, i kontynuował: – Tak, szukam ich. Po całym świecie. Chcę im zrobić muzeum. Wszystkim, to znaczy i tym, i tamtym. Dlatego pojawiłem się na wczorajszej radzie miasta, gdzie miał być dyskutowany mój wniosek o zwrot synagogi z przeznaczeniem na muzeum Żydów oszpicyńskich.

To ten budynek z półokrągłymi oknami obok naszej kamienicy. Tak, ten ze składem dywanów. Oczywiście, dyskusji na radzie miasta nie było.

Zamiast niej pojawiła się inna, o czym doskonale wiesz.

Hirsch zamilkł i splótł dłonie między kolanami, patrząc w okno.

Rówieśnik obozu zagłady w Oszpicynie, a właściwie brat bliźniak, bo urodzony w tym samym miejscu i czasie, siedział przede mną bardziej jak mroczna ilustracja przeszłości niż jak realny człowiek. W półcieniach zapadającego zmierzchu przypominał jedną z tych monochromatycznych fotografii z pudła Sary, trochę rozmazanych i miejscami zbyt ciemnych, by dało się rozpoznać szczegóły, ale one się nie liczyły. Ważne było studium całości, ukryty za nimi cały świat. Świat, który zniknął, przywalony gigan-

tycznym doświadczeniem granicznym Holokaustu, gdzie zabrakło miejsca dla garstki oszpiczyńskich Żydów. Tam, w półmroku mieszkania Henryka Hirsza, w listopadzie 1994 roku po raz pierwszy sięgnąłem głębiej, pod podszewkę zdarzeń, i przez chwilę trzymałem w ręku gładki drewniany klocek do rozplątywania węzłów.

Nie umiałem go użyć.

– Jest tu jeszcze ktoś oprócz ciebie? – spytałem ostrożnie.

Pokazał ręką za siebie, na zamknięte drzwi do drugiego pokoju.

– Sara. I na pewno jeszcze ktoś, ale o tym nie wiem. Szczerze mówiąc, ufam, że ty mi pomożesz.

Znowu obrzucił mnie tym swoim dziwnym spojrzeniem, a ja miałem kompletny mętlik w głowie. Coś się z czymś łączyło, coś wskazywało na coś innego, sugerowało i podpowiadało, ale nie umiałem z tej mieszaniny wątków ułożyć niczego sensownego. Postawili mnie w środku jakiejś przepadłej, nie mojej pamięci i chcą, żebym rozplątał wszystkie nici. Cholera, nie jestem żadnym pieprzonym rybakiem!

– Dlaczego ja? – spytałem Hirsza tak jak parę dni wcześniej starego Cygana. Jak on się nazywa? Maldor. Jak ze średniowiecznej kroniki andaluzyjskiej.

Henryk Hirsz nie odpowiedział od razu. Podszedł do okna, wyjrzał na szare podwórze, a potem wrócił do biurka i położył dłoń na swoich teczkach. Gładził je przez chwilę z czułością, jak kolekcjoner gładzi swoje ukochane zbiory. Na jego czole pojawiła się pionowa bruzda.

– Oni mówią. Cały czas. Tylko, widzisz, nie potrafię ich zrozumieć. – W ciemności pokoju jego twarz rysowała się na tle okna ostro jak pogański totem. Patrzył przed siebie, w szare mleko podwórza, ale jego wzrok sięgał gdzieś znacznie dalej, tam, skąd przysła kręcąca się w nieruchomym oku łąza. Nie strząsnął jej powieką. Poczekał, aż spłynie do środka i zostanie wchłonięta przez twarde od nieustannego bólu ciało. Namiaszka płaczu. Minuta ulgi w nieprzepracowanej żalobie.

– Czy... ona ich słyszy? – spytałem, pokazując na zamknięte drzwi.

– Tego też nie wiem. A ona mi nie powie. Jest niemową.

Aha. Opadłem na krzesło, które skrzypnęło pode mną, jak jeszcze jedna ofiara tajemnic. Zza okna dobiegł blaszany rumor. Uniosłem wzrok. Za szybą, powoli i dostojnie, przedefilował chwiejnym krokiem nieogolony mężczyzna w rozpiętej kurtce i furmańskim kaszkiecie na głowie. Był tak pijany, że przemieszczanie ku docelowej bramie udawało mu się tylko dzięki mocnemu oparciu o ścianę. Zanim zniknął, zatrzymał się, obrócił ku nam twarz i odcisnął na szybie wielkie niezgrabne łapsko. Jak symptom.

Piętno własności i oznaczenie wroga.

Patrzyliśmy za nim jak zahipnotyzowani, dopóki nie zniknął w czeluści bramy naprzeciwko. Widział mnie tutaj? U Hirsza? U Żyda?

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Dlaczego ja?

Odczekał chwilę, jakby mi dawał czas do namysłu nad tym, czego się domagam. Potem odwrócił się i podszedł do pudła ze zdjęciami przekładanymi niedawno przez Sarę. Chwilę pogrzebał i podał mi jeden kartonik. Rzut oka wystarczył, żeby nogi się pode mną ugięły. Oparłem się o ścianę, jakbym sam był pijakiem wracającym do domu z bardzo dalekiej wyprawy, w której rzeczywistość niebezpiecznie mieszała się z urojeniem i koszmarem. Jak u pijaka.

Na czarno-białym zdjęciu, trochę nieostrym, jakby je wywołano po latach z nieco już wyblakłego negatywu, dwóch uśmiechniętych mężczyzn obejmowało się za ramiona nad brzegiem rzeki. Jednym z nich był wysoki mężczyzna w brązowym płaszczu i czarnym kapeluszu. Drugim z nich byłem ja.

– Zdjęcie zostało zrobione prawdopodobnie wiosną trzydziestego dziewiątego, parę miesięcy przed wybuchem wojny, na plantach nad Sową – powiedział wolno Henryk Hirsz, kiedy już doszedłem jakoś do siebie i usiadłem z powrotem na krześle. – Fryderyk Kublicki przyjechał wtedy do Oszpicyna pochwalić się swoim nowym nabytkiem, czyli pręgą lady. Widzisz ją w tle, z błyszczącym dachem i uchylonymi tylnymi drzwiami. Nawiasem mówiąc, wiedziałeś, że tu przed wojną była fabryka samochodów? Tak, i to całkiem niezłych. Kilka egzemplarzy na pewno gdzieś jeszcze stoi w stodołach i szopach. Mam nadzieję na znalezienie przynajmniej jednego z nich.

– Mógłbyś dalej? – jęknąłem cicho.

Z wszystkich spraw samochód Praga najmniej mnie teraz interesował. W głowie miałem mętlik, a żołądek przypominał sobie o swojej słabości do otwartego sedesu i rwał się w jego kierunku. Facet w płaszczu i kapeluszu, hrabia Fryderyk Kublicki, młody spadkobierca ziemiańskiej rodziny z Kresów, która w XIX wieku przejęła Sępnię, mieszkał przed wojną w dworku z małymi bulastymi wieżyczkami.

Szkic tej posiadłości w albumie u Łopatki wydał mi się znajomy, bo obecnie mieściła się tam szkoła podstawowa. Dawny dworek stał w Sępni, a plac manewrowy, gdzie Władek Borowiec kopał rów pod wiatę dla nowego kombajnu, stanowił kiedyś część dworskiego parku.

Mój dziadek ze strony ojca, Abraham Zylbersztajn, przyjaźnił się z hrabią Kublickim.

– Jesteś tak podobny do swojego dziadka, że od razu cię rozpoznałem w ratuszu. Abraham Zylbersztajn planował uruchomić w Oszpicynie jakiś mały interes i szukał współnika z pieniędzmi, a Kublicki zawsze obnosił się z bogactwem, szastał pieniędzmi na prawo i lewo, twierdząc, że tego jednego mu raczej nigdy nie braknie. O jego źródłach dochodu nic mi nie wiadomo, ale przypuszczam, że to właśnie ich połączyło: potrzeba i możliwości. Podobno została nawet zakupiona działka pod budowę fabryki nawozów, gdzieś nad jeziorem, na końcu ulicy Brzegi.

Drgnąłem. Ulica Brzegi przypominała mi o niedawnej niefortunnej wizycie u Kolanowskich. Wiedzieli, że mój dziadek był oszpicyńskim Żydem? Dlatego tak pogrywali?

Ale co by im to miało dać? Ścisnąłem skronie palcami, żeby złagodzić ból. Nie umiałem tego wszystkiego pojąć, od myślenia tylko rosło mi ciśnienie w mózgu i zaczynałem się bać, że coś mi tam pęknie. Zresztą nie wiem, może już pękło.

– Opowiedz mi o dziadku. Co się z nim stało?

– Nie wiem, Wojtku – odparł smutno i klepnął dłonią w stos teczek. – Tu w każdym razie go nie ma. Zniknęli oboje z żoną w czasie wojny i temu akurat nie powinieneś się dziwić. Co ciekawe, Kublicki też zniknął.

Hirsz zawiesił głos i przyjrzał mi się uważnie. Czekał. Wkurzało mnie, że zamiast opowiedzieć mi wszystko od razu, znowu ciągnie opowieść gdzie indziej. Jego kamienny wzrok jednak nie pozostawiał wątpliwości, musiałem odpowiedzieć.

– Ja go widziałem.

Nie wiem, dlaczego nie zdziwiłem się, że on się nie zdziwił.

Widocznie jakieś klocki tej układanki wskakiwały na swoje miejsce bez naszego udziału. Henryk Hirsz odetchnął z ulgą i wypogodził się. Był wyraźnie zadowolony z mojego wyznania, a nawet uradowany, co jednak nie zdarza się tak często w przypadku spotkania z duchem.

Przyszła kolej na mnie i moją opowieść. Dobierałem słowa ostrożnie, żeby wypaść wiarygodnie, choć co w tym przypadku oznaczała wiarygodność, też nie bardzo wiedziałem. Opisałem księżyc, kometę, cień pod drzewem i dziecięce kółko na wodzie. Przy tym ostatnim Henryk przerwał mi ruchem ręki i poszedł znowu grzebać w pudle ze zdjęciami. Po chwili wrócił z jednym z nich i podsunął mi pod nos.

Ponieważ na dworze zapadł już zmrok, a klosz na suficie rzucał słabe światło z jednej żarówki, zapalił lampkę na biurku i wskazał mi krzesło.

Usiadłem i pochyliłem się nad fotografią.

Grupka dzieci na trawniku, w plażowych kostiumach i samych kąpielówkach, z ręcznikami, wiadereczkami do piasku, łopatkami, obok nich dwie dorosłe dziewczyny, zapewne wychowawczynie. Za nimi w tle duży niski budynek z dwuspadowym dachem, a także huśtawka.

Dzieci uśmiechają się, jedno z nich macha rączką, rozmazaną na kliszy.

Stojąca na skraju po lewej stronie dziewczynka w kapelusiku na głowie trzyma pod pachą dmuchane kółko w kształcie żaby. Ledwie doszedłem do siebie po spotkaniu z dziadkiem i hrabią Kublickim, a mój żołądek znowu skoczył do góry jak szalony.

– Takie? – spytał Henryk, stukając palcem w zabawkę na zdjęciu.

Pokiwałem głową i głośno przełknąłem ślinę.

– Co to jest? – spytałem.

– Przedszkole żydowskie. Dzieci z tak zwanych dobrych rodzin na wakacyjnej półkolonii. Rok szkolny się skończył, a rodzice nadal muszą prowadzić interesy, więc wynajęli przedszkolanki na wakacje, żeby zajmowały się ich pociechami. Jak widzisz, robią to skutecznie. Dzieci uśmiechnięte, zadowolone, cieszą się, bo jest piękna pogoda i idą nad Sowę pobaraszkować w wodzie. Jedno z nich wzięło nawet kółko dmuchane...

– Hirsz po ostatnich słowach zawiesił głos i przyglądał mi się z ukosa.

– Masz coś mocniejszego? – spytałem. – Jakoś mi tak.. niedobrze.

Uśmiechnął się i podszedł do kredensu, skąd przyniósł butelkę wódki i dwa cynowe kieliszki z grawerunkiem. Od momentu, gdy przyznałem się do spotkania z Kublickim, strażnik oszpiczyńskich Żydów miał znacznie większą skłonność do uśmiechania się.

– Orzechówka, powinna ci pomóc. Wypijmy za twojego dziadka.

Bez Kublickiego.

Skinałem głową i wypiliśmy. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w szum alkoholu przenikającego mi do krwi, delikatny jak powiew letniego wiatru. Zaciśnięte w nerwowych skurczach mięśnie powoli puszczały i odzyskiwałem panowanie nad sobą. Pokazałem palcem na kieliszki i Henryk nalał jeszcze po jednym.

– Co teraz?

Nic z tego. Hirsz powstrzymał moją ciekawość uniesieniem dłoni.

– Nie wszystko naraz. Najpierw trzeba załatwić sprawy najpilniejsze, od tego zależy życie wielu ludzi. Dzisiaj. Mam przeczucie – westchnął ciężko jak człowiek, który musi powiedzieć coś dziwnego – że nie uda się tego zrobić bez twojego udziału. Jakoś tak, nie wiem. Cholera, nie wiem!

Pierwszy raz się uniósł i zobaczyłem żyłą pulsującą na jego czole.

W oczach zamigotał ogień i przestraszyłem się, że staną się czerwone, jak u ducha hrabiego Kublickiego. Przestał się uśmiechać i wyglądał strasznie. Odruchowo odsunąłem się od niego i wtedy też chyba pierwszy raz pomyślałem, że będę miał coraz większą trudność z oddzielaniem rzeczywistości od fikcji.

Za oknem zrobiło się już całkiem ciemno. Czeluść podwórza przypominała otchłań, z tłustym odciskiem łapy pijaka na szybie jak pieczęcią zamykającą przejście do innego świata. Za ścianą słyszałem rytmiczne szuranie, które przypominało szum maszyny do szycia. Mała Sara uczyła się tego samego co jej babki. W każdym razie takie przypuszczenie pasowało mi jakoś do... do modelu całości.

– Ale coś musisz mi powiedzieć. Skąd wiedziałeś, że spotkałem Kublickiego? To

znaczy chyba... jego ducha?

– Domyśliłem się. Te dwa zdjęcia – pokazał na biurko – leżały w pudle na samym wierzchu. Sara od dwóch miesięcy oglądała je bez przerwy, na przemian i równocześnie, i podejrzewałem, że za ich pomocą chce mi coś powiedzieć. Widzisz, Wojtku, to nie jest tak, że ja wszystko wiem i mam gotowy plan. Nie mam. Jest nawet gorzej. Nie wiem, czego by ten plan miał dotyczyć. Dlatego kiedy na posiedzeniu rady miasta zobaczyłem żywą kopię Abrahama Zylbersztajna, w pierwszej chwili ucieszyłem się. Coś drgnęło. A zaraz potem wpadłem w popłoch. Było kwestią czasu, i to krótkiego, że przyjdiesz do mnie i zapytasz, co robimy. Dokładnie tak, jak to się właśnie teraz dzieje.

Powiedziałeś przed chwilą, że sprawy układają ci się w trójkąty. Być może. Mnie się układają we wszelkie możliwe figury, z błędnym kołem włącznie.

– To co robimy? – spytałem, siląc się na uśmiech.

Henryk Hirsch tym razem nie odpowiedział uśmiechem, tylko zacisnął zęby i zawiesił wzrok na stercie teczek na biurku. Żyła na czole znowu stała się widoczna. Wziął do ręki ołówek i zapisał coś na skrawku papieru, po czym odwrócił go i położył na stole. Mój mętlik w głowie przybrał postać wirówki, w którą wrzucono obrazki, słowa i twarze, po czym puszczono na najwyższe obroty. Nie potrafiłem racjonalnie myśleć, choć miałem wrażenie, że od nadmiaru myślenia rozsadza mi czaszkę. Na moim czole również powinna pulsować wielka czerwona żyła. Może pulsowała.

– Myślałem, że ty mi powiesz.

Wirówka kręciła się jak szalona. Migotaniu obrazów i słów towarzyszyły przeskoki iskry, wskutek różnicy ładunków dochodziło do krótkich i gwałtownych spięć, od których ból promieniował na całą głowę. Zacisnąłem powieki i czekałem, kiedy ten kalejdoskop bolesnych szkiełek trochę się uspokoi i wyłoni się odpowiedź. Czekałem, a oni wirowali i wirowali. Bęben losów. Wreszcie jedna fraza zazgrzytała mi w mózgu jak zacięta płyta: „Nienawidzę szczurów, nienawidzę szczurów, nienawidzę szczurów...”, i wirówka stanęła.

– Szczury – szepnąłem.

– Słucham?

– Trzeba coś zrobić ze szczurami – powtórzyłem głośniej.

Popatrzył na mnie dwiema czarnymi otchłaniami. Wiecie, jak boli ciemność? Doświadczyliście kiedyś czegoś takiego? Tak mnie bolał jego czarny wzrok.

Wziął skrawek papieru w dwa palce, odwrócił i przesunął po blacie biurka w moją

stronę.

– Chciałeś wiedzieć, dlaczego ty? Dlatego.

Na kartce drukowanymi literami było napisane: SZCZURY.

Wracałem od Hirsza do domu piechotą, całkiem pijany. Rzecz jasna nie z powodu dwóch kieliszków orzechówki, tylko od natłoku rewelacji. Tego samego wieczoru dowiedziałem się też wreszcie czegoś o moim nieznanym ojcu. Henryk, wysłuchawszy mojej relacji, zrewanżował się opowieścią, która choć nie wyjaśniła zbyt wiele, to jednak wraz z czarno-białym zdjęciem dziadka wydała mi się cudownie odzyskanym albumem rodzinnym. Tylko że wciąż skrywał on więcej sekretów niż informacji.

– Daniel Zylbersztajn ocalał z Holocaustu, jak wiele innych dzieci.

Jego odmienność polegała na tym, że nikt nie umiał powiedzieć, jak ocalał. Kiedy wybuchła wojna, miał trzy lata, więc powinien coś pamiętać, ale w archiwach nie zachowała się żadna relacja. Twierdził, że nie wie, jak to się stało, że przeżył. Jak wiesz, zbieram takie informacje, zachowuję dla potomnych wszystko, co ci nieliczni są w stanie opowiedzieć. To niewiele w porównaniu z tym, czego tamci drudzy nam już na pewno nie opowiedzą, ale zawsze więcej niż nic. A on nie pamiętał. Ani kto i gdzie go przechował, ani czemu nie poszedł z innymi dziećmi do gazu. Zniknął. A potem w styczniu czterdziestego piątego roku zgłosił się do jednego z punktów ambulatoryjnych przy wyzwolonym obozie, sam, dziewięcioletni chłopiec, bez słowa wyjaśnienia.

– Ale żyje?

– Powinien. Wyjechał do Izraela i założył tam nową rodzinę, ale nie mam z nim kontaktu – dodał szybko, jakby obawiał się, że zażadam od niego numeru telefonu do ojca, ale mi co innego chodziło po głowie.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Czy syn Żyda jest Żydem? Słyszałem kiedyś, że żydostwo dziedziczy się po matce. To prawda?

Pokręcił głową.

– A co, przestraszyłeś się? Namacałeś rogi na głowie i czarci ogon na zadku? To dobre. Dla ciebie to całkiem świetnie. Teraz już nie uciekniesz od diabelskiej wątpliwości, będziesz musiał coś z nią zrobić.

A z żydostwem jest jak z uzależnieniem: jeśli się zaczynasz zastanawiać, czy przypadkiem nie jesteś Żydem, to znaczy, że już nim jesteś – zaśmiał się chrapliwie.

Ulica Dąbrowskiego ciągnęła się w nieskończoność. Mijałem ludzi, drogą w obu kierunkach pędziły samochody, przebijając wszędobylską mgłę żółtymi ślepiami reflektorów, ale niewiele z tego wszystkiego widziałem. Nadstawiałem ucha, ponieważ z każdego kąta dolatywały mnie piski gryzoni, które na dobre opanowały teren i harcowały na widoku. Szedłem jak na szrudłach, daleko od ścian kamienic, i wstrząsały mną dreszcze obrzydzenia. O dziwo, inni przechodnie zdawali się nie reagować na iście epicki rozmach ospicyńskiej myszeidy. Szli chodnikiem z wysoko zadartymi podbródkami, dumni i zainteresowani do żywego wyłącznie tym, co powyżej kolan. Szczurze harce nie robiły na nich żadnego wrażenia. Nie widzieli albo udawali, że nie widzą.

– To miasto miało zawsze problem z brudem – powiedział wcześniej Henryk, prowadząc mnie do innego pokoju, kiedy już dogadaliśmy się co do planu działania. Na stoliku stała niewielka drewniana skrzyneczka ze złotymi okuciami na rogach i okrągłą tarczą czegośmierza w środku. Wyglądała trochę jak przedwojenne radio, a trochę jak barometr babci na kredensie w kuchni. Na górze sterczał metalowy pręt przypominający antenę, a z boku znajdowało się pokrętło.

Sara siedziała na krzeselku przed tym czymś i kręciła czarnym kółkiem.

Henryk delikatnie nakazał jej odejść.

– Co to jest? – spytałem, odwracając się za odchodzącą dziewczynką. Nie mogłem oderwać oczu od czarnego loczka kołyszącego się przy jej uchu.

– Radiopułapka na szczury – odparł.

Powiedział to tak poważnie i spokojnie, że w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na absurdalność tej odpowiedzi. Pochłaniała mnie egzotyczna uroda Sary. Dopiero gdy dziewczynka usiadła w kącie na dywanie i zajęła się przeglądaniem albumu, spojrzałem na Henryka.

– Chcesz im puszczać radio? Będziesz zabijał szczury koncertem życzeń? Felietonami z Jedyńki?

– Z wykształcenia jestem elektrotechnikiem – ciągnął, niezrażony moją uwagą. – Lubię wymyślać dziwne urządzenia, takie, które nie istnieją, a powinny. Znasz legendę o szczurołapie z Hameln?

– Coś mi się przypomina. Grą na flecie wywabił szczury z miasta i potopił w jeziorze. Jakoś tak, prawda?

– Tak. Flet to rurka z otworkami o różnej średnicy. Powietrze wpada w nich w wibracje i wydostaje się w postaci dźwięków. Część z nich jest powyżej granicy ludzkiej

słyszalności, ale wychwytyują je inne zwierzęta, te z wrażliwszym słuchem. Zauważ, ile mamy opowieści o zwierzętach reagujących na piszczałkę: mit o Marsjaszu, kobry tańczące w koszyku, a nawet pies Adriana Leverkühna, który reagował na gwizdek.

– Czyj pies?

– No tak, kto dzisiaj to czyta – westchnął Henryk. – Wróćmy do mojej radiopułapki. Nie trzeba być geniuszem, by wymyślić, że chodzi po prostu o odpowiednią częstotliwość ultradźwięków. Do tego służy to pokrętko z boku.

Odwrócił skrzyneczkę i pokręcił czarnym kółkiem. Pomimo ogólnego oszołomienia i bólu głowy wystarczyło mi trzeźwości, by się roześmiać.

– Chcesz powiedzieć, że za pomocą tego pudła zwołasz szczury nad Jezioro Wronie i tam każesz im wejść do wody, żeby się potopiły?

A myślałem, że z nas dwóch ja tu jestem bardziej stuknięty.

– Masz jakiś inny pomysł?

– O ile się orientuję, istnieje cała wielka gałąź przemysłu chemicznego specjalizująca się w trutkach na gryzonie. Niewykluczone, że tutejsze zakłady też je produkują. W każdym razie ospicyński sanepid z pewnością dysponuje odpowiednim sprzętem i kwalifikacjami, by załatwić ten problem w kilka dni.

– To dlaczego tego nie robią?

Pytanie Henryka zbiło mnie z tropu. Faktycznie, sprawa została poruszona na radzie miasta i nikt nie wspomniał o rutynowej deratyzacji, na którą miał nadzieję naczelnym, gdy mnie odpytywał.

– Próbowali – odpowiedział sam sobie Hirsz. – Okazało się, że ta odmiana szczura jest odporna na truciznę. Zeżarły tyle, że wystarczyłoby tego na zabicie mieszkańców trzech takich miast. A jednak szczury mają się świetnie i rosną w siłę. Przybywa ich w geometrycznym tempie.

Zastawianie łapek też nie przyniosło żadnych efektów i, o ile wiem, żaden się nie dał złapać. Ani jeden, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem, tylko przyglądałem się przez chwilę jego twarzy. Szukałem jakichkolwiek oznak szaleństwa, odstępstwa od normy, jakiegoś błysku obłąkania, które wariaci umieją skutecznie maskować, ale prędzej czy później zdradzają się jednym słowem, gestem albo po prostu drgnieniem mięśnia na twarzy. Niczego takiego nie zauważyłem u Henryka. Mówił zupełnie poważnie.

– Sprawdzales, czy to w ogóle działa? – zapytałem z nadzieją, że go zdemaskuję. Zamiast odpowiedzieć, wziął skrzynkę pod pachę i wyszedł z nią do kuchni. Ustawił na

biurku tuż przy oknie i palcem wcisnął przycisk uruchamiający urządzenie. Stałem za jego plecami i patrzyłem na drewniany sześcian z czarnym pokręteł. Wierzchołek cienkiej antenki przecinał na pół odbitą na szybie pijacką dłoń. Ze środka dobiegło ledwie słyszalne bzyczenie i wskazówka ruszyła powoli w górę. W zasadzie nic się nie działo, nie licząc delikatnego brzęczenia nagrzaných obwodów wewnątrz skrzyneczki. Spojrzałem pytająco na Henryka, a on uśmiechnął się tajemniczo. Za oknem panowała ciemność, słabe światło z okien kamienicy nie miało szans oświetlić wysokiej studni wewnętrznego dziedzińca. Hirsz wziął do ręki lampę biurową, odwrócił jej blaszany klosz ku oknu, przysunął do samej szyby i włączył.

Snop światła padł na betonowe podłóże podwórza. Skrzyneczka cicho brzęczała.

Widok był niesamowity. Żelazne drzwiczki naprzeciwko rozchyliły się i z wnętrza śmietnika zaczęły wychodzić szczury. Najpierw jeden, wielki jak kot, po nim dwa nieco mniejsze, a potem już wychodziły rzędami, jak wojsko w szyku bojowym. Ustawiały się w szereg i ruszały przed siebie, z początku niepewnie, robiły po kilka kroków, a później już równym, miarowym marszem. Zafascynowany pochyliłem się i przystawiłem dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć. Maszerowały wprost na mnie, powoli, skupione na zachowaniu regularnej formacji, z hetmanem na czele i dwoma chorążymi tuż za nim. Jednak szare i podrygujące w rytm drobnych kroków, do złudzenia przypominały wojsko w mundurach. W rozwartych pyszczkach błyszcząły białe zęby, małe okrągłe oczka świeciły na czerwono. Gdy dowódca i adiutanci byli już prawie pod naszym oknem, zza zardzewiałych drzwiczek wciąż wychodziły następne. Zdumiała mnie ich liczba, niewiarygodna, biorąc pod uwagę rozmiary śmietnika.

W pewnym momencie rozległo się pstryknięcie, szum skrzynki ustał i zapadła nagła cisza. Szczury zatrzymały się. Ten największy stał na dziedzińcu tuż przed nami i wpaływał się w okno. Czekał. Nagle Henryk klasnął w dłonie i szczury rzuciły się do śmietnika. To już nie był zwarty wojskowy szyk, lecz bezładna bieganina stada bezrozumnych i przestraszonych gryzoni. Tłoczyły się i lały jedne przez drugie, żelazne drzwiczki trzęsły się pod naporem szarej rozedrganej masy i niemal słyszałem skrzywienie zardzewiałych zawiasów. Wreszcie szczury wpakowały się z powrotem do swojego lokum i obraz znieruchomiał. Henryk wyłączył lampę.

Stałem przy szybie jak skamieniały i nie mogłem oderwać oczu od martwej ciemności, jeszcze przed chwilą pulsującej szczurzym życiem.

Poczułem dotknięcie na ramieniu i odwróciłem się. Za mną stała Sara.

Ścisnęła moją rękę i uśmiechała się. Miała piękne oczy.

– Co...

Te oczy mówiły do mnie, jak ludzie z tekturowych teczek. Były jak mapa tajemniczej krainy, o której słyszałeś, że jest zachwycająca, ale nie znasz drogi. Nieznany język, niewymówione słowa, nieczytelne wskazówki, a ty masz zrozumieć i pomóc. Jak?

– Co właściwie chcesz zrobić? – spytałem, gdy dziewczynka puściła mnie i odeszła do siebie. Na skórze pod swetrem czułem ciepło jej dłoni.

Henryk z trudem opanował irytację. Wbrew swojej wypracowanej pozie kamiennego strażnika często ulegał zmianom nastroju. Był w środku rozchwiany, rozregulowany, nadmiernie wyeksploatowany emocjonalnie.

– Jeszcze nie wiem. Ciągłe chcesz, żebym wszystko wiedział i powiedział ci, a ja po prostu nie wiem! Załatwmy najpierw jedną sprawę. To coś – klepnął dłonią w skrzynkę – działa na małą skalę, do kilku metrów. Żeby oczyścić miasto, musielibyśmy przez rok maszerować z tym od domu do domu, jak ze świętym obrazem.

Planowałem – przerwał zamyślony i rozważał coś przez chwilę – zbudować znacznie większy nadajnik, powiedzmy wielkości tego śmietnika, żeby można go było wozić na samochodzie. Ale potrzebny jest odpowiedni prąd, a ja nie mam takiego generatora. Poza tym gdzie ja to mam zbudować? Tu?

– Czego nam potrzeba? – spytałem.

– Zauważyłem, że zasięg plagi nie wykracza poza obręb ścisłego miasta i starego osiedla. Tam – pokazał ręką za siebie, gdzie za rzeką leżał dworzec kolejowy i muzeum – jest ich niewiele. Co wydaje się trochę dziwne, bo ta pogryziona handlarka tam właśnie ma warzywniak.

Być może nie potrafią przekroczyć Sowy. Chociaż potrafią nie takie rzeczy... W każdym razie gdybyśmy mieli taki generator i wzmocnili odpowiednio sygnał, wystarczyłoby objechać miasto i osiedle, a potem wyprowadzić je na jezioro i...

Słuchałem tego starszego, poważnego człowieka, jak opowiada o zwabianiu szczurów z całego miasta wielkim generatorem ultradźwięków, żeby je potopić w jeziorze, i zastanawiałem się, czy to się dzieje naprawdę. W każdej innej sytuacji – nie chcę powiedzieć „normalnej”, ale coś koło tego – otóż w każdej innej sytuacji wyszedłbym stamtąd natychmiast z mocnym postanowieniem, by nigdy więcej nie mieć z tym człowiekiem do czynienia. Teraz jednak sytuacja nie była normalna. Z godziny na godzinę robiła się coraz bardziej nienormalna, jakby granica pomiędzy rzeczywistością a władzą przestała obowiązywać, a to wymaga rozwiązań niekonwencjonalnych. To było jak najbardziej niekonwencjonalne, ale... ale mieściło się jeszcze w jakichś ramach. Ogólnie rzecz biorąc...

– Władze miasta pójdą na to? Prezydent? Przewodniczący rady?

Większość na pewno będzie stawiać opór...

Henryk kiwał potakująco głową, ale myślał swoje.

– Do czasu, mój drogi. Sądzę, że to tutaj – zakreślił ręką koło w powietrzu – dopiero się zaczyna.

– Czyli co?

Skrzywił się.

– Już ci mówiłem. Mam zamiar dowiedzieć się tego od ciebie.

Cokolwiek to jest, będziesz musiał coś z tym zrobić.

Na tym zakończyła się moja pierwsza i właściwie jedyna poważna wizyta u Henryka Hirsza, strażnika oszpicyńskich Żydów. Miałem jeszcze wiele pytań, ale i tak dowiedziałem się bardzo dużo jak na jeden wieczór, więc resztę zostawiłem na później. Chciałem poskładać niektóre fragmenty sam, żeby następnym razem zadać trafniejsze pytania. Następnego razu nie było.

Jak już mówiłem, mój powrót od niego piechotą wzdłuż ulicy Dąbrowskiego, obok obu cmentarzy, miał w sobie coś z przemarszu pijaka eksterytorialnym korytarzem zamroczenia alkoholowego, wiodącym wprost z knajpy do domu, z pominięciem stacji pośrednich.

Nie widziałem ludzi, a oni nie widzieli mnie; mijaliśmy się jak samolubne pantofelki w kałuży, każdy zajęty swoim mikroświatem.

Gwoli ścisłości powinienem uzupełnić, że wrażenie to dotyczyło wyłącznie dorosłych. Dzieci mnie widziały, a nawet niektóre z nich uśmiechały się i machały do mnie rączkami, jakbym był ich dobrym znajomym, woźnym ze szkoły, dajmy na to. Początkowo je ignorowałem, ale kiedy zjawisko zaczęło się regularnie powtarzać, odmachiwałem im. Wiele ryzykowałem – rodzice mogli nabrać podejrzeń co do charakteru tych kontaktów. Ale nie, żaden z nich nie zareagował, jakby tego w ogóle nie dostrzegali. Jakbyśmy byli tu sami: ja i dzieci.

W połowie ulicy Dąbrowskiego zatrzymałem się i spojrzałem w lewo. W wąskiej przecznicy, słabo oświetlonej latarniami, stała dziewczynka.

Miała na sobie rozpiętą kurtkę i wełnianą czapkę, spod której wystawały jasne warkocze sięgające do ramion. Patrzyła prosto na mnie i coś ścisnęła w prawej ręczce. Mogła mieć sześć, najwyżej siedem lat.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jej opiekunów, ale nikogo w pobliżu nie było, tylko ona i ja. Ruszyłem w jej stronę. Kiedy dzieliło nas jakieś pięć metrów, dziewczynka nagle odwróciła się na pięcie i pomaszerowała przed siebie szybkim krokiem. Warkocze opadły na plecy i podrygiwały śmiesznie w rytm stukających o chodnikowe płyty bucików. Po kilkunastu metrach zatrzymałem się. A jeśli ktoś mnie weźmie za pedofila ścigającego ofiarę?

– Hej, mała, dlaczego chodzisz sama wieczorem po ulicy? – zawołałem specjalnie głośno na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował.

Chciałem mieć alibi.

Dziewczynka odwróciła się i skinęła na mnie rączką. Trzymała pęk kolorowych patyczków, chyba kredek. Ruszyłem ku niej, a wtedy pobiegła w figlarnych podskokach, jakby uciekanie przede mną ciemną uliczką w listopadowy wieczór stanowiło świetną zabawę. Jakaś część umysłu ostrzegała mnie, że to wróży kłopoty, ale w innej nadal rozbrzmiewały słowa starego Cygana Maldora: „Pilnuj dzieci”.

Poszedłem za nią, wyciągając nogi, ponieważ poruszała się całkiem żwawo. Nie chciałem biec, żeby postronnym obserwatorom nie kojarzyć się z napastnikiem. Skręciła w przecznicę i po kilkunastu metrach znaleźliśmy się na innej ulicy, w której rozpoznałem Brzegi. Zwolniłem.

Robiło się coraz mniej wygodnie. Uliczka była zupełnie pusta, w żadnym z okien nie paliło się światło, jakby wszyscy wyszli albo położyli się spać. Kto chodzi spać o ósmej wieczorem?

Pod domem Kolanowskich bacznie rozejrzałem się na boki.

Dziewczynka zatrzymała się przed bramą i skinęła na mnie ręką z kredkami. Poważnie? Poczucie, że kolejna sytuacja nie pasuje do reszty i wiedzie mnie na manowce, stało się dojmująco bolesne. Miałem wielką ochotę odwrócić się i zwyczajnie uciec. Dobrze bym zrobił, ale...

Wiecie, jak jest: gdy jeszcze można coś zrobić, człowiek nie ma pojęcia, co by to miało być.

Staliśmy przez chwilę, czekając, kto pierwszy zrobi ruch. Wreszcie obróciła się i zniknęła w bramie. Przemogłem się i ruszyłem za nią.

Przez uchyloną furtkę wszedłem na dobrze mi znany podjazd. Dom był wygaszony, ale świeciło się w piwnicy. Dziewczynka kuciała przy prostokątnym okienku znajdującym się tuż przy ziemi, nieopodal sterty liści, gdzie niedawno rzuciłem pręt ze zdechłym szczurem. Dziecko, willa Kolanowskich, piwnica – zbyt wiele z tych elementów pochodziło z mojej układanki, bym mógł to tak po prostu zostawić. Ostrożnie stawiając kroki, podszedłem do okienka i zajrzałem do środka.

Szyba była brudna i oblepiona pajęczynami, musiałem przetrzeć ją palcem, żeby coś dojrzeć. Zrobiłem to bardzo ostrożnie, ponieważ zakładałem, że ktoś jest w środku i może mnie zobaczyć, co z pewnością nie skończyłoby się dobrze. Przyklęknąłem i pochyliłem głowę ku ziemi.

Delikatnie odsunąłem na bok źdźbło suchej trawy, które połaskotało mnie w ucho. Wydawało mi się, że słyszę spod ziemi niskie buczenie.

Spojrzałem na dziewczynkę. Uśmiechnęła się promiennie, garścią kredek wskazała mi brudne okienko i usunęła się w cień, żebym mógł lepiej widzieć. Przywarłem nosem do szyby.

Mężczyzna stał oparty o ten sam słupek, z którego niedawno zdejmowałem przebitego szczura. Obiema rękami dociskał do siebie pośladki kobiety, a ta obejmowała go za szyję, wpijając się w jego usta.

Spod zadartej czarnej sukienki świeciły nagie uda, prawa noga opierała się szpiczastym obcasem na półce ze słoikami i kołysała do rytmu z biodrami mężczyzny, wprawiając w ruch kiszane ogórki i śliwki w kompotach. Niemal słyszałem ich chlupotanie. Kiedy on nieco przyspieszył, ona uwiesiła się na nim mocniej i podniosła również drugą nogę, obejmując go kolanami w pasie. Pracowali z mozołem w tej wymagającej pozycji, ciągle przyspieszając i grożąc katastrofą regałowi z przetworami babci Kolanowskiej. W pewnej chwili kobieta obróciła głowę i nie przerywając płynnego kołysania, wepchnęła sobie kciuk do ust, zerkając na piwniczne okienko. Błyszczące wargi wykrzywiły się w lubieżnym grymasie. Cofnąłem się w obawie, że mnie zauważy, co nie miało sensu. Przecież zrobiła to specjalnie dla mnie.

Zamknąłem oczy i słuchałem słabego pojękiwania dochodzącej właśnie kobiety. Bez trudu rozpoznałem w niej Ewę Kolanowską, ale ten szok okazał się niczym w porównaniu z następnym. Obok zwiniętych w kłębek białych majtek na podłodze leżały brązo-

wy płaszcz z futrzanym kołnierzem oraz czarny kapelusz.

Przełknąłem ślinę. Nagle przestraszyłem się, że dziecko obok mnie też na to patrzy, i rozejrzałem się dokoła. Dziewczynki nie było.

Otrzeptałem kolano i zawołałem szeptem:

– Hej.

Poszła sobie. Nie chciała na to patrzeć, ale chciała, żebym ja popatrzył. Bardzo ci dziękuję, miła dziewczynko, zrobiłaś dobry uczynek. Niech to szlag! Trząsałem się z przejęcia i nie mogłem odegnać sprzed oczu obrazu podrygujących rytmicznie pośladków. Z duchem?

Zacisnąłem zęby na lewej dłoni. Trochę puściło. Nadstawiłem ucha.

W ciemności słyszałem tylko kapanie pojedynczych kropeł ze starej jabłoni, z której spadła foksterierka, i dudnienie pod ziemią. W pierwszej chwili pomyślałem, że to odgłosy z piwnicy i przyklęknąłem ponownie przy brudnej szybce, ale w tym momencie zgasło światło i ktoś zamknął drzwi od spiżarni. Usłyszałem stuk obcasów na schodach.

Zerwałem się na równe nogi i rzuciłem do ucieczki. Minąłem uchyloną furtkę, wpadłem na chodnik i popędziłem w dół ulicy, w kierunku jeziora. Byle dalej od tego zważowanego domu. Biegłem i biegłem aż za ostatni budynek, gdzie rozciągały się pola i łąki.

Minąwszy ogród, skręciłem w lewo i wzdłuż płotu dotarłem do zwirowej ścieżki, służącej w lecie za wygodny skrót do miasta wracającym z kąpieliska mieszkańcom osiedla. Po chwili minąłem mur okalający ruinę żydowskiego cmentarza i wkroczyłem z powrotem na ulicę Dąbrowskiego. Rozejrzałem się dokoła i jeszcze raz otrzeptałem spodnie na kolanach. Gdyby mnie teraz ktoś obserwował, miałby pełne prawo wziąć mnie za podejrzanego, ale nic nie wskazywało na to, żeby w zasięgu wzroku ktokolwiek się znajdował. Wziąłem głęboki wdech i normalnym krokiem ruszyłem na Manhattan.

Daleko nie uszedłem.

– Cześć, koleś. Masz fajki?

Wyrośli nagle, jak spod ziemi. Pochłonięty tym, co właśnie zobaczyłem w piwnicy Kolanowskich, nie zauważyłem zbliżających się do mnie trzech osiłków. Podeszli z lewej strony, od małego parkingu pod sklepem. Stały na nim tylko cztery samochody i wydawało mi się, że w jednym z nich rozpoznaję granatowego fiata 125p. Na ucieczkę było za późno.

– Nie palę.

Kiedy trzech napakowanych gości w rozpiętych kurtkach pyta cię o papierosa, może im chodzić o różne rzeczy, ale na pewno nie o papierosa. Szybko dali mi do zrozumienia, że ten przypadek nie jest inny.

– Może jednak sprawdzimy?

Mówił środkowy, najniższy. Zwykle tak jest, że ci najmniejsi mają najwyższe aspiracje do rządzenia i są najbardziej elokwentni. Kto wie, może to kwestia rozwoju osobniczego: kiedy siła życiowa idzie w ciało, na umysł zostaje niewiele.

– A co, jeśli naprawdę nie mam? Zostawcie mnie w spokoju?

Mały zrobił krok do przodu.

– Się zobaczy. Będziesz mędrkować, gryzipiórku? Jasne, gazeciarze tak mają i nie o to chodzi. Gorzej, że lubisz ruchać cudze żony, a tego z kolei my bardzo nie lubimy. A wiesz dlaczego? Bo to porządne miasto i takie łachudry jak ty nie będą nam tu psuć opinii.

– I wy jesteście ci porządni, co? Z dobrą opinią?

Podszedł bliżej, tamci dwaj też. Nie miałem szans. Moje nogi drgnęły w nagłej potrzebie dania dyla, ale przypomniałem sobie pulsujące rytmicznie w piwnicy ciało Ewy Kolanowskiej i wezbrała we mnie wściekłość. Jakie cudze żony? Co to w ogóle za podła intryga? Ale nie było czasu na dywagacje. Na ucieczkę też nie. Zacisnąłem pięści.

– Nie wiem, o czym mówisz. Masz bić, to bij, a nie pieprz.

Mały znajdował się już na odległość ciosu. Wsunąłem prawą nogę do przodu i skręciłem biodra w lewo. Tej zmyłki nauczył mnie kiedyś kolega, który ćwiczył taekwon-do. Stajesz tak, jakbyś był mańkudem i chciał uderzyć z lewej, a potem prawą nogą kopiesz w krocze przeciwnika. Nie musisz idealnie trafić, ważne, żeby tamten się odruchowo zgiął, chociaż trochę. Niewielu facetów potrafi zapanować nad tym odruchem. Kiedy jego twarz jest skierowana w dół, cofasz nogę i równocześnie wyprowadzasz z biodra cios prawą ręką. To trwa ułamek sekundy, ale jak się ruchy zgrają, twoja pięść ląduje dokładnie na jego szczęce. Liczy się rytm. Przy odpowiedniej synchronizacji siły z techniką to zwykle kończy walkę.

Niski wzrost napastnika spowodował, że dostał nie w szczękę, tylko w nos i wargi. Chrupnęło i mały wylądował obok dwóch osiłków.

Gdyby byli dobrymi kumplami, przytrzymałoby go przed upadkiem na betonowy chodnik, a ja miałbym wtedy czas na ucieczkę. Ale nie byli.

Ignorując kolegę ze zmiądzonym nosem, natarli na mnie. Cofnąłem się do pozycji wyjściowej i wybierałem właśnie następny cel, gdy coś brzęknęło. Obaj wyjęli z kieszeni łańcuchy.

– Odjebało wam? – zdążyłem krzyknąć, ale oni nie zamierzali odpowiadać.

Zamachnęli się równocześnie i nad pierwszym łańcuchem zdołałem jeszcze przeskoczyć, ale drugi trafił w łydki i ściał mnie z nóg.

Poczułem potworny ból i skuliłem się dla osłony. Miałem nadzieję, że chcą mnie tylko nastraszyć. Następny cios łańcuchem przez głowę rozwiął te złudzenia. Chcieli mnie zabić. Potoczyłem się chodnikiem skulony jak piłka, ale i tak nie uniknąłem uderzenia w plecy i kolejnego w głowę. Poczułem mokre ciepło na policzkach i za uszami. Traciłem przytomność. W ostatniej heroicznej próbie odbiłem się rękami od chodnika i poderwałem do biegu, ale cios w brzuch zgiął mnie wpół.

Usłyszałem jeszcze głośny jęk, krzyki i tupot nóg, a potem nagle zrobiło mi się błogo. Po twarzy gładziły mnie drobne dziecięce dłonie.

Uśmiechnąłem się i odleciałem.

Pamiętam czarny punkcik na białym ekranie. Tkwi nieruchomo, nagle przesuwa się szybko na inną pozycję i ponownie nieruchomieje.

Potem znowu. Kursor na czystej kartce. Skasowałem tekst, a on się dalej pisze. Zdanie i pauza. Zdanie i pauza. Niestety, nie umiem go przeczytać. Jest tekst, ale nie ma liter. Kursor wraca do poprzedniej linijki, coś poprawia, idzie w dół do ostatniego słowa i namyśla się nad dalszym ciągiem. Ale nie wiem, jakie to słowo. Nic nie wiem.

Mucha. Nie kursor na ekranie, tylko mucha na suficie. To była pierwsza krytyczna myśl, jaka zadźwięczała w moim mózgu na podobieństwo gongu budzącego po latach uspiomych rycerzy. Ucieszyła mnie i postanowiłem ją wygłosić, co się nie udało, ponieważ nie miałem ust. Wysłałem polecenie do twarzy, konkretne, ale nic się nie wydarzyło.

Usłyszałem czyjś krzyk.

– Otworzył oczy!

Zrobił się rumor, rozległy się kroki, ktoś odsunął krzesło.

Spróbowałem jeszcze raz.

– Uucha...

– Wojtuś! Kochany! – usłyszałem jęk kobiecego głosu, to była matka.

– Słyszysz mnie? Wojtuś, słyszysz?

Chciałem pokiwać głową, ale nie wiedziałem, czy na pewno ją mam, skoro nie miałem na przykład ust. Coś jednak musiało mi się udać, ponieważ matka westchnęła:

– Słszy!

Kroki wróciły, jakby gęstsze, szary cień przesłonił mi muchę na suficie. Po chwili obraz się wyostrzył i z szarości wyłoniła się owalna twarz w okularach i ze szpakowatym wąsem pod nosem.

– Proszę nic nie mówić, odpowiadać tylko powiekami. Słszy mnie pan?

Opuściłem powieki i poczułem ulgę. To chyba jednak jest życie.

Chciałem jeszcze rozmawiać, chciałem pytać i kombinować odpowiedzi, ale lekarz tylko pokręcił głową i dał mi zastrzyk. Zasnąłem.

Tyle pamiętam z pierwszego dnia po odzyskaniu przytomności utraconej wskutek ciężkiego pobicia, które omal nie zakończyło się śmiercią. Jak mi później donosił naczelny, uratowali mnie przypadkowi przechodnie. Rzucili się z krzykiem na kopiących mnie oprawców i zatrzymali przejeżdżający samochód. Wkrótce zrobiło się zbiegowisko, a tamci trzej tradycyjnie już uciekli niezawodnym granatowym fiatem.

Co za samochód...

To byli Kopciowie. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności akurat tego wieczoru zostawili kawiarniany interes pod opieką kelnerek i barmana, a sami poszli do znajomych na andrzejki. Wracali wcześniej, bo małemu zrobiło się niedobrze i chciał do domu. Paweł odwiedzał mnie później, powiedział, że to jego synek pierwszy nas dostrzegł i narobił rabanu.

– Wrzeszczał jak opętany i kopał mnie po nerkach. Gdyby nie on, poszlibyśmy dalej – stwierdził melancholijnie Paweł, dając mi do zrozumienia, że jego nieoceniona pomoc wynikała z przypadku.

– Jak on się miewa? – spytałem.

– Kto?

– Twój synek. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, miał coś z nogami...

– A tak. – Paweł zamasyście machnął ręką, by podkreślić, jak nieważna jest tamta sprawa. – Przeszło mu.

– Mówiłeś, że kopał cię w nerkę. Czyli go niosłeś na rękach, tak?

– Stary, on ma siedem lat i źle się poczuł! Myślisz, że kłamię? Nie no, super! Dzięki bardzo, stary, miło cię było ratować.

Klepnął mnie w ramię i wyszedł obrażony. Nie zdążyłem go zatrzymać, bo zastanowiła mnie ta jego urażliwość na punkcie chłopca.

Poprzednim razem też podobnie zareagował, z czego wnioskowałem, że syn Pawła Kopcia, jego chore nogi i ja to też jakiś wart rozważenia trójkąt.

Matka siedziała przy mnie całe trzy tygodnie. Codziennie. Wzięła urlop i zainstalowała się w moim mieszkaniu na Manhattanie. Cierpłem na myśl o tym, w jakim stanie je zastała. Miała jakieś niesłychanie pogmatwane i wielowątkowe poczucie winy w związku z moim wypadkiem. Twierdziła, że posłanie mnie do Oszpicyna to jej największy błąd w życiu.

– A ja sam nie jestem twoim największym błędem? – spytałem w przyływie irytacji. We wszystkim widziała swoją winę.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie, co jak wiadomo, bywa najlepszym potwierdze-

niem. – I zabraniam ci tak mówić!

– Dobrze już, dobrze, przepraszam. – Wziąłem ją za rękę. – Ale opowiesz mi kiedyś wreszcie tę historię, co? I powtarzam: to ja podjąłem tę decyzję, nie ty.

Skinęła głową i na tym się rozmowa skończyła.

Lista odwiedzających nie była długa, ale całkiem sympatyczna.

Obrażony Paweł Kopeć wpadł jednak jeszcze dwa razy i przyniósł mi fantastyczne kremówki. Zjadłem je natychmiast, a protestującej pielęgniarce wytłumaczyłem, że fizycznie może to nie jest zdrowe, ale dobrze mi robi na psychikę. O synka nie miałem zamiaru pytać, ale Paweł sam zaczął.

– Słuchaj, wiem, że to dla ciebie może być ważne. Mikusowi naprawdę przeszło. Nie chciałem o tym mówić, stary, bo kto lubi rozpowiadać o postępującym paraliżu własnego dziecka. Ale przeszło.

Lekarze nie umieli wyjaśnić tej samorzutnej poprawy, zresztą samego paraliżu też nie. Cofnęło się. Mikołaj chodzi normalnie.

– W porządku, dzięki – odparłem. – Może się przyda. Co poza tym?

– Poza tym nic. Jeśli nie liczyć plagi szczurów, która coraz bardziej daje w kość. Słuchaj, stary, to jakieś pandemonium! Są wszędzie!

Pokazałem palcem na podłogę.

– Tu nie ma.

– Powiem ci, to aż dziwne. W dzień się nie da przejść z jednego końca rynku na drugi, żeby nie zobaczyć całych band bezczelnie paradykujących pod ścianami. Sanepid szaleje po piwnicach i strychach, tylko że nic na nie nie działa! Służby miejskie chodzą i tłuką pałkami, ale to jakbyś zawracał rzekę widelcem. Te ubite znoszą na wysypisko za miastem i palą. Czaisz?

– Czaję – skrzywiłem się. – Ale nie nadwyreżaj już, proszę cię, mojego układu trawiennego. Kremówki wystarczą.

– Podobno miasto ma nowy pomysł – stwierdził Paweł. – Kto wie, może to tylko propaganda, wiesz, żeby nie polecieć ze stołków. Nikt nie potrafi wyjaśnić, o co chodzi z tymi szczurami.

Przypomniałem sobie skrzyneczkę Henryka Hirsza i pomyślałem, że on by pewnie potrafił, ale nie powiedziałem tego głośno.

Parę razy przysłała do mnie Ola Czech, córka policjanta z Sępni.

Pewnie ojciec jej kazał, a matka odpowiednio wyprawiła na drogę, bo dziewczyna

zaczęła wyjmować z torby pomarańcze, banany, ciasto drożdżowe, słoik z kompotem czereśniowym, a nawet gazetę. Ten słoik mnie dobił. Znowu zobaczyłem przed oczyma duszy mojej kołyszący się regał z opartym na nim obcasem Kolanowskiej i głośno przełknąłem ślinę. Dziewczę myślało, że to z oskomy, i spytało, co mi podać.

Chciałem odpowiedzieć, że woreczek foliowy na rzygi, ale się zmitygowałem. Ona nie była niczemu winna, a poza tym miała zgrabne nogi, co nie mogło umknąć mojej uwadze. W ogóle była dosyć ładna.

Poprosiłem, żeby jeszcze przysłała, a ona skwapliwie skorzystała z zaproszenia i po trzech odwiedzinach postanowiłem jednak porozmawiać poważnie z Januszem Karpińskim o pomocy do prac redakcyjnych.

W celach służbowych zaglądał też aspirant Węgrzyn, żeby sprawdzić, czy mogę już zeznawać. Lekarze parę razy odprawili go z kwitkiem, ale w końcu dali przyzwolenie i spisał moją opowieść.

Poleciłem mu podwójnie podkreślić szczegół, że na parkingu w pobliżu miejsca napadu stał granatowy duży fiat. Żeby w protokole nie udawali, że wybicie okna u Stefanowskiego i pobicie Jaromina nie miały ze sobą nic wspólnego. To musieli być ci sami ludzie i pozostawało jedynie ustalić zleceniodawcę. W tym względzie również miałem swoje typy.

Nie muszę chyba dodawać, że wątek z dziewczynką i willą na ulicy Brzegi pominąłem. Moja powściągliwość okazała się zbawienna.

– Masz podejrzenia, kto mógłby tego chcieć? – spytał Mariusz Węgrzyn, wpatrując się we mnie.

– Pewnie, chłopie, że tak. Ale nie powiem ci, bo nie mam dowodów.

– A prywatnie?

– Prywatnie to radny Alfred Łopatko.

Aspirant zmarszczył brwi.

– Dlaczego tak myślisz?

– On mi się nie podoba.

– Przypuszczam, że on się nikomu w tym mieście nie podoba, ale to za mało – stwierdził. Zgodziłem się z nim niechętnie.

– Tak, wiem, ale mam jakieś przeczucia. On się bardzo interesuje sprawami, które właściwie nie powinny go obchodzić. A tak na marginesie, co ze skarbem w Sępni?

Węgrzyn wzruszył ramionami.

– Chyba rzeczywiście nie było żadnego skarbu. Poza tym od czasu zamknięcia w zasadzie jedyne świadka nie ma żadnych nici, za które można by pociągnąć.

– O jakim zamknięciu świadka mówisz?

– No tak, leżysz sobie w szpitalu, to nie wiesz. Władek Borowiec popełnił samobójstwo w areszcie. Powiesił się na własnych spodniach.

Opadłem na poduszkę i zamknąłem oczy. Natychmiast z pamięci wyłonił się obraz pociągłej, nieogolonej twarzy, wykrzywionej panicznym strachem i nerwowo rozglądającej się na boki. Wiedziałem, że tak nie wygląda człowiek, który boi się aresztowania za nielegalne posiadanie broni, i planowałem porozmawiać z nim o tym, co naprawdę się znajdowało w wykopanym dole. Za późno.

– Kiedy to się stało?

– Dwa tygodnie temu, dokładnie dwudziestego dziewiątego listopada. Znaleźli go podczas pierwszego porannego obchodu.

Poranek dwudziestego dziewiątego listopada, wtorek, gabinet Łopatki. Ja zbieram się do wyjścia, a pan radny odbiera telefon i nic nie mówi, tylko uśmiecha się do słuchawki. Doprawdy, nie trzeba być śledczym dziennikarskim, by dodać dwa do dwóch. Postanowiłem jednak nie dzielić się swoimi pomysłami z sympatycznym aspirantem.

– A co znaleźliście w dziurze za szopą w jego obejściu?

Mina sympatycznego aspiranta warta była tego pytania. Szczęka mu się wydłużyła, oczy wybałuszyły, a powieki zamrugały jak u dziewczycy.

– Skąd wiesz o dziurze?!

Zmusiłem spiętą chirurgicznymi drutami szczękę do uśmiechu, którym pewnie mógłbym skutecznie straszyć w przedszkolu dzieci odmawiające zjedzenia zupy.

– Stąd, że tam była. No więc co znaleźliście?

– Nie znaleźliśmy niczego, tylko głęboki dół. Zresztą nie wolno mi mówić.

Uniosłem się na poduszcze.

– To ja ci powiem. Borowiec znalazł nie tylko rewolwer, ale i skarb. Powiększył dół, żeby go tam schować, a na wierzchu dla niepoznaki położył owiniętą w szmatę broń. Liczył na to, że jak ktoś znajdzie rewolwer, to nie będzie grzebał dalej. Ale się przeliczył.

Prawdziwe znalezisko wyparowało, a wy zastaliście na miejscu jedynie wielką dziurę. No i co, fajne?

– Takie sobie. Ludzie się dowiedzieli i kopali dalej – oponował Węgrzyn bez prze-

konania. – Niczego nie znaleźli, bo tam niczego nie było. Plotki i gadania.

– Tak, wiem. Jak tylko coś się dzieje w tej sprawie, od razu uruchamiacie ściemę w rodzaju „plotki i gadania”. Zręczne, ale nie dla mnie, Mariusz. Jak chcesz, to ci powiem, jak to wyglądało. Albo lepiej nie. Ty mi powiedz. A właściwie mam inny pomysł: rzucimy monetą.

Jak orzeł, to ty opowiadasz, a jak reszka, to ja. Zgoda?

Sięgnąłem do metalowej szafki po portfel, ale Węgrzyn złapał mnie za rękę.

– Żadnego rzucania nie będzie. – Stał chwilę, zaciskając palce na moim nadgarstku, jakby chciał zmierzyć mi tętno. – I radzę ci, zostaw to.

Twój wypadek powinien ci dać do myślenia. Mówię to jak przyjaciel, bo cię lubię, Jaromin. Prywatnie.

Puścił moją dłoń i wyszedł, zanim zdążyłem spytać go, czy groźba pod płaszczykiem przyjacielskiej rady to jego własny pomysł i czy w oszpiczyńskiej policji każde pobicie nazywa się „wypadkiem”.

Borowiec nie żyje. Mnie też ktoś chciał zabić, a przynajmniej dał mocno do zrozumienia, że może to zrobić. Nie żyją starzy Kolanowscy i Stefan Gaweł, cała trójka zabita przez własnych wnuków. Trup ściele się gęsto, a ten mi tu pieprzy, że mój „wypadek” powinien dać mi do myślenia. Właśnie mi daje, drogi panie aspirancie! I najwyższy czas, żeby wam też dał, bo będzie gorzej! A tak w ogóle to weźcie się do roboty! Takie mniej więcej napięcia miały mną po łóżku i nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak były prorocze.

Podczas którejś wizyty naczelnego rozważaliśmy twórczo moje szanse na napisanie artykułu „Skarb w Sępmi” w taki sposób, aby tekst okazał się rzetelny i ciekawy, a ja przeżył jego publikację. Karpiński wyglądał na sceptycznego.

– Wojtek, ja cię proszę, żebyś się do tego nie mieszał. Nie chodzi mi już o ten zasrany tekst, ale widzisz, co się dzieje. Z głupoty wdałeś się w sprawę z Kolanowskimi, bo ci białe majtki spod czarnej spódnicy mignęły, no i się stało. Nie rób tak, to nie jest Kraków.

– Widzę, że nie Kraków, ale co mają Kolanowscy do skarbu?

– Jaki ty jesteś zielony. Wszystko przez to, żeś nie stąd.

Kolanowski jest, to znaczy był z wykształcenia prawnikiem i prowadził w Oszpicynie interesy hrabiny Kublickiej. Na jej zlecenie monitorował wszelkie sprawy związane z tymi... no, wykopami. Stara musiała wiedzieć o tym, że gdzieś na ich posesji mogą być ukryte kosztowności i dlatego miała dokumenty potwierdzające prawa jej rodziny

do znaleziska. Pojawiła się tu nazajutrz po aresztowaniu Borowca, prosto z Warszawy... Co jest?

– Zaraz, zaraz – przerwałem mu. – Dlaczego powiedział pan „był”?

– To nie wiesz?

– Nie wiem czego?

– Ryszard Kolanowski nie żyje. Znaleziono go zamordowanego niedaleko domu, na ulicy Brzegi.

Czarne płatki zawirowały mi przed oczami. Drżącą ręką sięgnąłem po szklankę z wodą i rozlałem trochę na podłogę. Karpiński pospieszył z pomocą. Odepchnąłem go.

– Dlaczego mi pan od razu nie powiedział?

– Spokojnie, stary, nikt cię nie oskarża.

Uniosłem się na poduszce i gdyby znajdował się nieco bliżej, złapałbym go za bluzę i przyciągnął do siebie. Nerwy mi puściły.

– Oskarża? A dlaczego, do kurwy nędzy, ktoś miałby mnie oskarżać? Czy wam wszystkim tu całkiem odwaliło? Może jeszcze ukradłem ten wasz pieprzony skarb z równie pieprzonej Sępnii, co? Za wszystko mam tu odpowiadać? Za pieprzone szczury też?

Zacisnąłem ręce na szpitalnym kocu i poczułem, jak krew zaczyna mi pulsować pod czaszką. Nagle uświadomiłem sobie, że facet ma rację.

Mogłem zostać w to wciągnięty, w końcu sam się pchałem do ich domu pod pretekstem zainteresowania anomaliami bliźniaków. Kolanowska.

Obraz jej namiętnej kopulacji z widmem hrabiego Kublickiego prześladował mnie nie mniej niż ból połamanych żeber. Była nieobliczalna. Jeśli zezna coś głupiego...

– Mówiłem ci, spokojnie. Jesteś poza wszelkim podejrzeniem.

– A cóż mi daje tak wspaniałe alibi?

– To, że tu leżysz.

Łokcie mnie zaboląły i jeszcze raz opadłem na poduszkę.

Zaczynałem być w tym dobry.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że Kolanowski został zamordowany tego samego wieczoru, kiedy...

Naczelnny wyduł wargi i powoli pokiwał głową.

– Kolanowska zeznała, że o godzinie dwudziestej trzydzieści, kiedy tamci trzej za pomocą łańcuchów i kopniaków pouczali cię o regułach rządzących naszym światem,

jej mąż jeszcze przebywał w domu i z nią rozmawiał. Wyszedł dziesięć minut później i chwilę potem zginął.

– Jak? – spytałem, unosząc się z powrotem na łokcie. To, co zeznała Kolanowska, trudno było nazwać głupim.

– I tu ciekawostka! – ucieszył się Karpiński, jakby mi opowiadał świetną anegdotę.

– Ktoś wbił mu kredkę w mózg. Przez oko.

– Kredkę? – wybełkotałem.

– Ano kredkę. Zieloną.

Opadłem na poduszkę.

Ze szpitala wypisali mnie na święta i mama zgarnęła chorego syneczka do Krakowa. Nie było dyskusji. Miałem tysiąc spraw do załatwienia i tysiąc pytań do postawienia, ale na niej to nie robiło wrażenia. Wywiozła mnie w sensie dosłownym, to znaczy nie pozwoliła usiąść za kierownicą i sama prowadziła mojego poloneza w stylu, który można by określić „ujeżdżaniem pijanego buhaja w gęstym lesie”.

Dodawala gazu i hamowała, jakby pedały w samochodzie miały tylko dwie pozycje: zero i maks. Na zakrętach odbijała kierownicą za daleko, potem korygowała w drugą stronę, też za daleko, a polonez każdą z tych finezyjnych operacji kwitował bolesnym skrzypieniem.

– Mamo, hamulce są płynne. Nie musisz deptać do oporu.

– Nie ucz mnie – burknęła. – Jeździłam, kiedy jeszcze nosiłeś koszulę w zębach i na kupkę mówiłeś papu.

– Super. Za chwilę będzie mała zatoczka przy grobli. Spróbuj zwolnić i zjechać na nią. Naciśnij stopą tak, jakbyś pieszczotliwie nadeptywała na ogon swojego ulubionego kota.

– Po co?

– Chcę siku.

– Dopiero wyjechaliśmy. Nie mogłeś się załatwić w szpitalu?

– Nawet o to chcesz się ze mną kłócić?

Zacisnęła wargi i zjechała, nawet dosyć płynnie. Zatrzymała się i patrzyła przed siebie, zacięta jak prezes po przegranych wyborach.

– Idź, ja nawrócę.

Wysiadłem ostrożnie, żeby nie nadwyręzać słabo jeszcze zrosniętych żeber. Obchodziłem się z moim ledwie poskładanym ciałem jak z tacą pełną kieliszków szampana. Jeden fałszywy krok i pierdut, katastrofa. Lekarz zabronił mi wysiłku fizycznego, biegania, jeżdżenia na rowerze, nartach, pływania – w ogóle wszystkiego. Miałem siedzieć i czekać, a tego akurat nie chciałem robić.

Grobla zwiędła i zbrązowiała od przymrozków i pierwszego śniegu, który stopniał,

pozostawiając błoto. Poszedłem pod moje drzewo, Kublickiego, ale moje. W cieniu jego rudych liści schyliłem się i dotknąłem ściółki wokół pnia. Była sucha i ciepła. Pogładziłem szorstką korę i spojrzałem w górę. W prześwitach dziurawej korony płynęły szare chmury niosące nową narzutę śniegu, grubszą i trwalszą od poprzedniej. Okazałe konary rozchodziły się we wszystkie strony z piękną regularnością, jak na dziecięcym rysunku. Odwróciłem się.

Woda w stawie mimo mrozów nie zamarzła i miała barwę ołowiu.

Rozchyliłem trzciny i przykucnąłem tuż przy czarnym błocie. Pod naciskiem moich stóp zaczęło wypuszczać bąbelki gazu. Pomacałem je – ciepłe tak samo jak trawa pod drzewem. Co to za miejsce? Co tu jest?

Skąd i dokąd się tędy przechodzi?

– Długo jeszcze? – dobiegł mnie krzyk matki. Dmuchał nagły wiatr. Wszedłem między suche łodygi, wysikałem się i wróciłem do samochodu. Szum ocierających się o siebie trzcin towarzyszył mi przez resztę drogi do Krakowa.

– Dlaczego jesteś zła? – spytałem, kiedy dotarliśmy do domu i usiedliśmy w kuchni przy kubkach z zieloną herbatą.

– Bo żałuję. Co mnie podkusiło, żeby ci dawać ten numer telefonu?

Myślałam... widziałam, że jesteś zaaferowany, szukasz, biegasz, kombinujesz. Chciałam pomóc. I omal cię przeze mnie nie zabili!

– Nie przez ciebie! I tak bym prędzej czy później trafił na Hirsza, z twoją pomocą czy bez. A tak w ogóle, gdybyś mi wcześniej powiedziała o ojcu, może sprawy inaczej by się potoczyły – zasugerowałem przebiegle.

Nie porozmawialiśmy sobie. Posłała mnie do łóżka i poszła na zakupy. Za dwa dni wypadała Wigilia i matce zależało, żeby ją należycie przygotować. Mnie jakoś nie. I tak nam nie wyszła. Mama podjęła heroiczny wysiłek przyrządzenia sześciu dań głównych i sześciu pobocznych, jak to bywało u niej w rodzinie, a potem przy stole podsuwała mi je po kolei, jakby od tego zależała nasza pomyślność w następnym roku. No więc pchałem w siebie żurek z ziemniakami, zupę z rybich głów, naleśniki z kapustą, pierogi z grzybami, następnie rybę w sosie białym i rybę w sosie czerwonym. Do tego dochodził smażony w panierce karp, fasola jasiiek i kompot z tak zwanych piecek, czyli suszonych owoców, orzechy, jabłka i pomarańcze.

– Mamo, po co to wszystko? – jęknąłem przy białym sosie, który skądinąd uwielbiałem. – Naprawdę uważasz, że nasza religijność zależy od tego, co i ile zjemy?

– Nie bluźnij – burknęła. – I tak już wlałeś po uszy w jakieś ponure i niechrześci-

jańskie historie.

– Obawiam się, że jednak chrześcijańskie. Nawiasem mówiąc, nawracanie na katolicyzm za pomocą grochu, kapusty i cebuli duszonej w śmietanie może i jest sprytnie pomyślane, ale mało duchowe. Mam dosyć, zaraz pęknę.

– To napij się kompotu, dobrze ci zrobi.

– Wiem, wzdyma jeszcze bardziej. Za chwilę moje żebra znowu się połamią, od środka.

Przekomarzanki przeszły w kłótnię, gdy mama zaczęła mnie namawiać do wyjęcia gitary i zagrania paru kolęd. Powoływała się na poprzednie Wigilie, kiedy faktycznie grałem i śpiewałem *Lulajże, Jezuniu* i tym podobne. Kategorycznie odmówiłem. Twierdziłem, że mam założone nieodpowiednie struny, a teraz nie ma czasu na ich wymianę, że nie jestem całkiem zdrowy i nie mogę dłużej siedzieć w takiej pozycji, a poza tym dawno nie grałem i mi nie wyjdzie.

– Lepiej powiedz od razu, że nie chcesz – odparła z dziwnym błyskiem w oku.

– Tak! Nie chcę! A wiesz dlaczego? Bo mnie to nie rusza. Nie pociąga mnie cała ta świąteczna celebrazja, która do niczego nie służy, rozumiesz? Co my tu świętujemy? Samotność? Klęskę rodzinnego życia? Przemilczenia?

– Świętujemy narodziny naszego Boga – odparła sucho. – Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. I o paru innych rzeczach też nie zapomniałem.

Na przykład o tym, że to Dzieciątko miało żydowskie pochodzenie, tak jak jego matka. I też je prześladowano. Zapomniałaś? Tylko że nie to akurat, zdaje się, tu świętujemy!

Zapadła cisza. Jedna z dwóch świeczek na stole zaskwierczała i zgasła. Matka siedziała nieruchomo i patrzyła mi prosto w oczy.

Wytrzymałem jej napór, ale później odwróciłem wzrok i poszukałem jakiegoś punktu zaczepienia na bogato zastawionym stole. Wybór padł na rodzynki w czerwonym sosie. Ona nie spuszczała ze mnie wzroku.

Badała twarz syna, szukając śladów zawstydzienia, może pokory, jaką odczuwa człowiek, gdy poniewczasie orientuje się, że palnął głupstwo.

Wiedziałem, że tego właśnie oczekuje, dlatego zaciąłem się i patrzyłem w te cholerne rodzynki, poszarzałe od gotowania i wzdęte jak opite krwią kleszcze. Przed oczami przelatywały mi zdjęcia oglądane u Henryka, zadarta sukienka Ewy Kolanowskiej i blada twarz jej syna, nóż wbity w środek tarczy, nitka śliny na wardze małego Dominika Wilka... W głowie dudniły mi słowa Hirsza: „Będziesz musiał coś z tym zrobić”. No

właśnie. Sztywny jak golem wstałem i ruszyłem do swojego pokoju.

– Chcesz tam pojechać, prawda?

Spojrzałem w jej załamane oczy i powiedziałem twardo:

– Tak.

Ulice pokrywał zmrożony biały puch, kiedy ruszałem spod domu.

Polonez miał letnie opony, na zimowe nie było mnie stać, więc jechałem powoli i przyspieszyłem dopiero poza granicami Krakowa, na drodze krajowej nr 780. Niewiele z tego przejazdu pamiętam oprócz tego, że zaciskałem ręce na kierownicy i wbijałem wzrok w hipnotyzujące wirowanie płatków śniegu w światłach reflektorów. Niewykluczone, że zasnąłem i wiodła mnie siła mechanicznego odruchu, jak u zawodowych kierowców, którzy podobno potrafią spać i prowadzić jednocześnie.

W każdym razie nie pamiętam dokładnie, jak dotarłem na miejsce, natomiast bardzo dobrze pamiętam uderzenie mroźnego powietrza w twarz, kiedy wysiadłem z poloneza na płytkiej zatoczce przy mojej grobli. I zdziwienie, że znowu tu jestem. Śnieg przestał padać i pomiędzy rozerwanymi przez wiatr chmurami dostrzegłem spojrzenia pojedynczych gwiazd. Z granatowej płachty mrugały porozumiewawczo, że świetnie mnie rozumieją i są jak najbardziej za. Dzięki, kochane, przynajmniej w was mam oparcie. Poszedłem ścieżką między trzciny, omijając zamrożone koleiny i wsłuchując się w tysięczne szepty rozkołysanych suchych pędów. Wkoło wszystko tonęło w bieli, jedynie lustro stawu świeciło czernią, pofalowaną od słabnących podmuchów.

Wreszcie wiatr ucichł. Woda znieruchomiała, a nad lasem pojawiła się łuna od połaci świeżego śniegu. Posyłał w górę biel, a ta odbijała się od czarnych chmur, podświetlając ich krawędzie, i spadała z powrotem na wierzchołki drzew. Zrobiłem kilka kroków i zatrzymałem się, zafascynowany grą blasków i cieni w mroźnym powietrzu. Było pięknie.

Nie znałem siły, która oderwała mnie od wigilijnego stołu w Krakowie i przygnała tu, na to zeszywniałe od mrozu odludzie, ale w tej chwili nie miało to dla mnie znaczenia. Stałem i patrzyłem, skulony, z rękami w kieszeniach i czapką głęboko naciągniętą na uszy.

Było naprawdę pięknie.

Nie wiem, jak długo stałem.

Dla oczu zatopionych w zachwycającej ciemności czas przestaje płynąć. W pewnym momencie czerń nad lasem zaczęła zmieniać kolory. Nad linią drzew ciągnącą się wzdłuż przeciwległej grobli zajaśniała zorza. Dominował kolor zielony, ale na brze-

gach pojawiały się i znikwały złożenia, jakby ktoś bawił się w podświetlanie jej od spodu żółtą latarką. Niewidoczna materia, o cząsteczkach tak lekkich, że niemal nieistniejących, falowała i zmieniała się jak hologram ustawiany pod światło, pozbawiony wzoru, złożony z samych barw. Prześwitywały przez nie gwiazdy. Czasem zieleń rozżarzała się i wypływały na nią pomarańczowe plamy, czasem stygła i przyjmowała niebieskawy odcień, a wewnętrzne pulsowanie spowalniało wtedy swoją pracę do miękkiego rozkurczu. Podobnie się dzieje, gdy po wzburzeniu opanowujesz emocje i zaczynasz myśleć.

Krew łomocze w skroniach najpierw szybko, potem coraz wolniej, wreszcie przestajesz rejestrować jej ciemny bulgot, a zamiast uderzeń słyszysz spokojną pracę myśli. Wtedy wypełnia cię błękitne światło.

Zorza budziła się i gasła, każdą zmianę sygnalizowała natężeniem i rozległością barw. Najbardziej efektowne były momenty, gdy wewnątrz niej przelewały się z północy na południe fale fosforyzującej diodowej zieleni, jakby wiatr poruszał muślinową zasłoną, albo kiedy z góry na dół opadały nagłe kaskady jaśniejszych odcieni, by u stóp tej borealnej iluminacji rozpląnąć się w malachitowe kałuże. A gdy wzburzenie całkiem ucichło, zielona kurtyna wisiała przez jakiś czas nieruchomo nad linią drzew, jak zatrzaśnięta okiennica domku hobbitów, do którego nikt oprócz nich nie ma wstępu. Nieruchomiała po to tylko, by za chwilę podświetlić złotem zielone obrzeża i rozpocząć cały spektakl od nowa.

Widok był szczególnie pyszny z grobli, gdy całe widowisko odbijało się w lustrze stojącej czarnej wody. Migotanie fal ożywiało zieleń, nie pozwalało jej całkiem zniechęcić, pobudzało do życia i pulsowania. Odbicie w wodzie odbierało zorzy część blasku, dodając w zamian ruch, więc miałem przed sobą dwa równoległe spektakle – jak dwie wersje tej samej opowieści, snutej przez dwóch gawędziarzy. Jeden preferował kolory, drugi działanie.

Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego. Zdawało się, że całe zastępy niewidzialnych astralnych inżynierów pracują przy wywołaniu tej iluminacji.

Odpalali bezgłośnie fajerwerki najszlachetniejszej próby. Stałem zauroczony, nie mogąc oderwać oczu od pulsującego miriadami kolorowych punktów i mgieł nocnego powietrza, żywego miliardem energetycznych cząstek. Nie tylko żywego – ten falujący i płynny ruch miał w sobie coś z tanecznego pląsu leśnych i łąkowych nimf, jakby ktoś ich zwiewne ciała rozpuścił w wielkim kotle, a potem wylał całą zawartość na firmament.

Nie wiem, ile upłynęło czasu. Zieleń na niebie nagle zbladła, plama skurczyła się,

cząsteczki niewidzialnej materii rzedły i traciły na swojej, i tak już niemal nieistniejącej, fizyczności. Pionowe kaskady i poziome fale słabły, stawały się mniej intensywne, w zorzy opadło napięcie.

Wtapiała się powoli w granatowe niebo, zostawały smużki zielonej mgły, rozpadające się w migotliwe punkciki, zielone gwiazdy dodane przez dowcipnego dekoratora do nudnego nieboskłonu. Jeszcze tu i ówdzie błysnął mocniej pojedynczy piksel i zniknął jak ostatnia iskra w dogasającym ognisku.

– Podobało się? – usłyszałem za plecami. Podskoczyłem ze strachu i odwróciłem się gwałtownie. Przede mną stał stary Maldor, w swoim śmiesznym kapeluszu i zapiętym pod samą szyję kożuszką. W rękę trzymał nieodłączną laskę.

– Co pan tu robi?! – wykrzyknąłem. Zupełnie nie słyszałem jego nadejścia. Cały w środku drżałem i nie chciałem, by to zobaczył.

Zobaczył.

– Nie bój się – powiedział. – Ja cię nie zbiję.

– Nie boję się – odparłem, przełykając ślinę. Bałem się jak cholera.

– Skąd pan się tu wziął?

– Przyszedłem. Też tu lubię chodzić, tak jak ty. – Pokazał laską niebo nad lasem. – Podobało się? – powtórzył, patrząc na mnie tym swoim głupawym uśmiechem. Miałem wielką ochotę po prostu uciec.

Zamiast tego podjąłem dziwaczną konwersację.

– Co to było?

– Nic. Powietrze.

– Wiem, że powietrze. Ale takie zjawiska nigdy się tu nie zdarzają, to nie ta strefa klimatyczna. I chyba nie ta pora.

– Ale podobało się? – upierał się przy swoim.

– Tak, podobało – przyznałem. – Widział pan to już kiedyś tutaj?

Pokiwał głową z czarującym uśmiechem pomyłonego. Przyglądał mi się, jakbym był dla niego zjawiskiem znacznie ciekawszym od zielonozłotej zorzy nad zaśnieżonymi stawami. Czekał, co powiem dalej.

– Tu w ogóle jest bardzo pięknie, dlatego lubię tu przychodzić.

Dla potwierdzenia swoich słów rozejrzałem się teatralnie wkoło i spojrzałem w górę, gdzie na całkiem już oczyszczonym z chmur niebie rozgorzała gwiazdzista orgia. On patrzył nieruchomo we mnie. A potem zaczął mówić.

– Tu jest pięknie, bo milion ludzi przywiózł piękno ze sobą, bardzo dużo piękna. Każdy swój maleńki kawałeczek, o, tycki. I kiedy poszli przez komin do nieba, wszystkie te kawałki spłynęły w jedną wielką piękność, a ta rozlała się po okolicy i osiadła na pejzażu aż po horyzont.

Dlatego nie możesz zapomnieć krajobrazu i wracasz. Fosforyzująca energia ludzkich dusz. Drobiniki uczuć, kryształki miłości, czułe obłoki.

I wiesz co? Kiedy już raz zobaczyłeś, będziesz zawsze wracał, bo ona ci nie da spokoju, ta piękność. Będziesz ją kochał i cierpiał. Jak w miłości.

Zamilkł i patrzył we mnie z napięciem. Jeszcze jeden nauczyciel, a ja zdaję kolejny egzamin. Musiałem coś odpowiedzieć.

– Przywieźli też ze sobą zło. Gdzie ono się podziało?

– Piękno osiadło na krajobrazach, a zło na ludziach – odparł zadowolony z pytania.
– Dlatego oni tacy nieużyci i burkliwi, ci tutaj. – Pokazał laską na łunę świateł dalekiego miasta. – Własne dzieci ich nie lubią. Świat jest piękny, ale ludzie źli. Tyle ode mnie nauki na dzisiaj.

A teraz idź i posłuchaj kogoś innego.

Przesunął laską z horyzontu na groblę od zachodniej strony i dziobnął przed siebie, jakby wyprowadzał sztych. Powędrowałem wzrokiem za końcówką laski i dostrzegłem jasny prostokątny kształt na krawędzi wody. Przypomniałem sobie, że stała tam betonowa śluza do opuszczania stawu, tak zwane pidło. Zerknąłem ze zdziwieniem na starego Cygana, a wtedy on krzyknął:

– Ruszaj!

Wzruszyłem ramionami i poszedłem. Odległość wynosiła jakieś siedemdziesiąt metrów, pokonałem ją w minutę. Pidło przykrywała szeroka betonowa płyta, lekko pochylona w stronę brzegu. Nieraz na niej siadywałem, więc i teraz zrobiłem to samo i spojrzełem w czarną powierzchnię przede mną. Beton był ciepły. Nagle uświadomiłem sobie, że od dwóch dni temperatura wynosiła kilka stopni poniżej zera, a woda w stawie nie zamarzła. Wszystkie inne zbiorniki w okolicy pokrywał lód, oprócz tego jednego. Położyłem się na brzuchu na przyjemnie ciepłym betonie, zdjąłem rękawiczkę i opuściłem rękę do wody. To też było przyjemne. Wtedy usłyszałem głosy.

Pidła mają w środku zapory z poprzecznie układanych desek, wpuszczanych w rowki po obu stronach, co umożliwia regulowanie wysokości lustra wody i ułatwia opróżnianie stawu podczas połowu.

Dobrze dopasowane potrafią być szczelne, ale zwykle przecieka przez nie strumyk i

ciurka w dół do przepustu pod groblą. Jest to rura wyprowadzająca wodę ze stawu do przykopy, a ta z kolei niesie ją dalej do następnego stawu albo rzeki. W pierwszej chwili sądziłem, że to ciurka właśnie taki strumyk, przeciskający się przez szczelinę między deskami i spadający w głąb przepustu. Puste wewnątrz głębokiego na dwa metry pidła z tunelem na drugą stronę grobli działało jak pudło rezonansowe i wzmacniało odgłos kapiącej wody. Tylko że to nie była woda.

Śpiewały. Nieznana melodia, niezrozumiałe słowa, ale wysokie głosy z pewnością należały do dzieci. W pogodnej tonacji, z nagłymi kadencjami i antykadencjami, dało się rozpoznać wesołą piosenkę przedszkolaków maszerujących na wycieczkę za miasto. Jedne głosiki miały delikatne, dziewczęce brzmienie, inne, z chropawym nalotem, mogły należeć do chłopców. Śpiew falował, narastał i zanikał w rytmie nieczytelnej dla mnie regularności, która z pewnością coś dla kogoś znaczyła. Jakby oddalały się i przybliżały. W pewnej chwili ucichły i w czeluści pidła zapanowała cisza. Słyszałem tylko ciurkanie wody.

Ciur, ciur, ciur. Spadała cieniutką strużką na dno. Pochyliłem głowę i moja twarz znalazła się w otworze śluzy, poniżej betonowej płyty.

Przed sobą miałem niewzruszone lustro czarnej wody, dalej białą linię grobli i czarną linię lasu, nad nimi płachtę nieba z jedną gwiazdą, a pod sobą jeszcze czarniejszy prostokąt pustej śluzy, skąd dobywał się dźwięk.

W ułamku sekundy, w pojedynczym błysku gwiazdy nad lasem pojąłem intencję staroego Cygana. Zielonozłota zorza zaświeciła specjalnie dla mnie! Była ścieżką do dzieci, moich dzieci, które gdzieś tu na mnie czekają, wołają, proszą o pomoc, a ja nie wiem, co robić!

Pochyliłem się głębiej, czapka zsunęła mi się z głowy i bezgłośnie wpadła do wody, przywierając do desek śluzy. Kolorowa włóczka szybko nasiąkała czernią. Z ciemności pidła, tam z dołu, dokąd kapała strużka z dźwięcznym pogłosem, wypłynęła pojedyncza nitka zielonej, świecącej mgły. Wijąc się jak elektryczny węgorz, wydostała się z otworu nad wodę, zawirowała w tańcu nad tonącą czapką, a potem zrobiła tuż przed moim nosem figlarny piruet i uleciała w niebo.

Uniosłem głowę, by jej poszukać wśród gwiazd, ale dostrzegłem jedynie kilka ostatnich zielonych punkcików. Po chwili i te rozmyły się w mroźnym powietrzu. Usłyszałem szept. Spojrzałem z powrotem w dół.

Z otchłani śluzy wystawała dłoń. Mała blada rączka zaciskała się kurczowo na krawędzi deski, zsiniałe od wilgoci palce drżały, drapiąc chropowatą powierzchnię. Ciurkanie wody ustało. Cichy głosik mówił do mnie z wysiłkiem, urywanymi słowami, ale

nic z tego nie pojmowałem. To było jak krótkie westchnienia, świst powietrza w otwartych ustach. Po chwili dołączył drugi, głośniejszy, jakby chciał przekrzyczeć tamten w bezdźwięcznej rywalizacji. Pojawiła się druga dłoń, potem trzecia. I trzeci głos, wysoki i szumiący jak powiew wiatru w szczelinach okienka na strychu. Szeptaly każdy swoje, prześcigając się w krzykach i żądaniach skierowanych bez wątpienia do mnie. Leżałem z dłońmi na brzegu pokrywy pidła i brzuchem dociśniętym do ciepłego betonu, a pod skórą pulsował ból słabo jeszcze zrośniętych żeber.

Z zapartym tchem wsłuchiwałem się w głosy dzieci dobywające się z czeluści przepustu. Mówiły do mnie, błagały jedno przez drugie, a ja nie rozumiałem ani słowa.

Nagle zamilkły. Urwały w pół słowa, tak jak to robią dzieci, kiedy coś je przestraszy. Rączka po prawej zsunęła się z krawędzi w ciemność, potem druga, środkowa, i szybko sięgnąłem ku trzeciej, by chociaż tę zatrzymać, ale wtedy tam w dole, dokąd spadały, zakotłowało się. Ręka natychmiast znikła, po czym bulgot mierzwionej wody zmieszał się z krzykiem i przenikliwymi piskami. Wiedziałem, że to szczury. Niemal słyszałem, jak ich długie łyse ogony wałą w kałużę i ściany betonowych kręgów. Pod groblą zrobił się rumor. Poderwałem się z biciem serca i bolesnym skurczem w żołądku, zakręciło mi się w głowie. Dzieci wołały o pomoc. Chciałem skoczyć, ale wtedy czarny staw wydał się na środku niczym balon i zadudniło w nim jak w wielkiej pustej bani.

Strużka wody w zastawie poszerzała się, stawała się coraz bystrzejsza, aż wreszcie górna deska odskoczyła z trzaskiem i do śluzy runął czarny wodospad. Huk walącej w betonową gardziel wody zagłuszył wszystkie inne dźwięki, oprócz wściekłego szumu kaskady. Patrzyłem bezradnie, jak hektolitry przeźroczystej czerni kotłują się we wnętrzu, pienią i z rykiem wpadają tam, dokąd przed minutą chciałem skoczyć.

W pewnym momencie na grzbiecie lecącej w dół fali zatańczyła moja czapka. Pysk pidła połknął ją niezauważenie, jak przynętę.

Górny zastaw, który spowodował katastrofę, wyskoczył na zewnątrz i leniwie kręcił się w wirze obok pidła. Teraz przydryfował na przód i porwany nurtem zgrabnie wskoczył na swoje miejsce. Wodospad urwał się w ułamku sekundy. Zrobiło się nagle cicho, ustało nawet ciurkanie strużki. Śluza była całkiem szczelna. Usiadłem prosto na pochylonym betonie i spojrzałem na staw. Znów gładki i milczący, zdawał się drzemać w scenerii pogodnej zimowej nocy. Cisza brzęczała mi w uszach tak samo głośno jak tamten ryk wody w przepuście. Gwiazdy na krystalicznie czystym niebie migotały wściekle, jakby chciały mnie ugryźć. Spojrzałem na zegarek. Dwie minuty po dwunastej. Spędziłem tu ponad dwie godziny.

Daleko po lewej stronie wystrzeliło w niebo jaskrawe światło.

W Podborzu ktoś odpalił o północy sztuczne ognie. Po kilku sekundach dobiegł mnie huk wystrzału. Wigilia. Pasterka. Czas wracać do domu.

Wsiadając do zimnego poloneza, zastanawiałem się, czy stary Cygan naprawdę tu był i ze mną rozmawiał, czy było to moje przywidzenie. Przekręciłem kluczyk. Rozrusznik tym razem się spisał i silnik odpalił od razu. Był czy go nie było? Wyjeżdżając na szosę, stwierdziłem, że to obojętne. Nie o Cygana tu przecież chodziło.

Mamy nie było w domu. Poszła na pasterkę i jeszcze nie wróciła.

Usiadłem przy sprzątniętym stole wigilijnym, na którym zostały tylko dwa świeczniki z wypalonymi do połowy świecami oraz patera pełna owoców, i zagapiłem się w płamy na obrusie. Były dwie małe, tłuste, i jedna większa, z czerwonego sosu od ryby. A może z kompotu. Mama namoczyła ją detergentem i podłożyła pod spód złożoną na czworo ściereczkę. Wziąłem jabłko, ugryzłem i położyłem na stole. Wyglądało całkiem fajnie między dwiema świecami. Jedna była nieco dłuższa, ponieważ paliła się jeszcze po moim wyjściu. Dotarło do mnie, że mama, zanim zaczęła sprzątać, siedziała sama przy stole i patrzyła na tę płonącą świecę, jak ja teraz patrzyłem na ugryzione jabłko.

W głowie miałem mętlik. Całą powrotną drogę jechałem w radosnym uniesieniu, że wszystko nagle stało się dla mnie przejrzyste i zrozumiałe, że nareszcie wiem, po co muszę wracać do Oszpicyna i co tam w pierwszej kolejności powinienem zrobić. Teraz jednak, zapatrzone w poplamiony stół i ugryzione jabłko, popadłem w rozpaczliwe zwątpienie. Po co? Dla kogo? Za jaką cenę? Przecież tak naprawdę oprócz paru wzruszających historyjek z przeszłości i kilku przywidzeń, własnych i cudzych, nie mam niczego konkretnego.

Tragiczne wypadki śmiertelne nie układały się w żadną całość, chociaż przez długi czas byłem przekonany, że jest inaczej. Całą konsekwencję i logikę diabli wzięli. Zostało mi tylko dziwactwo Henryka Hirsza, bucowata pewność siebie Łopatki i spiskowa podejrzliwość Stefanowskiego oraz moje palce wetknięte między drzwi pomiędzy wojującymi stronnictwami. Kto zabił Ryszarda Kolanowskiego? Mała dziewczynka z garścią kredek, to jasne, ale dla którego z nich to zrobiła?

Dziwne pytanie, powinienem je sformułować inaczej...

– Nie śpisz?

Drgnąłem. Nie słyszałem, jak wchodziła.

– Nie.

– Tylko mi nie mów, że na mnie czekałeś – powiedziała, zdejmując rękawiczki i rzucając je na komodę w przedpokoju. – Nie musisz.

– Przepraszam, mamó. Postąpiłem okropnie.

Chciałem wstać i objąć ją, ale wtedy odwróciła się i wyszła do przedpokoju z płaszczem przerzuconym przez ramię. Kiedy wróciła, moment, gdy mogłem ją objąć, już przeminął.

– A właściwie za co mnie przepraszasz? – spytała, siadając na swoim miejscu przy stole. Obrzuciła sceptycznym wzrokiem ugryzione jabłko. – Jak ty rozumiesz swoją winę? Czy w ogóle czujesz się winien, czy tylko resztki przyzwoitości każą ci przypuszczać, że czekam na przeprosiny?

– Przepraszam za to, że wyszedłem w czasie Wigilii i nie poszedłem z tobą na pasterkę. Wiem, że tego bardzo chciałaś. Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło...

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Lustrowała oblicze syna, odchyliwszy się do tyłu, z lekko przykrzywioną głową, jakby z pewnej odległości oglądała ciekawy okaz. Zmrużyła oczy, tak jak to zawsze robiła, gdy zapomniała nałożyć okulary. Kiedy uznała obserwację za dokonaną, powiedziała cicho:

– Wyszedłeś? Myślałam, że śpisz.

– Byłoby świetnie, ale to nieprawda. Pojechałem tam, dokąd odgrażałem się, że pojedę.

– Aha.

Tylko tyle. Nie powiedziała nic więcej. Czekałem na serię pytań: A po co? A do kogo? Co udało ci się ustalić? Ale nic z tych rzeczy.

Milczała i patrzyła na mnie, jakby już wszystko wiedziała, chociaż za nic w świecie nie mogła wiedzieć. Potem zwyczajnie wstała i wyszła do swojej sypialni. Zostałem znowu sam przy stole. Plus dwie świeczki i ugryzione jabłko.

„Myślałam, że śpisz”...?

Dzień Szczura wyznaczono na czwartego lutego, osiem dni po pięćdziesiątej rocznicy wyzwolenia (czy jak to tam historycy zwa) Oszpicyna. Przyjechałem kilka dni wcześniej, już całkiem wydobrzały po długiej i pełnej demoralizującego sybarytyzmu rekonwalescencji pod okiem matki. Mróz był jak w czterdziestym piątym, co bardzo odpowiadało planom Hirsza.

– Naprawdę myślisz, że to się uda? – spytałem, zacierając z chłodu ręce.

Henryk wciskał czerwony guzik na metalowej skrzyni, w środku zaczynało brzęczeć, a on sprawdzał na mierniku zakres i natężenie fali.

Potem wyłączał, przestawiał coś śrubokrętem i znowu włączał. Skrzynia stała na palecie, a paleta na pace niewielkiej ciężarówce o niskich burtach i białej kabinie na dwie osoby. Ciężarówka znajdowała się w garażach OZNS – oszpicyńskich zakładów samochodowych, których dyrektor, na wniosek samego burmistrza, zgodził się udostępnić Hirszowi jedno stanowisko pracy na czas eksperymentu. Do pomocy przydzielił mu dwóch uczniów, mocujących właśnie do podłogi ciężarówce wielkie akumulatory.

– Teraz nie ma już znaczenia, co myślę. Zawarłem z nimi umowę i muszę się wywiązać.

– Co na tym zyskasz?

Henryk skrzywił się tym swoim kanciastym, krogulczym uśmiechem.

– Miasto będzie trochę mniej brudne.

– Tylko tyle? – zdziwiłem się. – Myślałem, że brud to obsesja niemiecka, nie żydowska.

– Zależy gdzie – odparł i klepnął w metalowe pudło. – Powinno być dobrze. Jedziemy sprawdzić?

– Jasne! – wykrzyknąłem, ciesząc się na myśl o tym, jak objeżdżamy naokoło wielki plac zakładowy, a z każdej dziury wybiega do nas podniecony falą radiową szczur. – Panujesz nad tym? Wolałbym nie zostać objedzony do kości przez maszerujące pułki gryzoni.

– Nie martw się. – Puknął palcem we wskaźnik obok czerwonego guzika. – Nastawi-

łem na minimum. Poza tym mówiłem ci, tu za mostem jest ich znacznie mniej.

Sprawdził zamocowanie akumulatorów, poklepał pracujących przy nich chłopaków i wepchnął im coś do rąk, po czym skinął na mnie, żebym wskakiwał do szoferki. Sam usiadł za kierownicą, nadajnik z potencjometrem umieścił na siedzeniu między nami i ruszyliśmy.

Kiedy minęliśmy bramę wjazdową, zorientowałem się, że próba odbędzie się w warunkach naturalnych, czyli w terenie zabudowanym.

– Pojedziemy przez muzeum? – zaniepokoiłem się. Mogło dojść do sytuacji ekstremalnych. Henryk mnie uspokoił.

– Nie odważyłbym się. Wolę miasto. Wiesz, siła konkretności. Masz jakieś ulubione miejsca?

Natychmiast przyszła mi do głowy ulica Brzegi. Ślepa, kończyła się łąką, świetnie nadającą się do rozproszenia ewentualnego tłumu entuzjastów, a poza tym miałbym perwersyjną okazję policzyć szczury wybiegające z posesji Kolanowskich.

To znaczy teraz tylko Kolanowskiej. Henryk rzucił mi kose spojrzenie i przytaknął. Ponieważ było to po drugiej stronie miasta, mieliśmy czas wyjaśnić sobie wydarzenia ostatniego miesiąca.

– Wątpię, żeby chcieli cię zabić – odezwał się Henryk, gdy minęliśmy bramę do muzeum. – To raczej nastraszenie, przyznaję, brutalne, ale gdyby cię mieli zabić, zrobiliby to.

– Myślisz, że to sprawka Łopatki?

– Też wątpię. Przecież poniekąd wynajął cię do śledzenia w swoim interesie. Po co miałby cię unieszkodliwiać?

– Chodziło o zabezpieczenie znaleziska z Sępnia – podsunąłem. – Zneutralizowali wścibskiego dziennikarza, który blisko węszył.

Przed starym mostem Henryk ze zgrzytem zmienił bieg i ostrożnie skręcił w prawo. Po lewej wyłoniła się pękata baszta zamku, po prawej popadająca w ruinę okazała kamienica Haberfeldów. Na górcie auto zaburczało głośniejsze.

– Przypuszczam, że zrobili to już wcześniej. W niczym im nie przeszkadzałeś. Gdybym miał zgadywać, typowałbym hrabinę Kublicką.

Miała najślabsze rozeznanie w tym, co tu się stało, i uznała cię za potencjalne zagrożenie dla jej interesów w mieście. Ścisłej rzecz biorąc, jednego konkretnego interesu. Być może po tobie miał być Łopatko. Nie wiem, tak tylko kombinuję, to nie moja sprawa. Moją sprawą są szczury.

– Dlaczego?

– No właśnie. Przejdźmy do mojego interesu. Umowa z miastem jest całkowicie tajna, nikt z zewnątrz nie może się o niej dowiedzieć. Ale – zawiesił głos i pociągnął nosem – nie mam tu nikogo oprócz Sary, a ona jest zupełnie bezbronna. Komuś muszę powiedzieć. Widzisz, Wojtku, padło na ciebie.

Zamilkł i siedzieliśmy przez chwilę wsłuchani w szum motoru pod maską. Czekałem na dalszy ciąg, a on nie kwapił się do mówienia, też na coś czekał. Byłem wtedy młody i niecierpliwy, więc zacząłem pierwszy.

– Czekałem na twoje odwiedziny w szpitalu. Bardzo mi na tym zależało. Nie skończyliśmy rozmowy, wciąż nie wiem najważniejszego.

– Wiesz, wiesz – westchnął. – Tylko to jeszcze do ciebie nie dotarło.

Przypomniałem sobie dziecięce głosy spod grobli w Podborzu i zsiniałe palce na desce zastawu. Chciałem mu o tym powiedzieć, ale ugryzłem się w język. „Myślałam, że śpisz”.

– Twoja matka mnie odwiedziła – odezwał się, kiedy mijaliśmy rynek i plac Kostkiewicza. Mówił do przedniej szyby, wysuwając dolną wargę. – Prosiła, bym cię w to nie wciągał. Żałowała, że ci o mnie w ogóle powiedziała, i błagała, bym się z tobą nie spotykał. Płakała.

Miała rację.

– Co odpowiedziałeś? – spytałem głucho. – Przypomniałeś jej, że to ona pierwsza mnie w to wciągnęła?

– Nie mogłem – odparł szybko. – Ale obiecałem, że nie przyjdę do szpitala. Tylko tyle mogłem obiecać, dlatego płakała. Powiedziałem jej to samo, co kiedyś powiedział mi pewien mądry człowiek: „Nie wyprostujesz ścieżek cudzego losu”.

– I co?

– Nie zrozumiała. Matka takich rzeczy nie rozumie.

Skręciliśmy z Dąbrowskiego w Brzegi i Henryk zatrzymał się przed pierwszym domem. Sprawdził coś na swoim pilocie, odłożył go, oparł łokieć na kierownicy i spojrział mi prosto w oczy.

– Słuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. Umowa jest prosta: ja załatwiam problem szcurów, a miasto oddaje mi skład dywanów na muzeum Żydów oszpicyńskich. Nie spisywaliśmy jej, bo żaden notariusz by tego nie parafował. Wszyscy daliśmy słowo honoru, to znaczy burmistrz, przewodniczący rady miasta i Łopatko.

– Łopatko? – zdziwiłem się. – A co on ma do tego?

– On ma do wszystkiego w tym mieście – odparł spokojnie Hirsz. – Takie jest prawo małych społeczności lokalnych. Też niepisane.

– A co, jeśli się nie uda?

Henryk łypnął na mnie z szelmowskim uśmiechem, który zobaczyłem u niego po raz pierwszy od początku znajomości. I ostatni.

– A dlaczego miałyby się nie udać? Coś ty taki niedowiarek!

Popatrz tylko!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że zwoływanie szczurów za pomocą radia domowej roboty i topienie ich w jeziorze niekoniecznie musi sprawiać wrażenie planu w pełni wiarygodnego, wyskoczył z szoferki i pobiegł na pakę, by zapewne wcisnąć czerwony guzik. Po powrocie usiadł za kierownicą, pokazał mi obie dłonie niczym magik demonstrujący przejrzystość reguł i nacisnął włącznik w pilocie na siedzeniu.

– Gotowy? – zakrzyknął jak chłopiec głodny przygody. – No to jedziemy!

Zjechał z krawężnika i odczekał chwilę, żeby „fale dotarły do mózgow”, jak się wyraził. Po minucie ruszył powoli, rozglądając się na boki. Nic się jednak nie działo. Przejechaliśmy około stu metrów i Henryk zatrzymał się na podjeździe jednego z domów. Minę miał srogą.

– Dupa – podsumowałem pierwszy etap przedsięwzięcia.

Nie zareagował. Nałożył na nos okulary i ustawiał pokręta w pilocie. Następnie poszedł na pakę, tam też coś przestawił i ruszyliśmy dalej.

Nie mogłem tego ani przewidzieć, ani tym bardziej zaplanować, a jednak stało się dokładnie to, czego w głębi duszy oczekiwałem.

Pierwszy szczur wychynął z bramy domu Kolanowskich. Akurat patrzyłem w okna, szukając wzrokiem Ewy. Był wielki. Ktoś mi kiedyś tłumaczył, że opowieści o szczurach wielkości kotów to bzdura, ponieważ wszystkie są mniej więcej jednakowe, a reszta to ludzka wyobraźnia i skłonność do przesady. Ten jednak naprawdę wyglądał jak spory kocur. Albo niewielka nutria. Henryk na jego widok aż otworzył usta ze zdumienia, po czym zatrzymał się na środku jezdni. Szczur stanął na dwóch łapach, podniósł łebek i wyszczerzył zęby, jakby sprawdzał, z której strony dobiega ten ekscytujący sygnał. Po chwili wydał z siebie przeciągły pisk i ruszył na nas. Chyba był jakimś szefem dzielnicy, ponieważ zaraz po nim jak na komendę z innych domów zaczęli wylażać koledzy i z entuzjazmem dreptali w naszym kierunku.

– Jedź! – krzyknąłem przez ściśnięte gardło. – Jedź, bo nas zjedzą!

Henryk ruszył nieco szybciej, cały czas zerkając we wsteczne lusterko.

– Na brodę Mojżesza – wymamrotał. – Idą.

Pokonując liczne i nie całkiem sprecyzowane obawy, odkręciłem szybę i spojrzałem do tyłu. Za samochodem paradowała spora gromada, pewnie z pięćdziesiąt sztuk, i wciąż dołączały kolejne podekscytowane osobniki. Biegły ulicą, nie dbając ani o bezpieczeństwo, ani nawet o elementarną ostrożność. Większe i mniejsze, niektóre wielkości myszy. Zresztą może to były myszy, Henryk nie wykluczał takich niespodzianek. Biegły grupkami, całą szerokością drogi, chodnikiem i po trawnikach. Jak tłum fanów za odjeżdżającą gwiazdą. Gdyby z naprzeciwka jechał drugi samochód, część z nich niechybnie zginęłaby pod kołami, w zupełnej nieświadomości.

– Słuchaj – zacząłem, chowając przed zinnem głowę w kabinie. – Możesz to wyłączyć? Jeśli teraz ktoś wyjdzie z domu...

– Niech wyjdzie – wzruszył ramionami. – To ich szczury, niech je sobie choć raz dobrze obejrzą. I policzą.

– Nie o to chodzi. Mogą kogoś zaatakować. Jakieś dziecko...

– Dzieci nie zaatakują – odparł z wielką pewnością siebie. – Według mnie nikogo nie zaatakują. Nie są agresywne. Ten dźwięk jest dla nich jak... jak muzyka.

– Aha, muzyka – mruknąłem. – Znaczy się festyn. *Rat Life Festival*. Wszyscy śpiewają *We Are the Champions*.

– To tylko próba mikrofonu. Festiwal odbędzie się za trzy dni. Co teraz? – spytał, ponieważ dojeżdżaliśmy do końca ulicy. Odkręciłem szybę i rzuciłem okiem do tyłu. Biegły, szybko i pewnie, jakby doskonale wiedziały po co. Był też dźwięk. Przez warkot silnika ciężarówki przebijał się szum setek łapek packających o drogę. Niektóre zwierzaki popiskiwały.

– Jezus Maria!!! – rozległ się kobiecy krzyk i trzask zamykanego okna.

– Henryku, kończmy to – zaproponowałem mocno zdenerwowany.

– Super wyszło, ale kończmy.

– Jak? – spytał. Na twarzy miał zadowolenie majsterkowicza.

Prototyp zadziałał.

– Przed nami jest łąka. Wjedź na nią i wyłącz tę dyskotekę.

Wydostaniemy się ścieżką w lewo.

– A one? – Kiwnął głową za siebie.

– Rozejdą się. Koniec imprezy i do domu.

– Oby.

Zwolnił, zmienił bieg i ostrożnie wjechał na krawężnik zamykający ulicę Brzegi. Spojrzałem na płot po prawej stronie. To tu gdzieś znaleziono Ryszarda Kolanowskiego z ołówkiem wbitym w oko.

Dwadzieścia minut wcześniej szedłem tędy po obejrzeniu pornograficzno-parapsychicznego widowiska w piwnicy jego domu, z udziałem jego żony oraz ducha. Szczurzy festiwal to przy tym pikus.

No nie całkiem. Kiedy Henryk wjeżdżał na krawężnik, pierwsze szeregi gryzoni dogoniły ciężarówkę i zaczęły się do niej dobierać.

Wielu udało się wskoczyć na niskie podwozie i teraz z determinacją gramoliły się na pakę. Włosy mi się zjeżyły pod czapką.

– Wyłącz to cholerstwo! – krzyknąłem. – Zaraz tu wleżą!

Rzeczywiście, kilka z nich wpadło już na tył. Sforsowały paletę i rozpoczęły taniec z podskakiwaniem wokół metalowej skrzyni. Jej gładkie ściany na szczęście stanowiły przeszkodę dla ich pazurków.

Skakały, ślizgały się i spadały z powrotem, i tak w kółko. Henryk przestawił pokrętko w pilocie, coś wcisnął, zaklął niezrozumiale i rzucił urządzenie na kanapę.

– Uciekają? – spytał.

Spojrzałem do tyłu przez okienko w kabinie.

– Nie.

– Cholera! – zaklął tym razem zrozumiale. Dotarliśmy do końca łąki, która nieco dalej opadała w dół szerokim zboczem, służącym w zimie dzieciom za górkę do zjeżdżania. Mogły tam teraz być. Henryk zawrócił wielkim łukiem, brnąc ciężarówką w sypkim śniegu. Kiedy samochód trafił na zamarznąętą kretowinę, zaczął podskakiwać gwałtownie i szczury z podwozia pospadały na ziemię. Jeśli trafiały wprost pod koła, na śniegu zostawała czerwona plama. Ciągnęliśmy za sobą ciemnoszary skotłowany ogon. Paleta ze skrzynią zaczęła się niebezpiecznie przesuwac w jedną stronę.

– Musimy je jakoś zgubić. Nie możemy jeździć w kółko po łące.

Ktoś nas w końcu zobaczy i zadzwoni na policję.

– Wyjmij to – odparł Henryk, wskazując czarną torbę wciśniętą za mój fotel. Znajdował się w niej wielki pakunek zawinięty w szary papier, gdzieniegdzie przemoknięty.

Zaleciało metalicznym chłodem.

Pomacałem. Surowe mięso.

– Co to jest?

– Wieprzowina. Otwórz okno i wyrzuć, jak będziemy blisko tego dołu.

Wskazał palcem niewielkie zagłębienie w terenie, wokół którego zataczaliśmy szerokie kręgi. Wyjąłem spory połec różowego mięsa z białymi pasemkami tłuszczu. Wyglądał na szynkę z kością i ważył ze cztery kilo. Otwarłem okno, do wnętrza dmuchnął mróz. Henryk ściągnął kierownicę w lewo, zmniejszając promień skrętu. Odwróciłem się i krzyknąłem. Na szybie tylnego okienka od zewnątrz siedział szczur i szczyrzył do mnie zębami. Był jakieś dziesięć centymetrów od mojej twarzy. Odskokczyłem, a mięso pacnęło mi pod nogi.

– Kurwa mać! – wrzasnąłem.

– Teraz! – zawołał Henryk. Trzęsąc się z obrzydzenia, porwałem połec i pchnąłem przez otwór w drzwiach. W palce zaplątało mi się ucho od torby i poleciała razem z szynką. Samochód wyrównał, powrócił do poprzedniej, dobrze już wyjeżdżonej trasy i z napięciem obserwowaliśmy, co się będzie działo. Przypomniałem sobie o szczyrzającym się do mnie osobniku i szybko zakręciłem okno.

Zadziałało natychmiast. Sunący naszym śladem brudny ogon oderwał się od ciężarówki i skręcił do zagłębienia. Zakotłowało się.

Szczury, które pierwsze dopadły połec, wylatywały z piskiem w górę, odpychane przez następne, większe i silniejsze. Zazarta walka o padlinę zaabsorbowała je do tego stopnia, że zapomniały o nas. Henryk zatrzymał samochód i patrzyliśmy, jak podekscytowani do niedawna naszą skrzynką pasażerowie w pośpiechu opuszczają pojazd i dołączają do pozostałych. Jako ostatni biegł mały szczurek, wpadając po uszy w kopny śnieg i gramoląc się z niego niezgrabnie. To mógł być mój kumpel zza szyby.

Dół się kotłował trzydzieści metrów od nas, a my siedzieliśmy w ciszy i patrzyliśmy na wygłodzoną zgraję. Odetchnąłem z ulgą.

Henryk zrobił to samo i obaj roześmieliśmy się na głos. A potem przechylił się do mnie i mocno uściskał.

– Uda się – szepnął z przekonaniem. Wierzyłem mu.

– Zapamiętałeś wszystko? – spytał Henryk, gdy skończył mówić i stukać długopisem w rozłożone na stole kartki. Na jednych widniały zapiski, na innych ręcznie sporządzone mapki. Plan był skomplikowany.

Całe miasto to nie jedna ślepa uliczka. Przejazd według obliczeń Henryka miał trwać około dwóch godzin (w rzeczywistości trwał ponad trzy) i zakończyć się nad brzegiem Jeziora Wroniego. Operację znacznie przyspieszyłoby zbudowanie trzech nadajników i równoległe zwabianie szczurów z kilku stron, ale nie mieliśmy na to czasu. Prognozy zapowiadały na najbliższe dni odwilż, a następna taka okazja mogła się tej zimy już nie powtórzyć. Henryk pozostał więc przy jednym nadajniku i opracował dla niego zawiłą trasę przejazdu przez Stare Miasto, z pominięciem Zasowia, którego nie dotyczył problem plagi szczurów.

Burmistrz zaakceptował takie zawężenie akcji, nie bez własnych korzyści. Mieszkał i urzędował w pobliżu rynku, podobnie jak wielu radnych.

– Tak. Ale powiedz to jeszcze raz.

Henryk zaczął od początku. Pojazd miał wyruszyć znad rzeki i jechać wzdłuż niej po plantach aż do baszty zamkowej, tam zawrócić i przejechać ulicą Berka Joselewicza do kościoła, wjechać na Jagiellońską, wrócić na rynek przez plac Księżycowy, stamtąd na plac Kostkiewicza i ulicę Dąbrowskiego, a potem już prosto nad jezioro.

Straż miejska, pracownicy sanepidu oraz strażacy mieli pilnować, by w trakcie przejazdu nikt niepożądany nie znalazł się na ulicy.

Mieszkańcy otrzymali kategoryczny zakaz wychodzenia z domów na czas operacji, przede wszystkim w trosce o ich bezpieczeństwo, ponieważ, jak głosił okólnik, „deratyzacja odbędzie się z użyciem szkodliwych substancji”. Dzień Szczura wypadł w sobotę, więc unieruchomienie miasta na trzy godziny, łącznie z zatrzymaniem ruchu drogowego i zamknięciem sklepów, nie przedstawiało aż tak wielkich trudności. Jedyne kłopot wiązał się z zapewnieniem odpowiedniego działania służbom: pogotowiu ratunkowemu i straży pożarnej, a policja brała pod uwagę rabunki i napady, ale z tym poradziliśmy sobie w ten sposób, że dyżurni otrzymali mapki z trasą i przypuszczalną godziną przejazdu. W krytycznych przypadkach pojazdy uprzywilejowane mogły się wpaso-

wać i przemknąć na sygnale. Policjanci, odpowiednio wyposażeni i uzbrojeni, pilnowali budynków, których bramy wejściowe miały pozostać otwarte.

Najważniejszy punkt operacji stanowił jej kulminacyjny moment, czyli unicestwienie szczurów na środku Jeziora Wroniego.

Przyprowadzić rzeszę gryzoni na brzeg to jedno, a utopić je to drugie.

– Chcesz je wszystkie zabić? – spytałem, wychowany w szacunku dla wszelkiego stworzenia. – Nie można by ich inaczej unieszkodliwić?

– Jak? – spytał Henryk, wysuwając dolną wargę.

– Nie wiem. Wyprowadzić daleko za miasto i rozproszyć, czy coś takiego.

– Wróć – odparł z przekonaniem. – Zawsze wracają.

– Co masz na myśli, mówiąc „zawsze”?

– Te z mojego podwórka dwukrotnie wyprowadzałem, daleko, parę kilometrów. Następnego dnia były z powrotem, w jeszcze większej liczbie.

– Z tego, co słyszałem, szczury umieją pływać – zacząłem z innej beczki. – Wydostaną się na brzeg.

Podsunał mi pod nos jedną z kartek, tę z rozrysowaną taflą jeziora.

– Dlatego ładunki zostały rozmieszczone tak, by zapadł się lód tylko na środku – wyjaśnił. – Przy tej grubości pokrywy zostaje czterdziestocentymetrowa śliska ścianka. Nie wygrzebią się. Szczury to ssaki lądowe, a woda przy dnie ma zaledwie cztery stopnie. Nie przeżyją.

Pokiwałem głową, a w duchu postanowiłem, że przenigdy już nie wykąpię się ani w tym jeziorze, ani w żadnym innym. Henryk odgadł moje wątpliwości.

– To ekosystem. Do wiosny nie będzie po nich śladu. Jediną pamiątką mogą być wyjątkowo okazałe szczupaki w najbliższym sezonie wędkarskim. Ale ty nie musisz ich łowić – dodał z uśmiechem. – A poważnie mówiąc, miasto wprowadzi zakaz korzystania z jeziora przez najbliższe dwa lata, aż wszystko wróci do normy. To część naszej umowy.

– A jeśli mimo to jakies się wydostaną? – Nie dawałem za wygraną. Cały ten plan wydawał mi się nie tylko szalony, ale i najeżony słabymi punktami.

– Będiesz stał na brzegu z pałką i je dobijał – odparł. Uwaga miała być śmieszna, żaden z nas się jednak nie roześmiał. Zgłosiłem kolejną wątpliwość:

– Ten samochodzik na pewno pojedzie po lodzie?

Hirsch wymyślił, że kiedy duży nadajnik na czele legionu szczurów dotrze nad jezioro-

ro, dalej na taflę powiedzie je mniejszy, umieszczony na zdalnie sterowanym modelu samochodu z dużymi balonowymi kółkami.

Do tego celu zamierzał użyć swojej domowej skrzyneczki, której skuteczność miałem okazję podziwiać przez kuchenne okno Henryka, wychodzące na podwórkowy śmietnik.

– Pojedzie – odparł. – To też przećwiczyłem.

– A ten mały nadajnik wystarczy na taką zgraję? Nie wiesz nawet, ile ich będzie.

– Wystarczy na czoło pochodu. Reszta pójdzie za odruchem stadnym. Taką przynajmniej mam nadzieję.

– A co, jeśli... – zacząłem wygłaszać kolejną wątpliwość, ale Henryk przerwał mi, unosząc ręce do nieba niczym prorok.

– Coś ty taki niedowiarek! Trochę zaufania dla geniuszu ludzkiego!

A jak już będziemy na brzegu, po prostu skup się i czekaj na mój sygnał.

I ciesz się chwilą! Nie wiem, czy ktoś na świecie kiedykolwiek będzie miał okazję uczestniczyć w takim polowaniu. Jesteś wybrańcem!

Wyglądał na zaaferowanego. Widziałem, jak bardzo chciał, żeby się udało, i przestałem pytać. Nie wiem, czy bardziej cieszył się na wielką przygodę, wielkie oczyszczenie miasta z brudu, czy na obiecany mu budynek synagogi, gdzie miało powstać muzeum żydowskie. Też wielkie.

Ja aż tak się nie cieszyłem. Powiem krótko: nękały mnie złe przeczucia. Za dużo było w tym planie ryzyka, zbyt wiele brawurowych założeń, a miejscami po prostu zwykłego szaleństwa. Kusiło mnie, by odwieść Hirsza od całego przedsięwzięcia, ale na widok jego chłopięcej radości odpuściłem. Spełnienie marzenia to siła, której nie wolno lekceważyć. Nawet jeśli cena nie jest znana. A zwykle nie jest.

Gdy wychodziłem od Henryka w tamten piątkowy wieczór, w wigilię Dnia Szczura, poucany do samego progu o szczegółach planu, z drugiego pokoju wyjrzała do nas Sara. Uchyliła drzwi, stanęła w progu i uniosła prawą rączkę w geście ni to pozdrowienia, ni to pożegnania, a może powstrzymania nas przed tym szcurzym szaleństwem. Otworzyła usta i poruszała wargami, ale żadne słowo i tak nie mogło z nich paść.

Jej oczy błyszczały. Pamiętam, że przeląknęłem się i pospiesznie wyszedłem ze zdawkowym „do jutra”, nie przypuszczając, że następny raz zobaczę ją za cztery lata.

Wracałem piechotą, jak zwykle, ponieważ Henryk znowu poczęstował mnie orzechówką. Lubiłem ją. W ogóle wtedy lubiłem pić.

Szedłem przyjemnie odurzony i rozważałem wszystkie za i przeciw, przewidując

ewentualne trudności i zawczasu poszukując dla nich rozwiązań. Przy tym oganiałem się od szcurów – właściwych bohaterów jutrzejszego dnia – które bezczelnie barszkowały na chodnikach. Zważywszy na moje poprzednie przygody w tym mieście, nie powinienem sam wracać po nocy. Gdy tylko o tym pomyślałem, z mroku wyłonił się profesor od historii, Piotr Stefanowski.

– Nie powinien pan sam wracać po nocy – powtórzył słowo w słowo moją ostatnią myśl.

– Dam sobie radę – odparłem z udawaną swobodą. – Zasiedziałem się po prostu, nie chciałem brać samochodu...

– Wiem, gdzie pan był – przerwał mi. – I wiem, co chcecie zrobić.

Jestem pełen podziwu. Ale – zająknął się – boję się, że Hirsz zbyt ufa komuś, komu ufać absolutnie nie wolno.

– Kogo pan ma na myśli, profesorze? – spytałem. Szliśmy w mroźny wieczór pustym chodnikiem wzdłuż równie pustej ulicy.

Przyszło mi do głowy, że od jakiegoś czasu to miasto sprawia wrażenie wymarłego. Po zmroku miejsce ludzi zajmowały szczury, biorąc Oszpicyn we władanie.

– On wierzy w coś takiego jak obietnica polityka – odparł Stefanowski. – Ja nie wierzę. Lata spędzone w radzie miasta czegoś mnie nauczyły i gdybym był na jego miejscu...

– Wszyscy się zgodzili. Nawet radny Łopatko.

– I to mnie martwi – odparł natychmiast. – Już sam fakt, że Łopatko popiera wasz plan deratyzacyjny, jak go nazywacie, powinno dać Hirszowi poważnie do myślenia.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeśli na zdrowy rozum powinien być przeciw, a jest za, to znaczy, że w grę wchodzi rozum niezdrowy. Moim zdaniem bardzo niezdrowy.

– Chce pan powiedzieć, że Henryk Hirsz jest naiwny?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie spod futrzanej czapy, w której wyglądał jak radziecki dygnitarz na delegacji w Finlandii.

– Nie chodzi mi o niego, tylko o pana, panie Wojtku. Niech pan uważa, bo jest pan temu miastu bardziej potrzebny od niego.

Kopnąłem bryłkę lodu i zakaszlałem od mroźnego powietrza.

– To jakiś żart?

Ruszyliśmy dalej. Stefanowski objął mnie za ramię.

– Nie, to nie żart. Jestem historykiem, to znaczy człowiekiem żyjącym przeszłością. Co nie zmienia faktu, że interesuje mnie to, co dzieje się dzisiaj, tu i teraz. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie chodzi tu o troskę o pana.

– A o kogo? – zdziwiłem się, udając rozczarowanie.

– Na przykład o dzieci mojej sąsiadki, Szwagrzykowej. Ta poczciwa kobieta zasługuje naprawdę na los lepszy, niż zesłało jej to miasto. Podobnych do niej kobiet jest tu cała rzesza. Wie pan, wojnę robią wyłącznie mężczyźni, ale kobiety płacą połowę rachunków. Co najmniej połowę.

Przerwał, by dać mi czas na przemyślenie jego słów, po czym dokończył:

– Z tego, co udało mi się ostatnio ustalić na pański temat, wynika, że tylko pan to może zmienić.

Tym razem ja przystanęm.

– Na mój temat?! Pan profesor grzebał w moim życiu prywatnym?

Uśmiechnął się niewinnie.

– Przepraszam, odruch zawodowy. Ale proszę się nie obawiać, to nic takiego. Po prostu dowiedziałem się, kim był pański dziadek ze strony ojca. – Uniósł brwi. – Podobieństwo doprawdy uderzające!

– Chce pan powiedzieć, że mam do wypełnienia jakąś misję w tym mieście? Że coś tu ode mnie zależy? Przecież to bzdura! Tania metafizyka. Jako nauczyciel nie powinien pan ulegać takim fascynacjom, profesorze.

Słuchał moich protestów i kręcił głową. Zaczął prószyć drobny śnieg, który osiadał na jego futrzanej czapce, upodabniając statecznego belfra do krasnoludka z bajki.

– A po co jeździ pan na groblę za Podborzem? – spytał nagle. – Przecież nie po to, żeby się wysikać na łonie natury. W każdym razie – zaśmiał się krótko – nie tylko po to.

– Jestem śledzony? – spytałem wrogo. Coraz mniej mi się to podobało.

– Cały czas, kochany, cały czas. Nawet nie wie pan, z jakim utęsknieniem czekano tu na pana. Nie tylko Henryk.

– Na mnie?! O czym pan mówi, do cholery?

Stefanowski jeszcze raz wydobył z zanadru swój niewinny uśmiech.

– Jak to o czym? Stary Maldor nie powiedział panu? Mówię o dzieciach.

Doszliśmy do mojego bloku i stanęliśmy przed klatką. Stefanowski uchylił czapki jak wschodni dygnitarz i skłonił się lekko.

– Niech pan uważa na siebie, Wojtku. Ma pan wiele do zrobienia, a czasu pozostało

niewiele.

– Ktoś mi ostatnio powiedział – wypaliłem – że nie można wyprostować cudzych ścieżek.

– Pan może. Powiem więcej: pan musi.

Wchodziłem po schodach, myśląc o następnym trójkącie, w którego kleszczach się znalazłem: Hirsz – Stefanowski – Maldor.

A także o tym, że zgrabne porzekadła są gównem warte.

Wyruszyliśmy z OZNS-ów za piętnaście dwunasta i na miejsce dotarliśmy tuż przed południem. Mróz trochę zelżał, ale nadal było poniżej zera, a niebo pokrywały szare szmaty, spoza których chwilami prześwitywało umęczone zimnem blade słońce. Henryk poszedł na skrzynię ciężarówki uruchomić urządzenie, ja też wysiadłem. Wkoło panowała niesamowita, przenikliwa cisza. Wśród nieruchomych drzew nadrzecznego parku ciągnęły się wydeptane butami spacerowiczów alejki, teraz puste. Brzegi rzeki skuwał lód, środkiem snuła się struga ciemnej, gęstej jak krew wody. Podniosłem wzrok. Po drugiej stronie majaczyły w bladej mgiełce wieżyczki dawnego obozu, niczym żandar-mi w kanciastych hełmach. Nadal pilnują miasta, pomyślałem smętnie. Tyle lat po wojnie, a one nie wypuszczają go z żelaznego uścisku, całkiem jak ten mróz.

– Ponure, co? – spytał Henryk, kładąc mi rękę na ramieniu. – Nie martw się, już nie-długo.

– Nie martwię się – odparłem. – Czuję coś niedobrego w powietrzu.

– Byłoby dziwne, gdybyś nie czuł. Jedźmy! – zarządził i klasnął w dłonie. – Niech to się wreszcie skończy.

Kiedy wsiadaliśmy do kabiny ciężarówki, przez park przebiegł pies. Mały brzydki kundel z podwiniętym ogonem i krótkimi łapkami drobił w śniegu, sprawnie pokonując nierówności. Biegł prosto przed siebie, pewien celu i wagi sprawy do załatwienia. Nie obejrzał się na nas, jakbyśmy nie istnieli. Wbiegł na pochyłość i przepadł gdzieś za murem okalającym ogród ojców salezjanów, a ja wpatrywałem się w szparę, za którą zniknął jego zakręcony ogonek. Zwykły, wesoły i brzydki piesek, ale mnie nagle ogar-nął lęk, że za tym murem dopadnie go gromada wielkich, wygłodniałych gryzoni i obje do kości. Wzdrygnąłem się.

Cholera, jedźmy.

Henryk ruszył powoli, a ja sprawdziłem działanie krótkofalówki i przygotowałem aparat fotograficzny. Pomny widoku na Brzegach, nie mogłem sobie pozwolić na zmar-nowanie takiej okazji. Naczelnny najpierw złapał się za głowę, a potem żyłka dzienni-karska wzięła górę i skwapliwie się zgodził. To mógł być materiał stulecia.

Pierwsze osobniki wychynęły zza muru salezjańskiego, mniej więcej tam, gdzie

wcześniej zniknął piesek. Sformowały zbitą gromadę i dopiero wtedy pobiegły za nami. Trzymały się w rozsądnej odległości, jak oddział rozpoznawczy większej jednostki, ukrytej za wzgórzem bitewnego pola. Kolejne dołączyły z podwórzy odrapanych kamienic nad Sową, przepychając się między nierównymi sztachetami, przełaząc przez murki i wyczołgując spod rachitycznych bud, które biedocie miejskiej służyły za obórki i chlewiki. Zbiegały z łagodnie nachylonej ku rzece skarpy, by wmieszać się w grupę. Henryk prowadził samochód powoli, zerkając na wskaźniki pilota, ale kiedy całkiem spora już gromada zbliżyła się na dystans około dwóch metrów, przyspieszył. Nie chcieliśmy ryzykować powtórnego zaatakowania paki z nadajnikiem.

Wjechaliśmy pod most. Stado za nami rozciągało się na długości dziesięciu metrów i szerokości około trzech. Na moście stało czterech policjantów. Zaciskali dłonie na poręczy i wpatrywali się w naszą kolumnę. Widziałem otwarte usta i pobladłe twarze. Odkręciłem szybę i pomachałem im ręką, ale żaden nie zareagował. Nagle jeden z nich spojrzął w bok, krzyknął coś do pozostałych i wszyscy czterej pobiegli do samochodu. Słyszałem głośne trzaśnięcia drzwiami.

- Ludzie się boją – mruknąłem.
- I bardzo dobrze – odparł Henryk. – To ich dobytek.
- A ty? Jak ty się czujesz?
- Jak król szczurów.

Minęliśmy zamek i ciężarówka zaczęła piąć się w górę ulicą Dolinieckiego. Po kilkunastu metrach skręciła w prawo i objechawszy wzgórze zamkowe, dotarła do wąskiej uliczki Berka Joselewicza.

Tu rozpętało się piekło.

Zaczęły wylaźić dosłownie ze wszystkich szpar. Gramoliły się z bram wejściowych, z piwnicznych okienek i ciasnych przesmyków między kamienicami, wypełzały z wywietrzników kuchennych i schodziły po ścianach. Były jak wylewające się z domów błoto.

Formacje strychowe zbiegały po rynnach, a co odważniejsze indywidualnie skakały wprost na ulicę, amortyzując upadek na grzbietach pobratymców. Te, które źle trafiły, rozplaskiwały się na kamiennym bruku, natychmiast zdeptywane przez napierające tyły. Szczury nadbiegały z obu stron i stado napęczniało do rozmiarów grubego kożucha, furgoczącego i przelewającego się jak wodospad. Zrobiłem kilka zdjęć, ale później okazały się nieostre. Ręce mi się trzęsły. A fala rosła i rosła. Kiedy dojechaliśmy do ulicy Jagiellońskiej, sunął za nami nieprzebrany tłum długości co najmniej czter-

dziestu metrów. Ulica falowała burym, rwącym potokiem.

– Jezus Maria – jęknąłem. – Ile tego jest... Jak powódź.

Henryk nie odpowiedział. Zaciskał dłonie na kierownicy, aż mu knykcie zbieleły. Wyglądał, jakby chciał wydusić szczury własnymi rękami. Zwalniał, podpuszczając ławicę tuż pod tylne koła, a potem nagle dodawał gazu w nadziei, że jakiś nawinie się pod koła. Na jego twarzy malował się wyraz najwyższej satysfakcji, niemal upojenia. Coś mamrotał pod nosem, ale nie rozumiałem. Wyobrażałem sobie, że to modlitwa dziękczynna do Jahwe za dar upragnionej zemsty.

Skręciliśmy na plac Księżycowy i wkrótce dotarliśmy do rynku.

Henryk zatoczył krąg wokół placu, niczym zwycięską rundę honorową, a ja z niepokojem obserwowałem rosnącą za nami lawinę żywego, falującego brudu. Po dwóch stronach starówki stały samochody policji i straży pożarnej, z osłupiałymi funkcjonariuszami w środku.

Popatrzyłem w górę, na okna kamienic. Tu i ówdzie zza firanki błyskała twarz i zaraz znikiała. Kilka okien obok następna, podobna do tamtej.

Jakby śledził nas jeden i ten sam człowiek, przenikając przez ściany kolejnych mieszkań, jak duch. Patrzył i znikał, by za chwilę pojawić się dalej. Kiedy przejeżdżaliśmy obok kawiarni Kofe Inka, dostrzegłem za szybą twarze Pawła Kopcia i jego żony. Podłużne i nieruchome, nie wyrażały nic. Uniosłem dłoń w geście pozdrowienia. Paweł patrzył mi prosto w oczy, ale nawet nie drgnął. Poczułem się jak jego śmiertelny wróg.

– Patrzcie. Patrzcie – mruknął nagle Henryk. – To wszystko wasze...

Za rynkiem skręciliśmy w kierunku placu Kostkiewicza.

Obejrzałem się na wylot uliczki, przy której znajdowała się kamienica z mieszkaniem Hirsza i skład dywanów. Wyszły zza kościoła parafialnego zwartymi szeregami, a na czele znów kroczył ten największy, Wielki Szczuron, szef podwórka. Gdy znalazły się na głównej arterii Starego Miasta, ruszyły z niebywałą szybkością i wkrótce wmieściły się w tłum. Przez chwilę widziałem, jak ten wielki przeciska się do przodu, ku dowództwu, gdzie wedle rangi znajdowało się należne mu miejsce. Henryk znowu zwolnił.

– Długo na to czekałem – powiedział cicho. – Bardzo długo.

– Na to? – Pokazałem kciukiem za siebie. Nie byłem pewien, czy mówi do mnie czy do siebie. Nieodpowiadanie na pytania stało się u tego człowieka nieuleczalnym nawy-

kiem.

– Nasza kultura przywiązuje dużą wagę do czystości – ciągnął nie wiadomo do kogo.
– Regularna kąpiel to u nas jeden z podstawowych rytuałów. Zanim wejdiesz do świątyni, na spotkanie z Bogiem, powinieneś dokładnie umyć ręce i włożyć czyste szaty. Czystość to obowiązek każdego Żyda.

Przypomniał mi się napis na plakacie: „Żydzi, wszy, tyfus plamisty”. No to macie teraz swoje wszy i swój tyfus.

– *Adonai Jahwe sabbaot!* – wykrzyczał Henryk zawołanie bojowe i dodał gazu. Samochód szarpnął, zza pleców dobiegły mnie przeraźliwe piski i chrupnięcia. Widocznie jacyś wyjątkowo ambitni harcownicy jednak dostali się pod koła. Nasza parada stopniowo zamieniała się w śmiertelne igrzyska: on zwalniał, one nas doganiały, wtedy on przyspieszał. I chrup, chrup.

Zbliżaliśmy się do skrętu na jezioro. Dalszy ciąg ulicy Dąbrowskiego blokowały dwa wozy strażackie i jeden policyjny. Na nasz widok trzech policjanci cofnęli się, zawahali, a potem jednocześnie wskoczyli do samochodu i zatrzasnęli drzwi. Za przednią szybą pojawiły się dwie przyklejone twarze, tak samo blade i nieruchome jak tamte w mieście. Zjechaliśmy z głównej szosy. Kobierzec z drgających szcurzych zadków zajmował całą szerokość ulicy i sięgał stu metrów długości. Przez krótkofalówkę powiadomiłem ekipę nad jeziorem, że się zbliżamy. Gdy skręciliśmy, część szcurów ruszyła na skróty i wielka połać placu targowego zamigotała od ruchliwych ciałek. Dwóch strażaków z czekanami w rękach rzuciło się do panicznej ucieczki.

Widocznie wyobrażali sobie, że w razie czego obronią się, machając toporkami na prawo i lewo. To, co zobaczyli, znacznie przerosło ich wyobraźnię.

Nad jeziorem czekał cały komitet powitalny. Kilku oficerów policji, dwóch wojskowych, którzy dowodzili niewielkim oddziałem saperów, oraz radny Alfred Łopatko ze swoją świtą. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko, a potem zaczął bić brawo. Inni się dołączyli i w ten sposób wjechaliśmy na nabrzeżną łankę do wtóru cyrkowego aplauzu. Wystawiłem rękę przez okno z dumnie uniesionym kciukiem.

Aplauz natychmiast ucichł, gdy widzowie zobaczyli, co się wyłoniło za nami. Rozległo się pospieszne trzaskanie drzwiami samochodów.

Henryk nie zważał na nich.

– Teraz się skup – powiedział. – Skręcasz dopiero na mój sygnał.

Pokiwałem głową, a on przyspieszył, zostawiając hordę nieco z tyłu, po czym zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od brzegu. Wskoczył z kabiny i pobiegł na pakę, a ja

przesunąłem się na jego miejsce. Gdy podniósł rękę, ruszyłem powoli. Szczury nas doganiały. Dodałem gazu.

Jeziro zbliżało się coraz szybciej, przede mną rozciągała się wielka biała powierzchnia, otoczona wysokim brzegiem, tylko od naszej strony zejście do wody było łagodne. Na wprost mnie na lodzie stał niewielki wózek na śmiesznych rozdętych kółkach, jak w samochodach terenowych. Na jego grzbiecie spoczywała magiczna skrzyneczka Hirsza ze sterzącą dumnie antenką. Melancholijnie pomyślałem sobie, że widzę ją ostatni raz, ponieważ za chwilę zniknie pod wodą razem z tym pokracznym autkiem. Wtedy nad głową usłyszałem walnięcie pięścią wabinę. Zwolniłem. Henryk zeskoczył z paki i długimi susami pobiegł na swoje stanowisko. Spora grupa szczurów oderwała się od głównego nurtu i pobiegła ukosem za nim. Odległość wynosiła zaledwie pięć, sześć metrów. Nadajnik na ciężarówce już nie działał, a ten mały na lodzie – jeszcze nie, ale one nie potrzebowały żadnego sygnału. Rozdygotane z podniecenia wyczuły ofiarę i rzuciły się na nią. Niemal słyszałem kłapanie głodnych szczęk.

Henryk wspiął się na metalową ambonę. Pożyczyliśmy ją od ratowników z kąpieliska nad jeziorem. Miała trzy metry wysokości, wygodną drabinkę i cienkie rurki, zbyt gładkie dla szczurzych łapek.

Kiedy zajął miejsce na górze, uniósł mały radionadajnik do sterowania autkiem i dał mi znak. Ostro skręciłem w prawo i dodałem gazu.

Ciężarówka wyrwała naprzód wzdłuż brzegu, wzbijając tuman śnieżnego pyłu, i przez moment nie widziałem, co się za mną dzieje. Zwolniłem.

Kiedy odjechałem na sto metrów, zgodnie z planem zatrzymałem się i wysiadłem. Mgiełka śniegu utrudniała widoczność, więc zamiast zostać na miejscu i w razie czego włączyć znowu nadajnik, pobiegłem z powrotem po śladach opon. W końcu trafiła się okazja jedna na tysiąc.

Co ja mówię – jedna na całe życie.

Widok był niesamowity, jak kulminacja panoramicznej sceny bitewnej w dramacie historycznym. Czoło szczurzego pochodu zatrzymało się na brzegu i trwało w oczekiwaniu. Z tyłu dołączały kolejne szeregi, aż nad wodą zgromadziła się milionowa armia, gotowa do działania i czekająca na rozkazy. Obie flanki rozlały się szeroko, lewa otoczyła szczelnie wieżyczkę Henryka.

Niektóre zwierzaki podskakiwały, usiłując wdrapać się do niego, a on, nie zważając na nie, stał jak wódz na szczycie i majstrował przy nadajniku. Coś było nie tak.

Autko stało zaledwie niecałe dziesięć metrów od brzegu, jednak szczury nie kwapiły

się na lód. Pierwsze szeregi hipnotycznie wpatrywały się w drewnianą skrzyneczkę, podczas gdy reszta wierciła się i kotłowała niecierpliwie. Zatrzymałem się i patrzyłem zafascynowany na falujące mrowie. Słaby sygnał, pomyślałem.

Wtedy ten pierwszy ruszył. Stał na samym środku zgrupowania, olbrzymi, pewny siebie, władczy. Wyciągnął jedną łapkę przed siebie i ostrożnie postawił na lodzie, potem drugą. Dwa inne po obu jego stronach, równie wielkie, zrobiły to samo. Weszły na lód i nie odrywając wzroku od skrzynki, zaczęły się do niej zbliżać. Szły ostrożnie, gotowe w każdej chwili zawrócić bądź zaatakować. Znajdowały się może metr od brzegu, gdy ruszyła reszta. Aż mi zaparło dech w piersiach.

Jęzor szaroburego szczurzego błota wylał się na lód i sunął na autko jak lawina na górski krzew. Wydawało się, że jeszcze moment i fala żywiołu zdmuchnie tę rachityczną konstrukcję jak słomkę. Gdy pierwsze szczury dotarły do celu, jeden z nich dziabnął zębami koło, inny wlaźł na skrzynkę i zaczął ogryzać antenę. Robiło się nieciekawie.

Jeszcze minuta i zeżrą autko razem z nadajnikiem, pomyślałem. A potem nas. Przecież teraz, gdy się tu zgromadziły w tę wielką i rozpasaną armię, nikt nad nimi nie panuje. Spojrzałem na wieżyczkę. Henryk walił prawą ręką w plastikowe cacko, które podobno całkiem sporo kosztowało, i coś wołał. Chciałem pobiec ku niemu, ale dzieliło nas morze szcurów. Patrzyłem bezradnie.

Nagle autko drgnęło. Te najbliższe niego pisnęły zdziwione i odsunęły się na bok, otwierając przejazd. Przednie kółka podskoczyły, zrzucając ze skrzynki kilka napastliwych osobników, i wózek z radiowym szczurołapem pomknął przed siebie, porwawszy jednego wesołego szcurka w charakterze zakładnika. Siedział na skrzynce i łapkami kurczowo obejmował nasadę antenki. Wyobraziłem sobie, jak pędzi z wyszczerzonymi z podniecenia zębami i śpiewa jakieś szcurze szanty. Legion natychmiast uformował szpic i podążył za nim. Zabawka sunęła po lodzie, podskakując na wybojach i nierównościach, ale dawała radę. Poprzedniego dnia chodziliśmy tam i z powrotem, usuwając większe przeszkody i ubijając śnieg tam, gdzie go nawiało więcej i gdzie koła mogły ugrzęznąć. Wielki wyścig. Patrzyłem z zafascynowaniem na szary klin, jak grot włóczy wbijający się w biel Jeziora Wroniego.

Kiedy ostatnie szczury weszły na lód i wielka plama przesuwiała się stopniowo ku środkowi w ślad za uciekającym sygnałem, co odważniejsi widzowie zaczęli wysiadać z samochodów. Henryk stał na wieżyczce i sterował akcją. To była jego chwila, jego zwycięstwo po latach upokorzeń i wstydu, za siebie i za innych. Widziałem, jak wpatrzony w białą taflę pokrytą falującym nalotem powoli przesuwając potencjometri nadajnika, zwalniając i przyspieszając ostatnią jazdę jego najlepszego wynalazku. Brudna

armia sunęła za zabawką sumiennie i pokornie, na swoje zatracenie. Pobiegłem do Henryka.

A on się bawił! Skręcał autkiem, wywijał slalomy i śmiał się do siebie, zadowolony z głupoty biegających wężykiem szczurów. Kiedy wózek z nadajnikiem dotarł na środek jeziora, przekroczywszy linię ukrytych w lodzie ładunków wybuchowych, Henryk przesunął gałkę skretu w lewo i samochodzik zaczął zataczać szerokie koło. Czoło pochodu skręciło za nim i z rozciągniętej burej plamy utworzył się potężny wir. Krążył wokół maleńkiej zabawki, a dołączające gromady poszerzały go i poszerzały, aż zacieśniły wielką obręcz. Wtedy zaczęły się zbliżać do środka, zmuszając Henryka do zawężania koła, aż wreszcie autko stanęło. Sunęły. Nieprzebrane rzesze stworzeń.

– Jak myślisz, ile ich jest? – spytałem go, gdy wdrapałem się na górę. Od jeziora szedł monotony, psychodeliczny szum, jakby ożyły zamarzniete fale.

– Co najmniej milion. Tak, milion. Każdy z nich to wina za śmierć jednego człowieka.

Wiedziałem, o czym mówi. Na jeziorze krąg się zacieśnił, wózka już prawie nie było widać, ale Henryk czekał. Sycił oczy tym widokiem.

Pokazałem kciukiem za siebie, na miasto.

– Chcesz ich uniewinnić?

– Oczyszczyć, chłopcze. Oczyszczyć. To nie to samo.

Od jeziora dobiegł jazgot tysięcy zębów wbijających się w unieruchomiony wózek. Dopadły go. Słyszeliśmy zgrzyt drapanego metalu, chrobot rozrywanego drewna, radosne piski zwycięzców.

Popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem. Miał łzy w oczach.

– Henryku, obudź się. Już czas – powiedziałem cicho.

– Tak. Już czas.

Odłożył nadajnik, odwrócił się ku saperom i podniósł obie ręce do góry.

Nikt później nie umiał wyjaśnić, skąd wziął się tam chłopiec.

Policjanci, którzy mieli pilnować brzegu od strony trzech domów na skarpie, zarzekali się, że kordon był szczelny. Według nich mały zaszył się wcześniej w krzakach nad wodą. Istotnie, znaleziono tam wyrąbaną przeręblę i krótką wędkę do łowienia pod lodem. A także czapkę chłopca. Nieprzewidziana komplikacja. Przypadek jeden na tysiąc.

Z nieprzewidzianych komplikacji, zbiegów okoliczności i przypadków można ułożyć historię ludzkości.

Mały Kamilek lubił samotność, ponieważ był na nią skazany.

Oboje rodzice nie pracowali, a wolny czas poświęcali przepijaniu górniczej renty ojca, więc chłopczyk musiał sam sobie jakoś zorganizować ferie zimowe. Z pewnością widział policję, być może nawet słyszał o zakazie wychodzenia z domu, ale łamanie zakazów i unikanie policji należało do jego ulubionych rozrywek. Sprytnie ominął strażników, którzy przyłożyli się do roboty jak zawsze, czyli byle jak, i przycupnął w krzakach, żeby nałowić okoni na obiad. Gdy na drugim brzegu zaczęło się coś dziać, odłożył wędkę i obserwował zajście z ukrycia. Wiedziałem, dlaczego zdjął czapkę. Była kolorowa, widoczna z daleka.

Zobaczyłem go biegnącego po lodzie w momencie, gdy Henryk uniósł obie ręce do góry. Dlaczego nie wcześniej? Dlaczego nie widzieli go policjanci na brzegu? Dlaczego go nie zobaczył go Henryk? Dlaczego nie zawahał się żaden z saperów trzymających w ręku detonatory? To wszystko nie ma już znaczenia. Chłopiec biegł w kierunku szczurzego zbiegowiska, podniecony pędzącą po lodzie zabawką. Nie widział szczurów. Albo widział i liczył, że je przepędzi, porwie autko i zabierze do jednej ze swoich licznych kryjówek. Mariusz Węgrzyn później mówił mi, że chłopiec miał w szopie kącik z modelami żaglówek. Kradł je modelarzom albo znajdował zaplątane w trzciny w trudno dostępnych miejscach. Autko świetnie nadawałoby się do kolekcji. Fajna zabawka.

Głupi Kamilek chciał się pobawić.

– Nieee!!! – wrzasnąłem. – Stop! Stoop!!!

Henryk opuścił ręce i spojrzał na mnie ze zdziwieniem. W tej samej sekundzie, kiedy odwracał się, prowadzony moją wyciągniętą dłonią, rozległa się pierwsza detonacja. Po niej następne, niemal równocześnie. Ładunki miały wybuchnąć wszystkie naraz, żeby nie dać szczerom czasu na ucieczkę. I tak właśnie się stało. Wokół szczurzego plemienia, zajmującego powierzchnię o średnicy dobrych stu metrów, wystrzeliły w górę fontanny śniegu i lodu, a po sekundzie spod wody rozległ się głuchy, smoczy pomruk. Rozbita na kilkumetrowe kawałki tafla zamieniła się w kłębowisko biało-czerwono-czarnej masy. Woda w dziurze zagotowała się. Setki tych, które przeżyły serię wybuchów, usiłowały wydostać się na lód po ciałach towarzyszy.

Biegący ku dziurze chłopiec przewrócił się od podmuchu zdetonowanego tuż przed nim ładunku, ale po upadku pojechał na gładkim lodzie kilka metrów do przodu. Przeżyłby, gdyby natychmiast się odwrócił i uciekł, ale tego nie zrobił. „Wiesz, sąsiedzi mówili, że on był trochę nie teges”, powiedział mi aspirant Węgrzyn. „Głupi Kamilek, tak go nazywali. Rozumiesz, patolska rodzina, gówniane geny”.

Zaciekawiony skotłowaną wodą i tysiącami wijących się rozpaczliwie stworzeń, Głupi Kamilek zrobił kilka kroków do przodu i zatrzymał się.

Patrzyliśmy w napięciu, jak stoi z rozdziawioną gębą przed wielką, ruszającą się przeręblą. Może mu się wydawało, że to ryby? Może kombinował, jak je wyłapać? Nie dowiemy się. Stał i patrzył, a my zaczęliśmy wrzeszczeć.

Z przeciwległego brzegu ruszyło do biegu dwóch policjantów.

Niewykluczone, że to ich ciężkie kroki na nadwyrężonym lodzie stały się bezpośrednią przyczyną katastrofy. Wokół chłopca utworzyła się szczelina, a potem wielka krapka poszła w dryf ku szczerom. Myśmy tego nie widzieli. Zobaczyliśmy tylko, jak biała płyta unosi się za chłopcem, a on zsuwa się po tej prowizorycznej zjeżdżalni wprost do skłębionej wody. Plusnął bezgłośnie, nad powierzchnią mignęły ręce i jasna głowa bez czapki, a potem pochłonęła go czarna otchłań. Woda zagotowała się żywiej i nagle uspokoiła się, jakby wszystkie szczury poszły za ciałem na dno.

Skoczyliśmy obaj, ale tylko Henryk pobiegł dalej, wyprzedzając policjantów i strażaków z drabinami. Upadając z wieżyczki, uderzyłem się o żebra i odnowiłem złamanie. Podniosłem się i patrzyłem, nie mogąc złapać oddechu. Henryk biegł i coś krzyczał, dwaj policjanci stali przed dziurą po krze, która uniosła chłopca, i zbaraniałym wzrokiem patrzyli w czarną wodę. Nie wiedzieli, co robić. Wreszcie jeden z nich pobiegł naprzeciw Henryka z wyciągniętymi rękami, próbując go zatrzymać. Patrzyłem z zapartym tchem, modląc się, żeby mu się udało.

– Aleście dojebali – usłyszałem za plecami rzeczowe podsumowanie Łopatki. Klep-

nał mnie w ramię jak starego kumpla. – Ktoś za to beknie.

Nie mogłem dać mu w pysk. Chciałem biec. Złapałem oddech i ruszyłem kulawo, trzymając się ręką za pogruchotany bok. Biegłem ze wzrokiem wbitym w Henryka. To było to przecucie.

Wyminął policjanta i rzucił się w wodę. Nigdy się nie dowiem, czy skoczył na ratunek chłopcu, czy się pośliznął. Policjant stwierdził później w raporcie, że widział wyraźnie, jak Henryk Hirsch upada na śliskim lodzie i jedzie do wody na kolanach, co z grubsza zgadzało się z charakterem pozostawionych śladów.

Jechał na kolanach z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby chciał złapać chłopaka, jakąś magiczną siłą wyrwać go z powrotem na powierzchnię z oszalałego tłumy gryzoni. W takiej pozycji zniknął pod wodą. Zobaczyłem tylko długie stopy w czarnych butach, a sekundę później szczurzy kocioł wybuchł z nową siłą. Policjant stał trzy metry dalej z rozłożonymi rękami, jakby całe niebo wzywał na świadka, że nic nie da się zrobić.

– Henryk!!! – krzychałem z obolałych płuc. – Henryyyyk!!!

Strażacy już tam dotarli, rzucili drabinę na lód i jeden z nich podczołgał się aż do krawędzi otworu. Długim bosakiem zaczął grzebać w wodzie, ale zaraz wyrwał go z powrotem i zaczął się wycofywać, bo oblażyły go mokre stworzenia. Krzyczał jak oszalały. Szczury dzięki bosakowi wydostały się na lód i rozbiegły się w różne strony, a strażacy i policjanci zupełnie bezsensownie zaczęli na nie polować za pomocą pałek i czekanów. Ten od bosaka klęczał na śniegu i obcierał twarz z krwi. Szlochał przy tym jak dziecko.

– Ratujcie ludzi! – wołałem, biegnąc. – Idioci! Ratujcie ludzi!

Nadbiegli kolejni mundurowi. Ci, którzy gonili za niedobitkami szczurzej armii, opamiętali się i wrócili ku dziurze. W końcu i ja dobiegłem. Podeszedłem do samej krawędzi i nie bacząc na niebezpieczeństwo, pochyliłem się. Czarna otchłań uspokajała się. Tu i ówdzie wynurzył się jeszcze otwarty pyszczek, grzebnał łapkami i poszedł pod wodę.

– Zróbcie coś! – krzychałem. Za mną stali ludzie i podobnie jak ja, patrzyli bezradnie w toń, gdzie przed chwilą zniknął Hirsch. „Ale co?”, usłyszałem. „Sam coś zrób”, dorzucił inny głos. Wbijałem oczy w otchłań. Wychynał z niej pojedynczy krąg wody i rozpląnął się w nic.

– Henryk – rzeziłem. – Henryk, coś ty zrobił! Dlaczego tak?

Woda milczała. Na wygładzonej powierzchni pływały kawałki kry i strzępy szczu-

rzego brudu, wirując coraz wolniej, leniwie, jakby mi chciały dać do zrozumienia, że już po wszystkim. Ktoś za mną szurał drabiną po śniegu, ktoś inny uspokajał strażaka z poranioną twarzą, jeszcze inni półgłosem wygłaszali pełne emocji komentarze.

– Wezwaliśmy nurków – usłyszałem tuż za moimi plecami.

Odwróciłem się. To był inspektor Tadeusz Morgała, komendant oszpiczyńskiej policji. – Ale zdaje pan sobie sprawę, że raczej nie ma szans. Ta woda od razu zabija.

– Wiem, wielkie dzięki – odparłem. – Nie mogliście wcześniej o tym pomyśleć? Nie przyszło wam do głowy, że przydaliby się nurkowie na brzegu?

– Nie przewidywaliśmy ratowania szczurów – stwierdził sztywno.

– Zdaje się, że w tym waszym genialnym planie chodziło o coś dokładnie przeciwnego.

W jego głosie usłyszałem tony, które zapowiadały dalszy rozwój wypadków. Ratowania szczurów wprawdzie nie przewidywali, ale przewidzieli kilka innych posunięć mających na celu wyciągnięcie korzyści z wielkiego przedsięwzięcia Henryka Hirsza. Nie odezwałem się. Nie miałem siły ani ochoty ciągnąć tej dyskusji. Bezradnie patrzyłem w wodę, podobnie jak cała reszta ludzi wokół dziury.

Dwóch młodych strażaków dziobało wodę bosakami. Szczury już znikły, więc się odważyli, ich dobra wola nie mogła jednak przynieść efektów. Wody się zamknęły. Henryk Hirsz i Głupi Kamilek spoczęli na dnie Jeziora Wroniego w otoczeniu miliona szczurzych ciał. Każde z nich było winą za śmierć jednego człowieka.

Wkrótce nadjechali nurkowie w skafandrach i z ociąganiem zaczęli wchodzić do dziury. Stałem i stałem, wreszcie dostałem dreszczy i naczelny pociągnął mnie do samochodu. Bok rwał wściekłym bólem. Karpiński kompulsywnie gadał jak najęty.

*

Dosyć na dzisiaj. Zresztą zaraz zgaszą światła i skończy się pisanie. Pani pielęgniarka pozwala mi pracować tylko dlatego, że pomagam jej pisać prace zaliczeniowe. Przysługa za przysługę. Było w miarę realistycznie? Ha, ha. Szczurzą historię powinienem zakończyć jakąś puentą, ale nie wiem jaką. Każde następne zdanie, które przychodzi mi do głowy, brzmi jak puenta. Zobaczcie sami.

W kilka dni po katastrofalnej deratyzacji wyjechałem z miasta, czego kategorycznie zażądał życzliwy mi Mariusz Węgrzyn.

W przeciwnym razie zostałemby oskarżony o współudział w nieumyślnym spowodowaniu śmierci dziewięcioletniego Kamila Warchała.

Uciekłem przed odpowiedzialnością, uciekłem przed rozpaczą, uciekłem przed prze-

znaczeniem. Ale przed nim uciec się nie da.

Wróciłem do Oszpicyna po pięciu latach.

Ciało Głupiego Kamilka wydobyto z jeziora nazajutrz z samego rana. Było okropnie pogryzione i podrapane, ale zasadniczo w jednym kawałku. Ciało Henryka Hirsza nigdy nie odnaleziono. Jeden z nurków powiedział, że była to najgorsza robota w jego życiu i że wolałby nurkować w szambie.

Sara, wnuczka Henryka, miała trafić do sierocińca, ale Piotr Stefanowski uparł się i wywalczył opiekę prawną nad dziewczynką.

Głównie zajmowała się nią pani Szwagrzykowa, kobieta doświadczona w opiece nad trudnymi dziećmi.

Śmierć Ryszarda Kolanowskiego uznano za nieszczęśliwy wypadek. Mężczyzna potknął się, notując coś w marszu, i upadł tak nieszczęśliwie, że nabił się na własny ołówek. O skarbie z Sępi wszelki słuch zaginął. Na cztery lata.

Wkrótce po nieszczęsnej akcji deratyzacyjnej dziwne anomalie oszpicyńskich dzieci ustały. Nie muszę chyba dodawać, że na cztery lata.

Miasto nie wywiązało się z umowy z Henrykiem Hirszem. Nie musiało, ponieważ o umowie nikt nie wiedział. Tak się przynajmniej wydawało burmistrzowi Oszpicyna, dopóki w tydzień po feralnym dniu nie odwiedziła go Sara Hirsz. Nie mogłem być świadkiem tego spotkania, jego przebieg znam z relacji ówczesnej sekretarki prezydenta.

Sara wyjęła z torebki poskładaną na czworo kartkę, rozłożyła ją przed sobą jak transparent i podetknęła burmistrzowi pod nos koślawe drukowane litery:

JESTEM SPATKOBIERCZYNIOM HENRYKA HIRSZA. PROSZE MI ODDAĆ SYNAGOGE.

Burmistrz się zaczerwienił, wyrwał dziewczynce kartkę, podarł na strzępy i ryknął: „Po pierwsze, nie jesteś jego wnuczką! Po drugie, nie było żadnej umowy! A po trzecie, wyńś się stąd, przybłędo!”. Dziecko nic nie powiedziało, bo nie mogło, i wyszło.

Problem ze szcurami się skończył. Miasto odetchnęło. Dawny skład dywanów przejęła firma budowlana kierowana przez szwagra Alfreda Łopatki. Ta sama firma wygrała przetarg na budowę obwodnicy wokół Oszpicyna.

Na początku maja tego samego roku w Oszpicynie zaginęło bez śladu sześcioro dzieci.

Dosyć. Idę spać.

CZĘŚĆ DRUGA

1999

Ziemia się rusza

*Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole.
Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się dalej,
Rozróżnia ludzki popiół po tęczującym oparze,
Popiół każdego człowieka po innej barwie tęczy.*

Czesław Miłosz, Biedny chrześcijanin patrzy na getto

Wróciłem do Oszpicyna po czterech latach. Nie z własnej woli – niemal bezwiednie uległem naciskowi oczywistych faktów i codziennej normalności, wymagającej na przykład wyjazdu w odwiedziny do rodziców żony. Tak się złożyło, że tą żoną była Ola Czech, córka policjanta z Sępni, ta sama, która przynosiła mi do szpitala pomarańcze i kompot ze śliwek. Kiedy wyjechałem (uciekłem) na początku lutego 1995 roku z Oszpicyna i matka pospiesznie załatwiła mi pracę na drugim końcu Polski, Ola mnie odnalazła i napisała, czy może przyjechać.

Odmówiłem i uznałem sprawę za zamkniętą, ale ona przysłała następny list, a w nim zaznaczyła, że nie chodzi o załatwienie pracy.

Zawstydziłem się i zaprosiłem ją do Słupska. Przyjechała, już bez kompotu. Pobraliśmy się parę miesięcy później.

Tamto miasto omijałem z daleka, jak psychotyk omija jądro traumy. Pochyliła czoło, nurkując w zarośla, skąd widać niewiele i można żyć złudzeniem, że to, co dalej, nie istnieje. Zaciskałem powieki, by nie widzieć tamtych obrazów, potrząsałem głową, by uwolnić myśli od tego wszystkiego, co tam zostało. Chciałem żyć normalnie, cokolwiek by to znaczyło. Zgodnie z oficjalnymi trendami w polityce i gospodarce cieszyłem się wielką transformacją w kraju i patrzyłem w przyszłość, ignorując ciemność za plecami. Ola miała mi w tym pomóc. Była czuła, wyrozumiała, cierpliwa – była wspaniała. Robiła, co mogła.

– Na pewno chcesz pojechać? – spytała cicho i objęła mnie w pasie.

Teść poważnie zachorował i powinniśmy jechać razem, pojawił się jednak problem z urlopem dla Oli. Lipiec w biurze turystycznym, gdzie znalazła pracę, oznaczał szczyt sezonu. Pełna mobilizacja. Ja w redakcji „Gazety Słupskiej” miałem znacznie większą swobodę, a w wakacje w wiadomościach trwał na dobre sezon ogórkowy. Mogliśmy też poczekać z wyjazdem do jesieni, ale teść niekoniecznie. Było źle.

– Przecież ktoś musi – odparłem, głaszcząc jej dłonie na moim brzuchu. – Nie zostawimy ich samych.

Przywarła mocniej, przytulając policzek do moich pleców.

– Nie o to chodzi. Pytam, czy dasz radę. No wiesz...

– Wiem – przerwałem. – Ale to już cztery lata. Tamto dla mnie nie istnieje.

W jej westchnieniu kryło się wszystko, od przytaknięcia, przez całą gamę wątpliwości, aż do rezygnacji – tej królowej bezradnego sprzeciwu. Milczała, a ja w napięciu przełknąłem ślinę. Wyłapała kłamstwo w moim głosie czy nie? Wiecie doskonale – są w życiu młodych małżonków takie chwile, kiedy się nie ma przed sobą tajemnic, a bliskość tego drugiego otwiera najszczelniej nawet zatrzaśnięte drzwi.

Kiedy po dobrym seksie leżeliśmy w łóżku, opowiadałem jej o doświadczeniach z Oszpicyna. Chciałem, żeby wiedziała, od czego uciekam. Długie narracje, snute w przyjemnym odprężeniu, z dala od tamtego miejsca i czasu, nabierały cech łagodnej opowieści z krainy Nigdzie, nieledwie bajki. Mówiłem o ludziach i duchach, o biednych dzieciach i niedobrym czarowniku, o ciemnej linii lasu i gwiazdach odbitych w gładkiej czarnej wodzie. Nie wiem, ile z tego rozumiała, a ile uznała za barwne zmyślenia dziennikarza z literackimi ambicjami. Ale słuchała uważnie. Pewnego zimowego wieczoru, gdy wiatr od morza stukał luźno zamocowanymi okiennicami, powiedziałem jej o zielonożółtej zorzy, a ona odparła, że też ją kiedyś widziała, w dzieciństwie, w Sępmi.

– Wracałam zimą po ciemku ze ślizgawki na naszych stawach. Nie mogłam później zasnąć, te kolory tańczyły przede mną całą noc. To była najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

– No właśnie – zakończyłem. – Nigdzie na świecie nie ma takiego natężenia piękna jak tam. Tak powiedział stary Maldor. Oni je tam przywieźli i zostawili.

– Jacy oni? – spytała.

Usłyszałem śpiewy z czeluści podziemnego przepustu.

– Nieważne. Śpij już.

Powinniśmy się uczyć od trzeźwiejących alkoholików. Oni świetnie znają ten mechanizm wywodzenia smoka w pole kłamstwem o własnej sile. „Nie, tamtego już nie ma. Jestem innym człowiekiem.

Dam sobie radę. Przecież minęło już tyle tygodni, miesięcy, lat”. Tak mówią, wcale nie po to, by poczuć smak zwycięstwa, bo ono przecież jest niemożliwe. Mówią dla uspokojenia bliskich, tych kochanych, na których im zależy, a którzy cierpieli razem z nimi. Figura jest partykularna i uniwersalna zarazem.

Najtrudniejsze kłamstwa wypowiadamy nie dla egoistycznego zysku, ale dla miłosiernego oszukania ukochanych. By mniej cierpieli. To błąd, ale o tym dowiadujemy się za późno. Nie kłamcie z miłości. Płacz okłamanej miłości budzi smoka.

Kłamałem, że tamto dla mnie nie istnieje. Bardzo chciałem, by nie istniało, ale to nie to samo. Wyparte wraca w postaci snu, dręczącego koszmaru, w którym szumi woda wpadająca do pldła i na niebie tańczy zorza, a spod ziemi dochodzi dudnienie. I głos mówiący niezrozumiałym językiem. Na takiej scenie, zawsze tej samej, rozgrywały się moje sny w ciągu tych czterech lat. Za dnia rzucałem się w wir zajęć, biegałem od rana do wieczora za tematami, nie mogąc usiedzieć na miejscu bez gadania i pisania. Kiedy przychodził wieczór, na mój rozwibrowany umysł nakładałem kompres cierpliwej łagodności Oli. Ona naprawdę mnie kochała i nie umiem nazwać tego czasu mi poświęconego inaczej niż miłosnym oddaniem kobiety. Jej ofiara była fantastycznym afrodyzjakiem, więc te kojące wieczory kończyły się cielesnym zapamiętaniem. Po nich przychodziło odprężenie i chwila złudzenia, że tamto nie istnieje.

A potem przychodziła noc. Ola oddychała równo, przytulona do mojego ramienia, a ja, leżąc na wznak, czekałem, aż na suficie pojawi się zielone światło. Zasypiałem, a wtedy z zieleni wyłaniał się kontur człowieka w długim płaszczu i kapeluszu. Rósł i potężniał, wyciągał ręce i chciał mnie złapać za gardło. Uciekałem przed jego śmiechem przez pogrążoną we mgle łąkę ku dalekim groblom, wiedząc, że nie ucieknę.

Dopadał mnie w trzcinach i dusił, i wtedy się budziłem. Kiedy zielony ekran się wygładzał, znowu zapadałem w sen, tym razem z dziewczynką z kredkami w zaciśniętej rączce, małym Dominikiem na czworakach, z nitką śliny zawieszoną u dolnej wargi, albo starszym państwem z foksterierem na smyczy. Przychodziła Ewa Kolanowska z zadartą sukienką i palcem wetkniętym do ust, a ja rzucałem się na nią jak zwierzę. Budziłem się. Zasypiałem. I tak w kółko. Oszpicyn zniknął ze świadomości, ale w podświadomości hulał na całego.

Dlatego nie mogłem jej powiedzieć prawdy. Co by z niej zrozumiała? I co miałyby z nią zrobić? Zaprowadzić mnie do lekarza?

Czy powiedzenie prawdy mogło ją uratować? Albo mnie? Albo zmienić cokolwiek w późniejszym przebiegu wydarzeń? Wątpię. Kłamstwo prędzej czy później musi zostać wypowiedziane i obudzić smoka.

Przytuliłem ją mocno i pocałowałem w usta. Wpiła się w nie na długo.

– Kocham cię – wyszeptała. – Pamiętaj o tym.

– Też cię kocham, Mrówkojadku. To tylko dwa tygodnie. Bądź dzielna.

– Zadzwoń, jak dojedziesz. Od razu.

– Jasne.

– I pamiętaj – spojrzała mi w oczy – że jakby tylko co, wracaj. Nie daj się wcią-

gnąć. Słyszysz?

– Oczywiście, kochanie. Jak tylko co, wracam.

Zarzuciła mi ręce na szyję i drżała, a ja patrzyłem na rozkołysane poranną bryzą gałęzie za oknem i wyobrażałem sobie, że w tej samej chwili podobnie kołyszą się liście dębu na grobli podborskiego stawu.

Kłamstwo? Możliwe. A w czym my żyjemy?

Dojechałem do Sępni późnym wieczorem, spocony i śmierdzący jak szatnia juniorów godzinę po meczu. Mój wysłużony polonez rozleciał się trzy lata wcześniej i oddałem go za butelkę wódki, której nawet nie wypilem, tylko ofiarowałem koledze z redakcji na urodziny.

Obiecałem Oli, że nie będę pił. Kupiony niedługo później opel astra stanowił kwintesencję Niemiec, skąd został sprowadzony: solidny, niezawodny, trochę twardy i całkiem bez wyobraźni. *Normalauto*. Ale zawsze docierał na miejsce i wracał do domu. Ideał mężczyzny.

Niestety, nie miał klimatyzacji i całodzienna podróż w upale, przy otwartym oknie, trochę mnie wykończyła. Koszulka kleiła mi się do pleców, a po ramionach spływała jakaś ciecz, cuchnąca wszystkim tym, co mój rozgotowany na słońcu organizm uznał za nieprzydatne i postanowił wydzielić na zewnątrz.

Całą drogę chłonałem łagodne krajobrazy Polski, nabrzmiałe słonecznym światłem jak opite nektarem bąki i pogrążone w leniwej sjeście sytego dnia. Fale zbożowego złota czekały na katowskie miecze kombajnów, trawy miriadami pyłków rozsiewały alergię, pojedyncze lipy spały przy drogach, domy chowały się w cieniu ogrodów. Lubiłem ten kraj, z czterema porami roku, których wielu mogłoby nam zazdrościć, z łagodnym klimatem, bez większych wstrząsów i kataklizmów, poczciwymi mieszkańcami i małą, prowincjonalną niezależnością, gdzieś w połowie drogi między imperium a zdewastowaną kolonią. Nawet nie bardzo ciągnęło mnie do zatrzymywania się i zwiedzania, podziwiania. Nie, to nudne. Po prostu jechałem i patrzyłem, słuchając muzyki i stukając sobie palcami po kierownicy, co moja pozbawiona polotu astra tolerowała, acz niechętnie.

A w Sępni zapadła już noc. Piksele czerni oblepiały każdy zaułek, każdą roślinę i każdego wałęsającego się po opłotkach stwora. Dokładnie pokryły ziemię i niebo, nie zostawiając miejsca na światło ani z góry, ani z dołu. Nie było gwiazd. Powinny być jakieś latarnie, pomyślałem, mijając kulfoniaste bryły pogrążonych w ciemności domów, ale te też pogasły. Do gospodarstwa teściów dojechałem trochę na wycucie, z grubsza tylko pamiętając, gdzie mieszkał jedyny tutejszy policjant. Nie odwiedzałem

tego miejsca od czterech lat, ślub cywilny wzięliśmy w Słupsku, zmuszając Czechów i moją matkę do całonocnego tłuczenia się w kuszetce.

Mimo że teść miał normalną policyjną pensję, a teściowa emeryturę rolniczą, Czechowie bawili się w gospodarstwo chłopskie, jak ich przodkowie. Pewne nawyki są nie do wykorzenia i żadne transformacje z dnia na dzień tego nie zmieniają. Należeli jeszcze do pokolenia, które wołało żywność produkować niż kupować, przynajmniej w rozsądnym zakresie. Dlatego mieli przy domu ogródek warzywny, w chlewie trzy świny, w oborze krowę, a na podwórku ze trzydzieści kur. Do tego psa, kota, myszy, jaśkółki, korniki i co tam jeszcze się wylęgło. Oprócz szczurów.

– U matki byłeś? – spytała teściowa, kiedy się przywitaliśmy.

– Tak – skłamałem. Dojeżdżając do Chrzanowa, zawahałem się nawet, czy nie pojechać dalej prosto i nie wpaść na chwilę do Krakowa, ale zrezygnowałem. Wyobraźnia urażonego jedynaka skutecznie mnie zniechęciła, wykonując sprawną i dosyć dokładną symulację tego spotkania.

– *Po co tam znowu jedziesz?*

– *Żeby pomóc teściom.*

– *Dobrze wiesz, że nie po to.*

– *Mamo, daj spokój. Tamto już nieważne.*

– *Spójrz mi prosto w oczy i powiedz to jeszcze raz.*

– *Nie. Jestem dorosłym, żonatym facetem i wiem, co robię.*

– *Gdyby tak było, tobym nie pytała.*

– *To nie pytaj.*

– *Będę pytała zawsze, ilekroć zobaczę w twoich oczach ten błysk.*

Tak jak teraz.

– *Dlatego nie powinnaś w nie patrzeć.*

– *Nie mam innych oczu, w które mogłabym patrzeć.*

I tak dalej. Dopowiedziałem ostatnią kwestię na głos: „Miałaś na to dosyć czasu”, i energicznie odbiłem kierownicą na południe. Ominąłem Oszpicyń szerokim łukiem i dojechałem do Sępni dalszą drogą, od wschodu.

– Nie miała nic przeciwko temu, żebyś tu przyjechał? – drążyła teściowa.

– Dlaczego miałyby mieć? – Udałem zdziwienie.

– Matki nie lubią, jak synowie jeżdżą do teściów – odparła zagadkowo i nie rozmawialiśmy już o tym więcej. Każde wiedziało swoje i nikt nikogo nie starał się do niczego

go przekonać. Tak lubię.

Zainstalowałem się w dawnym pokoju Oli, gdzie na regałach stały młodzieżowe książki, a na ścianach wisiały powycinane z gazet fotosy rockowych gwiazd. Moja delikatna i poetycznie zorientowana żona słuchała w czasach szkolnych takich kapel jak Metallica i Guns N' Roses.

Ludzie ciągle mnie zaskakują. Zadzwoiłem do niej i spytałem, czy kochała się w Axlu Rosie. Zaprzeczyła ze śmiechem: „Coś ty, był okropny!”. Powiedziałem jej, że ja też jestem okropny, a jednak za mnie wyszła. W odpowiedzi dokonała zwięzłego zakwestionowania moich kompetencji umysłowych, na co zgodziłem się skwapliwie i rozłączyliśmy się. Uff. Miałem nareszcie spokój. Położyłem się na łóżku i patrzyłem w sufit, czekając na zieloną plamę światła.

„Oni wrócili”. Nie wiem, jak mnie znalazła. Wyniosłem się na drugi koniec Polski i dosyć starannie pozacierałem za sobą ślady, metodycznie i z premedytacją przecinając wszelkie więzi z przeszłością.

Jak trzeźwiejący alkoholik. Dokładnie z tych samych powodów nie zostawiłem nikomu, oprócz kilku oczywistych wyjątków, swojego numeru telefonu. Zadzwoiła w tak zwanym optymalnym momencie: Ola była w pracy, ja w domu.

- Wojtek, to ty?
- Halo, kto mówi?
- Nie poznajesz mnie? Ewa.
- Jaka Ewa? – spytałem, ale znajome ciarki przebiegły po grzbiecie.
- Kolanowska. Oni wrócili.
- Jacy oni? Kto wrócił? Skąd masz mój numer?

Pytałem, by zyskać na czasie. W jednej sekundzie runął cały program odcinania się od przeszłości, tak jak jedna setka w sekundę rujnuje pięć lat trzeźwienia. Znalazłem się z powrotem w tym samym miejscu, z którego uciekłem na początku lutego 1995 roku, a na czoło wystąpiły mi te same ciężkie krople potu. Słuchałem jej dyszącego oddechu i widziałem czerwone, lekko rozchylone usta tuż przy ebonitowej słuchawce ich starego telefonu w salonie.

- Nie przez telefon. Musisz przyjechać.
- Oszalałaś? To niemożliwe. Nie mogę. W ogóle mnie nie ma.
- Przyjedź – powiedziała i rozłączyła się z dziwnym kasznięciem, a może szlochem. Odłożyłem z trzaskiem słuchawkę i do wieczora nie mogłem sobie znaleźć miejsca.

Zaciskałem i rozprostowywałem palce, kopałem nogi od krzeseł, piłem wodę z butelki pojedynczymi łykami, wychodziłem się wysikać i znowu zaciskałem i prostowałem palce. Takiego mnie zastała Ola i wtedy z najwyższym trudem skłamałem, że to migrena. Nie wiem, na ile przyjęła do wiadomości moje tłumaczenie, ale nie miała czasu drążyć tematu, ponieważ chwilę później zadzwoniła teściowa z wieścią o udarze jej męża. Trzeba było znaleźć wyjście.

Przyjedź.

Oni wrócili.

Przecież nie mogłem powiedzieć prawdy.

Milczenie o najważniejszym to jedno z najlepszych kłamstw.

Teściowa pojechała do szpitala zaraz rano, a ja zostałem na gospodarstwie. Próbowiałem doglądać dobytku, jak to się ładnie mówi, więc łąziłem po stajni, zaglądałem do pustej obory, bo krowa stała pod drzewami w sadzie, i posypywałem kurkom ziarno, nabierając kubkiem z wielkiej tekturowej beczki. Znałem się na tym jak wieprz na dziennikarstwie, więc po godzinie znudziło mnie szwendanie się po terytoriach wiejskiego paradygmatu i ruszyłem na obchód dalszych okolic. Zważywszy moją ucieczkę przed czterema laty, postanowiłem zachowywać coś w rodzaju detektywistycznej czujności, by nie zostać zbyt szybko rozpoznany. Podejrzenie mogło wciąż nade mną wisieć i doprowadzić do aresztowania, a to by poważnie utrudniło moje plany.

Do zabawnych paradoksów należał fakt, że mieszkałem w domu policjanta.

Pozamykałem obejście, nalałem psu wody do miski i pomaszerowałem w kierunku placu manewrowego spółdzielni rolniczej. Na miejscu dawnego wykopu Władka Borowca była wielka betonowa płyta, w jej czterech narożnikach postawiono solidne drewniane słupy i nałożono na nie dach z blachy falistej. Wokół jasnozielonego kombajnu kręciło się trzech ludzi z kluczami, kanistrami i zatłuszczonymi szmatami. Przegląd techniczny przed żniwami.

Wszystko wyglądało tak jak powinno. Przemykając ścieżką po drugiej stronie szosy, minąłem plac i chciałem pójść dalej, gdy coś mnie tknęło.

Odwróciłem się. Przez plac biegła dziewczynka.

– Dziadku, dziadku, mogę z wami jechać?

Ze środka maszyny dobiegł stłumiony głos.

– Klaudusia, do domu! To nie jest miejsce dla dzieci! Ale już!

Dziecko mimo to zostało i przyglądało się pracy mężczyzn. Jeden z nich postukał pięścią w obudowę i z wnętrza wygramolił się starszy człowiek w podkoszulku na ramiączkach i brudnym kaszkiecie na głowie. Umorusany smarem i wszystkim, co się do smaru przykleiło, stanął przed kombajnem.

– Babcia kazała wołać na obiad! – krzyknęła do niego dziewczynka.

– Powiedz, że zaraz przyjdę – odparł. – Muszę to skończyć. Nie będę się dwa razy babrał.

– Ale weźmiesz mnie w pole?

– Gadałem, że nie wolno. – Wytarł ręce w szmatę i pogładził dziecko po policzku. – Zmykaj stąd, kwiatuszku.

Kwiatuszek wziął jego dłoń w małe rączki i przycisnął do policzka.

Stary uśmiechnął się i mruknął coś do małej. Patrzyłem na tę scenę ze wzruszeniem, ale coś mi nie grało. Plac, maszyna, trzech mężczyzn i mała dziewczynka, lato, upalne południe – niby wszystko w porządku, a jednak stałem w cieniu i czekałem. To było jak obrazek bez tematu, sama oprawa, studium bez *punctum*. W jaskrawym słońcu betonowa powierzchnia falowała i rozmywała kontury przedmiotów, rozpuszczała je do konsystencji magmy. Cienkie nóżki Klaudusi zwanej Kwiatuszką, w białych skarpetkach, drgały, chociaż dziewczynka stała w miejscu. Stopy jej dziadka płynęły nad ziemią tak, że nie umiałem dostrzec butów. Oboje unosili się nad płytą w słonecznej lewitacji.

Spokojnie, nie jestem wariatem. Wiem, że powietrze nad rozgrzaną powierzchnią drga i daje złudzenie ruchu. Wie o tym każdy, kto prowadził samochód w upale na asfaltowej drodze, a ja prowadziłem nie dalej jak wczoraj. Ale tutaj, w miejscu, od którego zaczęła się tragiczna przygoda Władka Borowca ze skarbem, falująca ziemia mogła znaczyć coś zupełnie innego. Przesadzam? Niekoniecznie. Każdy widział kretowisko i wie, że to mały ślepy gryzoń wylazł na moment się przewietrzyć. Ale jeśli zobaczycie kopczyk kreta na środku grobu, sprawa nabiera innego wymiaru.

Naprawdę muszę wam tłumaczyć, dlaczego falująca powierzchnia betonowej płyty przyciągnęła moją uwagę? Sądzę, że nie. Usunąłem się w cień wielkiego krzewu dzikiego bzu i czekałem, co będzie się działo.

Gdzie jest *punctum* tego obrazka. Wkrótce się doczekałem.

Pierwszy sygnał wiązał się oczywiście z dziewczynką. Pobiegła powiedzieć babci, że dziadek zaraz przyjdzie, tylko skończy zaczęta robotę, ale tym razem wybrała inną drogę i pobiegła na skróty przez pole kukurydzy, ciągnące się na paru hektarach za placem spółdzielni. To znaczy, tak mi się wydawało, ponieważ Kwiatuszek wbiegł za kombajn, ale z drugiej strony już nie wybiegł. Mężczyźni nie mogli tego zauważyć, wszyscy trzej znajdowali się z przodu maszyny. Zapalili papierosy, pogadali coś o nagarniaczu, o podsiewaczach i wytrząsaczach, po czym dziadek dziewczynki rzucił peta na ziemię, rozdeptał go płynnymi butami i wgramolił się z powrotem do brzucha maszyny. Drugi z mężczyzn palił i czekał w gotowości z puszką smaru, trzeci polazł do budynku. Ten ostatni miał największe szanse dostrzec, co się dzieje. Gdyby się odwrócił w odpowiednim momencie, zobaczyłby dziewczynkę wspinającą się bezgłośnie po metalowych występach kombajnu od strony kukurydzy. Może. Nie odwrócił się jednak.

Było gorąco, chciał odsapnąć, może napić się piwa i ochłodzić w cieniu klimatyzowanego biura. Jeszcze gapiłem się w zielony gąszcz za placem w poszukiwaniu małej, gdy jej blada okrągła twarzyczka pojawiła się za przednią szybą kabiny. Jak tam weszła, nie miałem pojęcia, po prostu nagle zobaczyłem uśmiechniętą dziewczynkę i jej ręczki na wielkiej kierownicy. Przesuwa je w obie strony, jakby kierowała, a następnie sięga do przodu i prawą coś pociąga. Potem lewą robi to samo.

Silnik ryknął nagle, wewnątrz kombajnu rozległ się zgrzyt przekładni, coś zachrobotało nierówno, chrupnęło, trzasnęło i zapadła cisza. Mężczyzna, stojący przy olbrzymim kole pojazdu, odskoczył jak oparzony, upuszczając puszkę ze smarowidłem. Potoczyła się pod kombajn, tworząc burą plamę, która spotkała się z drugą plamą, wypływającą powoli spod maszyny i ciągle zasilaną kapiącym z wnętrza strumyczkiem.

Skoczyłem przez drogę, omal nie wpadając pod jadący samochód.

Kierowca głośnym trąbieniem dał do zrozumienia, co o mnie myśli.

Przesadziłem długim susem przydrożny rów, w kilku krokach dopadłem kombajnu, wdrapałem się na obudowę i gwałtownie otwarłem drzwi kabiny. Była pusta. Zeskoczyłem na beton, mijając zdębiałego i bladego jak ściana opiekuna puszek, i zajrzałem podabinę do ciemnego wnętrza.

Oślepienie jaskrawym słońcem oczy potrzebowały kilkunastu sekund, by oswoić się z półmrokiem kombajnowych trzewi. Najpierw zobaczyłem buty. Już nie płynne, tylko całkiem konkretne – czarne, ze zdartymi obcasami, i wygięte do góry pod nienaturalnym kątem. Jeden z nich drgał z nieprawdopodobną częstotliwością. To, co zwisało obok butów, było prawdopodobnie ramieniem, a raczej jego zasadniczą częścią, gdzieś gdzie pozbawioną skóry i fragmentów mięśni. Reszta ginęła w czeluściach mechanizmu.

– Telefon! – wrzasnąłem do mężczyzny, który stał osłupiały i mamrotał: „kurwa, kurwa”. Nie zareagował, więc trzasnąłem go w policzek i pokazałem na biuro. – Dzwoncie na pogotowie!

Otrząsnął się i zamiast pójść do biura, pochylił się ku maszynie.

– Józek! – zaczął wrzeszczeć. – Józek! Nic ci nie jest? Kurwa mać.

Józeeek!!!

Nie czekałem, aż zobaczy to co ja. Pobiegłem w stronę murowanego budynku, skąd właśnie wyleciał ten trzeci, bez podkoszulka i z butelką piwa w ręce.

– Dzwoncie na pogotowie! – krzyknąłem.

– Co się stało? – spytał, zerkając za mnie ku kombajnowi. – Józek?

– Tak, Józek! Dzwoncie, do jasnej cholery!

Obróciłem się na pięcie i nie czekając na następne głupie pytania, pogałem w pole kukurydzy. Musiała uciec tamtędy. Przecisnąłem się przez dziurę w płocie i wniknąłem w ciemnozieloną gęstwinę. Między rzędami całkiem już wysokich pędów biegła wydeptana ścieżka.

Prawdziwy skrót. Przebiegłem nią jakieś pięćdziesiąt metrów i wypadłem na tyły nieogrodzonego gospodarstwa. Znalazłem się między drzewami owocowymi, za otwartą na przestrzał stodołą.

W środku pracowało dwoje ludzi, starsza kobieta w długiej spódnicy i nastoletni chłopak. Trzepali parciane worki i układali w stertę. Na mój widok znieruchomieli oboje, jakby zobaczyli ducha.

– Gdzie dziewczynka? – krzyknąłem wściekle. – Musi tu gdzieś być!

– A wam co do tego? – spytała kobieta, mrużąc oczy. – Coście za jeden?

Chłopak wziął do ręki oparte o ścianę widły i przyglądał mi się uważnie. Widziałem, że gotów jest ich użyć.

– Przed momentem biegła tędy dziewczynka w jasnej sukience i białych skarpetkach – wydyszałem z trudem. Serce waliło mi od upału i podniecenia. – Gdzie ona jest?

– Wynoście się stąd, bo zawołam chłopca i wam kości porachuje – odparła kobieta z przekonaniem i podparła się pod boki, by mi pokazać, że wcale się nie boi. Chłopak czekał z ręką na widłach.

– Wasz chłop ma na imię Józek i pracuje w spółdzielni? – spytałem. – Ja właśnie w jego sprawie. To jemu ktoś porachował kości.

W tym momencie zza spódnicy starszej kobiety wychynęła dziewczynka. Kwiatuszek dziadka Józka. Wyciągnęła palec w moim kierunku i krzyknęła z przejęciem:

– Babciu, to on! To on!

Ruszyłem ku niej, a wtedy chłopak nastawił widły i warknął:

– Spróbuj, koleś.

Uniosłem obie ręce do góry i siląc się na spokój, wyjaśniłem, co się stało. Oboje spojrzeli po sobie i zastanawiali się, czy mi uwierzyć, a mała schowała się z powrotem za spódnicę. Pełną napięcia ciszę przerwała syrena karetki pogotowia. Kobieta porwała dziecko za rękę i wybiegła ze stodoły, krzycząc na całe gardło:

– Jezus Maria!

Mistrz wideł trwał chwilę w niezdecydowaniu, wreszcie rzucił śmiercionośne na-

rzędzie i wybiegł za tamtymi. Miałem doskonałą okazję, by zniknąć, ale ciekawość wzięła górę. Ciekawość? Po prostu kolejny punkt programu.

Na placu zrobiło się już całkiem niezłe zbiegowisko. Dwóch ratowników medycznych w czerwonych firmowych koszulkach (kto to wymyślił?) zaglądało w czeluść maszyny zawierającej doczesne szczątki dziadka Józka. Obok maszyny stał lekarz w białym kitlu z krótkim rękawkiem, facet z biura (bez piwa i w podkoszulku) i jakaś kobieta, a za nimi babcia ze stodoły, przytrzymywana przez tego drugiego, od puszki ze smarem.

– Jezus Maria! – wykrzykiwała. – Ratujcie go! Józeek!

Ten krzyk „Józeek”, w dwóch wersjach: męskiej i żeńskiej, śnił mi się później przez kilka nocy z rzędu. Poszukałem wzrokiem dziewczynki. Stała za babcią, trzymając się jej spódnicy, i nie patrzyła na zbiegowisko przy kombajnie. Patrzyła na mnie. Kiedy nasze oczy się spotkały, na jej twarzyczce pojawił się słodki uśmiech. Próbowałem odpowiedzieć marsowym spojrzeniem, ale jej to bynajmniej nie speszyło. Uciecha była ważniejsza od strachu. Tamtego dnia postanowiłem przestać się uśmiechać.

Lekarz wzruszał tylko ramionami i wydawał polecenia ratownikom, którzy bezradnie wyciągali ręce przed siebie i chowali z powrotem.

– To trzeba jakoś obrócić – powiedział jeden z nich do faceta od puszki. – Tak go nie wyjmemy. Wciągnęło go – dokończył grobowym głosem. Babcia zawyła, druga kobieta jęknęła i zasłoniła usta dłonią.

Zaczęli się naradzać, a ja uznałem, że to świetny moment, by się niezauważenie wycofać. Robiło się niebezpiecznie. Odwróciłem się i niemal dobiłem nosem do niebieskiej koszuli z ciemnymi pagonami na ramionach.

– Tak myślałem – powiedział Mariusz Węgrzyn. – Dziecko, dziadek, kombajn. Do kompletu brakowało mi tylko Wojtka Jaromina.

Bardzo się spieszysz?

– Powtarzam jeszcze raz: nie mam z tym nic wspólnego.

Przechodziłem obok i przypadkowo natknąłem się na niecodzienną sytuację. Dziecko ukradkiem weszło do kabiny kombajnu i uruchomiło go, gdy w środku ktoś pracował. A potem uciekło. Pobiegłem za nim i znalazłem je w stodole nieopodal. To w zasadzie wszystko. Nie mogę odpowiadać za to, że wypadek zdarzył się akurat tuż po moim przyjeździe do Sępni.

– Przypadek, traf, ukradkiem, akurat – wyliczał wolno komendant Tadeusz Morgała.

– Nie za dużo tych zbiegów okoliczności? Ze śmiercią Kamila Warchała na Jeziorze Wronim też pan nie miał nic wspólnego, co?

Siedzieliśmy w komisariacie na ulicy Jagiellońskiej, za oknem popołudniowe słońce syciło kamienice rozpaloną żółcią. Nad biurkiem latała uparta mucha. Znowu byłem w Oszpicy. Komendant zawiesił głos i patrzył na mnie niechętnie, dając do zrozumienia, że każda odpowiedź będzie zła. Mimo to odpowiedziałem.

– Owszem, nie miałem. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego pan komendant łączy te sprawy. Równie dobrze o śmierć tamtego dziecka, cztery lata temu, można by oskarżyć saperów. Albo policję. Wszyscy w tym brali udział.

– Niech pan sobie nie pozwala – mruknął Morgała pod nosem, ale niespecjalnie groźnie. Ot, tak, żeby nie zostawić kwestii współwiny policji bez komentarza. – Łączę te dwie sprawy z bardzo prostego powodu: ponieważ pan je łączy. Nawet fizycznie. W obu pan uczestniczył.

– Aspirant Węgrzyn również uczestniczył w obu – odpaliłem. – Może jego też pan oskarży?

Mariusz, który siedział w kącie i przysłuchiwał się naszej rozmowie, zdziwiony podniósł głowę znad notatek. Komendant prychnął ze złością.

– Niech pan nie będzie bezczelny, Jaromin! On wykonywał obowiązki służbowe, a pan się wplątał na własne życzenie, może nawet celowo.

– Ja też wykonywałem obywatelski obowiązek. Ratowałem bliźniego.

– Goniąc dziecko po polu kukurydzy?

– To ona uruchomiła kombajn! – krzyknąłem tak głośno, że mucha zerwała się z blatu i znowu zaczęła krążyć. – Powtarzam jeszcze raz: nie miałem z tym nic wspólnego! A w kabinie siedziało to dziecko, wnuczka Józefa Grubosza.

– Babcia twierdzi, że dziewczynka nie opuszczała gospodarstwa – odparł spokojnie Morgała.

– Nieprawda. Przysłała ją po dziadka, żeby przyszedł na obiad.

Sam słyszałem.

– Skąd? Był pan tam?

– Obserwowałem ich ze ścieżki po drugiej stronie drogi.

– Po co?

– Nie rozumiem.

– Po co pan obserwował plac manewrowy z pracującymi tam ludźmi? – Komendant uniósł brwi i przyglądał mi się z nagłym zainteresowaniem. – Skąd taki pomysł? Czyżby wiedział pan, że wydarzy się coś niezwykłego?

– Poniekąd – mruknąłem skonsternowany. Cała ta rozmowa zmierzała w niewygodnym dla mnie kierunku. – Czułem, że coś jest nie tak.

– Przeczucie – mruknął Morgała i pokiwał głową w zamyśleniu. – No tak, u niektórych to działa. Wiedzą wcześniej niż inni. Szkoda, że pan z tym nie przyszedł do nas, panie Jaromin. Z tym swoim trafnym przeczuciem. Gdybyśmy o nim zawczasu wiedzieli, moglibyśmy zapobiec tragedii, a pan zostałby bohaterem, nie podejrzanym. Cóż za wspaniały tytuł do waszej gazety: TRIUMFALNY POWRÓT NASZEGO DZIENNIKARZA! URATOWAŁ CZŁOWIEKA PRZED PEWNĄ ŚMIERCIĄ.

Kapitalne, nie sądzi pan?

Jego szyderstwo mnie rozżłościło. Nie miałem ochoty wdawać się w głupie przegadywanki z samym komendantem, z drugiej strony powinni przynajmniej zastanowić się nad tym, co się dzieje. To w końcu była, w każdym razie powinna być też ich sprawa. Wiedzieli równie dobrze jak ja, że znowu zaczęło się dziać coś niedobrego z dziećmi.

Przełknąłem ślinę i wyjaśniłem:

– Dobrze, niech będzie. Moje przeczucie. Wyszedłem na spacer.

Przyjechałem do Sępi przedniego wieczoru i chciałem po prostu przejść się po znajomych okolicach. Poszedłem w najlepiej mi znane miejsce, czyli na plac manewrowy spółdzielni, gdzie przed pięciu laty operator koparki coś wykopał, za co został aresztowany, a następnie popełnił samobójstwo...

– Władek Borowiec niczego nie wykopał – przerwał mi Morgała. – Rewolwer miał już wcześniej.

– To dlaczego się zabił? – spytałem.

– Depresja. Nie wytrzymał napięcia.

– Jasne. A Ryszard Kolanowski sam się nabił na ołówek. Z kolei Henryk Hirsz utonął, ponieważ nie umiał łowić ryb pod lodem.

Przypadek, traf... nie za dużo tego, panie komendancie?

Morgała i Węgrzyn wymienili spojrzenia.

– Przepraszam, kto? – spytał komendant, przechylając się przez biurko.

– Henryk Hirsz, wynalazca urządzenia radiowego do zwabiania szczurów, dzięki któremu miasto pozbyło się plagi gryzoni. Wpadł do dziury w lodzie, próbując ratować tego dzieciaka. Mieliście mu w zamian oddać synagogę na muzeum. Nawiasem mówiąc, co się z nią dzieje?

Patrzyłem w twarz mojego rozmówcy i po plecach przebiegły mi znajome lodowate dreszcze. Docierała do mnie skala zabiegów maskujących, jakie podjęto miasto w celu zatarcia śladów tego, co się naprawdę wydarzyło. Komendant otwierał usta ze zdziwienia i rozkładał bezradnie ręce. Jego oczy pozostały zimne.

– Nie wiem za bardzo, o czym pan mówi – wyjaśnił. – Pod lodem cztery lata temu utonął dziewięcioletni Kamil. Załamał się lód, kiedy biegł do kogoś po drugiej stronie jeziora. Świadek zdarzenia zeznał, że tym kimś mógł być pan. Na pańskie szczęście potem odwołał swoje zeznania i tylko dlatego nie poszedł pan siedzieć. O żadnym Henryku Hirszu nie słyszałem. Kto to taki? Ty słyszałeś? – zwrócił się do aspiranta Węgrzyna. Ten nie odpowiedział.

Zamarłem. Chciałem zapytać o szczury, o akcję deratyzacji i wyłączenie całego miasta z funkcjonowania na trzy godziny, wysadzenie w powietrze lodu wraz z legionem gryzoni i tak dalej, ale otwarłem tylko usta i zaraz je zamknąłem. „Oni wrócili”. Zrozumiałem, że powinienem zastosować starą zasadę trzymania języka za zębami i działania w pojedynkę. Ja też wróciłem. Wszystko wróciło. Jedna wypita setka rujnuje pięć lat trzeźwienia i wracasz do punktu wyjścia.

Smok się nie cofa.

– O co w takim razie jestem oskarżony? – spytałem z uśmiechem.

– W zasadzie o nic – odparł komendant. – Chciałem z panem porozmawiać, bo... bo powinien pan być ostrożniejszy. Na pańskie szczęście świadek wypadku Józefa Grubosza zeznał, że przybiegł pan od strony drogi, więc nie mógł pan w tym czasie być w ka-

binie. Tak samo jak ta dziewczynka – podkreślił. – Zrozumiał pan?

Wbił we mnie pytający wzrok.

– Tak. Mogę iść?

– Może pan. Niech pan nie nadwyręża swojej szczęśliwej gwiazdy, panie Jaromin. Aha, i proszę nie opuszczać miasta do całkowitego wyjaśnienia sprawy. Będziemy w kontakcie – dodał i wstał, wyciągając do mnie rękę. – Niech pan tu zagłąda, powiedzmy, co dwa dni. Zgoda?

– Jasne – przytaknąłem i uściśnąłem jego dłoń. Chciałem jak najszybciej wyjść.

– Mariusz odwiezie pana do domu – powiedział komendant Morgała na pożegnanie. – I powtarzam: żadnych prywatnych śledztw!

Wyszliśmy z Mariuszem na korytarz. Było wściekle gorąco. Moim zdaniem zbierało się na burzę i wyraziłem głośno swoje przypuszczenie, na co mój towarzysz skinął bez słowa. Gdy znaleźliśmy się na rozgrzanym parkingu na tyłach komendy, otworzył drzwi służbowego samochodu i wskazał fotel pasażera. Ze środka buchnęła fala gorąca.

– Ale żar – mruknąłem. – Masz tu klimę?

Potwierdził skinieniem głowy i ruszyliśmy.

– Jedź nową obwodnicą, dobra? – poprosiłem, a on zerknął tylko na mnie przelotnie i znowu skinął. Kiedy mijaliśmy łąki pod Oszpicynem, usiłowałem z daleka dojrzeć, co się dzieje na działce Szpindla, ale przesłaniały ją nowe zabudowania, szybko powstające na logistycznie atrakcyjnych działkach: supermarkety, magazyny, bogate domy... Miasto rozwijało się z impetem, parło naprzód, zostawiając za sobą niewygodną przeszłość. Dokładnie według planów radnego Łopatki wygłaszanych do mnie z głębokim przekonaniem w gabinecie, gdzie na półce stał złoty kałamarz z uchwytem w kształcie menory.

– Ładnie tu macie. – Pokazałem ręką nowe budynki. – Czysto, schludnie.

– Pozamiataliśmy brud – odezwał się nareszcie Węgrzyn.

– Pod dywan – dopowiedziałem.

– Pod cały skład dywanów – uzupełnił i obaj się roześmieliśmy.

– Co tam teraz jest? – spytałem.

– Hurtownia materiałów budowlanych firmy należącej do szwagra przewodniczącego Łopatki. Muszę więcej wyjaśnić?

– Przewodniczący? – zdziwiłem się. – Łopatko został przewodniczącym?

– Tak, szefem komisji do spraw inwestycyjnych. Najpierw zrobił obwodnicę, potem

przejął drugą firmę budowlaną w mieście, czyli największą swoją konkurencję, a teraz wygrywa kolejne przetargi na roboty w powiecie. Oczywiście nie on, tylko „najbardziej atrakcyjny oferent”.

– Jasne – powiedziałem powoli. – Domyślam się, że on również stoi za wymazaniem z pamięci miasta Henryka Hirsza.

Aspirant Węgrzyn skinął głową. Tak właśnie odpowiadał na najbardziej drażliwe kwestie. Widocznie to mu w czymś pomagało, ale nie wiedziałem dokładnie w czym. Po chwili odezwał się cicho.

– Przepraszam.

– Za co?

Zagryzł wargi. Knykcie zaciśniętych na kierownicy dłoni nieco zbieleły.

– Zrozum, ja tu mieszkam. I pracuję.

– Oczywiście, chłopie. Mieszkasz, pracujesz i musisz tańcować, jak ci zagrają. Rozumiem, jasne.

Poklepałem go po ramieniu, a on odetchnął z ulgą. Miałem wrażenie, że była zbyt szybka i zbyt wyraźna, więc po odczekaniu scenicznej pauzy dodałem:

– A nie boisz się, że twoje dzieci kiedyś też będą tańczyć, jak im kto zagra? I wnuki?

Zbladł. Z satysfakcją przyglądałem się, jak bezskutecznie usiłuje zapanować nad sobą. Ten lęk nie pojawił się teraz, siedział w nim od dawna. Lekko go trąciłem, a on natychmiast się obudził.

– Skąd ci to przyszło do głowy?! Dlaczego moje dzieci by miały...

– Bo jesteś stąd.

– To nie ma nic wspólnego – powiedział szybko. – To twoje psychiczne zboczenie z tymi dziećmi. To nie ma nic wspólnego!

– Nie? To dlaczego tak zbladłeś? Dlaczego z taką skwapliwością odgrywasz całą tę ospicyńską komedię z zacieraniem śladów i udawaniem głupiego? Ile brudu sam zamiotłeś pod dywan? Z tym ostrzeżeniem dla mnie cztery lata temu to też była ściema, co?

Chcieliście się pozbyć tego, który za dużo widział. Dzięki. Faktycznie, masz za co przeproszać.

– Nie o to chodzi, Wojtek. Ty nie wiesz, co się dzieje...

– Ale się dowiem. A ty się módl, żebyś się znalazł po właściwej stronie, gdy przyjdzie co do czego.

– Do czego? – powtórzył jak echo, ale nie zaspokoilem jego ciekawości, z tego prostego powodu, że sam jeszcze nie wiedziałem.

Nasza rozmowa za bardzo przypominała grę do jednej bramki.

Jechaliśmy wygodną szosą z szerokimi asfaltowymi poboczami, oddzielonymi od jezdni białą linią. Droga biegła wysokim nasypem przecinającym na dwie części dawny malowniczy staw Wójtowiec. Po jednej stronie powstał mniejszy staw, z brzydką rurą wystającą nad wodą niczym grzbiet gigantycznego węża wodnego, po drugiej na wyplantowanym terenie wznoszono pierwsze domy mieszkalne. Połowę stawu przeznaczono na działki budowlane, niwelując dawną groblę.

Moją groblę.

– O, a to co? – spytałem, pokazując metalową barierkę na łuku drogi. Stały przy niej krzyże ze zwisającymi z ramion wiankami z kwiatów, u ich stóp paliły się elektryczne lampki.

– Zakręt śmierci – odburknął Mariusz Węgrzyn, ciągle jeszcze zły z nie do końca jasnych dla mnie powodów. W końcu to on mnie miał przeproszać, nie ja jego. – Sześć osób w ciągu dwóch lat.

– Dlaczego właściwie? – spytałem. Zakręt wyglądał na łagodny i dobrze zabezpieczony.

– Bariere postawili niedawno – odparł, odgadując moje wątpliwości. – Wcześniej wpadali prosto do wybetonowanego rowu. Ale pod barierką też już zginął jeden motocyklista. Normalnie się wbił, jakby chciał się przecisnąć na drugą stronę i zginąć w rowie, jak tamci.

– Co z nią jest nie tak?

– Nie wiadomo. Jeden inżynier twierdził, że zakręt jest źle wyprofilowany, ale firma zamówiła później drugą ekspertyzę w Krakowie i tamci niczego nie stwierdzili, czyli przypadek.

– Przypadek – mruknąłem. – W Polsce rocznie jest parę tysięcy takich „przypadków”. Jeden lepszy od drugiego. Oczywiście, przewodniczący komisji do spraw inwestycyjnych nie ma z tym nic wspólnego, nieprawdaż?

– Oczywiście, że nie – przytaknął Mariusz i zamilkł. Kiedy dojechaliśmy do Sępni i wysiadałem przed domem teściowej, wyciągnąłem rękę na pożegnanie.

– Wiem, że więcej ukrywasz, niż mówisz – powiedziałem łagodnie. – Nie martw się, to nie ma większego znaczenia. Naprawdę. Ja i tak się dowiem, a ty przynajmniej zachowasz pracę, rodzinę... To ważne. Na razie.

Zanim odjechał, podniósł ostrzegawczo palec.

– Widzimy się za dwa dni. Na komendzie.

Teściowa wypadła do mnie na ganek.

– Jesteś! Rany boskie, tak się martwiłam! Olisia cztery razy dzwoniła. Słyszałeś, co się stało na placu? Takie nieszczęście!

Objąłem ją za ramię i wprowadziłem z powrotem do domu. Chłód starej sieni podziałał jak środek uspokajający i przeciwbólowy równocześnie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że całe popołudnie głowa mi pękała. Teraz przestała. Napiłem się wody i w tym momencie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Cześć, kochanie, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Tak, wróciłem. Nie, nic mi nie jest. Mówię ci, że wszystko w porządku. Co?

Wypadek w spółdzielni? No tak, wszystkich musieli przesłuchać... Tak, zginął... Nie mogę, muszę poczekać na miejscu do wyjaśnienia sprawy...

Nie, Mrówkojadku, nie miałem z tym nic wspólnego... Po prostu taka jest procedura...

Spokojnie wyjaśniałem żonie, że nie mogę nagle wrócić do Słupska, ponieważ trwa dochodzenie policyjne, a ja jestem jednym ze świadków w sprawie i mam pozostać do dyspozycji policji aż do wyjaśnienia. Nie, nie wiem, ile to potrwa, ale wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł. Trzęsła się ze zdenerwowania i strachu o mnie.

Uwierzyła po dwudziestu minutach. Ale uwierzyła. Że muszę zostać tutaj. I że wrócę dopiero wtedy, gdy będę mógł. O to chodziło.

– To chyba tyle – powiedziała Ewa. – Ciągłe nie umiem o tym spokojnie mówić.

Drżącymi rękami podniosła filiżankę do ust. W oczach miała łzy.

Siedziałem w salonie dobrze znanego mi domu na ulicy Brzezi i rozglądałem się z zaciekawieniem. Ta scenografia w ostatnich czterech latach wielokrotnie występowała w roli tła dla moich snów. Znowu tu byłem, a naprzeciwko mnie siedziała kobieta, której twarzy nie umiałem zapomnieć. Zmieniła się. Policzki zrobiły się bardziej pociągłe, usta jakby węższe, za to szeroko otwarte oczy patrzyły ze zdumieniem. Albo lękiem. Nadal była piękna. Nienagannie ułożone włosy przycięte miała tuż powyżej ramion. Biała bluzka ciasno opinała sztywny biustonosz i krótkim kloszem osłaniała pasek czarnej spódnicy. Obrączkę nosiła na lewym palcu, na prawym natomiast panoszył się okazały pierścień z czerwonym kamieniem. Można by powiedzieć, że jak na kogoś, kto stracił męża, obu synów i teściów, wyglądała rewelacyjnie, ale to byłoby niestosowne. Natomiast powtórnie przekonałem się, że żałoba ma w sobie coś podniecającego. Nic nie poradzę. Eros i Thanatos.

– I nigdy ich nie odnaleziono? – upewniłem się. Ten cymbał Węgrzyn przynajmniej o tym mógł mi powiedzieć. Zapamiętałem sobie, by w stosownej chwili wziąć na nim odwet.

– Nie. Sprowadzili specjalnie grotołazów ze Śląska i jeszcze ratowników górniczych z kopalni Piast w Bieruniu, ale nic to nie dało.

Schodzili, badali, nawet jakieś odwierty robili w skałach, ale nie znaleźli ani śladu dzieci.

– Może źle szukali?

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po filiżankę.

– Chyba dobrze. Ten mały dokładnie im pokazał gdzie.

– Jaki mały?

– Nie mówiłam ci? Boże, nawet nie potrafię tego po ludzku opowiedzieć. Jedno dziecko wróciło i to od niego dowiedzieliśmy się, co się tam stało. Pokazało, gdzie weszli, cała szóstka. Nie nadążyło za nimi, bo było kulawe, i zostało przed wejściem do jaskini. – Uśmiechnęła się żałośnie. – Mały wrócił z bekiem, że go oszukali i nie za-

brali ze sobą.

– Czyje to dziecko? – spytałem, czując, jak podejrzenie podchodzi mi do gardła. – Czekaj, niech zgadnę. To Dominik Wilk?

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Skąd wiesz? Na pewno nikt ci wcześniej nie mówił?

– Nie. Zgadłem, bo jak ostatni raz widziałem syna Grzeška Wilka, to wprawdzie odzyskiwał mowę, ale miał problemy z chodzeniem. No i rzucał kiedyś nożami.

– Tak, to on. Mowę wprawdzie odzyskał, ale rozum nie do końca, i dlatego umorzyli potem całą sprawę. Znaleźli świeże pęknięcia w skale i uznali, że dzieci wpadły do rozpadliny, a ta zawałła się i pochłonięła ciała, uniemożliwiając dostęp. Cała reszta jest zmyśleniem pomyłonego dzieciaka.

– Jaka reszta?

– Według małego ktoś ich prowadził. „Pan z dużym nosem”, tak się wyraził. Dopytywali go o wygląd, ubranie, co mówił, ale mały Wilk nie umiał nic sensownego dodać, poza tym „dużym nosem”. I jeszcze, że śpiewali.

– Co śpiewali?

– Skąd mam wiedzieć? – Ewa wyduła wargi. – On też nie wiedział.

Rozmowa z nim do niczego w końcu nie doprowadziła. – Przerwała na chwilę i wykonała płynny ruch głową, jakby znajdowała się w stanie nieważkości. – Zniknęli. Nie ma ich. Cztery lata.

Zakryła twarz rękami i się rozplakała. Patrzyłem na jej unoszące się w szlochu piersi i myślałem sobie o tych wszystkich ludziach, których pociechy najpierw wyczyniały niewiarygodne rzeczy, łącznie ze zbrodniami, a potem zniknęły w leśnej jaskini podczas majówki za miastem, pod opieką księdza katechety i dwóch nauczycielek – przecież oni muszą mieć jakieś przypuszczenia, domysły, rozpaczliwe próby wyjaśnienia tej strasznej historii. I nikt o tym nie mówi! Nikt nie alarmuje, że stało się coś naprawdę strasznego. A co najważniejsze, nikt nie próbuje wyjaśnić przyczyn, jakiegokolwiek by one nie były. A przecież jakieś musiały być!

Poczekaj, aż dojdzie do siebie, i spytałem łagodnie:

– A ty? Co ty o tym wszystkim sądzisz?

– Ja? – zdziwiła się, jakbym zapytał o coś kompletnie odjechanego.

– Nic nie sądzę. Co mi da sądzenie? Zniknęli pod ziemią. Nie ma ich, i tyle.

Miała w swoich pięknych i zażawionych oczach pustkę.

W pewnym momencie wzdrygnęła się. Gdzieś zza okna dobiegło nas ledwie słyszalne, głucho dudnienie. Szła burza. Ewa podeszła do okna i odchyliła zasłonę. Nagle niebo rozświetliła daleka błyskawica, w której twarz kobiety nabrała fioletowej, trupiej bladości. Nie zmrzyła oczu, tylko z uporem patrzyła w ciemność. Znów zadudniło, tym razem głośniejsze.

– Spytam inaczej – podjąłem po chwili. – Pięć lat temu najpierw zademonstrowaliście mi z mężem niezwykle umiejętności waszych synów, a podczas następnej wizyty wyparliście się wszystkiego. Zrobiłaś wtedy ze mnie regularnego idiotę. Dlaczego?

Kolejna błyskawica oświetliła jej spiętą twarz. Nie mrugnęła. Jakaś jej część była zupełnie gdzie indziej, a ja miałem przed sobą tylko połowę pani Kolanowskiej.

– Ryszard mi kazał. Przestraszył się wtedy czegoś i zabronił wspominać na te tematy.

– Ale dlaczego?

Za oknem przetoczył się potężny grzmot. Zadrżały szyby. Ewa poprawiła kosmyk za uchem. Jej dłoń też zadrżała. Podziwiałem jej umiejętność bycia zarazem spokojną i roztrzęsioną.

– On nie wyjaśniał takich rzeczy. Wydawał polecenie, i już. Myślę, że to miało jakiś związek z jego pracą.

– A nad czym wtedy pracował?

Ewa przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Nie musiała. Znałem odpowiedź, chciałem jedynie upewnić się, że mi nie powie. Uroda urodą, ale dobrze jest wiedzieć, z kim ma się do czynienia. Testowałem dalej.

– Jak myślisz, kto go zabił?

– Kogo?

Zmierzyła mnie długim spojrzeniem, o którym mówi się, że jest powłóczyście, i kryło się w nim więcej wahania i lęku niż zdziwienia.

Tym razem ja nie odpowiedziałem. Nie musiałem.

– Dlaczego myślisz, że ktoś zabił mojego męża? Policja uznała to za wypadek.

– Ktoś albo coś – odparłem. – Przecież chyba sama nie wierzysz w to, że twój inteligentny, wysportowany i ostrożny mąż sam nadział się na ołówek? To mniej prawdopodobne niż śmierć od uderzenia meteorytu. Już lepiej było uznać to za samobójstwo.

– Dlaczego przypuszczasz, że Ryszard mógłby chcieć się zabić? – spytała dla odmiany z autentycznym zdziwieniem.

– Ze strachu przed tym, co go zabiło.

– A co go zabiło?

– To jest właśnie moje pytanie do ciebie – odparłem z ciepłym i przesympatycznym uśmiechem. – A ponieważ uparczywie nie chcesz tego z siebie wykrztusić, odpowiem za ciebie: zabiło go to samo, co zabrało twoje dzieci. I nad czym wtedy pracował. – Zrobiłem swoją ulubioną pauzę sceniczną, po czym wycelowałem w nią palec wskazujący. – I ty dobrze o tym wiesz, prawda?

Znów błysnęło i zagrzmiało, a ona popatrzyła na mnie oczami rozszerzonymi jak po dobrej działce heroiny i bezgłośnie poruszała karminowymi wargami. Otwierała je i zamykała, ale nie do końca, pozostawiając niewielką szparkę na wątpliwość albo kokieteryę. Albo nitkę śliny. Chciała zaprzeczyć, powiedzieć coś w rodzaju: „Nie wiem, o czym mówisz”, ale nie potrafiła. Czekałem. Zdobędzie się na kłamstwo i będzie dalej brnęła w zaprzeczenia czy odpuści? Nie zdobyła się. Odpuściła.

– Skarb z Sępnia? – spytała niepewnie. Nieznacznie poruszyła głową i przytknęła palec do ust. Jej nieśmiałość zasługiwała na Oscara.

– Skarb z Sępnia – powtórzyłem, by nam nie umknął ten ważny element ospicyńskiej układanki. – Co o nim wiesz?

Grała fenomenalnie. Opuściła głowę i wpatrując się w podłogę, rzekomo starała się odświeżyć swoją pamięć. Kosmyki opadły i zasłoniły część twarzy, za oknem błysnęło dwukrotnie i na ścianie mignął przez ułamek sekundy kontur drzewa. Domyśliłem się z położenia okna, że to ta jabłoń – świadek i uczestnik ostatniego wyczynu foksterierki Kory.

– Niezbyt wiele – wykrztusiła wreszcie. – Podobno ten traktorzysta, jak mu tam...

– Borowiec.

– No właśnie. Ten Borowiec podobno wykopał worek ze złotem i chciał ukryć, ale ktoś na niego doniósł i zanim zdążył cokolwiek zrobić, został aresztowany. Złoto zabezpieczono, a zaraz potem zaczęły się rozchodzić pogłoski, że żadnego złota nie było, a Borowiec znalazł jedynie broń. Ryszard dostał zlecenie zabezpieczenia znaleziska i doprowadzenia do jego zwrotu prawowitym właścicielom. Otrzymał odpowiednie pełnomocnictwa i rozpoczął pertraktacje z miastem.

Właściwie to chciał rozpocząć, ale okropnie się denerwował, ponieważ brak przedmiotu dochodzenia wszystko komplikował. Było złoto i nie było złota. Zdaje się, że taką informację wysłał swoim zleceniodawcom jako ostatnią.

– Czyli komu?

Spytałem szybko i neutralnie, by ją wziąć z zaskoczenia, ale Ewa Kolanowska przy

całym swoim roztrzęsieniu świetnie panowała nad rozmową.

– Nie wiem. Nie mówił mi o swoich poufnych zawodowych sprawach.

Oparła się pośladkami o parapet i z uniesioną głową patrzyła mi prosto w oczy. Migające za nią błyskawice fundowały jej figurze kapitalne tło. Chłonałem ten widok i ważyłem w myślach, ile jest warta jej szczerłość po odsianiu wszystkich kłamstw, półprawd i przemilczeń, jakimi próbowała bronić nie wiadomo czego i nie wiadomo przed czym.

Dobrze znała zleceniodawcę i z pewnością zakładała, że ja też znam.

Więc po co kłamała? Co jeszcze miała do stracenia po utracie męża i dzieci? Nie przychodziło mi do głowy nic innego ponad to, że w głębi serca liczyła na ich odzyskanie. Ile była w stanie zrobić dla osiągnięcia celu? Mój dawny przyjaciel powiedziałby: absolutnie wszystko, co jest w stanie zrobić młoda atrakcyjna kobieta. Z tym że chyba źle wyliczyła współrzędne.

A może kłamała po prostu dlatego, że nie lubiła prawdy? Ludzie czasem tak mają.

– Czy hrabia Kublicki nadal jest twoim kochankiem?

Zrobiła wielkie oczy.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Naprawdę świetnie grała. Rewelacyjnie. Gdzie mnie do takiego aktorstwa. Wszystko, na co mnie stać w porywach talentu, to dziennikarska nonszalancja, ta uboga krewna profesjonalnego cynizmu.

– O niczym. Nieważne.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, zaatakować, może nawet nie posiadać się z oburzenia, ale przerwałem tę paradę aktorskich popisów i spytałem o powód jej telefonu do Słupska. Zażądałem, by natychmiast wyjaśniła, dlaczego przypomniała sobie o mnie po tak długim czasie i co mogę dla niej zrobić, czego nie mogą zrobić inni. Na koniec spytałem, kto to są ci „oni”, którzy wrócili.

Wtedy Ewa Kolanowska zaczęła opowiadać.

– Zaczęło się trzy tygodnie temu. Wróciłam z pracy i chciałam się trochę ochłodzić, ponieważ był straszny upał. Dosłownie lało się ze mnie. Mówiłam ci, że pracuję w starostwie powiatowym? Po tym wszystkim, co się wtedy stało, nie mogłam siedzieć w domu i rozmyślać w kółko, bo szybko bym zwariowała. Znajoma załatwiła mi etat księgowej i w ten sposób zostałam urzędniczką, wyobrażasz sobie?

Nieważne. Trzy tygodnie temu, na początku lipca, wróciłam do domu, z marszu zrzuciłam z siebie ubranie i poszłam do łazienki wziąć prysznic. Tu, na dole. Wiesz, nie lubię tego pustego domu, to znaczy nie lubię siedzieć i mu się przyglądać. Chodzę z kąta w kąta, siadam przed telewizorem albo patrzę w okno. Ratuję się ruchem. Byłe nie patrzeć na te cholerne sprzęty, krzesła, na których siedzieli, drzwi, które otwierali i zamykali. Najgorsze są wieczory. Szukam neutralnych przedmiotów, by zatrzymać na nich wzrok bez bólu. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– No dobrze. I kiedy szłam nago przez salon do łazienki, kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Spokojnie, nie jestem wariatką. Może nie lubię patrzeć na sprzęty, ale wiem, gdzie co stoi. Fotel po drugiej stronie ławy dosunął się do kanapy. Zawsze stał dalej, żeby siadający mieli swobodne przejście, a teraz dotykał kanapy. Zrozum, mieszkam sama i oprócz mnie nikt tu niczego nie przestawia. A ja zwykle pamiętam, ale nie o to chodzi. On przesunął się na moich oczach! Pomyślałam, że ktoś się włamał, narzuciłam bluzkę i obeszłam cały salon ze szklanym wazonem w ręku, żeby w razie czego mieć czym walnąć. Kompletne wariactwo, ale uwierz mi, strach mnie obleciał. Oczywiście, nikogo nie było, w domu panowała martwa cisza. Na dywanie obok fotela, pół metra dalej, zobaczyłam cztery odciśnięte ślady jego nóg. I smugi od przesuwania, wiesz, na włosiu. Świeże! Fotel przesunął się, gdy szłam do łazienki.

Przerwała i patrzyła mi w oczy, szukając w nich zrozumienia lub sceptycyzmu. Nie dałem jej tej satysfakcji, w spokoju czekałem na ciąg dalszy. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi był to dopiero początek. Gdzieś niedaleko błysnęło i huknęło. Tym razem Ewa zareagowała. Wzdrygnęła się i poprawiła włosy.

– To tyle w kwestii fotela. Po sprawdzeniu całego domu i przekonaniu się, że nikogo

w nim nie ma, poszłam wziąć ten cholerny prysznic. Stałam pod nim chyba z dziesięć minut, a kiedy już zaczęłam wycierać plecy, zobaczyłam to. Na zaparowanym lustrze przede mną pojawił się jakiś napis.

– Jaki? – spytałem odruchowo. Zupełnie jakby opowiadała stary hollywoodzki horror.

– Nie wiem. Przypominało mi to litery JTN. Napisane takim krzywym pismem, jakby komuś ręka drżała. Pod spodem pozioma klepsydra.

– Pozioma klepsydra? Jesteś pewna? Narysuj mi to.

Szybko podsunąłem jej kartkę z ołówkiem. Narysowała dwa poziome trójkąty złączone wierzchołkami, dokładnie takie, jakie widziałem na dmuchanej zabawce pięć lat temu. Uśmiechnąłem się pod nosem. Albo ktoś sobie drwił ze mnie, albo otrzymałem pierwsze poważne upomnienie.

– Mam nadzieję, że to nie żart?

Siedziała naprzeciwko mnie i obracała w palcach wielki pierścionek z czerwonym kamieniem.

– Myślisz, że po tym wszystkim jest mi do śmiechu?

Jej smutek był całkiem wiarygodny. Patrzyłem na dorysowane poniżej trójkątów trzy litery, ale z niczym mi się nie kojarzyły.

Wzruszyłem ramionami.

– Skąd się tam mogły wziąć te rysunki?

– Jedyne prawdopodobne wyjaśnienie mogłoby być takie, że zrobiłam te maziaje wcześniej sama i pod wpływem pary się odnowiły.

Ale ich nie robiłam! Poza tym wyglądały na całkiem świeże, widziałam delikatne pociągnięcia palca. Paluszka.

Uniosłem pytająco brwi, więc szybko dopowiedziała:

– Rysunek zrobiono wąską kreską, jakby palcem dziecka. Dorosły musiałby użyć małego palca i w dodatku ciągnąć linię bardzo ostrożnie.

A kto maluje na szybie małym palcem?

– Powiedziałaś: „jedyne prawdopodobne wyjaśnienie”. Czy masz jakieś inne, nieprawdopodobne?

Wbiła wzrok w zagryzmołoną kartkę na ławie i przez chwilę się wahała. Wkrótce zrozumiałem, skąd brały się jej opory.

– Myślę, że zrobił to jeden z moich synów.

– Bo?

– Bo... bo poznałam. Piotruś był leworęczny. Jak robisz kreskę lewą ręką, to ciągniesz palec od prawej strony i kończysz maleńkim zawijaszem. Odwrotnie niż normalnie. Trójkąty miały takie małe zawijasy po lewej, tam, gdzie palec kończył rysować. Wiem to. Pamiętam, jak Piotruś rysował kiedyś na zaparowanej szybie...

Zamilkła i pochyliła głowę, starając się ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu. Nie odzywałem się, patrzyłem tylko na rozsypane wokół twarzy jasne włosy. Miałem wielką ochotę pójść tam i pogłodzić je, przytulić tę kształtną główkę do piersi, jak zrobił to pięć lat temu jej mąż, ale się powstrzymałem. Owszem, cierpiała, ale to nie wystarczy.

Każdy cierpi i każdy potrafi w tym cierpieniu kłamać, oszukiwać i przemilczać. A tego nie lubię. Mówiłem już, że kłamstwo traktuję jak osobistą obrazę? Chyba jeszcze nie, więc mówię.

– Co z tym przesuwaniem fotela? – spytałem, kiedy wytarła oczy chusteczką i głośno wysiąkała zaczerwieniony nos. Gdy szczupłej blondynce od płaczu zaczerwieni się koniec zgrabnego noska, może to wyglądać naprawdę uroczo.

– Gdy się bawili w wojnę, zsuwali fotel i kanapę razem, włożyli pod spód i udawali, że siedzą w bunkrze. Chciałam, by przynajmniej odstawiali to potem na swoje miejsce, ale nie słuchali. Raz, pamiętam, dałam za to klapsa Piotrusiowi i krzyczałam: „Myślisz, że kto to za was zrobi? No kto?”. Jak później poszłam do łazienki, zobaczyłam na lustrze napisane palcem BÓG. Lewą ręką. Dlatego wiem.

– Czy o to ci chodziło z tym powrotem? – spytałem.

– Nie tylko – odparła, kręcąc palcem guzik od bluzki. – Kilka dni później wieczorem przysła burza, tak jak teraz. Siedziałam w swoim pokoju na górze. Kiedy pioruny zaczęły walić naprawdę głośno i spadły pierwsze krople, podeszłam do okna. Na rogu domu przymocowany jest wielki talerz anteny satelitarnej, wiesz, taka szeroka płytko miska.

Ryszard kupił ją, żeby oglądać niemieckie programy i doskonalić język, jak to określał. Wybrał największą w sklepie. Kiedy opuszczałam roletę, zauważyłam, że miska od anteny się rusza. Przytknęłam nos do szyby, myśląc, że obluzowały się mocowania i wiatr nią kołysze, ale nie. To byli oni. Zobaczyłam najpierw dziecięcą dłoń na krawędzi, łokieć, a potem wychyliła się czarna czupryna mojego syna. I druga. Siedzieli w antenie satelitarnej i kołysali nią dokładnie tak samo, jak kiedyś balią w sadzawce, gdy ich wywiozłam na wakacje do babci. Ten sam ruch i...

i te same śmiechy. Wojtek! Ja słyszałam, jak oni się śmieją!

Ewa zachłysnęła się płaczem i dostała ataku kaszlu, więc konieczna stała się kolejna przerwa w opowieściach. Tym razem musiałem podejść do niej i jakoś jej pomóc. Przytuliła się mocno i płakała mi w koszulę na piersi, a ja głaskałem ją po głowie. Nie, nic z tych rzeczy. Gładziłem delikatnie włosy i podawałem z pudełka chusteczki do nosa. Kiedy opanowała kaszel i wysiąkała czerwony nos, odsunąłem ją od siebie na długość ramion.

– Coś jeszcze?

Przytaknęła samym ruchem powiek, dając mi okazję do podziwiania jej długich podwiniętych rzęs.

– Mokra ślady na podłodze. Pawełek nie wycierał stóp ręcznikiem i kiedy po kąpieli szedł do swojego pokoju, zostawiał na parkiecie mokre plamy. Nieraz krzyczałam za to na niego, ale nie słuchał, więc na nowym, pięknie polakierowanym parkiecie miałam ślady dziecięcych stóp.

– I co?

– I teraz też je mam. Pierwszy raz pojawiły się tydzień temu. Zbyt małe na moje, a poza tym ja biorę prysznic na dole, bo stamtąd mam bliżej do pracy. – Uśmiechnęła się blado. – Wiesz, matka takie rzeczy rozpoznaje bez pudła. To były jego ślady. Pawełka. I-den-tycz-ne!

Ostatnie słowo wyskandowała, żebym nie miał wątpliwości, tak jak ona ich nie miała. W jej wielkich sarnich oczach malowniczo błyszcząły łzy i zastanawiałem się, ile z tego, co mi opowiada, jest prawdą.

Przypomniałem sobie własne opowieści, snute w łóżku do sufitu i śpiącej Oli, kiedy za wszelką cenę chciałem być wiarygodny i zarazem opisać, co się naprawdę wydarzyło. To cholernie trudne – wiarygodnie opowiedzieć coś niewiarygodnego. Lepiej milczeć, prawda? I uczyć się nieufności świata.

Musiła wychwycić moje wątpliwości, ponieważ wstała i wyszła do gabinetu. Po chwili wróciła z plikiem zdjęć i bez słowa podsunęła mi je pod nos. Wszystkie – robione w rozmaitych ujęciach i na różnych ogniskowych – pokazywały to samo: mokre ślady dziecięcych stóp na parkiecie, wiodące z łazienki do pokoju. Świeże, błyszczące, dopiero co postawione z głośnym ciap, ciap, ciap. Kończyły się przed drzwiami.

Obie stopy obok siebie, dziecko naciska klamkę, wchodzi do pokoju i cicho zamyka za sobą drzwi. Prawie to widziałem i zrobiło mi się nieswojo. Wyobraziłem sobie, jakie uczucia miotają matką znajdującą w domu na podłodze ślady zaginionego przed laty

dziecka. A jednak licho mnie podkusiło i unosząc zdjęcie, powiedziałem głośno:

– Mogły być zrobione dawno temu.

W tym momencie wydarzyły się trzy rzeczy naraz. Ewa zerwała się z fotela i na odlew uderzyła mnie w twarz. Za oknem błysnęło i równocześnie piorun huknął tak mocno, że szkła w kredensie zadzwoniły żałośnie. W oknie zobaczyłem twarz Henryka. Wielką, z ostrym nosem i patrzącą na mnie wściekle. Zgasła wraz z błyskawicą.

Opadłem na fotel z dłońmi dociśniętymi do twarzy. Policzek piekł straszliwie, ale jeszcze bardziej piekł obraz pod powiekami. To niemożliwe, szeptałem do siebie. Niemożliwe. Kiedy otwarłem oczy, Ewa pochylała się nade mną, jak kat nad dobrą duszą.

– Co tu jest, kurwa, niemożliwe? – zaklęła brzydko. – Jeszcze ci mało, głupi dziennikarzyno? Jeszcze mało? To chodź, popatrz na to!

Porwała mnie za rękę i pociągnęła do gabinetu, skąd przed chwilą przyniosła zdjęcia stópki. Okno pokoju wychodziło na ogród ze słynną jabłonią. Złapała mnie za kark jak szczeniaka i docisnęła mi twarz do szyby.

– Patrz! Widzisz?

W padającym z okna świetle na mokrej trawie w ogrodzie stali pod drzewem dwaj chłopcy. Trzymali się za ręce, a z ich zupełnie przemoczonych włosów spływały na twarze krople deszczu. Patrzyli prosto na nas i w pewnym momencie jeden z nich uniósł rękę z nożem.

Zamachnął się i rzucił. Odruchowo się uchyliłem. Nóż rozwiął się w powietrzu, a kiedy spojrzałem znowu na ogród, chłopcy śmiali się, pokazując mi palcami. Potem odwrócili się i pobiegli w ciemność.

Padał gęsty deszcz i dudniły gromy. Czekałem na kolejną błyskawicę, pewien, że jeszcze raz zobaczę Henryka, ale długo nie chciała błysnąć.

Nikogo już nie było. Tylko deszcz i dalekie dudnienie.

Ewa pogładziła mnie po ramieniu. Dziwne, że jeszcze nie zwariowała, pomyślałem i natychmiast skarciłem się za ten zbyt pochopny wniosek. Być może właśnie zwariowała i stąd te wszystkie zwidy. A ja pod wpływem jej sugestii również zobaczyłem coś, czego nie powinienem. Przyszedł Henryk. Wrócił z dziećmi. Był wściekły i dobrze wiedziałem dlaczego. Miasto nie wywiązało się z umowy i zignorowało jego prawo, a w dodatku teraz usiłuje wymazać go ze swojej pamięci. A dlaczego wrócili chłopcy? Czyjego prawa oni dochodzą? I dlaczego teraz, po czterech latach?

Ewa znowu popisała się umiejętnością czytania w moich myślach, typową dla ludzi o rozchwianej osobowości. Oni mają jakieś dodatkowe czujniki wychwytyjące to, cze-

go nie rejestruje świadomość.

– Wojtek, po co oni wrócili? – spytała cicho. – Wiesz?

Patrzyłem w ciemność i czekałem, aż przebrzmi ostatni grom i zapadnie cisza. Dopiero wtedy odpowiedziałem wolno:

– Myślę, że wiem. Po sprawiedliwość.

Siedziałem do późna w nocy przy biurku Oli, w jej panińskim pokoju starego domu w Sępi, i zapisywałem kartki imionami, nazwami, datami, konfigurując je już nie na potrzeby artykułu do lokalnej prasy, ale mojego prywatnego śledztwa. To właśnie chyba wtedy, podczas nocnej drogi powrotnej od Ewy, zapadła we mnie decyzja o podniesieniu rękawicy. Jechałem powoli, omijając wypełnione wodą dziury w drodze, a błyszczący po deszczu asfalt łykał przede mną srebrnym ekranem.

Nad nim w ciemności wyświetlały się twarze zaginionych: bliźniaków Kolanowskich, Monisi Szwagrzykowej i Łukaszka Gawła. Twarzą drugiej dziewczynki, Gabrysi Wróblík, nie mogłem sobie przedstawić, ponieważ jej nie znałem (tak mi się wydawało), podobnie jak szóstego zaginionego, Mikołaja Kopcia, mojego wybawiciela tamtego feralnego wieczoru, gdy zostałem pobity.

Wiecie, co to jest zapicie terapeutyczne? To taka próba normalności, którą każdy trzeźwiejący alkoholik podejmuje po dłuższym okresie abstynencji. Myśl wygląda mniej więcej tak: wytrzymałem tyle, nic się nie dzieje, wszystko wróciło do normy i jestem normalnym, zdrowym człowiekiem. Więc mogę się napić. Przy okazji przekonam się, czy to prawda, co gadają terapeuci, że jak wrócisz do picia, to znajdziesz się dokładnie tam, gdzie poprzednio skończyłeś. Po kilku głębokich wdechach, ze sztucznym uśmiechem, bierzesz do ręki, dajmy na to, kieliszek wina i wypijasz. Nie czujesz wielkiej różnicy, oprócz lekkiego ścisku w żołądku, więc sięgasz po następny. Dalej nic, ale pojawia się chęć na trzeci. Spokojnie ją realizujesz, bo przecież wszystko jest znowu w porządku. I wtedy nagle zaczyna się *Lost Highway*. Drżenie rąk, skurcze w żołądku, pot na czole i to dziwne swędzenie całego ciała.

Jakby twój układ nerwowy nagle rozjarzył się na jasnoczerwono i zaczął od środka parzyć. A świat wkoło gwałtownie nabiera prędkości i piszczy na zakrętach. No i chcesz pić dalej. Zgadza się: jesteś dokładnie tam, gdzie byłeś wtedy, czyli na skraju przepaści. Wpadasz w przerażenie, prędko bierzesz coś na uspokojenie i kładziesz się do łóżka z modlitwą na spierzchniętych ustach, żeby to cholerstwo jak najszybciej przeszło.

Postanawiasz nigdy więcej nie eksperymentować z „powrotem do normalności”. To

wariant optymistyczny. Niestety, drugi wariant zdarza się znacznie częściej: pijesz dalej i robisz krok w przepaść.

Tak mniej więcej czułem się, rozkładając na biurku Oli kartki z notatkami. Wróciłem do tego, co robiłem kilka lat temu na piątym piętrze wieżowca oszpiczyńskiego Manhattanu, i odnajdowałem w sobie to samo podniecenie, ten sam lęk i tę samą wściekłość. Mieszanka wybuchowa. Henryk wywiązał się ze swojego zobowiązania i czekał – bezskutecznie – na to samo z drugiej strony. Jeśli jednak tylko o to chodziło, dlaczego kierował swój gniew przeciwko mnie? Powinien z tym iść raczej do byłego prezydenta miasta. Albo obecnego przewodniczącego komisji do spraw inwestycji budowlanych. Już widziałem, jak radny Łopatko rozmawia z Henrykiem o dotrzymaniu umowy i wali pięścią w stół, aby nastraszyć ducha. A potem powtarza te swoje mądrości za siedem groszy o postępie, transformacji i potrzebie zapomnienia o przeszłości. Stary sukinsyn. Sprzątnął gdzieś znalezisko Władka Borowca, jego samego wykończył i teraz wielkodusznie pieprzy o zapomnieniu. A ludzie giną. Ginęli pięć lat temu i teraz znowu giną.

Co się stało? Kto obudził monstra?

Opadłem na łóżko w ubraniu, a o poranku zerwałem się na prysznic, kawę i zaraz potem oświadczyłem teściowej, że muszę jechać do miasta. Wzruszyła ramionami, co powinno mnie być zaniepokoić, ale miałem ważniejsze sprawy na głowie. Umówiliśmy się, że wrócę w południe, a wtedy ona pojedzie do szpitala. Na moją sugestię, że ja też mogę pojechać do szpitala i zawieźć teściowi wiktuały, kategorycznie zaprotestowała. Wolała sama. Tak myślałem wtedy, bo teraz myślę, że nie chciała dopuścić do mojej rozmowy z teściem. Bała się, że będę go wypytywać o Sępnę i mu to zaszkodzi. Niepotrzebnie, po udarze wciąż miał problemy z wymawianiem podstawowych słów. Oboje czekaliśmy, aż zacznie znów mówić – ona, bo tęskniła do ich normalnej codzienności, ja, bo chciałem się od niego czegoś dowiedzieć.

Pukałem w drzwi Sary tak długo, aż z okna na pierwszym piętrze wyjrzała kobieta i krzyknęła, że nikogo nie ma. Na moje pytanie, kto tu teraz mieszka, warknęła „Żydy!” i zatrzęsnęła okno.

Z budynku dawnej synagogi znikł napis HURTOWNIA DYWANÓW, a na jego miejscu pojawił się inny: MATERIAŁY BUDOWLANE. Na podjeżdżające pod wejście niewielkie ciężarówki ładowano worki, paczki, bele i wiadra. Budujemy przyszłość, pomyślałem. I zamurujemy przeszłość. A kto chce przebić głową mur, sam sobie winien.

Po chwili wahania podjechałem pod redakcję „Głosu Oszpicyna”.

Stałem w progu i potoczyłem wzrokiem po biurze. Przy moim dawnym biurku sie-

dział obcięty na grzecznego chłopczyka blondyn w białej koszuli i czarnych spodniach. Miał dziecięcą twarz i wredne oczy. Patrzył na mnie zimnym błękitem czystego rasowo spojrzenia, w którym zaciekawienie mieszało się z niechęcią. Nazywał się Maciej Nowicki i na dźwięk mojego nazwiska od razu skojarzył.

– A, to pan był zamieszany w śmierć tego chłopca na jeziorze!

Pańskie zniknięcie stało się tu głośne.

– Nie ja jeden stąd zniknąłem – odparłem. – Ale tamte zniknięcia, jak widzę, nie budzą aż tak wielkiej sensacji.

– Chodzi panu o te dzieci? – spytał Maciej Nowicki i poprawił sobie koszulę włożoną do spodni. – Wypadki się zdarzają.

– Tak jak na jeziorze. W Oszpicyźnie zdarzają się same wypadki.

Chyba nikt tu jeszcze nikogo nie zamordował. W takim miejscu.

Ciekawe, co?

– Wolałby pan, żeby się wszyscy nawzajem pozabijali?

Mierzył mnie wzrokiem już nie zimnym, ale podnieconym wspaniałą okazją do wygłoszenia radykalnych poglądów. Nie dałem mu tej satysfakcji.

– Wolałbym, żebyście patrzyli i widzieli – powiedziałem, ucinając rozmowę z paniczkiem w białej koszuli. Mógłby być lokajem we dworze u Kublickich. Z gabinetu wychynął naczelnny i na mój widok szybko spuścił oczy, zaraz potem ruszył na mnie z otwartymi rękami.

– Wojtek, kurczę! Ale niespodzianka! Czegoś nie dawał znaku życia?

– Nie mogłem, żona mi zabraniała – wysiliłem się na dowcip.

– Wiem, słyszałem, Ola Czech. Siadaj i opowiadaj. Jestem głodny wieści jak podborski komar krwi.

– Później, szefie. Co się odwlecze, to nie uciecze. Macie tu na pewno archiwum „Głosu”. Mogę na chwilę zajrzeć?

Zawahał się, po czym poprowadził mnie do drugiego pokoju, zamykanego na sztabę z wielką kłódką. W środku pachniało kurzem, farbą drukarską i okropną nudą powiatowych sensacji. Spytałem o numery pisma sprzed czterech lat.

– Chcesz... do tego wracać? – spytał niepewnie.

– Ummm.

– Słuchaj, Wojtek, bo myśmy tam wtedy trochę, no...

– Podregulowali fakty, co?

Zamknął starannie drzwi i oparł się o nie, jakby chciał je zablokować przed niepożądanymi intruzami.

– Wiesz, ciała Hirsza nigdy nie znaleziono, facet po prostu zniknął.

Gdybyśmy ogłosili, że leży gdzieś na dnie jeziora, musielibyśmy zamknąć akwen i szukać do skutku. Zero rekreacji, zero sportów wodnych, kąpeli. Naprawdę łatwiej było go, że się tak wyrażę, wymazać.

– „Że się tak wyrażę”. Ładnie. Tak oględnie. Mógł pan to ująć znacznie mocniej, na przykład „zlikwidować”.

– Weź przestań – mruknął z krzywą miną. – I tak mieliśmy kaszanę z całą deratyzacją i śmiercią tego dzieciaka. Nakombinowaliśmy się nieźle, jak to podać do publicznej wiadomości, żeby uniknąć smrodu.

A i tak nie wyszło.

– A kto to są właściwie ci „my”?

– No my, redakcja.

Pokazałem palcem na drzwi za jego plecami.

– Ten młokos z afisza Hitlerjugend też?

– Nie, jego wtedy jeszcze nie było. Sam pisałem...

– Zobaczmy, co pan pisał.

Przerzuciłem roczniki i dotarłem do początku roku dziewięćdziesiątego piątego. W poniedziałek szóstego lutego na pierwszej stronie pojawiło się zdjęcie bramy obozu w zimowej scenerii i wielki napis:

PÓŁ WIEKU PO ZAGŁADZIE.

Pod spodem mniejszymi literami: „Kolejna rocznica wyzwolenia obozu. Refleksje mieszkańców”.

Na tekst składały się rozmowy z mieszkańcami, a spisywał je niejaki (*jk*). Na drugiej stronie królowały aktualności w postaci relacji z meczów hokejowych, ślizgawek dla młodzieży w czasie ferii zimowych oraz weekendowa kronika drogowa (trzy wypadki, osiem kolizji, jedna ofiara śmiertelna). Dopiero na trzeciej stronie znalazłem zdjęcie tafli jeziora z rozmazaną plamą na środku i krótki tekst Janusza Karpińskiego pod tytułem *Deratyzacja z tragedią w tle*. Naczelnym zwięźle opisał świetnie wymyśloną i przeprowadzoną deratyzację, która nareszcie rozwiązała od miesięcy gnębiący miasto problem. Podkreślał świetne przygotowanie saperów, profesjonalizm pracowników sane-

pidu i sprawne działanie służb porządkowych. Na końcu w jednym zdaniu wspomniał o nieszczęśliwym wypadku, do jakiego doszło „w pobliżu miejsca przeprowadzania akcji deratyzacyjnej”, i o przypadkowej śmierci chłopca. „Jak się zdaje – dodawał na koniec autor doniesienia – śmierć Kamila W. nie pozostaje w bezpośrednim związku z działaniami formacji deratyzacyjnych”. Nie było tam ani słowa o Henryku Hirszu i jego wynalazku. O mnie też nie. Pstryknąłem palcem w gazetę.

– No pięknie. To zdjęcie sam pan retuszował?

Karpiński zaczerwienił się i przetarł nos łokciem.

– Nie miałem na to za bardzo wpływu. Wiesz, chodzi o...

– Wiem, wiem. Żona, dzieci, trzeba jakoś żyć... Fajnie, że żywi pan szacunek wobec faktów jak prawdziwy profesjonalista. Dobrze wiedzieć, że jeszcze mam tu przyjaciół.

Klepnąłem go w ramię, by się odsunął, i nie czekając na kolejną serię płaczliwych tłumaczeń, wyszedłem z archiwum. Zaraz za drzwiami stał Maciek Nowicki. Na mój widok wyprostował się nagle.

– Sprawdzasz, czy ci ucho wejdzie do dziurki od klucza? – spytałem z ujmującym uśmiechem.

– Chciałem się upewnić, że już wychodzisz – odparł zadziornie.

Uniosłem kciuk do góry na znak, że mu przyznaję punkt, i opuściłem moją dawną redakcję.

Z ciemnej bramy ratusza wypadłem wprost na rozpalony przedpołudniowym słońcem rynek miasta. Mojego miasta. Tak je nazywałem w myślach przez te cztery lata, kiedy udawałem przed wszystkimi, nie wyłączając siebie, że dla mnie nie istnieje, ponieważ otwieram nowy rozdział w życiu. To bzdura. Gówno z otwierania nowego rozdziału, jak nie pozamykałeś starych. „Tak, miasto – gadałem do siebie, idąc po marmurowej płycie do kawiarni – myślałem o tobie cały czas, a najbardziej wtedy, kiedy zaciskałem powieki, zęby i pięści, żeby tego nie robić. Bo o tobie nie można nie myśleć, kiedy się już cię dotknie, spróbuje, posmakuje. Jesteś jak ostatnia wódka normalności i pierwsza wódka uzależnienia. Fascynująca i zabójcza”.

Na zakurzonych drzwiach wejściowych kawiarni Pawła Kopcia wisiała przyklejona do szyby wypłowiała kartka z napisem ZAMKNIĘTE. W środku stały grzecznie ustawione fotele z ławami oraz puste regały po ciastkach i ogołocony z butelek bar. Przybytek wyglądał na nieczynny od dawna. Przystawiłem dłoń do szyby i zajrzałem do środka. Na podłodze między fotelami leżał kawałek materiału. Różnica w oświetleniu była na tyle duża, że nie umiałem rozpoznać, co to jest.

Odwróciłem się i poszedłem do samochodu, trąc po drodze spocone czoło w głębokiej zadumie. Kawałek materiału nie dawał mi spokoju.

Nagle przystanąłem i na środku rozgrzanego upałem placu spłynął na mnie lodowaty chłód. Zawróciłem i dopadłem kawiarni. Teraz przystawiłem obie dłonie i wgapiąłem się w podłogę pod fotelem tak długo, aż przekonałem się, że mnie wzrok nie myli. Odśunałem się.

Zacząłem szybciej oddychać. Zakaszlałem. Znowu przystawiłem dłonie do szyby. Nie, o pomyłce nie mogło być mowy.

Na podłodze zamkniętej kawiarni Pawła Kopcia leżała moja kolorowa czapka.

Nie miałem zbyt dużo czasu. Jeśli chciałem zachować resztki przyzwoitości wobec rodziców własnej żony, za godzinę powinienem być z powrotem w Sępni. Obszedłem szereg kamienic i wąską uliczką przedostałem się na tyły kawiarni. Otwarte drzwi na zaplecze mnie nie zdziwiły, ponieważ na ciasnym miejscu parkingowym stał samochód Pawła. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do ciemnego zaplecza. Po oswojeniu się z półmrokiem przeszedłem wąskim korytarzykiem do czegoś w rodzaju kuchni. Kopec siedział podparty łokciem na wąskim stole i gapił się na ścianę nad zlewem. Zdążyłem tylko omieść ją wzrokiem, kiedy podniósł głowę i spojrzał na mnie załzawionymi oczami.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytał.

– Też miło cię widzieć – odparłem i usiadłem na wolnym krześle.

Chyba nie złapał kądzieli, bo powtórzył bezmyślnie:

– Co ty tu robisz?

– To samo co ty.

Na jego ściągniętej przygnębieniem twarzy odmalowała się żywsza reakcja, nieco podobna do zdziwienia.

– A co ja tu robię?

Wyciągnąłem brodę w kierunku ściany nad zlewem, z rozmazaną od wielokrotnego ścierania farbą.

– Usiłujesz dojść, co tu się, kurwa, dzieje.

Nie odpowiedział i zawiesił wzrok na nabazgranym niewprawną ręką rysunku. Przedstawiał grupkę dzieci stłoczoną przed lufą wielkiego rewolweru, z którego mierzył do nich mężczyzna w mundurze. Ich usta były okrągłe ze strachu, a włosy podniesione do góry. Czterech chłopców i dwie dziewczynki, wszyscy trzymali się za ręce. Mężczyzna zamiast twarzy miał szczurzy pysk. Farbę na ścianie nad zlewem wydrapano do gołego tynku, co dodatkowo zniekształcało niezbyt wyraźny rysunek.

– Pojawia się na nowo, co?

Skinął głową, a ponieważ czekałem na ciąg dalszy, westchnął i zaczął mówić.

– Najpierw myślałem, że to gówniarze weszli do kawiarni przez okienko w magazynie i zostawili te bazgroły.

Zamalowałem i zostawiłem do wyschnięcia, ale następnego dnia znowu to zobaczyłem.

Znowu zamalowałem. Wiesz, człowiek niełatwo rezygnuje ze zdrowego rozsądku. Po czterech latach przerwy postanowiliśmy z żoną zostawić tamto za nami i wrócić do pracy. Kawiarnia to nasze jedyne źródło utrzymania. Na początku lipca przyjechałem tu i zacząłem nieśmiało sprzątać. Rano go nie zauważyłem, ale koło jedenastej przyszedłem do kuchni zrobić sobie kawy i wtedy już był.

Mówił z przygnębieniem, jakby przyznawał się do największej klęski swojego życia. Blizna na nosie po uderzeniu łyżwą zrobiła się czerwona i wyraźna, odświeżona przez z trudem powstrzymywany płacz.

– Kiedy po trzecim zamalowaniu rysunek pojawił się znowu, przyłożyłem się i zdrapałem go razem z farbą. Nic nie pomogło. Od razu uprzedzam twoje pytanie: tak, jedną noc tu spędziłem. Żeby mieć pewność. Nikt nie wchodził, a rano rysunek powrócił. I tak to idzie od trzech tygodni: ja ścieram, oni malują.

– Kto maluje?

To, co przemknęło przez jego obolałą twarz, mogłoby być uśmiechem, gdyby nie było takie smutne.

– Jaką wersję chcesz: rozsądną, średnio zwariowaną czy całkiem odjechaną?

– Całkiem odjechaną – odparłem rozsądnie. – Pozostałe są raczej mało prawdopodobne.

Pokiwał pochyloną głową, a kiedy ją podniósł, by mi spojrzeć w oczy, zobaczyłem nową łzę na policzku.

– Zapomniałem, że jesteś po uszy w temacie. Widzisz, Miko, mój syn, nie umiał rysować. Nie umiał, ale bardzo chciał. Całymi godzinami siedział w kuchni na podłodze i bazgrał kredą na linoleum to, co rysują wszyscy chłopcy: rycerzy, konie, czołgi, idące na siebie armie. Kiedyś chciałem mu pomóc i pokazałem, jak narysować ramię żołnierza mierzącego z karabinu. Najpierw dwie pionowe kreski munduru, potem skośne ramię, a dopiero na końcu bark. „Jak chcesz dokładnie – mówiłem – to w zgięciu łokcia, gdzie marszczy się materiał rękawa, możesz zrobić dwie kreseczki”. Pokazałem mu, a on potem zawsze tak rysował. O, tak.

Paweł Kopec wstał, ciężkim krokiem podszedł do ściany i pokazał miejsce na rysunku, gdzie mężczyzna z pyskiem szczura zginał łokieć prawej ręki. Ujrzałem dwie uko-

śne kreseczki. Postukał w ścianę jak nauczyciel matematyki pokazujący uczniom na tablicy prawidłowe rozwiązanie zadania.

– Krótko mówiąc, narysował to twój syn? – spytałem obojętnie. – I to ma być ta całkiem odjechana wersja?

– Chcesz powiedzieć, że to mało?

Założyłem nogę na nogę i zabębniłem palcami po stole.

– No wiesz, wczoraj odwiedziłem Ewę Kolanowską. Jej synowie huśtają się na antenie satelitarnej i biorą prysznic bez pozwolenia, a potem mokrymi stopami niszczą piękny dębowy parkiet, który kosztował majątek. To dopiero skandal!

Popatrzył na mnie w oszołomieniu, usiłując przetrwać to, co właśnie usłyszał.

– Poważnie? – wykrztusił wreszcie i usiadł. Dobrze zrobił, bo sprawiał wrażenie kogoś, kto za chwilę rąbnie na podłogę.

– Nie, żartowałem. Bez pozwolenia huśtają się na antenie. Na prysznic Ewa im pozwala.

Próbował się uśmiechnąć, bo mój niezachwiany spokój wziął początkowo za blef. Po chwili jednak spoważniał.

– Wojtek, czy ty... domyślasz się, co tu się dzieje?

– A jaką chcesz wersję: rozsądną, taką średnią czy całkiem odjechaną?

– Rozumiem. – Zagryzł wargi. – Gramy w otwarte karty.

Pochyliłem się ku niemu, jakbyśmy naprawdę siedzieli przy stoliku do pokera.

– Pawełku, tu już nie ma co udawać. Ukrywanie, jak widzisz na przykładzie tej ściany, nic nie przyniesie. A jeśli, to skutek odwrotny do zamierzonego. To miasto jest jednym z najdziwniejszych miejsc na świecie i nie ma niczego dziwnego w tym, że dzieją się dziwne rzeczy.

Brzmi dziwnie? To dobrze, bo to oznacza, że wreszcie forma pasuje do treści.

– Tym razem nie bardzo rozumiem – przyznał Paweł. – Domyślam się jednak, że wersja rozsądna nie ma sensu.

– Nie ma – potwierdziłem.

– To dawaj tę całkiem odjechaną.

– Twoje zaginione cztery lata temu dziecko zostało użyte jako medium do przekazania ci informacji. Słusznie, że siedzisz i gapisz się w ten rysunek, ponieważ to list do ciebie. Będzie się pojawiał tak długo, aż go odczytasz, a kiedy to się już stanie, będziesz musiał wykonać pracę, którą ci zlecił twój syn. Bo ten list to coś w rodzaju na-

kazu. Może również przestrogi. Ale chyba jednak to nakaz. Polecenie do wykonania.

Tak sądzę.

– Ale jakie polecenie? Do czego?

– Nie wiem, Paweł. To list do ciebie, nie do mnie. Na pocieszenie powiem ci, że podobne sygnały otrzymuje Ewa Kolanowska, i nie zdziwiłbym się, gdyby to dotyczyło również pozostałych rodziców zaginionej szóstki. W następnej kolejności powinniśmy z nimi porozmawiać. A zaraz potem usiąść i wspólnie zastanowić się co dalej.

Najpierw jednak siedź i myśl, co jest na tym rysunku. A jak już wymyślisz, daj mi znać.

– Jakiesь podpowiedzi?

Siedział przygnębiony i z zaczerwienionymi oczami. Starał się walczyć, był inteligentnym człowiekiem i sprawnym biznesmenem, miał wystarczający potencjał zdrowego rozsądku, by nie musieć się uciekać do fantastycznych bredni rodem z taniego horroru. A jednak na jego twarzy malowała się zupełna bezradność. Zrobiło mi się go żal.

Wyciągnąłem rękę i poklepałem go po owłosionym przedramieniu. Było zimne.

– Nie wiem, Paweł. Powtarzam, to nie jest list do mnie, tylko do ciebie. Twój syn, którego nie chciałeś mi wtedy pokazać chorego w szpitalu, a który wkrótce potem zginął, prawdopodobnie nie żyje. To samo dotyczy pozostałych. Nie mamy jednak ciał, zostali nam odebrani w całości, ze wszystkim, a to według mojej całkiem odjechanej wersji oznacza, że ma je kto inny. Szukaj paraleli. Na pocieszenie powiem ci, że też będę szukał. Właściwie robię to od dawna, od pięciu lat. Bardzo chciałem wtedy pojechać z tobą do szpitala i zobaczyć, co się dzieje z nogami Mikołaja, ponieważ to samo działo się z nogami Dominika Wilka, tego, co wrócił. Chcesz jeszcze bardziej odjechaną wersję?

Proszę bardzo. Być może gdybyś mnie wtedy zabrał i pozwolił z nim pogadać, a przynajmniej obejrzeć i posłuchać, gdybyś nie uciekł przede mną, kopiąc szczura w ciemnej uliczce i udając, że wszystko jest w porządku, a ewentualna reszta to twoje prywatne, rodzinne sprawy – być może to Mikołaj by wrócił spod groty, a nie Dominik. A teraz siedzisz tu, patrzysz na koślawe maziaje swojego nieistniejącego już syna i myślisz nad tym, co tu się, kurwa, dzieje. Podpowiedź może być taka: weź te swoje prywatne, intymne sprawy, które tak skrzętnie przede mną ukrywałeś, i porządnie je przepatrz. Potem przyjdź do mnie.

Wybacz, muszę lecieć do domu.

Wstałem, ale chwycił mnie za łokieć.

– Kolanowskiej powiedziałaś to samo?

– Nie. Powiedziałem jej, że chodzi o sprawiedliwość. Potraktuj to jako jeszcze jedną podpowiedź.

– Dalej nie rozumiem.

– Rozumiesz, Pawle. Dzieci nie umieją kłamać. A umarli kłamać już nie muszą. Jeżeli mówi umarłe dziecko, może to być tylko prawda.

Bez całej naszej dorosłej ściemy.

– Mało precyzyjne.

– To zależy wyłącznie od ciebie. Powtarzam: bez ściemy.

Uniosłem się, ale on wtedy dodał coś, czego się nie spodziewałem.

– Ty go nie widziałeś, ale on cię widział. Tamtego wieczoru, gdy zostałeś napadnięty, to on narobił wrzasku i zadzwoniliśmy po policję.

Pomógł ci. W jakimś sensie... uratował ci życie. A ty co?

– Też chcę mu pomóc – odparłem. – Potrzebuję jednak do tego twojej współpracy. Ktoś, komu naprawdę ufam, powiedział, że tylko ja mogę załatwić tę sprawę. Nie wiem jak i dlaczego, ale na pewno to zrobię.

Pstryknąłem palcami wycelowanymi w rysunek na ścianie.

– W każdym razie szczurów już nie ma – powiedziałem i wyszedłem.

Po drodze zgarnąłem spod fotela w kawiarni moją wełnianą czapkę, otrzepałem i włożyłem na głowę. W sam raz na upał.

Popędziłem do Sępni, przekraczając dozwoloną prędkość. Na obwodnicy przed zakrętem śmierci omal mnie nie wyrzuciło z drogi.

Zdjąłem nogę z gazu, ale astra dalej gnała jak szalona. Kopnąłem kilka razy w pedał i puścił za zakrętem. Fajne miejsce. Skoro można tu stracić panowanie na suchej drodze w słoneczny dzień, to co się dzieje w jesienne wieczory? O zimie nie wspominając.

Teściowa stała z torbą na ganku.

– Autobus mi odjechał – oświadczyła spokojnie, ale zdołałem usłyszeć w jej głosie pretensję.

– Podwiozę cię! – zakrzyknąłem natychmiast i zanim się zorientowała, już wpychałem ją do samochodu. Miałem świetną okazję natychmiast wrócić do mojego miasta. Protestowała, ale bez większego zapału, natomiast przyglądała mi się uważnie przez całą drogę.

– Co jest, mamó? – spytałem, czując na sobie ten wzrok.

– Nic. Dobrze się czujesz?

– Świetnie – odparłem i dla potwierdzenia, jak to wspaniale się czuję, zacząłem bębnić palcami w kierownicę w rytm muzyki. Grali i śpiewali The Moody Blues. – Dlaczego mama pyta?

– Taki upał – odparła i odwróciła wzrok do okna. Nic więcej nie mówiła.

Wysadziłem ją pod szpitalem i zaproponowałem, że z nią pójde, ale uznała to za niepotrzebną komplikację i zapewniła, że uwinie się w godzinę. Tym razem nadmiernie się nie broniłem, ponieważ miałem swoje plany. Gdy tylko teściowa zniknęła w wejściu głównym do szpitala miejskiego, nawróciłem i pojechałem w dół, nad jezioro. Po drodze kupiłem w sklepie cztery lampki nagrobne i zapalki.

Nad wodą było trochę ludzi, jak to w dzień roboczy.

Zaparkowałem pięćdziesiąt metrów przed jeziorem, chowając samochód w cieniu zarośli. Wypłaszczenie, po którym tamtej zimy biegła szara armia szczurów, pokrywała fantastycznie kolorowa łąka, pełna kwitnących traw i bzyczących owadów. Barwny jar-

mark zapobiegliwego zbieractwa będzie tak szumiał i brzęczał aż do następnej zimy, kiedy najpierw wszystko przykryje śnieg, a potem wypełźnie spod niego nowy brud. Do samej wody nie doszedłem, ponieważ od drogi odgradzał ją płot z siatki. Ktoś kupił kawał tej łąki i rozpoczął budowę domu. Fajne miejsce. Oszpicyn to naprawdę całkiem sporo fajnych miejsc.

Nie za bardzo miałem pomysł, gdzie postawić dwie lampki przeznaczone dla Henryka, więc obszedłem pół jeziora i znalazłem się pod krzakiem, gdzie tamtego feralnego dnia ukrywał się Głupi Kamilek.

Na plastikowej skrzynce, odwróconej dnem do góry i wciśniętej na stałe w uklepaną ziemię, siedział wędkarz. Między szeroko rozstawionymi nogami zwisał ku wodzie spory brzuch, obok lewego buta stała otwarta puszką piwa.

– Biorą? – spytałem uprzejmie i przykucnąłem.

– Ee tam – machnął ręką. – W taki upał to nie chcą. Wczoraj brały, ale pod wieczór.

– A jakie tu biorą? Karpie?

– Ano karpie też. Przeważnie płotki i okonie. Szczupak się czasem trafi, ale teraz mniej.

– Kiedyś było więcej?

– Ja, panie! Cztery lata temu to tu było łowienie! Na żywca to się po pięć szczupaków dziennie ciągnęło. Ponad limity, ale kto to sprawdza. A pan co, też na rybki?

– Nie, nie łowię. A już na pewno nie tutaj.

– Co? – Zaniepokoił się i spojrzał na mnie spode łba. – Co nie tutaj? Że niby tu gorsze ryby niż gdzie indziej?

– Pewnie lepsze – odparłem z uśmiechem. – Nie przeszkadza wam, co tu się stało?

Zmrużył oczy, pociągnął głośno nosem i splunął w wodę.

– O czym pan gadasz?

Naprawdę nie wiedział. Wybałuszał oczy niepewny, czego się może po mnie spodziewać. Nie przestając się uśmiechać, pokazałem na wodę i wyjaśniłem:

– Cztery lata temu w tym jeziorze jednego dnia utonęło dwóch ludzi. I milion szczupaków.

– Ee tam, pieprzenie – skrzywił się i znowu splunął, tym razem na ziemię, w moim kierunku.

– Byłem przy tym, widziałem na własne oczy. Jeden z topielców to mój przyjaciel. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Pewnie zjadły go te wasze dorodne szczupaki.

Facet oparł wielkie łapska na kolanach i ciężko sapiąc, podniósł się.

– Panie, przestań pan pieprzyć głupoty. Idź pan stąd i nie zawracaj mi dupy, bo mi pan ryby płoszysz. Mieszkam tu, usłyszałybym.

Czekał, aż go sprowokuję, żeby mógł ruszyć na mnie i dokopać mi zgodnie z jego wędkarską filozofią obrony terytorium połowu.

– Jak pan tu mieszka, to o Kamilu Warchale pewnie pan słyszał.

Zacisnął pięści i ruszył w moim kierunku. Też wstałem i patrzyłem na jego furję. Nie miałem zamiaru uciekać, czasy moich haniebnych ucieczek się skończyły. Kiedy tamci trzej mnie wtedy kopali i łamali żebra, postanowiłem sobie zrobić z tym porządek. Jeśli tylko przeżyję.

W Słupsku chodziłem na treningi kick-boxingu, a później karate. Ola twierdziła, że to jeden z najgłupszych sposobów spędzania czasu przez młodych mężczyzn, niestety bardzo wśród nich popularny. Nie przeszkadzało mi jej zdanie. Chciałem się pewnie poczuć w tym zasranym świecie, gdzie sprawność nogi i ręki bardziej liczy się od sprawności umysłu. No nie, trochę przesadzam. Instruktor przekonał mnie, że inteligencja to najbardziej mordercza ze sprawności w sztukach walki.

Stałem nieporuszony i rozważałem, czy najpierw kopnąć go w kolano, czy zamarkować kopnięcie i powalić szybkim ciosem w twarz.

Była prawie tak okazała jak brzuch. Kiedy już zdecydowałem, za jego plecami zabręczał dzwonek. Grubas odwrócił się i dopadł w ostatniej chwili wędkę, która porwana nagłym i mocnym braniem, spadła z podpórek i sunęła do wody. Uniósł ją, szarpnął dwa razy, a potem zaczął walczyć z czymś całkiem sporym, co wyginało wędzisko i szarpało się z głośnym pluskiem. Postąłem chwilę i odszedłem. Nie chciałem widzieć, co wyciągnie.

Lampki ustawiłem nieco dalej, za niewielką kępą szuwarów, żeby nie narzucać się głodnemu tłustych ryb wędkarzowi. Zapalałem jedną po drugiej tą samą zapałką. Dosedłem do trzech i zapałka zgasła, więc zdmuchnąłem knoty i zacząłem od początku. Za trzecim razem się udało, wszystkie cztery lampki od jednej zapałki. Taki test na sprawność, z niewielką domieszką zabobonu.

Usiadłem przed nimi i zapatrzyłem się w drobne fale przy brzegu.

Henryku? Jesteś tu? Woda zmarszczyła się od lekkiego podmuchu wiatru. Zapachniało rybą i ziołami od łąk. Co dalej? Gdzie mam ich szukać? Po co mnie w ogóle wplątałeś w te dzieci, skoro niczego nie umiem odgadnąć? Wiem, że to nie ty, ale przecież miałeś plan. Nie ma sprawiedliwości i niczego nie da się już naprawić, więc co mam

robić?

Siedzieć tu i płakać w wodę, w której zniknąłeś?

Woda. Przypomniała mi się tamta woda, z nawigującą ku mnie dmuchaną żabą, a potem tamta czarna woda z pidła i dziecięce łapki uczone deski zastawu. Woda. Gdybym miał szukać, to w wodzie...

– Haaaa! Takie są! – ryknął mi nagle ktoś nad uchem. Poderwałem się. Przede mną stał wędkarz spod krzaków z wielkim karpem w objęciach. Ryba miała dobrze ponad pół metra długości i niewiele mniej szerokości. Przy rozdziawionym z braku wody pysku zwisały długie wąsy.

– Siedemdziesiąt cztery, prawie siedemdziesiąt pięć! – pokrzykiwał grubas, zadowolony jak przedszkolak z paczki pod choinką. Po jego agresji nie zostało ani śladu. Wędkarze tak mają, duuużo ryba łagodzi im charaktery i budzi uśpioną nad wodami serdeczność. – Osiem kilo!

– Gratuluję – mruknąłem. – I smacznego.

Miałem ochotę wyrwać mu tę rybę i wrzucić ją z powrotem do wody, a za nią jego samego, zgodnie z zasadą wzajemności. Zamiast tego podniosłem się, otrzepałem spodnie na tyłku i wyszedłem na ścieżkę biegnącą wałem wokół jeziora. Uniósł w górę rybę jak niemowlę w powijakach i zawołał za mną:

– Będzie i obiadek, i galaretki. Do wódeczki, ha, ha! A za lampki dzięki, przydadzą się na noc!

Bałwan.

Teściowa czekała przy bramie wjazdowej. Bez słowa wsiadła do samochodu i nie odzywała się całą powrotną drogę. Ja też milczałem.

Męczył mnie obraz wielkiej ryby upasionej na tym wszystkim, co spoczywało na dnie jeziora. Gdy pomyślałem, że ten tłusty cymbał będzie to jadł, a potem wydalął, ogarniało mnie jakieś wściekłe obrzydzenie. Zaraz jednak pomyślałem, że może tak jest dobrze w tym nieskończonym kręgu przełykania i bycia przełykanym i każda śmierć, jak straszna by nie była, przynosi zaczątki nowego życia. Tak wtedy myślałem, jak jaki pierwotny filozof przyrody. Miałem trzydzieści lat, żonę, pracę dziennikarza lokalnej gazety i najtrudniejszą z zagadek do rozwiązania.

Kiedy weszliśmy do domu i ochłodziliśmy się nieco, teściowa podała na stół obiad i usiedliśmy nad pełnymi talerzami. Żadne nie kwapiło się do jedzenia.

– Nie jesz? – spytała tym swoim teściowym spokojem.

– Mama też nie je – stwierdziłem.

- Nie chce mi się. Gorąco.
- Mnie też się nie chce i też gorąco.

Siedzieliśmy, patrząc na siebie z zainteresowaniem. Kiedy otwarłem usta, by zadać standardowe pytanie o samopoczucie teścia, uprzedziła mnie:

– U ojca wszystko dobrze. Rano znowu dzwoniła Ola. Martwi się o ciebie. Powiedziałam jej, że niepotrzebnie, bo ty tu bardzo dzielnie sobie radzisz z gospodarstwem i pomagasz mi jak umiesz. Powiedziałam jej też, że siedzisz na tyłku i nigdzie nie latasz, oprócz tego, że musisz jeździć na komisariat na zeznania w sprawie śmierci Józka Grubosza.

Trochę się uspokoiła. Może przyjedzie za tydzień, tak powiedziała.

– Dziękuję... – odparłem cicho.

– Wojtuś, to ci nie daje spokoju. Przecież widzę. Jak musisz, to jedź. Ja se tu dam radę z dobytkiem, baba ze wsi jestem. – Chciałem wyjaśniać, ale przerwała mi, unosząc rękę. – Nic się nie tłumacz, wszystko wiem. Nie po myśli mi tylko, żebyś o tym ojcu opowiadał. On jeszcze słaby. Oj, słaby – zakończyła i sięgnęła po łyżkę. Podniosłem na nią pytający wzrok.

– No jedź, jedź. Tylko przyjedź na noc. I nie pij.

Wstałem od nietkniętego talerza zupy i ucałowawszy ją w rękę, wybiegłem do samochodu. Zwolniłem tylko na zakręcie śmierci. Po kwadransie byłem na ulicy Macierewicza i mogłem dalej działać.

– Lepiej późno niż wcale – powiedział Piotr Stefanowski na mój widok i gestem zaprosił do środka. – Postanowił pan jednak wrócić.

Nie pytał, tylko stwierdzał fakt. Posadził mnie na fotelu i usiadł naprzeciwko, dzięki czemu znaleźliśmy się dokładnie w tej samej konfiguracji co poprzednio, gdy przez okno wpadł kamień. Mówiłem wam – jak się wraca do nałogu, startuje się od ostatniego punktu dojścia.

Stefanowski jednak również postawił pytanie.

– Ale do czego właściwie?

Wyraźnie się postarzał. Włosy mu urosły i posiwiały zupełnie, broda też zrobiła się dłuższa i bardziej zmierzwiona od częstego pocierania i przygryzania końcówek. Nie dokuczało mu chyba wyłącznie lumbago, skoro miał także zaczerwienione gałki oczne. W jego głosie nie słyszałem sympatii. Nie zaproponował herbaty i nie zdobył się na uprzejmy uśmiech. Po prostu siedział naprzeciwko i patrzył na mnie pytającym, aczkolwiek niechętnym wzrokiem. Nie zanosilo się na serdeczną rozmowę po latach, choć przyczyny tego stanu rzeczy były mi nieznane. Wkrótce miałem je poznać.

– Czy wie pan, gdzie jest Sara? – spytałem.

– Wiem – odparł po znaczącej przerwie, z której miałem wywnioskować, że się waha. – Ale nie jestem pewien, czy powinienem panu mówić.

– Dlaczego?

– Nie wywiązał się pan z umowy – powiedział, akcentując każde słowo z osobna.

– Nie bardzo rozumiem. To miasto nie wywiązało się z umowy.

Zmierzył mnie niechętnym spojrzeniem swoich zaczerwienionych oczu.

– Nie o tej umowie mówię. Miał pan chronić dzieci.

– Nadal nie rozumiem – stwierdziłem, przełykając ślinę. – Nie zawierałem z nikim żadnej umowy, nikt mi nawet nie przedstawił jej warunków, ba, nie słyszałem nawet o jej istnieniu...

Ugryzłem się w język, ponieważ przypomniał mi się stary Maldor ze swoim „pilnuj dzieci”.

– O wszystkim pan doskonale wiedział. Co więcej, pozwolił im pan odejść.

– Ja?! Przecież to jakiś absurd! – wybuchnąłem. – Dzieci zginęły!

Zniósł mój wybuch zupełnie spokojnie. Czekałem na dalsze wyjaśnienia, ale się nie kwapił. Wpatrywał się we mnie i też czekał.

Chwilę mocowaliśmy się na wyczekujące spojrzenia, wreszcie nie wytrzymałem i odezwałem się pierwszy.

– Nie mogłem przewidzieć tego, co się stało. Gdyby Henryk nie zginął...

– Ale zginął – przerwał mi zimno. – A pan uciekł. Zamiast doprowadzić do końca sprawę Hirsza i Sary, wyjechał pan na drugi koniec Polski, żeby się ukryć przed tupnięciem Łopatki. Bo on tylko tupnął nogą.

Wstał, a ja skuliłem się w fotelu, jakby miał mnie uderzyć. On jednak podszedł do biurka i przyniósł kartkę, po czym rzucił mi ją przed nos. Było to pismo adresowane do prezydenta miasta Oszpicyna z prośbą o przekazanie opuszczonego budynku dawnego składu dywanów na cele kulturalne, a konkretnie z przeznaczeniem na muzeum Żydów oszpicyńskich. Datowane na dzień 4 lutego 1995 roku i podpisane przez Henryka Hirsza.

– Miał pan się tym zająć na wypadek, gdyby coś mu się stało.

Zostawił adnotację przy piśmie. Jak pan widzi, przewidział wszystko.

Wszystko oprócz tego, że Wojciech Jaromin tuż po jego śmierci zwinie manatki i wyniesie się z miasta. Jego miasta.

Mówił powoli i dobitnie, dobijając mnie każdym słowem jak wampira osinowym kołkiem. Zapadłem się w fotel i patrzyłem na pismo, czytając je raz za razem, jakbym nie umiał odczytać liter, całkiem wyraźnie odbitych na maszynie do pisania. W pokoju Henryka stała taka maszyna.

– Skąd pan ma to pismo? – spytałem, unosząc wzrok.

– Od Sary, oczywiście. Przekazała mi je wraz z całą stertą teczek z materiałami gromadzonymi przez Hirsza na potrzeby muzeum. Tego muzeum, które nie powstanie, ponieważ nikt nie przypilnował, by miasto wywiązało się z umowy. Nawiasem mówiąc, te materiały miały trafić do pana, ale tak się nie stało z powodu braku adresu oraz, że się tak wyrażę, samego adresata.

– Chce pan powiedzieć, że dzieci zginęły dlatego, że miasto nie oddało dawnej synagogi na muzeum żydowskie?

– A jaki miałyby być inny powód? – zapytał, podnosząc nieznacznie głos. – Jak pan sądzi, po co rozmawiałem z panem tamtego wieczoru?

Dlaczego pokazywałem panu niezwykłości wyczyniane przez dzieci mojej sąsiadki Szwagrykowej? Dla rozrywki? Żeby mógł pan sobie obejrzeć przyrodnicze anomalie prześladowujące biedną kobietę i jej potomstwo? Ech, panie Wojtku, zawiodłem się na pana. To zresztą jest w tym wszystkim najmniej istotne. Oni – pokazał palcem na sufit – się na pana zawiedli.

Nie powiem, dobił mnie. Nie tym, że mi nawymyślał za ratowanie własnego tyłka kosztem innych, bo tu, moim zdaniem, trochę przesadził.

To ostatecznie moja sprawa, kiedy uciekam, a kiedy walczę. Dobił mnie tą jedną prostą i oczywistą konkluzją, na którą ja sam nie wpadłem: że zaginięcie szóstki dzieci podczas majówki cztery lata temu to była kara za niedotrzymanie umowy. Miasto zapłaciło swój rachunek, tylko w innej walucie. Tej najcenniejszej. Palnąłem się w czoło. Przecież Henryk sam mi o tym powiedział, napomykając o legendzie szczurołapa z Hameln! Nie wywiązujecie się z umowy, zabieram wam dzieci. Mały Dominik bełkotał, że prowadził ich „pan z dużym nosem”. I dzieci śpiewały...

– Henryk po nie przyszedł – mruknąłem, patrząc w podłogę. – Zwabił je muzyką. „To jest dla nich jak muzyka”. Tak, wszystko przewidział.

– Co pan powiedział? – zainteresował się Stefanowski.

– Nie, nic. Jak pan myśli – podniosłem na niego wzrok – da się to jeszcze jakoś odkręcić?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – W zasadzie powinienem odpowiedzieć panu jeszcze ostrzej: to nie moja sprawa.

Cholera. Najpierw ktoś narobił dziadostwa, którego istoty nie umiem nawet dojść, a teraz wszyscy domagają się, żebym za nich rozwiązywał problem, czyli sprzątał nie swoje brudy. Wszyscy tańcowali, a tyś skrzypka opłacił. „Pierwsze są szczury”, powiedział kiedyś Henryk i wciągnął mnie w awanturę, chociaż miałem z nią tyle wspólnego co z lądowaniem człowieka na księżycu. I jeszcze podobno wypełniałem jakiś święty nakaz ratowania dzieci przed złem tego świata, tylko ani dzieci nie moje, ani świat niczego mi w zamian za tę przeklętą umowę nie oferuje. Natomiast owszem, przewiduje sankcje. A potem musiałem uciekać i to też było złe. Paranoja.

Przypomniało mi się zdjęcie. Mój dziadek Abraham Zylbersztajn z hrabią Kublickim pod rękę. Obaj uśmiechnięci i zadowoleni z udanej transakcji, zapewne zakupu nowej, eleganckiej pragi przez pierwszego eleganta w mieście. A może nie? Może inna transakcja tam miała miejsce? I nie jest to wcale wiosna trzydziestego dziewiątego roku?

A dług przechodzi na następne pokolenia?

Stefanowski patrzył na mnie z pozorną obojętnością, ale dostrzegłem w jego oczach pełne napięcia wyczekiwanie. Miał swoje plany w tej grze i skrzętnie je na razie skrywał, wpuszczając mnie w maliny. Jak to szło? Życie to lekcja nieufności do ludzi.

W ogóle jakich ludzi? Same szczury.

– W takim razie mam prośbę – zaryzykowałem. – Powie mi pan, gdzie one zginęły? Tylko tyle.

Podrapał się po brodzie obiema dłońmi, jakby nagle dostał ataku alergii. W zaczerwienionych oczach błysnęły jednak żywsze ogniki.

– Pojadę z panem. To może być niebezpieczne.

Po drodze Stefanowski opowiedział mi o tamtej majówce. Imprezę organizowało stowarzyszenie Jezus Dzieciom, funkcjonujące przy parafii osiedlowej i zajmujące się przygotowywaniem dzieci do pierwszej komunii. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna definicja jego działalności, ponieważ w gruncie rzeczy skupiała ona dzieci w przedziale wiekowym od pięciu do ośmiu lat i jej głównym celem było utworzenie wspólnoty wiernych z maluchów, które miały iść do szkoły lub właśnie rozpoczęły naukę. Chodziło po prostu o kościelne pranie mózgów tutejszych latorośli jeszcze przed pierwszą komunią, kiedy są już na tyle rozwinięte, by to i owo sobie przyswoić, i zarazem na tyle bezbronne, by bezkrytycznie przyjmować wszystko jak leci.

Rodzice się bronili. Miasto jeszcze nie ochłonęło po anomaliach zimowych miesięcy i dzieci wciąż budziły nie tylko zrozumiałą troskę, ale i pewne niepokoje.

Konflikt szybko nabrał charakteru pokoleniowego, ponieważ po stronie organizatorów wycieczki stanęli dziadkowie. Babcie jako stałe bywalczyńce kościoła murem poparły księdza i jego pomysł uczczenia rozpoczęcia miesiąca maryjnego dziecięcą majówką, a podpuszczone przez nie dzieci skutecznie uprosiły rodziców i zgodę w końcu wyrażono.

Wyjazd odbył się pod hasłem „Wiosna z Maryją” i przebiegał pod opieką młodego wikarego z parafii oraz dwóch sióstr zakonnych, katechetek z osiedlowych szkół. Rodzice uznali, że to za mało, i spośród siebie wytypowali dwoje ochotników do pomocy. W wycieczce wzięło ostatecznie udział dwadzieścioro dzieci, dziesięciu chłopców i tyleż dziewczynek, „żeby było sprawiedliwie”, jak to określił wikary, nie precyzując, jaką sprawiedliwość ma na myśli. Wyjechali trzydziestego kwietnia rano, w piękną wiosenną niedzielę długiego weekendu, ponieważ nazajutrz oraz za trzy dni wypadały dni wolne od pracy z okazji świąt, państwowego i religijnego. Wycieczka udała się do pobliskiego malowniczego uroczyska położonego na skraju parku krajobrazowego i stanowiącego granicę pomiędzy tutejszą kotliną a wzniesieniami pogórza krakowskiego. Teren ukształtowały stare wapienne skały, które u stóp wzgórz wyłaziły spod ziemi i białą na słońcu jak kości prehistorycznego gada, tworząc coś w rodzaju bramy do lasu. Przed skałami krzewy i kamienie półkuliście otaczały niewielką polanę porośniętą trawą i wyposażoną przez powiatowych „zielonych”

w ławeczki oraz tablicę z mapą okolicy.

Prawdziwym celem była jednak niewielka grotta u stóp jednej ze skał, gdzie przed niespełna stu laty postawiono figurkę Matki Boskiej.

Miejsce od razu zyskało na atrakcyjności. Nazwano ją Grotą Maryi i dopisano legendę o cudownych właściwościach źródlanej wody ciurkającej z wnętrza skały i tworzącej niewielką kałużę u stóp figurki.

Jak miejsce ma być święte, to muszą się dziać cuda.

– Miejskowa legenda głosi, że podczas pierwszej wojny światowej w tej grocie ukryło się dwóch rannych żołnierzy – relacjonował Stefanowski. – Przetrwali bez jedzenia ponad miesiąc, pijąc jedynie wodę ze źródelka. Nie tylko nie umarli z głodu, ale wyleczyli rany i pomaszzerowali dalej, a na figurce zostawili swoje święte krzyżyki.

Podobno wiszą gdzieś w tamtejszym kościele, ale nie sprawdzałem.

– Często wożono tam dzieci z Oszpicyna na wycieczki? – spytałem. Historyk zmierzyl mnie długim spojrzeniem.

– Nie – odparł. – Tylko ten jeden raz. Oryginalny pomysł księdza – dodał z przekąsem. – Trochę to wyglądało tak, jakby całe tragiczne zdarzenie zostało przeprowadzone według czyjegós perfidnego planu, ale policja do niczego nie doszła. Wikary i siostry katechetki przestraszyli się nie na żarty i potrzebowali pomocy proboszcza, który potem wiódł długie rozmowy z komendantem Morgałą, by rzecz całą zakończyć polubownie. Rodzice chcieli ukarania winnych zaniedbań, ale koniec końców, tych nie stwierdzono. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem i regułami życia społecznego. Tylko dzieci nie ma.

Jechaliśmy wijącą się wśród pól szosą, światło lipcowego popołudnia rozlewało się po krajobrazie jak miód z rozbitego dzbana, oblepiając domy, sady i łąny zbóż słodką, drżącą cieczą. Białe obłoczki układały się nad linią horyzontu w uśmiechnięte buźki, powklejane tu i tam jak emotikony w emfatycznym esemesie. Powierzchnia świata była piękna, ale nas w tej chwili bardziej interesowało to, co pod spodem.

– Jak to się właściwie odbyło?

– Tak jak zawsze w takich przypadkach, to znaczy nikt dokładnie nie wie – odparł Stefanowski. – Kiedy już dzieci się wybrykały, usadzono je na ławeczkach w cieniu i rozpoczęła się lekcja chóralnego śpiewania nowej pieśni. Jedyne zbiegiem okoliczności można wytłumaczyć fakt, że ta szóstka usiadła akurat w ostatnim rzędzie.

Właściwie siódemka, bo był z nimi również Dominik Wilk. Kiedy gromadka rozśpiewała się na dobre, a opiekunowie radośnie wymachiwali rękami do taktu, ksiądz

wykorzystał wspaniały nastrój podopiecznych i zainicjował korowód taneczny, który od ławek przemaszerował do Groty Maryi i tam wykonał szereg płaśów po okręgu. Potem dzieci wróciły na miejsca. Wtedy okazało się, że ostatnia ławka jest pusta. Podobno cały korowód nie trwał dłużej niż pięć minut i brały w nim udział wszystkie dzieci. Tak przynajmniej zarzekali się uczestniczący w tym rodzice. Może faktycznie. Nikt nie potrafił niczego zweryfikować ani podważyć. W każdym razie nawet jeśli przyjmiemy spory margines błędu i uznamy, że wszystko to trwało dwukrotnie dłużej, i tak daje nam to zaledwie dziesięć minut na przejście dzieci do ukrytej jaskini i zniknięcie w niej bez śladu.

– Rozumiem, że ruszono na poszukiwania natychmiast?

– Tak twierdzili zgodnie katecheci i rodzice. Jaka jest prawda, nie dojdziemy. Zwykle w takich sytuacjach opiekunowie najpierw uzgadniają między sobą spójną wersję wydarzeń, a dopiero potem zeznają. Wiem, bo sam jestem weteranem takich wyjazdów. Gdy ktoś złamał rękę czy zwichnął nogę, nieraz musieliśmy złożyć takie zeznania, żeby dziecko otrzymało odszkodowanie. Na przykład.

Dotarliśmy do zjazdu na niewielki parking leśny, stanowiący w istocie poszerzone i ubite pobocze szosy. Do polany wiodła ścieżka między krzewami, na której znajdowały się drewniane wskazówki w kształcie wyciągniętych palców z napisem GROTA MARYI. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem i część polany pogrążyła się w chłodnym cieniu, co po jeździe w rozlanym miodzie obaj przyjęliśmy z ulgą. Usiedliśmy na ławce pod okazałym krzakiem kaliny i wchłanialiśmy przyjemną wilgoć strumyczka. Ciurkał dnem płytkiego koryta po opuszczeniu skalnego zagłębienia w świętej grocie. W jej wnętrzu, czarnym jak podniebienie wilczura, Matka Boska świeciła jasnoniebieskim neonem. Skąła tworzyła nad grotą nieregularną kopułę, przykrytą kępami trawy i warstwą burej ziemi. Dalej pod górę ciągnęło się zbocze porośnięte bukowym lasem, przez który prześwitywały skrawki dalekiego nieba. Mieliśmy szczęście, ponieważ oprócz nas nie było nikogo. Ciszę magicznego miejsca naruszał jedynie ciurkający strumyczek, choć jego przyjemny szmerek właściwie ją jeszcze potęgował. Siedziałem zauroczony i zdumiony.

– Tu? W takim pięknym miejscu? – wyszeptałem.

– Tak, tu – potwierdził Stefanowski. – Tu widziano je po raz ostatni. – Wyciągnął rękę za siebie i dotknął palcami moich pleców. – A poszły tam.

Odwróciłem się. Między gałęziami widniał łatwy do przeoczenia przesmyk. Powstają takie, kiedy kilka razy przejdzie stado saren albo dzików, i nieużywane szybko zarastają z powrotem. W kompletnym bezruchu drgnął jeden liść. Zakołysał się trącony nie-

widzialnym palcem i znieruchomiał.

– Chodźmy zatem – powiedziałem.

Stefanowski prowadził, a ja podążałem za nim z nastawionymi uszami i szeroko otwartymi oczami, gotów do wychwycenia najsłabszego sygnału. Przeszliśmy może pięćdziesiąt metrów i mój przewodnik skręcił w gęstwinę po lewej. Teraz przedzieraliśmy się z trudem przez kolczaste gałęzie tarniny i butami rozchylaliśmy pędy jeżyn, a te natychmiast odbijały z powrotem, czepiając się ubrań. Na szczęście obaj mieliśmy długie spodnie i buty, w przeciwnym razie krzaki stanowiłyby przeszkodę nie do pokonania.

– I one tędy szły? – zdziwiłem się. – Śpiewając?

– Nie wiem. Mały Wilk tak twierdził, ale ja bym się za bardzo nie przywiązywał do jego rewelacji. Śpiewała cała grupa, może małemu się pomieszało.

Minęliśmy gąszcz i stanęliśmy przed pionowym słupem skalnym, wysokim na dobre dziesięć metrów. Jego środkiem biegło pionowe pęknięcie, dołem rozchylające się łukowato w szczelinę szeroką u podstawy na jakieś osiemdziesiąt centymetrów. To też mogłaby być grotta Matki Przenajświętszej. Na jasnej wapiennej skale obok wejścia wisiał drewniany krzyż oraz kawałki wyblakłych papierów. Sześć poskręcanych fotografii, po trzy z każdej strony, moczonych przez deszcze i suszonych wiatrami. Przetwały tylko dlatego, że zostały oprawione w foliowe koszulki i przybite do kamienia metalowymi hakami. Twarze braci Kolanowskich i Monisi Szwagrzyk były dobrze widoczne, podobnie jak czwarta, od której znowu zrobiło mi się zimno.

Oparłem się rękami o ścianę.

– Czy to jest... ta... – jąkałem się, nie wiedząc, jak nazwać dziewczynkę z kredkami. Jej uśmiechnięta twarzyczka patrzyła na mnie z wyblakłego zdjęcia.

– Gabrysia Wróblak – pomógł mi Stefanowski. – Coś nie tak?

– Ona, wie pan... – nagle ugryzłem się w język. Jeśli zdradzę teraz profesorowi personalia zabójczynie Ryszarda Kolanowskiego, sprawy znowu nabiorą niewłaściwego biegu, a ewentualne śledztwo *ex post* wszystko popsuje. Już raz coś niechcący zawaliłem, należało się pilnować.

– Ona mi kogoś przypomina – dokończyłem i odsunąłem się od ściany. – Tam, jak rozumieć, wiszą zdjęcia Mikołaja Kopcia i Łukaszka Gawła.

Stefanowski przytaknął, nie przestając mi się przyglądać. Znowu mieliśmy chwilę psychicznego mocowania się, ale nie uległem. Życie to nauka nieufności. Spróbowałem zajrzeć do wąskiego otworu przy ziemi.

Ciemna nora, wysoka na niecały metr i głęboka na nie wiadomo ile, na pierwszy rzut oka mogła pomieścić najwyżej psa.

– To ma być to? Przecież to zwyczajnie niemożliwe!

Mój towarzysz wyjął z kieszeni latarkę i podał mi, najpierw usłużnie ją włączając. Poświeciłem do środka. Ciemna szczelina w skale ciągnęła się jakieś trzy metry w głąb i kończyła czarną otchłanią. Nic tam nie było. Garść spróchniałej gleby i skała.

– Można wejść? – spytałem, świecąc po ostrych, postrzępionych ścianach skalnej nory.

– Cztery lata temu owszem. Chociaż z pewnym trudem. Ja na ten przykład nie wchodziłem.

Nie słuchałem, nie potrzebowałem jego odpowiedzi. Wczołgałem się do dziury, a kiedy mój zadek zasłonił wejście, natychmiast otoczył mnie nieprzyjemny mrok. I wilgoć. Światło latarki pozwalało uniknąć sterczących tu i ówdzie ułamków skalnych, ale poza tym widziałem niewiele. Szedłem na kolanach w ciemność. Za sobą zostawiłem światło dnia i skonsternowanego Stefanowskiego, który z powodu tuszy nie mógł mi towarzyszyć. Parłem przed siebie, a kiedy zrobiło się całkiem ciemno, poczułem, że korytarz nagle skręca, a potem się kończy i kłęczę u stóp wielkiej jamy. Poświeciłem do góry. Nad moją głową znajdowało się kopulaste sklepienie z mnóstwem nacieków, gdzieś skapywała woda. Wstałem. Grota w najwyższym punkcie miała jakieś trzy metry wysokości, niewiele więcej na długość i szerokość. Podłoże pokrywała błotnista maź, ale przy ścianach grunt nieco się podnosił i dało się nawet przejść suchą nogą. Powietrze pachniało stęchlizną i wodą. Wszystko tu było mokre i lepkie od rozpuszczonych soli mineralnych, ściekających i zamierających w pół drogi. Dotknąłem ręką jednego z takich nawisów i zdrapałem odrobinę miękkiej i szorstkiej masy solnej. Po roztarciu w palcach spróbowałem językiem. Słona. Tak to się mogło zacząć: woda z solą. Poczułem się jak odkrywca, który odnalazł początek. Wróciłem. Szedłem przed siebie i wróciłem do punktu wyjścia.

Polizałem mokrą ścianę. Była słona i ciepła. Macając szorstką powierzchnię, ostrożnie obszedłem całą grootę. Gdy znalazłem się znowu u wylotu korytarza, usiadłem pod ścianą i nie bacząc na ściekającą mi na plecy wilgoć, poświeciłem wkoło. Wszędzie to samo. Woda i sól.

– Piotruś...? – szepnąłem. Odpowiedziało mi pacnięcie kropli w skałę. – Pawełek...?

Przystawiłem ucho do ściany. Coś jakby szmer. Jedno szurnięcie i cisza. Czekałem z uchem przy mokrej skale, aż naciekło mi tam wody.

Odsunąłem się.

– Monisia...? Jestem.

Znowu szurnięcie, tym razem głośniejsze. Poświeciłem lampką po sklepieniu. Nagle w jednym z załomów u góry coś mignęło, zatrzepotało i snop światła pocięły gwałtowne zygzaki. Przywarłem do skały.

Powietrze zaświstało, poczułem na włosach krótki podmuch, potem jeszcze jeden. Snop światła latarki uchwycił go tuż przy wylocie korytarza. Zatrzepotał i znikł. Po sekundzie z zewnątrz dobiegł mnie krzyk Stefanowskiego.

– Cholerny nietoperz! Żyjesz pan?

Nie odpowiedziałem. Nie wydawało mi się to konieczne.

Obszedłem jeszcze raz grootę, krok po kroku, wreszcie znalazłem. Rysa szerniała i zablizniła się, ale jej pionowa kreska nadal odcinała się na tle skały. Tu zniknęli. Przyświliłem usta do ściany.

– Hej.

Nikt nie odpowiedział.

– Hej – powtórzyłem. – Jestem tutaj. Co dalej?

Wyszeptałem do szczeliny imiona wszystkich dzieci, ale skała milczała. Przesunąłem się trochę w prawo i wypowiedziałem je jeszcze raz, głośniejsze. I nic.

– Co dalej? – krzyknąłem. – Henryku, co dalej?

Wtedy ziemia zadrżała. Ze sklepienia posypały się drobinki soli i kamyczki, jednocześnie z błotnistej podłogi dobiegło mnie głośnie chlupnięcie, jakby ktoś z trudem wyszarpnął but z bagna. Skała wokół mnie wydała dźwięk przypominający sapnięcie i ściany nagle zaczęły się kurczyć. Poczułem się jak pokarm w żołądku i pobiegłem na czworaka do wyjścia. Wpełzłem w szczelinę i zacząłem w panice wyczołgiwać się na zewnątrz do jasnego otworu, częściowo przysłoniętego twarzą Stefanowskiego. Za mną chlupotało i dudniło, lada moment grota miała się zapaść. Uciekałem jak szalony, kalecząc się o wystające kawałki skały. Jeden z występów do złudzenia przypominał dziecięcą rączkę.

Lampkę gdzieś zgubiłem. Kiedy wydostałem się wreszcie na otwartą przestrzeń, ktoś porwał mnie za ramiona i odciągnął od skały.

Próbowałem się bronić, ale wtedy za moimi plecami rozległ się grzmot i pobiegłem na oślep przed siebie, lewą ręką osłaniając twarz przed gałęziami. Za prawą ciągnął mnie Stefanowski.

– Jest pan cały? – spytał, gdy znaleźliśmy się z powrotem na ścieżce. – Nic panu nie jest?

Rozejrzałem się ze zdumieniem. Było kompletnie ciemno.

Otaczały nas czarne kontury zarośli, w górze migotały gwiazdy.

Obejrzałem się za siebie. Dudnienie ustało, ale od strony skały dochodził niski, przerywany syk. Jakby dyszał wściekły buhaj. Po chwili wszystko ucichło. Odeszliśmy jeszcze kilka metrów i Stefanowski wyjął z kieszeni drugą latarkę.

– Co się tam stało? – spytałem. Profesor wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mówiłem panu, że nikt naprawdę tego nie wie.

Geolodzy wchodzili do tej dziury i badali ją na wszystkie strony, po czym stwierdzili, że jedna rysa wewnątrz groty wygląda na świeżą i skała mogła się przesunąć zaraz po wejściu dzieci, zasypując dostęp.

– Widziałem ją.

– No właśnie. Ta dziura była przedtem znacznie większa i jeden z grotołazów zszedł prawie dziesięć metrów w głąb góry. Dopiero tam zawrócił. Twierdził, że dzieci musiały zejść albo spaść jeszcze niżej.

A potem góra zadrżała i otwór się zamknął, co uznano za dowód czarno na białym. Nikt już później nie próbował tam wchodzić. Miał pan szczęście, że się panu udało. Ta góra żyje – zakończył całkiem poważnie.

– No i co? Zbadali to jakoś? Istnieją skanery do badania pustych miejsc w ziemi. Mogli namierzyć miejsce i kopać...

Wyraz twarzy Stefanowskiego, kiedy słuchał moich wywodów, stanowił ciekawe połączenie zdziwienia i urazy. Takie miny robi czasem człowiek normalny, który rozmawia z wariatem. Nie wie, czy się śmiać, czy płakać.

– Panie Wojtku – powiedział powoli. – Pan znowu zaczyna się zachowywać, jakby niczego nie rozumiał. Dlaczego chce pan koniecznie znaleźć wyjaśnienie zaginięcia tej nieszczęsnej szóstki? Ich nie ma. Znikli. Weszli do dziury w ziemi i nigdy już nie wyjdą. To wydarzyło się cztery lata temu i jeśli istniały jakiegokolwiek przesłanki do poszukiwania wyjaśnień, to dawno przepadły. Moim osobistym zdaniem nigdy ich nie było. Myślałem, że pan to rozumiał.

Dotarliśmy z powrotem na polankę i usiedliśmy na ławeczkach.

Czułem na przemian zimno i gorąco. Zaczynała mnie boleć głowa, cała, od karku po czoło. Woda ze świętego źródła swoim spokojnym ciurkaniem przekonywała, że wszystko znowu jest w porządku.

Zagryzłem wargi. Nie było w porządku.

– To co mam robić?

– Myśleć inaczej. Porzucić swoje zawodowe nawyki. Własne skłonności. Spojrzeć na to z innej strony.

– Z jakiej?

– Na przykład od dołu. Spod ziemi. W końcu po to kazałem panu tam wejść.

Ból głowy narastał. Z lasu doleciało pohukiwanie sowy. Myśleć inaczej, od spodu. Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu. A nietoperz jeszcze później, ha, ha. Nic z tego dalej nie rozumiałem i właściwie nie chciało mi się już nawet pytać. Chciało mi się pić. Poczłapałem do źródła, nabrałem wody w dłoń i siorbałem. Smakowała jak normalna woda i na ból głowy nie pomogła. Może jest na co innego.

Bładoniebieska figurka majaczyła w głębi niczym błędny ogień.

Nadszedł Stefanowski z latarką i też się napił.

– Wracamy – powiedziałem cicho.

Kiedy usadowiliśmy się w nagrzanym od upału wnętrzu samochodu, przekręciłem stacyjkę i zdumiałem się jeszcze raz. Na zegarku dochodziła dziesiąta. Spędziłem w grocie ponad dwie godziny.

Ruszyliśmy w powrotną drogę.

– Gdzie jest Sara? – spytałem powtórnie, gdy już podjechaliśmy pod blok Stefanowskiego. – Teraz chyba mi pan już może powiedzieć.

W przeciwnym razie – uśmiechnąłem się chytrze – znowu zacznę szukać wyjaśnień.

Stefanowski nie wyglądał na szczególnie sprowokowanego.

– Tak, teraz chyba już mogę panu powiedzieć. Tam – pokazał palcem na piętro – u Szwagrykowej. Proponuję jednak zostawić to na jutro. Dobranoc panu.

Zniknął w bramie i po chwili w jego kuchni zabłysło światło. Przez chwilę kusilo mnie, by pójść do mieszkania na piętrze, ale ostatecznie odpuściłem. Było późno. Po-
stanowiłem wracać do Sępni okrężną drogą przez stawy, co miało w sobie pewną dozę heroizmu ze względu na trzymający mnie w kleszczach ból głowy. Pogodne nocne niebo z wysypką gwiazd chroniło mnie przed atakiem pustki, tylko na południowych obrzeżach burza szczyrzyła białe kły. Gdzieś na prawo od niej leżało jądro TAMTEJ ciemności.

Zatrzymałem się na poboczu i wyłączyłem silnik. Ciemność natychmiast oblepiła samochód, ale mózg odetchnął. Bolało mniej.

Okład z czerni nocy to najlepszy środek na rozpalone czoło. Czekałem.

Błysnęło i zaboląło. Później ulga. Patrzyłem na horyzont, wyczekując następnego błysku, jak masochista. Z długotrwałego bólu głowy rodzi się przyjemność autodestrukcji. Coś jak swędzenie, kiedy nie możesz się podrapać. Znowu błysnęło i elektryczny impuls przebił czaszkę na wylot. Minęło. Dobrze.

W szybę tuż obok mojej głowy zapukała dziewczynka. Pacnęła trzy razy łapką i grzecznie czekała, aż otworzę. Nacisnąłem przycisk, a kiedy szyba zjechała do końca, Gabrysia Wróblak uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– To za mało, słyszysz? Za mało!

Wyciągnęła drugą rączkę i wbiła mi ołówek w oko.

Kiedy się ocknałem, świtało. Od stawów snuły się nitki porannej mgły, pierwsze kaczki cięły ją niskim lotem, krzychały coś przeraźliwie.

Ból głowy minął, burza przeszła bokiem. W pierwszym odruchu pomacałem oko – było całe, tylko kiedy próbowałem spojrzeć na bok lub do góry, raził je ostry ból. Zamrugałem powiekami. „Patrz prosto przed siebie”, powiedziałem na głos, krzywiąc się na marny dowcip. Droga do domu snuła się w pustce przedświtowej godziny, gdy oprócz ptaków nikt nie zaczyna jeszcze dnia. Płynąłem w dziwnej zawieszynie między nocą a dniem i między jawą a snem, pod górę i w dół, w prawo i w lewo, poddając się monotonnemu mruczeniu silnika. Cichutko wszedłem do domu, zdjąłem buty i na palcach podreptałem do swojej sypialni. Spałem jak dziecko do południa.

Obudziło mnie słońce rażące w oczy. I głos tej małej: „Za mało!”.

Czego za mało? Co mam, do jasnej cholery, jeszcze zrobić z tą piękną katastrofą? Czy ja jestem jakiś kapitan Smith, który ma uratować „Titanica”? Czego wy, uparte dzieciaki, ode mnie właściwie chcecie?

– Na „dzień dobry” za późno, to może „dobry wieczór”? – powitała mnie teściowa, gdy wtoczyłem się do kuchni w majtkach i podkoszulku.

– Dobrze się czujesz?

– Kwaśnego mleka bym się napił – odparłem, siadając ciężko na taborecie. Uchwyciłem jej zaniepokojone spojrzenie i szybko dodałem: – Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu ochota mnie naszła na kwaśne mleko.

– Idź do siebie i wdziej jakieś spodnie – zarządziła i wyszła do komórki za kuchnią.

Spojrzałem na siebie z niechęcią i poszedłem po spodnie. Gdy wróciłem, gliniany garnek ze zsiadłym mlekiem stał na stole, obok niego talerz z pieczywem.

– Najlepsze jedzenie – powiedziała, podsuwając mi kromki świeżego chleba pod nos. – Chleb i mleko. Leczy duszę.

– Wie mama, musiałbym z dziesięć litrów wypić, żeby pomogło. – Miał być uśmiech, ale wyszło coś znacznie gorszego, ponieważ Czechowa skrzywiła się. Szybko przetarłem więc twarz dłońmi. Zmiana maski.

– Aż tak źle? – spytała.

– Z czym?

– No, z twoją duszą.

Nie odpowiedziałem. Pytanie było bardzo dobre, a na bardzo dobre pytania nie ma dobrych odpowiedzi. Cokolwiek bym nie powiedział, zabrzmiałoby niewiarygodnie. „Nie, mam, dobrze”? „Tak, mam, źle”?

„Bardzo źle”? A może jeszcze: „Dam sobie radę”? Naprawdę lepsze w takich chwilach jest milczenie. Ona dyskretnie nie naciskała, tylko patrzyła na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem mądrej wiejskiej kobiety, która zawsze wie więcej, niż mówi. Zsiadłe mleko okazało się tak gęste, że nie dało się go nalać, musiałem nakładać do kubka łyżką.

Smakowało wyśmienicie, dokładnie tak, jak powinno smakować.

Siorbnąłem głośno i zagryzłem żytnim chlebem. Rozkoszne. Do dzisiaj pamiętam ten smak, bo już nigdy później nie jadłem takiego śniadania.

Faktycznie pomogło. Po nasyceniu głodu i pragnienia siedziałem za stołem i z rozmarzeniem patrzyłem na zalane słońcem podwórze, drzewa za stodołą i pola, myśląc tylko o tym, by wejść w ten letni dzień i przemierzyć go wzdłuż i wszerz, brodząc po pas w zbożu i wybująłach, dojrzałych trawach. Zapamiętajcie: zsiadłe mleko leczy duszę.

– U Gruboszów tragedia – powiedziała teściowa, przerywając mój błogostan. – Jutro pogrzeb. Ojciec sprzął Klaudię, aż do lekarza z nią pojechali. Podobno jednak to ona włączyła maszynę. – Poczekaj, co powiem, a kiedy nie reagowałem, ciągnęła: – Krzyczeli do mnie, że widziałeś i nie reagowałeś. Prawda to?

– Uhm. Nie. To znaczy widziałem i reagowałem. Tylko za późno.

– Gruboszowa teraz biega po wsi i woła, że żydowskie przekleństwo na nich padło i że to się nigdy nie skończy. W sklepie ludzie słyszeli, jak się odgrażała, że do pani dziedziczki na skargę pójdzie.

Podniosłem głowę.

– Do hrabiny Kublickiej? To ona tu jest?

– Wczoraj przyjechała, jak się dowiedziała o tym wypadku. Pewnie znowu zacznie wypytywać o jakie znalezisko. Skaranie boskie z tym złotem! – zakończyła z westchnieniem i czekała, co odpowiem.

Ponieważ nadal gapiłem się na urokliwe lato za oknem i marzyłem o sentymentalnym locie południcy nad łanami zbóż, teściowa wygarnęła do mnie z najcięższej swojej armaty:

– Przyszła tu rano. Pytała o ciebie.

Podskoczyłem na krześle.

– Kto? Kublicka?

Teściowa przytaknęła i dołożyła mi zsiadłego mleka do kubka.

– Ona sama – odparła. – Czeka na ciebie we dworze, w swoim apartamencie. Wiedziałaś, że ona tam ma apartament?

Nie wiedziałem, ponieważ w ogóle do niedawna nie byłem nawet pewien istnienia hrabiny Kublickiej i brałem ją za jedną z miejscowych legend. Jak się miałem wkrótce przekonać, owszem, była legendą, ale jak najbardziej realną. Może nawet zbyt realną. W każdym razie mój lot południcy przepadł z kretesem. Siorbnąłem mleka i wybiegłem z domu, prosto do dworu.

Pani hrabina siedziała na zabytkowym krześle obitym materia w czerwone kwiaty, o wymyślnie giętych poręczach i półokrągłym oparciu, na którym wspierała sztywne jak u manekina plecy. Mogła mieć siedemdziesiąt pięć albo osiemdziesiąt dziewięć lat, u pewnego typu dobrze zakonserwowanych ludzi nie da się jednoznacznie ocenić wieku.

Miała na sobie wąską beżową spódnicę do kolan i białą bluzkę, a góra od kostiumu wisała na drugim krześle o równie wymyślnej konstrukcji.

Farbowane na blond włosy, zakręcone w regularne kółka, nienagannie ułożyła pod nikłą, niewidoczną siateczką. Na długim nosie spoczywały okulary w rogowej oprawie, a między palcami lewej dłoni tkwił cienki papieros z filtrem, z końcówką czerwoną od szminki. W pokoju znajdowała się jeszcze sofa w tym samym stylu co oba krzesła, stół z koronkową serwetą, liczący dobrze ponad sto lat sekretarzyk z otwieranym blatem oraz całkiem nowe szerokie łóżko. Widocznie to dawne, z baldachimem i rzeźbionymi zagłówkami, poszło sowieckim żołnierzom na opał, pomyślałem, lustrując apartament. Znajdował się na parterze szkolnego budynku, na prawo od portierni, zamkniętej teraz na czas wakacji.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała, wyciągając do mnie na powitanie długą kościstą rękę, która z powodzeniem mogłaby grać w horrorach. – Nie proponuję herbaty, ponieważ na dworze panuje upał, a od gotowania robi się tu jeszcze duszniej. Mam wodę.

– Dziękuję, wystarczy – odparłem, czując, jak zsiadłe mleko przelewa mi się w trzewiach. – Czym mogę pani służyć?

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchała kłęb dymu prosto przed siebie. Widocznie w jej przekonaniu od palenia w pokoju nie robiło się duszniej. Okna były dokładnie za-

mknięte.

– Chce pan od razu przejść do rzeczy. Dobrze, lubię konkretnych ludzi. Co pan wie?

– O czym?

Jej uśmiech kojarzył się z nagłym pociągnięciem za sekretny sznurek, przywiązany do szczęki drewnianej kukły. W dół – w górę.

Cak-cak.

– Nie traćmy czasu na udawanie głupszych, niż jesteśmy. Co pan wie o skarbie?

Powiększone przez szkła okularów oczy wydawały się duże, okrągłe i zimne. Czekała nieruchomo i nieustępliwie na odpowiedź i już zaczynałem żałować, że tu przyszedłem. Z tą kobietą nie będzie łatwo, a raz zaczętej znajomości szybko się nie pozbędę. Kombinowałem, jak równie niełatwą uczynić jej znajomość ze mną. Odpowiedź. Od pewnego czasu wszyscy wpatrywali się we mnie z napięciem, oczekując odpowiedzi na kwestie, o których nie miałem pojęcia. Pomijając fakt, że gdybym miał pojęcie, też pewnie bym nie odpowiadał.

– Nie ma żadnego skarbu. Powstał z ludzkiego gadania i próżnej żądzy sensacji, więc pewnie niedługo zniknie. Takie twory zwykle nie żyją długo.

Cak-cak. Policzki w górę – policzki w dół. Zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym w moją stronę. Zakaszlałem znacząco i obdarzyłem ją ciepłym uśmiechem. Skrzywiła się tak, że niemal słyszałem skrzypienie zawiasów w manekinie.

– Dlaczego wy, dziennikarze, zawsze utrudniacie zdobycie informacji, zamiast je ułatwiać? Może takie twory nie żyją długo, ale ja żyję wystarczająco długo, by umieć odróżnić plotkę od faktu, a także kłamstwo od próby sprytnego przemilczenia prawdy. Niech pan mi tu natychmiast mówi, co wie o skarbie. O moim skarbie!

– „Moim”? – zdziwiłem się. – Czy pani zgubiła tu gdzieś skarb?

Przewierciła mnie wzrokiem wygłodniałego bazyliuszka, a następnie wyciągnęła palce z papierosem, celując mi w twarz.

– Niech pan ze mną nie pogrywa, Jaromin. Na tę staruszkę może panu sił i cwaniactwa nie starczyć. Dobrze pan wie, że pod ziemią w miejscu, gdzie teraz stoi nowy kombajn na placu, znajdowały się nasze rodowe kosztowności i choćbym miała wywrócić cały powiat do góry nogami, znajdę je. Rozumie pan? Nawiasem mówiąc, wybiera się pan na pogrzeb?

Spodobała mi się. Twarda, nieustępliwa, bezczelna, grała swoją rolę wyśmienicie, choć stan manekina pozostawiał już to i owo do życzenia. Wyobraziłem ją sobie jako uwodzicielską blondynkę w ogrodzie sępniańskiego dworku w połowie lat trzydzie-

stych: sukienka z falbankami, spod której wystają zgrabne kolana, na głowie kapelusik z podwiniętym rondem i bukietkiem fiołków, rączka w koronkowej rękawiczce kręci zalotnie parasolką... Kuzyni i zięciowie rodziny Kublickich podkrecają węża i pomla-skują z oskomą... Dziewczyna jest świadoma swojej atrakcyjności i używa jej jako ostatecznego argumentu we wszelkich sporach. Zawsze wygrywa.

– Nie – odparłem. – Ale ciekawi mnie co innego.

– Co mianowicie?

– Zastanawiam się, czy pani ma wnuki.

Po suchej twarzy hrabiny z prędkością meteoru przebiegł cień, nie zdołał jednak wy-tracić jej z równowagi. Zgodnie z regułami zimnej gry natychmiast pokryła go skrzekli-wym śmiechem.

– Ha, żydowska klątwa! Nic z tych rzeczy, drogi panie, mnie te bzdury się nie imają. Powtarzam panu: to znalezisko należy do mnie, bo jestem jedyną spadkobierczynią ro-dziny Kublickich. – Skierowała szpony z papierosem w stronę sekretarzyka. – A tam jest dowód.

– Czyli? – zaciekawilem się.

– Wykaz zaginionych przedmiotów oraz mapa.

– O, jest i mapa! Mogę zobaczyć?

– Nie. Jak zakończę całą sprawę, dam panu w prezencie, na pamiątkę. Oczywiście pod warunkiem, że teraz mi pan pomoże.

– Nie bardzo rozumiem. Skoro ma pani mapę, dlaczego już dawno nie wydobyliście skarbu?

Prychnęła i wydmuchała kłęb dymu jak porcję gazów bojowych.

– Bo ci idioci źle ją odczytali! A ten kretyn Kolanowski, zamiast się tym zająć, za-czął się układać z konkurencją i produkować akty notarialne. Wszystko spartaczyli, dla-tego tym razem postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce.

– I słusznie – przytaknałem. – Skoro poprzednio zajmowali się nią idioci i kretyni. A tak à propos, czy to nie ci idioci mnie wtedy...

– To miała być tylko nauczka, żeby pan nie pchał palców między drzwi. Ale jak to idioci, przesadzili.

Pokiwałem głową, zastanawiając się nad ścieżką myśli tej kobiety.

Najpierw kazała mnie obić i omal nie doprowadziła do śmierci, a teraz prosi o po-moc w znalezieniu zguby, która należy się jej tak samo jak mnie albo radnemu Łopatce.

Poprawka: nie prosi, tylko żąda. Takie kobiety nie zniżają się do próśb. Wydobyłem z zanadru jeden ze swoich najmilszych uśmiechów.

– Dziękuję za szczerość. Naprawdę potrafi pani być przekonująca.

Rozumiem, że skarb został zakopany pod koniec wojny, kiedy uciekaliście przed Rosjanami. Bo musieliście przed nimi uciekać, nieprawdaż? Nawiasem mówiąc, jak się miewa pani brat?

Cak-cak.

– Mój brat? Ten cymbał nie żyje od dwudziestu dwóch lat.

Najpierw wszystko zrobił nie tak, a potem nawiał do Brazylii i zwałił kłopoty na mnie. Ale to nie pańska sprawa.

Idioci, kretyn, cymbał... Ta kobieta miała naprawdę niełatwo w życiu, otoczona ludźmi głępszymi i mniej sprawnymi od niej. Wciąż trzeba było za nich myśleć i działać. Ponieważ „wszystko robili nie tak”.

Tylko ona wiedziała, jak jest „tak”. A teraz postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zapowiada się niezła zabawa.

Pokazałem ręką na sekretarzyk.

– Jak mam pomóc, skoro nie chce mi pani podać najważniejszych informacji? Czego właściwie oczekuje się tu ode mnie?

Zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce, rozgniatając go jak robaka, po czym z gracją sięgnęła po paczkę i wyjęła następnego.

Przyjrzała mu się z bliska, jakby odczytywała z bibułki ciekawy napis, i odłożyła na stół. W palcach lewej dłoni obracała srebrną zapalniczkę.

Przełożyła nogę i teraz kiwała we mnie czubkiem lewego buta. Cholera, miała nadal zgrabne łydki!

– Pięć lat temu moje rodowe kosztowności zostały wykopane przypadkowo przez tego nieszczęsnego traktorzystę, jak on się nazywał?

– Borowiec.

– No właśnie, Borowiec. Aha, gwoli ścisłości, z jego śmiercią nie miałam nic wspólnego.

– Wiem. Miał kto inny.

– Cieszę się, że się rozumiemy. Ten Borowiec ukrył znalezisko, ale natychmiast mu je odebrano i oboje chyba wiemy, kto to zrobił. Rzecz w tym, że to nie była ich część, tylko moja. Ślad po kosztownościach zaginął i zapadła martwa cisza na pięć lat, do

czasu, gdy ten ktoś znowu go ruszył i chce prawdopodobnie przenieść w inne miejsce, być może wywieźć za granicę i tam spieniężyć. Tu, na południu Polski, raczej tego nie robi.

– Skąd ta pewność?

– Obstawiałam wszystkie desy i lombardy w okolicy. Stać mnie na to, w końcu chodzi o majątek rodowy.

– Nie jestem pewien – mruknąłem.

– Proszę?

– Nic. Chciałem powiedzieć, że nie jestem pewien, czy uda im się to wywieźć.

– Teraz ja spytam: skąd ta pewność?

Jej świdrujące zza grubych szkieł oczka nabrały nowego blasku.

Musiał to być jeden z mocnych atutów tamtej dziewczyny: błyszczące, pełne ciekawości oczy.

– To moja sprawa. Jak pani widzi, każdy ma tu jakąś „swoją sprawę”. Choć pani sprawa może akurat być sprawą innych, tylko widzianą z odmiennej perspektywy.

– Jakiej?

– Na przykład od dołu. Spod ziemi.

Zmrużyła oczy i sięgnęła po papierosa. Włożyła go do ust, niczym słonego paluszka w ataku głodu, po czym zamaszystym ruchem zapalniczki zapaliła. Po pokoju rozszedł się duszny aromat perfumowanego tytoniu.

– Dokładnie o to mi chodzi, drogi panie. Ktoś tę ziemię znowu ruszył, a ja chcę wiedzieć kto i gdzie. Takiej właśnie informacji od pana oczekuję: kto i gdzie.

– A jeśli odmówię?

– Nie ma takiej opcji – odparła z przekonaniem zwycięzcy. – Oto moja wizytówka z numerem telefonu. Zabawię tu jakiś czas. Oczywiście nie muszę panu mówić, że nasza rozmowa się nie odbyła i żadne z nas o niczym nie wie.

Podawała mi kartonik z nazwiskiem: *Maria hr. Kublicka*, oraz numerem telefonu, bez adresu. Złote literki zakręcały na wszystkie strony. Schowałem wizytówkę i wstałem, ponieważ pani hrabina również wstała i jak mężczyzna złożyła oba kościste szpony na podbrzuszu. Dopiero wtedy zorientowałem się, że jest wyższa ode mnie.

Ech, te czyste rasy!

– Wszystkim tym, którzy prosili mnie tutaj o pomoc, pięć lat temu i teraz, zadaję to samo pytanie i muszę je zadać również pani: dlaczego ja?

Staliśmy naprzeciwko siebie i dla symetrii również złożyłem ręce na podbrzuszu. Wyglądaliśmy jak nauczycielka i uczeń podczas lekcji indywidualnego karcenia. W końcu byliśmy w budynku szkoły.

– Pan zna odpowiedź – powiedziała powoli, dobierając słowa – ale i tak panu odpowiem. Ponieważ jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności interesująca mnie sprawa pojawia się i znika równocześnie z panem. To znaczy, że jeśli tylko będę się trzymać pana, dojdę po nitce do kłębka. Po złotej nitce do złotego kłębka.

– A moje korzyści?

– Ten kłębek jest naprawdę wielki.

– Myśli pani, że można mnie kupić?

– A czy jest na świecie ktoś, kogo nie można kupić?

– Tak.

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Któż to taki?

Chyba naprawdę była zdziwiona, ale nie tylko. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy dostrzegłem w jej twarzy oznaki niepokoju wynikającego stąd, że znała odpowiedź. Wypowiedziałem ją więc równie powoli i dobitnie:

– Umarli.

– Pan ciągle wierzy w zabobony – prychnęła, ale wyszło nieszczerze. Maską pokrywająca szczelnie jej twarz odsłoniła fałdy i niedopasowania.

– Proszę nie udawać. Pani również w nie wierzy. Dlatego wybrała pani mnie. Ja jeden umiem z nimi rozmawiać. Nie, inaczej. Oni chcą rozmawiać tylko ze mną. Wie pani dlaczego? – Zrobiłem swoją ulubioną pauzę sceniczną. – Oczywiście, że tak.

– Niech mnie pan oświeci.

Syciłem się tą minutą jak ożywczą szklanką wody w upał, której nie tknąłem przez całe nasze spotkanie. Stała na stole, lekko przechylona na nierównej serwecie, haftowanej w brabancką koronkę. Pewnie teraz już naciągnęła zapachem aromatyzowanych papierosów.

– Czy znała pani mojego dziadka Abrahama Zylbersztajna?

Zacisnęła zawiasy szczękowe.

– Proszę stąd natychmiast wyjść! – krzyknęła piskliwie. – Ale już!

Jeszcze tego samego dnia musiałem zameldować się w komendzie w Oszpicynie. Mariusz Węgrzyn już czekał i po krótkim powitaniu natychmiast zaprowadził mnie do gabinetu komendanta Morgały. Tu dowiedziałem się, że sprawa tragicznego wypadku wskutek niewłaściwego obchodzenia się z maszyną rolniczą została zamknięta i nie ma podstaw do dalszego ograniczania moich swobód obywatelskich. W kabinie nie znaleziono obciążających mnie dowodów, jak odciski palców czy inne ślady bytności, a tylko ktoś ze środka mógł uruchomić nieszczęsną maszynę. Trafiono za to na odciski Klaudusi i sprawę tym bardziej należało jak najszybciej zamknąć, w przeciwnym razie trzeba by oskarżyć Gruboszów o brak należytej opieki nad dzieckiem, do czego jednak nikt się nie kwapił, bo w końcu byli rodziną prezesa spółdzielni. Uznano, że winę za brak nadzoru nad dziewczynką ponosiła sama ofiara, czyli dziadek Józef Grubosz. Koniec kropka.

– Może więc pan robić, co pan chce – stwierdził komendant i dodał z uśmiechem: – Oczywiście w granicach prawa.

– Właściwie poza jego granicami też – dopowiedział aspirant Węgrzyn. Roześmialiśmy się i napięcie, powstałe wskutek rzucanych na mnie oskarżeń, trochę się rozładowało.

– Może pan wracać do Słupska, panie Wojtku – powiedział poważnie Morgała, gdy już się nacieszyliśmy wizją moich pozaprawnych działań. – Co bym osobiście zalecał, dla pańskiego własnego dobra. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie naciskam ani nie grożę, a wręcz przeciwnie, daję panu dobrą radę. Tu się jakoś panu nie wiedzie...

Zawiesił głos i spojrzał na mnie smutno. Odczytałem to jako sekretny przekaz, że on sam prywatnie sądzi co innego. A może tylko ja chciałem taki przekaz usłyszeć? Bo nie miałem zamiaru wyjeżdżać.

Teraz już nie.

– No ale pan i tak nie wyjedzie – ciągnął jak doświadczony ojciec rodziny, który wie, że z wychowaniem dzieci jest zawsze większy kłopot, niż się na początku wydaje. – Spełniam więc koleżeńską prośbę i przekazuję zaproszenie do gabinetu pana przewodniczącego. Najlepiej teraz, od razu.

– Czyli radny Łopatko chce mnie widzieć?

Komendant Morgała powiódł wzrokiem po topolach za oknem.

Zaczynały wypuszczać z siebie białe kotki, fruujące w powietrzu jak wakacyjny śnieg. Wszędzie było tego pełno i cieszyłem się, że nie jestem alergikiem.

– Tak.

– Coś pan komendant nieszczególnie spełnianiem tej prośby zachwycony – zaryzykowałem, podnosząc się z krzesła.

– Bo czuję, że to kolejna porcja pańskich kłopotów – mruknął. – A z wiekiem moje przecucia robią się, cholerka, coraz trafniejsze. Jak pan myśli, czy to już starość?

– Może po prostu mądrość – odparłem.

– Taak. – Morgała smętnie pokiwał głową. – Do diabła z taką mądrością. Wolałbym być głupi jak but i niczego nie przeczuwać. Co, Mariusz? – zwrócił się do swojego podwładnego.

Ten wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Komendant skrzywił się.

– Widzi pan? Nawet mi przytakiwać nie chcą. Człowiek sam ze swoją prawdą musi się borykać. No nic, do widzenia, panie Wojtku.

I niech pan tu czasem wpadnie, tak zwyczajnie, na pogaduchy.

Wyciągnął rękę przez biurko i pożegnał mnie mocnym uściskiem.

Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu, Mariusz pociągnął mnie za rękaw do siebie, a potem zamknął starannie drzwi i powiedział półgłosem:

– Nie ufaj mu. On też z nimi współpracuje. Najlepszy dowód, że Łopatkę nazywa swoim kolegą.

– A nie powinien? Znają się pewnie od lat.

Węgrzyn zerknął w bok, jakby w ścianie znajdowały się okna weneckie z mikrofonami.

– Moim zdaniem nie powinien. Tu się znowu zaczęło coś dziać, Wojtek, i nikt nie umie nazwać rzeczy po imieniu. Wszyscy wkoło tylko przebąkują, mruczą pod nosem, robią aluzje i wzruszają ramionami.

– A ty umiesz nazwać rzeczy po imieniu? – spytałem, odruchowo ścisząc głos.

Pochylił się ku mnie tak bardzo, że poczułem z jego ust odór niestrawionego obiadu. Odsunąłem się. Nie cierpię wdychać wyziewów ludzkiego ciała.

– Słuchaj, tu się szykuje jakaś grubsza afera – mamrotał niemal szeptem i ledwie go rozumiałem. – Na chybcika zorganizowano przetarg na korektę obwodnicy, oczywiście

znowu wygrała firma Prezbud i jutro zaczynają prace ziemne. To jakaś paranoja, żeby rozgrzebywać dopiero co zrobioną drogę i „poprawiać profil łuku”, jak to określili w zadaniu.

Presja z góry była taka, że nikt nie dyskutował. Strasznie się spieszą.

Rozwałą obwodnicę na kilka tygodni, albo i miesięcy, akurat w lecie, kiedy cały Śląsk pędzi na dache i z powrotem. Wyobrażasz sobie, co się będzie działo? I nie wiem po co.

Zamilkł i spojrzał na mnie, szukając zrozumienia i wsparcia. Nie kwapiłem się.

– Dlaczego mi to mówisz?

Znowu obejrzał się w obie strony, jak włamywacz tuż przed wsadzeniem wytrychu do zamka.

– Pomyślałem, że cię to zainteresuje...

– Dlaczego? Co ja mam do remontu drogi?

Stropił się nagle i trochę odsunął ode mnie, jakby dopiero co nawiązany dyskretny kontakt prysł. Widziałem, jak męczy się ze swoją wiedzą, faktyczną czy też domniemaną, i chciałby otrzymać potwierdzenie, przytaknięcie, coś, co rozwiałoby wątpliwości, żeby samemu nie musieć nazywać rzeczy po imieniu. Podobno mowa jest wyróżnikiem człowieczeństwa. A równocześnie tak trudno przechodzą nam przez gardło słowa, zwłaszcza te najważniejsze, prawdziwe.

Wolimy milczeć albo kłamać. Jak to jest, kiedy widzisz właściwe słowo i nie chcesz go wypowiedzieć? Co cię powstrzymuje? Przewidywane konsekwencje? Ale przecież konsekwencje kłamstwa są znacznie poważniejsze, bo kiedy później chcesz powiedzieć prawdę, nikt ci już nie wierzy. Lepiej milczeć. To milczenie jest wyróżnikiem człowieczeństwa.

– Nie chodzi o remont drogi, tylko wiesz... – Aspirant Węgrzyn wił się w niewygodnym gorsecie nieudomówień. – Oni tam czegoś szukają.

– Aha, szukają. Może tam jaki skarb jest zakopany, co? Ale ja bym się, Mariuszu, nie martwił. Niech szukają. Jak znajdą, będziemy bogaci.

Wszyscy, całe miasto. Bo to przecież nasz wspólny urobek, nasza ciężko zarobiona krwawica i nasz zysk z chrześcijańskiego miłosierdzia wobec starszych braci w wierze. Nieprawdaż, Mariuszu? Niech szukają.

Zmierzył mnie wzrokiem, o którym mało powiedzieć, że był niechętny. Kryło się w nim coś z nienawiści. I jakby też z zazdrości, ale może to już moje ego dopisało sobie rozkoszny kontekst.

– Uważaj, Wojtek. Zaczyna ci odpierdalać. Myślałem, że jesteś po naszej stronie, ale teraz to ja już nie wiem, gdzie ty, kurwa, jesteś.

– Też nie wiem – odparłem filozoficznie. – W każdym razie nie tam, gdzie „wy”, ktokolwiek się pod tym enigmatycznym zaimkiem kryje. A za wieści dziękuję, przydadzą się tak czy owak. Ponieważ twierdziłeś, że komendantowi nie powinienem ufać, posłucham i zaufam tobie. Na chwilę. Obwodnica została wyznaczona przez środek Wójtowca, gdyż liczący, że po osuszeniu części stawu i rozkopaniu jego dna coś się znajdzie. Prawdopodobnie miał to być skarb przypadkowo odkryty potem w Sępni. Podobno w ogóle go nie ma, chociaż wszyscy twierdzą, że Borowiec zmarł właśnie z jego powodu. Pytania ciekawe dla ciebie brzmią następująco: co leży na dnie Wójtowca, gdzie jest złoto z Sępni i ile jeszcze takich „skarbów” znajduje się w okolicy? Co, gdzie i ile, kolejność dowolna. A teraz to, co mnie interesuje czy też, jak raczyłeś się wyrazić, co mi odpierdala: dlaczego zaginęły dzieci? Być może odpowiedź również leży na dnie Wójtowca. To by wiele wyjaśniało, ale to już nie twoja broszka. Przecież nie możesz napisać w raporcie, że duchy dzieci zabijały kierowców na łuku obwodnicy, prawda? No właśnie, nie możesz. A ja, widzisz, jestem tylko podrzędnym dziennikarzyną, w dodatku zaczyna mi odpierdalać, więc spokojnie mogę. Jutro zaczynają, powiadasz? No to pewnie jeszcze dzisiaj ktoś się nadzieje na barierki. Zakład?

Ściągnięta twarz Węgrzyna świadczyła o ostrej wewnętrznej walce.

Chciał mi przytaknąć, zaprzeczyć i jednocześnie zatkać gębę, żebym tak głośno nie mówił o „tych sprawach”. W wielu milczących i kłamających ludzi jest jakiś okruszek, drobinka, resztką czegoś, co lubimy nazywać przyzwoitością, dobrą wolą lub po prostu dobrem, a co może być zwykłym brakiem pewności. Nie bardzo wiedział, jak zareagować na odjechane pieprzenie o duchach w sytuacji, gdy odrobinka tego czegoś podpowiadała mu, że to może być prawda.

Do czegoś wreszcie doszedł, dojrzał i chciał mi to powiedzieć, ale nie zdążył. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł młody policjant w mundurze.

– Cześć! O, sorki, dzień dobry. Mariusz, jedziesz z nami?

Wypadek.

Węgrzyn rzucił mi szybkie spojrzenie, na które mogłem odpowiedzieć tylko jednym: uśmiechem.

– Gdzie... na łuku?

– Naszym ulubionym. Motocyklista wbił się pod blachy tak, że go wyciągnąć nie mogą.

– Pan poczeka chwilę.

Sekretarka pokazała mi krzesło pod ścianą i uniosła słuchawkę, którą następnie przyśloniła ręką, jakby chciała ukryć wylatujące z ust brzydkie słowa. Zerkając na mnie niepewnie, wyszeptała coś do miseczki dłoni i odłożyła słuchawkę. Trzymała ją w dwóch palcach, jak ugotowaną parówkę.

– Pan radny zaraz pana przyjmie – poinformowała uprzejmie i skulona opuściła głowę, dając mi do zrozumienia, że nie chce niczego widzieć ani słyszeć. Wkrótce miałem dowiedzieć się dlaczego.

Siedziałem grzecznie na drewnianym krześle i rozglądałem się po biurze, przepatrując wielkie fotografie w ramkach, szafki z segregatorami na półkach i nieliczne statuetki, zapewne zwycięstwa Oszpicyna w turniejach miast. Kiedy mi się znudziło, zerkąłem na rynek za oknem, po którym snuli się osowiali od słońca i innych problemów mieszkańcy.

Upał nie odpuszczał i płyty chodników świeciły bielą wapiennego pieca.

Powietrze drżało. Kamienicę naprzeciwko, ze szpiczastą wieżyczką na szczycie, zalewało złoto lipcowego popołudnia, upodabniając ją do bizantyjskiego pałacu. Nie wiele zmieniła się od czasu, gdy zamieszkiwała ją rodzina bogatych Żydów z rabinem, o czym wiedziałem z pokazywanej mi przez Hirsza przedwojennej fotografii.

Złoty pałac. Przedmiot dumy zręcznego kupca i obiekt zazdrości katolickich sąsiadów. „Kupuj tylko w chrześcijańskich sklepach”, głosiły hasła w lokalnej prasie i napisy na murach. To też widziałem na zdjęciach u Henryka, sam bym na to nie wpadł. Złoto, pieniądze, kosztowności, bogactwo – prawdy ukryte za parawanem topornej narodowej ideologii i pseudoreligijnych pretekstów, mających uzasadnić najzwyczajszy bandycki rabunek. Złoto, złoto... Raz wlane do ludzkich serc parzy i przepala na wylot. W sercu tworzy się dziura, przez którą dusza wycieka w nieznanne, w szarą mgłę listopadowego poranka lub zieloną zorzę styczniowego wieczoru. Jeżeli gdzieś zostanie resztką, drobiną, wtedy ten i ów się zawaha, ale dotyczy to nielicznych.

Większość na przemian krzyczy i milczy, co w istocie znaczy to samo.

A niewypowiedziane wisi w powietrzu, drży, kołysze się na wodzie, dudni pod zie-

nią. Dudni pod ziemią...

Z gabinetu pana przewodniczącego dobiegł mnie nagły łoskot.

Spojrzałem zdziwiony na sekretarkę, ale ta zamiast unieść głowę, opuściła ją jeszcze niżej. Po krótkiej chwili ciszy nastąpiły szurania, odsuwanie krzesła, szybkie kroki, a potem znowu łoskot, jakby ktoś zrzucił na podłogę jeden z tych okazałych pucharów. W gabinecie burmistrza musiało ich być jeszcze więcej niż tutaj. No i te ważniejsze, czyli większe. Znowu łubudu. Wstałem.

– Może pan radny potrzebuje pomocy – stwierdziłem głośno i ruszyłem ku drzwiom. Sekretarka powstrzymała mnie ostrym krzykiem:

– Proszę tam nie wchodzić!

Zatrzymałem się w pół kroku, z ręką wyciągniętą ku klamce.

– Jest pani pewna? Tam się coś dzieje.

– Proszę siadać i czekać! – zapiszczała dyszkantem. – Pan przewodniczący... zaraz poprosi!

Wyrzuciła to z siebie i zamknęła oczy. Po chwili zamrugała jak wybudzona z hipnozy. Usiadłem. Hałasy w pokoju obok ucichły i zapadła cisza. Czekaliśmy w napięciu, ona wpatrzona w drzwi gabinetu, ja w nią. Reagowała z nerwowością typową dla tych, co wiedzą i boją się swojej wiedzy. Nagle drzwi się uchyliły i chrapliwy głos zakomenderował:

– Wejść.

Uśmiechnąłem się do sekretarki, chcąc dodać jej otuchy, ale nie odważyła się odpowiedzieć mi tym samym. Wzięła do ręki żelopis i zaczęła coś skwapliwie notować na bardzo już zagryzmołonej kartce.

Powodzenia.

Alfred Łopatko z sapnięciem usiadł w gigantycznym fotelu, który po rozłożeniu mógłby robić za dwuosobowe łóżko, przetarł spocone czoło chustką i napił się wody ze szklanki. Czerwona twarz zdradzała niedawny wysiłek fizyczny, trudny do zniesienia dla zasiedziałego ciała wiecznego działacza i potencjalnego zawałowca, na co wskazywały plamy na szyi i ciężkie krople na skroniach. Do kopania powinieneś mieć lepszą kondycję, Łopatko, pomyślałem złośliwie i językowy kalambur ucieszył mnie na tyle, że uśmiechnąłem się pod nosem.

– Z czego się pan cieszy, Jaromin? – spytał burkliwie i ponownie wyjął chustkę z kieszeni. Sądząc po stopniu nasączenia, jej możliwości dawno się wyczerpały. Ani „dzień dobry”, ani „witam po latach”, ani kukuryku, cały Łopatko. Ogłada pitekantropa.

– Okazuję empatię i współczucie bliźniemu w trudnych chwilach.

Też miło pana widzieć. Czym mogę służyć?

– Że co? Cholera, jak gorąco – sapnął, przejechał mokrą chustką po czole i strzepnął ją jak ścierkę. W gabinecie pracowała klimatyzacja.

– Przyjemny chłodek. Fajna rzecz, taka klima. Komendant Morgała wspominał, że chciał pan ze mną rozmawiać.

Omiótł mnie podejrzliwym spojrzeniem i wepchnął ścierkę do kieszeni marynarki.

– A, tak. Co panu powiedziała Kublicka?

– No proszę, jak wieści szybko się rozchodzą! Już pan wie, że rozmawiałem z hrabiną, choć do spotkania doszło zaledwie dwie godziny temu. Miła kobieta, ta pani dziedziczka.

– Stara wydra, nie żadna dziedziczka – warknął. – Co panu powiedziała?

– Nie zwykłem zdradzać treści poufnych rozmów. Tajemnica dziennikarskiego śledztwa.

– Tu nie ma żadnego śledztwa, a ty już nie jesteś dziennikarzem!

– Tak się składa, że jestem. Pański wywiad się nie spisał.

Nawiasem mówiąc, pytanie o szczegóły mojego spotkania z Kublicką świadczy przeciwko panu. Przecież śledztwo jest i prowadzi je pan osobiście. W każdym razie czuję się tu jak na przesłuchaniu. Pan się nie czuje przesłuchującym? – spytałem z szelmowskim uśmiechem, na który miałem wielką ochotę, ponieważ na komodzie za biurkiem widniał okrągły ślad po pucharze. Jednak spadł.

Łopatko zagryzł mięsiste wargi, sięgnął do marynarki po chustkę, obejrzał ją krytycznym wzrokiem i schował z powrotem. Wyobraziłem sobie atmosferę panującą w tej kieszeni.

– Niech pan posłucha, panie Wojtku – zaczął po chwili namysłu.

Swój program konwersacyjny przestawił na tryb polubowny, więc wygłaszał słowa z namaszczeniem, parlamentarną gestykulacją podkreślając wyższość i nieuchronność swoich racji. – Chciałem z panem porozmawiać, ponieważ doceniam to, co pan zrobił dla tego miasta cztery lata temu, z niemałym poświęceniem, co doceniam tym bardziej. Nawiasem mówiąc, to dzięki mnie Morgała pozwolił panu wtedy wyjechać bez, że się tak wyrażę, konsekwencji prawnych.

W moim przekonaniu jest pan człowiekiem nie tylko bystrym i wartościowym, ale i w jakimś sensie dobrym, to znaczy takim, który nie myśli wyłącznie o własnym intere-

sie. Poza tym lubię pana, dlatego chciałbym, abyśmy ze sobą współpracowali. Rządzenie tym miastem to nie jest bułka z masłem, o nie. Przeciwnie, czasem myślę sobie, że to najtrudniejsze miasto w Polsce, chore i udręczone niezawinioną ułomnością, dokuczającą mu od lat. Cierpienie, kompleks, poczucie winy, piętno śmierci, z czymś takim trudno żyć. Powiedziałbym – uniósł dłoń i zawiesił w powietrzu jako widomy znak trudności zagadnienia – że niełatwo budować przyczółki normalności tam, gdzie rządzi nienormalność. Taka jest prawda i wiem, że pan to rozumie.

– Rozumiem.

– To dobrze. – Opuścił rękę i chciał kontynuować, ale zamiast tego zerknął szybko w bok, potem na mnie, zaniepokojony, czy widziałem to samo. Widziałem. Kałamarz z przykrywką w kształcie menory, który ostentacyjnie zajmował centralne miejsce w gablocie, przesunął się po szklanej półeczce o dobre pięć centymetrów. W ukośnej rysie załamywały się promienie słońca. Wymieniliśmy spojrzenia, jak to ludzie rozumiejący się bez słów, po czym pan radny wstał, odważnie otworzył witrynę i przesunął kałamarz na dawne miejsce. Usiadł i kontynuował.

– To dobrze, ponieważ chciałbym pana prosić o pomoc. Jutro rusza kolejna poważna inwestycja budowlana, mam na myśli przebudowę obwodnicy od południowej strony miasta...

Słuchałem go jednym uchem, ponieważ moją uwagę przyciągał kałamarz. Być może efekt ten był wynikiem drgań powietrza, refleksu słonecznego światła załamującego się na rżniętych krawędziach szkieł albo zwykłej bezwładności wzroku, w każdym razie miałem wrażenie, że drży. Powinien również stukać w szklaną półkę, ale nie. Drżał bezgłośnie, a ja wpatrywałem się w niego z fascynacją, ponieważ brak dźwięku spowodowany był prostym faktem: kałamarz wisiał w powietrzu, kilka milimetrów nad powierzchnią.

– ...i byłoby ze wszech miar niepożądane ponowne uruchomienie bzdurnych plotek o skarbie. Już raz narobili nam kłopotu z obwodnicą, mieliśmy nawet jeden poważny wypadek podczas prac wykopaliskowych, a teraz słyszę, że znowu się zaczyna. Wiązą nas zobowiązania, umowy, realizacje projektów, nie mogę ich tak po prostu zrywać z powodu gminnych plotek. Jestem słownym człowiekiem, nie będę z gęby robił trąbki. I powtórzę to samo, co mówiłem panu pięć lat temu: trzeba patrzeć w przyszłość i odciąć się raz na zawsze od przeszłości. Dla naszego wspólnego dobra...

– Spadnie.

– Co proszę?

Pokazałem palcem na gablotę.

– Jeszcze minuta pańskiego wykładu i kałamarz spadnie. Między półką a drzwiczkami jest szpara.

Trwał przez kilka sekund z otwartymi ustami, a potem z zadziwiającą energią zerwał się z fotela i zamasyście otworzył witrynę. Porwał kałamarz w wielkie łapsko jak kocię i na wyciągniętej ręce przeniósł do szuflady po drugiej stronie pokoju. Wrzucił do środka, zatrzasnął i przekręcił kluczyk blokady. Usiadł.

– Do diabła z kałamarzem, niech mnie pan słucha! Potrzebuję informacji o ruchach przeciwnika. Muszę wiedzieć, co i skąd mi grozi.

Inaczej nigdy nie zrobimy porządku w tym mieście. Jeszcze raz pytam: co ona panu powiedziała?

Oparł zmęczone dłonie na poręczach gargantuicznego fotela i milczał. Ja też milczałem. Pozwalałem wybrzmieć do końca tym kłamliwym słowom, pełnym fałszywej troski o miasto i prawdziwej troski o własne korzyści, starej jak świat i jak złoto, z którego odlano przykrywkę kałamarza. Podobno złoto przyszło do nas z Kosmosu, jako jeden ze skutków wybuchu supernowej. Ciekawa teoria, zaprawdę godna mądrości rabinów rozważających stopień ingerencji Boga w życie ziemskie. Wszystko od Niego i dla Niego. Nasze banalne i podłe troski również. Odciąć się od przeszłości. To tak, jakby chory chciał leczyć złamanie nogi, odcinając się od wypadku. Nie, gościu. Byłeś pijany, spadłeś, noga poszła w trzech miejscach i teraz trzeba ją z powrotem nastawić, a to boli. Inaczej będziesz kaleką na całe życie i żadne deklaracje ideowe tu nie pomogą.

Kiedy już nasyciłem się wibracją kłamstwa w powietrzu, przerwałem ciszę.

– Jeśli chodzi o porządkowanie miasta, ktoś to już tu zrobił.

W podzięce najpierw złamaliście zawartą z nim umowę, a następnie wymazaliście jego imię z pamięci wdzięcznych mieszkańców. To zaprawdę godne włodarzy nienormalnego miasta. A co do hrabiny Kublickiej... dobrze, powiem panu. Ona twierdzi, że znalezione pięć lat temu przez Borowca kosztowności w Sępni należą się jej prawem spadku, dziedziczenia, tradycji rodowych i nie wiem, jakim tam jeszcze prawem kaduka. Ma jakieś papiery, wykaz zaginionych przedmiotów i jasno deklaruje, że będzie ich szukać aż do skutku. Nie znam się na prawniczych zawłościach w tej materii, ale sądząc z jej pewności siebie, pani dziedziczka się zna. I dopnie swego.

W miarę słuchania Łopatko ścigał owalną i czerwoną od nadciśnienia twarz w podłużne jajo. Jego skrupulatny i pełen patosu wykład o przyszłości miasta właśnie runął w gruzach, ale chyba nie to go w tej chwili najbardziej obchodziło. Wiarygodność w moich oczach nie należała do jego priorytetów. Powodem narastającej wściekłości

była troska o jutrzejsze roboty drogowe, do których ktoś może się wtrącić i popsuć świetnie zaplanowaną zabawę. A także lęk. Tak, Łopatko zaczął się bać. Może usłyszał więcej, niż powiedziałem? Może głosy w jego głowie dopowiadały dodatkowe sensory do mojej skądinąd spokojnej i rzeczowej relacji? Jakby w odpowiedzi na te domysły w rogu pokoju zaczęło się coś dziać. Prezydent siedział tyłem i nie mógł widzieć, ale ja widziałem doskonale. Zatrzaśnięta przed chwilą szuflada z kałamarzem w środku zaczęła się wysuwać. Najpierw nieznacznie i powolutku, jakby niepewna swojego prawa do otwierania się po stanowczym zamknięciu na klucz, potem coraz dalej i dalej. Po wysunięciu się na piętnaście centymetrów cofnęła się nieco, po czym wyjechała do połowy.

Zatrzasnęła się z hukiem dokładnie w momencie, gdy Łopatko uchwycił mój wzrok skierowany w kąt gabinetu i zaczął odwracać głowę.

Oprawne w złoto szkło zadzwoniło wewnątrz z piskliwym jękiem, jak dziecko. Krzyknął i złapał się za klatkę piersiową. Czerwona twarz w sekundę zbieleła i pokryła się kropelkami potu. Oczy wylazły mu z orbit. Zerwałem się z krzesła i doskoczyłem do niego ze szklanką wody, ale mnie odepchnął.

– Zaraz wezwę pomoc! – krzyknąłem.

– Nie! – zaprotestował i zakasłał sucho. – Do diabła, nie!

Wycharczał swój protest i sięgnął do biurka po tabletki.

Nerwowym ruchem wydłubał z fiolki dwie i natychmiast połknął, dopiero wtedy wziął szklankę. Stałem przy nim i patrzyłem, jak chciwie pije i dyszy, powoli dochodząc do siebie. Powiedziałbym: szukając normalności w nienormalnym. Przez moment zrobiło mi się go nawet żal. Był sobą, walczył o to, o co ludzie jego pokroju zawsze walczą, zwykle z sukcesem, ponieważ inni usuwają im się z drogi. A tu taki pasztet. Kiedy jego oczy nabrały z powrotem ludzkiego wyrazu i zdjął dłoń z piersi, usiadłem na swoim miejscu. Wrócił. Odetchnął. Spojrzał na mnie i zobaczyłem nagle zmęczonego, zrezygnowanego człowieka, którego przerosły ambitne plany. Chciał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką i patrzył to na mnie, to na ścianę za mną. Za siebie nie obejrzał się ani razu. Wiedział.

Pokazałem palcem na okrągły ślad na komodzie po lewej stronie biurka.

– Ten puchar to też Łukaszek? – spytałem łagodnie.

Skinął głową. Milczeliśmy przez chwilę. Teraz wymiana informacji między nami przebiegała poza słowami, na poziomie faktów, bo tym nie dało się zaprzeczyć frazesami o zrywaniu z przeszłością i powrotami do normalności. Nasza wiedza wymykała się

mówieniu, jak sen wymyka się jawie. Czekałem spokojnie, aż do tej wielkiej i zagraco-nej mnóstwem sprytnych pomysłów głowy dotrze odpowiedni kwant wiedzy, byśmy mogli porozmawiać inaczej, na moich zasadach.

Kiedy uznałem, że ten moment nadszedł, wyłożyłem karty na stół.

– Mała dziewczynka zmieliła w kombajnie swojego dziadka.

Kolanowską prześladowają jej zaginieni synowie, i nie są to wyłącznie duchy, skoro zostawiają ślady stóp na podłodze. U Pawła Kopcia w zamkniętej kawiarni pojawia się na ścianie rysunek mężczyzny strzelającego do dzieci. Panu puchary latają nad biurkiem, skaczą przykrywki od zabytkowych kałamarzy i otwierają się szuflady zamknięte na klucz. Nie wiem, co jeszcze się dzieje...

– Głaszcz mnie po głowie – dodał ponuro Łopatko.

– Pański wnuk?

Skinięcie.

– To chyba wystarczy, by przestać myśleć o ryciu za złotem, a zacząć ryć w przeszłości za prawdą. Też mogę powtórzyć to, co pięć lat temu: nie da się odciąć od przeszłości bez wyrównania rachunków.

W przeciwnym razie – pokazałem na szufladę za jego plecami – będzie coraz gorzej.

– Co powinienem zrobić pańskim zdaniem? – spytał głucho.

– Oddać synagogę.

W jego oczach błysnęło nowe zdziwienie.

– Ale komu? Przecież jego... nie ma!

– Jest Sara – odparłem spokojnie. – Za chwilę skończy osiemnaście lat i nabierze pełni praw obywatelskich. W końcu należał pan do ścisłego grona sygnatariuszy tamtej umowy.

– Była ustna.

– No właśnie. A z gęby nie można robić trąbki.

Zacisnął zęby i wydał policzki. Pomyślałem, że wygląda, jakby grał na trąbce, i uśmiechnąłem się. Zauważył to.

– Wyszedłem na pajaca, co? – burknął. – Wszystko jedno. Nie wiem, czy to się da zrobić. Szwagier mnie zabije. On już ma pomysły na tę kamienicę z tyłu, ludzi zaczął wykwaterowywać...

– Jeśli pan tego nie zrobi, szwagier będzie jednym z pańskich mniejszych problemów. Zaręczam.

Popatrzył spode łba i coś przetrawiał w myślach, a ja obserwowałem szufladę w kąpieli. Ciekawiła mnie korelacja pomiędzy poruszonym przez nas tematem a jej aktywnością. Moje podejrzenia okazały się słuszne – nawet nie drgnęła. Za oknem popołudnie zmieniło kolor z kanarkowego na miodowy, cienie budynków wydłużyły się w groty włócznie, liście na drzewach drzemały. Ludzie chyba też, ponieważ rynek opustoszał, jakby mieszkańcom aktywności starczyło tylko na jeden przemarsz tam i z powrotem. A może chowali się przed tym czymś?

– Spróbuję – westchnął wreszcie Łopatko po rozważeniu swoich za i przeciw. – Ale nie obiecuję na pewno. To trudna sprawa.

– W tym miejscu są wyłącznie trudne sprawy. Sam pan powiedział, że to jedno z najtrudniejszych miast w Polsce. W tym się zgadzamy.

– Panie Wojtku – zaczął po chwili, kiedy ogarnęła go nowa fala refleksji – ale o co tu naprawdę chodzi? Pan wie?

– Przeczuję.

– No bo ja rozumiem – ciągnął swoje – że to miejsce ze straszną historią i mogą się dziać rzeczy no, powiedzmy, nienormalne. Ale tamto się skończyło ponad pół wieku temu, a te... anomalie... one są od pięciu lat! To znaczy pięć lat temu raz, a teraz drugi raz. Co się właściwie stało?

Zawiesił głos w pełnym napięcia oczekiwaniu. Miałyby rozwiązanie wszystkich swoich rozterek, lęków i problemów technicznych za jednym zamachem. Albo jednak był głupcem, albo mimo stresu i ciśnienia nadal potrafił go świetnie grać. Wycelowałem w niego palcem jak pistoletem.

– Nareszcie dobre pytanie – powiedziałem. – Tylko kierunek odwrotny. To ja się pytam: co tu się właściwie stało? I wie pan, co w tym pytaniu jest najciekawsze? Że obaj znają odpowiedź, a pan mi jej i tak nie udzieli. Prawda?

Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi. Tam zatrzymało mnie pytanie świadczące o tym, że radny Alfred Łopatko szczęśliwie powrócił już do swojego standardowego samopoczucia lokalnego bossa.

– Jak pan myśli, ta baba będzie jutro bruździć?

– Oho, i to jak – odparłem z satysfakcją. Gdy wychodziłem, zamiast „do widzenia” usłyszałem za plecami solidne „kurwa mać”.

Maniery pitekantropa.

Wracając ulicą Dąbrowskiego, nie mogłem nie skręcić w Brzegi.

Nie pytajcie dlaczego, po prostu nie mogłem i niech ta deklaracja wystarczy za wszystkie uzasadnienia. Już tak się przyjęło, że moje wyprawy do miasta przypominały wędrówki Leopolda Blooma po Dublinie. Obchodziłem kolejno ważne miejsca i sprawdzałem, czy sprawy idą we właściwym kierunku, a jeśli nie, to w jakim właściwie idą. Odwiedziny u Ewy Kolanowskiej wydały mi się niezbywalnym składnikiem tego programu i nie darowałbym sobie, gdybym utracił ważne dane, nazbyt pospiesznie udając się do domu. Jak się okazało, zrobiłem dobrze i niedobrze.

Otwarła dopiero po trzecim dzwonku i natychmiast wciągnęła mnie do środka.

– Cudownie, że jesteś! – wydyszała mi do ucha, witając mnie czułym pocałunkiem, jak od dawna wyczekiwanej kochanka. – Tak się bałam!

Kobieta mówi coś takiego wcale nie dlatego, że naprawdę się boi, ale ponieważ potrzebuje pociechy, oparcia, uspokojenia, czułości i takie tam. A facet dla własnych samczych korzyści udaje, że wierzy. W tym przypadku jednak chyba naprawdę coś się znowu działo, więc dałem się wciągnąć do salonu i zasiadłem na kanapie. Wzięła mnie za rękę.

– Słuchaj, oni coś robią! Słyszę stukanie młotkiem, piłowanie, łomot. Normalnie jakby dom budowali! Albo burzyli. Wojtek, ja tu zwariuję!

Oparła mi czoło na ramieniu i uściśnęła łokieć zimną jak u trupa dłonią. Miała na sobie czarną sukienkę i pachniała... cholera, pachniała piwnicą.

– Dopiero co wróciłam z pracy. Chciało mi się pić i zeszłam do piwnicy po kompot, a tam łupanie na całego! Jezu, nie wytrzymam tego!

Przytuliła się i kosmyk jej włosów znalazł się tuż pod moim nosem. Prychnąłem delikatnie, żeby nie przepłoszyć strwożonej kobiety, a ta przylgnęła do mnie i... no tak, pocałowała mnie w szyję. Potem jeszcze za uchem. Spiałem się jak koń pod niewprawnym jeźdźcem ciągnącym wodze w dwie strony naraz – tu następne kłopoty, a tam podniecenie. Ująłem ją pod brodę i ostrożnie odsunąłem od siebie.

– To chodźmy. Sprawdzimy, co się dzieje.

– Nie! – krzyknęła od razu. – Ja tam nie pójdę! Idź sam.

Nagle i stanowczo wykrzyczane polecenie podziało na mnie jak rozkaz. Wstałem i bez wahania poszedłem do piwnicy. Powoli pokonując stopień po stopniu, zszedłem po schodach. W korytarzu zacząłem nasłuchiwać. Nic się nie działo. Stary rower stał na swoim miejscu, trochę bardziej zakurzony i smutny. Wolnym krokiem przemierzyłem korytarz, swoim zwyczajem klepnałem siodełko, ale już nic nie powiedziałem, by nie spłoszyć intruza. W pomieszczeniu ze słoikami pachniało kiszonymi ogórkami i pleśnią. Widocznie część zakrętek puściła. Pręty ogrodzeniowe leżały na swoim miejscu, przez zakurzone okienko wpadało nieco dziennego światła. Tu i w całej piwnicy panowała zupełna cisza. Zamknąłem ciężkie drzwi od komórki i poszedłem na drugą stronę korytarza, tam, skąd pięć lat temu patrzył na mnie mały Kolanowski, Piotruś albo Pawełek. Znajdował się tu kocioł od centralnego ogrzewania, niewielka sterta węgla w kącie, przyprószona miałem szufla, stara komoda i wiadro z wodą, patyki na rozpałkę... Niczego szczególnego nie zauważyłem i właśnie zacząłem podejrzewać Ewę o wyprowadzenie mnie w pole, gdy z mieszkania doleciał ostry krzyk. Pędem pobiegłem na górę i wpadłem do salonu.

Ewa stała pod ścianą i wciskała pięść do ust. Złapałem ją za ramiona.

– Co się stało? Co tu się dzieje?

Potrząsnęła głową. Jej włosy malowniczo rozsypały się wokół twarzy. Przytuliłem ją i pogładziłem po tych pięknych włosach, jedynym jasnym punkcie w całej postaci.

– Nic. Zdawało mi się. Jestem zwykłą wariatką – stwierdziła rzeczowo i odepchnęła mnie. Poszła do kuchni, naląła wody do szklanki i wypła. A potem została ze szklanką przy ustach i zagapiła się na ogród za oknem. Popołudnie żółtko.

Być może wtedy zrobiłem największy błąd mojego życia. Nie wiem, tak się mówi. Ja sam nie potrafię tego chłodno ocenić, tak jak ojciec dziecka zabitego w wypadku nie jest w stanie rzeczowo stwierdzić, po czyjej stronie leży wina. Kiedy jesteś podmiotem, nie możesz być równocześnie przedmiotem. Banał, wiem, ale co z tego?

Życie wypełniają nam banały. Wiedziałem, co robię, i zarazem nie wiedziałem, ponieważ coś pchnęło mnie do tego, żeby pójść za nią do kuchni, objąć i pocałować w usta. Były ciepłe i wilgotne od właśnie wypitej wody, czekały na mnie i oddały pocałunek z nawiązką. Moje niecierpliwe dłonie zsunęły się do pośladków, ciasno opiętych czarną suknią. Nie przestając całować, wsunęła dłonie pod mój podkoszulek i zdjęła go jednym mocnym ruchem. Przesunęła palcami po nagim torsie, a potem niżej. Westchnąłem.

– Czekam i czekam – szepnęła. – No chodźże wreszcie.

Pobiegliśmy na górę do sypialni. Zatrzasnęła drzwi nogą i malowniczo zrzuciła pan-

tofle. Na jej karku namacałem zapięcie zamka błyskawicznego i rozpiąłem go. Wyskoczyła z sukienki niczym Wenus z muszli. I dobrała się do paska moich spodni...

Nie wiem, jak długo to trwało, ponieważ niczego później z tych godzin nie pamiętałem. Pierwsze, co zobaczyłem po dojsciu do siebie, to ciemny sufit nad głową. Za oknem panował mrok, jedyne źródło nikłego światła stanowiła lampka nocna przy łóżku. Obok mojego mokrego od potu ciała leżała naga kobieta, przytulona jak kocica i leniwie błędząca po mnie dłońią. Żaden z zakamarków jej nie krępował, dotykała tego, na co miała ochotę. Obdukcja? Mówią, że seks to mała śmierć. Leżałem na wznak nagi, mokry i bezwładny, a drugi człowiek badawczo obmacywał mój korpus i przyległości w poszukiwaniu odpowiedzi na nieznane mi kwestie. Było cudownie i strasznie. Coś jest na rzeczy z tą małą śmiercią. Niech ktoś całkiem wyłączy światło.

Nocna lampka zamigotała i zgasła. Poderwałem się.

– Co jest?

– To tylko głupia żarówka – mruknęła sennie. – Masz wspaniałe ciało. W ogóle jesteś wspaniała. I zgłodniały kobiety.

– Zdaje się, że o to ci chodziło – odburknąłem niechętnie, bo nie podobało mi się to uprzedmiotowienie. Patrzyłem w ciemnościach na blade miejsce po zgasłej żarówce. W nich zawsze przez chwilę zostaje trochę takiej ledwie widocznej poświaty, takiego powidoku światła.

– Owszem. Ale powiem ci, skarbie, przeszedłeś moje najśmielsze oczekiwania.

Usiadłem. Miałem ochotę położyć dłoń na jej udzie, ale coś mnie powstrzymało.

– Co masz na myśli?

Zachichotała jak nastolatka na pierwszym filmie dla dorosłych.

– Wiesz, ile razy to zrobiliśmy?

Takie pytanie powinno wbić mężczyznę w dumę, we mnie jednak zasiało niepokój. Zupełnie nie pamiętałem, co tu się działo, choć scenografia nie pozostawiała większego pola dla wątpliwości. Ostatnie, co mi utkwiło w pamięci, to moje palce szamoczące się z zapięciem stanika na plecach Ewy zajętej w tym czasie zdejmowaniem ze mnie spodenek. Następny obraz to ten szary sufit i ciemność za oknem. Ile czasu to trwało?

– Która godzina? – spytałem, zdjęty nagłym niepokojem. Miałem jeszcze dzisiaj jechać do Stefanowskiego i przy okazji spotkać się z Sarą.

Chciałem jakoś dać jej do zrozumienia, że sprawa synagogi nie jest jeszcze przegrana. Właściwie powinienem też odwiedzić Pawła Kopcia.

I Wilków. Cholera.

– Nie wiem, skarbie. Szczęśliwi czasu nie liczą. Nie znasz tego?

– Nie wiem, o kim mówisz, bo ja się spieszę jak diabli. Gdzie tu jest światło?

Zacząłem macać po ścianie za włącznikiem lampki, ale Ewa pociągnęła mnie na skopane prześcieradło i przerzuciła swoje kolano przez moje biodra.

– Hej, nie bądź marudny. Nie chcesz chyba już iść, co? Cztery razy to nie musi być koniec, a dopiero niezły początek. No chodź, gryzipiórku. Ty mój dzielny dziennikarzyku!

Przycisnęła mnie do łóżka ciepłym ciałem i zaczęła całować.

Zepchnąłem ją z siebie. Cztery razy! Cholera, jakieś rekordy biłem czy co? Ile to zajęło czasu? I gdzie ja wtedy byłem?

– Nie pozwolę ci odejść – oświadczyła groźnie, łapiąc mnie za ramię. – Tyle na ciebie czekałam. Zostajesz. Nie ma żadnych spraw, nie ma śledzenia i łążenia, odkopywania i zakopywania. Tylko ty i ja.

I łóżko. Jasne?

Dla potwierdzenia kategoryczności swoich postanowień usiadła na mnie okrakiem i oparła obie ręce na piersi, jak zwyciężczyni pojedynku zapaśniczego. Próbowałem się uwolnić, ale zadziwiająco mocno trzymała mnie nagimi udami. Poczulem na podbrzuszu, jak jej krocze znowu wilgotnieje. Ona chyba też biła jakiś rekord. Wygłodniała wdowa. Miała do odrobienia pięć lat.

– Mam do odrobienia pięć lat – syknęła mi w twarz moją ostatnią myśl. – Nie wywiniesz się tak łatwo.

Fala podniecenia uderzyła jak gorączka. Mój członek zareagował prawidłowo na gotowość Ewy, ręce ponownie zabrały się do roboty.

Czułem, że lada chwila znowu odleczę. Przystawałem słyszeć i widzieć, pożądanie rozlewało się po moim ciele jak ból. Ona nie ustawała w ataku i była bliska kolejnego zwycięstwa, nie pozostawało mi więc nic innego, jak uciec się do fortelu. Podjąłem grę i oddałem pieszczoty, panicznie walcząc o zachowanie przytomności. Kiedy opadła wreszcie na plecy z rozchylonymi nogami i wyciągniętymi przed siebie obiema rękami, zerwałem się z łóżka i dopadłem framugi. Obmacałem ścianę w poszukiwaniu włącznika. Poderwała się z krzykiem.

– Przestań! – wrzasnęła. – Nigdzie nie pójdziesz!

– Muszę – warknąłem, odpychając ją z całej siły, aż zatoczyła się i upadła na kolana, tuż obok łóżka. – Co ty wyprawiasz! Oszalałaś?

Włączyłem to cholerne światło i natychmiast znalazłem na podłodze splątane

spodnie oraz spocony podkoszulek z napisem PINK FLOYD. Rozsupływałem nogawki, patrząc pilnie, czy znowu się na mnie nie rzuci. Siedziała przy łóżku i płakała. Gwałtowna zmiana nastroju, charakterystyczna dla braku równowagi psychicznej.

– Jesteś okropny! Wykorzystałeś samotną wdowę, łajdaku, i od razu lecisz do innej. Nienawidzę cię, rozumiesz? Nienawidzę!

– Uspokój się, Ewa. – Usiłowałem zapiąć rozporek na niemożliwie nabrzmałym kroczu. To podniecenie bolało. – Nie do innej, tylko do innych spraw.

Kiedy manewr ze spodniami wreszcie się udał, naciągnąłem koszulkę i kucnąłem przy niej. Beczała jak bohaterka reportażu o uwiedzionej kelnerce z przydrożnego zajazdu. Po jej policzkach pociekły strużki rozmytego tuszu do rzęs, u nosa wisiała małowidoczna kropelka, na wardze nitka śliny, a kiedy w ustach pojawił się koniec języka, znieruchomiałem. Coś mi ten obraz przypomniał. Zamarłem i patrzyłem na to maleńkie różowe zwierzątko, zwinnie lawirujące między zębami w poszukiwaniu ofiary.

– Ewa...?

Uniosła rozmazane, niewidzące oczy. Spróbowała się uśmiechnąć, zamiast tego jednak skrzywiła się z odrazą i warknęła:

– Wynoś się.

– Spokojnie, muszę iść, czekają na mnie w domu. Wpadnę jutro i porozmawiamy. Właściwie chciałem ci zadać kilka pytań, bo przyszło mi do głowy...

– Wynoś się, powiedziałam!

Siedziała, podpierając się jedną ręką o podłogę, drugą głaszcząc nagie udo. Była teraz stara i brzydka. A ja byłem świnia, bo tak myślałem. Wyszedłem z sypialni, jakbym opuszczał burdel bez zapłaty.

Świnia to świnia.

W holu na dole stał telefon. Ten sam co pięć lat temu. Pomacałem kieszeń na tyłku i wyjąłem kartonik. Wykręciłem nadrukowany złotymi literami numer i czekałem chwilę, patrząc na schody prowadzące do sypialni. Odebrała po drugim dzwonku.

– Słucham?

– Zaczynają jutro. Obwodnica, zakręt śmierci.

– Dziękuję – odparła i rozłączyła się. Lubiła konkretnych ludzi.

Wyszedłem w ciepły lipcowy wieczór, wsiałem do astry i opuściłem obie szyby. Ulica była opustoszała, chodnikiem pod ogrodzeniem przemykał samotny kundel z nosem przy ziemi.

Przekręciłem stacyjkę. Na wyświetlaczu pojawiła się godzina. Za dziesięć dwunasta. Spędziłem u Ewy Kolanowskiej prawie siedem godzin.

Gdyby nie ciepła noc, umknąłby mi ten hałas. Jechałem powoli i przepatrywałem pamięć w poszukiwaniu drobiazgów i szczątków z ostatnich siedmiu godzin, które mogły się w niej zapisać. Nic. Ani jednego szczegółu. Krótko mówiąc, nie pamiętałem w ogóle, co robiłem z Kolanowską i co ona ze mną robiła przez cały wieczór, aż do północy.

Zupełnie jakbym zażył pigułkę gwałtu, chociaż niczego nie piłem ani nie jadłem. Trudno było nawet rozstrzygnąć, kto tu kogo gwałcił, natomiast pozostawało faktem, że ona coś pamiętała, a ja nie. Wiedziała, że cztery razy. Jasne, mogła w samiczej ekstazie konfabulować, ale ja w samczym ośpieniu nie potrafiłem tego zweryfikować. Chciała, żebym jeszcze został. Chciała mnie zatrzymać. Koniecznie na dzisiejszą noc. Miałem nie wracać do domu. Dlaczego?

Odgłosy dochodziły zza muru cmentarza żydowskiego. Przy zamkniętych oknach nie usłyszałbym niczego, ale ciepła noc w środku lata, z pełnią księżyca, wręcz nakazywała opuszczenie szyb i chłonięcie cudu dojrzałego lipca. Najpierw pojedynczy stuk, po nim dwa, niemal równoczesne. Zjechałem do zatoczki przystanku autobusowego i przebiegłem ulicę. Od pewnego czasu teren cmentarza zamykano, a żelazne wrota z wielką dziurą na klucz dawały do zrozumienia, że otwarcie nie należy do łatwych. Mur był wysoki na dwa metry, ale na górze płasko wykończony. Znalazłem występ, oparłem na nim stopę i podciągnąłem się, zarzucając ręce na mur. Wystarczyło. Wspiąłem się na płaskie zwieńczenie ogrodzenia, przysiadłem skulony i zastanawiałem się, czego mogę się spodziewać. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, już wiedziałem.

Stukanie, piłowanie, łomot... Przez zarośla zaniedbanej nekropolii przedzierało się trochę światła z pobliskiej latarni i świecił jasno księżyc, dlatego w ogóle widziałem cokolwiek. Na ścieżce idącej od bramy przez cały cmentarz mniej więcej w połowie drogi znajdował się wydeptany niewielki plac, coś w rodzaju punktu centralnego kirkutu. Kiedy zaglądałem tutaj pięć lat temu, nie widziałem niczego oprócz sterty pogrucho-tanych kamieni. Teraz w środku placu trwała w najlepsze robota. Dwójka dzieci zno-siła kamienie, kolejna dwójka układała je na ziemi i dopasowywała do wyimaginowa-nego wzorca, a z gotowych kawałków dwaj bliźniacy ustawiali obelisk. Cała szóstka pracowała bez większego wysiłku, choć kamienie wyglądały na ciężkie. Zeskoczyłem z muru po drugiej stronie i ostrożnie ruszyłem w ich kierunku przekonany, że zaraz znik-

na. Myliłem się. Pracowali metodycznie i w skupieniu, nie zwracając na mnie uwagi. Zalany księżycowym światłem cmentarz przypominał scenerię makabrycznej gry komputerowej, z czarnymi cieniami drzew i jasnymi plamami kamiennych płaszczyzn.

Kucnąłem przy najmłodszym z nich, tym, którego znałem tylko z wypłowiałej fotografii.

– Co robicie? – spytałem.

– Układamy pomnik – odparł poważnie sześćioletni Mikołaj Kopeć. Przesuwał dwa ułomki macew, usiłując osiągnąć kształt zbliżony do prostokąta.

– Dla kogo?

– Jak to dla kogo? Dla nich. – Obrócił się i pokazał palcem ciemność za moimi plecami. Odwróciłem się. Monisia Szwagrzykówna i Łukaszek Gaweł wynosili z mroku dużą płytę. Wygrzebali ją spod warstwy ziemi, położyli obok nas i zabrali się za czyszczenie jej z resztek igliwia i mchu. Wyglądała na całą. Małe rączki zgrabnymi ruchami odsłaniały hebrajski napis i sześcioramienną gwiazdę.

Tymczasem Mikusiowi udało się dopasować oba fragmenty i z Gabrysią odnieśli je chłopcom na obelisku.

– Dlaczego to robicie? – spytałem tych dwoje przy macewie.

– Dla tego samego – odparła poważnie Monisia – dla czego ty przepędzałeś szczury z miasta. Umowa. No tak.

– No tak, faktycznie. A umów trzeba dotrzymywać. Czyj to grób?

– spytałem, pokazując hebrajskie litery.

– Dory Klajman, siostry Peszki. Znałeś Peszkę, prawda?

Usiadłem. O Peszce Klajman opowiadał mi Henryk Hirsch. Ta dziewczyna tego samego dnia w czerwcu czterdziestego roku była świadkiem jego narodzin i powstawania obozu.

– Znałem – przytaknąłem równie poważnie. – Kiedy zmarła?

Mała Szwagrzykówna położyła palec na dolnej wardze i zamyśliła się.

– W październiku trzydziestego ósmego. Nie ma dokładnej daty, tylko miesiąc. Kiedyś tak się pisało. Ale to była dobra śmierć, w odpowiednim czasie.

Mówiła rzeczowo i okrągłymi zdaniami, jakby przez te cztery lata nadal pilnie się uczyła. Chciałem ją spytać o ten „odpowiedni czas”, ale właśnie unieśli oczyszczoną płytę i bez trudu przetransportowali na miejsce budowy. Już niemal kończyli pracę nad pomnikiem. Tymczasem wrócił Mikołaj i pochylił się z uwagą nad następnymi kawał-

kami, mniejszymi, na wykończenie narożników czworokątnej budowli. Jego skupiona twarzyczka w świetle księżyca była zupełnie biała, jak wycięta z papieru. Siedziałem na brudnej ziemi, jej wilgoć przenikała przez ubranie i przyjemnie chłodziła niewystygłą jeszcze po erotycznych ekscesach skórę, i patrzyłem, jak szóstka zaginionych przed czterema laty dzieci układa kamienie nagrobne w obelisk, dla upamiętnienia im tylko jeszcze znanych ludzi. I wiecie co? Wcale mnie to nie dziwiło.

Przeciwnie, widok pracujących maluchów sprawiał mi przyjemność.

Siedziałem i patrzyłem na nie. Przyszło mi nawet do głowy, żeby im pomóc, ale mały Kopeć pokręcił głową.

– Nie – powiedział stanowczo. – Ty masz inną robotę. No tak.

Mówiły „no tak”, podobnie jak Basia Gaweł opowiadająca o tragicznej śmierci swojego teścia. Może to jakiś szyfr? Kto tak mówił?

Do kogo prowadzi ta ścieżka? Nadal nic nie wiedziałem, choć siedziałem na żydowskim cmentarzu o północy i patrzyłem na pomnik układany przez zaginione dzieci. Polskie dzieci.

– Słuchaj, Mikuś, pomożesz mi? Bo to prawda, mam inną robotę, ale nie wiem jaką. Nie mógłbyś mi tak po prostu powiedzieć? Przestaną się błąkać po okolicy, zrobię, co do mnie należy, i będzie spokój. Nie byłoby tak prościej? Co? Jak sądzisz?

Chłopiec przerwał na chwilę dopasowywanie kamieni i przyjrzał mi się. Jeśli myślicie, że miał białe albo czerwone oczy, to od razu mówię – nic z tych rzeczy. Miał normalne oczy dziecka, które poważnie myśli nad odpowiedzią na trudne pytanie dorosłego. Trudne dla dorosłego, nie dla niego. Przysiadł na piętach, tak jak to robił sto razy w przedszkolu, bawiąc się klockami, i rozglądał wkoło w poszukiwaniu właściwego przedmiotu. Wreszcie znalazł dwa ułamki kamienia o mniej więcej trójkątnych kształtach i położył je przed sobą. Były z marmuru i kiedy je układał, księżycowe światło błysnęło w nich jak w tęczówkach oczu. Następnie wyrysował palcem na ziemi szescioramienną gwiazdę.

– Wiesz, co to jest?

– Gwiazda Dawida – odparłem zgodnie z najlepszą wiedzą.

– Zwana też pieczęcią Salomona albo Wielką Jantrą na Wschodzie.

Symbol najwyższej duchowości i zrównoważonej boskości, ponieważ łączy ze sobą dwa podstawowe pierwiastki: męski i żeński. Wiesz, jak powstaje gwiazda Dawida?

– Noo, można ją narysować za pomocą wzoru geometrycznego, ale nie pamiętam dokładnie. Coś tam z punktami na okręgu...

– Albo za pomocą dwóch trójkątów równoramiennych nałożonych na siebie – wyjaśniał cierpliwie chłopiec. – Popatrz.

Wziął do ręki oba kawałki i ułożył naprzeciwko siebie tak, że stykały się wierzchołkami. Nagle mnie olśniło. Trójkąty błyszcząły tak samo, jak wtedy na głowie kołyszącej się wśród trzcin dmuchanej żaby.

Dwukrotne odbicie światła. Podwójne zaprzeczenie. Błąd iluzji pomnożonej przez samą siebie. Fałsz rodzi fałsz. Spójrz na to z innej perspektywy. Od spodu.

Zakłuło mnie w skroniach. Przemagając ostry ból głowy, wziąłem jeden z trójkątów i ostrożnie nasunąłem na drugi, aż wszystkie sześć narożników było mniej więcej równej wielkości. Pochyliłem się i spojrzałem z góry. Gwiazda Dawida. Zrobiłem się nagle mądrzejszy o całe pięć lat.

– Trójkąt skierowany ku górze to pierwiastek męski, a ten skierowany ku dołowi to żeński. Jak widzisz, nakładanie jednego na drugi stanowi figurę aktu seksualnego, początku życia.

Mały Kopeć wyjaśniał znaczenie hebrajskiego heksagramu z powagą godną najlepszych rabinów. W tym też nie widziałem niczego dziwnego. Przecież on już wszystko wiedział. Zaskoczył mnie czym innym.

– To, co robiłeś przed chwilą z mamą Piotrka i Pawełka, nie jest niczym innym jak codziennym powtórzeniem wielkiego aktu stworzenia.

Pomyśl o tym.

Przy ostatnich słowach uniósł palec niczym kaznodzieja. Potulnie spuściłem oczy, mając nadzieję, że pracujący na obelisku bliźniacy nas nie słyszą. Z absurdalności tego przypuszczenia nie zdawałem sobie wówczas sprawy. Zresztą teraz też nie.

– Co jeszcze? – spytałem cicho. Gdzieś za murem przejechał samochód, słyszałem go jak przez mgłę. Na moment zdumiała mnie bliskość obu światów. A potem ból głowy znowu się nasilił.

– Niewiele. Trójkąty przed złączeniem symbolizują niewinność.

Niespełnione życie. To, które się jeszcze nie zaczęło na dobre. Ale tego powinienes się sam domyślić.

– To znaczy was?

– Nie – zaprzeczył surowo. – To znaczy ich. Nas pochłonęły grzechy przodków. Dostać już. Idź.

– Jeszcze jedno – rzuciłem pospiesznie, gdy zrozumiałem, że chce odejść. – Czy dlatego jest was sześcioro? Mam szukać szóstki?

Odwróciłem się, by pokazać palcem za siebie, i znieruchomiałem.

Obelisk został ukończony, a stojący na jego szczycie jeden z braci Kolanowskich wyciągnął obie ręce do góry i zawył. Pozostała czwórka zebrała się wokół podstawy pomnika i klaskała w dłonie jak zachwycona publiczność. Chłopcu spodobała się chwilowa popularność, więc złączył obie ręce nad głową i podskoczył. Zawisł w powietrzu z nogą zgiętą w kolanie, jak Wacław Niżyński w jednej ze swoich niemożliwych figur.

Kręcił się powoli wokół własnej osi, opromieniony punktowcem księżycy i zachwytem reszty, która piszczała i biła brawo. Nie wiem, na ile kategoria szczęścia dotyczy życia pośmiertnego, ale wyglądali na szczęśliwych. Zrobili swoje i teraz odbierali nagrodę. Ścisnęła mnie w dołku zazdrość i nagle zapragnąłem pójść tam i dołączyć do księżycowej zabawy, ale nie mogłem. Moja robota jeszcze nie została wykonana.

– Idź już – powiedział wolno Mikołaj i pchnął mnie obiema rękami w pierś. Zaskoczony siłą uderzenia, poleciałem do tyłu parę metrów, straciłem równowagę i walnąłem głową w pień drzewa za plecami. Ból eksplodował jaskrawym błyskiem, opadłem na trawę i po omacku zacząłem pełznąć na czworakach do muru. Pchał mnie ciepły podmuch, który nie pozwalał się zatrzymywać. Wypchnął mnie na mur i na koniec trącił lekkim powiewem, spychając na drugą stronę. Upadłem z wysokości dwóch metrów na betonowy chodnik. W głowie huczało mi jak w piecu. Przebiegłem ulicę na oślep, wskoczyłem za kierownicę, zasunąłem obie szyby i oparłszy się o zagłówek, zamknąłem oczy. Żył na skroniach tętniły szaleńczo, docisnąłem je palcami i czekałem, aż ból minie. Nie chciał minąć. Cichł bardzo powoli...

Po chwili dopadła mnie kolejna eksplozja bieli. I głoś.

– Co jest, panie kierowco? Kłopoty z dotarciem do domu?

Dobrze powiedziane. Kłopoty z dotarciem do domu. Przesłoniłem dłonią bijący we mnie snop światła.

– Przepraszam, mógłby pan przestać mi świecić w oczy?

Policjanci towarzyszyli mi aż pod dom. Wiedzieli, gdzie mieszka Bolesław Czech i oczywiście kojarzyli jego córkę Olę („szczęśliwiec z pana, taka laska...”), a ponieważ musiałem wyglądać nieszczególnie, uparli się, że mi poasystują. Kiedy odjechali, na palcach wszedłem po schodach i sięgnąłem do klamki, ale nie zdążyłem jej nacisnąć. Drzwi się otworzyły i zobaczyłem w nich twarz Oli.

– Jezus Maria, nareszcie jesteś! Co się stało?

– Nic się nie stało. Pozwól mi najpierw wejść do domu.

Objąłem ją szybko i wyminąłem w przedpokoju, by jak najszybciej zniknąć w łazience pod prysznicem. Bałem się, że poczuje zapach innej kobiety. One tak mają, potrafią wychwycić tę efemeryczną woń nawet na odległość. Myłem się długo i na koniec chłodziłem zimną wodą, co trochę pomagało na ból głowy. Czekala pod drzwiami.

– Wojtek, tak strasznie się bałam o ciebie! Miałam takie sny! A jak mi mama powiedziała, że znikasz na całe dni i wracasz po nocy, to powiedziałam sobie: jadę. Nic ci nie jest? Na pewno?

Przyglądała mi się z uwagą kobiety, która bardziej uwierzy własnym oczom niż temu, co jej mąż odpowie. Postanowiłem wcale nie odpowiadać i po prostu poszedłem do pokoju. Podreptała za mną i wśliznęła się pod kołdrę. Byłem potwornie zmęczony i chciałem spać, ale ona miała potrzebę opowiedzenia siebie, tych swoich strachów i snów, więc leżałem z oczami wbitymi w sufit, a ona mówiła. Kiedy skończyła, powiedziałem tylko, że najdalej za tydzień wrócimy do Słupska. Zapadła cisza, a ja gapiłem się na trupie światło księżyca na ścianie i myślałem o swojej robocie do wykonania. Nawet przemknęło mi przez myśl, by jej o wszystkim powiedzieć i zrzucić z siebie ten ciężar, ale właściwie nie wiedziałem nawet, co by to miało być.

O dzieciach na żydowskim cmentarzu nie mogłem, bo byłbym niewiarygodny, o Ewie też nie, bo tu z kolei mógłbym być zanadto wiarygodny. Stałem na milczeniu, jak zwykle. Zasypiałem. Ona mościła się, głaskała mnie po ramieniu, na koniec wymamrotała sennie:

– Oni wrócili, prawda?

– Uhm.

- Pomożesz im?
- Nie wiem. Próbuję.
- To dobrze.

Ostatnia wymiana zdań nawet mi się podobała. Przed odpłynięciem w płytki sen myślałem o tym, co w opuchniętej od ustawicznej migreny głowie zaczęło się układać w całość. Nareszcie. Byłe tego nie spać i działać we właściwej kolejności. Na tym skupiałem się przed zaśnięciem.

Ale i tak przyśniły mi się białe majtki Ewy Kolanowskiej.

Obudziło mnie słońce. Przepaliło zasłony i wąską szparą wdarło mi się prosto do mózgu. Usiadłem i spojrzałem na zegarek. Było wpół do siódmej. Za pół godziny zamkną pas ruchu i na obwodnicę wjedzie ciężki sprzęt budowlany, żeby dobrać się do jednego z punktów, które z nieznanymi mi powodów nie znalazły się na bezcennej mapie hrabiny Kublickiej. A raczej hrabiego Fryderyka Kublickiego, bo to on ją sporządził tuż przed ucieczką do Brazylii. Tak wtedy myślałem. Jak ona powiedziała? „To moja część”. To znaczy, że wiedziała również o innych częściach, a ponieważ swoją utraciła na rzecz konkurencji, postanowiła zawładnąć tym, co zostanie odnalezione tutaj. Ciekawe, jak chce to zrobić. Firma Prezbud w osobie prezesa i jego szwagrów na pewno też miała swój plan i liczyła się z ewentualnym starciem siłowym z pozostałymi pretendencjami. To nawet mogłoby ciekawie wyglądać: czerwony z wściekłości radny Łopatko kontra sucha jak wiór i zimna hrabina Kublicka. Pojedynek gigantów z dwóch odmiennych żywiołów.

Starcie białego z czerwonym i suchego z mokrym, a w środku my – kibice i akolici, świadkowie bierni i czynni, w zależności od stopnia zaangażowania.

– Nie śpisz już? – mruknęła Ola. Poglądziłem ją po głowie i pocałowałem. Nagle zrobiło mi się jej strasznie żal i z tej czułości przytuliłem ją mocno. Objęła mnie.

– Muszę tam pojechać – powiedziałem najbardziej uspokajającym głosem, na jaki mnie było stać. – To nie potrwa długo – dodałem nieszczerze. W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, co się tam będzie działo i ile to potrwa.

– Myślałam, że pojedziemy razem do ojca. Jeszcze u niego nie byłeś.

– Dokładnie rzecz biorąc, chciałem go odwiedzić – wyjaśniłem cierpliwie – ale twoja mama mi odradziła. Uznała, że zbyt go to zmęczy.

Wolała mnie zostawiać w domu.

– Z czego skwapliwie skorzystałeś – uzupełniła z pretensją w głosie. – A w tym domu to siedziałeś tyle, co kot napłakał. Daj już spokój z wykrętami, Wojtek. Proszę

cię tylko, nie narażaj się niepotrzebnie.

– To znaczy?

– Widzisz, ja wiedziałam, że oni wrócili – zaczęła niepewnie – bo... przyśnili mi się.

– O czym ty mówisz? – spytałem zaskoczony. Poprzedniego wieczoru opowiadała mi o swoich snach, ale o tym jakoś nie wspomniała.

– To był taki realistyczny sen... – wyszeptała. – Śniło mi się, że siedzę wieczorem w pokoju przy biurku i piszę tekst ulotki reklamowej dla biura, chyba o odnowie biologicznej w kurorcie. Zresztą nieważne.

Za oknem jest ciemno, a ja gapię się w nie i szukam słowa, które mi wyleciało z głowy, i wtedy... – Wzdrygnęła się. – Wtedy zobaczyłam tam twarz chłopca. Na drugim piętrze, za oknem! Wisiał w powietrzu, a jego twarz zajmowała z pół szyby i była taka... smutna! Patrzył na mnie wielkimi oczami i czegoś chciał. Patrzył i patrzył. Zupełnie jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Miał takie ciemne, prawie czarne oczy. Byłam przerażona.

Ola wpatrywała się we mnie z napięciem, jakby obawiała się, że wyśmieję jej senne lęki, a ja pogładziłem ją po włosach. W głowie kołatała mi się jedna myśl: za dużo tych dzieci. W nieopatrznie ruszonej przez ignorantów ziemi coś puchnie i pleni się poza kontrolą, a my nawet nie wiemy, co to jest. Na dodatek według powszechnego przekonania ja sam znajdowałem się w centrum tej dziecięcej krucjaty i miałem do odegrania fundamentalną rolę, której jedynie mglisty zarys majaczył mi przed oczami. Jasne, to więcej niż pięć lat temu, ale jednak ciągle tylko zarys i mgła. Woda – droga – skarb – sześcioro dzieci – hrabia Kublicki – dmuchana żaba – Łopatko – synagoga – mój dziadek Abraham Zylbersztajn... Cała ta układanka niby nabierała kształtów, ale ciągle pozostawała nieczytelna. Mogłem dodawać następne: zielona zorza – obelisk – grotta – pidło...

Dlaczego wczoraj w nocy wiedziałem prawie wszystko?

– To tylko sen, kochanie – powiedziałem, głaszcząc Olę po kasztanowych włosach. – A teraz proszę cię, jedź z mamą do ojca, do szpitala, a ja zobaczę, co się dzieje na naszym ulubionym zakręcie.

Wiesz – pocałowałem ją czule w policzek – dobrze, że przyjechałaś.

– Nie wiem, może – odparła bez przekonania. – Tylko bardzo cię proszę, uważaj na siebie. To wszystko jest jakieś takie... nienormalne.

– Bo to miasto jest nienormalne – rzuciłem i poszedłem zrobić kawy. Miałem przed

sobą ciężki dzień, a za sobą raptem cztery godziny snu.

Ruszyłem zaraz po śniadaniu i najpierw wybrałem się do szkoły.

Wejście było zamknięte na cztery spusty, a na moje energiczne wciskanie dzwonka nikt nie reagował. Pewnie już pojechała na miejsce, może rozpoczęła się pierwsza runda słynnego starcia gigantów.

Nawróciłem na podjeździe i pomknąłem do Oszpicyna. Niosło mnie niezdrowe dziennikarskie podniecenie i jeszcze jeden pomysł na ten superważny dzień. Pomyślałem, że przydałby się na miejscu fachowy fotograf.

Naczelny jeszcze nie przyszedł, ale w redakcji siedział już Maciek Nowicki.

– Pan w jakiej sprawie? – spytał lodowato.

– Szukam człowieka – odparłem równie życzliwie. – Ale to na pewno nie pan.

– Daruj sobie, gościu, te żydowskie szmoncesy. Lepiej zacznij zapuszczać pejsy.

– Postanowiłem zrobić to po ubiciu pierwszego faszysty. Kłopot w tym, że znam tylko jednego. To twój kłopot, gościu.

– Nie strasz mnie – odparł, zaciskając zęby, co miało zapewne oznaczać wściekłość. Wyszło śmiesznie.

– Gdzież bym śmiał, chłopcze. Gdybyś jednak zanieczyścił sobie śliczne ubranko, przypominam, że toaleta jest tam.

Zaczerwienił się i chwycił ołówek jak sztylet. Wymierzył we mnie.

– Jeszcze sobie pogadamy! Mamy na ciebie oko! Nie potrzeba nam tu takich żydowskich dupolizów, rozumiesz? Trzeba z tym raz na zawsze zrobić porządek! Dokładnie tak: porządek! Dosyć brudu w tym mieście!

Wykrzykiwał te nieswoje frazy i zapalał się do wyimaginowanej pracy sanacyjnej, którą ktoś mu wcisnął jak kupon loterii fantowej.

Słuchałem tych sztucznych bzdur w roku dziewięćdziesiątym dziewiątym i myślałem, że nowe czasy nadchodzą. Nowe, czyli całkiem stare i znane w tym kraju niczym zły szeląg. Gładolicy młodzian w białej koszuli i krawacie, ze sfalowaną blond grzywką à la powstaniec warszawski, bardziej niż człowieka przypominał postać z propagandowego plakatu narodowców, podobnie też mówił. Jego ledwie co rozkwitłe człowie-

czeństwo natychmiast dobrowolnie zredukowało się do paru cepów pojęciowych zastępujących myślenie i wyznaczających zakres oraz sposób działania. Skąd oni się tu wzięli?

Czy to miasto jest na pewno odpowiednim miejscem do praktykowania nacjonalizmu? Oni jednak takiego pytania raczej sobie nie stawiali.

– Niedawno twoi starsi koledzy robili tu już porządek. I zrobili burdel nie z tej ziemi. Pomyśl nad tym, zanim się za cokolwiek weźmiesz. Gościu.

Poderwał się z tym ołówkiem i byłby się pewnie na mnie rzucił – na co czekałem z niecierpliwością, bo widziałem już jego rozkwaszoną facjatę – ale właśnie do redakcji wkroczył Karpiński.

– Cześć pracy! – zawołał i na nasz widok zatrzymał się w pół kroku. – Jakiś problem?

– Nie – odparłem spokojnie. – Kolega Nowicki ma tępy ołówek i pyta, gdzie ma go sobie wsadzić, żeby się naostrzył. Właśnie chciałem mu zademonstrować...

– Jeszcze się policzymy – warknął władca ołówka i usiadł.

– Pod warunkiem, że umiesz liczyć – odparłem z uśmiechem i odwróciłem się tyłem. – Jedzie pan ze mną?

– Dokąd?

– Na poszukiwanie skarbu. Potrzebny aparat i kanapki.

– A łopatkę nie trzeba?

– Jest już na miejscu.

– Kiedy?

– Teraz. Już.

Zerknąłem przez ramię, by się przekonać, czy moje słowa dotarły do uszu Nowickiego. Chłoptaş udawał, że coś robi na biurku i słuchał chciwie. Karpiński porwał z szafki torbę z akcesoriami fotograficznymi, po czym wyszliśmy razem bez pożegnania. Nowicki skrupulatnie pisał.

Przy samochodzie nagle przypomniałem sobie o notatkach zostawionych rzekomo w redakcji i pobiegłem z powrotem. Zgodnie z moimi przypuszczeniami narodowy chłoptaş Nowicki szeptał coś do słuchawki telefonu. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił się gwałtownie i zakasłał, po czym szybko się rozłączył.

– Kabel do telefonu musi być, co, gościu? – rzuciłem wesoło.

Otwarł usta, ale nie dałem mu czasu na odpowiedź. Wyszedłem, zatrząskując głośno

drzwi.

Na obwodnicy praca szła w najlepsze. Na pasie ruchu od strony stawu ustawiono ciężki sprzęt oraz pakamery dla robotników z wielkimi napisami PREZBUD. Dwie trzyosobowe ekipy zajmowały się oznaczaniem terenu za pomocą palików i sznurków, dwóch operatorów debatowało przy olbrzymiej koparce na gąsienicach, a między nimi chodził inżynier z plikiem papierów i podkładką do pisania pod pachą i rozmawiał cicho przez telefon komórkowy. Jak na awaryjną i ekspresową przebudowę nie był to zbyt liczny zespół i podzieliłem się tą obserwacją z Karpińskim. Siedzieliśmy na grobli po drugiej stronie stawu i przyglądaliśmy się całej operacji zza krzewu kaliny.

– Nie chcę mieć zbyt wielu świadków.

– Myślisz, że o to chodzi? – dopytywał naczelny. – Może po prostu oszczędzają na sile roboczej? Wiesz, warunki mamy teraz kapitalistyczne.

Inżynier podszedł do operatorów i jednemu z nich zaczął coś tłumaczyć, to machając ręką pod siebie jak czerpakiem, to pokazując na groblę za rowem. Po drodze zastanawiałem się, co oni właściwie chcą zrobić, i obserwując ruchy inżyniera oraz rozstawu palików ze sznurkami, domyślałem się rozwiązania.

Zneutralizowanie niewłaściwego profilu zakrętu śmierci miało polegać na poszerzeniu nasypu w taki sposób, by łuk rozpoczynał się pięćdziesiąt metrów wcześniej i szedł po łagodniejszej krzywej, co w najbardziej newralgicznym miejscu poszerzało drogę niemal o połowę.

Wyasfaltowane pobocze pozwalałoby na wytracenie prędkości i większą możliwość manewru w przypadku poślizgu. Od góry grunt miał być umocniony kamieniami, ale podstawę poszerzenia należało usypać z ziemi. Moje wyobrażenie pozostawiało wiele do życzenia, ale luki w planie mnie nie dziwiły. Przecież tak naprawdę nie chodziło o drogę, tylko o to, co pod nią. Jak tę część planu mieli zamiar rozstrzygnąć, nie umiałem zgadnąć. Dlatego siedzieliśmy w ukryciu i obserwowaliśmy rozwój wydarzeń.

Po godzinie ogarnęła nas nuda. Ludzie chodzili, wymierzali, coś tam postukiwali, robota jednak nie posuwała się do przodu. Z obu stron na obwodnicy zaczął się robić korek. Samochody osobowe zwalniały do minimalnej prędkości, a kiedy nadjeżdżała ciężarówka, z drugiej strony zatrzymywano ruch i przepuszczano ją na specjalnych zasadach.

Wyglądało to dosyć amatorsko.

– Wojtek, powiedz mi – zaczął Karpiński, kiedy już zjadł obie kanapki i wypił butelkę coli. – Czemu to się tu stało?

Słońce dochodziło do zenitu i robiło się gorąco. Pierwszy sierpnia.

Kolejny letni dzień, piękny jak wspomnienie z dzieciństwa, kiedy jeździło się do babci na wieś, biegało po łąkach za motylami i drapało kolana o szorstkie trawy. W takie dni nie potrafisz myśleć inaczej o świecie niż jak o cudzie istnienia. Z podmuchem ciepłego wiatru na twarzy i krzykiem dzikich kaczek w uszach jesteś częścią pięknego i dobrego życia. Koniec kropka. A ten tu wyskakuje z pytaniem o dno piekła.

– Ale co konkretnie?

– No wiesz – pokazał ręką na zachód – cały ten obóz i Holokaust.

Żyję tu od urodzenia i nie ma dnia, żebym się nie zastanawiał. Jakby coś, nie wiem, wisiało w powietrzu.

– Bo wisi.

– Ale przecież to było nienormalne! Obłąkane! Jakby nagle cała ludzkość oszalała i cofnęła się do samego początku, do jakiegoś zwierzęcego barbarzyństwa, elementarnego bełkotu ciemnych sił.

– Tak pan myśli?

– Dajże spokój z tym panem. Janusz jestem.

– No dobrze. Więc myślisz, że to nienormalne? A może przeciwnie? Może musiało tak być?

– Ale co? Ludobójstwo?

– Tak. Należało do porządku kosmosu, jak planety, gwiazdy i ruch galaktyk.

– To znaczy, że zabijamy, bo musimy?

Z wody przed nami wyskoczyło grono małych rybek, które plusnęły radośnie na wszystkie strony i znikły. Krąg fal rozchodził się przez kilkanaście sekund jak wspomnienie po tych maleńkich żwawych stworzonkach i natychmiast znikł jak one. Woda wygładziła się i wróciła do swojego monotonnego chlupotu o brzeg. Pokazałem palcem na staw przed nami.

– Wiesz, co to było?

– Nie.

– Atak drapieznika, szczupaka albo okonia. Te wyskoczyły nad powierzchnię i się uratowały, ale jedna została tam na dole, uwięziona w jego pysku. My widzieliśmy tylko te żywe.

Z uśmiechem przyglądałem się, jak naczelnny myśli.

– Aha, fajnie – odparł po chwili. – Śmierć jest składnikiem życia.

Kto żyje, ten umiera. Superodpowiedź, wielkie dzięki. Masz więcej takich mądrości? Pytałem poważnie.

– Nie zzymaj się, Januszk. Słyszałeś o teorii strun? Jedną z jej konsekwencji jest przekonanie o absolutnym determinizmie nie tylko ludzkiego życia, ale i całego wszechświata. Równowaga energetyczna opiera się na superprecyzyjnych wyliczeniach wzajemnych zależności i oddziaływań, do tego stopnia, że zmiana w obrębie jądra jednego atomu może w dalekiej przyszłości doprowadzić do katastrofy i końca wszystkiego. Dosłownie. Inaczej mówiąc, wszystko, co się wydarza, MUSI się wydarzyć, dla naszego dobra.

– Chcesz powiedzieć, że musieliśmy tu, w Oszpicynie, spalić w piecach milion ludzi, żeby kosmos mógł dalej trwać? Dobrze się czujesz?

– Moje samopoczucie nie ma tu nic do rzeczy. Mówię tylko, że nie mamy pojęcia, co by się stało z nami i z całym światem, gdybyśmy na przykład mogli cofnąć historię i zapobiec zagładzie środkowoeuropejskich Żydów.

Karpiński przystawił teleobiektyw do oka, coś tam pokręcił, popatrzył na budowę naprzeciwko i odłożył sprzęt.

– Mówisz jak domorosły wyznawca Hegla – oznajmił. – Duch ziemi panuje nad wszystkim, pilnuje równowagi energii i gdy zbliża się kosmiczne zagrożenie, organizuje Holokaust. Nie wydaje ci się, że takie ludobójstwo to właśnie naruszenie harmonii, a nie jej obrona?

– Nie wiem. Nie jestem astrofizykiem.

– Jesteś wariatem, Wojtek. Kompletnym wariatem. Ilekroć o nich myślę, słyszę ten płacz nad głową, wielki jęk powietrza nad Oszpicynem, i myślę sobie wtedy, że spokojnie oddałbym życie, by tamto cofnąć.

– Ja też, szefie. Ale to niczego nie zmienia. Twoja gotowość niczego nie wnosi do kalkulacji losu i jest zaledwie efektownym lamentem nad dokonaniem. Nie cofniesz tego, po prostu się nie da.

– Ale można mówić o tym jako o potwornej aberracji, a nie kosmicznej równowadze. Po prostu.

– Rozumiesz jak dobry człowiek. Ale powtarzam: to niczego nie zmienia.

– A ty mówisz jak bezduszny automat. Idź do psychiatry.

– Poszedłem. Nic nie zrozumiał. Kazał mi chodzić na basen i dobrze się odżywiać. I regularnie uprawiać seks. To ostatnie było nawet fajne.

Znowu plusnęła rybka. Naczelny wydał wargi i cmoknął.

– Nie wolno ci tak mówić, to bluźnierstwo. Obrażasz pamięć tamtych ludzi.

– Ja? – obruszyłem się teatralnie. – Ja obrażam? Po prostu usiłuję ci wytłumaczyć, że jeśli myślisz w skali globalnej, do niczego sensownego nie dojdiesz. A twój problem będzie rósł i bolał. Dobrze, spróbuję inaczej. Wiesz, kto teraz siedzi u ciebie w redakcji? Twój koleś stanowi doskonały przykład na to, że elementarny bełkot ciemnych sił, jak to raczyłeś nazwać, jest odwieczny.

– To nie mój koleś.

– To po co go zatrudniłeś?

– Łopatko mi kazał.

– Rozumiem. Zanim przyszedłeś, posłuchałem trochę tego bełkotu i przez chwilę myślałem tak jak ty: że się cofnąłem o dziesięć tysięcy lat, do samego początku. Z mroku wyłania się coś ponurego, bez twarzy i jeszcze bez myśli, ale już mówi o robieniu porządku i usuwaniu innych.

Zrozum, gdyby istniał jakikolwiek postęp w człowieczeństwie, w moralności, w uczeniu ludzi dobra, ba, w wyciąganiu najprostszych wniosków z niedawnych w końcu doświadczeń, to ten mydłek nie miałby prawa tak mówić. Ale mówił, i to z przekonaniem. No więc co?

Aberracja? A może jednak zasada świata?

Zerwałem listek szczawiu i zacząłem żuć. Był już trochę twardy i łykowaty, ale ciągle kwaśny. Janusz wygrzebał z ziemi kamyk i wrzucił do wody. Począł, aż powierzchnia się wygładzi.

– On nie jest taki zły. Jasne, ma lekkie odchylenie prawicowe, ale bez przesady. Czasem mówi całkiem rozsądne rzeczy, na przykład że trzeba by wszystkich ludzi...

– No widzisz – przerwałem mu. – Od razu wszystkich ludzi. Zaraz cała ludzkość. „Bo ja, dwudziestoletni uczeń ideologii, zrozumiałem zasadę świata i powiem wam, jak ma być i co kto ma robić”. To w prostej linii prowadzi do dzielenia nas na ludzi, podludzi i nieludzi. Ci mogą żyć, a tamci nie.

– To znaczy, że o tej zasadzie świata mówiłeś trochę ironicznie...?

– spytał niepewnie.

– Mniej więcej. Ale chodziło mi o coś innego. O perspektywę indywidualną, o jednostkę, po prostu jednego człowieka. No, powiedzmy dwóch. Albo sześciu.

– Dlaczego akurat sześciu?

– Sam się domyśl, szefie. Ty dobry człowieku.

Znowu zapadła cisza i mogliśmy zająć się słuchaniem brzęczenia owadów i szelestu sierpniowego wietrzyku w liściach kaliny. Zmęczenie po wczorajszych ekscesach spłynęło na mnie jak końska dawka środka uspokajającego, więc położyłem się na trawie i zamknąłem oczy. Cudne lato. Upał zakradał się do cienia ciepłymi jęzorami, lizał twarz, włosy, ręce, okrywał niewidzialnym kocykiem i kołysał do snu. Poczułem na wargach smak tamtego lata, równie upalnego i słodkiego jak cukierek ze sklepu na rogu, gdzie mama co rano posyłała nas po bułki i mleko.

Najlepsze były te anyżowe, zwane sztolwerkami, albo te złote z imbirem, który trochę szczypał i nie dało się po nim napić. Mama zapisała nas na półkolonię i trochę mi się nie chciało. Płakałem. Wtedy tata obiecał kupić nam dmuchane kółko...

Nam?

– Co wy tu robicie?

Nade mną stał aspirant Mariusz Węgrzyn w błękitnej koszulce z krótkimi rękawami i ciemnymi pagonami na ramionach oraz policyjną czapkę na głowie. Wystroił się jak na wesele kolegi z komendy.

– Zażywamy zasłużonego odpoczynku na łonie natury – odparłem i zamknąłem z powrotem oczy. Szkoda mi było tamtego snu.

– Tu nie wolno siedzieć, idźcie sobie gdzie indziej zażywać – stwierdził stanowczym głosem i na poparcie powagi swojej porządkowej misji założył palce prawej ręki za pasek od spodni. Czarnych spodni.

Otwarłem jedno oko i zerknąłem na niego.

– Nie wygłupiaj się, Mariusz. Siadaj i też sobie dychnij. Na razie nic się nie dzieje.

Nie poruszył się, ale jego marsowe oblicze stróża porządku nabrało nowych odcieni.

– Niby co ma się dziać? – spytał. Palce zabębniły o skórę paska.

– Nie wiemy. Ale skoro policja pilnuje terenu, to pewnie coś ma się dziać. A ty nie wiesz przypadkiem?

Przestąpił z nogi na nogę i szukał zręcznej odpowiedzi, ale najwyraźniej nic mu nie przyszło do głowy, bo zostawił mnie i przyczepił się do Karpińskiego.

– Zdaje się, że już nie pracujecie razem. Pan też ma wolne?

– W zasadzie tak – odrzekł wyjaśniająco Janusz. – Postanowiłem wykorzystać wolny czas na filozoficzne zgłębianie odwiecznego determinizmu we wszechświecie. Słyszałeś, młody człowieku, o teorii strun?

– Nie możecie tu siedzieć. Teren budowy objęty jest strefą ochronną, zabezpieczającą przed ingerencją niepożądanych osób w niebezpieczne prace ziemne. Mamy rozkaz usuwać gapiów z pola widzenia.

– A czyj to rozkaz, naczelnego archeologa? – spytałem, wstając, i Mariusz odsunął się o krok, ponieważ znalazłem się tuż przy nim.

Patrzył ze służbową surowością, ale jakoś bez przekonania. Nie dalej jak wczoraj przekonywał mnie, że te roboty drogowe to przykrywka dla kopania za skarbem, a teraz

odgrywał służbistę, który pilnuje porządku.

Wszystkich ich powaliło z tym porządkiem.

– Nie wiem, kogo masz na myśli. – Węgrzyn wzruszył ramionami.

– Radzę tylko, żebyście stąd poszli. Nie wolno tu nikomu siedzieć.

Powtarzam: nikomu.

Przy ostatnim słowie wlepił we mnie wzrok z jakimś znaczącym podtekstem, nie umiałem go jednak odczytać. Być może on sam nie wiedział, o co mu chodzi.

– Dobra, idziemy. I tak się tu chyba dzisiaj nic nie stanie. Chodzą, mierzą, czekają. Ciekawe na co, Mariuszu drogi. Ciekawe na co.

Spod wody znowu wyskoczyły maleńkie rybki. Naczelnny pokazał na nie i otrzepał spodnie na tyłku.

– Wiesz, co to było, Węgrzyn? Atak szczupaka. My tego nie widzimy, ale tam pod wodą właśnie ktoś zginął. Rusz pałą, gliniarzu, a pojmiesz wielką metaforę rzeczywistości. Tu się nic nie dzieje, ale tam – skierował palec pod nogi – dzieje się wszystko. A jakbyś się przegrzał przy tym myśleniu, wskocz do stawu i ochłodź reaktor.

Odwróciłem się i przygryzłem pięść, żeby się nie roześmiać.

Zbaraniały Mariusz Węgrzyn otwierał usta do odpowiedzi, ale Karpiński nie dał mu tej satysfakcji.

– Chodź, Wojtuś – powiedział wyniośle. – Niech glina idzie do gliny, my idziemy na piwo.

Odeszliśmy groblą w kierunku na Węgielnik i po pięćdziesięciu metrach Janusz klepnął mnie w łokieć.

– Dobrze mu powiedziałem, co?

– Świetnie. Nie jestem tylko pewien, czy wiesz, co właściwie powiedziałeś.

Zatrzymał się w pół kroku.

– A co ja właściwie powiedziałem?

– Wielką Metaforę Rzeczywistości – oświadczyłem uroczyście i obaj się roześmieliśmy. Gdy odeszliśmy na tyle daleko, by przekonać Węgrzyna, że naprawdę opuszczamy „strefę ochronną”, udał się na drugi koniec grobli, gdzie staw przylegał do ściany lasu. Podobno nazywano go Lasem Cygańskim. Na tle jego ciemnego wnętrza rosło trochę krzewów i uznałem, że to też całkiem niezłe miejsce na kryjówkę.

Droga do samochodu zeszła nam na ustalaniu, gdzie podają najlepsze piwo z beczki. Stańto na knajpie Podborzanka specjalizującej się w doraźnej regeneracji nadwątlo-

nych sił piłkarzy miejscowego klubu, której dodatkową zaletę stanowiło to, że znajdowała się najbliżej.

Dojechaliśmy na miejsce w piętnaście minut, z czego dwanaście spędziliśmy w korku na obwodnicy. Gdy przejeżdżaliśmy obok miejsca robót, zwolniłem i przyglądałem się palikom ze sznurkami. Wyznaczały niewielki kwadrat o boku około czterech metrów, obejmujący obie strony przydrożnego rowu. Zdziwiłem się, że to tak blisko. W dodatku przez środek kwadratu przechodził kanał odpływowy, wryty raptem pięć lat temu. Pojąłem, co się stało. Pięć lat temu kopali za płytko, należało wybrać ziemię jeszcze głębiej, aż do dna tamtego dawnego stawu. Dlaczego? Jedyne rozsądne odpowiedzi, jaka mi przyszła do głowy, brzmiała: zatopiona łódź. Odwróciłem się. Skrajem Lasu Cygańskiego w towarzystwie Mariusza Węgrzyna maszerowała wysoka kobieta w obcisłych spodniach do jazdy konnej i machała energicznie kościstymi rękami. Pani dziedziczka. Od razu zrobiło mi się raźniej.

– Myślisz o tym, co znajdują? – spytał półgłosem Janusz, kiedy już usiedliśmy na ławce w cieniu wielkiej lipy i chłodziliśmy dłonie na zroszonych szklanicach z piwem. Przy sąsiednich stołach kilku chłopaków z klubu głośno rozprawiało o ostatnim meczu. Rej wodził wysoki blondyn, podgolony nad uszami i z kosmykiem włosów na karku. Kretyńska moda wśród piłkarzy.

– W pewnym sensie – odparłem. – Zastanawiam się, co zrobią ze znaleziskiem, i wcale nie chodzi mi o żydowskie złoto.

– A o co?

– O kości. Gdzieś tam leżą obok tej skrzynki czy innej szkatułki.

Skarb powinien być w szkatułce, nie?

Łykaliśmy piwa i Janusz zerknął nieufnie.

– Chcesz powiedzieć, że tam jest jakieś cmentarzysko Żydów?

Zabili ich i pochowali razem ze skarbem?

– Dokładnie tak. Myślę nawet więcej. To są kości dzieci.

Głośno przełknął ślinę, a potem starał się zatrzeć ten niegrzeczny efekt obfitym łykiem piwa. Pomilczał, a kiedy dotarł do następnego wniosku, postawił pytanie godne dobrego człowieka.

– Czy to ta szóstka, o której mówiłeś? Tam leżą kości sześciorga żydowskich dzieci, zamordowanych i pochowanych razem z kosztownościami, tak? To chcesz powiedzieć? To dlaczego nie pójdziesz tam i po prostu nie powiesz im o tym? Rozumiem, dlaczego kojarzyłeś te dziecięce anomalie w Oszpicynie ze skarbem. One tam razem z tą szkatuł-

ką...

Zawiesił głos i kręcił głową, usiłując poukładać sobie w niej to, co właśnie wypowiedział na głos. Nie przerywałem mu znużonej pracy i spokojnie dopijałem piwo. Ja miałem już poukładane. Wszystkie kwadraciki wskoczyły na swoje miejsca jak w kostce Rubika, kiedy leżałem pod krzewem kaliny, i nagle zrobiło się we mnie cicho i przyjemnie. Ból głowy ustąpił. Szóstka dzieci z półkolonii zaginęła bez śladu, zostało po nich tylko zdjęcie na placu zabaw obok przedszkola, tuż przed wyjściem nad wodę. Jest lato 1939 roku, ale to nie koniec ich wspólnej historii, a właściwie dopiero początek. Później jeszcze raz się spotkają, w tym samym składzie, i prawdopodobnie w tym też składzie zginą, cała szóstka. To zdjęcie leżało na samym wierzchu teczki Henryka Hirsza i Sara najbardziej lubiła je oglądać. Na tym polegało wielkie zadanie dla mnie...

– Hej, śpisz? – szepnął Janusz. O coś mnie pytał, ale nie dosłyszałem.

– Nie, zamyśliłem się. Kurczę, za dużo tego wszystkiego. Nie zdążę. Przepraszam, ale muszę jechać. Podrzucę cię do miasta. Dasz się namówić jeszcze raz, powiedzmy jutro?

– Na piwo?

– To później. Na krzak kaliny.

– Jasne. Wiesz, Wojtek, jesteś całkiem porąbany, ale do pewnego stopnia przekonujący. Do bardzo wielkiego stopnia. I jeszcze jedno. – Popatrzył na drewniany blat stołu, jakby wśród jego słojów szukał natchnienia. – Przepraszam, że tak cię potraktowałem na początku.

Wiesz, to miasto...

– Wiem, to miasto. Wystarczy.

Dopiliśmy piwo, w barze kupiłem paczkę gum do żucia i wpakowałem od razu dwie do ust, żeby zabić zapach alkoholu.

W bramie zderzyliśmy się z Mariuszem Węgrzynem. Myślałem, że przyszedł nas nakryć na prowadzeniu pod wpływem, więc się odwróciłem bokiem, by nie poczuł. On jednak złapał mnie za łokieć i szepnął na ucho:

– Wybacz, stary, musiałem. Taki rozkaz. Bo wiesz, prywatnie to ja myślę co innego.

Poklepałem go po ramieniu i kazałem wyluzować. Zanim wsiadłem do astry, odwróciłem się. Węgrzyn odprowadzał nas smutnym wzrokiem i dałbym sobie rękę uciąć, że chętnie zrzuciłby z siebie ten pastelowy mundur i pojechał teraz z nami do miasta. Chyba ciągle nie wiedział jeszcze, po której jest stronie. Dlatego przepraszają. Dzień na

przeprosiny.

A przepraszać, przepraszać. Macie za co.

Wysadziłem Karpińskiego na osiedlu i pojechałem na ulicę Macierewicza 5. Profesor Stefanowski natychmiast wciągnął mnie do mieszkania.

– Czekałem na pana do północy – powiedział z wyrzutem. – Sara zresztą też. Jest bardzo o pana niespokojna.

– O mnie? – zdziwiłem się. Nie sądziłem, że mnie w ogóle pamięta. – Ona tu jest?

– Nie, na górze u Szwagrzykowej. Zaraz tam pójdziemy, ale najpierw muszę panu coś pokazać.

Wziął mnie energicznie pod łokieć i poprowadził do biurka w salonie, zasypanego papierami i dokumentami w sposób niezłe ilustrujący powiedzenie „pożar w burdelu”. Większość z tego stanowiły zbiory z archiwum Henryka Hirsza.

– Grzebałem tu trochę – powiedział przepaszającym tonem, jakby ktokolwiek mógł mieć jeszcze wątpliwości. Przekładał teczki z jednego rogu w drugi, co wcale nie poprawiało obrazu całości. Kopie dokumentów z pieczęcią w kształcie hitlerowskiej wrony mieszały się z fotografiami i odręcznie pisanymi listami nazwisk, niektóre teksty pisane były po hebrajsku. W jednym miejscu dostrzegłem nawet poplamiony zeszyt szkolny z wykaliigrafowanymi dziecięcym pismem kolumnami słów z jednej strony oraz dziwnymi znaczkami z drugiej, sugerującymi, że chodzi o podręczny słowniczek. Wziąłem go do ręki i przeczytałem nazwisko na okładce: Ester Posner.

Stefanowski nie słuchał moich usprawiedliwień co do wczorajszego wieczoru. Po prawdzie było mi to na rękę.

– Co nieco udało mi się ustalić – mrucał. – O, to na przykład powinno pana zainteresować. Zdjęcie pańskiego dziadka z hrabią Kublickim zostało zrobione nie przed wojną, ale już podczas okupacji.

Niech pan spojrzy na park w tle, widzi pan te schody? To zejście z ulicy Berka Joselewicza nad Sowę. Za schodami, nieco wyżej, widoczny jest nierówny plac na skarpie wspartej od strony rzeki kamiennymi podporami. Tu, widzi pan? Przed tą gładką ścianą kamienicy. Tej ściany do końca trzydziestego dziewiątego roku nie dało się stąd zobaczyć, ponieważ zasłaniał ją okazały budynek Wielkiej Synagogi, spalonej przez Niemców w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego listopada. Tylna ściana i fa-

sada stały jeszcze przez kilka miesięcy i to są te słupy, o, tutaj. Trzeba spojrzeć przez lupę, bo tło jest nieostre – wtrącił i podał mi szkło powiększające. – Uprzątnięciem gruzu zajęli się pierwsi więźniowie obozu założonego, jak pan zapewne wie, w czerwcu czterdziestego roku, a po synagodze został tylko skwer z kamienną posadzką pełniącą funkcję bruku, po którym ja jeszcze biegałem jako młody chłopak. To znaczy, że zdjęcie zostało zrobione prawdopodobnie jesienią czterdziestego, najpóźniej wiosną następnego roku.

– To nie jest to zdjęcie – powiedziałem powoli i zagapiłem się na twarze dwóch młodych mężczyzn. Tylko jeden z nich szeroko się uśmiechał. Stefanowski miał rację, rozpoznanie szczegółów gołym okiem sprawiało niemałe trudności. Przez lupę dostrzegłem za to kikuty ścian i filarów zburzonego budynku o sporych rozmiarach, natomiast na zdjęciu nie było pragi lady, o której opowiadał mi Henryk.

Abraham Zylbersztajn zrobił do obiektywu bardzo dziwną minę.

Zacisnął mięsiste wargi i wytrzeszczył oczy, zupełnie tak samo jak ja, kiedy chciałem przestraszyć w łazience przed lustrem Olę. Znałem tę minę doskonale, od dzieciństwa służyła mi zawsze do tego samego – wyrażania ogólnej odrazy do świata. Mama mnie za nią ostro strofowała, widocznie znajdowała w niej ułamek tego, jakże jej niechętnego, dziedzictwa, ja jednak ją lubiłem. Przydawała się. Przyglądałem się teraz identycznej minie dziadka Abrahama i nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu. Dobrze wiem, dziadku, co masz na myśli.

– Nie? – zdziwił się Stefanowski. – Ciekawe. O ile zdołałem się zorientować z notatek i niemiłosiernych bazgrołów Hirsza, po wybuchu wojny relacje Kublickiego i Zylbersztajna nieco się popsuły. To spotkanie na plantach stanowi ewenement. Przypuszczałem, że z tego powodu nasz nieodżałowany strażnik ospicyńskich Żydów popełnił błąd z datowaniem zdjęcia. Ale, jak widać, to ja popełniłem błąd. Po co w takim razie się spotkali? Nawiasem mówiąc, z całkiem pozytywnym skutkiem, skoro szczerzą zęby jak na reklamie pasty.

– Tylko hrabia – sprostowałem.

Stefanowski poprawił palcem wskazującym okulary na nosie i podrapał się po brodzie.

– Wie pan, trudno się dziwić. Szykowała się deportacja Żydów do Będzina i Sosnowca. Na pewno tacy ludzie jak Zylbersztajn świetnie o tym wiedzieli i nie było im do śmiechu. Ten grymas to wizja losu.

– Ojciec przeżył.

Profesor od historii podniósł na mnie oczy znad okularów.

– A co to zmienia? – spytał.

Nie odpowiedziałem. Od niechcienia przerzucałem papiery na biurku, niczego jednak nie umiałem odczytać z tego natłoku nazwisk, kolumn, twarzy, spojrzeń, uśmiechów... Na jednym ze zdjęć dwie dziewczyny pozowały w strojach skautowskiej organizacji syjonistycznej: malownicze kapelusze z podwiniętymi rondami, koszule, krawaty, górskie buty z owijaczami. Jedna z nich jest w spodniach i ma elegancko przerzuconą przez ramię pelerynę oraz długą laskę w ręku.

Stroje są dziarskie, ale z okrągłych, okolonych czarnymi lokami twarzy bije smutek i bezradność. Patrzą szeroko otwartymi oczami w obiektyw i widzą ciemność, która odbija się w ich wielkich czarnych oczach. Jak u Henryka. Całe zdjęcie przesiąknięte jest ciemnością i żałobą. Nie mogłem nie zadać sobie pytania, co się z nimi stało. Pytania tyleż nieuchronnego, co beznadziejnie retorycznego. Najbardziej w tych obrazkach przerażała mnie właśnie ta bezradność. Oni tam, po drugiej stronie, nie mogą nic zrobić i ja też nie mogę nic zrobić. Patrzą na nich, oni na mnie, i ćwiczymy się w niewiedzy. Archiwa pamiątek wcale nie dają wiedzy o przeszłości. Przeciwnie – pokazują, ile nie wiemy.

– Nie ma tam czegoś dla mnie? – spytałem, odkładając dziewczyny w kapeluszach na stos znikłych twarzy. – Jakieś zapiski Hirsza, notatki dziadka, pamiętniki, cokolwiek o tych moich dzieciach? Panie profesorze, sześcioro dzieci, taka mała grupka!

– Nie ma – odparł Stefanowski. – Rozumiem pana. Kiedy się widzi zdjęcia, zeszyty, listy, zapisane kolumny słów, to się oczekuje, że w interesującej nas sprawie też gdzieś musi być taki dokument.

Wystarczy go odnaleźć i wszystko się wyjaśni. A ja, panie Wojtku, jestem wystarczająco długo historykiem, by wiedzieć, że tak nie jest.

Przeszłość nas męczy i nie daje spokoju właśnie dlatego, że nie ma na wszystko dokumentów. Zresztą nawet gdyby były, i tak byśmy wszystkiego nie przeczytali. Trzeba by puścić czas jeszcze raz, od początku. Niektórzy nazywają to Sądem Ostatecznym.

– Dziękuję, bardzo mnie pan pocieszył – mruknąłem z niechęcią. – Nie ma to jak przekonujący argument, że nic nie da się zrobić.

Profesor Stefanowski uniósł brwi i łypnął na mnie z przekornym uśmiechem.

– Cieszy mnie pańska determinacja. W młodości też taki byłem i dzięki temu nie zmarnowałem całkiem życia. Ale to nieważne, co innego chciałem powiedzieć. Niech pan pamięta, że... – szukał odpowiednich słów – ...wszystko ma swoją cenę. Pasja też.

– Co pan ma na myśli?

– Ludzie z pasją często uważani są za wariatów. Gdy zrobią coś dobrego dla ogółu, zwycięstwo wynosi ich na piedestał. Większość z nich jednak cieżnie na starość w zgryzocie i poczuciu klęski. No i w samotności.

Opuścił głowę i zagłębił się w jakiejś ponurej myśli, a jego twarz nagle wydłużyła się jak afrykańska maska obrzędowa. Zrozumiałem, że mówi o sobie, o życiu historyka z pasją, które bynajmniej nie wyniosło go na piedestał. Teraz przeżywał gorzką samotność i przygotowywał młodszego kolegę na podobny los. Fajnie. Ale ja na razie nie miałem zamiaru tonąć w zgryzocie.

– Myśli pan, że one tam są? – spytałem, przechodząc do konkretów.

– Kto?

– No te dzieci. Tam, w stawie, gdzie zaczęło się kopanie z pomocą Łopatki.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? – obruszył się. – Nie wytłumaczyłem właśnie panu, że dokumentów w pańskiej sprawie brak?

Niech pan szuka, jeśli musi, ale proszę nie liczyć na wsparcie ludzkości w tych poszukiwaniach.

Moja sprawa. Teraz się okazuje, że jest jakaś „moja sprawa” i nikt mi nie może za bardzo pomóc, ale za to mam się liczyć z przegraną i ostracyzmem. Jeszcze fajniej.

– To po co pan chciał koniecznie ze mną rozmawiać i czekał wczoraj do północy? Razem z Sarą? Jak nic nie ma i nikt niczego nie wie, to dajmy sobie spokój. Idę pisać artykuły o budowie dróg w Małopolsce.

Po twarzy Stefanowskiego przemknął chytry uśmieszek.

– Spokojnie – powiedział. – Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być lepiej. – Spojrzał na stos zdjęć na biurku i dodał: – No, może prawie nigdy. Pana interesują dzieci, zresztą mnie też. I jak się okazuje, Hirsza również interesowały. Proszę spojrzeć na to.

Podetknął mi pod nos fotografię rodziny: matka, czwórka dzieci i na krześle druga kobieta, chyba służąca, z piątym dzieckiem na ręku.

Trudno było rozpoznać na pierwszy rzut oka, czy to rodzina żydowska, ze strojów w każdym razie to nie wynikało. Ot, zwykłe przedwojenne małomiasteczkowe mieszczaństwo.

– Tu. – Pokazał palcem profesor. Nad głową jednego z dzieci widniał dorysowany ołówkiem maleńki znak zapytania. – Jak pan widzi, przy pozostałych tego znaczka nie ma, tylko przy tym chłopczyku.

– Kto to jest? – spytałem, odwracając machinalnie zdjęcie. Na odwrocie, również ołówkiem, dopisano: „Chaim Kupperman”. – Myśli pan, że to jedno z nich?

– Nie widzę powodu, byśmy nie zrobili takiego założenia – odparł Stefanowski. – Zwłaszcza że założenie przeciwne i tak nas do niczego nie doprowadzi. – Znowu zaczął grzebać w stosiku i po chwili wyjął kolejną fotografię. – Ja już to zrobiłem i udało mi się znaleźć jeszcze dwójkę. Wiem, że to pana nie urządza, ale zawsze coś.

Na drugim zdjęciu zobaczyłem dwóch chłopców, zupełnie niepodobnych do siebie, ale w tym samym wieku. Jeden z nich miał jasne włosy, zmrużone od słońca oczy i krótkie spodenki na chudych nogach, drugi, w koszulce z długim rękawem i okrągłym kaszkiecie na głowie, miał czarne włosy i duże okrągłe oczy. Siedzieli na kucyku, którego uzdę trzymał w ręku wyrostek w połatanej bluzie i na bosaka.

Blondyn na przedzie. Nad czapką chłopca z tyłu widniał podobny znak zapytania. Odwróciłem kartonik: „Josele Kruger”. Trzecie zdjęcie pokazywało trzy dziewczynki w ogrodzie przy płocie, najmłodsza z nich trzymała za rączkę starszą, bardzo do niej podobną. Spośród tych trzech tylko ona jedna, najmniejsza, miała nad głową znak zapytania.

Odwróciłem: „Lora Blichstein”.

Patrzyłem na nią i z samego dna mojego żołądka zaczął się podnosić ciemny kłęb. Szedł do góry i zaciskał mijane mięśnie, aż dotarł do gardła. Przełknąłem głośno ślinę i potarłem czoło. Już ją kiedyś widziałem. Jasne, uśmiechnięte oczka, blond włosy z kokardką i sukienka do kolan. Też trzyma kogoś za rączkę, ale nie starszą siostrę, tylko dorosłą dziewczynę. Panią. Wychowawczynię na półkolonii.

Odłożyłem zdjęcie i zacząłem szybko przerzucać stosik.

– Tu powinno być jeszcze takie – mówiłem, grzebiąc w twarzach i ubiorach. – Dzieci na placu zabaw, z opiekunkami, idą nad rzekę, jedna z dziewczynek trzyma dmuchane kółko... – Wertowałem fotografie, ale akurat tej jednej, którą przed pięciu laty pokazywał mi Henryk Hirsch, nigdzie nie było. – To wszystko? Nie ma gdzieś innej teczki?

– Coś się panu poskładało? – spytał Stefanowski, wyjmując mi plik z ręki.

– Tak! Ta dziewczynka. Jest też na innym zdjęciu, z grupą z półkolonii. „Żydowskie przedszkole”, powiedział Henryk. Dzieci z tak zwanych dobrych domów...

Profesor zrobił zakłopotaną minę i zaczął razem ze mną przerzucać fotografie. Znowu zawirowali mi przed oczami ze swoimi pozami, uśmiechami, wyprasowanymi koszulami, dłońmi ułożonymi na poręczach krzeseł, pociechami trzymanymi na rękach jak największy skarb. Przedstawiciele zaginionej cywilizacji, mieszkańcy ospicyńskiej

Atlantydy, bohaterowie niezapisanej przez nikogo historii. Dowody na nieistnienie.

– Nie przypominam sobie – mamrotał do siebie Stefanowski, gdy po raz drugi zaczęliśmy przeglądać to samo. – Prawda, coś pan wtedy wspominał o tym dmuchanym kółku.

– Może Sara wzięła zdjęcie? – zaryzykowałem tezę. – Lubiła się nim bawić.

– Może. Najlepiej będzie, jak po prostu pójdziemy do niej i spytamy.

Odłożył na stół plik zdjęć i wziął mnie pod ramię. W przedpokoju zatrzymał się i przed otwarciem drzwi na klatkę schodową powiedział cicho, unosząc palec:

– Tylko proszę uważać ze wspomnieniami. Ona jest wrażliwa na przeszłość. Bardzo wrażliwa.

Skinąłem głową. Chyba wiedziałem, o co mu chodzi. Też robiłem się wrażliwy na przeszłość.

Jeszcze lepiej zrozumiałem prośbę Stefanowskiego, gdy ujrzałem Sarę. Pięć lat temu była dzieckiem, a teraz, kiedy pani Szwagrzykowa uchyliła drzwi i wprowadziła mnie do małego pokoju, stanęła przede mną dorosła kobieta. Te same rysy, ale już pewniej ukształtowane, podkreślone, dokonane i ostateczne. Patrzyłem w jej nieruchomą twarz i myślałem, że mam przed sobą syntezę wszystkich tamtych twarzy, które parę minut temu zobaczyłem na dziesiątkach fotografii.

I załęcznionych skautek w mundurkach, i uśmiechniętego rodzeństwa Kuppermanów, i poważnego ucznia chederu na kucyku, a nawet starego rabina z brodą i w drucianych okularach. Wszyscy oni patrzyli na mnie jej oczami. Długi i lekko załamany na środku nos Sary Hirsch był jak podpis Stwórcy.

– Pamiętasz mnie? – spytałem i wyciągnąłem rękę na powitanie, ale ona podeszła i pocałowała mnie w policzek. Zaskoczony, stałem jak kołek, dopóki pani Szwagrzykowa nie podsunęła mi taboretu. Usiadłem, a Sara spoczęła na dziecięcym tapczaniku, obok rozłożonej książki.

Domyśliłem się, że gospodyni oddała jej pokoik zaginionej Monisi.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie w milczeniu, bo po prawdzie nie wiedziałem, co powiedzieć. Dziewczyna naprzeciwno podziałała na mnie jak środek odurzający. No dobrze, powiem to: jak narkotyk. Nie, nie uważałem jej za oszałamiająco piękną, przynajmniej nie wtedy.

Przyciągało mnie w niej to magiczne ucieleśnienie, ta obecność wszystkich nieobecnych, którą czuło się niemal fizycznie. Nawet trochę Henryka. Patrzyłem i patrzyłem, a w mojej głowie znowu ruszył kołowrót myśli, twarzy, obrazów, głosów. Krew zaczęła pulsować w skroniach. Już wiedziałem, że nadchodzi tamten doskonale znany mi ból.

– Saro – zacząłem bardzo ostrożnie, żeby nie zburzyć wyjątkowo kruchej sytuacji. – Pamiętasz takie zdjęcie z dziećmi na placu w przedszkolu? Lubiłaś je oglądać tam – pokazałem ręką za siebie – w tamtym mieszkaniu.

Mówiłem powoli i szeroko otwierałem usta, ponieważ wiedziałem, że czyta z ruchu warg. Przyglądała się z uwagą, a potem zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Uznałem, że nie zrozumiała, i powtórzyłem pytanie, dodając:

– Sześcioro dzieci, wśród nich dziewczynka z dmuchanym kółkiem. Na pewno pamiętasz. Leżało na wierzchu pudła w kącie obok pieca. Rozumiesz, co mówię?

Sara najpierw przytaknęła, a potem kilkakrotnie zaprzeczyła, kręcąc głową. Tak, rozumie. Nie, nie pamięta. Skonsternowany spojrzałem na profesora.

– Musi pamiętać – stwierdziłem, choć taka uwaga w jej obecności była nieuprzejma.
– Sam widziałem, jak je wyjmowała z pudła i oglądała z uwagą. Henryk mówił, że na to lubi patrzeć najbardziej.

Stefanowski przytakiwał niespiesznie, ale nie komentował moich rewelacji. Z odsieczą przysłała mi pani Szwagrzykowa.

– Ona czasem tak ma – wyjaśniała. – Siedzi i patrzy. Stupor taki na nią przychodzi. Nic nie słyszy i nie widzi.

Niewiele nam to wprawdzie wyjaśniało, ale pozwoliło zażegnać niezręczne napięcie. Sara nie wyglądała wcale na kogoś, kto właśnie wpadł w stupor i nic nie kojarzy. Przeciwnie, siedziała naprzeciw mnie i uśmiechała się wyczekująco, jakbym miał zaraz wygłosić sprawozdanie z ostatnich pięciu lat. W tym jej wyczekiwaniu kryła się jakaś nadzieja.

W pokoju za ścianą rozległ się rumor, a następnie gruchnęła z głośników muzyka. Chyba Metallica. Pani Szwagrzykowa zaklęła po kucharsku i wyszła zrobić z tym porządek, a ja uświadomiłem sobie, że jej dzieci też rosły przez te lata i teraz są nastolatkami, ze wszystkimi przynależnymi im atrybutami, jak właśnie było słyhać zza ściany.

Tylko Monisia nie rosła, o czym mogłem przekonać się wczoraj na cmentarzu. Nie rosła, ale uczyła się pilnie. O tym jednak nie mogłem powiedzieć Szwagrzykowej.

Wraz ze wspomnieniem dzieci na cmentarzu nagle mi zaświtało.

– Saro, czy mówi ci coś nazwisko Chaim Kupperman?

Dziewczyna drgnęła. Rzuciła mi niepewne spojrzenie i odwróciła twarz ku oknu. Włosy zafalowały jak czarna trawa. Nie wiedziałem, co to za odpowiedź, więc brnąłem dalej.

– A Josele Kruger? Lora Blichstein?

Zgarbiła się. Wąski kosmyk spłynął z czoła i zakołysał się w takt cichego spazmu. Nie rozumiałem, czy płacze, czy raduje z mojego odkrycia, mocno czułem za to za plecami obecność Stefanowskiego.

– Saro? – spytałem cichutko. – Saro, czy to oni?

Kosmyk czarnej trawy zakołysał się szybciej, a spod niego wydobył się szloch i Sara Hirsch skuliła się jak po uderzeniu w brzuch. Jej prawa ręka powędrowała do ust, usły-

szalem jęk i dziewczyna osunęła się na podłogę, niebezpiecznie blisko żeliwnego kaloryfera, więc skoczyłem i schwyciłem ją za ramiona. Zapierała się, nie mogłem jej odwrócić.

Kiedy wreszcie mi się to udało, zobaczyłem oczy wpatrzone we mnie z przerażeniem i wciśniętą do ust pięść.

– Saro! – Potrząsnąłem nią.

To, co się działo, było całkiem bezsensowne. Pytałem ją, a ona nie mogła odpowiedzieć. Próbowwała coś przekazać, ale nie rozumiałem.

Kompletnie niezborne. Wziąłem z dziecięcego biurka kartkę i ogryziony długopis i podsunąłem jej pod nos. Położyłem na blacie i stuknąłem palcem. Pisz!

Nie reagowała. Pochłaniała mnie swoją ciemnością w oczach i poruszała głową w obie strony jak katatoniczka. Jak na starych rycinach ilustrujących wypędzanie demona. Wciągnąłem powietrze i wypuściłem z głośnym sapnięciem. W skroniach rozżarzał mi się czerwony drucik.

– Saro, bardzo cię proszę. Tu jest kartka i długopis, napisz mi pozostałe nazwiska. To ważne, prawda? Muszę je wszystkie mieć, zgadza się?

Pokręciła głową, a potem skwapliwie potaknęła. Nie, nie napiszę.

Tak, musisz mieć wszystkie.

– Dopóki ich nie zdobędę, to się nie skończy, czy tak?

Kiwnęła z westchnieniem. Jej głowa przestała drżeć, kosmyki włosów uspokoiły się. W mojej głowie przeciwnie – zaczął się karnawał bólu.

– To dlaczego ich nie napiszesz? Pokaż na fotografii albo liście zaginionych, którą sporządzał Henryk. Nie chcesz?

Zaprzeczenie.

– Nie możesz?

Potaknięcie.

Nie wiedziałem co dalej, więc na moment zapadła cisza. Za mną sapał cicho Stefanowski. Czekałem, aż się jakoś włączy w to przesłuchanie, ale on milczał. Nerwowo zastanawiałem się, o co pytać po ustaleniu, że dziewczyna zna brakujące nazwiska, ale mi ich nie powie. Odpowiedź przyszła szybko.

– Saro – szepnąłem. – Mam je znaleźć sam, tak?

Gwałtownie pokiwała głową. Tak! Tak! Masz je znaleźć sam!

– To moja robota!

Ostatnie zdanie powiedziało mi się samo, bezwiednie, jak pętelka zaczepiona o poprzednią rozmowę, tę z zaginionym dzieckiem o północy na cmentarzu żydowskim. Odwróciłem się do Stefanowskiego.

– Panie profesorze, wracamy do teczek Henryka. Tam musi coś jeszcze być.

– Obawiam się, że nie ma pan innego wyjścia. – Wzruszył ramionami, wciąż wpatrzony w dziewczynę.

Powoli się uspokajała. Objęła się rękami i oddychała płytko. Jej twarz wydłużyła się, dolna warga opadła nieco i upodobniła ją do starego Hirsza. Może jednak Sara była jego rodzoną wnuczką? W tamtej chwili, zanim wpadła do nas z powrotem rozmocjonowana Szwagrykowa z kategorycznym nakazem zostawienia „jej dziecka” w spokoju, po raz pierwszy pomyślałem, że Sara jest piękna. Stąd już był tylko krok do tego, co się później podziało.

– Dosyć! Zostawcie moje dziecko! – nakrzyczała na nas matka Polka z wieloletnim stażem. – Prosiłam pana, panie Piotrze! To taka wrażliwa dziewczyna. Kłębek nerwów! No idźcie już, idźcie.

Ujęła mnie pod łokieć i wywiodła z pokoju. Od progu spojrzałem przez ramię na Sarę. Nie patrzyła na nas, tylko gdzieś w pustkę.

W ciemność. Na jej ustach błąkał się słaby uśmiech. Wyglądała trochę jak nawiedzona, a trochę jak święta. Wyszedłem.

Kiedy Szwagrykowa popychała mnie lekko w plecy i powtarzała, że „dosyć męczenia jej dziecka”, miałem ochotę odwrócić się i opowiedzieć, co widziałem poprzedniej nocy na cmentarzu. O tym, jak jej prawdziwa córka wznosiła obelisk i wcale się nie męczyła, przeciwnie, wyglądała na szczęśliwą. Nie zrobiłem tego. Mogłaby mi uwierzyć, a wtedy miałbym nowe kłopoty. Poza tym zrozumiałem, że ta kobieta dokonała jakiejś wewnętrznej podmiany i znowu ma pięcioro dzieci, co pozwoliło jej poradzić sobie ze stratą. Nie ma Monisi, jest Sara. Trochę bez sensu byłoby tłumaczyć jej, że Monisia też jeszcze jest.

Gdzieś tam, dokąd czasem zaglądam.

Stefanowski spakował mi teczkę z materiałami po Hirszu i wcisnął pod pachę z zaleceniem, żebym poważnie zgłębił je na użytek swojego zadania. Tyle to i ja wiedziałem. W zamian chciałem go zapytać, dlaczego wszyscy tak ochoczo namawiają mnie do tego „zadania”, jak to nazywają, a sami niewiele w tej sprawie robią. Wszyscy wkłó chcieli, żebym TO zrobił, choć nikt nie umiał nawet nazwać tego czegoś. Strach?

Niekompetencja? Asekuracja? Bezsilność? Cokolwiek to było, miałem załatwić

sprawę sam. Ewentualnie z pomocą duchów. Bagatela.

Przez kolejne trzy dni na placu budowy na obwodnicy nic się nie działo. Koparki kopały, robotnicy z łopatami coś dłubali i przesypywali, samochody z kierownikami i prezesami przyjeżdżały i odjeżdżały. Niby wszystko odbywało się normalnie, zgodnie z zaplanowanym frontem robót, jak to kiedyś nazywano, niemniej jakby nie do końca naprawdę.

To widać, czy ludzie pracują z przekonaniem i w pośpiechu, czy na odwal się i dla pozorów. Ci pracowali dla pozorów. Prawdziwa praca odbywała się gdzie indziej i zrozumiałem to dopiero na trzeci dzień, gdy zauważyłem, że wybrana w jednym miejscu ziemia została wsypana z powrotem po to, by następnego dnia można ją było znowu wybierać.

Obserwowałem to wszystko z nowego punktu widokowego, jaki stworzyłem sobie na strychu starego młyna w Podborzu. Budynek od lat stanowił malowniczą ruinę w postaci wielkiej skorupy z dwoma rzędami prostokątnych dziur po oknach, pustej w środku, nie licząc dwóch betonowych przegród niewiadomego przeznaczenia. No i drewnianej platformy u szczytu dachu, gdzie dało się wdrapać po ścianie, wykorzystując resztki dawnych żelaznych schodów i otwory po belkach stropowych. Tam właśnie ulokowałem się z małą lunetą strzelniczą, pożyczoną przez Stefanowskiego z magazynu szkoły, która znakomicie nadawała się do obserwacji obwodnicy. Bliżej podejść już nie mogłem – policjanci i wynajęci ochroniarze skutecznie odstraszaali gapiów.

Jedynym sposobem na rzucenie okiem z bliska był przejazd samochodem przez czynny pas ruchu, co uskuteczniałem codziennie, bez większych efektów. Widok z dachu starego młyna dawał większe korzyści.

Dopiero pod koniec trzeciego dnia wpadłem na to, co powinno być dla mnie oczywiste od początku. Siedziałem do późnego popołudnia, aż ostatni robotnicy odłożyli narzędzia i udali się do pakamery, by zmienić ubrania robocze i pójść do domów. Składałem już lunetę, gdy zauważyłem, że jeden z ostatnich maruderów wymknął się cichaczem z przebieralni i wskoczył z powrotem do rowu. Zniknął na kilka minut, po czym został stamtąd wywleczony przez dwóch innych. Ci odprowadzili go jak więźnia do baraku i wepchnęli do środka. Bronił się i szarpał, ale potraktowali go ostro i z profe-

sjonalizmem wykidajłów.

Obaj mieli na głowach kaski z latarkami czołowymi i po odprawieniu tamtego zeszli do wykopu. Czekałem następny kwadrans, ale oprócz ostatniego robotnika, chyłkiem umykającego na przystanek autobusowy, nikt więcej się nie pojawił. Olśniło mnie. Prawdziwe roboty trwały nie w dzień, ale w nocy! Siedziałem aż do zapadnięcia głębokiego zmierzchu, ale teren wyglądał jak opuszczony. Prawie, ponieważ co kilka minut wzdłuż drogi przechadzali się ochroniarze.

Schodziłem ostrożnie z mojego punktu obserwacyjnego, myśląc o sobie jako skończonym idiocie, który zakładał, że poszukiwacze skarbów będą kopać w biały dzień, w obecności robotników. Widoczne na zewnątrz prace ziemne służyły tylko jednemu: przygotowaniu terenu pod właściwe wykopy, gdzieś tam pod drogą albo groblą.

Prawdopodobnie w miejscu, w którym znajdował się zaznaczony taśmą kwadrat. Kopali. W dokładnie wybranym miejscu, pod osłoną nocy i wynajętych goryli. A potem w całkowitej tajemnicy zamierzali wywieźć znalezisko w nieznane, prawdopodobnie za granicę. Z całą pewnością w swoich planach nie uwzględniali tego, że miejsce może być również grobem. I z całą pewnością był to kardynalny błąd.

Podkradłem się do wykopu od strony grobli, za osłonę miałem zaparkowaną tam żółtą koparkę z napisem CAT. Szedłem w ciemnościach po omacku, chwytalem się trawy i szuwarów. Dwa razy udało mi się zejść za nisko i wlałem w wodę. Moje sportowe pumy nasiąkły i przy stawianiu kroków piszczały jak nadepnięte myszy, więc szedłem bardzo wolno. Zza niewielkiej kępy krzaków miałem już dosyć dobry widok na zamaskowane pod drogą wykopalisko.

Miejsce nakryli brezentowym namiotem, podpartym aluminiowymi rurkami, co upodabniało całą scenerię do stanowiska archeologicznego.

Znajdowało się około trzech metrów poniżej poziomu drogi, więc nie dało się go zobaczyć ani z przejeżdżającego samochodu, ani z dachu młyna. Obejmowało oba brzegi głębokiego rowu i schodziło jeszcze niżej, skoro światelka lamp błyskały na impregnowany materiał od spodu. Były to krótkie, przypadkowe błyski, kiedy ktoś nieopatrznie uniósł głowę zaopatrzoną w czołówkę, potem na dłuższą chwilę zapadała ciemność, z czego wywnioskowałem, że poszukiwania odbywają się w głębi tunelu, którego wylot zastawiono namiotem. Oczekałem do następnego błysku i przyjrzałem się kątowni nachylenia światła. Szło skosem ku drodze, czyli tunel wchodził pod groblę. Bardzo nierozsądnie.

Na trawie zaszurały kroki i przyglnąłem do ziemi. Szło ich dwóch od strony Węgielnika. Rozmawiali półgłosem. Co jakiś czas jeden z nich włączał latarkę, omiatał wą-

skim snopem brzegi grobli i szybko gasił. Nie zdążyłbym się już wycofać niezauważony, więc podkuliłem nogi i wcisnąłem się między gałęzie dzikiego bzu. Jego łodygi miały ostry zapach pieprzu i kociej szczyny. Zacisnąłem pięści i czekałem. Liczyłem na to, że gęste liście odbiją światło i zamaskują skulonego człowieka, ale mogłem się przeliczyć, więc jako ostateczność zostawiłem sobie atak.

Jeśli mnie zauważą, jednym skokiem zepchnę obu z grobli i ucieknę, zanim się pozbierają. Sprężyłem się. Napięte ścięga bolały jak diabli.

– Widziałeś, jak kopią? Mają łopaty jak łyżki – powiedział jeden z nich.

– Ja tam nie zaglądam – odparł drugi. – To nie moja sprawa.

– Wiesz, stary, skarb to skarb. Kto znajdzie, ten ma.

– Morgała powiedział, że morda na kłódkę. Mnie na robocie zależy, nie na skarbie.

Zamilkli i błysnęła latarka. Wstrzymałem oddech. Rytmiczne szuranie butów o trawę narastało stopniowo, jakby najeżdżał na mnie pociąg. Szu, szu, szu. Policjanci. Głos jednego wydał mi się nawet znajomy. Niewykluczone, że ten sam młody policjant wpadł do Węgrzyna z wiadomością o wypadku motocyklisty.

Zatrzymali się tuż obok mnie.

– Według babki tego może być dużo, bo to zapłata była za Żydów – powiedział ten pierwszy. – Ona wie, całą wojnę tu spędziła.

– A moja babcia powiedziała, że to przeklęte złoto i żebym się trzymał z daleka.

– Żydowskie, czyli niczyje. – Zaśmiał się cicho. – Ich już nie ma.

Jak znajdziesz, to twoje.

Promień latarki tańczył po grobli jak błędny ogień na bagnach.

Znajdowali się tak blisko, że słyszałem ich oddechy. Zamknąłem oczy.

– Od znajdowania to tu są inni – mruknął ten drugi, co się martwił o robotę. – I radzę ci, nie mieszaj się do tego. Ci, co się mieszali, gryzą ziemię od spodu.

Światło zawisło na krzaku bzu. Niemal czułem jego drobinki na policzku i właśnie zbierałem się do skoku na ich golenie, kiedy ziemia zadrżała. Ledwie wyczuwalne tapnięcie, podobne do tych, które czasami odczuwa się na Śląsku. Towarzyszył mu gruby pomruk, jakby gdzieś głęboko zaryczało dzikie zwierzę. Światło znikło.

– Co oni tam, wybuchy odstawiają? – spytał ten napalony na skarb.

– Przecież to jest grobla!

– To chyba z kopalni – zawyrokował drugi. Latarka zgasła i znowu rozległo się szuranie trawy w dwutakcie: szu-szu, szu-szu. Odeszli.

Na tle światła sylwetkę człowieka można dostrzec z daleka, więc przeczołgałem się przez groblę i zsunąłem do rowu, jakieś piętnaście metrów od namiotu. Pełzłem w jego kierunku, starałem się trzymać jak najniżej zagłębienia i nie zdradzać swojej obecności. Nie wiem, co mnie tam ciągnęło. Chciałem zobaczyć, jak kopia, tak to sobie tłumaczyłem, ale z drugiej strony wiedziałem, że to nieprawda. Pomijając plotki o skarbie, sama dziura, drażona pod osłoną nocy w dniu liczącego sobie co najmniej dwieście lat stawu, miała w sobie coś z fantastycznej przygody. W ziemi tkwią rzeczy, jak opowieści, którym nie zaprzeczysz tak łatwo milczeniem i kłamstwem. Może dlatego archeologia tak nas fascynuje. Może chodzi o prawdę.

Jak gad na czterech łapach pełzłem do płachty brezentu zakrywającej to coś tam, w głębi, co od pięciu lat nie dawało mi spokoju i stopniowo niszczyło moje życie. Czulem ciepłą ziemię, coraz cieplejszą, jakbym zbliżał się do gorącego źródła. Moje rozcapierzone pazury wyczuwały rytmiczne drżenia, uszy rejestrowały głuche dudnienie. Musiałem. Bez uzasadnienia. Bez planu. Bez celu.

– Kurwa, jak gorąco.

Głos dobiegł spod namiotu, a płachta na moment rozświetliła się w krótkim błysku.

– Jest lato, gościu.

Drgnąłem, bo usłyszałem znajomy głos. To ten blondynkowaty pizduś z redakcji! Służba Polsce po godzinach. Ochotniczy hufiec narodowej pracy w poszukiwaniu historycznej prawdy.

– Ta ziemia jest ciepła, czujesz? Normalnie, kurwa, parzy!

– Napaliłeś się, to cię parzy – odezwał się ktoś inny. – Radzę ci, nie myśl tyle.

– Chodzi mi o to, panie prezesie – powiedział Nowicki – że chyba jesteśmy blisko.

– Dobra, dobra, ostrożnie. Jak mi który co zniszczy...

Nie dosłyszałem, co się stanie z tym, który coś nieostrożnie zniszczy, ponieważ na drodze zatrzymał się samochód. Z długiego czarnego bmw wysiadła zwalista postać i niezdarnie zaczęła schodzić do rowu, czepiając się przymocowanych do słupków lin. Dobrze znałem ten opasły brzuch i sapiący oddech, mogłem się założyć, że facet ma czerwoną z wysiłku twarz. Wycofałem się rakiem i przycupnąłem za kępą situ. Mężczyzna odgarnął ręką płachtę i zniknął w namiocie. Byłem zbyt daleko, by słyszeć, o czym rozmawiają. Przytłumione głosy rozplýwały się w wieczornym powietrzu bez znaczeń. Nieważne. Ich słowa mnie nie obchodziły.

Odwróciłem się i przywarłem plecami do ciepłej, pomrukującej ziemi. Wprost nade mną na rozgwieżdżonym niebie wisiała Lutnia z migoczącą Węgą na końcu zagiętego

gryfu, obok nich Łabędź, dalej Kasjopeja i Cefeusz. Każdego lata te same, cierpliwe, niewzruszone tym, co oglądają tu na dole. Krążą po naszym firmamencie cały rok. Mówi się o nich, że mrugają, jak gdyby miały oczy. Jeśli mają, to widziały.

Mógłbym po prostu je zapytać i mieć od razu gotowe odpowiedzi, bez całego tego zmudnego i beznadziejnego szukania, grzebania, wysupływania nitek prawdy z zalegającego na wszystkim grubego sukna ciszy. Fotografie, nazwiska, papiery z pieczętkami, listy... i co z tego?

Jak się ma ta kupa spłowiałych arkusików do jednego ludzkiego życia?

Jednego ludzkiego życia, powiedzmy, małego dziecka? Gdyby naoczny świadek powiedział mi zwyczajnie, jak to się wszystko odbyło, miałbym raz na zawsze spokój. A tak co? Błądzenie w ciemności. Gadzie pełzanie w mokrej trawie i pajęczce wspinanie się na strych starego młyna, żeby przez sztuczne oko śledzić niewidzialne. Jak gdyby uparte poszukiwanie prawdy było czymś nielegalnym i podłym, w przeciwieństwie do tych tam w dziurze – bezpiecznych i pewnych swego. Do diabła z tym.

Środek nieba przeciął jasny meteor, poleciał w dół i zgasł, zanim zdążyłem pomyśleć życzenie. Początek sierpnia. Zaczynają się perseidy, apogeum przypadnie na połowę miesiąca, a ich ostatni maruderzy błysną we wrześniu, jak tamten wtedy. Przypomniało mi się sunące po wodzie koło z dwoma trójkątami na łbie dziwnej żaby i mężczyzna w kapeluszu pod dębem. Stanowili jedno, choć wciąż nie miałem pojęcia, co ich łączy...

Jasną Węgę przesłonił czarny cień. Poderwałem się.

– Chodź – powiedział cień głosem Henryka. Poczułem muśnięcie na przedramieniu i potulnie wstałem. Zimny powiew poprowadził mnie groblą na wschód, tam, skąd przedtem nadeszli dwaj policjanci.

– Zobaczą nas – powiedziałem cicho, kiedy mijałem połyskującą od dołu kopułę namiotu. Zostawiliśmy za sobą przytłumione głosy i poszliśmy dalej prostą ścieżką, wydeptaną środkiem grobli w żółtej glinie. Cień nie odpowiedział i prowadził mnie za rękę jak... jak dziecko.

Stawiałem kroki mokrymi butami, ale nie rozlegał się żaden dźwięk, jakbym płynął tuż nad ziemią. Odwróciłem się. Wokół namiotu pojawili się jacyś ludzie, nadeszli z różnych stron i otoczyli miejsce szczelnym kordonem. Zdziwiłem się, skąd ich się nagle tyłu wzięło, a zaraz potem opadł mnie lęk. Gdybym tam został minutę dłużej, znaleźliby mnie.

Pewnie zostałem zaaresztowany pod byle pretekstem i resztę czasu potrzebnego ko-

paczom do zakończenia roboty spędziłbym w celi na Jagiellońskiej. Dlatego zostałem stamtąd wyprowadzony.

Z naprzeciwka szło dwóch strażników.

Zatrzymałem się i targnąłem ręką, ale cień przytrzymał mnie mocno. Szliśmy prosto na nich, słyszałem już ich ożywione głosy rozprawiające o tym, że chyba znaleźli, jeden z nich szeroko gestykulował ramieniem i byłem pewien, że za moment trafi mnie nim w ucho. Nic takiego się nie stało. Przeszli.

Przeniknęli przez nas, jakbyśmy nie istnieli. Klepnąłem się dłonią w policzek, rozległ się głośny plask. Tamci nie reagowali. Poszli. Cień wiódł mnie wprost na czarną ścianę lasu za stawem. Na końcu grobli zatrzymaliśmy się.

– Nie dzisiaj. Jutro.

Powiedział to i zniknął. Otwarłem oczy. Od wody szedł chłód i trupi zapach zgnilizny miliona rozkładających się organizmów.

Podniosłem głowę. Nade mną migotała Wega. Widziała? Nie widziała?

Nieważne. Znowu rozumiałem wszystko. No prawie.

Nie zdążyłem. Fakty rozsypały mi się w podręcznej pamięci jak literki na planszy do scrabble'a i zanim zdołałem się zastanowić, od czego zacząć, wydarzenia zaczęły przyspieszać z szybkością lawiny. Nie udało mi się porozmawiać z Grześkiem Wilkiem i jego synem Dominikiem, jedynym ocalałym z tamtej nieszczęsnej wyprawy do jaskini. Nie zdążyłem zapytać Pawła Kopcia, czy rysunek nadal pojawia się na ścianie w knajpie, chociaż po ostatniej rozmowie z Łopatką miałem podstawy przypuszczać, że już nie. Nie odwiedziłem Ewy Kolanowskiej, żeby wreszcie wydusić z niej informację o brudnym interesie, jaki prowadzili jej teściowie. Za co zginął jej mąż, z grubsza wiedziałem. Nie wiedziałem, za co zginęli oni.

Ale najbardziej uwierało mnie przez następne pięć lat to, że nie zdążyłem ostatni raz porozmawiać ze Stefanowskim. Ten pocziwiec był jednym z ostatnich dobrych ludzi w tamtej sprawie i do dzisiaj nie wiem, za co zapłacił najwyższą cenę. Ktoś mógłby powiedzieć, że za moje życie, ale ja nie przyjmuję tego wyjaśnienia. Musiała tam tkwić jakaś dawna wina, co wykrzywiła jego los w karykaturę sprawiedliwości.

Kiedy przypominam sobie jego smutną twarz pochyloną nad biurkiem zawalonym papierami po Henryku, myślę sobie, że coś musiało być na rzeczy. Jakaś wina.

Zdążyłem rozmówić się z Łopatką. Wpadłem do jego gabinetu zaraz z rana, nie bacząc na protesty sekretarki.

– Panie przewodniczący! – krzyknąłem od progu. – To jedyna okazja, by zakończyć tę sprawę raz na zawsze! Sam pan powiedział, że ponosi odpowiedzialność za to miasto i trzeba myśleć o przyszłości. To niech pan pomyśli i zamknie tę przekłętą przeszłość jak należy!

Łopatko, który wisiał na telefonie i konsultował jakieś transakcyjne szczegóły, zakrył słuchawkę dłonią i popatrzył ze zdziwieniem.

– O czym pan, do cholery, mówi? Kto pana tu w ogóle wpuścił?

Pani Marysiu!

Zamknąłem za sobą drzwi i przytrzymałem klamkę na wypadek, gdyby pani Marysia chciała nam przeszkodzić.

– Niech pan posłucha – zacząłem jeszcze raz, siląc się na spokój. – Wiem, że coś

znaleźliście albo wkrótce znajdziecie. Nie obchodzi mnie, co ani ile tego jest, bo to nie moja własność. Ani pańska, ani niczyja. Te rzeczy powinny należeć do wszystkich, a ich miejsce jest w muzeum.

Tym muzeum, które pan jednym pociągnięciem pióra może powołać do istnienia, wywiązując się wreszcie z tej cholernej umowy. To jedyne rozwiązanie, godne uczciwych ludzi. W przeciwnym razie spadną na nas nowe nieszczęścia...

Unosił się na krześle, podparty wielkimi rękami na blacie jak jaszczur na skale. Na policzki występowała znajoma czerwień i już chciałem poradzić mu, by zawczasu połknął tabletkę, kiedy oparł się na wyprostowanych łokciach i wbił we mnie bazyliżkowy wzrok.

– Co, Jaromin, śledziłeś nas? Wściubiałeś nos w nie swoje sprawy?

Czy ja cię muszę zamknąć, żebyś się wreszcie odczepił? Proszę nas zostawić!!! – ryknął w kierunku drzwi, bo zaczęła się do nich dobijać sekretarka. Niemal widziałem jej zdumioną, zalęknioną twarz, wzruszenie ramion i powrót na swoje miejsce. – Chcesz siedzieć jak Borowiec?

Unióś brwi i przyglądał mi się, sprawdzając, czy dobrze zrozumiałem aluzję. Nie miałem ochoty dawać mu tej satysfakcji.

– Proszę mnie posłuchać – mówiłem wolno i dobitnie. – Tam jest nie tylko zbiór cennych, zabytkowych przedmiotów, ale prawdopodobnie również zbiorowa mogiła dzieci. Jeżeli naprawdę zależy panu na porządku w Oszpicy, trzeba je ekshumować i pochować zgodnie z ich religijną tradycją na cmentarzu. Dla nas to niewiele, dla nich również, ale to więcej niż nic. A dla tego miasta bardzo dużo.

Z każdym słowem rosła we mnie pewność i determinacja.

Mówiłem i jeszcze coś we mnie mówiło. Mówiliśmy całą grupą, ja prawdziwy i wszyscy oni, urojeni i nieistniejący.

– Co ty pierdolisz, Jaromin? – spytał bulgoczącym głosem Łopatko. – Jakie dzieci, jaki cmentarz? Całkiem ci już odwaliło od tych żydowskich obsesji? – Pokazał palcem drzwi. – Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, wzywam policję za najście, a zaraz potem pogotowie.

Żeby cię odwieźli do czubków. Zdaje się, że tęsknisz za nimi. Ale to już!

Nie ruszyłem się. Spojrzałem na gablotę: kałamarz z przykrywką w kształcie menory zniknął. Albo Łopatko uznał go jednak za zbyt wyraźną wskazówkę, albo robił sobie miejsce na nowy eksponat.

W odpowiedzi na jego palec pokazałem na komodę w kącie gabinetu.

– Jak szuflada? Przestała latać?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu triumfatora.

– Przestała – przyznał.

– Zapewniam, że tylko na chwilę. Jeśli nie zwrócicie synagogi i nie pochowacie tych dzieci...

– Won!!! – ryknął i wytoczył się zza biurka. Mogłem go bez trudu obalić, ale to skończyłoby się niechybnie aresztowaniem, a miałem jeszcze dzisiaj wiele do zrobienia, więc odwróciłem się i szybko wyszedłem. W progu rzuciłem przez ramię:

– Ostrzegałem.

Coś warknął, ale nie chciałem słuchać. Pokojowe rozwiązanie problemu właśnie zawiodło i czekała nas wyniszczająca wojna. Bałem się myśleć, ile ofiar pochłonie i jak się skończy. Sekretarce rzuciłem uśmiechnięte „do widzenia”, a za odpowiedź otrzymałem histeryczne:

– Jezus Maria!

Widocznie wszystko słyszała. I też liczyła się z ofiarami. W końcu mieszkała w tym mieście.

Zdążyłem również spotkać się z hrabiną Kublicką. Siedziała w swoim apartamencie i studiowała papiery przez lupę, niczym kobiece wcielenie Sherlocka Holmesa. Na mój widok odłożyła malowniczy przyrząd, co najmniej tak samo stary jak ona, i uniosła brwi.

– Jeszcze pana nie aresztowali?

– Dlaczego mieliby mnie aresztować? – spytałem uprzejmie. – Przecież niczego złego nie robię.

– W tym mieście aresztuje się ludzi nie dlatego, że robią coś złego, ale ponieważ przeszkadzają. A pan wybitnie przeszkadza. Mnie również.

– To zależy od punktu widzenia, pani hrabino – odparłem, siadając na krześle bez zaproszenia. – Z mojej perspektywy to wy przeszkadzacie. Wybitnie.

Zaśmiała się krótko i skrzekliwie.

– Jest pan zabawny z tym swoim idealizmem. Dawno temu, gdy byłem dzieckiem, a pański dziadek młodym uszatym Żydkiem, szanowano nawet takie postawy, nazywano je honorowymi. Ale to było dawno. Dzisiaj honor przegrywa z prawami wolnego rynku, zresztą zgodnie z żydowską tradycją. Liczy się wyłącznie zysk. Nie słyszał pan o

tym?

– Staram się nie słuchać mądrości, które szkodzą sumieniu.

Słyszała pani o czymś takim jak sumienie?

Chciała coś powiedzieć, ale jej język zawisł między wargami, a potem szybko się cofnął. Postukała palcami w blat stołu.

– Po co pan przyszedł?

– Ponieważ czasu mamy niewiele, przejdę od razu do rzeczy.

Dzisiaj wieczorem ludzie Łopatki będą w miejscu robót drogowych wydobywać cenne znalezisko składające się z zabytkowych przedmiotów żydowskiego pochodzenia. Cała akcja ma na celu zawłaszczenie owych dóbr i wywiezienie ich za granicę, co, jak pani doskonale wie, stanowi poważne naruszenie prawa. Mam również podstawy przypuszczać, że w tym samym miejscu znajduje się zbiorowa mogiła sześciorga żydowskich dzieci, a ich szczątki ze względu na przestępczy charakter przedsięwzięcia oraz cyniczny sposób działania kopaczy ulegną zbezczeszczeniu i zostaną porzucone tam, gdzie spoczywały dotąd, bez należytego pochówku...

– Skąd pan to wszystko wie? – przerwała mi ostro i poprawiła okulary na długim nosie.

– To teraz nieważne. Ważne, że to wszystko jest wystarczająco prawdopodobne, by nie chciała pani zaprzeczać. Domagam się, aby pani odstąpiła od swojego zamiaru przejęcia znaleziska i pomogła mi w zabezpieczeniu tych przedmiotów oraz oddaniu ich we właściwe ręce.

Czy wyrażam się jasno?

Moje słowa wprawiły ją w zdumienie. Otrząsnęła się dopiero po kilkunastu sekundach. W wysokim na trzy metry apartamencie rozległ się szatański śmiech staruchy.

– Wyraził się pan tak jasno, że jaśniej już nie można.

– Czy zgodzi się pani mi pomóc? – spytałem pospiesznie. Zgasiła mnie natychmiast.

– Jeszcze nie skończyłam. Wyraził się pan na tyle jasno, że mam podstawy przypuszczać, iż pan kompletnie zwariował. Ja miałabym oddać skarb komuś innemu? Mój skarb? I jakie to są te „właściwe ręce”?

Rząd polski? Ministerstwo Skarbu? Miasto? To jakaś kpina!

– W Oszpicy nie powstanie muzeum żydowskie. Te rzeczy powinny się tam znaleźć – wyjaśniłem.

– Po moim trupie! – zakrzyknęła hrabina. – Niech pan to sobie wybije z głowy! Mu-

zeum żydowskie, dobre sobie! Czy pan wie, ile lat życia poświęciłam na dotarcie do tych kosztowności? Powtarzam: moich kosztowności, należnych mi wszelkimi prawami. O, tu może pan sobie sprawdzić, skoro tak to pana interesuje.

Rzuciła w moją stronę dokument, który przed chwilą studiowała przez lupę. Nie spojrzałem nawet na niego.

– Nie wiem, ile lat i czyjego życia pani poświęciła, aby dotrzeć tutaj – odparłem zimno – ale to ostatni moment, by wyjść z tego z twarzą.

Zacisnęła wąskie usta. Walczyła ze sobą, widziałem wyraźnie, jak zadaje sobie ciosy i próbuje stosować uniki, ale przegrywała. Nie potrafiła unieść ciężaru odmowy zysku. W końcu jej zaledwie bledziutko rozżarzone człowieczeństwo poddało się.

– Niech się pan wynosi – warknęła. – Albo zawołam swoich ludzi.

– Pani ludzie siedzą teraz w pobliżu pewnego przydrożnego rowu i kombinują, kiedy wkroczyć do akcji – odparłem, podnosząc się z krzesła. – Być może liczą na jakieś zyski, bo jak pani słusznie zauważyła, ważny jest wyłącznie zysk, ale tym razem się przeliczą.

Proszę się nie obawiać, wychodzę. I żeby nie było, że nie ostrzegałem.

Wstałem, a ona zerknęła na mnie sponad grubych okularów i nieznacznie się uśmiechnęła. W jej oczach błysnęła satysfakcja, której źródła nie umiałem pojąć, dopóki się nie odezwała.

– To pan się przeliczył – powiedziała powoli, zupełnie innym głosem. – Tych dzieci tam nie ma.

Znieruchomiałem.

– Jak to nie ma? Skąd pani wie?

Pokręciła głową i pokazała mi palcem wyjście.

– Do zobaczenia wieczorem. Choć wolałabym tam dzisiaj pana nie spotkać. Dla pańskiego dobra.

Życzliwa rada starszej pani dla młodego paniczyka. Stara wiedźma.

Wyszedłem ze szkoły na żar. Słońce minęło zenit i chyliło się nad okazałą plebanią parafii w Sępni. Panował niemiłosierny upał, żółć powietrza zgęstniała, niemal dało się ją rozgarniać rękami. Taki skwar ociera się o niemożliwość i ma się wrażenie, że dłużej się go nie zniesie.

Coś musi się zmienić. Zwykle jest to ostatni dzień upałów i kończy go spektakularna burza. Ta okazała się wyjątkowo spektakularna i zakończyła nie tylko upał.

A starucha miała rację. Lepiej, żeby mnie tam nie było.

Ola błagała, bym nie wychodził z domu. Siedziała z teściową w kuchni i obie mierzyły mnie niechętnymi spojrzeniami. Obecność Czechowej była mi bardzo nie na rękę.

– Obiecałeś, że do tego nie wrócisz – mówiła Ola z wyrzutem, jakby chodziło o picie. – Powiedziałaś, że stąd się wzięły twoje kłopoty i że te tematy źle ci robią na psychikę. Proszę cię – zaskomlała. – Proszę.

– Już za późno, nie mogę się wycofać – stwierdziłem spokojnie, by wyglądało to na działanie sił niezależnych ode mnie. – Zrozum, kochanie, tylko dzisiejszy wieczór. Naprawdę ważny wieczór.

– Pojadę z tobą! – oświadczyła desperacko.

– Nie.

– Ale ja się tak boję! – krzyknęła i pociągnęła mnie za rękę. – Nie chcę, słyszysz? Nie chcę!

Wyszarpnąłem się i ostro powiedziałem coś o zostawieniu mnie w spokoju, nie pamiętam dokładnie. Bardziej pamiętam wbite we mnie twarde spojrzenie teściowej. Nie zobaczyłem w nim strachu o mnie, lecz coś bardziej bezosobowego, jakby troskę o stan przyrody w ogóle. Do dzisiaj nie wiem, czy ta kobieta mnie lubiła, czy raczej nienawidziła.

Później już tak, nienawiść pewnie wzięła górę, ale wtedy w kuchni drugiego sierpnia dziewięćdziesiątego dziewiątego roku moja teściowa widziała we mnie nie tyle zięcia, co uosobienie zagadkowych sił, a na te od wieków skutkowało na wsi jedynie modlitwa.

– Proszę, nie idź tam – jęknęła Ola już bez przekonania i swoim zwyczajem rozplakała się. Poglądziłem ją po głowie i wyszedłem. Po drodze do wyjścia uświadomiłem sobie, że na próżno czekałem, aż teść wydobrzeje na tyle, by pogadać ze mną o dzieciach i złocie w ziemi.

Gdyby nie ten udar, mógłbym się od niego czegoś dowiedzieć, a teraz...

Teraz jest już chyba za późno. Kiedy zamykałem za sobą drzwi na ganku domu Czechów, nagrany od słońca metal mosiężnej klamki poraził mnie krótkim impulsem, który doszedł do mózgu. Zmrużyłem oczy i ścisnąłem skronie. Słońce waliło mi prosto w

twarz. Oślepiało.

Zszedłem po schodkach z poczuciem, że za moimi plecami zamykają się drugie, niewidzialne drzwi. Przy uchu zabręczała natarczywa mucha, odegnałem ją niecierpliwym ruchem. Ale na co za późno?

Z wnętrza astry buchnęło gorące powietrze. Opuściłem wszystkie szyby i ruszyłem powoli, marząc o ożywczych podmuchach. Koszulka lepiła mi się do pleców. Minałem zakręt koło kościoła i remizę strażacką z wielką salą weselną. Skrajem drogi szła stara kobieta w chustce na głowie i różańcem w rękach. Na mój widok zatrzymała się i potrząsnęła drewnianymi koralikami. Ponieważ wydała mi się znajoma, ukloniłem się, ale nie odpowiedziała. Patrzyła za mną, dopóki nie zniknąłem za łukiem szosy. Czy taka chustka na upał to jednak nie jest przesada? Ale one tak zawsze. Chustka na głowie i różaniec między palcami.

Kiedy wdrapywałem się na strych starego młyna, spocona dłoń dwukrotnie ześliznęła mi się z muru i omal nie spadłem. Pod dachem panował niemiłosierny gorąc, ledwie mogłem oddychać. Nierozważnie zostawiłem tu na noc lunetę i teraz jej korpus parzył jak lufa armaty po wystrzale. Położyłem się na legowisku ze starych gazet i wycelowałem obiektyw w miejsce wykopaliska. Kręciłem okularem dla złapania odpowiedniej ostrości, ale z powodu rozgrzanego powietrza okazało się to wcale niełatwe. Wszystko pływało w rozedrganej galarecie: ludzie, pojazdy, drzewa. Traciły swoją substancję na rzecz ogólnej płynności.

Próbowałem wyłapać z tej rozmytej magmy jakieś sensory, żeby dostrzec pełny obraz sytuacji na scenie kluczowych wydarzeń, wszystko uciekało jednak w płynną nieokreśloność. W dodatku czołowy płat mózgu znowu zaczynał płonąć bólem nagle rozszerzonych naczyń krwionośnych, a ja nie miałem przy sobie tabletek. Łyknąłem wody z butelki, smakowała plastikiem. Przesunąłem lunetę na grupę robotników na placu przy grobli. Nie pracowali, tylko siedzieli w cieniu maszyny i popijali piwo z puszek. Pozazdrościłem im, bo sam czułem się jak w piecu. Grzało mnie od środka i od zewnątrz. Oparłem głowę na łokciu i zamknąłem oczy. Obrazy zgasły, ale uruchomiły zapachy i odgłosy. Podest pachniał kurzem i myszą, przez okienko dolatywał krzyk rybitw ze stawu po drugiej stronie, od południa, gdzie między wsią a terenami gospodarstwa rybne go rozciągały się łąki z rzędem starych wierzb i pola uprawne.

Napięcie opuszczało mnie razem z przytomnością. Zasnąłem.

Obudziła mnie czyjaś ręka na ramieniu. Otwarłem ciężkie jak z żelaza powieki. Obok mnie siedział stary Maldor. Na zewnątrz było już szaro.

– Nie śpij – powiedział. – Patś.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytałem, mrużąc oczy z bólu. Rozciągnął grube usta w bezzębny uśmiech.

– Ci to ważne? Jestem, dzie chciem.

Przekonany, że to sen, wyciągnąłem rękę i dotknąłem jego ramienia. Miał na sobie to samo ubranie: białą koszulę, czarną marynarkę i kamizelkę. I ten swój śmieszny kapelusz. Czarny materiał na rękawie okazał się chłodny i przyjemny w dotyku, jak futerko na pluszowym misiu. Maldor miał coś z pluszowego misia.

– Nie gorąco ci? – spytałem zdziwiony. – Wdrapałeś się tu po murze w tym ubraniu?

Nie odpowiedział. Znajdowaliśmy się we dwóch na ciasnej platformie pod dachem starego młyna, wspartej na dwóch wąskich i na pewno już spróchniałych belkach. W każdej chwili mogliśmy runąć w dół. Podzieliłem się z nim swoimi obawami. Zaśmiał się skrzekliwie i usiadł po turecku, podwijając nogi w nienagannie wyczyszczonych czarnych butach.

– Moje. Ulubione – powiedział, poklepując krokiew nad głową. – Dobrze widać.

Potraktowałem to jak polecenie i obróciłem się z powrotem na brzuch, by przytknąć oko do lunety. Na drodze nad rowem stało długie bmw i jeszcze jeden samochód, terenowy z błyszczącym orurowaniem.

Pewnie prezesa spółdzielni. Nad namiotem ustawiono lampę na maszcie, dzięki czemu pole wokół wykopu było dosyć dobrze oświetlone. Nie zobaczyłem za to ludzi, pewnie zeszli na dół i pochłonęło ich staranne wydłubywanie z gliny znalezionych przedmiotów. Tylko po grobli przechadzali się dwaj ochroniarze z rękami założonymi za paski od spodni. Widziałem dyndające na udach policyjne pałki. Drogą nie przejeżdżał żaden samochód, widocznie na czas wydobycia skarbu zamknęli ruch na obwodnicy. Krok po kroku penetrowałem lunetą groblę wzdłuż drogi, przyglądałem się uważnie kępom krzaków i nierównościom terenu. Miejsca wyglądały jak wymarłe. Nawet ptak nie przeleciał, ryba nie plusnęła, pies nie zaszczekał. W okolicznych domach nie zapaliło się ani jedno światło, nikt nie szedł przez podwórko, nie jechał na rowerze. Jakby całe ospicyńskie stworzenie zostało wezwane do czekania w napięciu.

Nie, był jeszcze jeden człowiek: młody chłopak, operator koparki.

Siedział sam, ukryty za przysadzistym korpusem maszyny, i powoli sączył piwo. Cztery puste puszki stały rzędem na oblepionej gliną gąsienicy.

– Co robimy? – spytałem Maldora. Wyszło mi prawie jak „cio lobimy”.

– Ciekamy – odparł. – Wsińskie ciekajom.

– Na cio?

Obnażył dziąsła w uśmiechu i pokazał kciukiem za siebie, na dziurę w dachu, skąd rozciągał się widok na południowe łąki, teraz, po zachodzie słońca, już szare, zgaszone filtrem zmierzchu. Idący od gór cień zmienił dalekie lustro stawu w kałużę ołowiu. Bezgłośnie przecięła je spanikowana kaczką. Czekałem na jej krzyk, ale się nie rozległ.

Krańce horyzontu nad muzeum stały się purpurowe. Jak zawsze. Moje najpiękniejsze zachody słońca widziałem tam, nad największym cmentarzyskiem świata.

To narodziło się z szarości łąki. Najpierw było czarnym punktem, łatwym do przecoczenia, ale rosło, wydłużało się w kreskę, zgłaszało swoją obecność na podmokłej murawie dawnego pastwiska. Stojące w karnym szeregu wierzby rozstały się i utworzyły bramę, przez którą to coś przepłynęło łagodnie i znalazło się u stóp opadającego ku łąkom kartofliska. Tam skręciło i sunęło wzdłuż szpaleru drzew, rosnąc i nabierając konkretniejszych kształtów. Człowiek. Niedokładny, pozbawiony szczegółów, jakby niedorysowany albo rysowany naprędce, bez wdawania się w zbędne detale. Gdy tylko rozróżniłem nogi, zaczął nimi stąpać, niezgrabnie jak kulawiec albo pijak walczący o stawianie jednej stopy przed drugą. Szedł wolno i nieuważnie, jakby to przestawianie nóg niczemu nie służyło prócz zaznaczenia, że je w ogóle ma. Parł do przodu bardziej klatką piersiową i ramionami, rozgarniał powietrze jak wodę w marszu pod prąd rzeki. Ciągłe rósł i zmieniał się, to przypominał stracha na wróble, to znowu pastucha, kobietę w spódnicy, chłopca w okularach, to znowu dziewczynkę. Raz miał na głowie kaszkiet, raz kapelusz, chustkę, czarne włosy... Im stawał się większy, tym szedł wolniej i mniej składnie. W pewnym momencie nogi mu się rozjechały i omal nie runął, ale podparł się i wrócił do pionu.

Kiedy zrobił się większy od najbliższej wierzby, na południu po raz pierwszy błysnęło.

Spojrzałem ku górom. Cień zasmarował kawał nieba na czarno i od niechcienia podświetlał swoje dzieło błyskawicami. Też rósł i przybierał kształty. Wypuścił z siebie wielgachny jęzor, a ten wkrótce połknął pierwszą gwiazdę, chyba Arktura. Zadudniło. Świerszcze wokół młyna rozterkotały się histerycznie, czekały niczym psy. Nad podmokłymi łąkami zaległ mrok. Postać brnęła teraz z trudem ścieżką pod górę, prosto na nas. Miała już z dziesięć metrów wysokości i ciągle rosła.

Głowa kręciła się na boki, w górę i w dół, jak u zepsutego robota.

Twarzy nie dało się rozpoznać – miała wszystkie twarze. *Na drugim piętrze, za oknem... zajmowała z pół szyby... była taka smutna* – przypomniał mi się sen Oli. Ścisnąłem skronie. Druciki płonęły jak wolfram w żarówce. Zakaszlałem, bo strach przydusił mi gardło.

– Co to jest? – wycharczałem.

Maldor nie odpowiedział. Bo i co miał powiedzieć? Każda odpowiedź była równie dobra i równie zła. Wszystkie je znałem.

Od łąk przetoczył się potężny grzmot, potrójna salwa na rozpoczęcie ataku. Postać wlokła się pod górę jak przymierający głodem włóczęga, który chce przed nocą dotrzeć do ludzkich siedzib. Czerń zasnęła już połowę nieba. Przyspieszała. Kolejny grzmot i świerszcze nagle ucichły. Koślawy piętnastometrowy człowiek podniósł głowę i spojrział na mnie. W ogniu błyskawicy zobaczyłem ziejące otchłanią czarne guziki oczu i białe policzki z pionowymi bruzdami. Płakał.

Zakryłem twarz rękami.

– Jezu, oszaleję – wyjęczałem. Nabrzmiące powieki bolały, krew w mózgu płonęła.

– Po co to wszystko? Po co?

Nie mogłem na niego patrzeć. Opadłem na legowisko z gazet i przystawiłem oko do lunety. Przez ciemność przebił się obraz gromady ludzi kotłujących się wokół namiotu i na szosie. Pojawiły się nowe samochody. W kręgu światła pod lampą ktoś kogoś szarpał, krzyczał, wymachiwał rękami, zbiegał, a ktoś inny się wspinał. Zrozumiałem, że się zaczęło. Gdzieś blisko zagrzmiało. O dachówki starego młyna zabębniły pierwsze krople deszczu. W szparze nie było już nic widać.

Nic oprócz zarysu olbrzymiej postaci. Przed młynem skręciła pod kątem prostym i powlokła się między drzewami ku obwodnicy. Włóczęga szukał ludzi.

– Idę! – krzyknąłem tak głośno, że sam od tego podskoczyłem i stuknąłem potylicą w belkę. – Idę – powtórzyłem, jakbym oczekiwał przyzwolenia.

Maldor pokiwał swoim cygańskim kapelusikiem i wyseplenił jedno słowo:

– Iwłóc.

Już się nie uśmiechał. Jak ten, który wie zawsze trochę wcześniej niż inni.

Kiedy dobiegałem do grobli, deszcz lunął na dobre. Moje przemoczone buty chlupotały w kałużach jak kompoty w piwnicy u Kolanowskiej. W świetle błyskawicy ujrzałem powierzchnię Wójtowca niemal zrównaną z groblą i przemknęło mi przez myśl, że to niemożliwe, by tak szybko się zapełnił. Ktoś musiał wcześniej zablokować zastaw.

Przebiegłem koło dwóch strażników, krzyczeli coś i próbowali zastąpić mi drogę, machając latarkami, ale wyminąłem ich bez trudu. Nie sądziłem, by odważyli się strzelić. Deszcz huczał i przeszedł w ulewę o niespotykanej sile, woda pachniała elektrycznością. Mrużyłem oczy od uderzeń kropel i migreny drażnionej błyskami piorunów. Gdzieś za plecami, wśród grzmotów z nieba, rozpoznawałem dudnienie kroków olbrzyma. Powolne i długie. Jeszcze trochę i tu będzie. Pośliznąłem się na rozmazanej glinie i runąłem jak długi w błoto. Prawą rękę rozdarł nagły ból. Wrzasnąłem. Ktoś szarpnął mnie za ramię i postawił na nogi.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

To był głos Węgrzyna. W strugach deszczu nic nie widziałem, oprócz bliskiej już lampy na maszcie.

– Mariusz, uciekajcie! On tu idzie!

– Kto idzie? Co ty pieprzysz?

– Nie pieprzę! – sapałem przez wodę. – Wszyscy zginą! Trzeba ich ostrzec!

Wyrwałem się, ale trzymał mocno. Chciałem wykręcić się z tego uchwytu, ale Węgrzyn walnął mnie na odlew w twarz.

– Wojtek! – ryknął jak kapral na szeregowca. – Opanuj się! Nie widzisz, co się dzieje?

Złapał mnie za barki i obrócił twarzą do widowiska wokół namiotu.

Wcisnąłem puchnący nadgarstek między uda, usiłując przebić się wzrokiem przez lawinę wody. Na drodze trwała regularna bitwa. Co najmniej ośmiu ludzi okładało się pałkami i mocowało ze sobą w dziwacznych wodnych zapasach, ślizgając się w błocie i łapiąc za co popadnie. Kilka sekund zajęło mi zrozumienie, że jedni usiłują drugich powstrzymać przed zejściem w dół. Właśnie dwóch się wyrwało i zjechało na tyłkach do rowu, dwóch innych poleciało za nimi. Reszta walczyła na poboczu drogi.

– Kto się z kim bije?! – spytałem, wrzeszcząc na całe gardło, by przekrzyczeć deszcz. Ziemia dudniła: bum-bum, bum-bum. Coraz bliżej.

– Bandyci! – odkrzyknął Węgrzyn. – Dwie bandy. Ta szurnięta baba nie odpuszcza.

– A wy?

– My się nie pchamy. Na razie – dodał i odwrócił się, ponieważ kroki zadudniły tuż za nami.

Nie wiem, czy coś zobaczył, czy przestraszył go sam dźwięk, ale w błysku kolejnej błyskawicy jego ociekająca wodą twarz była przerażona. Jasnoblękitny mundurek zmienił się w ścierkę.

– Co tak dudni? – spytał bladymi ustami. – Kto tam idzie?

Ziarno zrozumienia zaczęło w nim kiełkować, ponieważ nagle zmienił się na twarzy i spojrzał na mnie pytająco. Jego chwyt na moich barkach zelżał.

– Ziemia – odparłem.

Otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Wydarzyły się dwie rzeczy naraz. W pobliżu nas uderzył piorun, tak blisko, że nie usłyszeliśmy grzmotu, tylko trzask rozdieranego powietrza, a wokół rozszedł się smród palonych jonów. W tej samej sekundzie ryknął odpalany dieslowski silnik. Przetarłem oślepięte błyskiem powieki i zobaczyłem żółtą koparkę z napisem CAT ruszającą z placu w stronę grobli. Ryczała na pełnym gazie, a ja natychmiast pomyślałem o pijanym operatorze. Spojrzałem pod nogi, woda prawie wylewała się ze stawu.

Węgrzyn wykonał wzrokiem tę samą sekwencję. Pojął, co się szykuje.

– Ja pierdołę... – wyszeptał. A potem nagle pchnął mnie przed siebie i krzyknął: – Do namiotu!

Sam rzucił się biegiem do koparki. Chciałem go powstrzymać, bo wiedziałem, że to nie ma sensu i bardziej by się przydał przy wyciąganiu ludzi spod ziemi, ale mnie nie słyszał. W błyskach wyładowań widziałem jego plecy oklejone przemoczoną koszulką, zanim skręcił ku maszynie, która z rykiem pięła się po podjeździe. Zdążyłem jeszcze dostrzec, jak próbuje wskoczyć na tylną platformę za kabiną, a potem pacnąłem tyłkiem w błoto i zjechałem do rowu.

Myślałem, że śnię. Przedemną, po drugiej stronie koryta, schowana za kępą olszyn na poboczu, stała grupka ludzi. Spośród czterech kobiet pod parasolami jedna przekładała w palcach różaniec, druga trzymała zapaloną świecę, dzięki czemu trzecia mogła czytać na głos coś z trzymanej oburącz książki, podczas gdy czwarta dzierżyła nad nią wielki parasol z napisem Heineken. W tej pierwszej rozpoznałem kobietę napotkaną

dzisiaj po południu koło remizy w Sępni, a w czwartej moją żonę, z czego wywnioskowałem, że tą trzecią jest teściowa.

Uznałem to za sen, ponieważ niemożliwe wydało mi się utrzymanie w tej wściekłej burzy zapalanej świecy. A jednak – kobiety odmawiały litanie do Matki Boskiej. Ta z książką odczytywała wers, pozostałe powtarzały go z przeciągłą kościelną inkantacją. Na szczęście Ola mnie nie zauważyła, a ja nie miałem czasu zastanawiać się, jakie licho je tu przygnało i co znaczą te parafialne egzorcyzmy. Wystarczyło mi, że jest poza rejonem bezpośredniego zagrożenia. Koparka właśnie wdarła się na groblę i w błyskach piorunów pędziła do miejsca wykopu. Schylony pobiegłem do namiotu, rozchlapując wodę sięgającą mi już do kostek.

Minąłem dwóch szarpiących się ochroniarzy, z których jeden miał naszywkę „Commando”, a drugi „DiCapo”, i chyba tylko dzięki temu orientowali się, że są z przeciwnych obozów. Siłowali się w nelsonach i blokach, umorusani w błocie do niemożliwości, co upodobiło ich do dwóch walczących orków. Zagapiłem się na nich i omal nie przewróciłem Stefanowskiego, gdy wyrósł przede mną jak spod ziemi.

– Niech pan ucieka! – wrzasnąłem.

– Pilnuj Łopatki! – odkrzyknął. – Ja szukam Sary!

– Kogo?! – ryknąłem zdumiony, ale już zniknął pod brezentem.

Wskoczyłem za nim.

Wykop zbiegał pochyło pod groblę. Wchodziło się do niego z przedSIONKA w kształcie kwadratu o trzymetrowych bokach, nakrytego namiotem i wyplantowanego na płasko dla wygody pracujących ludzi.

Po obu stronach stały drewniane skrzynie i plastikowe krzesła ogrodowe oraz jeden stolik turystyczny, a całość oświetlały zamocowane do słupków podłużne świetlówki na baterie. Na wprost wejścia zionęła jama właściwego wykopu. W pogodę mogło tu być całkiem przytulnie, teraz jednak wszystko to nurzało się w burej brei gliny zmieszanej z deszczówką wlewającą się i dołem, i górą przez podziurawiony w kilku miejscach brezent. W tak przystrojonej przez – nieznanego z imienia – artystę scenerii odbywała się walka o skarb.

Nie miałem więcej niż sekundę, by ogarnąć, co się dzieje, w pamięci pozostały mi jedynie krótkie, kilkuklatkowe migawki. Plecy Stefanowskiego znikają w otworze wykopu, pizduś Nowicki szarpie go za koszulę i kawałek materiału zostaje mu w ręku. Dwóch ochroniarzy okłada pałkami trzeciego, z inną naszywką. Ten leży w błocie i nogą kopie w słupek od namiotu. W uszach huczy mi deszcz walący o brezent i ryk ko-

parki nad nami. Drugi obrazek to czerwona, nabrzmiała twarz Łopatki, który w prawej ręce ściska uchwyt metalowej walizeczki, a lewą, uzbrojoną w nóż, dźga za siebie, opędzając się od kogoś, kto próbuje go zatrzymać. Widzę chudą, kościstą dłoń z długimi palcami, brakuje tylko cienkiego papierosa. Z głębi otworu dochodzi dziecięcy wrzask.

– Uciekać! – krzyczę na całe gardło. – Uciekać!!!

Ochroniarze zastygają z pałkami w górze, Łopatko sunie na mnie jak czołg. Pochyliłam się i obracam bokiem, żeby go kopnąć w kolano, gdy będzie przebiegał obok. Bardzo chcę, żeby uciekli wszyscy – oprócz niego. On na końcu. W otworze widzę oklejonego błotem upiora z rozmazaną czerwoną farbą na gębie. Pełźnie na czworakach, zagarnia szlam pod siebie i porusza ustami. Ze starannie ułożonych pod siateczką włosów zostały żaloszne strąki. Za hrabiną kotłuje się jeszcze ktoś, ale nie widzę dokładnie. W następnym obrazku unoszę nogę, żeby powalić Łopatkę kopniakiem, ten wyciąga w moją stronę nóż i wtedy namiot wali się nam na głowy. Ślizgam się i chwytam brzeg płachty, zrywam ją z siebie prawą ręką i wyję z bólu. Łopatko jest już na pomoście, ktoś mu podaje rękę. Chcę go zatrzymać, ale płachta namiotu płącze mi się między nogami. Odwracam się i widzę taniec na grobli. Już wiem, że jest za późno.

Pijany operator zatrzymał koparkę dokładnie nad wykopem. Diesel na moment przycichł, a potem ryknął do wtóru piekielnego grzmotu, który przetoczył się nad okolicą jak śmiech demona. W głębi sceny, na środku stawu, olbrzymi zgarbiony cień osunął się bezgłośnie i zniknął pod spienioną deszczem taflą. Żółty korpus z napisem CAT, pchnięty nagłym obrotem prawej gąsienicy, tanecznym ruchem odwrócił się czerpakiem do nas i spłynął w dół. Rozmiękła jak ciasto ziemia pryskała wielkim pióropuszem. Spomiędzy gąsienic zaczęły się sączyć coraz liczniejsze strumyczki. Zobaczyłem jeszcze Węgrzyna uczeponego klamki od kabiny i wyszczerzone zęby operatora, usłyszałem za plecami zbiorowy lament kobiet i rzuciłem się do przodu, gdzie powinien być otwór wykopu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki brezent odchylił się, ukazując białe ręce i głowę z czarnymi włosami. Obok mnie czołgał się Nowicki, powinienem go przydeptać, ale nie miałem na to czasu. Wyszarpnąłem Sarę z błotnistej czeluści i wypchnąłem za siebie.

Słyszałem jeszcze, jak ktoś woła „tutaj!”, i wróciłem do wykopu. Wbita w groblę łyżka koparki zsuwała się do otworu krótkimi, szybkimi zrywami. Myślałem, że dam radę, ręka wyczołgującej się Kublickiej pojawiła się tuż przede mną, ale wtedy pizduś poderwał się na kolana i opierając stopę na głowie hrabiny, odepchnął się w górę. Na moment kobieta zniknęła, po czym wygrzebała się ponownie i wyciągnęła rozcapierzo-

ną rękę. Wtedy odcięły ją zęby spadającej łyżki.

Pchnięta od tyłu koparka uniosła się lekko jak plastikowa zabawka i popłynęła wprost na mnie, niesiona brejowatą falą. Grobla puściła na szerokości trzech metrów i masy wody z hukiem runęły do rowu, w ułamku sekundy zmywając z pola widzenia rachityczne stanowisko poszukiwaczy złota. To było jak potop. Koparka natychmiast znikła, podobnie jak otwór wykopu i płachta namiotu z kotłującymi się pod nią ochroniarzami. Pchnięty ciężką, cuchnącą falą poleciałem na nasyp, zahaczyłem o coś nogą i uderzyłem plecami w pomost. Przytknęło mnie, ale zaciskałem usta i trzymałem nos palcami, żeby nie zachłysnąć się błotem. Ten instynktowny odruch uratował mi życie. Nurt wlokł mnie wzdłuż rowu, gdzie stracił trochę impetu, tak że mogłem się wynurzyć dla zaczerpnięcia powietrza. Złapałem się kępy trawy i spojrzałem.

Odrzuciło mnie od wyrwy na dobre dziesięć metrów. Pokonując potworny ból pleców i nogi, wdrapałem się na groblę i wróciłem. Woda waliła przez dziurę jak z wodospadu, odrywała przy tym kolejne kawały ziemi. Szybko oceniłem odległość. Tu. Wskoczyłem w rwący nurt.

W górze, na poboczu, wrzasnął kobiecy głos. Wbiłem palce w rozmokłą ziemię i zanurkowałem, macając na oślep za czymkolwiek, czego można by się uchwycić. W takich momentach nie myślisz, działa za ciebie adrenalina i wola walki do końca. Prąd szarpał wściekle, ale udało mi się zaprzeć butem o coś twardego. Wciskałem głowę pod wodę i rozpaczliwie grabiłem napuchniętą prawą ręką, licząc na cud, bo na nic innego nie mogłem już liczyć.

Cud jakby się zdarzył. Dotknąłem jej. Była nieco cieplejsza niż błoto wkoło. Namacalem ramię i pociągnąłem do siebie, dłoń ześliznęła mi się po gliniastej mazi oblepiającej jej ubranie i prąd znowu porwał ją głębiej. Zacisnąłem mocniej palce, ale trafiłem akurat na tę rękę z obciętą dłonią. Kikut wysunął się bez oporu. Wychyliłem się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, i wtedy zobaczyłem ją w świetle olbrzymiej błyskawicy. Wirowała w nurcie dwa metry ode mnie. Odepchnąłem się od skarpy i podpłynąłem do niej. Bezwładne ciało owinęło się wokół mnie i oboje poszliśmy pod wodę, porwani nową, potężną falą. Rzuciło nas na przeciwległy brzeg i walnąłem głową w coś kanciastego. Myślałem tylko, żeby jej nie puścić, pod palcami czułem chude żebra. Nie wiem, dlaczego właśnie ona.

Ktoś bił mnie po twarzy, ktoś inny wrzeszczał jak opętany.

Otwarłem oczy. Nade mną pochylała się Sara. Gładziła mnie po policzku, obok niej klęczała Ola. Metr dalej dwaj mężczyźni wciągali po trawie ciało Marii Kublickiej. Wyglądała na martwą, ale nagle podniosła powieki i spojrzała na mnie całkiem przy-

tomnie. Deszcz słabł, tylko rozerwana grobla wciąż pohukiwała monotennie, a w środku wyrwy połyskiwał spod błota żółty dach koparki.

– Ona żyje – powiedziałem i podpełzłem do Kublickiej, nie zważając na protesty Sary. Hrabina wyglądała strasznie. Bardziej niż człowieka przypominała kukłę wiedźmy, którą ekstacyjny tłum topi w rzece na święto wiosny. Włosy oblepiała glina, na twarzy leżał długi pęd moczarki. Zdjąłem go napuchniętą dłonią. Mężczyzna w policyjnej koszuli chciał jej zrobić sztuczne oddychanie. Odepchnęła go i spojrzała na mnie.

– Chciał pan... żebym go... zatrzymm... – Zaczęły jej się trząść wargi i nie potrafiła dokończyć.

– Świetnie pani poszło – powiedziałem. – Dzięki. – Pogładziłem ją po tej drugiej, całej ręce. – Już jest pogotowie. Zabiorą panią...

Skrzywiła się. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale odpływała.

Z góry zbiegali dwaj ratownicy medyczni, a ona szarpnęła się, jakby odganiała natręta.

– Spłła.

Pochyliłem się nad nią.

– Co?

– Sppplł.

Ratownik podniósł jej głowę i szybko rozmasował policzki, drugi zaciągał opaskę uciskową na krwawiącym kikucie. Omiotła mnie zamglonymi oczami i opadła. Natręt ją zabierał. Powiedziała jeszcze śmieszne:

– ciiam..

I umarła. Jej kościste palce wpiły mi się w ramię. Ostatnia próba pozostania tutaj.

Znowu nie zdążyłem. Za to ona zdążyła mi powiedzieć najważniejszą rzecz, która ją tu dzisiaj przygnała i która wcale nie była tym, o co ją podejrzewałem. Spłaciłam. Tak, pani hrabino. Spłaciła pani długi Kublickich.

– Ona umarła – powiedział cicho ratownik. Łypnąłem na niego spod ubłoconej grzywki: poczciwa kwadratowa twarz, trochę odstające uszy, życzliwa gotowość.

– Przecież, kurwa, widzę. Masz aspirynę?

Otworzył usta i zaraz zamknął, po czym z kieszeni na piersi wyjął zielony blister. Wyłuskałem dwie tabletki, rozgryzłem i połknąłem bez popijania. Wody miałem już dosyć. Resztę schowałem do kieszeni.

– Nie powinien pan... – zaczął, ale zbyłem go machnięciem opuchłej ręki. Poderwa-

łem się i zacząłem drapać po skarpie na szosę.

Bolała mnie złamana dłoń, zwichnięta noga, obite plecy i pełna migreny głowa. Pestka dla takiego bohatera jak ja.

Za kierownicą granatowego passata siedział młody policjant z blond loczkiem wystającym spod czapki. Gwałtownie otwarłem drzwi.

Zaskoczenie to połowa sukcesu.

– Dokąd pojechał?

– Kto?

– Ten samochód! – krzyknąłem. – Przed chwilą odjechało stąd bmw. Dokąd?

– Tam. – Pokazał ręką na południe. Podborze.

– Wsiadaj – warknąłem.

– Co?

Złapałem go za ramiona i jednym szarpnięciem wyciągnąłem z auta. Zaskoczony, nawet nie krzyknął, tylko przytrzymał ręką spadającą czapkę i rozdziawił usta ze zdumienia. Wokół rozerwanej grobli i ogólnego stanu powodziowego działa się tyle, że na mój spektakularny napad na funkcjonariusza policji nikt nie zwrócił uwagi.

Wszyscy pokrzykiwali, biegali, komenderowali. Wskoczyłem za kierownicę, przekręciłem kluczyk i ruszyłem na maksymalnym skřęcie.

Ledwie się zmieściłem.

– Wojteek!!! Stóóój!!!

Mariusz Węgrzyn biegł za samochodem i machał rękami. Jednak przeżył. Uśmiechnąłem się do wstecznego lusterka i dodałem gazu.

Na skřęcie w Podborze zamontowano nowe światła, które teraz pulsowały nierówno pomarańczowym światłem, jakby ktoś bawił się drucikami w skrzynce rozdzielczej. Pewnie je woda zalała, jak wszystko.

Odbiłem w lewo, włączyłem długie i wcisnąłem gaz.

Noga odpowiedziała paralizującym wrzaskiem. Trzymaj się, stara, jeszcze chwila. Nie wiedziałem, dokąd jadę, ale tak zwany głos wewnętrzny utwierdzał mnie w przekonaniu, że i tak go znajdę. To był przecież ten dzień. Ta noc.

Światła samochodu odbijały się w mokrym asfalcie, po obu stronach drogi błyszczały wielkie kałuże, a koła traciły przyczepność.

Jak dotrze tu fala powodziowa, dopiero będzie wesoło, pomyślałem i wyobraziłem sobie rozlewiska na polach, łąkach i drogach w słonecznym świetle jutrzejszego poranka. Wiedziałem, że będzie pogodny, na południu i zachodzie migotały gwiazdy, coraz śmiejiej wyglądając spod rąbka czarnych chmur. Minąłem ponurą bryłę starego młyna, podwójny zakręt w środku wsi i pogałem drogą na Łozy.

W żadnym z domów nie paliło się światło, zgasły latarnie uliczne, jechałem w zupełnej ciemności i stukałem palcami zdrowej ręki w kierownicę policyjnego wozu, ponieważ taka oprawa sceniczna bardzo mi odpowiadała. Jeden na jednego i ciemność. Jak w westernach.

Minąłem wygaszoną wieś, zalane pola, zagajnik z błyszczącymi na biało pniami brzoź i zjechałem na pobocze. Stop. Coś jest nie tak.

Wysiadłem i sycząc przy każdym stąpieniu lewej nogi, poszedłem na groblę mojego stawu, tego prawdziwego, który do mnie mówił.

Rozłożyłem ręce i spojrzałem w górę. Co jest?

Nic. Cisza. Wiecie, taka cisza po deszczu jest pełna drobnych dźwięków: szmeru liści, szelestu skapujących z gałęzi kropli, chlupotu odpływów. Jakbyś się znalazł w przestronnej hali natury, gdzie nagle wyłączono maszyny. Szyt, szyt. Kap, kap. Plum, plum. Pełno różnych ważnych informacji, tylko trzeba je zrozumieć. Wytężyłem słuch i próbowałem z tego koncertu brzęknąć i pacnąć wydobyć to jedno potrzebne mi słowo. Nie czułem już bólu, ktoś go wyłączył, jak te maszyny. Powoli kręciłem w obie strony głową jak radarem w poszukiwaniu właściwego sygnału.

Z betonowego pidła dobiegł mnie podwójny plusk. Plim-pluum.

Pi-puuu. I-uuu. Iwlóóó... Cholera, jasne! Z rozłożonymi rękami odwróciłem się i spojrzałem na łunę miasta. Intuicja mnie nie zawiodła.

Nad ciemną linią horyzontu, nieco na lewo od świateł, tańczyła w powietrzu cienka zielona smuga. Unosiła się i opadała w rytm dwutaktowych pluśnień. Jasne. Maldor – pidło – zorza. Trzy sygnały wystarczą.

Po trzech minutach podjechałem z powrotem pod stary młyn.

Zatrzymałem samochód nieco dalej, po drugiej stronie drogi, ponieważ ciche podejście piechotą wydało mi się znacznie sensowniejsze. Na chybicka przegrzebałem schowki passata w poszukiwaniu latarki, ale żadnej nie znalazłem. Dziwne. W końcu kto jak kto, ale policjanci powinni mieć coś takiego w samochodzie. Poszedłem w ciemno. Po minucie oczy się przyzwyczajają.

Wewnątrz młyna nie było nikogo. W zupełnej ciemności obszedłem zrujnowane po-

mieszczenie i obmacywałem każdy zakamarek, w jakim zmieściłby się człowiek z walizką, ale bez rezultatu. Uniosłem głowę ku podestowi z lunetą i zawołałem: „Mal-dor!”. Też nic. Wyszedłem na zewnątrz i obszedłem budynek dokoła. Nic.

Nie, jednak coś. Zza pochyłości, od strony łąk, dobiegło mnie nierówne brzęczenie. Poszedłem w tamtym kierunku i przekonałem się, że to wycie silnika. Ktoś gwałtownie przyspieszał i zwalniał, jak to się robi, gdy samochód ugrzęźnie w błocie lub śniegu. Pomacałem grunt wokół ścieżki idącej ku łąkom i od razu trafiłem na dobrze odcisnięte ślady opon na rozmokłej ziemi. Uśmiechnąłem się. Jasne.

Kiedy wracałem po samochód, usłyszałem wycie zbliżających się syren policyjnych. Mogłem poczekać na ich wsparcie, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Na ile się orientowałem, raczej ścigali mnie niż jego. A ja odwrotnie, ha, ha.

Pojechałem ścieżką na światłach pozycyjnych, żeby go za wcześnie nie spłoszyć. Przez otwarte okno dobiegało nerwowe rżenie buksujących kół. Zatrzymałem się na szczycie wzniesienia. Przede mną w dole dwa podłużne tylne światła bmw wznosiły się i opadały.

Przednich nie było widać, zapewne wbiły się w ziemię. Beemka to nie jest auto na podmokłe łąki, baranie. Schodziłem ku niemu.

Zastanawiałem się, kiedy mnie zauważy. Niczego nie czułem, nawet bólu. Zaciśnąłem pięści i szedłem wolno, powtarzając pod nosem: „To nie twoje, złodzieju”.

W połowie drogi zawróciłem. Wpadł mi do głowy lepszy pomysł.

Kiedy wsiaadałem z powrotem do passata, przez otwory okienne starego młyna zami-gotały niebieskie policyjne koguty. Nie było odwrotu. Uruchomiłem silnik, włączyłem długie światła i ruszyłem w dół. Miałem pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, że się uda, choć inna strefa w mózgu podpowiadała mi, że mam pewną setkę. Wyskoczył z za kierownicy i brnął w błocie po kostki w stronę bagażnika. Bingo.

Opierając się tłustym łapskiem o dach, mozolnie wyciągał stopy z grząskiej mazi. Opasłe brzuszysko bynajmniej mu w tym nie pomagało. Nie wiem, jakie licho kazało mu tu zjechać, pewnie w jednym z tutejszych ogródków działkowych miał schowek na te swoje archeologiczne znaleziska. Ogródki działkowe, świetnie się składa. To tu zginęli starzy Kolanowscy i jestem pewien, że kiedyś dowiem się dlaczego. Wsteczne lusterko błysnęło pulsującym, oślepiającym błękitem, ale mogłem się tylko uśmiechnąć. Migrena mi przeszła. Ręka nie bolała. Zdązę. Dodałem gazu.

Mówiłem wam, że najbardziej cenię rytm? Z pewnością zauważyliście już moją słabość do rytmu. W chaosie miliardów rzeczy dwie z nich, a najlepiej trzy, zmierzają ku

sobie po odpowiednich trajektoriach i z odpowiednią prędkością, by w określonym punkcie wieczności zetknąć się i wywołać konieczny, nieuchronny skutek.

Można to nazywać determinizmem, Opatrznością albo zwykłym zbiegiem okoliczności, w zależności od psychicznych preferencji, wszystko jedno. Zdarzenie musi nastąpić i wywrzeć wpływ na nasze życie. Co więcej, lubimy, kiedy mechanizm funkcjonuje. Chcemy, żeby ta mechanika działała, dlatego naszym ulubionym narzędziem poznania jest laboratoryjny eksperyment. Nazywamy to dowodem i wyciągamy z niego wnioski o naszej wyższości nad resztą Stworzenia. Wszystko jedno. W gruncie rzeczy chodzi o to, że życie musi mieć swój rytm.

I śmierć też.

Pewnie nie przypuszczał, że to zrobię. Raczej przewidywał, że wysiądę i będę go ścigał pieszo, a może nawet machnę ręką i odpuszczę, sam, w ciemności i na trudnym terenie. Niedoczekanie, chłopie. Profesor Stefanowski, którego trup spoczywał teraz gdzieś pod zwałami błota w twojej plugawej jamie, kazał mi cię pilnować. A ja szanuję wolę zmarłych, powinieneś to zauważyć. Mam ci jeszcze parę rzeczy do powiedzenia i parę pytań do zadania, ale na tym padole już sobie nie pogadamy. Do twojego tłustego dupska, wypiętego ku mnie z bagażnika podtopionej beemki, powiem tylko tyle: ostrzegałem. Mogłeś zwrócić tę synagogę. I powiedzieć mi, gdzie one są. I nie brać, co nie twoje.

Nie słyszałem specjalnie gruchotu miażdżonych kości. Nie przy tej ilości tłuszczu. Prędkość samochodu i wysokość zadartego kupra bmw zgrały się doskonale z podezwaniem pyska passata na nierówności łąki.

W ostatniej chwili obrócił się twarzą do mnie, z metalową walizeczką przyciśniętą do piersi, jakby to była jego ukochana zabawka. Moje, moje. Gałki oczne wyskoczyły na mnie jak w tunelu grozy i tak już zostały, unieruchomione w przedśmiertnym zdziwieniu, że jednak.

Ogłuszył mnie huk i trzask miażdżonej materii. Kiedy odzyskałem słuch, ktoś szarpał kławkę passata. Nie reagowałem. Patrzyłem na zgniecioną walizkę i sterczący z niej rzeźbiony uchwyt srebrnej pałeczki do czytania świętego tekstu, zwanej jadem. Wchodziła od dołu w podbródek Łopatki. Jej koniec w kształcie łapki musiał tkwić gdzieś w mózgu.

– Jaromin! – krzyczał przez szybę aspirant Węgrzyn. – Otwórz to auto!

Podniosłem palcem kołek blokady. Wywlóknął mnie z kabiny i zaczął tarmosić. Był wściekły i przerażony.

– Pojebało cię? – wrzeszczał. – Co ty tu odpierdalasz?!

Popatrzyłem w górę i z uśmiechem uniosłem wysoko obie ręce.

– Spłacam długi.

Aresztowali mnie za czynną napaść na policjanta, uprowadzenie policyjnego samochodu oraz nieumyślne spowodowanie śmierci. To ostatnie pozostawało jeszcze pod znakiem zapytania, ponieważ śledczy prowadzili drobiazgowo dochodzenie w celu ustalenia, czy nie było to umyślne zabójstwo. Mierzyli ślady opon, stopień nachylenia terenu, sprawdzali stan układu hamulcowego i kierowniczego, wreszcie też stan mojego umysłu, wielokrotnie zadając te same pytania. Kiedy dokładnie zauważył pan drugi pojazd? Czy widział pan człowieka przy bagażniku?

Dlaczego zdecydował się pan zjechać z szosy na łąki? I tym podobne.

Oczywiście nie ułatwiałem im zadania. Ja mam swoją robotę i wykonałem ją, jak umiałem, a oni swoją. Jak się okazało, kluczowe dla śledztwa zeznania Węgrzyna przemawiały na moją korzyść. Mariusz, który jechał zaraz za mną, w zasadzie mógł mnie pogrążyć. Dlaczego tego nie zrobił, nigdy mi nie wyjawiał, mogę się tylko domyślać, że miało to coś wspólnego z sumieniem, podobnie jak u hrabiny Kublickiej.

W każdym razie stanęło na nieumyślnym spowodowaniu śmierci wskutek braku ostrożności w prowadzeniu pojazdu poza drogami publicznymi.

W areszcie dowiedziałem się, że spod lawiny błota wydobyto w sumie ciała sześciu osób. Pod płachtą namiotu śmierć znaleźli wszyscy trzej ochroniarze walczący przy słupku. Na dnie wykopu również znajdowały się trzy ciała: młodego człowieka z otoczenia Łopatki, zapewne jednego z kumpli Nowickiego, oraz Stefanowskiego i prezesa spółdzielni z Sępnii. Tych dwóch ostatnich odkopano splecionych w śmiertelnym uścisku, z dłońmi zaciśniętymi na gardłach.

Chcieli rozstrzygnąć walkę przed czasem, zanim obu przygniotła tonąca koparka. Jej operatora udało się Węgrzynowi cudem wyciągnąć żywego, już spod wody. Siedział teraz gdzieś w jednej z sąsiednich cel. Te ostatnie rewelacje opowiedział mi sam Mariusz, kiedy przyszedł w nielegalne odwiedziny.

– Człowieku, był nawalony jak stodoła! – opowiadał z przejęciem.

– Nawet taka ilość wody nie zdołała splukać z niego alkoholu.

Śmierdział jak gorzelnia.

– Pił tylko piwa – przypomniałem mu.

– Skąd, chłopie! Wcześniej wytrąbił co najmniej pół litra! Jak go wywlokłem z kabiny, czkał, pluł wodą i pytał, czy deszcz pada. Nie miał pojęcia, że wjechał koparką na groblę i wykopał nią trzymetrową dziurę.

– Myślę, że to nie on – bąknąłem trochę do siebie. – W każdym razie nie tylko.

Popatrzył na mnie spode łba.

– Ty znowu te swoje fantastyczne teorie, co? Nie odpuszczasz?

Duchy, dybuki i te sprawy.

Nie odpowiedziałem. Sam widział i słyszał. Ludzie otrzymują wystarczającą dawkę informacji i tylko od nich zależy, co z nią zrobią.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że to, co się tam działo, nie zależało wyłącznie od nas. Bo nie zależało, prawda?

Mariusz Węgrzyn miał i na ten temat odmienne zdanie. Usiadł obok mnie na pryczy i po przyjacielsku poklepał po ramieniu.

– Spieprzyłeś to, Wojtek – powiedział cicho. – I nie dlatego, że cię poniosło i go rozsmarowałaś na bagażniku jak majonez na big macu.

Spieprzyłeś to, bo na mnie nie poczekałeś. Załatwilibyśmy to inaczej.

Klepnął mnie mocniej i wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Nie wszyscy lubią, gdy się im odpowiada.

Ola mnie nie odwiedziła. Przysłała krótki list ze zdawkowymi wyrazami współczucia oraz kwaśnym stwierdzeniem, że musimy to wszystko przemyśleć. Co rozumiała przez „to wszystko”, już nie wyjaśniła. Za to w odwiedziny przyszła Sara. Nie wolno jej było wejść do celi, więc w obecności strażnika po drugiej stronie kraty zacisnęła palce na moich zabandażowanych dłoniach, patrzyła mi w oczy i płakała.

Powiedziałem, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze i takie tam bzdury, ale ona potrząsnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

Pocałowała mnie w usta i odeszła z tym zapłakany uśmiechem. Potem już nikt więcej nie przychodził i mogłem w spokoju czekać na proces.

*

Dosyć na dzisiaj. Słońce już zaszło i zapadają bure, grafitowe szarości, moje ulubione.

Przyciemniają trochę i lecą mnie z nieodpowiedzialnej nadziei, że ten świat mógłby być, ot, tak po prostu kolorowy. Jutro idę na badania. Będą coś tam stwierdzać w sprawie neuronów w mózgu. Bóg z nimi, ja się do tego nie mieszam. Moja pani pielęgniarka

ka z miną tajnego posłańca od sekretnych wieści doniosła mi, że od tego zależy, jak długo tu jeszcze posiedzę. Możliwe. Ale co to ma wspólnego ze mną?

Pewnie czekacie na jakieś puenty. Proszę bardzo, mam ich bez liku.

Janusz Karpiński, który na czas katastrofy gdzieś przycupnął w ukryciu, wiele miesięcy później puścił farbę, jak to było z hrabiną Kublicką tamtego tragicznego dnia.

Przyjechała z wynajętymi ochroniarzami i przy świadkach zażądała od Łopatki natychmiastowego przerwania rabunku. Ten ją wyśmiał, a wtedy wezwała komendanta Morgałę i powtórzyła żądanie. Podobno nawet go spoliczkowała. Gdy to nie pomogło, wkroczyli jej ludzie i zaczęła się walka. Morgała najpierw usiłował ich rozdzielić, a gdy runęła burza, wycofał swoich. Potem zniknął. Przypuszczam, że zwyczajnie uciekł.

Nowy prezydent Oszpicyna jedną z pierwszych swoich decyzji po objęciu urzędu anulował dzierżawę starej synagogi na skład budowlany i oddał ją Gminie Wyznaniowej Żydowskiej, a ta przekazała ją na rzecz Centrum Żydowskiego w Oszpicynie. Opiekunka Centrum, Sara Hirsz, zajęła się organizowaniem Muzeum Żydów Oszpicyńskich. Wielu odetchnęło, ale nie wszyscy.

Sara otrzymała również klucze od zniszczonego cmentarza żydowskiego. Na środku mieszkańcy wzniesli obelisk z potrzaskanych macew. Przesłała mi dwa zdjęcia. Jedno z czterdziestego piątego roku, zrobione tuż po wyzwoleniu, na którym rumowisko cmentarne pokrywa biały śnieg, i drugie, aktualne, z obeliskiem. Wyglądał identycznie jak tamten.

Zawartość metalowej walizki zabezpieczyła policja, rzekomo na potrzeby śledztwa. Po jego zakończeniu przedmioty miały zostać przekazane do muzeum, ale do dzisiejszego dnia nic takiego nie nastąpiło. Nikt nie wie, co tam właściwie było, poza wyjętym z mózgu Łopatki srebrnym jadem wysadzonym drogimi kamieniami. Zresztą jego późniejsze losy również nie są znane.

Ziemia wokół wykopaliska została bardzo dokładnie przeszukana.

Nie znaleziono żadnych kości ani innych śladów pochówku. Maria Kublicka miała rację. Odkopano jedynie szczątki starej chłopskiej kapoty.

Dostałem pięć lat. Dzięki zeznaniom Mariusza Węgrzyna o tym, jak biegałem i krzychałem, że duch idzie, zostałem uznany za świra.

Przeniesiono mnie do zakładu zamkniętego w małej podgórskiej miejscowości, z całkiem fajnym klimatem i dobrym jedzeniem.

W rok po wydarzeniach na grobli stary młyn w Podborzu został rozebrany. Lunetka przepadła.

Idę spać.

CZĘŚĆ TRZECIA

2004

Złoty kontrakt

Mendel z Warki, uczeń cadyka z Przysuchy, rozważał słowa Pisma o małym Ismaelu, wypędzonym z matką na pustynię: „usłyszał Bóg głos dziecięcy...” – Pismo nie mówi, że chłopiec wydobył głos – zauważył Mendel z Warki. – Matka jego płakała, a dziecięcy jęk, który Bóg dosłyszał, był niemy...

Hanna Krall, *Niepamięć*, z tomu *Dowody na istnienie*

Niedopalone kości rozdrabniano tłuczkami na proszek, a następnie wraz z popiołami zatapiano w Sole i w Wiśle, w okolicznych stawach, rozsypywano po polach jako nawóz lub zasypywano nimi zagłębienia terenowe i bagna.

www.auschwitz.org/historia/zaglada/przebieg-zaglady

Mój dziadek Abraham Zylbersztajn pracował przed wojną w Oszpicynie jako agent ubezpieczeniowy, dzięki czemu znał praktycznie wszystkie ważniejsze osoby w mieście. Jeździł od zakładu do zakładu i sprzedawał nowe polisy dla pracowników, odnawiał stare i w ogóle sprawdzał, czy wszystkie formalności z opieką zdrowotną są w porządku. Jako przedstawiciel kasy chorych i regularny wizytator fabryk, małych zakładów rzemieślniczych, sklepów i składów towarowych zajmował pozycję doskonałego pośrednika pomiędzy sferą publiczną i ekonomiczną, a także pomiędzy Polakami i Żydami. Jedni reprezentowali polską rację stanu i interesy narodowe, drudzy żydowski geszeft i interesy rodowe. Tamci pilnowali, by do kas miejskich wpływały odpowiednie podatki i składki zdrowotne, ci z kolei pilnowali zysków i właściwych powiązań gospodarczych. Między nimi biegał poczciwy Abraham Zylbersztajn, niewysoki, płowowłose, słabo przypominający stereotypowego Żyda, raczej już goja o nie do końca rozpoznanej kombinacji genów. Przychodził, dajmy na to, do fabryki nawozów sztucznych i uprzejmie witał się z jej właścicielem Leonem Szenkierem. Ten zapraszał go do swojego biura, częstował dereniówką czy likierem wiśniowym i po załatwieniu spraw urzędowych wysłuchiwał opowieści agenta o tym, co słychać w jego rodzinie, w mieście i u konkurencji. Po wyjściu od Szenkiera udawał się do Haberafelda albo Liebermanna i cały służbowo-towarzyski rytuał się powtarzał.

Po zakończeniu tej części obchodu mój dziadek przełykał głośno ślinę i wyruszał na drugą stronę miasta, do sklepu Biegackiego czy Ciechanowicza, i załatwiał to samo, tylko mniej uprzejmie i bez likieru.

Najpierw wysłuchiwał narzekań na głupie i niepotrzebne wydatki, bo jak przychodzi co do czego, to i tak każdy się leczy sam, a potem sypały mu się na głowę inwektywy pod adresem Żydów, którzy zawsze umieją sobie załatwić ulgi. Na koniec dowiadywał się, że trzeba by wreszcie kiedyś zrobić porządek z tym rozpanoszonego żydostwem, po czym Bogacki czy Ciechanowicz, prawdziwy Polak i katolik, surowo mu przypominał o nowym przepisie nakazującym robić zakupy wyłącznie w sklepach chrześcijańskich.

Wyobrażałem sobie, że taki dzień dziadek zaczynał z uśmiechem na ustach (uważałem go za człowieka pogodnego i zadowolonego z życia), a kończył przygnębiony i myjąc ręce w łazience po powrocie do domu, robił do lustra ropuchę. Babcia podawała

mu obiad i pocieszała, że ludzie zawsze tacy byli, ale on tylko kręcił głową i powtarzał sobie w duchu, że pewnych demonów za żadne skarby nie wolno spuszczać z łańcucha, bo nas wszystkich zagryzą. Jadł supę pomidorową i patrzył za okno na zmierzch nad zachodnią częścią miasta, za dworcem kolejowym, skąd dobiegał zgrzyt wagonów towarowych, z ponurym dudnieniem przetaczanych po bocznicach. Czasem myślałem sobie – a miałem dużo czasu na myślenie, mądre i głupie – że z biegiem lat ten dziadkowy optymizm przygasał i ropucha wychodziła mu przed lustrem coraz lepiej, a po wybuchu wojny na dobre zagościła na twarzy.

Tak, mój dziadek był idealnym kandydatem do przeprowadzenia transakcji w czasach, kiedy demony zostały już spuszczone z łańcucha i posłane między ludzi dla zrobienia porządku z tym całym rozpanoszonym żydostwem. Znany z solidności i uczciwości, do pewnego stopnia także z naiwności, która zainteresowanym wydawała się nieodzownym elementem całej operacji, cieszył się powszechnym zaufaniem. Jego praca polegała na inkasowaniu pieniędzy, skrupulatnym przeliczaniu ich i dostarczaniu do biura wraz z odpowiednią dokumentacją. Tego nie mógł robić byle kto. To musiał być ktoś. Mój dziadek.

Co w tym dziwnego, że kiedy oszpicyńskim Żydom czas skurczył się do kilku dni, a zaufanie do sąsiadów spadło do zera, pomyśleli wyłącznie o Abrahamie Zylbersztajnie? Tylko on mógł pójść na drugą stronę miasta i porozmawiać z kimś, kto wedle jego rozeznania z sukcesem zrealizowałby desperacki plan. Na przykład wspólnik i przyjaciel, z przyzwoitością zaświadczoną niejako przez samo urodzenie, czyli hrabia Fryderyk Kublicki. Widzę ich, jak rozmawiają ze sobą na ławce na plantach; dziadek spięty i z dobrze mi znanym mrowieniem w dolnej części kręgosłupa, hrabia przeciwnie, uśmiechnięty i wyluzowany. Czuje już złoty interes, znacznie lepszy niż ten wymyślony przez nich trzy lata temu.

Czy właściciel niewielkiej fabryczki albo sklepu, zawczasu planując przekazanie interesu godnym następcom, nie zabierze raz i drugi wnuczka do biura, by mu pokazać jego własną przyszłość?

Oczywiście, że zabierze. Jego ukochana Rachela czy Fejga, którą udało się szczęśliwie (czyli po żydowsku i płodnie) wydać za mąż, przyszła uprosić *tatele* o pieniądze na kremową suknię na ramiączkach, moda z najnowszego żurnala, a dla większej skuteczności negocjacyjnej zabrała ze sobą małego Dawidka czy Icchaka, oczko w głowie seniora rodu. Stary Liebermann czy Fuchs macha niecierpliwie ręką, dobrze już, dobrze. Zostawia córkę z mężem, kierownikiem w fabryce teścia, bierze chłopca za rękę i prowadzi do biura. Trzeba pochwalić się dziedzicem fortuny przed pocziwym agen-

tem ubezpieczeniowym. Ten tymczasem jedną ręką wypełnia polisę, a drugą kręci w palcach kieliszek z orzechówką.

– Niech pan patrzy, panie Zylbersztajn – woła od drzwi fabrykant – jaki z niego będzie kiedyś przemysłowiec! Dawidku, ukłoń się panu.

Drogi mój Abrahamie, zapamiętaj go sobie, bo to będzie kiedyś wielka figura w tym mieście, oj, bardzo wielka. A wiesz pan dlaczego? Bo dobrym ludziom Bóg pomnoży w owcach i wielbłądach. Ja to stary głupiec i podlec jestem, ale on...

– Co też pan, panie Liebermann – obrusza się mój dziadek i stawia pieczęć na papierze. – Nie wolno tak mówić, bo można nieszczęście ściągnąć na siebie i bliskich. Pan jesteś dobry i małżonka pańska szanowna, proszę się kłaniać, też do serca przyłóż kobieta. I córka pańska, i zięć też niczego sobie... A poza tym – Abraham Zylbersztajn kręci pustym kieliszkiem – głupiec by takiej dobrej orzechówki nie zrobił, kochany panie Liebermann. Bo pan sam ją pędzisz, nieprawda?

– A prawda – śmieje się pod nosem zadowolony z pochlebstwa fabrykant. – Inne wódki u Haberfeldów kupuję, ale orzechówkę sam.

Z własnych orzechów, co to je jeszcze świętej pamięci ojciec sadił.

– Pamiętam, pamiętam – przytakuje Zylbersztajn. – A ty co, chłopcze, chciałbyś mieć taką fabrykę?

Mały Dawidek kiwa poważnie główką, a czarny kapelusik ze wstążką zsuwa mu się na oczy. Szybko go poprawia, wyrywa się i chowa za nogawką dziadka.

– Zresztą – mruczy stary Liebermann – może rabinem zostanie. No tak, no tak.

Gaworzą jeszcze chwilę, a potem mój dziadek składa papiery do wielkiej skórzanej teczki z cielecej skóry, na którą wydał kiedyś wszystkie swoje oszczędności, zapina na obie sprzączki i wychodzi z serdecznym pożegnaniem. Chłopiec zerka na niego nieufnie i wcale się nie kłania, tylko patrzy. Te dwa płonące węgielki spod kapelusika Abraham Zylbersztajn będzie miał przed oczami dwa lata później, kiedy odbędzie się rozmowa ze starym Liebermannem. Ale już nie o tym, że mały Dawidek ma być przemysłowcem albo rabinem. To będzie rozmowa o tym, że musi przeżyć.

Jakoś tak się zafiksowałem, nie wiem czemu, że wszyscy oni lubią mówić „no tak”. Czasami zapala mi się blade światełko i dokądś wiedzie, ale zanim dojdę, gaśnie i skojarzenie ulatuje jak mgła. Tylko „no tak” zostaje. Według lekarza w miarę terapii pamięć powinna mi wrócić. Być może. Na razie wracają inne rzeczy.

Kiedy wybuchła wojna, mój dziadek musiał wiele rozmyślać o tym, którzy ludzie są dobrzy, a którzy nie. Wiem, bo go znam. Mam go w sobie. Rozglądał się z coraz więk-

szym zdumieniem i przerażeniem, a kiedy po likwidacji biura kasy chorych szukał nowego zatrudnienia, znalazł je w placówce Czerwonego Krzyża. Tak, to było zupełnie zgodne z tym, co rozumiał, patrząc na rozwój wydarzeń. Czerwony Krzyż i ropucha przed lustrem. A kiedy wydarzenia rozwinęły się jeszcze bardziej i spuszczone z łańcucha demony, radośnie chichocząc, przystąpiły do realizowania planu na niespotykaną dotąd skalę, mój dziadek nie przestawał myśleć dniem i nocą. Nosił już opaskę z gwiazdą Dawida, symbol najwyższej boskości, i zastanawiał się, czy autorom tego pomysłu przyświecał cel szyderszy, jak z *Arbeit macht frei*, czy religijny. Idźcie do waszego Boga, niech się wami zajmie. Widzę go, jak stoi wieczorem w oknie kuchni i gapi się w zamyśleniu na łunę za torami kolejowymi, opierając dłonie na szybie uszczelnionej paskami gazet przed smrodem i pyłem. Wie, że heksagram oznacza też przeciwieństwo ognia i wody, które dopiero w złączeniu dają niemożliwą jednię. Płonący ogień oczyszcza i unosi do nieba. Stojąca woda okrywa i zabiera do ziemi. W tych dwóch żywiołach są wszystkie cztery.

Spytacie, skąd to wiem. Odpowiedź jest prosta. Pozwolono mi zabrać do celi teczkę Hirsza. Przez pięć lat miałem naprawdę sporo czasu, by sto razy ją przerzucać i zatrzymywać się dowolnie długo nad każdym szczegółem. Na przykład takie zdjęcie z wymarszu podczas likwidacji dzielnicy żydowskiej. Idzie kolumna ludzi na tle kamienic, wszyscy mają na rękawach opaski z najwyższą boskością, a w charakterze strażników policjanci i żandarmi. Jeden z nich, wyglądający na szefa, ma nad głową dorysowaną wielką strzałkę, nad nią nazwisko: Andreas Kasza. Henryk wykaligrafował je dużymi literami, żeby nie było wątpliwości. Bohater ostatecznego porządku. Nie wiedziałem tego, ale miałem szczerą nadzieję, że po wojnie go powiesili.

Studiowałem to zdjęcie i szukałem na nim dziadka. Babci nie znałem z wyglądu, ale jeśli szli w tamtej kolumnie, na pewno trzymali się razem. Niewysoki, jasne włosy i nieco odstające uszy, co w tamtej grupie nie jest żadnym wyróżnikiem, obok niego kobieta z dzieckiem na ręku. Tak, powinna iść z moim malutkim ojcem na rękach, przecież go nie zostawili. Z drugiej strony, gdyby z nim szła, to nigdy bym się nie urodził. Musieli go gdzieś zostawić. Gdzie? Tam, razem z tą szóstką.

Przecież widziałem go z nimi na zdjęciu!

No nie wiem. Na pewno?

Same zdjęcia opowiadały mi te historie, nie musiałem niczego wymyślać. O, na przykład ten chłopiec przed odrapanymi drzwiami, z szyldem „Drukarnia i przybory piśmienne Abraham Gross” nad głową.

Okrągła czapeczka i druciane okulary, duże usta i chałat do kolan, pod nim rajtuzy i

sznutowane buty. Dłonie ugiętych rąk zwisają bezsilnie na wysokości brzucha, jak łapki bezbronnego, na wpół ślepego zwierzątka, które czuje śmiertelne zagrożenie, ale nie wie, skąd nadejdzie. Chłopiec patrzy prosto w obiektyw, jednym okiem, ponieważ drugie znikło za refleksem światła, i czeka na cios. Za tym zdjęciem natychmiast pojawia się następne, a na nim te dwie chude ręce zaciskają się na brzuchu, ciało pochyla do przodu, okrągła czapeczka spada i toczy się po śliskim bruku pocieranym przez równiutko zasznurowane buciki. Nikt tego zdjęcia nie zrobił, ale jest.

Powinienem zadzwonić do Izraela do mojego ojca i zapytać go o te wszystkie cholerne szczegóły. Co z tego, skoro nie znałem jego numeru telefonu ani adresu. A tak w ogóle – jak się dzwoni do Izraela z zamkniętego zakładu psychiatrycznego?

– Pan wie, że cierpi na obsesje maniakalno-depresyjne? Zakłócają panu odbiór rzeczywistości do tego stopnia, iż nie potrafi pan odróżnić faktu od urojenia. Ta historia pańskiego hipotetycznego dziadka, przedwojennego polskiego Żyda, ma uzasadnić mit rozchwianej tożsamości, która jakoby rzutuje na pańskie postępowanie i myślenie.

Jeśli mam być szczery, moja opinia jest dokładnie odwrotna. To pańskie obsesje, wynikające z wstrząsu po odkryciu danych o biologicznym ojcu, doprowadziły do dezintegracji osobowości, czego wyrazem jest uporczywe ogniskowanie wyobraźni na tematach żydowskich oraz wybieranie ze spektrum doświadczeń elementów wyłącznie potwierdzających z góry założoną tezę. Pan się po prostu nie może pozbierać po dotknięciu przez zbiorową traumę Holokaustu. Inaczej mówiąc, Oszpicyn zrobił swoje.

Lekarz wygłaszał swoje mądrości spokojnym tonem tego, który wie. Jego drobne oczka za wcale nie drobnymi okularami łąziły po mojej twarzy jak muchy po szybie. Siedzieliśmy w gabinecie i on przekładał z ręki do ręki kartki dossier, a ja bawiłem się łańcuszkiem od kajdanków.

Myślałem, że teraz już królują plastikowe, ale nie, strażnicy z tutejszego szpitala są tradycjonalistami. Przejawem ich chrześcijańskiego miłosierdzia jest zapinanie ich z przodu, nie za plecami pacjenta.

– Jaką tezę?

– Słucham?

– Powiedział pan, że szukam potwierdzenia założonej tezy.

Lekarz chrząknął i przetaił szkła okularów rąbkiem fartucha.

– Mam na myśli kilka. Na przykład urojenie związane z żydowskim pochodzeniem. Rozmawiałem z pańską matką, proszę mnie źle nie zrozumieć, to standardowe działanie w przypadku pacjentów pańskiego typu. Otóż ona wcale nie potwierdziła pańskich zapewnień o żydowskim ojcu. Oczywiście to intymne sprawy i nie powinny w ogóle wychodzić na światło dzienne. Mówię to tylko dlatego, że jesteśmy tu sami i że pan w zasadzie...

– O czym pan mówi, doktorze?

Chrząknięcie i poprawienie okularów na nosie za pomocą palca wskazującego.

– Pozwoli pan, panie Wojciechu, że szczegóły pomnę i przejdę od razu do konkluzji. Pańskim biologicznym ojcem wcale nie musi być ten, kogo pan ma na myśli. To słaba teza, niemal fikcja. Dlatego mówię o odwróconej kolejności. Najpierw projekcja, a potem dorabianie faktów.

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy posługuje się kłamstwem w celach terapeutycznych, czy matka faktycznie coś takiego powiedziała. Pierwszy wariant wydał mi się znacznie lżejszego kalibru.

Ot, takie tam psychiatryczne prowokacyjki wobec wyjątkowo upartego podopiecznego w celu uruchomienia projekcji w innym kierunku.

Natomiast wariant drugi rozwijał się w horror samotnej matki, wyposażony w dwie ścieżki interpretacyjne. Łagodniejsza ukazywała ją jako osobę świadomie okłamującą lekarza z powodów plasujących się gdzieś pomiędzy fałszywie pojętą troską o syna a antysemitycznym katolicyzmem. Ta druga, okropniejsza, przedstawiała moją matkę jako kobietę, która w 1968 roku współżyła równocześnie z więcej niż jednym mężczyzną i do dzisiaj nie umie wskazać ojca swojego dziecka. Niezłe.

Intrygujące. Bogate w domysły i nowe opowieści.

– Co z tego wynika? – spytałem z uśmiechem.

– Wiele rzeczy. Na przykład koncepcja dalszego leczenia. Jeśli uda mi się przekonać pana, że wcale nie jest pan pół-Żydem, łatwiej będzie uwolnić pana od pozostałych projekcji.

– Powodzenia.

– Dziękuję. Nadal przegląda pan te fotografie?

– Oczywiście – odparłem z nieukrywaną radością. – I wciąż znajduję nowe fakty. Pan zapewne nazwie je urojeniami, ale o różnicy zdań między nami wiemy obaj nie od dzisiaj. Dla mnie to odkrycia.

– Proszę się pochwalić – poprosił lekarz z miną, jakby wcale nie chciał o to prosić.

– Znalazłem kolejne nazwisko do mojej szóstki z przedszkolnego ogródka. Dawid Liebermann. Dopisałem je do listy.

– To ile ich pan już ma? – spytał, przewracając oczami.

Ucieszyłem się.

– Czwororo. Brakuje mi dwójki, choć powiem panu szczerze, myślę, że tak naprawdę chodzi o jedno.

– O, to ciekawe – mruknął, ale nie spojrzał na mnie, tylko coś zanotował w kajeciku.

– Jak pan to wyjaśni?

– Otóż według mnie powinni wśród nich być bracia bliźniacy.

A ponieważ zakładam również, iż chodzi o dwie dziewczynki i czterech chłopców, a mamy tylko jedną dziewczynkę, więc brakuje drugiej.

– To ciekawe – powtórzył z zamyśleniem. – A jak pan znalazł tego Dawida...?

– Liebermanna? To też bardzo proste. Podśledzałem rozmowę mojego dziadka ze starym fabrykantem i jego wnuczkiem, którego twarz znałem ze zdjęcia, skojarzyłem oba fakty i wyszło mi, że to on.

– Czy to on ma brata bliźniaka? – spytał lekarz, ciągle coś notując.

– Nie! Bliźniakami są najprawdopodobniej mali Krugerowie, bo Chaim Kupperman jest na zdjęciu z matką i siostrami, a Dawid Liebermann nie miał brata, na pewno. Został przecież od razu namaszczony przez starego fabrykanta na następcę, a przy dwójce wnuków ta decyzja nie byłaby wcale łatwa. No i matka przyszłaby do fabryki z obydwojema. Więc drugi Kruger. Niestety, nie mam imienia.

Zamilkłem, żeby móc zanotować te wszystkie rewelacje, choć ciekawiły go nie ze względów historycznych, a psychiatrycznych.

Mówiłem, różnica zdań. Nie obchodziło mnie to zbytnio, tylko o tyle, o ile mogło posłużyć najbliższej komisji lekarskiej do przedłużenia mojego pobytu w zakładzie zamkniętym. W przeciwnym razie groziło mi normalne więzienie. Nienormalny psychiatryk i normalne więzienie, dobre.

Lekarz skończył pisać i wbijając we mnie przenikliwe w jego wyobrażeniu oczy, spytał z powagą:

– Kiedy planuje pan znaleźć tę ostatnią dziewczynkę?

Obdarzyłem go najbardziej pogardliwym uśmiechem, na jaki mnie było stać.

– Panie doktorze, niczego pan nie zrozumiał. To nie jest żaden wyścig z czasem, ponieważ oni już nie żyją. Nie ma się co spieszyć.

Wszystko jedno, kiedy ich znajdę. Ważne, żeby przed śmiercią miał pełną listę, sześć nazwisk, i móc ją odczytać nad ich grobem. Albo nad swoim. Zna pan taki wiersz Herberta? *Musimy zatem wiedzieć / policzyć dokładnie / zawołać po imieniu / opatrzyć na drogę*. Otóż to – zawołać po imieniu, taki jest mój cel!

– Zanim dam panu spokój – lekarz wypowiadał każde słowo powoli i z uwagą – chciałbym spytać o jedno. Dlaczego obowiązek „zawołania po imieniu”, że użyję tej pięknej poetyckiej frazy, spoczywa właśnie na panu? I dlaczego akurat ta szóstka? Tam zginęło ponad milion ludzi. Czemu Wojciech Jaromin ma odnaleźć i zawołać po imie-

niu sześcioro zupełnie nieznanym mu dzieci, nie licząc się ze skutkami ubocznymi, z zabójstwem włącznie? Dzieci, o których, nawiasem mówiąc, nie wiemy nawet, czy naprawdę istniały. Może mi pan to wyjaśnić?

– Nie zabójstwo, tylko wypadek – sprostowałem uprzejmie.

– W porządku, wypadek. Zaginięcie sześciorga dzieci w grocie to też był wypadek. Śmierć kolejnych sześciorga ludzi na placu budowy podczas burzy również uznajmy za wypadek, choć o ile wiem, pan uważa inaczej. Niech mi pan powie... Nie wydaje się panu, że ten rachunek, ten dług został już spłacony? Naprawdę należało jeszcze rozgnieść następnego człowieka zderzakiem samochodu?

Zawiesił głos i patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem, pełnym nie tyle wyrzutu, co smutku. Współczującego smutku kogoś, kto chciałby pomóc bliźniemu, potrzebuje jednak do tego celu współpracy z samym zainteresowanym. Rozumiałem, że apeluje do mojego zdrowego rozsądku i sprawdza przy okazji, czy go w ogóle posiadam.

Nie mogłem go rozczarować.

– Z krzyżyka na szyi wnioskuję, że jest pan wierzącym katolikiem, doktorze – zacząłem z równie rozsądnym spokojem. – Wierzy pan zatem w Syna Bożego, który na ziemi stał się człowiekiem i został za nas ukrzyżowany. Historia ludzkości to historia zbrodni, także ludobójstwa, kiedy ginęły całe wsie, miasta i narody. Nic tak nas nie rajcuje w czynnym działaniu jak zabijanie innych i rabowanie ich dóbr, także w imię Syna Bożego, wzoru do naśladowania. Od dwóch tysięcy lat chrześcijanie niosą śmierć i pożogę pod hasłem miłości i uwielbienia dla męki Chrystusa. Nie wchodzę w wynikające z tego zawłości teologiczne, ale niech mi pan powie, dlaczego tyle szumu o zabicie na krzyżu jednego człowieka? Zabijamy się w milionach i od zawsze, dlaczego akurat Jego śmierć ma być szczególna?

– Ponieważ był niewinny – odpowiedział doktor.

– No właśnie. One też były niewinne.

Za oknem zaczął padać śnieg. Przyszła zima. Leniwe płatki kręciły się za szybą i od niechcienia osiadały na parapecie. Na parkingu pod gabinetem trzasnęła kłapa samochodu dostawczego, zaburczał diesel.

Zerwała się sroka. Pola za parkiem opadały łagodnie jak łąki Podborza za starym młynem, którego już nie ma. Pod wieczór zaczerwieni się horyzont, od tamtej strony, jak zawsze. Siedzę na nieistniejącym podeście u szczytu dachu, by uchwycić ten moment, gdy niebo nad muzeum przechodzi w symbol. Zamienia śmierć w piękno.

– Skoro już pan wszedł na grunt wiary, pozwolę sobie przypomnieć – doktor przetarł

okulary – że Jego śmierć symbolizuje wszystkie niewinne śmierci, dlatego jest tak ważna. On umierał za nas i za nasze grzechy. Także za te nieszczęsne dzieci i ich oprawców, jeśli w ogóle istnieli.

Pokiwałem głową, wyciągnąłem usta w ryjek i podrapałem się pod brodą, jak to czasami robił Stefanowski.

– Też tak myślę. Skąd jednak możemy mieć pewność, że te dzieci również nie umierały za nas i za nasze grzechy? Że nie szły podmokłą łąką pod opieką mojego dziadka, by zginąć niewinnie i zmienić się w symbol tamtego miliona?

– To bluźnierstwo – mruknął doktor.

– Dla pana tak, a dla mnie jedynie zmiana perspektywy.

– Trzeba umieć odróżnić prawdę od urojenia. Wielu szaleńców podszywało się pod Chrystusa, ale tylko On jest Prawdą i Życiem.

Reszta to paranoicy.

Śnieg zgęstniał i zasłonił pola białą kurtyną rażącą w oczy. Trzeba chłonąć tę biel, zanim zszarzeje i klapnie. Jak wrócę do pokoju, założę moją ulubioną kolorową czapkę i usiądę przy oknie. Ona mi bardzo pomaga. Koi mózg.

– Mnie też chodzi tylko o prawdę – powiedziałem. – Szukam jej dla nich i dla siebie. Jakże może mieć znaczenie, czy to paranoja, czy zdrowie? I ile osób jeszcze zginie?

Doktor pokiwał głową i zamaszystym ruchem wpisał jakąś fundamentalną frazę do swojego kajecika. Domyślałem się jej zasadniczej nieprzychylności dla mojej psychiki, co zapowiadało kolejne spotkania i dalsze rozmowy. Powiem wam, lubiłem je nawet. Coś mi porządkowały.

Podziękował za rozmowę i odprowadził mnie do drzwi, po czym zawołał strażnika. Nie mogłem sobie odmówić puenty w progu.

– Dla tamtej ludzkości apostołowie też byli szaleńcami.

Zmartwychwstanie, wniebowzięcie, zbawienie i te sprawy... kompletny odlot. Nie przychodzi czasem panu do głowy, że to wariaci, a nie psychiatrzy, pchają ten świat do przodu?

Westchnął z rezygnacją. Opancerzone drzwi od gabinetu cicho zamknęły się za mną i ruszyłem korytarzem za grubym strażnikiem, który poprawiał spodnie, łapiąc się za szeroki pasek z kaburą.

– Aleś mu pan powiedział – mruknął. – Z takimi tekstami szybko pan stąd nie wyjdiesz.

Wyszczrzyłem do niego zęby i przytaknąłem z radością jego pesymizmowi. Nie chciało mi się tłumaczyć, że na razie dobrze mi się tu siedzi i nie chcę wychodzić. Mam czapkę i śnieg. Gdyby mnie teraz uznali za normalnego, wyszedłbym, ale do więzienia.

Kiedy Abraham Zylbersztajn podejmował się roli pośrednika w zawieraniu złotego kontraktu, musiał mieć już syna. Chłopiec urodził się jeszcze przed wysiedleniem oszpicyńskich Żydów do Będzina i Sosnowca, w przeciwnym razie musiałyby się urodzić już tam i zginąć razem z rodzicami. W getcie na Śląsku nie mieliby za bardzo szans na ucieczkę czy pozostawienie malutkiego dziecka pod opieką kogoś zaufanego. Mój ojciec musiał zostać zadekowany gdzieś w okolicy, u znajomych dziadka z drugiej, chrześcijańskiej strony. Ile miał wtedy lat? Dwa? Cztery? Czy mógł iść z nimi? Na miejscu mojego dziadka za wszelką cenę starałbym się włączyć go do gromadki prowadzonych na ocalenie, może nawet postawiłbym taki warunek w pertraktacjach. Czy tak zrobił? Nie miał złota, to pewne, mógł zapłacić tylko gorliwością i naiwnością, a obie były niezbędne do realizacji desperackiego planu.

Ta rozmowa odbywa się w ich domu. Lubię sobie wyobrazać, że mówią na przemian po polsku i w jidysz, a dziadek na boku tłumaczy mi niektóre słowa. Babcia podaje herbatę, bo przyszedł zacny obywatel i człowiek godny szacunku, poza tym bogaty. Ten ostatni argument jeszcze działa, ale wkrótce przestanie. Siedzą przy okrągłym stole nakrytym serwetą. Przez haft richelieu metalowa obsadka na szklanę nie chce stać prosto, więc pan Liebermann czy inny Kruger ciągle ją poprawia.

– Panie Zylbersztajn – zaczyna ciężko. – Przychodzę do pana, bo pan jesteś dobry człowiek, a w dzisiejszych czasach taki człowiek to skarb. – Dziadek żacha się, ale pan Liebermann czy Kruger wie, jak rozmawiać z tym trochę zakompleksionym pocziwcem, więc powstrzymuje go ręką. – Proszę nie zaprzeczać, ja wiem, co mówię. I nie ja jeden mówię, cała nasza *Gemeinde* tak mówi. Taki człowiek jest jak ratunek, światło i nadzieja, kiedy ziemię zakrywają ciemności i drży lud Pański z trwogi.

Takim językiem przemawia stary Kruger (to musi być Kruger, przecież on miał aż dwóch do uratowania), żeby zmiękczyć i tak miękkiego z natury Abrahama Zylbersztajna, a kiedy ten przerywa potok niezasłużonych komplementów i prosi o konkrety, bo zaraz będzie godzina policyjna, sklepikarz Kruger przechodzi do sedna sprawy.

– Pan wiesz, co się dzieje. Konfiskaty, kary, rabunki, gwałty...

Ciężkie terminy na Żydów przysły, a będzie jeszcze gorzej. Nie dalej jak wczoraj

zaginęła młoda Gutmanówna, Hela, jedyny kwiatusek, jaki choremu Gutmanowi na starość po śmierci żony i drugiej córki pozostał.

Nikt nie wie, co się stało, porwali, i tyle. Mamy potwierdzone informacje, że wkrótce zaczną nas wywozić do getta. Wszystkich! Zaraz nas porwą i zawloką do tego swojego piekła, o którym tyle rozprawiają.

A Jahwe przygląda się z góry i pociera brodę w zadumie nad podłością Stworzenia. I nic nie robi! O, Jahwe! Za co? Za co to wszystko?

Teraz Kruger apeluje do religijnych uczuć Zylbersztajna, co niekoniecznie musi być socjotechnicznym strzałem w dziesiątkę, bo dziadek – na ile go znam, a znam całkiem dobrze – nadmiernie religijny nie jest.

– Niech się pan uspokoi, panie Kruger, i powie wreszcie, o co chodzi. Co może zrobić Zylbersztajn, kiedy nawet Jahwe nic nie robi?

I szybciej, bo zaraz godzina policyjna!

– My nie pożyjemy długo – mówi Kruger i kiwa głową, bo tego akurat jest pewien. – Idziemy na śmierć, bo taki nasz żydowski los i tak musi być. Wiedziałeś pan, że oni tam trupy w stosy układają i palą jak drzewo? O, Jahwe!

– Mam okna z kuchni na tamtą stronę. Panie Kruger... – pogania go dziadek.

– No tak. Panie Abrahamie drogi, trzeba ratować dzieci. Co tam kto miał jeszcze w ostatniej sakiewce na samym dnie kufra, to wyjął i przeznaczył na dzieci, żeby one przeżyły. Tak jest, kochany panie Zylbersztajn, czerń idzie i shoah, my, Żydzi, znamy to aż za dobrze. Ale one, te małe, co komu winne? A przecież nie możemy umrzeć wszyscy naraz, bo jakże to tak – nikt nie zostanie? Ani jeden? Nawet ten, co pilnuje cmentarza, i ten, co zwija Torę w *ejc chaim*? A kto za nas odmówi kadysz? No tak, to i postanowiliśmy, że ktoś musi ocaleć. Są pieniądze, dużo pieniędzy. – Pan Kruger pochyła się i wyciąga coś z torby. – Niech pan to weźmie i pójdzie do dobrych ludzi po prośbie, o te dzieci nasze...

Mój dziadek zrywa się i przytrzymuje Krugera za rękę pełną banknotów.

– Zaraz, zaraz, panie Kruger! – niemal krzyczy. – Niech pan to schowa! Nie chcę tu w domu żadnych takich interesów! Ja w ogóle nie wiem... – ze strachu i przejęcia brakuje mu słów – ...o co chodzi. Co miałbym robić, gdzie i z kim... Muszę to przemyśleć! – woła z radością, jakby znalazł wreszcie rozwiązanie problemu. – Niech pan przyjdzie jutro, panie Kruger.

Wciska mu z powrotem pieniądze do torby, żegna się pospiesznie i wypycha zdeorientowanego pana Krugera do przedpokoju. Robi to nie z niegrzeczności, ale zwykłego

strachu. Może i jest człowiekiem dobrym, jednak i z dobrocią nie ma co przesadzać, zwłaszcza podczas okupacji. Dobrzy giną pierwsi.

Po wyjściu pana Krugera dziadek przechodzi do salonu i podchodzi do okna. Po drugiej stronie ulicy znajduje się posterunek żandarmerii, parterowy budynek z tarasem na dachu, po którym teraz przechadza się żołnierz z karabinem na ramieniu i pali papierosa. Dziadek gwałtownym ruchem zaciąga zasłony, a potem opada na fotel i dyszy od napięcia.

Jasna cholera! Niemcy pod nosem, ledwie udało mu się załatwić u Kaszy przedłużenie kwaterek w takim świetnym punkcie miasta, a ten przychodzi i bez ceregieli wywala kupę pieniędzy na stół, jakby tu jaki pokątny handel świniną odchodził! Szaleństwo, szaleństwo...

Abraham Zylbersztajn oddycha głęboko, stopniowo coraz wolniej i spokojniej, wreszcie zamyka oczy. Po chwili czuje lekkie łaskotanie w kolano. Drapie się leniwie i dalej drzemie, ale łaskotanie wraca.

Otwiera oczy. Zza fotela wystaje czubek czarnej czupryny małego Daniela. Wyciąga rękę i głaszcze, a wtedy mały wyskakuje ze strasznym krzykiem, po czym śmieje się z psikusa. Dziadek udaje przerażenie i łapie się teatralnie za głowę, ale serce naprawdę rozpada mu się na tysiąc kawałków. Kiedy bierze swojego czteroletniego synka na kolana i mocno przytula do piersi, która boli, coś mu nagle przychodzi do głowy. Jutro jeszcze raz uważnie wysłucha pana Krugera.

Skąd to wszystko wiem? Z siebie. Ostatecznie jesteśmy tylko konfiguracjami komórek, a te w procesie ewolucji przekazywane są następnym pokoleniom. Jeśli jestem wnukiem Abrahama Zylbersztajna i synem Daniela i dostałem od nich pakiet z zapisem tamtych doświadczeń, to gdzieś te informacje muszą we mnie tkwić. Wystarczy wsłuchać się w siebie i dopuścić je do głosu. Mój psychiatra nazywa to obsesją maniako-depresyjną, ale co on się zna...

Tak, chętnie bym zapytał matkę. Pisała do mnie dwa razy w tonie lamentacyjnym, z elementami masochizmu i modlitewnego uniesienia.

W pierwszym liście miała nadzieję, że zapomnę o tych strasznych przeżyciach, wyzdrowieję i wrócę jako jej syn. Tak napisała. To znaczy, że teraz, kiedy z powodu jej upartego milczenia usiłuję na własną rękę dowiedzieć się czegoś o rodzinie ojca, nie jestem jej synem. Jak zapomnę i wrócę, to znowu będę. I jak miałem ją pytać?

Następnego dnia mój dziadek wysłuchał pana Krugera znacznie uważniej. Społeczność żydowska w Oszpicynie była dosyć zamknięta, powszechnie wśród młodzieży panowały nastroje syjonistyczne, a starsza generacja też prowadziła interesy głównie we

własnym gronie.

Kontakty z Polakami owszem, miały miejsce, nosiły jednak charakter raczej powierzchowny i sporadyczny. Nawet kiedy dzieci chodziły ze sobą do szkoły i siedziały w jednej klasie, to na podwórku już się razem nie bawiły. Abraham Zylbersztajn jako jeden z niewielu mieszkańców miał przyjazne relacje z obiema społecznościami: chrześcijańską i żydowską.

– Pan jesteś dobry człowiek – powtarzał sklepikarz jak katarynka. – To pan i wiesz, kto to jest dobry człowiek, i pan go będziesz umiał znaleźć po tamtej stronie. Nie tu, to tam. Dziesięciu sprawiedliwych to się nawet w Sodomie znalazło. Tu wystarczy dwóch, trzech.

– Może, może – skrobał brodę Zylbersztajn. – Ale niech mi pan powie, panie Kruger, co ten dobry człowiek, jak już się podejmie zrobić dla was to trudne zadanie, będzie z tego miał? Zasługi u Jahwe, owce i wielbłądy, wiem, wiem. A co poza tym?

Sklepikarz znowu pochylił się i zaczął grzebać w przepastnych kieszeniach swojego surduta, by w końcu wyjąć jeszcze jeden zwitek banknotów.

– Niech pan nie myśli, że my nagrodzić pańskiej pracy nie umiemy...

Dziadek złapał go za rękę.

– Pieniądze możesz pan schować! – wyjaśnił pospiesznie. – Mnie one tak samo potrzebne jak panu. Dołóżcie je do tamtych, tylko najpierw zamieńcie ten papier na jakiś twardszy materiał. Nie, panie Kruger. To jest kontrakt na życie i ja też chcę jedno dla siebie. Dla niego.

Odwrócił się i pokazał palcem na duży pokój, skąd dochodził radosny śmiech bawiącego się Danielka. Sklepikarz posłuchał paplania malucha, po czym zawiesił ciężki wzrok na obliczu dziadka.

– Za mały – zawyrokował. – Nie da rady.

Rozmowa przeszła już fazę konkretów i dziadek wiedział, że dzieci ma być sześćoro, w wieku od pięciu do siedmiu lat, w tym dwóch bliźniaków od Krugerów, mały Liebermann, mały Kupperman, mała Blichstein i... i tej szóstej ciągle nie miałem.

– Tamci niewiele starsi – odparł dziadek. – Mój idzie ze mną.

Inaczej – poczuł nagle siłę swojej solidności – niech pan zabierze te swoje pieniądze.

Zapadła cisza i każdy na swój sposób rozważał sytuację. Mój dziadek myślał o tym, że poniesie Danielka na plecach tak długo, jak się da, żeby miał więcej sił na później, a pan Kruger doszedł w tym samym czasie do wniosku, że jak w grupie będzie ten synek,

to może Zylbersztajn postara się o trochę lepszego człowieka po tamtej stronie.

Może nawet tak dobrego jak on sam. Tylko że mały ten synek, oj mały...

Na ulicy rozległy się krzyki, potem padły dwa szybkie strzały.

Obaj poderwali się i podbiegli do okna. Zza grubej zasłony zerkali na chodnik pod budynkiem żandarmerii, gdzie kilku policjantów prowadziło grupę cywilów z opaskami na ramionach. Kobiety, mężczyźni, dwoje dzieci. Jeden z policjantów trzymał w ręku pistolet, a pod ścianą leżało skręcone ciało, spod jasnego płaszcza wyciekała plama krwi. Pan Kruger odsunął się od okna blady jak ściana i szepnął:

– Dobrze już, dobrze. Niech idzie.

Posiedział jeszcze nad szklanką herbaty i poszedł sobie. Dziadek odprowadził go do sieni na dole i wypuścił tylnym wyjściem na niewielkie podwórko, skąd można było przekraść się opłotkami na drugi koniec ulicy Joselewicza. Tam na rogu Krugerowie mieli całą kamienicę i sklep na dole. To znaczy sklepu już nie mieli...

Kiedy zapadł zmrok, Abraham Zylbersztajn długo jeszcze stał przy oknie w kuchni. Patrzył na łunę na zachodzie i nie wiedział, ile w tej czarodziejskiej czerwieni jest niebiańskiego blasku słońca, a ile ziemskiego piekła stosów. Patrzył i patrzył, próbując oddzielać jedno od drugiego. Nagle wydało mu się to niezwykle ważne. Tam zorza wieczorna, a tu dym. Nie, to chmury. A tamta poświata porusza się, pulsuje, płonie. Jeszcze trochę i przez nieszczelne paski gazety do mieszkania wedrze się nieznośny, mdły odór. Trudno, trzeba przybić koc.

– Co chcesz tam zobaczyć? – spytała babka, obejmując go dłońmi w pasie. Uścisnęła je.

– Naszą drogę do nieba.

– Nie mów tak – przytknęła policzek do jego pleców i załkała cicho. Pogładził ją po kruchych kosteczkach palców, pomacał zgrubienia stawów i znieruchomiał. Wyobraził sobie, jak odpada od nich mięso, bieleją, rozstępują się, by zrobić miejsce pustce, wreszcie ulatują i dołączają do ciemnego, skręconego słupa. To będzie w dzień czy w nocy? Za dnia ktoś spojrzy, tak jak on teraz, i zamyśli się nad tym, kiedy przyjdzie jego kolej. Nocą nie widać dymu i ulecą bez świadków.

Raczej noc. Czas demonów.

– Wiesz – odwrócił się i pocałował ją w czoło, a potem mocno przytulił. Teraz ona miała widok na łunę. – To właściwie przywilej wiedzieć, którądy się pójdzie do nieba. Niewielu tak ma.

Cały dziadek.

– Jesteś okropny! – powiedziała babka i uderzyła go pięścią w pierś. – Jak można żartować z takich rzeczy? Co z nami będzie? Boże, a z nim?

Chłopczyk jak na zawołanie przyszedł i objął ich oboje za nogi, każde za jedną. Abraham pogładził go po głowie i uśmiechnął się w myślach. On przeżyje.

Odprowadził ich oboje do pokoju i wrócił do kuchni, żeby przybić ten cholerny koc. Ostatni raz rzucił okiem na łunę. Przygasła, a potem buchnęła nowym blaskiem. Dołożyli paliwa.

Ten drugi z małych Krugerów miał na imię Natan. Znalazłem ich obu na liście uczniów chederu, którą Henryk Hirsch dołączył do teczki i później najwyraźniej przeoczył albo w ogóle nie skojarzył, że chodzi o bliźniaków. Figurowali w wykazie jeden pod drugim: Josełe Kruger, Natan Kruger. Przejrzałem sporządzane przez Henryka listy ocalonych, na temat Krugerów nie znalazłem niczego oprócz nazwiska i wielkiego znaku zapytania. Dla wszystkich. Czyli dla bliźniaków też.

Dlaczego na kucyku siedzi tylko Josełe, a zamiast Natana jest inny chłopiec, w dodatku blondyn? Co się wtedy działo z bratem?

Zachorował i został w domu? Wyjechał do babci na wieś? Przestraszył się konia, a było już zapłacone za dwóch i ojciec posadził małego goja, żeby pieniądz się nie zmarnował? Nie dowiemy się tego nigdy, tak jak tysiący innych spraw skamieniałych na tych fotografiach niczym muszle amonitów w wapieniu.

O swoim odkryciu nie omieszkałem natychmiast powiadomić pana psychiatrę.

– Doktorze, mam Natana! – zawołałem od progu. – Ukrył się w ławce chederu za swoim bratem, ale lista nazwisk nie pozostawia wątpliwości. Natan! Natan Kruger!

– Bardzo się cieszę i gratuluję – powiedział doktor, sadzając mnie na krzesle ze szczególną ostrożnością, jakbym miał za chwilę eksplodować. – To z pewnością wielkie osiągnięcie i spory krok naprzód w pańskich poszukiwaniach.

Usiadł i przetaił okulary fartuchem, podczas gdy uwolnione od nich oczka uciekły na bok, by utrudnić mi rozpoznanie jego intymnej, drobniotkiej prawdy, że moje odkrycie ma serdecznie w dupie. To wydarzyło się miesiąc później, pod koniec lutego, niedługo przed wyjściem.

– I co zrobi pan z tym przełomowym faktem? O ile pamiętam, została jeszcze dziewczynka. Tak? Dobrze mówię?

– Absolutnie! – zgodziłem się gorliwie, jakby szło o następną kolejkę wódki. – Jedna mała dziewczynka i będziemy mieli komplet.

Cała szóstka. Plus mój ojciec.

Lekarz założył szybko okulary na nos i przechylił się przez blat.

– Ojciec? A co ma pański ojciec z tym wspólnego?

Również się pochyliłem i nasze nosy znalazły się naprzeciw siebie.

– Ano ojciec. Nie mówiłem panu? Szedł tam z nimi, z tym że on ocalał. Dlatego nie znalazłem go na zdjęciu z przedszkola. Są na nim tylko te, które zaginęły.

– Te z jaskini? – spytał psychiatra, marszcząc nos.

– Nie, te żydowskie! W jaskini były nasze dzieci, to znaczy oszpicyńskie, to znaczy... chrześcijańskie. Boże, jak te religie komplikują życie!

Trwaliśmy naprzeciw siebie. Kiwał do mnie pomarszczonym nosem i poprawiał okulary, ale się nie cofnął. To był pojedynek na maksymalnym zbliżeniu, *full contact*. Prychnąłem nozdrzami. Skrzywił się i kichnął w dłoń. Zrobiłem ryjek.

– A co, jeśli to nie pański ojciec? – spytał z chytrym uśmieszkiem.

– Zgłaszałem, że to wcale nie jest pewne.

– Panie doktorze. – Odchyliłem się na krześle, by dać mu złudne poczucie zwycięstwa w pojedynku przez blat. W istocie zbierałem się do zadania ostatecznego ciosu jego argumentacji. – Jeśli nie jestem wnukiem Zylbersztajna ani synem jego synka, to na jakiej podstawie potrafię przypomnieć sobie, o czym rozmawiali z Krugerem wtedy w kuchni?

Wlepiłem w niego bazyliżkowe spojrzenie. Nie ugiął się.

– No właśnie. Na jakiej? – spytał.

– Tylko na takiej, że odziedziczyłem ich pamięć i mogę do niej sięgać. Na pewno słyszał pan o pamięci genetycznej, doktorze. To właśnie ten przypadek. Widzę, co widział mój dziadek. Słyszę, co słyszał mój ojciec. Innego wytłumaczenia nie ma.

– Aha, nie ma – skwitował moje wywody. – Pamięć genetyczna.

Rozumiem. Ale w takim razie pomyślmy: skoro pański ojciec szedł z nimi w ostatnim marszu, powinien pan też to pamiętać. Wystarczy sięgnąć, nieprawdaż? Próbował pan zajrzeć do tej konkretnej komórki?

Otrzymałby pan odpowiedź na wszystkie pytania.

Wydawało mu się, że mnie miał. Tak to jest, gdy ktoś prymitywnie używa precyzyjnych narzędzi i z mikroskopu robi młotek.

– Mój ojciec miał wtedy cztery lata i był za mały, by wszystko zarejestrować w sposób komunikowalny za pomocą pamięci genetycznej. Dziedziczy się strach, traumę, afekty, ale nie nazwiska kolegów! A zresztą, nawet gdyby zdołał dokładnie zapamiętać każdy szczegół, to ja do nich nie mam dostępu. Tylko afekty i traumy.

Zwłaszcza traumy.

Psychiatra nie cenił szkoły psychoanalitycznej. W ogóle kwaśniał na wspomnienie o psychoanalizie, jak zresztą większość polskich lekarzy, preferujących tak zwaną psychiatrię biomedyczną. Dzisiaj, po wprowadzeniu korekty psychospołecznej, miałby może większe pojęcie o tym, co mówię. Na moje wywody o dziedziczeniu traumy prychnął jak odyniec.

– No to jak pan zapamiętał tamtą rozmowę? – spytał z irytacją. – Trauma podpowiedziała panu słowa? Wydrukowała tekst dialogu i poprawiła literówki za pomocą specjalnego programu komputerowego?

I dokleiła obrazki?

– Obrazków nie musiała doklejać – odparłem zimno. – Mam ich całą teczkę. Ośmielałem się jednak zauważyć, że nie musimy o tym rozmawiać. Możemy na przykład o pogodzie. Gdzie pan jedzie na urlop?

– Już wróciłem. Zostawmy jednak mój urlop w spokoju.

Chciałbym pana poinformować, iż niedługo czekają pana odwiedziny, mam nadzieję, że sympatyczne. Przyjedzie aspirant Mariusz Węgrzyn z Oszipicy. O, przepraszam, podkomisarz Węgrzyn. Podobno awansował za tamtą sprawę na grobli. Chciał koniecznie z panem rozmawiać, a ja nie widziałem przeszkód. Co pan na to?

W pierwszym momencie się ucieszyłem, ale zaraz mi przeszło.

Zrozumiałem, jaki mógł być jedyny rozsądny powód przyjazdu Węgrzyna. Znowu się zaczęło. Ktoś ruszył ziemię. Została przecież jeszcze trzecia część skarbu.

– Oczywiście, porozmawiam z nim. Proszę się nie obawiać, nie będę go zanudzał wygłaszaniem apelu poległych dzieci, tę przyjemność zachowałem specjalnie dla pana. On ma dla mnie inne konkrety, znacznie ciekawsze.

Przyjrzał mi się i szybko zanotował coś w kajeciku. Wyobraziłem sobie wielką rubrykę z moim nazwiskiem na górze i kolumną niewyraźnie nabazgranych uwag, z których połowa jest przekreślona, a druga podwójnie podkreślona. Teraz pewnie dopisał: *gra wariata*.

I postawił wykrzyknik. A potem jeszcze podwójnie podkreślił. I dodał znak zapytania.

Wiecie, co jest najfajniejszego w psychiatrii? Że lekarze to też trochę wariaci.

Mój dziadek spędzał coraz więcej czasu przy oknie w kuchni i w miarę patrzenia na zachód uchodziło z niego życie. Ulubionej pracy już nie miał, zamiast eleganckiej legitymacji pracowniczej w zielonych, sztywnych okładkach nosił białą opaskę z sześcioramienną gwiazdą, a połowa jego dawnych przyjaciół w mieście przestała odpowiadać na ukłony. Wprawdzie z tej drugiej połowy szły pod jego adresem ukłony głębsze i skwapliwsze, ale ich wykonawców ubywało z dnia na dzień.

Zaczęły się wywózki do getta na Śląsku.

Ile jest życia w człowieku? Powiedzmy, że tyle, co krwi, czyli pół wiadra. Dostajesz takie pięć litrów i musisz tym gospodarzyć przez kilkadziesiąt lat, pilnując, żeby dotarło do najmniejszych zakamarków ciała, a kiedy trochę wycieknie, zadbać o szybkie zasklepienie rany. Do klejenia tych dziur niezbędna jest psychika, tak to Jahwe wymyślił. Jak nie masz w sobie siły, płynu ubywa i ubywa. Niektórzy mają niespożytą energię i zaklejają przez sto lat, inni rezygnują już na początku. Płyn plus psyche. Ciało plus dusza. Dla dziadka każdy wieczór przy oknie w kuchni oznaczał nową dziurę w wiadrze. Wyciekało i wyciekało, a jemu nie chciało się już łątać. Odpuścił.

Chciał tylko jeszcze spełnić tamtą obietnicę, zanim wiadro się całkiem opróżni. Energię do wykonania tego ostatniego zadania znalazł tam, gdzie utracił siły życiowe: w obrazie łuny na zachodzie. Coś jeszcze chciał zrobić, zanim powiew wiatru skreśli kłębek jego dymu w chwiejny słupek i dołączy do ciemnego wiru. No i ten Daniel...

Kruger przyszedł jeszcze raz i przyniósł dodatkowe pieniądze, mieszek złotych monet, które sześć rodzin przeznaczyło na dodatkową motywację dla dobrego człowieka po drugiej stronie. Kiedy po krótkich przekomarzeniach udało mu się nakłonić dziadka do przyjęcia sakiewki, wyjął z zanadrza tałes i poprosił, żeby dziadek przysięgł na niego.

– Co mam przysięgać? – zdziwił się.

– Że zrobisz pan wszystko, panie Zylbersztajn, by te dzieci trafiły w dobre ręce i przeżyły.

– To ja takiej przysięgi, panie Kruger, złożyć nie mogę. Toż wszyscy na śmierć idziemy! Sameś mnie pan przekonywał, że to koniec i shoah, a teraz chcesz pan, bym pod

przysięgą życie cudze ratował? Czy ja bóg jestem jaki? Albo mesjasz?

Wykrzyczał te słowa piskliwym głosem i usiadł z wyczerpania.

Z dnia na dzień był coraz słabszy, z wiadra ciekło...

– Wiem, kochany panie Abrahamie, że ciężko będzie i one mogą nie przeżyć. Powiem więcej: one prawie na pewno nie przeżyją. Ale jaki ja bym był ojciec, gdybym nie próbował czegoś zrobić? I jaki pan byłbyś solidny agent ubezpieczeniowy, gdybyś się nie podjął? Jaki byś pan był ojciec małego Daniela, panie Zylbersztajn, gdybyś go z sobą nie zabrał?

I powiem jeszcze jedno: jaki byś pan był Żyd, gdybyś pan nie przysięgł na ten tałes?

– To szaleństwo. Kompletnie niezborne – mruknął dziadek i zakrył dłońmi oczy. Cały dzień słuchał tupotu żołnierskich butów na ospicyńskim bruku, krzyki, popychania, wrzaski żandarmów, pojedyncze strzały. Jego żona godzinami siedziała na bujanym krześle, kiwając się z zamkniętymi oczami jak ociemniała i powtarzając w kółko te same modlitwy. Przez zasłonięte kocem okno nie widział już piekielnych światła, ale w połowie framugi z prawej strony zostawił sobie malutką szparkę i przez nią zerkał. Nie potrafił się opanować.

Mały Daniel przestał się głośno śmiać – ospałym ruchem pchał po podłodze drewnianą ciężarówkę albo leżał na plecach i patrzył w sufit.

Dzieci nie myślą, czują przez skórę.

– Panie Zylbersztajn! – krzyknął zdesperowany sklepikarz Kruger.

– Niechże pan chociaż przysięgnie na niby, dla naszego świętego spokoju! Ee, jaki on tam święty. Przysięgnij pan, żeby ojcowie szli do pieca z trochę mniejszym bólem! O, tycinkę! – pokazał szczelinę między palcami, o ile wystarczy zmniejszyć ten ból. – Żeby ich tylko własna śmierć bolała, nie rodzonych dzieci. No, przysięgnij pan!

Dziadek bezwiednym ruchem wziął do ręki tałes, przebierał po nim palcami jak staruszka w kościelnej ławce po różańcu i podniósł na Krugera zmęczone oczy.

– Co mam powiedzieć? – spytał głuchym głosem.

Obejrzał się na koc w oknie i szukał w gęstej materii śladów pomarańczowego blasku. Nagle poczuł, że jest mu wszystko jedno.

Przecież i tak cały świat spłonie. Spadnie na ruszta zagłady, poskwierczy trochę i uleci kłębam w pustkę zwaną niebem. Jakie znaczenie może mieć jedna głupia przysięga na kawałek białego materiału z kilkoma czarnymi paskami? Komu i do jakiej wiary miałyby się to przydać?

– Powiedz pan cokolwiek! – jęknął wyczerpany Kruger. Wiadra ich wszystkich były

prawie puste. – Że zrobisz pan, co w twojej mocy, by przeżyły. A jak nie przeżyją, że je pan pochowasz po żydowsku, po ludzku. A jak nie...

– A jak sam nie przeżyję?

– To ja już nie wiem – westchnął Kruger. – To że pański syn je pochowa. Albo wnuk. Że w ogóle ktoś je pochowa!

Krzyknął w uniesieniu to absurdalne żądanie i zgarbił się jak starzec. Po jego policzkach pociekły łzy. Dziadek zrozumiał, że poczciwy Kruger płacze nad sobą, bo on raczej na pewno nie będzie pochowany po żydowsku, w ziemi. Ani nikt z tych ojców i matek, którzy składają ostatnią daninę życiu, równie rozpaczliwą i nadaremna jak klepane przez babkę modlitwy. Ani on, Abraham Zylbersztajn, ani żona jego też nie spoczną po ludzku w ziemi. Tylko łuna i wirujący dym.

I dziadek przysiągł. Założył tałas na głowę, czego nie robił od lat, bo do synagogi miał tak samo daleko jak do kościoła, przyłożył frędzle do ust i przysiągł. Potem wyściskali się z Krugerem jak serdeczni przyjaciele i dziadek wyjął z kredensu zachomikowaną butelkę orzechówki, co to ją z rok temu od Liebermanna otrzymał „na trudne czasy”. Trzeba było coś zrobić z rozklejonym sklepikarzem Krugerem.

Po dwóch kolejkach gość zebrał się do wyjścia i wyściskali się ponownie w przecuciu, że to ich ostatnie spotkanie. Zakładając płaszcz i kapelusz w przedpokoju, Kruger uniósł palec do zarumienionej twarzy i jak prawdziwy handlowiec wygłosił:

– My tego już nie sprawdzimy, ale niech pan pamięta, że umowa jest umowa.

Dziadek pokiwał głową, a kiedy drzwi zamknęły się za Krugerem, wrócił do stołu i pogładził palcami zostawiony przez sklepikarza tałas.

– Bóg sprawdzi – mruknął.

A potem sprawy potoczyły się znacznie szybciej, niż zakładał prowizoryczny i daleki od doskonałości plan dziadka.

Żeby nie patrzeć w okno, solidny agent ubezpieczeniowy siedział wieczorami przy stole nad kartką i układał listę kandydatów na dobrych ludzi z tamtej strony. Co wieczór nową, ponieważ po zakończeniu pracy palił zapiski w mosiężnej popielniczce. Nie chciał zostawiać śladów tak niebezpiecznego i ryzykownego przedsięwzięcia. Bał się. Nie tylko o siebie, ale i o tamtych ludzi. Sama rozmowa na tak drażliwy temat groziła nieobliczalnymi konsekwencjami, a jeden fałszywy krok, jedno pytanie skierowane na niewłaściwy adres mogło zakończyć się tragedią.

No i niewywiązaniem się z umowy. Nawiasem mówiąc, zaraz po wyjściu Krugera dziadek zaczął żałować, że podjął się tej misji.

Nazwisko jego przedwojennego przyjaciela Fryderyka hrabiego Kublickiego pojawiło się na liście zaraz pierwszego dnia, i to na samej górze. Wprawdzie ich wspólny interes spalił na panewce i właściwie nigdy nie zaczęli go nawet realizować, ale serdeczne relacje trwały do wybuchu wojny. Kublicki nie był typem biznesmena z uporem ciążącego grosz do grosza, aż uzbiera się fortuna. Przeciwnie, stanowił arystokratyczną odmianę birbanta, wyszarpującego pieniądze z nadarzających się okazji jak magik króliki z kapelusza, a te równie szybko jak króliki się rozbiegały. Rozległe koneksje rodzinne pozwalały mu funkcjonować w ten sposób latami, aż do wybuchu wojny, kiedy to sytuacja się zmieniła. Bliżsi i dalsi krewni zajęli się własnymi problemami i nikogo za bardzo nie interesowało, z czego będzie żył zabawny, ale trochę lekkomyślny Fredzio. Musiał poszukać nowego sponsora.

Został skreślony, ponieważ dziadek od znajomego usłyszał, że Kublickiego raz i drugi widziano w towarzystwie niemieckiego oficera.

A to wchodził z nim do restauracji z tabliczką *Nur für Deutsche*, a to wozili się odkrytym samochodem po mieście. Wprawdzie o jego rodzinie strona polska wyrażała się jak najlepiej: porządni Polacy, prawdziwi patrioci i tak dalej... Zylbersztajn wołał jednak nie ryzykować.

Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy pewnego dnia wpadł do nich chłopiec w za dużym kaszkiecie na głowie i podwiązanych sznurkiem butach, które kłapały na schodach jak kastaniety. Rzucił na stół poskładany w kostkę karteluszek.

– Wiadomość od Liebermanna, dwie marki się należy! – wydyszał jednym tchem.

– Jak to? – zdziwił się dziadek. – Pan Liebermann ci nie zapłacił?

– Zapłacił, ale jak biegłem, zaczęli strzelać i taryfa się zmieniła.

Dwie marki. Szybko, bo nie mam czasu!

Stał z wyciągniętą ręką i przestępował z nogi na nogę. Zylbersztajn westchnął, wyjął z portfela monetę i podał chłopcu. Jeszcze półtora roku temu taka bezczelność by smarkaczowi nie uszła na sucho. Oto jedna z cech wielkiej zmiany: chamstwo poczuło siłę. Jakby drogocenny płyn z dziurawych żydowskich wiader służył mu do napełniania własnych.

Nie miał jednak czasu na kulturowe roztrząsania, ponieważ liścik informował, że termin ewakuacji ošpiczyńskich Żydów do Będzina i Sosnowca wyznaczono za trzy dni. „Trzeba się spieszyć”, dopisał na końcu Liebermann i postawił zamaszysty, doskonale dziadkowi znany podpis.

Abraham Zylbersztajn wpadł w panikę. Trzy dni! A on nie zrobił jeszcze właściwie

nic w tej sprawie. Owszem, umówił się przez telefon z jednym chrześcijańskim kupcem (nie był to ani Biegacki, ani Ciechanowicz, ci odpadli od razu) i wyłuszczył sprawę, na co w odpowiedzi usłyszał grzeczną i pełną współczucia odmowę, wspartą słowami szczerego pocieszenia. Podobnie zakończyły się dwie inne rozmowy, przy czym w drugiej pocieszeniu towarzyszyła źle kamuflowana satysfakcja. Niepowodzenia trochę go zniechęciły i zarzucił rozmowy na rzecz układania wieczorami kolejnych list, co wprawdzie nie posuwało sprawy do przodu, ale trochę łagodziło wyrzuty sumienia. A tu nagle – bach! Trzy dni! Porwał kapelusz i pobiegł na miasto szukać dobrych ludzi.

W połowie drugiego dnia, po bezskutecznym chodzeniu od bramy do bramy jak domokrążca, opadł z sił i przysiadł na murku przy chodniku prowadzącym od rynku nad Sowę. Było ciepło i wiosennie, wiatr na szczęście wiał od południa, rzeką spływała mulista, mętna woda niosąca z gór błoto i stopiony śnieg. Jeszcze niedawno biała zima ludziła nieruchomym, zmrożonym dniem, że czas stoi w miejscu i nic się nie zmienia; jeszcze gruby koc przesłaniał nieuchronne. A teraz nagle wody runęły bystrym, nerwowym biegiem i czas skurczył się do kilku godzin.

Koniec. Następnego śniegu już nie zobaczy.

– Hej, Bramek!

Ktoś walnął go od tyłu w ramię tak, że kapelusz zsunął się na murek. Chciał go podnieść, ale Fryderyk Kublicki go ubiegł.

– Przepraszam, to z radości! Co ty tu robisz, przyjacielu?

Trzepnął kapeluszem o kolano i włożył Abrahamowi na głowę.

Niezadowolony z wyniku, zdjął go, przymierzył na oko i włożył jeszcze raz.

– Coś ty taki markotny? Coś się stało? Wiem, głupio pytam, ciągle się staje... – Zawiesił głos i zamyślił się nad głębią swojej frazy.

– Na pewno słyszałeś – odparł Abraham. – Jutro zaczyna się deportacja do getta. Przysiadłem, żeby ostatni raz spojrzeć na Sowę.

Wiesz, lubię ją.

– E tam! Wszystkich naraz nie wywiozą. Jedno słowo i załatwię, żeby cię zdjęli z listy.

Pociągnął dziadka na schody wiodące ku plantom, gdzie dawniej lubili spacerować i ukradkiem przyglądać się kobietom. Nawet już żonaty, dziadek uprawiał tę rekreację z przyjemnością. Był dobrym człowiekiem, ale z tym też nie ma co przesadzać. Schodząc w dół, minęli z prawej strony kupę gruzów po Wielkiej Synagodze, gdzie więźniowie w pasiakach czyścili cegły i ładowali je na taczki, a z lewej zrujnowaną małą synagogę

i płaski dach mykwy. Kublicki poprowadził go na lewo, gdzie przeszli obok monumentalnych budynków kompleksu salezjańskiego i usiedli na ławce w ustronnym miejscu. Kublicki objął Zylbersztajna za ramię.

– No, wykrztuś wreszcie, przyjacielu, co cię gryzie. Przecież widzę, że nie wywózka. Do tego już przywykliście, prawda? Ha, ha!

Wybacz, żartowałem. Naprawdę cię to martwi? Słuchaj – pochylił się nizej i mówił dziadkowi do kłapy płaszcz – nie ma takiej sprawy, której by się nie dało załatwić. Jest tylko kwestia ceny.

– Życia ludzkiego nie kupisz za pieniądze – westchnął z goryczą dziadek i spojrzał w górę, jakby szukał wsparcia w niebie. A tam tylko gnały w milczeniu poszarpane chmury, coraz szybciej i szybciej.

Kublicki wyprostował się i założył ręce za oparcie ławki.

– Powtarzam: zależy, ile płacisz.

Abraham Zylbersztajn drgnął. Ławica stalowych chmur przewaliła się z niemym łoskotem i na chwilę wyjrzało słońce. Metafora przeszła go jak prąd elektryczny.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Fryderyku?

Zawsze zwracał się do niego pełnym imieniem, nawet gdy byli ze sobą całkiem blisko. Kublicki pozwalał sobie na zdrobnienia typu Abramek lub Bramek, ale to przecież hrabia. Jednak co arystokracja, to arystokracja, wszystkich płotów nie przeskoczysz.

– Widzisz – Kublicki popatrzył uważnie w obie strony – trzęsiesz się przed wywózką, a ja ośmiu takich jak ty już uratowałem. Wyjechali pociągiem. Teraz są pewnie w Rumunii albo we Francji, z nowiutkimi paszportami. Mieli tyle kasy, że z powodzeniem dopłyną do Ameryki.

No i co? Da się.

Dziadek dobrze wiedział, co znaczy „tacy jak ty”. Pociągiem. Do Francji. Serce zaczęło mu bić jak szalone, nagle pogoda zrobiła się naprawdę wiosenna. Teraz on się pochylił, żeby szepnąć do kłapy prochowca Kublickiego.

– A dzieci? Dasz radę uratować dzieci?

Kublicki wykonał niemy uśmiech w stylu „o czym ty, chłopie, w ogóle mówisz” i strzepnął niewidoczny pyłek z eleganckich bawełnianych spodni.

– Dzieci są jeszcze łatwiejsze – powiedział cicho. – Nie trzeba nawet paszportu, wystarczy podpiąć malucha pod legalnych dorosłych.

Ciągle wyjeżdżają jakieś rodziny.

Zapadła cisza. Kublicki pozwolił, by ostatnie słowa popracowały w duszy dziadka, co w istocie zachodziło z pewną intensywnością.

Abraham Zylbersztajn słyszał o takich szczęśliwcach, którym udało się wyjechać lub wysłać kogoś bliskiego. Wprawdzie ponad rok wcześniej, ale opowieści krążyły wśród Żydów do dzisiaj, podtrzymując gasnący z dnia na dzień ogarek nadziei. Kto wie, może Fryderyk rzeczywiście ma dostęp do nadal czynnego kanału przerzutowego? Zawsze miał smykałkę do takich interesów. Do innych już mniejszą.

– Ile by to miało kosztować? – spytał, siłąc się na rzeczowość.

W środku drżał jak osika.

– A ile ich jest?

Jeszcze się wahał. Jeszcze ostatni raz jęzor zwątpienia liznął jego duszę. Z esesmanem się wozą. A coś drugiego odparło: ma dobre krycie, załatwi to. Wtedy doleciał ich zza pleców suchy strzał z pistoletu, a potem piskliwy kobiecy krzyk. Kublicki obejrzał się, jakby sprawdzał, czy ktoś tym krzykiem nie pobrudził mu naramienników płaszcza, a potem położył dłoń na kolanie swojego przyjaciela Abrahama.

– No, wykrztuś wreszcie.

I dziadek wszystko opowiedział. Że szóstka, a właściwie siódemka, bo jeszcze jedno jego, że tyle a tyle może dać, że najpóźniej jutro i że siedzi na murku, bo całkiem nie wie, gdzie jeszcze szukać. Jakiś bulgot w nim protestował, ale cichł w miarę mówienia, ponieważ powiedziane zmieniało się w dokonane i przynosiło ulgę. Fenomen spowiedzi.

Fryderyk Kublicki podniósł dłoń z kolana Zylbersztajna i objął go za szyję.

– Drogi Bramkusiu – westchnął pochylony. – Dlaczegoś z tym nie przyszedł od razu do mnie? Czy nie jesteśmy już przyjaciółmi, żebyś pukał po obcych domach, a mój, zawsze dla ciebie otwarty, z daleka omijał? Gdybyś mi o tym powiedział zaraz na początku, sprawa byłaby dzisiaj załatwiona. Co ja mówię, trzy razy załatwiona! A niechże cię!

Gdzie mają to złoto? Zresztą nieważne. Trzeba się spieszyć.

Drżącą z podniecenia i przestachu ręką dziadek wyjął zza pazuchy zwitek banknotów.

– To zadatek, żebyś wiedział, że sprawa jest poważna.

Fryderyk ze skrzywieniem odsunął rękę z pieniędzmi i oświadczył, że w jego środowisku wystarcza słowo honoru i nie trzeba żadnych zaliczek. Poza tym zaliczka na jeden dzień nie ma sensu, niech Abramek jutro przyniesie wszystko i wtedy wspólnie się

zastanowią, komu ile z tego przypadnie. Dziadek oświadczył z kolei, że on niczego nie chce dla siebie, tylko życie dla synka. Uścisnęli sobie ręce. Kublicki stwierdził radośnie, że dla ostatecznego dobicia targu musi dziadkowi poprawić nastrój, więc zaprasza go na wódkę. Czas uciekał, niemniej dziadek odczuwał takie nawarstwienie przeciwstawnych uczuć, że faktycznie potrzebował jakiegoś rozładowania. Kiedy podnosili się z ławki, dziadkowi coś nagle przyszło do głowy.

– Przysięgniesz, że je ocalisz?

Kublicki znieruchomiał i zmierzył go od stóp do głów.

– Powiedziałem ci: daję słowo honoru.

– Wiem. Ale przysięgnij na Jezusa Chrystusa, że zrobisz wszystko, by te dzieci przeżyły, albo przynajmniej...

– Przecież nie jesteś chrześcijaninem. Co ci z przysięgi na Chrystusa?

– Ale ty jesteś. Masz jakiś krzyżyk albo święty obrazek?

Długiemu, przeciągłemu spojrzeniu hrabiego towarzyszyło gmeranie pod koszulą na piersi. Wyjął maleńki złoty krzyżyk i zakręcił nim w palcach.

– Przysięgam.

– Na Chrystusa.

– Przysięgam na Chrystusa.

Dziadek z ciężką jak koło młyńskie ulgą objął go za szyję.

Fryderyk odwzajemnił uścisk, klepiąc żydowskiego przyjaciela po plecach.

W drodze do knajpy nieoczekiwanie zatrzymał ich przechodzień.

– Szanowny panie hrabio, drogi panie Zylbersztajn, uśmiechy proszę!

Mosze Lejbowitz machał aparatem fotograficznym wielkości paczki papierosów.

– Niechże pan da spokój – zaprotestował dziadek. Kublicki wręcz przeciwnie.

– Nie, świetnie! To będzie, Abramku, coś w rodzaju przypieczętowania umowy na papierze. Co prawda, fotograficznym, ale jaka to różnica?

Lejbowitz ustawił ich obok siebie i pstryknął kilka zdjęć, twierdząc, że musi wypróbować nowe cacko. Aparat był srebrny, błyszczący i według mojego dziadka absolutnie niestosowny na takie chwile. Na widok zbliżających się żandarmów Mosze natychmiast schował cacko do kieszeni marynarki i umknął w krzaki nad rzekę.

Żandarmi pobiegli za nim, ale kiedy rozpoznali hrabiego Kublickiego, zawrócili i tylko poprosili grzecznie, by nie fotografować obiektów strategicznych. Faktycznie, daleko w tle widniała dziura po Wielkiej Synagodze.

Przytykając kieliszek z zimną wódką do ust, dziadek zastanawiał się, czy Fryderyk przysięgał na krzyżyk, czy na złoto. To mogła być różnica.

Wyszedłem takiego samego pogodnego, wiosennego dnia dwa tysiące czwartego roku, pod tabunem stalowych chmur i prześwitującym słońcem. Nie chciało mi się szukać w tym metafory, wystarczyła dosłowność w postaci odzyskanej wolności. Miałem w plecaku parę ubrań, teczkę Hirsza oraz laptop z zapisaną historią złotego kontraktu.

Nie poznałem jeszcze wszystkich szczegółów, ale obraz całości ułożył mi się na tyle wyraźnie, że mogłem działać. Po zanotowaniu sceny spotkania mojego dziadka z Kublickim na plantach do listy dzieci dopisałem Rywkę Lejbowitz. To było proste. Jej ojciec oprócz firmy transportowej miał aparat fotograficzny oraz kilkuletnią córeczkę, której robił zdjęcia przy każdej okazji, na przykład z lalką w wiklinowym wózku na spacerze albo na placu zabaw w przedszkolu, z kółkiem do pływania. Jego nazwisko widziałem na kilku fotografiach z archiwum Hirsza, poza tym Mosze Lejbowitz nie należał do najbiedniejszych.

Niewykluczone, że na plantach pojawił się celowo, wysłany przez tamtych. Żeby został dowód.

Mój plecak zawierał też zgromadzoną przez pięć lat szczupłą korespondencję, a wśród listów zawiadomienie z sądu o rozwodzie z Aleksandrą Jaromin z domu Czech, z orzeczeniem o mojej winie. To też było proste, zważywszy na mój wyrok i ekspertyzy lekarskie.

Szkoda, ale bez przesady. Kiedy naprawdę ten związek pękł? Podczas tych paru godzin u Kolanowskiej? Wcześniej, w Słupsku, kiedy opowiadałem Oli o dzieciach i potem długo wpatrywaliśmy się w cienie na suficie? Tam, na grobli, gdy krzyczała i biegała jak wariatka, ale z wody wyciągnęła mnie Sara? Naprawdę nie wiem. Już nieważne.

Miałem też całkiem spory plik listów od Sary. Wszystkie krótkie, zawierały głównie relacje o postępach w uruchamianiu muzeum żydowskiego, poza tym trochę drobiazgów z życia rodziny Szwagrzyków, z którymi ciągle utrzymywała bliskie stosunki. Stary Szwagrzyk wreszcie zapił się na śmierć i pocziwa wdowa odetchnęła.

Do tego dwa listy od matki. W jednym z nich zawarła przydługawą opowieść o tym, jak w niedzielę po mszy poszła do księdza proboszcza i rozmawiała z nim ponad go-

dzinę. O mnie. Opowiedziała mu o swoim krótkim i lekkomyślnym związku z mężczyzną. Właściwie go nie kochała, po prostu jako młoda i głupia studentka zadurzyła się w inteligentnym asystencie. Kiedy zaszła w ciążę w sześćdziesiątym ósmym, akurat wyjechał do Izraela, a ponieważ Maria Jaromin zawsze była osobą wierzącą (tak jakby innowiercy nie byli wierzący), postanowiła urodzić to dziecko. Ksiądz proboszcz bardzo uważnie wysłuchał opowieści i obiecał porozmawiać ze mną, jak tylko wyjdę i zechcę do niego przyjść. Takim też apelem kończył się list, a ja zapewniłem ją, że oczywiście natychmiast po wyjściu wpadnę na plebanię. Nie jestem pewien, czy złapała ironię. List miał jedną niezaprzeczalną zaletę, a mianowicie matka po raz pierwszy nazwała mojego ojca po imieniu: Daniel Zylbersztajn. Powinienem odpisać inaczej. Że zaraz po wyjściu zadzwonię do Izraela do Daniela Zylbersztajna i się przedstawię.

– Dzięki za opiekę – powiedziałem do Mariusza Węgrzyna, gdy przyjechał po mnie osobiście, zgodnie z umową sprzed kilku miesięcy.

Zabierał mnie prosto do Oszpicy, do specjalnie wynajętego mieszkania, nawiasem mówiąc, tego samego, w którym mieszkałem dziesięć lat wcześniej, na Manhattanie.

– Nie ma sprawy. Wiesz, że nie robię tego z pobudek altruistycznych.

Skinąłem głową. Po odejściu Morgały na emeryturę został szefem komórki śledczej w komendzie i od razu spadła na niego seria dziwnych wypadków – albo nie układały się w żaden wzór, albo układały się w mój, czyli we wzór wariata. Nasza umowa była poufna, ustna i nielegalna – całkiem jak umowa mojego dziadka z hrabią Kublickim.

Podczas poprzedniej wizyty poprosił mnie o pomoc. Po wysłuchaniu tego, co miał mi do powiedzenia, zgodziłem się. Opowiadał zupełnie fantastyczne i niewiarygodne historie. Dla mnie brzmiały jak najbardziej realnie i wiarygodnie, wręcz logicznie, ale jako świr nie mogłem go o tym przekonywać. Coś jednak przeczuwał, skoro zadał sobie tyle trudu, by zaryzykować i przyjechać. Wyjął z teczki papiery i przesunął w moim kierunku.

– Rzuć na to okiem – polecił chłodno, choć kiedy rozłożyłem ponumerowane kartki i zacząłem czytać, w jego oczach pojawił się błysk napięcia. Oto zapis numer jeden.

Późnym wieczorem wracałam obwodnicą od matki z Łozów.

Dochodziło wpół do jedenastej, kiedy minęłam Podborze i skręciłam na łąki. Padało. W połowie drogi, za magazynami i tartakiem, zobaczyłam po lewej stronie, między krzewami, ognisko. Zdziwiłam się, że ktoś pali ogień na deszczu, i zwolniłam. Wtedy zobaczyłam dzieci. Trzymały się za ręce i tańczyły dokoła ogniska, jakby był maj, a nie koniec lutego.

Zjechałam na pobocze i wysiadłam, ale zaczęło padać jeszcze mocniej, a ja nie miałam nawet latarki, więc wsiadłam, objechałam rondo pod miastem i wróciłam. Ognisko nadal płonęło. Dzieci już nie tańczyły, tylko stały w kółku i... jakby się bawiły. Skręciłam w polną drogę, która kończyła się wielką kałużą, i dalej nie mogłam jechać. Wysiadłam. Od ogniska dzieliło mnie nie więcej niż sześćdziesiąt metrów. Jestem geodetą i umiem oceniać odległość na oko. Wiedziałam też, że tam są głębokie rowy melioracyjne i druty ogrodzeniowe pastwiska blokujące przejście. Stałam w deszczu i słuchałam, jak szóstka dzieci bawi się zimą przy ognisku, klaszcząc w dłonie i śpiewając. To było bardzo dziwne. Nie wiem, co śpiewali. W jakimś obcym języku.

– Powinna być siódemka – mruknąłem do siebie.

– Co?

– Mówię, że powinno być siedmioro dzieci.

– Przeczytaj na odwrocie – poradził Mariusz.

Rozumiałam jedno słowo. Daniel. Ale nie jestem pewna.

– Aha. Czy wiesz, dlaczego mnie to nie dziwi? – spytałem Mariusza, gdy odkładałem kartkę na bok.

– Tak i nie.

– Bo gdybyś mi przed chwilą zadał zagadkę, jakie imię skandowała szóstka dzieci przy ognisku, też bym typował Daniela.

– Dlaczego?

– Po hebrajsku to imię oznacza: „Moim sędzią jest Bóg”.

– I co z tego?

Wzruszył ramionami, lekceważąc całą znużenie przeze mnie gromadzoną wiedzę. Przez te pięć lat oprócz teczki Henryka Hirsza czytałem na przemian dwie rzeczy: wspomnienia więźniów obozu koncentracyjnego i Stary Testament.

– To imię mojego ojca. Miał iść z nimi.

Przygryzł wargę i nie powiedział tego, co miał na końcu języka.

Patrzyliśmy chwilę na siebie, on ustąpił pierwszy i stuknął palcem w blat.

– Przeczytaj następną relację – poradził. Wziąłem kartkę numer dwa.

Wiozłem płynny kauczuk z zakładów. Wolę wyjeżdżać na noc, bo w dzień duży ruch, a ja za kierownicą nie zasypiam. Puszczam radio i popijam colę, bo zawiera kofeinę, a kawy nie lubię. Było dokładnie siedemnaście po jedenastej, wiem, bo popatrzyłem

na zegarek w kabinie.

Za tym zakrętem, na którym wszyscy się ślizgają jak na lodzie, zobaczyłem na grobli światelko. Potem drugie. Lało jak z cebra, po rowach leżał mokry śnieg, to się zdziwiłem. Jechałem pomalutku, bo noc, deszcz i ten cholerny zakręt, a ja z pełniutką cysterną. No to się zatrzymałem. W pierwszej chwili myślałem, że wędkarze, bo oni czasem przy zniczach nad wodą siedzą, ale w lutym? Ogniki szły wysoko, po grobli, ładnie to nawet wyglądało. Popatrzyłem sobie, uśmiechnąłem się, jakie to cuda człowiek czasem widzi, i chciałem jechać dalej, ale wtedy minął mnie samochód i oświetlił tę groblę. To były dzieci. Pierwsze niosło lampę, następne trzymały takie paczki przed sobą, ostatnie też lampę. Dzieci? Same? Po nocy? No to wysiadłem.

One szły i śpiewały. Potem pojawiło się jeszcze jedno światelko.

Człowiek dorosły i dziecko. Czemu to mówię? Kurde, jak to powiedzieć...

Bo to ostatnie dziecko było takie białawe, jak ulepione z tego mokrego śniegu. Jak zjawa. Takie no... kurczę... przeźrocyste. Dobra, dosyć tego nagrywania. Cześć, czołem.

Odłożyłem kartkę i spojrzałem pytająco na Mariusza.

– Po co mi to pokazujesz?

Podrapał się po głowie i zrobił głupią minę.

– Myślałem, że ty mi powiesz – wystękał wreszcie. Sam nie chciał tego ujmować w słowa, w końcu jest policjantem i liczył na to, że ja powiem. Znaie mnie już, nie miałem najmniejszego zamiaru. Uśmiech za uśmiech.

– To nie są przestępstwa. Dlaczego się tym zajmujesz? – spytałem, kiedy już po-uśmiechaliśmy się do siebie.

– Wydawało mi się, że, no wiesz... Trochę to podobne do twoich...

Nie kojarzy ci się?

– Kojarzy – przyznałem uprzejmie. – Ale ja jestem świr. Siedzę w psychiatryku, jakbyś nie zauważył. Nawiasem mówiąc, także dzięki twoim zeznaniom.

– Inaczej siedziałbyś w więzieniu – odciął się zgrabnie. – I to znacznie dłużej. Jakbyś nie zauważył.

– Dobrze, masz u mnie dług wdzięczności. Mów, czego chcesz.

Przesunął dłonią po krótkich włosach i wypuścił z płuc powietrze jak z kowalskiego miecha.

– Kobieta nie żyje. Na drugi dzień złożyła u nas to zeznanie, bo jej nie dawało spo-

koju. Trzy dni później mierzyła pole i nagle w tyczkę geodezyjną uderzył piorun. Dwudziestego siódmego lutego, wyobrażasz sobie? Zginęła na miejscu, na tych samych łąkach, pół kilometra dalej.

– Przypadek – odparłem z ostentacyjnym lekceważeniem. – Burze w lutym się zdarzają, sam widziałem ze dwa razy.

– Ten kierowca też nie żyje – ciągnął Węgrzyn. – Zginął w wypadku, w tej samej cysternie.

– Ale nie na łuku? – upewniłem się.

– Nie. W Austrii.

– No to drugi przypadek. Skąd masz jego zeznanie?

– Nagrał je na najbliższym postoju. Kupił sobie dyktafon i nagrywał różne spotkane po drodze ciekawostki. Rozumiesz – pochylił się ku mnie i zniżył głos – u jednego i drugiego są dzieci, jest łąka, grobla, ten sam czas, to samo miejsce... Pamiętam, że też mówiłeś ciągle o tych dzieciach jak, jak...

– ...jak świr – dokończyłem.

– Daj spokój z tym świrem, Wojtek. Słuchaj, to jeszcze nie koniec.

Pracuję tam od dwunastu lat i widzę, co się dzieje. Może w twoich oczach jestem tylko tępym gliną, ale nawet najbardziej tępy glina potrafi dostrzec prawidłowość. Pięć lat spokoju i epidemia szcurów. Pięć lat spokoju i katastrofa na grobli. Znowu pięć lat spokoju i ogień w deszczu.

A za każdym razem dzieci. I śmierć. To nie są normalne sprawy, co?

Wiesz, że nie są?

Nie odezwałem się. Mogłem z nim jeszcze długo dyskutować, co to są „normalne sprawy” i czy zaoranie w ziemi szóstki dzieci z kupą złota należy do porządku normalności. Działo się dokładnie to, co miało się dziać, ale tego też nie mogłem mu powiedzieć. Jako policjant musiałby przyznać się do winy za całe miasto. Winy już nikomu do niczego niepotrzebnej. Pusty gest. Każdy chce, żeby ktoś tam drugi się do czegoś przyznał, choć w gruncie rzeczy nic nie jest tak pozbawione znaczenia jak przyznanie się do winy. Niezdrowa satysfakcja dla oskarżycieli, nic więcej. Wywiązać się z umowy – to co innego.

– Mówię ci, zbieg okoliczności. A ognisko paliło się na deszczu, bo ktoś dołożył fosforu albo kauczuku z cysterny tego kierowcy. Ja bym się nie przejmował. Chyba że jeszcze masz coś w zanadrzu. Wiesz w ogóle, gdzie jest zanadrze?

Nie dał się rozbawić kalamburem, zamiast tego sięgnął do teczki i podał mi następną

plik. Spojrzałem na zdjęcia ofiar w dosyć nieprzyjemnym stanie. Na pierwszym mężczyzna z poszarpanym na kawałki ciałem, łącznie z twarzą, na drugim korpus męski bez kończyn, na trzecim kobieta z pręgą po pętli na szyi. Czwarte zdjęcie pokazywało chyba tę samą kobietę powieszoną na szczycie słupa linii wysokiego napięcia.

– Te zdarzenia pochodzą z ostatniego miesiąca. Pierwszego faceta pogryzły psy, a właściwie na pół zeżarły, tuż pod osiedlem, naprzeciw Manhattanu. Chłopca bez rąk i nóg znaleźliśmy pod wierzbą, za ogródkami działkowymi. Kobieta wisiała na jednym ze słupów w Podborzu, na polu. Nie łączy ich nic poza tym, że wszyscy zostali znalezieni w obrębie tych cholernych łąk. Przez ostatnie pięć lat nie było u nas ani jednego śmiertelnego wypadku. Masz swoje zbiegi okoliczności.

– Czego oczekujesz ode mnie? I dlaczego ja? – spytałem z uśmiechem. Od dziesięciu lat zadaję te pytania ludziom z Oszpicy.

– Nie wiem. Chcę, żebyś przyjechał do miasta i trochę się rozejrzył. Pobył w nim, powęszył tym swoim ćwierćzydowskim i całkiem ześwirowanym nosem i podsunął mi jakiś trop. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś na grobli? „Będzie jeszcze gorzej”. No to chyba już jest. Wojtek, do kurwy nędzy, pomóż mi!

Odwrócił się do strażnika i podniósł rękę, że wszystko w porządku.

Otarł pot z czoła. Chyba naprawdę się bał, w przeciwnym razie nie podejmowałby tak ryzykownego przedsięwzięcia jak wyprawa do psychiatryka, żeby zasięgnąć rady u stukniętego Jaromina. Za głęboko już w tym siedział, żeby się nie bać.

Łąki. Ognisko w deszczu. Wielka Jantra. Złączenie ognia i wody.

Może faktycznie?

– Jak chcesz to zrobić? Siedzę.

Wyprostował się i gdyby nie był taki spięty, z pewnością na jego twarzy zagościłby uśmiech ulgi.

– Rozmawiałem z lekarzem. Po dłuższej i niepozbawionej punktów spornych dyskusji zgodził się w końcu przyznać, że istnieją przesłanki do wypuszczenia cię za miesiąc. Tylko nie nawal przy kolejnym wywiadzie.

Ruszyli ziemię. Wrócili po trzeci worek złota. Niedoczekanie.

– Dobra – powiedziałem po dłuższej chwili, żeby wyglądało, że się zastanawiam. – Potrzebuję tylko jeszcze jednego nazwiska. Jak je znajdę, będę gotowy.

Miesiąc później szedłem przez parking do jego samochodu. Od gór ciągnął cudny wilgotny wiatr, przyszedł początek kwietnia i początek trzeciego starcia.

– Masz to szóste nazwisko? – spytał Węgrzyn.

– Mam. Rywka Lejbowitz.

– Nie wiem, kim jestem. Wygodnie mi w przebraniu wariata, bo wtedy nie muszę odpowiadać na niektóre pytania. Przyjeżdżając tutaj dziesięć lat temu, również tego nie wiedziałem, ale przynajmniej nie wiedziałem, że nie wiem. Zmieniło się i poznałem wiele spraw tak, jakbym poznawał siebie, oprócz najważniejszego.

Jak w tej przypowieści. Wchodzisz do pałacu, otwierają się drzwi do pięknej komnaty, patrzysz z zachwytem, a wtedy otwierają się drzwi do drugiej, jeszcze piękniejszej, i znowu stajesz w podziwieniu, a potem jeszcze następna i następna. Krążysz w zdumieniu po wspaniałej budowli, ale po chwili nudzi cię otwieranie kolejnych drzwi, przystajesz i wołasz głośno: „Gdzie jest król?”. Odpowiada cisza. Ten, dla którego zbudowano gmach, milczy. I całe piękno ulatuje jak dym.

Na początku ta historia wydała mi się piękna. Taka przejmująca i żalosna, jak pieśń porzuconej kochanki w starym romansie. Dużo w niej smutku, cierpienia i niezawinionej krzywdy, a także obojętności świata, bo co kogo obchodzi zdradzona dziewczyna. Ludzie posłuchają przez chwilę, ten i ów łzę ukradkiem obetrze i zaraz wracają do swoich codziennych zajęć w domu, sklepie, na placu targowym. Jeden człowiek nie odszedł. Siedzi i słucha nawet wtedy, gdy dziewczyna już zamilkła i spuściła oczy. Słucha siebie i myśli, że wszystko, co dotychczas przeżył i zrozumiał, czego się nauczył i rozpoznał z rzeczy tego świata, było wielkim kłamstwem. Nadal nic nie wiedział, ale już wiedział, że nie wie.

I zakochał się w dziewczynie. Porzucił wszystko i poszedł za nią, choć ona wcale go nie chciała, bo cierpienie lubi samotność. Zostawił pootwierane na oścież drzwi komnat i wyszedł z pałacu na jaskrawe, palące słońce szukać króla na pustkowiu, daleko od ludzkich siedzib, tylko dlatego, że ona go prowadziła.

Nie wiem, jak to jeszcze powiedzieć. Czy wybrani muszą być wariatami? I kto ich wybiera? Zostałem do czegoś wezwany, ale nie wiem do czego i po co, a na wariata nadaję się tak jak moja matka na Żydówkę. Nawet jeśli odnajdę tamto miejsce, dokopię się do sześciu drobnych, rozsypanych szkielecików, pozbieram dokładnie wszystkie kosteczki do białej rytualnej szaty z frędzlami i zaniosę na kirkut, by złożyć do innego dołu w tej samej ziemi, to co to zmieni? Nie znałem ich. Nie mam pewności, czy te nie-

wyraźne twarzyczki, które raz tylko przez minutę widziałem na wyblakłym zdjęciu, to oni. Rwie się film i przeskakuje, obraz zanika. Pięć lat nad tym myślałem i do niczego nie doszedłem, bo nie było do czego dojść. Pałac jest pusty, nie ma króla.

Drepczę w kółko po pustkowiu, rozmawiam z zieloną zorzą, bulgoczącą w pidle wodą, cieniem diabolicznego hrabiego i bezzębnym Cyganem, który w przeciwieństwie do mnie na wariata nadaje się doskonale.

Przywiodła mnie tu smutna dziewczyna i jej bezgłośna pieśń. Słyszałem ją czy mi się zdawało?

– Tej opowieści, Saro, nigdzie nie ma. Jest tylko w mojej głowie i w rachunkach, które za nią płacę. Dlaczego nie wystarczyły mi oszałamiające purpury tamtego zachodu słońca? Musiałem wszystko zepsuć. Bo to nie oni są winni, ci biedni mali ludzie wypełniający nakazy swoich ciemnych duchów. Zawsze tacy byli i będą. Wiedzą, kim są.

Winien jestem ja, ponieważ posłuchałem innych duchów i domieszałem do tamtego zachodu łunę pożaru. Tak, musiałem. Żeby nie być nimi, bez względu na cenę. Oni kopią, poszukując złota, mnie się zachciało dokopywać do prawdy. I właśnie tego najbardziej nie wiem, i twoja bezgłośna pieśń, Saro, wodzi mnie po pustkowiu do skołowania i rozpacz. Nie wiem, czy wykopałem prawdę, czy tylko opowieść.

Siedziała nieruchomo na kanapie w dawnym pokoiku Monisi Szwagrzyk i patrzyła w ciemniejsze okno. Nie drgnął żaden mięsień na jej twarzy, stała się rzeźbą Sary Hirsz, blisko i tak daleko, jak tylko może być człowiek milczący od mówiącego. Spuściłem głowę i przyglądałem się wytartym czubkom własnych butów. Na powierzchni lewego widniało długie nacięcie, stare i zaschnięte jak blizna. Gdy oglądałem je poprzednim razem, było całkiem świeże. Kiedy? We wrześniu dziewięćdziesiątego czwartego, na grobli, jak siedziałem wśród szuwarów i czekałem na żeglującą ku mnie dmuchaną żabę. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem tę bezgłośną pieśń, która przywiodła mnie aż tutaj. A żaba zmieniła się w księżniczkę.

Cisza puchła, tężała, rozmowy przepadały z szelestem. Gdy nadszedł właściwy moment, wyjąłem z plecaka notes, otworzyłem na stronie z sześcioma nazwiskami i podsunąłem jej przed oczy. Zerknęła, nie poruszając głową, niechętnie, cała reakcja sprowadziła się do opuszczenia i uniesienia powiek z długimi rzęsami. Jak lalka. Czekałem w napięciu, pięć lat mojego myślenia wisiało na cienkim włosku sekundy, a w piersi huczała rozpacz. Więc jednak nic? Nic. Nie zgrało się. Rytm tej historii umknął mi jak imię babki Zylbersztajnowej.

Zamknąłem notes, a wtedy Sara drgnęła. Schwyciła moją rękę, wyjęła z niej zeszyt i

zaczęła szybko wertować. Przerzucała kartki, a jej czarne włosy falowały przy tym jak wodorosty. Doszła do sześciu nazwisk i przestała. Wbiła w nie szklany wzrok i zaczęła szybciej oddychać. Twarz pozostała nieruchoma, ale pojawił się na niej nowy wyraz, jakby ktoś odrobinę przestawił oświetlenie. Patrzyła i patrzyła.

We mnie huczało.

– Saro...

Uniosła na mnie oczy pełne łez. Jedna spłynęła po policzku i kapnęła na kartkę. Pogładziła mokre miejsce, rozmazując „tz”

w nazwisku Rywki, i uśmiechnęła się do poplamionego palca. Jej usta zaczęły się poruszać w bezgłośnej mowie, a wiśniowe wargi złączyła nitka śliny. Gdybym był Mo-sze Lejbowitzem, natychmiast wyjąłbym aparat i zrobił zdjęcie jej profilu, profilu ży-dowskiej królowej. *Adonai Jahwe sabbaot!* Pan Jahwe Zastępów!

Nie śmiałem się ruszyć. W piersi dudniła mi czarna rzeka, przelewała niespokojne wody z monotonnym pohukiwaniem.

Zastanawiałem się, dokąd mnie zanosą. Sara ujęła w palce wierzchołek kartki i wdzięcznym ruchem wyrwała ją z notesu, poskładała na czworo i schowała do kieszeni żakietu. Wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z pokoju. Szedłem grzecznie jak baranek na rzeź. Coś jednak się zgrało.

– Wrócisz? – spytała pani Szwagrzykowa z nadzieją w głosie.

Widocznie nie pogodziła się jeszcze z faktem, że Sara jest dorosła i mieszka u siebie, czyli w kamienicy przy dawnej ulicy Kościelnej.

Chciała mieć wszystkie dzieci w domu. Dziewczyna pokręciła głową, a wtedy go-spodyni obdarzyła mnie niechętnym spojrzeniem i wróciła do kuchni.

Wsiedliśmy do rozklekotanego opla astry, który czas mojego obsesyjno-paranoiczne-go pustelnicstwa przestał na policyjnym parkingu w Oszpicynie i dzięki regularnej konserwacji Węgrzyna wciąż nadawał się do użytku. Kazała mi jechać do jej domu. W drodze gładziła mnie po ramieniu, delikatnie, jakbym składał się z niezwykle kruchej i wrażliwej materii. I tak się trochę czułem.

Gdy przekroczyłem próg kuchni, gdzie przed dziesięciu laty wprowadził mnie Henryk Hirsz, uderzyły mnie ta sama czystość i zapach ziół. Siadając na krześle, wdycha-łem narkotyczną przeszłość z oszołomieniem astronauty powracającego na ziemię. Na uprzątniętym biurku na podstawce leżało kilka równiutko ułożonych pism, ta sama ozdobna lampa rzucała miękkie światło. Murowany śmietnik za oknem, niegdysiejsze siedlisko sporej watahy szczurów pod przywództwem Wielkiego Szczurona, znikł za-

stapiony kolorowymi plastikowymi kubłami. Tym razem pozwoliłem sobie na poszukiwanie metafory.

– Czysto tu macie – powiedziałem na głos.

Sara jedynie wzruszyła ramionami, ponieważ obchodziły ją teraz rzeczy znacznie ważniejsze. Położyła mi przed nosem tamto zdjęcie z przedszkola, którego istnieniu kiedyś tak sugestywnie zaprzeczała.

Spojrzałem na nią zdziwiony, ale tylko się uśmiechnęła. Wyjęła z kieszeni kartkę, rozpostarła obok zdjęcia, podała mi czarny cienkopis i przysiadła na taborecie. Aha. Ostatni punkt programu. Test końcowy na zaliczenie pracy. Zgranie obrazu i tekstu w rytmiczną całość. Uniosłem palce obu dłoni jak magik przed sztuczką, wziąłem pisak i bez zastanowienia umieściłem nad głową każdego z dzieci odpowiednie nazwisko. Bułka z masłem. Myślałem pięć lat.

Spokojnie, bo teraz muszę opowiedzieć o mojej radykalnej nielojalności wobec poczciwej pani Szwagrykowej. Ona do dzisiaj patrzyła na Sarę jak na tamtą wylęknioną dziewczynkę, osamotnioną i bezradną po śmierci jedyne go opiekuna, przygarniętą na miejsce przepadłej w otchłaniach ziemi Monisi. W mojej sytuacji było to zupełnie niemożliwe. Nawet gdybym się zapierał rękami i nogami, napór faktów zdecydowanie przekraczał moje możliwości obrony. Kiedy skończyłem pisać i odłożyłem cienkopis, Sara podniosła zdjęcie do oczu, przebiegała po nim zachwyconym wzrokiem z lewa na prawo i z powrotem, a potem je odłożyła i objęła mnie za szyję. Jej pocałunek, długi i mocny jak piątka z plusem, jak pieczęć przystawiona przez Abrahama Zylbersztajna na polisie ubezpieczeniowej, smakował nie tylko podziękowaniem, ale i sutą nagrodą. Po dziewczynce zostało wspomnienie, a na mnie napierały piersi dorosłej, namiętnej kobiety.

Przerwała pocałunek tylko po to, by zrzucić żakiet i pociągnąć mnie na kanapę Henryka. Doskonale wiedziała, czego chce. Przywarła całym ciałem i ścisnęła za szyję obiema rękami. Bierz, bierz. Wziąłem z czystym sumieniem. Jak ten, co wywiązał się z umowy.

Była dziewicą. Czekala na mnie, jak obiecała, i kiedy później leżeliśmy spoceni na rozbebeszonym łóżku, znacznie lepiej rozumiałem jej nieruchome napięcie tam, w pokoiku Monisi. Lepiej też rozumiałem samego siebie z ostatnich pięciu lat, te gorączkowe poszukiwania klocków układanki, żeby móc do niej wrócić i krzyknąć: Saro, znalazłem! Umowy zawierane bez słów mają szczególnie wiążącą moc.

Gładziłem ją po włosach, wdychałem zapach, dotykałem wargami skóry i delektowałem się smakiem inności, która stała się mną. Chciałem w nią wnikać, rozpuścić

się i rozejść po tym cudownym ciele jak przetoczona krew. Ona. Moja prawdziwa miłość. Połowa heksagramu.

Leżała obok mnie ze wzrokiem wbitym w ciemność i uśmiechała się, jakby widziała najpiękniejszą rzecz na świecie.

– Czy jak człowiek słyszy głosy zmarłych, to już jest wariatem? – spytałem.

Uniosła się na łokciu i jej druga ręka oparła się na moim sercu.

Cudowne uczucie! Wzrokiem poprosiła o doprecyzowanie.

– Kiedyś Łopatko postawił mi pytanie i do dzisiaj nie daje ono spokoju. Tu zginęło milion ludzi, ich jęk powinien nieść się po okolicy jak chór świerszczy w letni wieczór. A jest całkiem cicho. Łopatko był chciwym durniem, ale tu akurat trafił. Tymczasem ja od tylu lat zajmuję się sześciorgiem zaginionych dzieci, które krzyczą, protestują, walczą i nawet zabijają w tej walce. Dlaczego tamten milion jest jakby, nie wiem... normalny, a te dzieci nie? Tłumaczyłem sobie, że to może niewinność, czysta ofiara, teoria strun, ale to słabe argumenty. Takich szóstek tu jest wszędzie pełno, też bez imion i grobów. Dlaczego akurat te?

Sara znała język migowy, ale ja nie miałem o nim pojęcia, musiała więc stosować system uproszczony. Potwierdzenie i zaprzeczenie ruchem głowy, wzruszenie ramion, pociągnięcie za rękę. Nieraz mnie zastanawiało, że ona wszystko świetnie rozumie, nie ma problemu ze słyszeniem, co u niemowy bywa rzadkie, i właściwie brakuje tylko tego jednego ostatniego kroku, czyli złożenia słowa. Czekałem, aż wzruszy ramionami albo pokręci głową, ale ona wstała, wyszła do łazienki i po chwili wróciła ubrana, pokazując mi brodą, żebym zrobił to samo. Gdy wsiedliśmy do samochodu, kazała jechać w prawo, na most. Bez pytania wykonałem polecenie. Minęliśmy pusty plac po kamienicy Haberfeldów.

Zawaliła się dosłownie kilka miesięcy temu, odsłaniając piękną perspektywę na zamek i jeszcze piękniejszą perspektywę dla miejscowych deweloperów. Pewnie zaraz tu coś postawią. Przez migające barierki mostu rzeka połyskiwała światłem latarni i zastanawiałem się, czy tak ją widział dziadek Zylbersztajn tamtego wieczoru, przed wyruszeniem z dziećmi w ostatnią drogę. Za mostem minęliśmy budynek dawnej szkoły muzycznej, wielką czerwoną cegłą liceum i skręciliśmy w lewo na dworzec kolejowy. Minęliśmy halę dworcową i pojechaliśmy dalej. Myślałem, że wiedzie mnie do bramy muzeum ze słynną rampą kolejową, i obleciał mnie strach. Waliły tu miliony turystów z całego świata, żeby pooddychać na chwilę powietrzem Zagłady, a ja naprawdę nie lubiłem tego miejsca. Źle powiedziane, nie chodzi o lubienie. Unikałem tego miejsca z tego samego powodu, dla którego wszyscy koniecznie chcieli tu przyjechać.

Nie, na wiadukcie kazała mi skręcić w prawo. Zjechaliśmy w ciemną uliczkę o adekwatnej nazwie – Czarna – i stanąłem na poboczu. Wyszliśmy. Wiatr od południa pachniał topniejącym śniegiem, nad nami świeciły ostre gwiazdy. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do ogrodzenia. Za nim rozciągały się bocznice sporego węzła kolejowego Oszpicyna. Szliśmy wzdłuż betonowych płyt, aż znaleźliśmy taką ukruszoną i przeciśnięliśmy się na drugą stronę. Tam usiedliśmy pod płótem na kępie suchej trawy. W oddali błyszcząły światła dworca, ale tu panowała ciemność i cisza, nie licząc pojedynczych samochodów na wiadukcie.

– Co robimy? – spytałem.

Pachniało terpentyną od podkładów i siarką, której niewielkie kopczyki zalegały gdzieś, ślad po nieszczelnych zaworach zbiorników. Sara położyła palec na ustach i pokręciła głową.

W porządku. Trzymaliśmy się za ręce w zupełnej ciszy, z czarnymi cielskami wagonów towarowych przed sobą.

Wkrótce się zaczęło. Jeden z nich nieznacznie drgnął i stuknął o drugi. Ten stuknął o następny z lekkim zgrzytem, zadzwoniły sworznie. Z głębi dobył się głuchy pomruk i ponownie zapadła cisza. Po chwili ostatni wagon odbił z powrotem i po całym składzie przeszedł dudniący dreszcz. Hamulec pisnął z przenikliwym, kłującym jękiem.

Wagony szarpnęły się i potoczyły w stronę wiaduktu, niewiele, może ze dwa metry. Spojrzałem w lewo i ze zdziwieniem skonstatowałem, że na początku składu nie ma lokomotywy. Jechały same. Wiem, są takie pochylnie do przetaczania wagonów: wypycha się je na niewielkie wzniesienie i puszcza pojedynczo, odpowiednio przestawiając zwrotnice.

Te jednak były spięte i stukały o siebie jak w rozmowie. Gadały.

– Co one mówią?

Ścisnęła mi dłoń, aż chrupnęły kości. Zza składu dobiegł nowy zgrzyt. Drugi rząd ruszył powolutku i po przejechaniu kilku metrów zatrzymał się z serią drobnych stuknięć. Puk-puk-puk-puk. Cisza. Ruszył trzeci i to samo. Pierwszy, jakby w odpowiedzi, pojechał w przeciwnym kierunku i stanął piętnaście metrów dalej, odsłaniając ukryte za nim tamte dwa. Drugi też wrócił, ale tylko do połowy. Ułożyły się w trójstopniowy parawan. Wagony z trzeciego rzędu miały rozwarte wrota i odsłaniały przed nami widok na ulicę i muzeum. W jednych mignęła nisko nad horyzontem gwiazda, słaba, zamierająca. Na zestaw środkowy składały się otwarte lory i to stamtąd doleciał do nas nagle łomot, jakby ktoś walił pięścią w gong. Pogłos poszedł po bocznicę i odbił się od ścian magazynów. Za chwilę drugi. Wagony ruszyły i przystanąły. Puk-puk-puk. Tarcie

hamulców i pisk na granicy słyszalności. Iiii! Poczulem, jak skóra cierpie mi na głowie i w krzyżu.

A potem usłyszałem jęczenie, dalekie, jak spod ziemi, najpierw bardzo słabe, potem coraz głośniejsze, chóralny jęk, płacze, krzyki...

Sara patrzyła jak zahipnotyzowana. W błyszczących oczach nie widziałem strachu, tylko fascynację. I uśmiech. Dotknąłem jej ramienia.

Drżała.

– Oni nie milczą, prawda?

Skinęła. Najbliższy skład, ten, który odjechał najdalej, wrócił powoli, zasłonił pozostałe i zatrzymał się. To było jak zakończenie przedstawienia. Siedzieliśmy w piskliwej ciszy. Sara gładziła mnie po szyi, jakby chciała popracować nad ukrwieniem mojego mózgu i pomóc mu w myśleniu.

– Krzyczą cały czas, ale to coś innego niż tamte dzieci, tak? Jeden rachunek jest ogólny, na cały świat, i tego nikt nigdy nie załatwi, a drugi nasz, i to my musimy się z nim uporać. W wymiarze indywidualnym nie ma różnicy między prawdą a opowieścią, dobrze mówię? Tak jak nie ma znaczenia, kto w tej historii jest duchem, a kto rzeczywistym człowiekiem. I nie za to się odpowiada, tylko za czyny, tak?

Słuchała mnie, kiwając głową. Potem wstała, opierając się na moim ramieniu, otrzepała spodnie, pocałowała mnie w policzek i poprowadziła do dziury w ogrodzeniu. Czułem się jak Dante wyprowadzany z czyścica po udanym zwiedzaniu.

Przy dziurze czekał na nas sokista w mundurze.

– Co tu robicie? – warknął groźnie. – Tu nie wolno wchodzić!

– Słuchamy wagonów – odparłem spokojnie.

– A po co?

– Może powiedzą coś o nas. Potrzebna nam szczęśliwa wróżba.

Objąłem Sarę w pasie i pocałowałem w ucho. Sokista przyglądał się nam nieufnie.

– Co to za głupoty? – warknął z ręką na kaburze, ale odsunął się z przejścia. Przeleźliśmy na drugą stronę i ruszyliśmy do auta. Po kilku krokach licho mnie podkusiło. Odwróciłem się do sokisty.

– A pan nigdy nic nie słyszał?

– Nie, nigdy – odparł. – Nie mam uszu na takie rzeczy.

Podniosłem rękę na znak, że rozumiem, i odeszliśmy.

Chciałem wracać do domu i zastanowić się wspólnie, od czego zacząć, ale ona mia-

ła jeszcze jeden punkt w programie. Kiedy po przekroczeniu mostu znaleźliśmy się z powrotem w mieście, Sara nakazała mi jechać dalej. Nie pytałem o nic i dodałem gazu. Astra wyła i prychała, ale pędziła naprzód. Mijając skręt w ulicę Brzegi, odwróciłem głowę z nadzieją, że ten rytuał zaprzeczania złagodzi nieco moje brudne sumienie. Głupota zdarzeń jest niczym w porównaniu z późniejszą głupotą zaprzeczania im.

Zatrzymaliśmy się na tym samym przystanku autobusowym.

Brama cmentarza żydowskiego zionęła na tle szarości muru czarną pustką. Na prawo od niej widniał nagryzmołony sprayem wielki napis ŚMIERĆ ŻYDOM. Obok dorysowano koślawą szubienicę z powieszoną gwiazdą Dawida. Jasne, ćwoki. Gdzie wam do kosmicznej harmonii elementów.

Przebiegliśmy na drugą stronę i pod bramą Sara zaczęła grzebać w kieszeni. Myślałem, że ma przy sobie jakiś vanish i zaprzęgnie mnie do usuwania skutków czyjegoś odczłowieczenia.

Już sobie wyobrażałem, jak pod osłoną nocy pucuję ścianę szczotką do butów, chowając się przed każdym przejeżdżającym samochodem, czego z pewnością tamten piewca nienawiści robić nie musiał. Ale nie. Wyjęła klucz od bramy. Zgrzytnął zamek.

– Chcesz tam teraz wejść? – spytałem, jakbym sam nie błąkał się nocą po ruinach kirkutu.

W skupieniu pchnęła ciężkie blaszane skrzydło i wprowadziła mnie do środka. W kompletnej ciemności bałem się postawić krok, ale Sara wyjęła małą latarkę i między odłamkami macew poprowadziła mnie do obelisku. Był cały popapwany farbą. Dwustopniowy postument pokrywały pojedyncze słowa i całe zwroty, z których większość nie nadaje się do cytowania, a pozostałe były jak ten na murze. Korpus ozdabiały rysunki artysty owładniętego pasją perfekcyjnego namalowania szubienicy z gwiazdą, a z postępów wynikało, że droga przed nim jeszcze daleka. Szubienica przypominała zdemolowany statyw do mapy, a gwiazda Dawida raz wyglądała jak koślawa śnieżynka, a raz jak stojak na siano zwany w tych stronach rogaczem. Opróżniona puszka po sprayu stała na szczycie obelisku. Obszedłem ten pomnik wandalą i poświeciłem z tyłu, gdzie znalazłem chwiejne litery składające się na napis FALANGA oraz ramię z mieczem w kształcie nadmuchanego kondoma. Sara przystanęła obok i ścisnęła mi ramię.

– Teraz oni? – spytałem z nadzieją, że zaprzeczy. Powoli przytaknęła.

– Od czego zaczynamy? – spytał Węgrzyn, gdy usiadłem po drugiej stronie biurka, a on zamknął za mną starannie drzwi.

– To zależy, co chcesz najpierw znaleźć – odparłem. – Wiesz, na czym mi najbardziej zależy, ale ja nie wiem, na czym zależy tobie.

Podniósł jedną z teczek i popchnął do mnie przez blat.

– Ustaliliśmy tożsamość tego faceta pokrojonego na łąkach. To Dariusz Wojnar, lat siedemnaście, uciekinier z poprawczaka. Ukrywał się u kolegi w Oszpicy i tamtego dnia obaj poszli na łąki. Widziała ich kobieta i opowiadała o narzędziach: skrzynka, tyczka, kable. Z opisu wynika, że to mógł być wykrywacz metalu. Szli przez łąki na ukos, na Podborze. W miejscu masakry tego Wojnara nie znaleźliśmy żadnych śladów. No, prawie żadnych. Na pniu najbliższej wierzby była smuga krwi i coś jakby rybi śluz.

– Rybi śluz?

Węgrzyn wzruszył ramionami.

– Wiem, jak to brzmi. Pytałem lekarza, ale tylko powtórzył: rybi śluz to rybi śluz.

– Chcesz powiedzieć, że ryba go pożarła? Odgryzła mu kończyny, po czym wlała na wierzbę i odleciała?

– A co ja mam, kurwa, z tym zrobić, co? – Świeżo upieczony podkomisarz Węgrzyn nie panował nad nerwami, ale mogłem mu to wybaczyć. Nie takie rzeczy tu już widziałem. – Myślisz, że mnie łatwo opowiadać te pierdoły? Gdybyś to nie był ty...

– Okej, Mariusz. Zaprosiłeś do współpracy wariata, żeby móc mi opowiedzieć coś, w co normalny człowiek by nie uwierzył, a za co przełożony mógłby cię wywalić z pracy. Niezłe pociągnięcie. Zyskałeś w moich oczach.

– Nie pieprz, Jaromin, nie jesteś wariatem. W każdym razie nie takim, za którego się uważasz. Chciałbym, żebyś pomógł mi... ogarnąć całe to badziewie.

– Rozumiem. Mam być czymś w rodzaju przetwornika, który przekonwertuje te dane tak, żeby się trzymały kupy i nadawały do wpisania w protokół. A co, jeśli się nie da? Jeśli, dajmy na to, naprawdę zjadła go latająca ryba? Wiesz, tu psy, tam ryba, zwierzęta

też muszą coś jeść. Może taki protokół by przyjęli, co?

– Jaja sobie robisz, nie chodzi o protokół. Wiesz, Wojtek, ja przez te pięć lat też sporo myślałem i wymyśliłem, że wtedy na grobli miałeś rację. To nie jest tylko sprawa tego cholernego skarbu. W tym mieście o ukrytym złocie krąży więcej bajek niż o Królownie Śnieżce. Tam jest coś jeszcze. Zrozumiałem to, jak koparka się przekreśliła, a ja wisiałem na kłamce i próbowałem otworzyć drzwiczki. Uchylały się i zamykały z powrotem, ktoś je ciągnął od środka. Ten pijany idiota miał obie ręce na drążkach, nie widział mnie. „Zrozumiałem” to źle powiedziane.

Czułem. Cała koparka drżała razem z ziemią, nawet woda drżała. To było nienormalne. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to nie ten facet rozorał groblę, tylko to drzenie. On był narzędziem.

– Co z nim?

– Z tym operatorem? Siedzi na odwyku. Jak wtedy zaczął pić, tak nie mógł przestać. Nawet zeznań nie dało się z niego wyciągnąć. Może ty byś się z nim dogadał.

– Bardzo śmieszne. A ta kobieta na słupie?

– Zakładaliśmy samobójstwo, ale za dużo rzeczy się nie zgadza.

Wyjechała rowerem na zakupy, zostawiła dzieci w domu pod opieką najstarszego. Na blacie w kuchni rozmrażała się pierś z indyka. Na wieczór umówiła się z rodziną, że ich odwiedzi. Pojechała na to samobójstwo rowerem aż do Podborza, w lutym, z torbami pełnymi zakupów na kierownicy. Bohaterka zimowych rajdów. Oparła rower o słup, przypięła łańcuchem, żeby nikt nie ukradł, założyła sznur na szyję, wdrapała się na samą górę i stamtąd skoczyła. Aż dziw, że jej wcześniej nie poraziło. Wiesz, linia wysokiego napięcia, człowiek dochodzi do połowy, prąd przeskakuje i po zawodach.

– A ten trzeci?

– Przypadek najbardziej „normalny”, że się tak wyrażę. Dwa amstafy pogryzły na śmierć gościa na jego własnej działce. Przedarły się przez ogrodzenie i zabiły jego oraz jego kundla. Z pieska zostało niewiele, z jubilera nieco więcej.

– Jubilera? Czy może chodzi o Szpindla?

Węgrzyn zmierzył mnie pełnym uznania spojrzeniem.

– Proszę, proszę. Gdybyś nie siedział, miałbym głównego podejrzanego. Tak, chodzi o Antoniego Szpindla. Kupił działkę pod miastem jakiś czas temu i nikt nie wiedział po co. Naokoło powstała całkiem niezła infrastruktura: sklepy, hurtownie, punkty usługowe, wiesz, miasto się rozwija. A ten nie budował, nie uprawiał, tylko ogroził działkę, laził po niej z pieskiem i mamrotał coś do siebie. Też wariat, dogadalibyście się.

– Kolejny punkt dla ciebie. Dzięki szajbie można dogadać się z połową Oszpicyna. Ale jego śmierć to raczej wypadek?

– Niekoniecznie. Według świadków rozmawiał z jakimiś ludźmi z amstafami na smyczy. Psy udało się zatrzymać na miejscu, kiedy przyjechaliśmy, jeszcze go dojadły. Szukamy osób, które mogłyby zidentyfikować ich właścicieli. Nie były zarejestrowane.

– Gdzie są teraz?

– Zostały uśpione jako niebezpieczne.

– Mogliście ich najpierw użyć jako psów tropiących, żeby was doprowadziły do właścicieli.

– Zrobiliśmy tak. Chodziły w kółko po łąkach, donikąd nie poszły.

Weterynarz stwierdził, że miały psychotropami zaburzony węch. Ktoś je specjalnie ogłupił i napuścił na Szpindla.

Mariusz skończył i zapadła cisza. Zastanawiałem się, co z tych trzech przypadków mógłbym wykorzystać na potrzeby własnych poszukiwań i czy w ogóle istniał tu jakiś związek. Nie zazdrościłem Węgrzynowi. Faktycznie miał w teczkach totalną kaszanę: amstafy bez właścicieli, rybi śluz i zakupy na rowerze pod słupem wysokiego napięcia. I próbował w ten chaos wprowadzić porządek za pomocą pocziwych narzędzi policyjnego śledztwa. Dopiero kiedy nic to nie dało, zwrócił się do gościa z psychiatrika, bogatego w doświadczenia z naruszaniem granic racjonalności i dogadującego się z szajbusami.

– Pojedźmy tam – powiedziałem po chwili. – Do tych miejsc.

– Wojtku, nie zrozum mnie źle – odparł Węgrzyn – ale nie chcę, żebyś prowadził za mnie śledztwo. Jeszcze ogarniam. Powiedz mi tylko, gdzie szukać i czego. Tylko tyle.

– Tylko? A jaką chcesz wersję: rozsądną, średnią czy całkiem odjechaną?

Skrzywił się tak, że mógłby wygrać powiatowy konkurs na najbardziej kwaśny uśmiech.

– Wszystkie trzy. Zaczynj od rozsądnej.

– Zbierz informacje o robotach ziemnych w okolicy: wykopy, budowy, rozbiórki, naprawy rurociągów i tym podobne. Ktoś znowu ruszył ziemię w poszukiwaniu tego co zawsze. Nie wiem kto, ale powinien mieć jakiś związek z Łopatką albo Kublickim, a najlepiej jednym i drugim. Niewykluczone, że był wtedy na grobli pięć lat temu, może też mieć coś w rodzaju mapy.

– A jak znajde?

- To wykop skarb i odnieś do muzeum żydowskiego.
- To nie rozwiązuje zagadek.
- Jedną na pewno rozwiąże, nawet dwie.

Podkomisarz Mariusz Węgrzyn wziął długopis i zaczął notować porady płynące od zaufanego informatora z wariatkowa.

- A druga wersja? – spytał z uniesionym długopisem.

– Zdobądź od geodetów mapę rowów irygacyjnych i melioracyjnych pod Oszpicy-nem. Potem od różdżkarzy kopiujących studnie wydobądź podobną mapę cieków i żył wodnych pod łąkami.

Spróbuj znaleźć podziemne połączenie wodne pomiędzy placem manewrowym w Sępni, groblą na obwodnicy oraz miejscem pod wierzbami, gdzie zginął ten chłopak. Będiesz miał pewien kłopot z przedstawieniem sobie potwora, który pływa podziemnymi strumieniami i zabija ludzi, ale pozostawiam to twojej młodzieńczej wciąż wyobraźni.

- Potwora? Odbiło ci?

– Już jakiś czas temu. Zresztą ciągle mi o tym przypominasz. To tyle, jeśli chodzi o wersję pośrednią, jak widzisz, niepozbawioną trudności intelektualnych. Trzecia wersja wymaga zupełnej rezygnacji z intelektu w tradycyjnym znaczeniu.

- To znaczy?

– Idź na cmentarz żydowski i spytaj zaginionych dziewięć lat temu dzieci z dobrych oszpicyńskich rodzin, co im przeszkadza w wykonaniu zadania.

- Czemu żydowski? Zmieniły po śmierci wyznanie?

– Chyba tak. W każdym razie tam je ostatnio widziałem. Możesz też spróbować na łąkach albo na grobli przy zakręcie. Gdyby prosiły o szczegóły, spytaj, czy znają miejsce pochówku Fryderyka Kublickiego.

- Kublickiego?! On zmarł w Brazylii!

– Podobno. Ale w tej historii wiele rzeczy się nie zgadza, a te, które świetnie mogłyby się zgodzić, przemilczano. Ja go widziałem w okolicy co najmniej dwa razy.

Kręcenie głowy Węgrzyna wskazywało, że jego procesor z trudem przetwarza dane. Nic dziwnego. Ja dziesięć lat temu też przez to przechodziłem. Przyglądałem mu się z satysfakcją.

– Prosiłeś mnie o pomoc, a ja mam wobec ciebie dług wdzięczności, więc ci pomogę. Ostatnią wersję biorę na siebie. Zresztą i tak nie dałbyś rady, a ja potrafię rozmawiać nie tylko z duchami, ale też z bezzębnym Cyganem i z niemową. A nawet z wieczorną zorzą i wagonami, jak się wczoraj okazało.

– Z czym?!

– Nieważne, jedźmy. Słuchaj, Mariusz, jeszcze jedno. Macie tu nazioli?

– Chodzi ci o neofaszystów?

– Mniej więcej. O prawicowych ekstremistów, antysemitów i innych miłośników opowieści o ponownym uruchamianiu krematoriów.

– Jacyś są, ale to margines.

– Jasne, wszyscy tak mówią. Gdzie ten margines ma siedzibę, czym się ostatnio zajmuje?

– Wiesz – podrapał się po głowie – nie śledzimy tego tak dokładnie. Jest taka grupa, parę osób. Czasami wywieszają baner o Polsce dla Polaków, czasem zorganizują pikietę, ale to legalne. Kanalizują patriotyczne uczucia, i tyle. Każdy ma prawo.

– Prawo, jasne. Nie budują przypadkiem czego?

– Dowiem się. Myślisz, że oni mogą mieć z tym coś wspólnego?

W jego oczach pojawił się ten doskonale mi znany błysk, kiedy wypowiedziane słowa brzmiały jak cymbał i jak miedź brzęczą, bo za nimi ukrywa się pustka niespokojnych domysłów. Czekalem, a on unikał mojego wzroku. Wreszcie wydukał:

– Jest taki jeden facet, spróbuję go spytać...

– Pozwól, niech zgadnę. Nazywa się Maciek Nowicki?

Teraz w jego oczach pojawił się ślad ulgi. Ten grymas wygrałby konkurs na najsmutniejszy uśmiech roku.

– Wiesz, Jaromin, ja już nie wiem, czy ty jesteś bardziej wariatem, czy geniuszem. Tak, Nowicki.

– Jest tu kto? Dawid, Rywka, gdzie jesteście?

Schody do piwnicy były wąskie i musiał opierać się ramieniem o ścianę, żeby nie upaść. Trzymał świeczkę na talerzyku, którą zapalił dopiero tutaj, na miejscu, w sieni opuszczonego domu Liebermannów.

W drugiej ścisnął drobną dłoń swojego synka Daniela. Właściciele nie zdążyli zabrać ani spakowanych toreb, ani gratów i tobołów zalegających w sieni i na schodach prowadzących na górę. Za chwilę rozkradnie je miejscowa żulia, jak tylko żandarmi się cofną. Jego wpuścili, bo miał przepustkę. Cała rodzina, podobnie jak kilka tysięcy Żydów oszpicyńskich, została dzisiaj wywieziona z miasta, a wielką akcją deportacyjną kierował Andreas Kasza. Poprzedniego dnia Abraham załatwiał u niego odroczenie za pomocą tego samego pliku, który pan Kruger wcisnął mu do kieszeni jako dodatkową kwotę na dzieci. Nie miał innego wyjścia, musiał zostać w mieście za wszelką cenę, jeśli chciał dotrzymać słowa.

– Ty, Zylbersztajn, nie licz na nic – powiedział mu Kasza i splunął pod nogi. – Też pojedziesz, tam. – Pokazał palcem do góry.

– To się wie, panie komendancie – wybąkał w ukłonach Abraham.

– Wszyscy tam pojedziemy na ognistych rydwanach, prosto w objęcia Jahwe czekającego na swoje dzieci dokładnie tak samo, jak one czekały na Mesjasza. Ale Bóg dla biednego, głupiego Zylbersztajna trzyma miejsce na samiutkim końcu najmniejszego nieba, całkiem na obrzeżach, bo nie dokończył swojej roboty i potrzebuje jeszcze dwóch dni, żeby dopilnować transportu chorych i słabych. On pojedzie na końcu, zamknie ostatnie drzwi i pogasi światła we wszyściutkich domach, żeby upewnić się, że żaden Żydek tam już nie został.

Kasza nie był żadnym komendantem, ale należał do tego gatunku kanalii, co to lubią siać postrach i zajmować nie swoje stanowiska, o czym Zylbersztajn wiedział. Międlął w palcach kapelusza i potakiwał sam sobie, by ułatwić żandarmowi decyzję. Ten patrzył, pociągał nosem i spluwał.

– No bo co to są dwa dni? – przekonywał Abraham. – Jahwe ma dosyć roboty z tymi tysiącami, to poczeka. A pan naczelnik by nie mógł?

Tu jest dobry pieniądz, a głupi Zylbersztajn już go nie potrzebuje. Za dwa dni to on sam tu przyjdzie i żonę przyprowadzi, i synka...

Przełknął ślinę, bo ostatnie słowo stanęło mu ością w gardle. Kasza przyglądał się zwickowi banknotów. Wreszcie schował je do kieszeni, wyjął notes, wypisał parę słów, wyrwał kartkę i wcisnął Abrahamowi do kieszeni.

– Idź do biura, wypiszą ci przepustkę. Dwa dni, Zylbersztajn.

Pokłonił się do ziemi, trzy razy, żeby tamtego utwierdzić w słuszności decyzji, i pobiegł do biura w ratuszu. Urzędnik, którego znał przed wojną jako woziwodę i pijaka, przed przystawieniem pieczętki podniósł na niego drobne oczka i piskliwym głosem spytał:

– A co będzie, jak nie przystawię?

Abraham wiedział, co będzie, był jednak człowiekiem rozsądnym.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął dwie złote monety, przezornie zabrane z worka od Kru-gera. Położył je na biurku i powiedział cicho:

– Więcej nie mam.

Właściciel drobnych oczek oblizał wargi, rozejrzał się wkoło, po czym szybkim, wprawnym ruchem zgarnął monety do szuflady i przybił pieczętkę. Wręczył mu papier i uśmiechnął się, odsłaniając dziurawe uzębienie.

– Dobrześ zrobił, Żydku. Do pieca tego i tak nie zabierzesz.

Abraham wybiegł stamtąd, nie oglądając się, jakby spojrzenie za siebie mogło zniweczyć jego desperackie plany. Dopiero w domu trochę ochłonął i zastanowił się, na ile uzyskanie przepustki zawdzięczał pieniądзом, a na ile osobie postawionej znacznie wyżej niż folksdojcz Kasza czy ten kaprawy woziwoda. Kublicki znał się przecież z esmanem...

– Nie płacz, bo to nic nie daje – mówił do zapłakanej żony. – Nie jesteś Żydówką, może cię nie wezmą.

– Nie zostawię cię samego – odparła przez łzy. – Wyjedźmy do mojej rodziny, przygarną nas.

Abraham spojrzał na tulącego się do niej chłopca, jego czarne kręcone włosy, długi nos i okulary, i westchnął z rezygnacją. Nie ma szans, żeby takie dziecko długo przetrwało. Blondyn z niebieskimi oczami to co innego, ale on? Zacisnął zęby, żeby się nie rozpłakać, i usiadł ciężko na krześle. Musiał jej o tym powiedzieć, czas był najwyższy, jutro już nie zdąży. Wziął ją za rękę, drugą położył na główce małego Daniela.

– Posłuchaj, droga żono...

Teraz macał dłonią ścianę i usiłował nie myśleć o jej oczach, kiedy wychodzili. Wiedziała. On jeszcze miał nadzieję wrócić, a pojutrze wziąć ją za rękę i pójść z podniesioną głową na rynek, żeby dołączyć do ostatniej grupy i opuścić to miasto w poczuciu, że się wywiązał. Ale ona wiedziała. Żony i matki potrafią to przeczuć. Wiedziała, że go już nie zobaczy.

– Halo? Jest tu kto? – wołał dziwnym dyszkantem, na granicy szeptu i krzyku. – Natan? Josele?

Piwnica miała długi korytarz i komórki po obu stronach. Każda z nich, zagracona, stała otworem, ale on wiedział, czego szuka.

Dmuchała zabawka. Tak powiedział Liebermann, bo tak mu powiedział Lejbowitz. Nie bardzo wiedział, co to właściwie znaczy, a kiedy sprawdzili wszystkie komórki i nie znaleźli niczego dmuchanego, ogarnęła go rozpacz. Jednak nie wiedział, czego szuka. Przeszli jeszcze raz tam i z powrotem, a on ciągle wołał tym stłamszonym krzykiem ich imiona: Chaimek! Natan! Josele! Lorka! Dawid! Rywka! Brzmiało jak apel poległych.

– Jest, *tate!* Jest! – krzyknął nagle Daniel. – Tam!

Zajrzał do ostatniej komórki. Na ścianie wisiało kółko z wymalowanym pyskiem jakiegoś dziwoląga. Zdjął je ze ściany i obejrzał. Było z gumy. Znalazł okrągły wentyl i nie zastanawiając się, co robi, zaczął dmuchać. Sflaczały łeb drgnął i uniósł się jak u tańczącej kobry. Jego synek uśmiechnął się i ścisnął go palcami.

– *Di žabe*, tata! – zawołał z radością. – Żaba!

Zza ściany dobiegł odgłos stłumionego kaszlu. Abraham wręczył gumowe kółko synowi i zaczął oświetlać tylną ścianę komórki punkt po punkcie. Po chwili znalazł ledwie widoczną szczelinę, która po odsunięciu paru skrzynek okazała się zarysem klapy. Włożył w nią zagięty gwóźdź, podważył i pociągnął. Ze środka buchnęło dusznym powietrzem, świeczka przygasła.

Siedzieli w kucki pod ścianą niewielkiej wnęki i patrzyli w niego przerażonymi oczami. Czterej chłopcy i dwie dziewczynki. Bali się poruszyć, przez otwarte usta łapali szybkie, płytkie oddechy. Jedna dziewczynka nie wytrzymała i zakasłała. Otworzył szerzej drzwi.

– Nie bójcie się – powiedział w jidysz. – To ja, Abraham Zylbersztajn. Dawidek, pamiętasz mnie?

Dziecko pamiętało go z fabryki ojca, więc nieznacznie skinęło głową, ale żadne się nie poruszyło. Trzej chłopcy trzymali na podołku związane skórzane sakwy, a czwarty

lampę w metalowej oprawce, jaką zawieszało się na wozach, ze świeczką w środku. Taką samą miała jedna z dziewczynek, druga ścisnęła w objęciach pluszowego misia. Abraham wiele strasznych rzeczy widział w ostatnich dniach, jeszcze więcej dopowiedziała mu jego wyobraźnia, ale i tak serce mu się ścisnęło.

Złoto, lampa i pluszowy miś. Wyposażenie na drogę w nieznane, na drugą stronę, gdzie powinni przecież być jacyś dobrzy ludzie.

Powstrzymując drżenie rąk, zaczął ich po kolei wyciągać na korytarz.

Dziewczynka z misiem podeszła do Daniela i szarpnęła gumową zabawkę.

– Oddaj, to moje!

Chłopiec wyrwał jej żabę i przewiesił sobie przez głowę na piersi.

Dziewczynka się rozplakała. Abraham kucnął przy niej.

– Posłuchaj, Rywka. Ty jesteś Rywka, prawda?

Dziewczynka skinęła i otarła mokry policzek wierzchem dłoni.

Pozostałe dzieci przyglądały się w skupieniu. Trzej chłopcy z patetyczną powagą dzierżyli przed sobą worki, widocznie wiedzieli, co jest w środku.

– Popatrz, Rywka, każdy niesie ważną rzecz. Chaimek, ty jesteś Chaim, dobrze mówię? No więc Chaimek niesie lampę, Josele, Natan i Dawid niosą... opłatę za drogę, Lora też niesie lampę. A mój syn niczego nie wziął na drogę, bo jest gapa. Zapomniał. No to dajmy mu żabę, niech ją niesie, bo dla gapy taka żaba to jest bardzo ważna rzecz.

A jak przyniesie na miejsce, to ci odda, i już. Zgoda?

Słuchała uważnie, trochę naburmuszona, a potem podeszła do Daniela i powiedziała z wyższością:

– Gapa! Niesiesz żabę!

Abraham wytarł pot z czoła. W najśmielszych przypuszczeniach nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał w piwnicy u Liebermanna pertraktować z córką Lejbowitza w sprawie dmuchanej żaby. Pogładził ją po włosach i pokazał palcem misia.

– On jest ważny, prawda?

– Prawda – przytaknęła. – *Tate* przykazał, żeby go nie zgubić.

Powiedział, że w środku jest całe nasze życie. O, jaki ciężki!

Podążyła do Daniela, który faktycznie był ciężki. Mężczyzna miał wątpliwości, czy to rozsądne pozwolić dziewczynce nosić złoto zaszyte w brzuchu pluszowej zabawki, ale potem pomacał dokładniej pękaty brzusek i wyczuł regularne obłe kształty. Przypomniał sobie srebrny aparat fotograficzny Lejbowitza i zrozumiał, co oznacza

„całe nasze życie”. Moje też, pomyślał i zrobiło mu się jakby lżej.

Ustawił ich w szeregu, uniósł palec do góry jak mełamed w chederze i wygłosił z powagą:

– Słuchajcie uważnie. Idziecie ze mną, każde niesie swoją ważną rzecz i robicie tylko to, co wam każę, rozumiecie? I cicho, tak cicho, jak tylko się da. Musimy stąd wyjść, przejść między domami do synagogi i stamtąd do ulicy Kościelnej. Schodzimy dalej do Solnej i tam czeka na nas ktoś, kto wywiezie nas z miasta. Znacie tę drogę?

Pokiwali głowami.

– Zresztą idziemy razem. Jest ciemno, nie oddalajcie się nigdzie, chyba że zaczną nas gonić. Wtedy każde biegnie w inną stronę, rozumiecie?

Znowu pokiwali skwapliwie. Ich poważne twarzyczki zdradzały świadomość, co znaczy „zaczną nas gonić”. Bał się myśleć, co czuli ich rodzice, tłumacząc im, dlaczego muszą same zostać w piwnicy. Jak wyglądało to pożegnanie. A teraz te dzieci mogły liczyć tylko na niego.

Poczuł dławienie w gardle, rękawem otarł pot. Idź, Abraham, i załatw to.

One już nie mają nikogo innego.

Stanął z synem na czele szeregu i poprowadził swoją gromadkę do schodów. Gdy wyszli do sieni, zgasił świeczkę i wyjrzał na dwór. Ulica była ciemna i pusta. Martwa. Jakby z wyjazdem ostatniego Żyda umarła i w ciemności leżały jej świeże jeszcze zwłoki. Doszli do rogu Żydowskiej i Kolejowej, przebiegli na drugą stronę i obok kościoła przedostali się na plac Szpitalny. Tu musieli natychmiast zawrócić, ponieważ po całym placu poniewierały się rzeczy porzucone przez wywożonych Żydów, a wśród tego niesamowitego wysypiska buszowali ci drudzy, co zostali. Niebezpieczeństwo było zbyt wielkie, wśród szabrowników raczej trudno o dobrych ludzi. Wycofali się z powrotem na Żydowską i przeszli podwórkami nad Sowę. Tam z kolei brzeg patrolowali żandarmi. Abraham miał przepustkę, ale tylko na siebie.

Znowu zawrócili.

Od kościoła zbliżało się trzech mężczyzn, więc pociągnął gromadkę do piwnicy i zamknął za sobą drzwi. Przeszli na koniec korytarza i znaleźli się w punkcie wyjścia. Nie widząc przed sobą innej drogi, kazał im wejść do komórki, a sam stanął na straży. Miało to tyle sensu co nic, ale przynajmniej dał im jeszcze jedną iskierkę nadziei. Na chwilę, parę minut. W obliczu śmierci życie nagle się wydłużyło i każda sekunda jest jak podarowany rok. Rywka pochlipywała w kącie.

– Niech się pan tu schowa – powiedział cicho Dawid Liebermann, który wyglądał na

najstarszego. – Może nas nie znajdą.

Abraham powoli pokręcił głową. Liczył na to, że jakoś ich tu zatrzyma, że wywloką tylko jego i nie będą dalej szukać. Niewiele, ale więcej niż nic. Na górze zadudniły kroki. Po chwili rozległ się rumor przewracanych mebli, trzask łamanych desek, brzęk tłuczonych naczyń.

Hieny zabrały się do roboty.

Nagle skrzyknęły zawiasy, ktoś schodził do piwnicy. Błysnęło światło. Potem jeszcze jedno i rozbrzmiały warkliwe głosy. Zagłądali do kolejnych komórek i pospiesznie przerzucali sprzęty. Nie zabierali wszystkiego jak popadnie, szukali skarbów. Przytknął schowek z dziećmi, przystawił pudłami, a potem usiadł w kącie i zamknął oczy.

Chciał zmówić w myślach modlitwę, ale żadna nie przychodziła mu do głowy, więc tylko powtarzał bezgłośnie: *Adonai Jahwe sabbaot, Adonai Jahwe sabbaot...*

Nagle zamknięte powieki eksplodowały światłem.

– Staszek, chodź zobacz! No co, Żydku, klejnoty cię w dupę cisną?

Wstawaj, ulżyj se!

Stara rosochata wierzba stała pięć metrów od płotu okalającego ogródki działkowe. Miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym poza tym, że w szpalerze wzdłuż rowu melioracyjnego znajdowała się szczyrba – brakowało w nim dwóch drzew. Doskonale ją pamiętałem, ponieważ to przez nią pięć lat wcześniej przeszedł piętnastometrowy golem, zanim zanurzył się w stawie i rozwalił groblę. Pień wierzby był wewnątrz spróchniały i częściowo wypalony, widocznie chłopcy uprawiali tu znaną mi z dzieciństwa zabawę. Wydrapywało się dziurę w próchnicy, napychało suchą trawą i podpalało. Drzewo dymiło jak komin, a po wypaleniu z pnia zostawała osmolona rura. Takie drzewo potem mogło jeszcze żyć długo, ciągnąc soki cienkimi ściankami pod korą. Ta wierzba też wypuszczała młode liście i robiła wszystko, żeby przeżyć. Poklepałem ją po gruzłowatej korze. Trzymaj się, stara, jeszcze trochę.

– Masz zdjęcie tego śluzu? – spytałem Węgrzyna.

Pokręcił głową.

– No co ty. Ale znaleźliśmy go gdzieś tu, na tej krawędzi...

Potarł palcem brzeg otworu, który miał z pół metra szerokości i czarnym rozwarciem sięgał do samego dołu. W dziupli z powodzeniem mógł się schować dorosły człowiek. Schyliłem się i pomacałem ziemię na dnie. Była ciepła i sucha.

– Gdzie leżało ciało?

Węgrzyn zrobił trzy kroki i wskazał wypłycony, zarosły trawą rów melioracyjny.

– Leżał w poprzek rowu. Ręce i nogi miał... Kurde, Wojtek, jak to wyglądało...

– Jak? Wyrwane? Miał wyrwane?

– Gorzej – westchnął ciężko. – Odgryzione razem z kością. Lekarz nie potrafił zidentyfikować uzębienia. Poza protokołem powiedział mi, że to mógłby być jakiś przedpotopowy dinozaur. Ciasno rozstawione trójkątne zęby, wbite z ogromną siłą. Dinozaur, czaisz? Przecież to całkiem popier...

– Uspokój się – przerwałem mu. – Na trawie nie znaleźliście śluzu?

– Padał deszcz, w rowie była woda z resztkami śniegu. Pierwsze wiosenne roztopy. Mógł być, ale się zatracił.

– Jasne.

Wróciłem do wierzby. Otwór odsłaniający wypalony pień przypominał rozcięte do ćwiartowania zwierzę, a poprzeczne pęknięcia żebra. Usiadłem i włożyłem głowę do środka. Przez górny prześwit widziałem młode pędy z zielonymi wypustkami i szare niebo. Przeleciała rybitwa. Jej pisk długo jeszcze zanikał w oddali nad stawami.

Przyłożyłem ucho do ciepłej ziemi i zamknąłem oczy. Jest. Szum.

Głęboki i mulisty, jak senne mruczenie olbrzyma. Spływała z góry, od wzniesienia, gdzie kiedyś dogoniłem i rozgniotłem zderzakiem radnego Łopatkę. Zacząłem rozgarniać ziemię rękami. Była miękka, próchnicza, z domieszką popiołu, a kiedy wykopałem z pół metra, szum stał się wyraźniejszy. Skinąłem na Węgrzyna.

– Słyszysz?

Wcisnął się na moje miejsce i znieruchomiał na chwilę, po czym wysunął się błady i zdumiony.

– Woda?

– Tak. Zdobądź mi te plany cieków wodnych, dobra?

Przytaknął mechanicznie, jak nakręcona zabawka, układając pewnie w głowie jakieś rozsądne rozwiązanie. Nie wróżyłem mu wielkich sukcesów na tym polu.

– Śluz... ryba... podziemna rzeka... – kombinował z wysiłkiem. – Potwór nie odleciał, tylko wyszedł spod drzewa, odgryzł kończyny chłopakowi i wrócił do podziemnej rzeki. Tak to musiało być. Na pewno. Wiesz, przekonałeś mnie. Kurde, Wojtek, jesteś genialny!

– Dobrze, że humor cię nie opuszcza – odparłem poważnie. – Martwiłem się, że dostaniesz pomieszania zmysłów. Jesteś w stanie wytrzymać jeszcze chwilę w tej znakomitej formie psychicznej? To świetnie. Uważaj: otóż – zrobiłem ulubioną sceniczną pauzę – to, co powiedziałaś, to prawda. Jedyne możliwe. Potwór wyszedł stąd i tędy powrócił do wody płynącej pod ziemią. Trzymasz się?

– Nie bardzo.

– Ta woda przechodzi przez miejsce, którego szukam od dziesięciu lat. Doszło tam do skrzyżowania różnych, częściowo sprzecznych i przeciwstawnych energii. Ani ja, ani ty nie mamy o nich pojęcia i nie wiem, czy ktokolwiek ma. Nie znam się na parapsychologicznych bajdurzeniach i grozie w stylu fantasy, więc nie będę wymyślał oryginalnych teorii ani snuł przypuszczeń i wymysłów. Protokołu z tego nie napiszesz. Nie zmienia to jednak faktu, że jeśli mam sformułować jakieś spójne wyjaśnienie tego zdarzenia, to tylko takie mi przychodzi do głowy. Zrób z nim, co chcesz.

– Spójne...?

– Bardziej spójne od tego, co jest w stanie sklecić nawet całkiem zdolny i szybko awansujący policjant śledczy. Przecież ten lekarz też powiedział, że to mógł być dinozaur. Spójne?

Przeleciała z krzykiem następna rybitwa, potem jeszcze jedna, pędząc za tamtą z ważną wiadomością wykrzykiwaną w pustkę nieba.

Chmury ciężały, zbijały się w bury dywan, z którego lada chwila miał spaść deszcz. Wiosna. Mariusz Węgrzyn otrzepał spodnie z resztek wierzbowego próchna.

– Wiesz co, jedźmy na następne miejsce – westchnął w końcu. – Moja forma psychiczna spada, choć muszę powiedzieć, że przygotowywałem się na ciebie. Wiedziałem, że pojedziesz po bandzie, ale żeby aż tak?

– To nie ja.

– Jasne, jasne. Jedźmy.

Zerwał się wiatr i zakręcił próchnem w pniu wierzby, zachęcając nas, żebyśmy się już stąd wynosili. Spadły pierwsze krople, a kiedy dochodziliśmy do samochodu, rozpadało się na dobre. Naciągnąłem kaptur na głowę. Mariusz siedział już za kierownicą i uruchomił silnik, ale nie odjeżdżał.

– Powiedz mi, Wojtek, ty naprawdę w to wierzysz?

Z nawiewu dmuchnęła wilgoć i zaparowała przednią szybę. Gdy nagrzewnica nabrała temperatury, para znikła. Też woda i ogień, pomyślałem bez sensu.

– Ale w co konkretnie?

– No, w tego potwora, co wyszedł przez pień wierzby, odgryzł facetowi kończyny i wrócił tą samą drogą pod ziemię.

– Nie.

– To dlaczego tak powiedziałeś?

– Żebyś był przygotowany na wszystko.

– Chyba i tak jestem już przygotowany na wiele rzeczy, skoro cię wożę i wysłuchuję tych... jak to nazwałeś? Parapsychologicznych bajdurzeń.

Wrzucił bieg i wyjechaliśmy na żwirową drogę idącą od ogródków działkowych do głównej szosy. Wycieraczki popiskiwały rytmicznie jak myszy pod batutą dyrygenta. Nie odpowiedziałem. Nie mogłem się przecież przyznać, że go okłamałem. Potwór nie wyszedł przez wierzbę, tylko trochę dalej, z jednego z domków na działkach.

Słup wysokiego napięcia stał na wzniesieniu za wsią, obok płytkiego wąwozu, któ-

rego dnem biegła droga zwana Groblą Tatarską.

Nie wyróżniał się niczym od dwóch innych słupów, poprzedniego i następnego, ustawionych dalej od szosy, w idącej ze wschodu na zachód traktacji doprowadzającej prąd z rozdzielni do miasta. Mariusz pokazał mi palcem miejsce, gdzie kobieta przypięła rower do metalowej konstrukcji, a następnie spojrział w górę.

– Trzeba mieć niezły pałér, żeby wleźć po tych blaszkach – powiedział, wskazując przyspawane do jednej z krawędzi słupa poprzeczne wypusty. – Nawet wprawny elektryk miewa z tym kłopoty.

Nie mam pojęcia, jak zdołała zawiązać sznur na belce tuż przy drutach.

Nie mówiąc już po co.

Obszedłem słup naokoło i spojrzałem w prawo ku łąkom z rzędem starych wierzb, skąd właśnie przyjechaliśmy. W prostej linii było do nich około kilometra. Mniej więcej tyle samo co do miejsca po starym młynie, a połączenie tych trzech punktów w przestrzeni dawało mniej więcej trójkąt równoboczny. Nie zdziwiłbym się za bardzo, gdyby się okazało, że w tej samej odległości po drugiej stronie starego młyna znajduje się zakręt na obwodnicy z feralną groblą. Żeby utworzyć drugi trójkąt równoboczny, połączony z tym wierzchołkiem, należało przeprowadzić drugą prostą, od wierzy, przez młyn, do...

– Masz tę mapę?

Węgrzyn popatrzył na mnie z mieszaniną troski i bezradności, a następnie ruszyliśmy do samochodu. Po chwili obaj pochylaliśmy się nad mapą. Długopisem postawiłem kropki we wszystkich czterech miejscach: stary młyn, zakręt na środku Wójtowca, wierzba na łąkach, słup wysokiego napięcia. Ostatni, piąty punkt narysował się sam – wypadł dokładnie na mojej grobli, gdzieś w okolicy tamtego betonowego pidła. Rytm świata. Harmonia sfer. Trójkąty. O dach samochodu bębnił kwietniowy deszcz, szyby od wewnątrz zachodziły parą. Przeciągnąłem między punktami dwie dłuższe kreski, a następnie dorysowałem im podstawy.

– Podoba ci się?

Mariusz patrzył na wyrysowaną w środku mapy kokardkę i marszczył nos.

– Co to znowu za magia?

– Dwa pierwiastki, męski i żeński albo, jak wolisz, ogień i woda przed ostatecznym złączeniem w doskonałą Wielką Jantrę. Ale tego nie musisz wiedzieć, wystarczy ci, że te punkty nie są przypadkowe i coś je łączy. – Przetarłem szybę i postukałem w nią palcem, pokazując słup. – Nie mieliście tu przypadkiem ostatnio zawirowań z prądem?

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, a po chwili spytał całkiem poważnie:

– Grzebałeś mi w biurku?

Roześmiałem się.

– Nie musiałem. Świry skanują szuflady bez otwierania. To co z tym prądem?

Podrapał się w potylicę i tą samą ręką potarł brodę. Miał ze mną problem, wciąż nie potrafił spokojnie przekroczyć tej granicy.

– Niedawno otrzymałem doniesienie o przestępstwie. Mieszkańcy Podborza się awanturują, że ktoś im regularnie wyłącza prąd. Zakład energetyczny o niczym nie wie, sprawdzali linię, transformatory, przekaźniki, wszystko w porządku. Prąd sam gaśnie i się włącza, nie wiadomo dlaczego. W mieście też już mieliśmy dwa takie przypadki.

Poza tym wysiada sygnalizacja uliczna z osobnym zasilaniem.

A w dodatku jeszcze...

Zawahał się, przetarł łokciem szybę od swojej strony i zapatrzył się na zalane deszczem pola, jakby tam szukał właściwych słów.

Przyglądałem mu się z rozbawieniem, ponieważ walka wewnętrzna, jaką toczył sam ze sobą, wydostała się na zewnątrz i kraśniała na jego obliczu. Zagryzał wargi.

– W końcu tobie mogę powiedzieć. Mam zeznanie tutejszego mieszkańca, starszego człowieka, który wieczorem poszedł zerknąć, co się dzieje ze słupem przy domu. Myślał, że druty zerwało, bo wiał akurat silny wiatr. Druty były w porządku, ale stary usłyszał na słupie głosy...

– Super. Ktoś tam siedział?

– Nie. To słup gadał. A konkretnie lampa.

Parsknąłem śmiechem nie tyle z powodu samej historii, ile jego twarzy usiłującej zatrzymać i unicestwić wypowiedane słowa.

Postanowiłem mu pomóc i podrzuciłem trochę zdrowego rozsądku.

– Gdzieś nastąpiło przepięcie i elementy elektryczne na słupie przechwyciły sygnał radiowy. Dobrze myślę?

Pokręcił głową z rezygnacją, że musi odrzucić takie fajne wyjaśnienie.

– Też tak z początku myśleliśmy, ale nie chodziło o radio, bo słup gadał po niemiecku.

– Złapał niemiecką stację.

Kiwał głową i kręcił na przemian, nabierając w ogniu tej wewnętrznej walki coraz więcej odwagi.

– Nie rozumiesz. Słup wykrzykiwał rozkazy wojskowe z czasów wojny, przerywane kawałkami marszów hitlerowskich. Ten człowiek pamiętał je z dzieciństwa.

– Wariat. Dogadałbym się z nim.

– Dzięki, ale też nie. Zupełnie normalny, rozsądny facet. Sam nie wierzył i zawołał żonę, która potwierdziła jego rewelacje. Nawet zanuciła kawałek jednej melodii. Ale to nie wszystko...

– Dawaj, nie krępuj się – zachęcałem, klepiąc go po ramieniu. – Miejmy to za sobą. To nie jedyny przypadek, prawda?

– Tak. Inni też to słyszeli. Dwie osoby mówiły o krzykach po niemiecku, a konkretniej hitlerowskich rozkazach, bo tak im się jednoznacznie skojarzyło, a jedna o dzieciach śpiewających w jidysz.

– Skąd wiedziała, że w jidysz? – zapytałem natychmiast.

– Bo tę piosenkę знаła z płyty. Twierdziła, że ma ją w domu i może puścić.

– I co, puściła?

– Coś ty! – obruszył się. – Odesłałem ją. To żaden dowód, mogła puścić cokolwiek. Słuchaj, ci ludzie to zupełnie normalni mieszkańcy, przypadkowi. Wykluczaliśmy zmowę czy coś w tym rodzaju.

– Głupi wybryk nastolatków – podsuwałem nowe pomysły. – Dorwali się do nadajnika radiowego i nabijają was w butelkę.

Chciał mi być wdzięczny za te zdroworozsądkowe próby, uśmiechnął się nawet swoim konkursowym grymasem smutku, ale zaraz spoważniał.

– Przez wieś idzie oświetlenie uliczne, na co drugim słupie przymocowana jest lampa, wiesz, taka blaszana miska z żarówką w środku. Stara instalacja, jeszcze z lat sześćdziesiątych. Nie są ze sobą połączone, każda ma osobne zasilanie ze słupa. Świadkowie twierdzą, że muzyka i głosy leciały z kilku naraz, wzdłuż ulicy. Żeby zrobić taki numer, trzeba by je czymś połączyć albo jakimś cudem przesłać sygnał linią elektryczną. Na mój rozum, elektrotechnika z wykształcenia, to niemożliwe. Nasi technicy zresztą mi to potwierdzili. Ten sygnał szedł jakoś inaczej.

– Jak?

– Nie wiem – westchnął. – Poprosiłem mieszkańców, żeby dali mi znać, kiedy znowu się pojawi. Zadzwonili tydzień temu. Przyjechałem.

I wiesz co?

– Grało.

Skinął głową jak skazaniec przyjmujący ogłoszenie wyroku, a potem uderzył zaciśniętymi pięściami w pulpit.

– Jasna cholera, Wojtek, co tu się dzieje? Nie ma innego wytłumaczenia niż duchy? I czy ja muszę grać w tym tanim horrorze?

Z popieprzonym scenariuszem, w którym lampy na ulicach wykrzykują hitlerowskie rozkazy? Szedłem główną ulicą przez Podborze i słuchałem tych wrzasków. Dochodziły z każdego słupa z lampą. Maszerowałem jak jakiś *Gruppenführer* odbierający defiladę esesmanów, a w tle leciało *Die Fahne hoch*, pojmujesz? Ten stary człowiek i ta kobieta szli za mną.

Myślałem, że będą się podśmiewać z głupiego policjanta, całkiem bym ich rozumiał. Ale nie, oni się bali. Mieli na twarzach wypisany strach, jakby ktoś ich nagle z powrotem wrzucił w środek faszystowskiego państwa. Doszedłem do końca ulicy, zawróciłem i wtedy przestało. To było jak... ja wiem... takie pyknięcie w powietrzu.

Jakby nagle wyłączyło się pole siłowe, chmura czy jak to jeszcze nazwać. Powiedziałem im, że następnego dnia przyślę techników z elektrowni i sprawdzą wszystko jeszcze raz. Bo co im miałem powiedzieć?

Deszcz przestał padać, ale szare płachty nadal zakrywały niebo.

Nadchodził zmierzch. Patrzyłem na podstawę słupa wysokiego napięcia i zastanawiałem się, czy to podziemny kabel łączy go z grobem, czy ciek wodny. Doszedłem do wniosku, że jedno i drugie. Nurtowało mnie co innego. Skoro pięć lat temu siedziałem na poddaszu starego młyna i miałem ich pod sobą, dlaczego wtedy nie zadziałało połączenie i niczego nie wyczułem? Przecież to ja miałem ich odnaleźć, na mnie spoczywał nakaz wypełnienia przysięgi z przeszłości, do mnie kierowali wszystkie sygnały. Czego zabrakło?

Moje domysły przerwał Węgrzyn, który wciąż mocował się z resztkami zdrowego rozsądku.

– Bo widzisz, Wojtek, jak szedłem ulicą i słuchałem lamp śpiewających hitlerowskie pieśni, to mi przyszło do głowy, że oni są tu wszędzie, naokoło. Czekałem, aż na horyzoncie błysnie zielona zorza.

Powiedz mi, oni tu są... w powietrzu... Są, prawda?

– Tak, Mariuszk, są.

Poklepałem go po kolanie i dodałem z szelmowskim uśmiechem:

– No i kto tu jest wariatem?

Nie odpowiedział. Zapadał zmrok. Przy placu po zburzonym młynie kazałem mu

zwolnić. Teren był otoczony blaszanym parkanem i zamknięty na cztery spusty przed niepożądanymi gośćmi. To dobrze, pomyślałem. Im mniej świadków, tym lepiej.

– Wiesz co, nie musisz już szukać tych budów – powiedziałem do Mariusza. – Skup się na ciekach wodnych i melioracji. Im szybciej, tym lepiej.

Nie odpowiedział. Wyrzucił z siebie to, co go gnębiło, i stracił ochotę na rozmowę. Dobrze go rozumiałem.

– Pokaż no, Żydku, na czym ta twoja zawszona dupa siedzi!

Znał go. Stróżował w jednej z kamienic na rynku. Kiedyś nawet Abraham pożyczał mu pieniądze na ubranko dla dziecka. Wtedy był dla niego „panem szanownym Zylbersztajnem”, ale się zmieniło i okupacja zredukowała go w oczach polskiego sąsiada do „Żydka”. Mężczyzna pchnął go na ścianę.

– Opróżnij kieszenie.

W rękę trzymał solidny argument w postaci drewnianej pałki, którą oparł na piersi Abrahama. Nie miał szans na ucieczkę, zresztą nie myślał o niej. Starał się grać na zwłokę i nie patrzeć w głąb komórki, żeby ruchem oczu nie podsunąć im wskazówki. Powoli wyjął fotografię żony, haftowaną chustkę, po czym z ociąganiem dobył z wewnętrznej kieszeni płaszcz portfel. Mężczyzna wyszarpnął go i zaczął szybko przeglądać.

Nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Kociołek? Kiziołek? Jakoś tak.

– Ściągaj portki – warknął drugi, stając z metalową rurą w ręce obok tamtego. – I odwróć się. Tylko nie pierdź, bo jak ci jebnę tom rurkom..

Odwrócił się i zaczął rozpinać pasek od spodni. Ręce mu się trzęsły i nie mógł odciągnąć sprzączki. *Adonai Jahwe sa...*

– Szybciej!

Uderzenie nie było mocne, ale prosto w nerkę. Jęknął z bólu.

Tymczasem trzeci z nich zaczął odsuwać pudła zakrywające drzwiczki do schowka z dziećmi. Wpadł w panikę.

– Panowie Polacy – zajęczał drżącym głosem. – Tu nie ma nic, ale ja wiem, gdzie jest. Pokażę wam, dobrzy panowie. Tu nic nie ma...

Dygotał ze spodniami w rękach, bojąc się odwrócić. Uderzenie w głowę pozbawiłoby go przytomności, a na to nie mógł sobie pozwolić.

Musi ich stąd wyprowadzić. Musi...

– To niedaleko. Cały worek złota – bełkotał, byle ich zainteresować. Nie myślał, co będzie dalej, chciał ich odwieść od schowka. Po drodze wymyślił coś nowego. Cokol-

wiek. Byle wyszli z piwnicy, byle dalej od dzieci. Co one zrobią bez niego?

Mężczyźni naradzali się po cichu. Wreszcie ten z pałką kazał mu się ubrać.

– Mów, gdzie to jest?

– To nie tak łatwo wytłumaczyć. Ja zaprowadzę...

Skoczył jak brytan i przycisnął mu pałkę do gardła. Abraham stracił oddech, oczy wychodziły mu na wierzch.

– Nie ciulaj mie, Żydku! Zatłukę jak pluskwę. Boście pluskwy i wszy, nie? Taki pan byłeś, gardziłeś biednym Kiziołkiem, a teraz co?

Robactwo trza tępić. Gadaj, gdzie złoto?

– U mnie w piwnicy, wie pan, przy Jagiellońskiej – powiedział i ugryzł się w język. Nie powinien zdradzać własnego adresu.

– Wiem – mruknął Kiziołek. – Sam znajdę. A tu co robiłeś?

Pozostali dwaj wlepiali w niego przekrwione oczy, chciwie słuchając, co mówi. W powietrzu unosił się odór trawionego alkoholu.

Pewnie każdemu z nich już roił się w pijanej głowie pomysł, jak wykiwać kumpli i dotrzeć jako pierwszy na miejsce.

– Przyszedłem odwiedzić znajomego, ale już ich wywieźli. Nikogo nie ma.

Zaczęli szeptać między sobą. Abraham tyle z tego zrozumiał, że bali się z nim iść ulicą w obawie przed niemieckimi patrolami.

Faktycznie, prędzej zgarnełyby ich niż jego, ponieważ on miał przepustkę. Szczęśliwym trafem nie zdążył jej wyjąć z płaszcza.

– Mam przepustkę, przeprowadzę panów – powiedział cicho.

– Jaką przepustkę?

– Od komendanta miasta. Pracuję w biurze Czerwonego Krzyża. O, tu. Wolno mi być na ulicach do ósmej wieczorem. Chodźmy, jeszcze jest czas.

Podał im poskładany w czworo dokument i jego duszę zalała nowa fala rozpacz. Tracił ostatnią deskę ratunku. Ci durnie pewnie podrap papier, a w najlepszym razie go zabiorą. Jeden z nich usiłował czytać, ale tekst był po niemiecku.

– Ni chuja nie rozumię. Wsadź se to do dupy, Żydku, tylko najpierw wyjmij stamtąd kamienie.

Pozostali dwaj zarechotali.

– Dawaj! – zawołał jeden z nich. – Potrząśnijmy nim, to same wylecom!

We dwóch złapali Abrahama za łokcie, po czym podnieśli do góry i zaczęli odwra-

cać głową w dół. Z kieszeni marynarki wypadł zegarek kieszonkowy, drobinki szkła z rozbitej tarczy rozsypały się po kocich łbach, którymi wyłożono piwniczny korytarz.

– O kurwa – mruknął ten pierwszy i pochylił się, żeby podnieść zbity zegarek. W tym momencie zwałił się na ziemię jak długi. Ci, co trzymali Abrahama, puścili go, by sięgnąć po rury, ale nie zdążyli.

Rozległy się dwa tępe ciosy i obaj padli obok kompana. Zylbersztajn stuknął skronią o wielki kamień i na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością. Ocucił go siarczysty policzek.

– Abramek, wstawaj! Gdzie dzieci?

Rozpoznał głos i serce zalała mu fala ulgi. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze jest nadzieja. Ona podobno umiera ostatnia. Jego nadzieja umrze równiutko z nim.

– Fryderyk? Dzięki Bogu! Już myślałem, że koniec!

Kublicki mocnym szarpnięciem postawił go na nogi i podał chustkę do wytarcia rozbitego czoła.

– Wszędzie cię szukam. Czemu nie przyszedłeś? Gdzie dzieci?

Otarł krew z czoła i dopiero teraz zauważył dwóch żandarmów za plecami Fryderyka. Nogi znowu się pod nim ugięły. Hrabia Kublicki uchwycił jego przerażony wzrok.

– Nie bój się, oni są ze mną. Gdzie schowałeś dzieci? No, gadajże, do cholery!

Pokazał na ścianę komórki i zamarł. Coś krzyczało w nim wniebogłosy, żeby nie, ale było za późno. Kublicki skoczył do pudeł i sprawnym ruchem odstawił je na bok, po czym otworzył schowek i poświecił do środka. Latarka natrafiła na siedem par szeroko otwartych dziecięcych oczu. Na samym przedzie siedział Dawidek Liebermann, najstarszy i najpoważniejszy. Na kolanach trzymał oburącz worek ze złotem.

Kublicki wyciągnął ku niemu rękę, na co mały Liebermann cofnął się i zakrył worek swoim ciałem.

– Nie bój się, chłopcze, chcę ci pomóc – powiedział ciepło hrabia.

– Musimy się spieszyć.

Chłopiec patrzył nieruchomo i z taką powagą, że Abrahamowi ścisnęło się serce.

– Dawid, ten pan nas wyprowadzi – powiedział do małego Liebermanna. – Nie bój się. Idziemy.

Nieufność nie znikła z twarzy dziecka, ale wstało posłusznie i wyszło z kryjówki, za nim pozostałe. Cała siódemka ustawiła się w szeregu pod ścianą i zerknęła niepewnie to na dwóch mundurowych, to na trzech leżących szabrowników, którzy zaczęli się wier-

cić i wracać do przytomności.

– Czy to jest to, co ma być? – spytał Kublicki, pokazując na trzy worki. Abrahamowi wydawało się, że nie może od nich oderwać oczu, a nawet w pewnym momencie jakby te błysnęły na czerwono. Wariuję, pomyślał z rezygnacją. Ale jak nie zwariować w takiej sytuacji?

– Tak. Chodźmy już, dobrze? – pospieszał, widząc, że jego niedawni prześladowcy podnoszą się z ziemi. Kublicki jednak postawił sprawę jasno.

– Wynoście się i żebym was tu więcej nie widział, bo łby porozwalam – warknął na nich, a ci natychmiast zniknęli w mroku korytarza. Roztrzęsionemu Zylbersztajnowi zrobiło się nieco lepiej.

Z tym Kublickim to jednak dobry pomysł.

Wyszli na ulicę Żydowską w asyście żandarmów i ponownie skierowali się ku Kościelnej. Wieczór zapadł na dobre i na niebie pojawiły się gwiazdy. Na przedzie szedł jeden żandarm i hrabia Kublicki, za nim siedmioro dzieci w tym samym szyku co poprzednio: lampa, trzy worki, lampa, pluszowy miś i dmuchana żaba, na końcu on i drugi żandarm. Trudno było sobie wyobrazić bardziej szaloną procesję w środku Oszpicyna, na uliczce pomiędzy katolickim kościołem a izraelicką synagogą, i Abraham Zylbersztajn mimowolnie się uśmiechnął. Po raz trzeci nabrał nadziei, że jednak się uda.

Kiedy dotarli do furmanki u zbiegu ulic Kościelnej i Solnej, żandarmi bez słowa skręcili w lewo i pomaszzerowali w dół ku Zamkowej, a Kublicki rozpoczął cichą naradę z woźnicami. Furmanka miała kształt szerokiej platformy z burtami, nakrytej wielką plandeką, spod której wystawały wiechcie słomy, i świetnie nadawała się do ukrycia dzieci. Te stały zbite w gromadkę przy tylnej burcie i w milczeniu przyglądały się Abrahamowi. Ich wzrok wisiał na nim jak sznur, czuł na szyi jego ucisk. Wszystko będzie dobrze, powtarzał szeptem, wszystko będzie dobrze... Ich to pewnie nie uspokajało, ale jego trochę tak.

Kublicki wrócił po chwili i kazał im ładować się na wóz.

– Dokąd jedziemy? – spytał Abraham.

– Do młyna, parę kilometrów stąd. Tam dzieci poczekają w kryjówce, aż odbierze je kurier i przeprowadzi do stacji kolejowej w Spytkowicach. Tam już jest Generalna Gubernia, łatwiej im będzie podróżować dalej. Jedziesz z nimi?

Abraham nie był pewien, co odpowiedzieć. Chodziło o wyjazd na wieś czy za granicę? Nie miał nawet paszportu. A oni?

– Masz dla nich paszporty? Mógłbym je zobaczyć?

Kublicki zmierzył go szybkim spojrzeniem, a sekundę później ujął pod łokieć.

– Nie ufasz mi? Zostaną dostarczone dopiero do kryjówki, kiedy już dzieci przybędą, jasne? A teraz pakujcie się. Szwagryk odwiezie was na miejsce. Jest zapłacony. Ja wracam do miasta, dołączę do was potem.

Pchnął go w kierunku platformy i zniknął w ciemnościach. Nie miał innego wyjścia jak ładować dzieci na pakę, ponieważ gdzieś daleko na Solnej zadudniły podkute buty. Czas płynął.

– Jazda, Żydki! – rozległo się od przodu. Konie parsknęły niecierpliwie. Burta była wysoka, więc Abraham każdego z nich podsadzał i kazał wczołgać się pod słomę. Ciężkie worki ze złotem podawał osobno każdemu z chłopców. Kiedy podsadził na końcu swojego syna, uścisnął go mimowolnie. „Daniel, Daniel”, szeptał mu na ucho.

– Wsiadaj, tatusiu.

Zawahał się. Gonitwa myśli nie ustawała. Jeżeli pośle je same, do końca życia nie będzie wiedział, czy dotarły na miejsce. Jeśli pojedzie z nimi, niczego to nie zmieni poza przedłużeniem wątpliwości o parę następnych godzin. Spojrzał do góry i zobaczył w oczach syna łzy.

Wsiadł.

Zagrzebali się pod słomę i zbili w ciasną gromadkę, on przytulił się do Daniela. „Przeżyj, synu”, szeptał mu całą drogę do ucha. „Przeżyj, błagam cię”. Wóz kolebał się na dziurach, jechali bocznymi drogami i szczęśliwym trafem nikt ich nie zatrzymał. Abraham pomyślał, że to znajomości i wpływy Fryderyka Kublickiego tak zadziałały. Znowu zrobiło mu się odrobinę lepiej. Jedziemy. Opuszczamy to miasto.

Zatrzymali się. Po chwili plandeka uchyliła się i woźnica warknął:

– Z wozu!

Abraham podpełzł do tylnej burty i rozejrzał się. Stali w szczerym polu, w kompletnych ciemnościach.

– Ale... mieliśmy jechać do kryjówki.

Chłop pochylił się ku niemu, zionąc ostrą wonią wypitej właśnie wódki.

– Nie jadę dalej – sapnął i czknął. – Patrole.

– Przecież nie może nas pan tak zostawić! Co ja tu będę z nimi robił?

Ciężka łapa woźnicy spadła mu na ramię i wyciągnęła go zza burty jak worek kartofli. Abraham z najwyższym trudem zdołał upaść na nogi, ale kolana się pod nim ugięły i wylądował na trawie. Znajdowali się na środku rozległych łąk, światła miasta migotały

w oddali. Od zachodu, gdzie połyskiwała wieczna łuna, dolatywał mdły odór spaleni-
zny.

Zemdlilo go, trochę też dlatego, że był głodny.

– Fryderyk mówił, że pan dostał swoje – wystękał, podnosząc się z ziemi. – O co chodzi?

W rękę chłopca błysnął nóż i zanim Zylbersztajn się zorientował, poczuł na szyi zimną stal.

– Nie prowokuj mnie, Żydku. Dawno byś ziemię gryzł, gdyby nie ten zaszary pani-
czyk. Zabieraj szczeniaki i spierdalajcie stąd, pókim dobry. No już!

Nóż wcinał mu się w gardło, nie mógł mówić. Pokiwał głową i uniósł obie ręce do góry. Dobrze już, dobrze, odejdziemy. Chłop puścił go i wałnął pięścią w burtę.

– Wysiadać! Worki zostawcie! Podam wam później.

Pojął plan tego prymitywa i nagle ogarnęła go wściekłość.

Wykorzystał moment, kiedy chłop sięgał do kieszeni po flaszkę, wskoczył na wóz, odwalił plandekę i krzyknął w jidysz:

– Skakać i uciekać! Na wszystkie strony!

Dzieci podsłuchiwały rozmowę i z pewnością wiedziały, co się święci, ponieważ wydostanie się spod słomy i przeskoczenie burty zajęło im zaledwie kilka sekund. Zrzucone worki ze złotem zabrzęczały jak tłuczone szkło, po czym rozległ się cichy tupot dziecięcych nóg po wiosennej trawie. Tylko Daniel został na wozie i patrzył na ojca przerażonymi oczami.

– Kurwaaa! Ja wam daaam! – zaryczał rozwścieczony Szwagryk i rzucił się w po-
goń za najbliższym dzieckiem. Abraham zeskoczył z wozu i pobiegł za nim, ale pijane-
mu chłopu plątały się w biegu nogi.

W końcu runął w trawę z kolejnym głośnym „kurwaaa” i miał wyraźne trudności ze
wstaniem. Wtedy Abraham zawrócił i pobiegł po syna.

Mijając spokojne konie, przez moment zastanawiał się, czy nie odjechać furmanką,
ale stwierdził, że piechotą będzie szybciej i ciszej. Pobiegł z Danielem przez łąki, roz-
glądając się wkoło, ale nie widział dzieci. Noc czarna jak smoła, z jedną gwiazdą
wśród chmur.

W ciemności niewiele widzieli i wkrótce wpadli po pas do rowu z wodą. Wydostali
się na drugą stronę i biegli dalej. Dotarli do kilku wierzb stojących rzędem na podm-
okłym obniżeniu terenu. Jedna z nich była wydrążona w środku. Wcisnęli się obaj do
niej i drząc z zimna, mocno objęli się rękami. Nocne ciemności zaciskały się dokoła

jak łapy czarnego demona. Abraham zupełnie nie wiedział, co robić.

Musiał na chwilę zasnąć, bo nagle się ocknął. Skostniały wyciągnął sztywne palce i obudził syna.

– Nie śpij – szepnął mu na ucho. – Musimy iść.

Łatwo powiedzieć. Ale dokąd? Powinien właściwie wrócić w tamto miejsce i liczyć na to, że siedzą gdzieś tam w pobliżu, pochowane w trawie jak zające. Chciało mu się płakać. Po co to wszystko? Dlaczego zachciało mu się podejmować niemożliwej misji, wbrew sobie, wbrew rozsądkowi i wbrew całemu światu, skoro ten wcale nie chciał ich uratować? Dla kogo te dzieci miały ocaleć, skoro ich rodziny i tak poszły na śmierć? Jakie tu prawo zadziało i po co się uparł, by przeciw temu prawu występować? Jeśli Jahwe postanowił, że ma być śmierć, to mały i nieważny Abraham Zylbersztajn nie powinien się rzucać do ratowania życia za wszelką cenę. To przeciw Bogu i przeciw naturze świata, który w osobie chłopca Szwagrzyka dał mu jasno do zrozumienia, co sądzi o jego staraniach. Ma być śmierć i będzie śmierć.

Wychynął z wierzby i rozejrzał się wkoło. Panowała cisza, tylko rybitwy krzyczały w ciemności na stawach, walcząc o miejsce na gniazda dla swoich dzieci. A gdzie są jego dzieci? Stracił je. Przysięga przepadła. Został mu tylko Daniel.

Jego synek wygramolił się z drzewa, wygładził rączką pomięte ubranie jak grzeczny chłopczyk, poprawił przekrzywioną żabę opasującą go jak szarfa i rozejrzał się wkoło. Uderzało jego opanowanie, jego i pozostałych dzieci, jakby widmo rychłej, gwałtownej śmierci odebrało im strach i nakazywało działać z absolutnym spokojem. Skupiały się na najprostszych czynnościach, eliminując zbędne reakcje i emocje. Jedna Rywka Lejbowitz z naburmuszoną miną przytulała misia do piersi.

Daniel lustrował wzrokiem okolicę i zatrzymał się na jednym punkcie. Abraham spojrział tam i po chwili dostrzegł bladą poświatę rozjaśniającą koronę drzewa na grobli. To nie była tamta ponura luna, tylko blask ognia, znacznie bliżej, kilkaset metrów od nich. Daniel wyciągnął rączkę i powiedział całkiem poważnie to samo, co i jego ojcu przemknęło przez myśl:

– Tam są.

Pobiegli. Znaleźli dzieci. Siedziały wokół ogniska pod drzewem, cała szóstka, i suszyły ubrania. Nie zdziwiły się na ich widok, jakby Abraham i jego syn swoim przybyciem po prostu wypełnili kolejny punkt planu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób się odnalazły, ale nie pytał o to. Zdążył już przyjąć do wiadomości, że wiedzą, co robią. Uściskał każde z nich i spytał, czy mają coś do jedzenia. Wyjęły z kieszeni sucharki.

– Nie możemy tu palić ognia – powiedział cicho. – Znajdą nas.

– Uhm – przytaknął poważnie Dawid i trącił nogą polano. Płomień przygasł. – Co dalej?

– Do miasta wracać nie możemy, zgarną nas natychmiast – tłumaczył Abraham. – Wiem, gdzie jest ten młyn, to niedaleko. Najlepiej będzie wrócić na łąki i podejść od strony dawnego parku. Poprowadzę was. Hrabia Kublicki powinien tam na nas czekać. Tak mi obiecał. To...

dobry człowiek.

Musiał to powiedzieć, potrzebował tych dwóch słów, żeby siebie samego uspokoić i przekonać. Wyobrażenie dzieci włączających się samotnie po okolicy z workami złota utwierdzało go w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia. Nie zajdą daleko. Nie w tych czasach i nie w tym kraju.

Zasyпали popiołem ognisko, włożyli na wpół mokre buty i ruszyli z powrotem na łąki. Dzieci szły w ustalonym szyku: lampa, trzy worki, lampa, pluszowy miś i żaba. Droga nie była daleka i żeby uniknąć następnych kąpieli w rowach, kazał im zapalić świeczki w lampach.

Wyglądali jak kolędnicy, brakowało tylko śniegu. Kiedy schodzili z grobli, Abrahamowi wydawało się, że ktoś za nimi idzie. Słyszał szelest rozgarnianych gałęzi i kilka razy odwrócił się, ale nikogo nie zauważył. Ciemność nowiu gasiła niebo do czerni, co dla nich stanowiło świetną osłonę, ale też czyniło ślepych. Kiedy obejrzał się ostatni raz, ogień jakby rozbłysnął na nowo. Daniel również się oglądał.

– Widzisz coś? – spytał szeptem. Dzieci szły kilkanaście kroków przed nimi. Nie doczekał się odpowiedzi, ale zdawało mu się, że jego syn nieznacznie skinął głową.

Bryła młyna wynurzyła się z mroku nocy nagle, jak kadłub transatlantyku na środku oceanu. Widział kiedyś taki rysunek katastrofy Titanica: gwiazdzista noc, bezkresna czarna woda i wielkie pudło, które miało ich zawieźć do lepszego świata, a zabrało w otchłań. Nie powinien tak myśleć. Hrabia złożył przysięgę. To nie może być katastrofa.

Dołączył do stojących pod drzewem dzieci i ruszyli grupą ku ponurej bryle. O ile dobrze pamiętał, wielką maszynę parową zastąpiono tu ostatnio silnikiem elektrycznym i w tym celu zakopywano w ziemi gruby kabel. Bezszelestnie obeszli budynek, minęli skrzynię z rozdzielnią prądu i znaleźli się przed wejściem. Abrahamowi serce waliło jak młot. Namacał ręką zimną klamkę i odwrócił się. Dzieci stały zbite w gromadkę, każde z ważną rzeczą przy piersi. Lora i Chaimek z lampami, bliźniacy i Dawidek z workami przed sobą jak Trzej Królowie z darami dla nowego władcy, Rywka z misiem

i Daniel przepasany gumowym kółkiem. I on, przewodnik, na czele. Pchnął drzwi.

W twarz uderzył go snop światła. Abraham zasłonił oczy dłonią i czekał na uderzenie lub strzał. Był tego tak pewien, że znajomy głos zaskoczył go zupełnie.

– Nareszcie! Gdzieście się podziewali tyle czasu?

Wypuścił powietrze z płuc i zrobił dwa kroki do przodu, w stronę Fryderyka. Dzieci weszły za nim, ostatnie zamknęło cicho drzwi.

Działka Szpindla na łąkach u stóp oszpicyńskiego Manhattanu sprawiała wrażenie wysepki beczynności, otoczonej bogactwem innowacyjnych rozwiązań nowej gospodarki. Niewielki prostokąt zrudziałej trawy, przez którą przebijały się młode pędy, otaczał płot z siatki ogrodzeniowej, a naokoło kwitł wielki i mały biznes. Z jednej strony warczał pneumatyczny klucz do kół w wielkiej stacji obsługi pojazdów, z drugiej wznosiły się mury eleganckich apartamentowców, a z tyłu za płotem wózki widłowe wywoziły towary z wielkich magazynów i ładowały na ciężarówki. Mimo zmroku i deszczu praca wrzała w najlepsze we wszystkich trzech sektorach. Tylko prostokąt trawy rósł i gnił w milczeniu. Przypomniały mi się słowa Łopatki o patrzeniu w przyszłość. Działka Szpindla była jak memento z przeszłości.

– Tu go dopadły. – Węgrzyn pokazał mi miejsce na tyłach działki, koło hurtowni.

– Jak się dostały?

– Od strony budowy. Przepisnęły się przez dziurę w siatce. Nikt nie widział, z kim przyszły, ale też nikt nie widział ich biegających samopas.

Mówiąc twoim językiem, wyszły spod ziemi, zagryzły gościa i znikły.

– Nie, to bez sensu – odparłem, rozglądając się. – W tym miejscu nic się nie krzyżuje, nie ma konfliktu.

– Aha – przytaknął z namysłem Węgrzyn. – Tam się krzyżowało, a tu się nie krzyżuje, rozumiem. To faktycznie bez sensu.

Nie umiałem wpisać Szpindla w tę historię. Nie mieścił się w ramach, a żeby prawda wyglądała elegancko i spójnie, czasem poza pole widzenia trzeba wyrzucić fałsz. Jego działka sprawiała wrażenie niezgrabnego fałszu psującego dobry wygląd otoczenia. Gdzie była jego opowieść? Dlaczego zawiodła go do tak strasznej i nierozumnej śmierci?

– Co o nim wiesz? – spytałem, drepcząc w poszukiwaniu śladów dawnej ścieżki biegnącej na ukos przez łąki, gdzie dziesięć lat temu zaczął mnie sympatyczny kundelek. Szpindel kopnął wtedy w kamień, a potem pogłaskał go i odszedł.

Tymczasem Mariusz Węgrzyn opowiadał:

– Antoni Szpindel odziedziczył po ojcu zakład jubilerski w mieście i odkąd pamię-

tam, nigdy nie opuszczał sklepu, nawet w środku wakacji, kiedy wszyscy zamykają zakłady i wyjeżdżają na urlop. Ilekroć przechodziłeś obok, widziałeś go, jak układa biżuterię na wystawie, przekłada kolie, pierścionki i złote zegarki, jakby żadna z tych rzeczy nie mogła dłużej leżeć w jednym miejscu. I pewnie od tego dostał hopla.

Wiesz, całe życie wśród klejnotów, nic tylko złoto, diamenty, rubiny...

Jakiś czas temu zostawiła go żona, myślę, że niedługo po tym, jak stracili dziecko. Miał też starszą siostrę, chyba starą pannę, okropną jędzę, ale umarła dosyć dawno. Pomagała mu w sklepie.

– Stracili dziecko? – spytałem z ciekawością. Od pewnego czasu na samo słowo „dziecko” reagowałem ze wzmożonym zainteresowaniem.

Może to początki starości? A może hopla, jak powiedział Mariusz.

– Mieli jedną córkę, która zmarła w szpitalu. Nieszczęśliwy wypadek. Operowali jej wyrostek robaczkowy i nie potrafili wybudzić z narkozy. Jego żona robiła później historyczne awantury, chciała sądzić lekarzy, ale w czasach Peerelu takie numery nie przechodziły. Zresztą teraz też nie przechodzą, lekarze to sitwa.

– Jasne – zgodziłem się bez przekonania. Wolałbym tezę: ludzie to sitwa.

– Od tamtego czasu Szpindel coraz bardziej odklejał się od rzeczywistości i tak został ponurym samotnikiem. Gadał do siebie na ulicy, ale ludziom nawet na „dzień dobry” nie odpowiadał. Zresztą widziałeś go, to wiesz.

– Jasne, dogadalibyśmy się – potwierdziłem.

Mariusz zaśmiał się na głos.

– Tak sędzę. On miał różne bziki, ale między innymi obsesyjnie powtarzał, że to miasto jest chore, wszyscy myślą tylko o złocie i nie chcą być ludźmi. On, jubiler!

– Wiedział, co mówi – bąknąłem pod nosem, ponieważ właśnie znalazłem to, czego szukałem. Ścieżka już niemal całkowicie zarosła trawą, ale jej zarys widać było w świetle pobliskiej latarni. Przypomniał mi się tamten poranek, mgła i wyłaniający się z niej przygarbiony chudzielec. Macał wtedy czubek zakopanego kamienia. Też go potem dotknąłem. Trawa rosła dziko i bezładnie, ale ziemię wokół starannie oczyszczono. Wyjąłem latarkę i poświeciłem...

– No więc w tym sensie był z twojej bandy – ciągnął Mariusz. – Myślę, że źle mu zrobiły te wszystkie oszpicyńskie legendy o żydowskim złocie. Przez nie oszalał.

– Albo prawda – powiedziałem, pochylając się. Coś mi zaczęło świtać. Betonowy słupek w kształcie trójkąta, zwężony ku górze...

– Że co?

– Albo prawda mu źle zrobiła – wyjaśniłem. Słupek miał na szczycie okrągły ślad po rurce, która kiedyś musiała być znacznie dłuższa i podpierać... huśtawkę!

– Ty znowu z tą prawdą – zachnął się Mariusz. – Nie chodzi mi o przerzucanie się słowami, tylko o dotarcie do faktów... Idziemy już?

– Tak! – krzyknąłem. – Słuchaj, ten jego zakład jest zamknięty?

– O ile wiem, tak. Żona stara się o przejęcie, co z braku innych spadkobierców chyba nie sprawi większych trudności. Ty chyba nie chcesz...

– Musimy, jeśli chcesz rozwiązać tę zagadkę. Masz klucze?

– Nie... – Węgrzyn zawahał się. – Możliwe jednak, że gdzieś są u nas w depozycie...

– Świetnie, jedziemy! Macie tam przedwojenną mapę Oszpicyna?

– Wiem, że policja czasem nie nadąża, ale nie jesteśmy jeszcze muzeum.

– Nieważne, ruszajmy.

Klepnąłem go w ramię i popchnąłem w kierunku samochodu.

Mamrotał pod nosem coś o wariatach, z którymi przyszło mu pracować, ale bez szemrania zajechał na policyjny parking przy Jagiellońskiej. Na dyżurce poszeptał z młodym posterunkowym, wziął dwa komplety kluczy i poszliśmy do jego gabinetu. Wyjął z szafy zakurzoną teczkę, zapewnił, że gdzieś tam w niej powinny być stare mapy, i wyszedł do magazynu. Faktycznie były – stare, wojskowe, bardzo dokładne.

Wymierzyłem na oko dystans, orientując się według dawnej zabudowy miasta, i po chwili miałem palec wbity w miejscu dzisiejszej działki Szpindla. Napis obok maleńkiego prostokątka oznaczającego budynek głosił: „Przedszkole Społeczne im. Rabina Meiselsa”. Usiadłem. Antoni Szpindel, zwariowany jubiler ze starego Oszpicyna, wykupił i trzymał jako niezabudowaną działkę, gdzie przed wojną mieściło się żydowskie przedszkole. To samo, do którego chodziła szóstka moich zaginionych dzieci i które widniało w tle jedynej ich fotografii. Kamień stanowił pozostałość po huśtawce. Pokiwałem głową. Owszem, Szpindel zwariował, ale nie z powodu złota w Oszpicynie, tylko historii jego żydowskich dzieci.

– Mam, chodźmy! – powiedział Węgrzyn, wpadając do gabinetu z pękiem kluczy w dłoni. – Znalazłeś coś?

Postukałem paznokciem w miejsce na mapie i pozwoliłem mu przeczytać podpis, a następnie przemyśleć skojarzenia. Trochę mu to zajęło.

– Myślisz, że miał z tym jednak coś wspólnego?

– Mógł – odparłem. – Dowiemy się na miejscu.

Pęk zawierał również klucz od tylnych drzwi sklepu prowadzących do małego kantorka na zapleczu. Węgrzyn wyłączył alarm i zabraliśmy się do przeszukiwania biurka. Na dnie ostatniej szuflady znalazłem drewnianą skrzyneczkę z kłódką. Na szczęście pasował do niej kluczyk z kompletem. Otwarłem i gwizdnąłem cicho. Na wierzchu leżała odbitka tej samej fotografii z przedszkola, z szóstką moich dzieci, każde miało nad głową prawidłowo wypisane swoje imię. Pod nim leżały inne fotografie z dorobku zapobiegliwego Mosze Lejbowitza, a obok nich rolki filmu w blaszanych kasetkach. Przełknąłem ślinę.

– Jak myślisz, oryginalne? – spytał Mariusz, kiedy brał do ręki jedną z rolek. – Skąd je wziął?

– Stąd – powiedziałem i wyjąłem z dna pudełka brudnego pluszowego misia. Miał płaski brzusek, z pionowym rozcięciem od czerwonej kokardki pod szyją aż do pasa. – Ktoś je tu ukrył i przemycił z okupacyjnej przeszłości do naszych czasów.

– Dlaczego Szpindel w ogóle się tym zajmował?

– Nie wiem – odparłem – ale mam nadzieję zaraz się dowiedzieć.

Odłożyłem na bok zdjęcia i zacząłem przeglądać papiery ze skrzyneczki. Były to głównie notatki samego Szpindla dotyczące dzieci z mojej szóstki i ich rodzin.

Wśród chaotycznych zapisków przecinających kartki we wszystkich kierunkach powtarzało się zdanie, które i mnie od pewnego czasu nie dawało spokoju: GDZIE ONE SĄ?!

Szpindel także ich szukał. Sądząc z częstotliwości i charakteru zapisów, szukał długo i rozpaczliwie, z desperacją godną Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Dlaczego? Czy jego ojciec brał w tym udział? Nigdzie nie znalazłem żadnej wzmianki o jubilerze, dlatego już jakiś czas temu porzuciłem ten trop, a jednak sprawa zgorzkniałego ponuraka smutno pochylonego nad piwem w knajpie Pawła Kopcia wróciła do mnie niezrozumiałym rykoszetem. Grzebałem więc w papierach dalej. Kiedy nie odpowiedziały mi na moje pytanie, wróciłem do zdjęć. Wreszcie znalazłem. Przedstawiało chudego i ponurego mężczyznę, nieco podobnego do Szpindla, ale z krótko obciętymi włosami i przedwojennym wąsikiem. Miał na sobie fartuch roboczy i pochylał się nad pierścionkiem z przystawioną do oka krótką lunetką. Na odwrocie ktoś napisał flamastrem:

MOJA WNUCZKA IDZIE NA ŚMIERĆ.

NIECH I TWOJA PÓJDZIE.

Pokazałem napis Mariuszowi.

– Chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwa klątwa żydowska?

Patrzył na zdjęcie, marszczył czoło i przełykał ślinę. Myślał.

Wreszcie wymyślił.

– Ja piernicę, sprawdziło się – wygłosił konkluzję.

Nie odpowiedziałem. Chodził mi po głowie obraz zgarbionego jubilera włóczącego się po podmiejskich łąkach w przeczuciu, że gdzieś tu leży rozwiązanie tajemnicy i uwolnienie od klątwy rzuconej na jego rodzinę przez zro paczonego Żyda. Latami szukał odpowiedzi na pytanie, za co Bóg go ukarał śmiercią ukochanego dziecka, a kiedy ją znalazł, postanowił pójść pod prąd wyrokowi i odwrócić przeklęty los.

Stracił córkę, żonę, dom, rozsądek, wreszcie życie. Pomyślałem, że z tym, do czego doszedł w tych obłąkanych poszukiwaniach, mógłby mi bardzo pomóc, gdybyśmy tylko mieli okazję do jednej spokojnej rozmowy. Ale tak się nie stało. Po raz trzeci rozminąłem się z człowiekiem, który mógł mnie wyprowadzić z lochów niewiedzy na światło dnia. Najpierw Henryk Hirs, potem Piotr Stefanowski, a teraz on. Mieliście kiedyś wrażenie, że urodziliście się za późno? Że każdy wasz krok powinien być zrobiony nieco wcześniej? Krótkie cofnięcie się – jeden dzień, rok, dekada – i wszystko byłoby inaczej? Ja mam tak ciągle.

– To jednak nie wyjaśnia jego śmierci – powiedział Mariusz, odkładając rolkę z filmem. – A przypominam, że po to mnie tu ściągnąłeś.

– Tak ci się tylko wydawało – odparłem z uśmiechem. – Szukałem moich tropów, nie twoich. A co do śmierci, rzuć okiem na to i wysil mózgownicę.

Podetknąłem mu pod nos kartkę z koślawo wyrysowanym ramieniem i mieczem w kształcie nadmuchanego kondoma. Pod spodem widniał napis:

BĘDZIESZ WISIAŁ ŻYDOWSKI SŁUGUSIE.

– Niechże pan wejdzie, panie Goldszmit, tylko szybko, bo zaraz godzina policyjna. Co też pana do mnie sprowadza?

Człowiek w czarnym kapeluszu i długim chałacie przestąpił ostrożnie próg domu, pokłonił się głęboko pani gospodyni, pogładził małą dziewczynkę po kasztanowych włosach i usiadł na samym brzeżku podsunętego mu uczynnie krzesła. Międlil w rękę rondo kapelusza i patrzył na blat stołu, żeby nie widzieć zaciekawionego, ale i zaniepokojonego spojrzenia gospodarza. Wreszcie przemówił drżącym głosem.

– Szanowny panie Szpindel. Ja wiem, że jestem dla pana konkurencja i pan mnie z tego powodu niekoniecznie musi lubić.

– Ależ co pan, panie Goldszmit! Po co mówić takie rzeczy.

– Nie, nie, drogi panie Szpindel. Trzeba mówić takie rzeczy, jak one są prawdziwe i chce się z kimś robić interesy, ale uczciwie, bez oszukiwania i pięknych słówek. Ja wiem, interes jest interes, ale do niego potrzebna też uczciwość. I jak przyjdzie do mnie klient i powie, że on ode mnie nie chce kupić broszki srebrnej z czarnymi perłami za, dajmy na to, trzysta pięćdziesiąt złotych, bo on taką samą, a, co ja mówię taką samą, jeszcze piękniejszą znalazł u jubiler Szpindla, to ja jemu nic nie powiem. A wiesz pan dlaczego?

– Interes jest interes...

– Ano właśnie! – ucieszył się jubiler Goldszmit. – Ale i też interes drugiego kupca, choćby i konkurencji, tak nie boli, kiedy to prawy kupiec, uczciwy...

– Doprawdy, nie wiem, do czego pan zmierza – zdziwił się Szpindel, ale niepokój w jego duszy nabrał konkretniejszych kształtów.

– Chodzi o to, panie Szpindel, że ja z panem chcę zrobić interes, bo pan jesteś uczciwy człowiek. Prawy. Szlachetny. Taki człowiek, co to od razu można mu zaufać, nawet jak się go niekoniecznie lubi.

– Co też pan z tym lubieniem...

– Już mówię. – Goldszmit podniósł rękę jak ksiądz na kazaniu i zawołał donośnym głosem, na który dziewczynka uciekła do spódnicy matki. – Sądny czas przyszedł na naród izraelski! Bóg rękami oprawców znów postanowił zburzyć Świątynię ludu umiło-

wanego, a jego samego posłać na zatracenie! Nie ostoi się żaden młodzieniec ani żadna panna z rodu Abrahama...

– Dobrze już, dobrze – zaoponował nieco ostrzejszym tonem pan Szpindel. – Niech pan wreszcie powie, panie Goldszmit, co pana do mnie sprowadza. I może już bez biblijnych odniesień.

– Przeszedłem zrobić interes z dobrym, uczciwym człowiekiem.

Bo pan, panie Franciszku, jesteś dobry człowiek...

– Niechże pan przestanie! – wtrącił z przekąsem Szpindel. – To już wiemy.

– No właśnie. – Goldszmit pogrzebał chwilę w przepastnych fałdach chałata, po czym wyjął stamtąd okazałą sakiewkę i postawił na stół.

– To jest zapłata za mój interes z panem, szanowny panie Szpindel – powiedział uroczyście i dla podkreślenia wagi zawieranej transakcji wstał. – Uczciwa zapłata za uczciwy interes, bo pan jesteś uczciwy człowiek...

– Niechże...

Goldszmit szybko przerwał mu, unosząc prawą rękę, a lewą sięgając po sakiewkę. Złapał ją za spód, odwrócił i wysypał zawartość na stół. Po lnianej serwecie potoczyły się czerwone, zielone, białe i przezroczyste kamienie. Gospodyni jęknęła cicho.

– Niech pan sam oceni, pan jesteś fachowiec pierwszej klasy. No, niech pan patrzy! Godziwa zapłata za mój interes. Powiedziałbym nawet, więcej niż godziwa!

– Ale za co... – wybąkał zdębiały jubiler Szpindel, który nie mógł oderwać oczu od wielkiego majątku, jaki potoczył się po stole w jego własnej kuchni. Pobieżny rzut oka wystarczył, by wartość kamieni ocenić na kilkanaście albo i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Mógłby za to żyć do końca swoich dni, a pewnie i dzieci jego, i wnuki by jeszcze z tego co miały. Niepokój w głębi serca skurczył się do ziarenka maku, przygnieciony oszałamiającą wizją bogactwa.

– Za co? – powtórzył.

Goldszmit odwrócił się na pięcie, wyszedł do przedpokoju, skąd doleciał stuk otwieranych i zamykanych drzwi, po czym wrócił z pełną napięcia twarzą.

– Za to dziecko.

Obok niego stała dziewczynka w wieku córki Szpindla, może nieco starsza, ale z takimi samymi kasztanowymi włosami przewiązanymi czerwoną wstążką, w sukience do kolan i bucikach z białymi podkolanówkami. W jednej rączce ścisnęła dłoń starego Goldszmita, w drugiej trzymała niewielki tobołek. Szeroko otwarte oczy były czarne i głębokie jak noc.

– Weź pan ją – powiedział cicho Goldszmit. – Weź pan to dziecko.

W kuchni zapadła cisza, przerywana mechanicznymi uderzeniami ściennego zegara. Szpindel wpatrywał się w dziewczynkę ze zmarszczonym czołem, jakby dokonywał bardzo skomplikowanej operacji przeliczeniowej, jego żona ciągle gapiała się na zasypany klejnotami stół, a Goldszmit patrzył na Szpindla w pełnym niepokoju oczekiwaniu, czy obliczenia konkurencyjnego jubilera wypadną na jego korzyść. Nabrzmiałą ciszę przerwała córka Szpindla, która krzyknęła „Rachela!”, zagłuszając mrukliwe „nie” ojca.

– Można ją wołać Hela – pospieszył z odpowiedzią Goldszmit, czując, że jego interes się chwije. – Kochany panie Szpindel, ona wszystko umie jak trzeba! I pomodli się do Najświętszej Pani, i piosenki różne zaśpiewa. Helciu, zaśpiewaj państwu kolędę! No, śpiewaj!

Trącona ręką dziewczynka dygnęła jak na scenie i zaczęła nieśmiało:

Przybieżeli do Betlejem pasterze,

Grają skocznie Dzieciąteczku na lirze...

– Dostyc już! – przerwała jej gospodyni. – Teraz nie śpiewa się kolęd.

Goldszmit ukłonił się jej do pasa i przytaknął skwapliwie:

– Absolutnie ma pani rację, pani Szpindlowa, absolutnie! Ona tylko tak, żeby pokazać, że potrafi. To takie słodkie dziecko!

Jubiler Szpindel wciąż mierzył wzrokiem rozsypane kamienie, wreszcie otrząsnął się z hipnotycznego stanu i skinął głową na człowieka w chałacie.

– Niech pan pozwoli ze mną do pokoju, panie Goldszmit.

Wyszli. Dziewczynka stała grzecznie w tym samym miejscu i ścisnęła w rączce tobolek. Próbowwała się uśmiechnąć, jak jej ojciec kazał, ale chyba nie całkiem się udało, bo pani patrzyła na nią surowo.

Tylko mała Jadzia uśmiechała się zza spódnicy. Raz nawet pomachała do niej ręką. Wreszcie kobieta spytała:

– Chcesz lemoniady... Helciu?

Skinęła główką, bo tak jej się wydawało grzeczniej. Gospodyni odwróciła się do pieca, a wtedy Jadzia podeszła do niej, wyjęła jej tobolek z ręki i poprowadziła do kąta.

– Chodź, pokażę ci moje lalki. Tata zbudował dla nich specjalny domek. Ty masz domek dla lalek? Na pewno nie. Nie zmieściłby się do tego worka. Pobawimy się moim,

chcesz?

Dziewczynka przytaknęła i kucnęły obie na kocu. Kiedy gospodyni przyniosła jej szklankę z pomarańczowym płynem, w pokoju obok rozległy się podniesione głosy, więc szybko zagadała do dziewczynki:

– Masz braciszka albo siostrzyczkę czy jesteś sama? A mama została w domu? Ilu was tam mieszka?

Zagadywała hałasy zza ściany, które wskazywały na trudny przebieg negocjacji. Dziecko było śliczne, odpowiadało grzecznie i dokładnie, że przyprowadził ją dziadek, a rodzice zostali w domu i że nie ma rodzeństwa. Pani Szpindlowa pomyślała nawet przez moment, że są podobne z Jadzią i mogłaby raz wychodzić na spacer z jedną, a raz z drugą. Przecież ta okropna wojna nie może trwać wiecznie!

– Chciałabym tu mieszkać – powiedziała nagle cicho dziewczynka i rozplakała się. Pani Szpindlowa natychmiast wzięła ją na ręce i przytuliła. Wtedy drzwi od pokoju się otwały i wypadł z nich jej mąż, cały czerwony na zwykle bladej twarzy.

– Mowy nie ma! – krzyczał. – Nie będę narażał na śmierć siebie i swoich najbliższych! Niech pan zabiera kamienie i dziecko!

Zaczął upychać kolorowe kamyczki do sakiewki, podczas gdy Goldszmit ciągnął go za rękę.

– Błagam pana, panie Szpindel! To przecież dziecko, takie samo jak pańskie! Lżej mi będzie na śmierć iść. Niechże się pan zlituje! – Zaszlochał i upuścił kapelusz. – Nie mam więcej! – jęknął, klękając na podłodze, żeby podnieść zgubę. Gospodyni postawiła dziewczynkę i odwróciła się do okna. Łuna migotała na zachodzie. Zagryzła skórę na wierzchu dłoni.

– Helcia nie ma domku dla lalek, mogę jej pożyczyć mój – powiedziała poważnie mała Jadzia, ale na widok strasznego wzroku ojca pobiegła do mamy i swoim zwyczajem schowała się za spódnicę. Druga z dziewczynek stała w kącie i patrzyła szeroko otwartymi, mokrymi oczami.

– Jeszcze raz mówię, panie Goldszmit. Niech pan to weźmie i poszuka kogoś innego. Ja się nie mogę narażać – ogłosił swój wyrok jubiler Szpindel i wcisnął sakiewkę do kieszeni chałata. Błady z rozpaczony Żyd przez minutę stał sztywny jak kołek. Potem wyprostował się, wziął dziewczynkę za rączkę, drugą zgarnął z podłogi jej tobołek i ruszył ku drzwiom. Małe ostatni raz wymieniły się spojrzeniami.

Helcia zabrała ze sobą do krematorium obraz drobnej dłoni machającej do niej zza spódnicy, a Jadzia do końca życia nie mogła przestać myśleć o tych szklistych, szeroko

otwartych oczach.

Kiedy Szpindel oparł się o blat stołu i z trudem łapał powietrze po wzburzeniu, stary Goldszmit wrócił z sieni na próg mieszkania. Już nie płakał. Wzrok miał zimny i nie-ludzki.

– Moja wnuczka idzie na śmierć. Niech i twoja pójdzie.

Kiedy skończyłem przedstawiać mu swój plan, Węgrzyn pomilczał przez chwilę, a potem swoim zwyczajem podrapał się po głowie.

– Jesteś pewien, że muszą iść całą szóstką? Łatwo ich nie namówisz.

– Zostaw to mnie. Chcę, żebyś miał świadomość, co i gdzie się może wydarzyć. Od ciebie potrzebuję tylko jednego: zneutralizuj ich, przypilnuj, zabezpiecz teren. Nie wiem jak i z pomocą jakich argumentów, ale powinieneś to zrobić także dla własnego dobra. Nie możemy sobie pozwolić na podobną wtopę jak wtedy na grobli.

Siedzieliśmy w jego biurze, był poranek następnego dnia. Węgrzyn obracał w palcach kartkę z koślawym mieczem Falangi i pogrózką dla Szpindla. Namawiałem go, żeby wśród tych wyznawców boga Mięśnia poszukał właścicieli amstafów i w ten sposób spróbował ich zneutralizować. Jakieś aresztowania, zatrzymania, przesłuchania – policja ma swoje metody.

– Wszystkich nie zamknę, Wojtek. Mogę co najwyżej wysłać tam wzmocnione patrole, ale całego terenu wkoło też nie zabezpieczę, zwyczajnie mi nie wolno. Za taki sam numer pięć lat temu wyleciał ze służby Morgała i środowisko jest przeczulone na tego typu akcje. Poza tym wiesz, lada dzień wejdziemy do Unii, regulaminy jeszcze się zaostrzą. Naprawdę nie mogę, zrozum.

Rozumiałem. Jego słowa przypomniały mi o tym, że za trzy tygodnie mamy wstąpić do Unii Europejskiej. Fajnie. Wracamy do rodzinnej Europy. Z trupami pod ziemią. W dodatku to na mnie akurat wypadło, żeby je wykopywać.

– Zrób, ile możesz – poprosiłem. – Będzie nas razem siedmioro, w tym trzech mężczyzn, to też coś.

Przez chwilę milczeliśmy i na twarzy Węgrzyna widziałem sceptyczny namysł nad tym, ile wynosi „też coś”.

– Jak idą poszukiwania numeru telefonu do Izraela? – spytałem, żeby go uwolnić od dręczącego sceptycyzmu. Zapewnił, że pracuje nad tym i jak tylko go zdobędzie, zaraz mnie zawiadomi. Problem naszego bezpieczeństwa nie dawał mu jednak spokoju.

– Pozwól, że spytam poza protokołem – zniżył głos niemal do szeptu. – Czy masz w ogóle wyobrażenie o tym, na co możecie się tam natknąć?

Pytanie było bardzo dobre, wręcz doskonałe i mogłem tylko żałować, że nie dysponowałem równie celną odpowiedzią. Na moją ocenę mogło się przytrafić wszystko, łącznie z atakiem rybiego potwora, który większość z nas pożre, a pozostałym odgryzie nogi i popędzi na rękach do domu.

– A jaką chcesz odpowiedź: rozsądną, taką średnią czy kompletnie odjechaną?

Roześmiał się głośno, uderzył mnie po przyjacielsku pięścią w ramię i na odchodne rzucił coś o udanej współpracy z wariatami. Nie podjąłem zaczepki. Bycie wariatem ma swoje przywileje. Mniej spraw cię zaskoczy.

Przed rozpoczęciem akcji potrzebowałem jakiegoś bardziej namacalnego argumentu, ponieważ dotychczasowe ustalenia Wojciecha Jaromina w sprawie zaginionych żydowskich dzieci opierały się w olbrzymiej większości na nieuprawnionych przypuszczeniach. Nie dla siebie, bo ja wiedziałem, ale dla tamtej szóstki, którą miałem przekonać.

Trójki, szóstki, triady, heksagramy, sześcioramienne gwiazdy – schodząc po schodach komendy na parking do mojej wysłużonej astry, rozważałem w myślach geometryczne zależności i ich wpływ na życie ludzkie. Jak już mówiłem, od zawsze lubiłem trójkąty, nie myślałem jednak, że sensem mojego życia stanie się budowanie z nich ramy narracyjnej dla cudzej historii. Bo przecież tak naprawdę to nie moja opowieść, tylko ich, dawno umarłych i zapomnianych. Wplątałem się w nią przypadkiem, z głupoty i ciekawości dla niesamowitego, a teraz nie było już odwrotu. Gdzie to się zaczęło? Nie wiem, ale coś mi mówi, że nie należało sikać na grobli.

Z tą błyskotliwą myślą wsiałem do samochodu i ruszyłem na ulicę Brzegi. Wiem, nie powinienem, niemniej gdzieś musiałem zacząć, a tam miałem najlepsze wejście. W każdym razie tak mi się zdawało. Jechałem przez miasto, uporczywie powtarzając w myśli: „Pamiętaj, nic z tych rzeczy”.

– Wejdz – powiedziała z miękkim wahaniem. – Dawno się nie widzieliśmy.

Wydała mi się starsza, niż powinna. Włosy obcięte na chłopca, figura nadal doskonała, ale twarz spowijał mroczny lęk przed starością.

Jej ruchy stały się wolniejsze, ale bynajmniej nie bardziej pewne, raczej mechanicznie rozedrgane, jakby przyzwyczała się do życia na granicy hysterii. Bałem się odezwać, żeby nie zburzyć tej porcelanowej równowagi i nie spalić planów na panewce. Skoro już tu przyszedłem, jej zgoda nabierała wagi fundamentalnej.

– Wspaniale wyglądasz – skłamałem na dobry początek. Omiotła mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Masz jakieś kłopoty ze wzrokiem? Ludzie raczej mi współczują, także wyglądu.

Ostatnio zwłaszcza wyglądu.

– Nie przesadzaj – brnąłem. – Znam gorsze przypadki.

Roześmiała się trochę za głośno, by dać do zrozumienia, że to wcale nie było śmieszne.

– No tak! Przecież ty widzisz się z duchami! Przychodzisz w ich sprawie czy może jakiejś innej?

Zawiesiła głos i wpatrywała się we mnie przymrużonymi oczami.

Siedziała w fotelu naprzeciwko, ale widziałem ją jak przez odwróconą lunetę, bardzo daleką i zimną. Szukałem w naszej wymianie spojrzeń punktu zaczepienia, który pozwoliłby mi sięgnąć do naszej dawnej intymności i nawiązać kontakt z tym czymś w niej, czego teraz bardzo potrzebowałem. Niestety, nie ułatwiała mi roboty. Głowa na jej szyi, wyciągniętej i smukłej jak u kobiet Modiglianiego, tkwiła niczym kryształowy wazon na skraju kolumny – lada chwila mogła spaść. Jej unieruchomienie bardziej kojarzyło mi się z niewidocznym ruchem, jak drgania wirującego bąka. Nagle spada, pach! – i koniec.

– Odwiedzają cię jeszcze? – spytałem ostrożnie, jakby detonator naszego spotkania działał na fale akustyczne. Przekręciła głowę o dziesięć stopni w lewo i patrzyła za moje ramię.

– Chodzi ci o moich chłopców? Nie muszą. Są tu przez cały czas.

Chcesz zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, wstała i wolnym, wystudiowanym krokiem ruszyła ku schodom. Stawiała stopy jak na potłuczonym szkłe, powoli i starannie, jakby miała ściśle wyznaczone korytarze do poruszania się po domu. Poszedłem za nią, widok jej kołyszących się pośladków kłuł mnie w oczy. Dotarła do łazienki, włączyła światło i pokazała palcem na pokryte smugami lustro. Takie ślady zostawiają palce piszące po zaparowanej szybie. Pod odpowiednim kątem dało się je odczytać. W różnych rozmiarach, w pionie, poziomie i pochylone, przedstawiały te same trzy litery, które już widziałem pięć lat temu, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, co znaczą.

Usiadła na klapie od sedesu i założyła nogę na nogę.

– Na początku mazałam, ale natychmiast pojawiały się nowe.

Jakby stali tuż obok i tylko czekali na moją reakcję. Ciągle te same trzy litery: JTN.
– Uśmiechnęła się smętnie. – Pocieszające jest to, że już nie kołyszą anteną satelitarną ani nie rzucają nożami. Tylko piszą i piszą.

Słuchaj, Wojtek, ty siedziałeś w domu wariatów, więc jesteś kimś w rodzaju specja-

listy. Powiedz mi: czy ja zwariowałam?

Jej oczy się zaszklily. Czekałem na łzy, ale się nie doczekałem.

Była dzielna, niemal twarda, choć nie wiadomo po co. Nagle zapragnąłem ją objąć i mocno przytulić. Powstrzymałem się z niemałym trudem. Nic z tych rzeczy.

– Pokazywałaś to już komuś?

– Aż tak to nie zwariowałam – odparła z żalonym uśmiechem. – Jak to kiedyś powiedziałaś? „Kłamstwo lubi towarzystwo, ale z prawdą człowiek boryka się sam”.

– To nie JTN – wyjaśniłem. – Wygląda podobnie, ale to hebrajskie słowo אֲדֹנָי i znaczy *Adonai*, czyli Bóg.

Zdawała się naprawdę zaskoczona.

– *Adonai*? Moje dzieci piszą do mnie do hebrajsku?

– Ponieważ mają żydowski problem i nie wiedzą, jak go rozwiązać.

Ja właśnie do ciebie w tej sprawie, Ewo. Musisz... musimy porozmawiać. Wtedy, pięć lat temu, powiedziałem również, że ci pomogę. Dlatego tu dzisiaj jestem.

Chwilę zajęło jej przemyślenie moich słów. Zagryzła wargi i pociągnęła nosem, śmiesznie marszcząc skórę. Dwa razy dotknęła językiem przednich zębów, ale się rozmyśliła, wreszcie objęła się rękami i patrząc w podłogę, powiedziała:

– Podejmujesz się beznadziejnego zadania. Mnie już nie ma, chłopcze. Znikłam. Zostałam tam wtedy w piwnicy, ktoś przybił mnie jak szczura do deski i od tamtego czasu nie mogę się poruszyć. Wiesz, dlaczego zastałeś mnie w domu przed południem? Ponieważ już nie pracuję. Zwolniłam się, żeby mnie nie wyrzucili za niedbałe wykonywanie obowiązków. Więc nawet już tego nie mam. Żadnych przyjaciół, znajomych, nawet kochanka nie potrafiłam sobie zorganizować. Ty byłeś ostatni. Widzisz, Wojtku, nie ma mnie.

Słuchałem jej, a jednocześnie kątem oka obserwowałem delikatną smużkę na lustrze. Powstała z kropki na środku i sunęła wężykiem w dół, następnie po skosie ku górze, potem znowu pojechała wężykiem w dół. Przez moment nic się nie działo, po czym nieco dalej, z następnego punktu zaczęła sunąć poziomo i zaraz pionowym wężykiem w dół. Napis powstawał powoli, uważnie, jakby piszący nie wiedział, czy robi to właściwie. Na moją ocenę szło mu niezłe, w każdym razie pisał od prawej do lewej. Kiedy postawił ostatni znaczek w postaci haczyka u góry, szybkim ruchem narysował dwie ukośne kreski i ich końcówki połączył krótszymi, pionowymi. Trójkąty złączone wierzchołkami.

– To nie tak, Ewo. Jeszcze można coś zrobić i chyba nawet wiem co. Nie ma znacze-

nia, czy zwariowaliśmy, czy tylko widzimy więcej, rozstrzyganie tej kwestii do niczego nie prowadzi, ewentualnie do depresji. Podobnie jak to, czy jeszcze jesteś, czy już cię nie ma.

Zapłacałaś za coś, czego nawet nie rozumiesz, i zapewniam cię, też się tak czułem przez ostatnie pięć lat. Ale już wiem. Chyba. Potrzebuję tylko twojej pomocy. Dokładnie tak. Potrzebuję twojej pomocy, żeby ci pomóc. Tobie i im – zakończyłem, pokazując palcem lustro.

Rzuciła na nie okiem i przez jej twarz przebiegł czarny błysk.

Trwał ułamek sekundy, niczym jedna klatka z horroru wklejona w dramat obyczajowy. Zadrzałem. Potrząsnęła głową, odpędzając jakąś myśl.

– Wiesz – stwierdziła z melancholią – czasami myślałam sobie, że dobraliśmy się jak w korcu maku. Nie, nie będę cię ciągała do sypialni, bez obawy. Tak po prostu myślę, że jedynym pasującym do mnie facetem jest dziennikarz, który dostał bzik na punkcie dawnej historii i zaraził mnie nią jak syfilisem. To silny związek, nie sądzisz?

Wzruszyłem ramionami i zastanawiałem się, co odpowiedzieć na tak kontrowersyjne wyznanie, ale nie dała mi okazji. Podniosła się gwałtownie, uderzyła pięścią w lustro, a potem zaczęła je wycierać.

– Hebrajskie napisy... żydowski Bóg... przeklęte popioły...

Chodźmy stąd! – oświadczyła nagle kategorycznie i wybiegła do holu.

Podszedłem do lustra i w miejscu zmazanych trójkątów narysowałem gwiazdę Dawida. Niemal natychmiast obok pojawiły się dwie kropki, pod nimi półksiężyc. Uśmiechnięta buźka. Zrozumiała, że już wiem.

Obok narysowałem taką samą. Schodziłem po schodach nieco podbudowany.

– Ta „dawna historia” – zacząłem, kiedy zasiedliśmy z powrotem w fotelach – dotyczy tak samo ciebie, jak i mnie i po nią tu przyszedłem.

A konkretnie po twoją część opowieści, ukrytą gdzieś w tym domu na dnie starego kufra, do którego twoi rodzice czy dziadkowie zabronili zaglądać. Baśń ma jednak sens tylko wtedy, gdy dzieci wbrew zakazowi zajrzą do schowka i wydobędą na światło dzienne sekretne starocie. I to jest moja prośba do ciebie. Rodziców nie ma, ziemia się trzęsie od tajemnic – zróbmy to. Zajrzyjmy do kufra i wyciągnijmy te papierzyska, te cholerne zakazane słowa, powiedzmy je na głos i przewietrzmy ten niemożliwy zaduch. Czy ty tu w ogóle otwierasz okna?

Słuchała z półotwartymi ustami, wydawało mi się nawet, że widzę nitkę śliny między wargami.

– Przyszedłeś rozwiązać mój problem z wentylacją?

Tylko na moment obdarzyła tę ironię uśmiechem, ponieważ zaraz dodała poważnie:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Moja matka jeszcze żyje i o ile wiem, nie ma żadnego kufra z sekretnymi słowami.

– A teściowie? – spytałem. – Twój synowie byli też ich wnukami.

Nigdy niczego nie zauważyłaś, nie usłyszałaś? Nie wspominali o jakiejś okupacyjnej historii?

Jej oczy wróciły do tamtego zimnego dystansu.

– Nazwij rzecz po imieniu – powiedziała szklanym głosem. Palce obu rąk zaciskała na szklance z wodą, długi paznokieć drapał skórę.

Czekałem, kiedy pojawi się kropelka krwi.

– Dwa słowa: „złoto” i „dzieci”.

Czytanie twarzy to jedna z fajniejszych umiejętności.

W psychiatryku miałem mnóstwo okazji, by się w niej ćwiczyć, ponieważ ludzie z kłopotami psychicznymi wykazują pewną nadreprezentację emocji w mimice. Ich twarze mówią dużo i bez przerwy, jakby niedowład komunikacji słownej, te wszystkie bełkoty, wybuchy i zacięte stupory znajdowały rekompensatę w postaci intensywnej pracy oczu, ust i policzków. Na ich twarzach można świetnie uczyć się wyczuwania fałszu w reakcjach, ponieważ wariaci nieustannie usiłują być kimś innym. Ich niezgoda na siebie produkuje wciąż nowe maski i przebrania, a spod nich wyziera biedny, nieszczęśliwy, zagubiony człowiek.

– To dom przedsiębiorców, normalnej rodziny – odparła chłodno. – O pieniądzach i dzieciach mówiło się niemal bez przerwy.

– Nie chodzi o was. Twój synowie piszą po hebrajsku. Ewo, chodzi o żydowskie złoto i dzieci. Nie udawaj, że nie zrozumiałaś. Chcesz konkretów, dobrze, proszę bardzo, tylko zapnij pasy. Twój synowie zniknęli w następstwie klątwy cięższej na ich przodkach. Gdzieś tam, w otchłaniach tej cholernej okupacji doszło do transakcji, w której w zamian za olbrzymią zapłatę paru tutejszych cwaniaków zobowiązało się uratować grupkę żydowskich dzieci. Nie wywiązali się z umowy.

Skarb zgarnęli, a dzieci znikły, nie ma po nich śladu. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, błędzę po omacku wśród duchów i grobów z piętnem wariata na czole, ale wbrew pozorom to nie jest tylko mój problem. Dobrze o tym wiesz, lustro w łazience codziennie ci o tym przypomina. Dwukrotnie, dziesięć i pięć lat temu, dobrze poinform-

mowani następcy tamtych niegodziwców ruszyli zakopane części skarbu i wywołali upiory spod ziemi. Zginęło już trochę ludzi i będą ginąć następni, jeśli tego nie zakończymy. Dlatego potrzebuję twojej pomocy, Ewo. Muszę wiedzieć, co się stało i gdzie. Musimy tam pójść wszyscy i dokończyć pracę, bo tamci jej nie wykonali. Nie obchodzi mnie, jak to brzmi, jestem wariatem. Ale musimy, rozumiesz? Trzeba tam pójść, odnaleźć te dzieci, przenieść na cmentarz żydowski i pochować jak należy. Dopiero wtedy – pokazałem palcem na górę – to się skończy.

Wstała, wyszła do kuchni, wyjęła z lodówki butelkę wódki i wyciągnęła w moją stronę.

– Chcesz?

Pokręciłem głową, więc nalała sobie sporą dawkę do szklanki, uzupełniła sokiem i pociągnęła długi łyk. Wróciła do fotela.

– Nic dziwnego, że zamknęli cię w szpitalu – stwierdziła z satysfakcją. – Mówiąc ogólnie: trudno się tego słucha. Ale masz we mnie wdzięczną słuchaczkę, ponieważ moje zrujnowane życie świetnie nadaje się do zilustrowania tej fantastycznej historii. Wiesz, że mogą cię za nią rozerwać na strzępy? W tym mieście nie brakuje stróżów pamięci w zupełnie innym sensie niż twój. Dobrze, powiedzmy, że ci uwierzę, jeśli przedstawisz mi jeden konkretny. Cokolwiek. Czego szukamy?

Tu mnie miała. Optymistycznie zakładałem, że kolejność będzie odwrotna: najpierw pójdziemy poszukać dowodów albo jakichkolwiek przekonujących poszlak, a dopiero potem uznam je za argument.

Musiałem szybko coś wymyślić. Jak to było w tych opowieściach kobiety i kierowcy? Dwa światła, pomiędzy nimi Trzej Królowie z darami.

– Czy jeśli znajdziemy, pomożesz mi? Pójdiesz tam ze mną?

W jej oczach błysnęła iskierka przekory, coś jak nikły uśmiešek przemknęło po wydłużonej twarzy, usta rozwarły się i błysnęła nitka śliny.

– Może pójde, jak mi powiesz, co to ma wspólnego z moimi synami.

– Płacą za grzechy przodków.

Pokiwała głową, jakby naprawdę rozumiała. Nie wiem, może w tamtym momencie faktycznie zrozumiała.

– A co to ma wspólnego z tobą?

– To samo.

Zagryzła wargi. Czekałem spokojnie, aż przetworzy dane, kolejny raz. Czy ja naprawdę byłem o tyle przed innymi? Wreszcie mruknęła:

– Zgoda.

– To może być brązowa skórzana sakwa. Albo worek. Ewentualnie lampa.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Dobrze, chodźmy na strych – oświadczyła w końcu. Dopięła drinka jednym haustem i wstała, obciągając spódnicę na wciąż rewelacyjnych biodrach.

– Dziękuję. Jeśli mogę coś sugerować, zacząłbym od piwnicy, na lewo od schodów. Jest tam światło?

– Dlaczego pytasz? – zdziwiła się. – Czasem jest, a czasem nie ma.

Trzy razy naprawiali, w końcu dali spokój.

– Potraktuj to jako dodatkową poszlakę w moim procesie dowodowym. I weź latarkę.

Schodziłem pierwszy. W korytarzu na prawo nadal stał zakurzony rower i nie mogłem sobie odmówić przyjemności poklepania go po siodełku. Trzymaj się, stary. Komórkę z kompotami podarowałem sobie, o niej wiedziałem już wszystko. Skręciłem w lewo. W kotłowni nic się nie zmieniło. Kocioł centralnego ogrzewania mruczał cicho, grzejąc wodę na łazienkowe kąpiele, po których zostawały napisy na zaparowanym lustrze i mokre ślady dziecięcych stóp na dębowym parkiecie. Stermata węgle przylegała do zakurzonej komody. Ponieważ nic innego w pomieszczeniu nie nadawało się na poszukiwania, zacząłem od nich. Szuflą przerzuciłem węgiel, ale nic nie znalazłem. Przejrzałem półki w komodzie – nie zawierały niczego oprócz paru starych gazet na podpałkę. Ze wzruszeniem rozpoznałem okładki „Przekroju” ze zdjęciami Plewińskiego i wielkie płachty „Trybuny Ludu”. Poza tym nic, kurz i pajęczyny. Poświeciłem latarką po ścianach. Ewa stała w progu z założonymi rękami.

– Nie chcesz poszukać po drugiej stronie? Może za słoikami...

– Nie – odparłem. Mały Kolanowski patrzył na mnie stąd. Jak już człowiek zdecydował się na szaleństwo, musi być konsekwentny.

Spróbowałem przesunąć komodę. Nawet nie drgnęła.

– Jest przykręcona do podłogi – wyjaśniła Ewa. – Żeby się nie przewróciła.

– Aha – przytaknąłem. – A co by się stało, gdyby się przewróciła?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Tak tylko powiedziałam.

– Pewnie wyleciałyby z niej gazety i zasuszone truchło pająka. Nie chodzi o komodę, tylko o to, co jest za nią.

W metalowych kołnierzach nóg tkwiły główki śrub piętnastek.

Gdzieś w korytarzu widziałem półkę z kluczami.

W drzwiach precyzyjnie się tuż obok Ewy, niemal ocierając się o jej piersi. Od zapachu perfum ścisnęło mnie w dołku. Nic z tych rzeczy, chłopie, powtarzałem sobie w myślach, podczas gdy moje spodnie pęczniały w kroku. W powietrzu oprócz jej perfum wisiało coś jeszcze, jakieś napięcie, które próbowało sterować naszym podnieceniem. Zaciśnąłem zęby.

Na półce z kluczami, rzucona zapewne tam przez przypadek, leżała sztychówka. Gdy szukałem piętnastki, zawadziłem dłonią o ząbkowane ostrze i syknąłem z bólu. Zlizalem kroplę krwi, zerkając na ostrze z niejasnym skojarzeniem, ale zgubiłem je na widok odpowiedniego klucza. W dodatku tuż obok znalazłem plastikową buteleczkę z olejem do maszyn. Polałem zardzewiałe śruby i czekałem. Ewa nadal stała w progu.

– Długo trzeba czekać? – spytała, wskazując na komodę. Oparła się o framugę i wysunęła jedną nogę do przodu, z łydką wymodelowaną jak Marilyn Monroe w gabinecie figur woskowych. Gdyby drzwi od pieca stały otworem, pomyślałbym, że to od ognia jej oczy błysnęły przez moment na czerwono.

– Kilka minut – odparłem i pokazałem na komórkę naprzeciwko. – W międzyczasie możemy napić się kompotu.

– Dawno już skwaśniały – stwierdziła z niechęcią i przykucnęła na progu. – Stoją i stoją. Nigdy nie miałam na nie ochoty.

– To wszystko plony z działki? – spytałem, żeby jakoś odwrócić swoją uwagę od cienia pod spódnicą. – Musieli nieźle się napracować.

– Teściowie? Mieli bzika na punkcie tej działki. Bez przerwy tam jeździli, a kiedy chłopcy podrosli, zabierali ich ze sobą i kazali bez końca zrywać maliny, porzeczki, wiśnie, śliwki i Bóg wie co jeszcze. W tym swoim domku spędzali całe godziny, nie wiem, co oni tam robili.

– To samo co wszyscy – podsunąłem, ale uwaga o domku obudziła moją czujność. Do jego ściany przygniótł ich samochód kierowany przez chłopców...

Nałożyłem klucz i spróbowałem pociągnąć. Nawet nie drgnął.

Dolałem jeszcze oleju.

– Może jednak pójdziemy na górę? – mruknęła jakby sennie. Głos nieznacznie się jej zmienił, zrobił się niższy i chrapliwy. Mogło tak działać podniecenie, ale nie byłem o tym wcale przekonany.

– Ewo... chyba nie.

– Masz kogoś? – spytała szorstko, jakbym ją obraził odmową. – Bo żony, zdaje się, już nie?

– Nie. To znaczy właściwie tak. Mam kogoś i wolałbym nie zaczynać...

– Szkoda – westchnęła. – Kiedyś nie byłeś taki... zdystansowany.

Wiem, że jestem stara i brzydka, ale zapewniam cię, mogę się jeszcze całkiem nieźle postarać.

Robiła się natarczywa. Zrezygnowaną i obojętną Ewę na chwilę zastąpiła tanta dawna, pełna temperamentu i ochoty na seks. Jakby zatęchłe powietrze piwnicy Kolanowskich wyciągnęło ją z lamusa i rzuciło przede mną jak kukłę. Z jej zaczerwienionych oczu wiedziałem, że to nie ona rozchyła kolana, ale jakieś kucające monstrum, które wlało w nią i usiłuje odciągnąć mnie od klucza i śrub. Zamknąłem oczy.

– Ewo, szukamy dowodu – wydyszałem z nabrzmiętym członkiem w nogawce spodni. – Dosyć.

– Jesteś idiotą! – krzyknęła ostro, a potem nagle zaśmiała się. – No tak, zapomniałam! Ty faktycznie jesteś nie tego...

Poklepała się palcami po skroni i wstała, obciągając spódnicę. Na jej twarzy pojawiły się oznaki zniecierpliwienia, złości, ale i cierpienia.

To były właściwie dwie twarze. Nie mogłem na nią patrzeć. Złapałem za klucz i szarpnąłem z całej siły.

Puściło. Śruba kręciła się z chrobotem, wreszcie wysunęła się całkiem z otworu. Dwie następne również wyszły bez większego problemu, ale ostatnia trzymała jak szalona. Po kilku szarpnięciach krawędzie się obrobiły i klucz bezradnie szlifował zardzewiały łebek w regularne koło. Zakląłem.

– Spróbuj tym – powiedziała, pochylając się nade mną z młotkiem i przecinakiem. – I... przepraszam.

– Nie musisz przepraszać. – Wziąłem narzędzia i pocałowałem ją w wierzch dłoni. – W tej historii każde z nas czasami zachowuje się nienormalnie. Bo ona taka jest. Nienormalna.

Pokiwała głową i odwróciła się, żebym nie widział jej łez.

Przyłożyłem ostrze przecinaka i uderzyłem. Wbiło się pod śrubę.

W każde z trzech walnięć włożyłem całą energię z okolic nogawki i wreszcie się udało – łebek odskoczył i komoda zachwiała się złowieszczo. Odskokczyłem. Mebel z hukiem runął na podłogę i odsłonił wnękę w ścianie. Poświeciłem do środka.

Zobaczyliśmy drewnianą kasetkę, podobną do tej, jaką znalazłem w kantorku Szpindla, tylko większą. Wyjąłem ją ostrożnie, postawiłem na podłodze i zdmuchnąłem kurz. Modliłem się w duchu, żeby nie skrywała żydowskiego złota. Wariaci mają inne skarby.

– O Boże! – jęknęła Ewa. – Nie miałam pojęcia, że tu coś takiego jest!

– Chcesz otworzyć? – spytałem i zrobiłem zachęcający gest.

Niepewnie przykucnęła przy mnie i położyła palce na uchwycie kasetki.

– Boję się – wyszeptała.

– Ja też. No dalej, odpalaj tę rakietę.

Pociągnęła za uchwyt, a ja pomogłem jej unieść wieko. Skrzypnęły zalepione brudem zawiasy, odsłaniając przed nami zawartość drogocennej skrzynki, kufra z tajemnicami rodziny Kolanowskich, ukrywanymi przez dziesięciolecia w obawie przed sprawiedliwym osądem przeszłości. W obawie przed prawdą.

Na wierzchu leżał zwinięty niemiecki pas wojskowy. Na klamrze widniała hitlerowska wrona z hakenkreuzem w pazurach oraz napisem: *Meine Ehre heißt Treue*. „Mój honor nazywa się wierność”. Obok leżała esesmańska czapka z wgniecionym środkiem i trupa czaszką na otoku.

Po wewnętrznej stronie widniała naszywka z napisem VON KNIEPRODE. Komplet uzupełniał zwinięty pod nimi w kłębek wełniany płaszcz w szarym kolorze.

– Kurczę blade – skomentowałem własne myśli. – Kto by pomyślał...

Blada jak płótno Ewa patrzyła na ubranie wybałuszonymi oczami.

– Myślisz, że oni... – wyjąkała – że oni byli... Niemcami?

Odłożyłem pas i czapkę na bok, wyjąłem płaszcz i dokładnie sprawdziłem kieszenie. Znalazłem jedynie płaską latarkę bakelitową firmy Zeiler z wyłupiastą soczewką i zapasową baterię, z której wypływała zielonkawa masa. Pod płaszczem ukryło się drugie zawiniątko, białe w czarne paski. Natychmiast rozpoznałem taśes.

Odwinąłem go i naszym oczom ukazała się kwadratowa lampa ze szklanymi ściankami i uchwytem do zawieszania. Brudna i okopcona, gdzieniegdzie oblepiały ją drobinki gliniastego błota. Do środka ktoś wcisnął kłęb brązowej materii. Wyjąłem skórzany worek z cienkimi rzemieniami do zawiązywania i odcisniętą na boku gwiazdą Dawida.

Pokazałem jedno i drugie Ewie.

– A może byli Żydami?

Nie odezwała się. Patrzyła jak zahipnotyzowana to na hitlerowski mundur, to na ży-

dowski tałes, to na lampę z resztkami świecy na dnie, to na skórzany worek. Jej dolna warga roztrzęsła się. Miała w oczach przerażenie człowieka latami żyjącego w nieświadomości, że jego dom stoi na bombie zegarowej. Ścisnąłem ją za ramię.

– Tylko mi tu nie płacz. I jak będzie?

– Z czym? – wyjąkała.

– Pomożesz mi?

Jeszcze nie wiedziała. Jeszcze błędziła oczami po własnym gnijącym dziedzictwie, które rozłożyłem przed nią jak handlarz starzyzną i namawiałem do transakcji. Właściwie to był dalszy ciąg tej samej transakcji, kolejne wcielenie tego samego, przy nieznacznie zmienionej scenografii, nowej stawce i innych nazwiskach kupców.

Istota kontraktu nie uległa zmianie. Interes jest interes.

Pękła. Przy takim natężeniu doznań musiała pęknąć i tylko modliłem się, żeby się nie załamała. Żeby ta jej kryształowa głowa nie zsunęła się z kolumny i nie rąbnęła z hukiem o podłogę. Rozpłakała się i wcisnęła mi w ramię mokrą twarz.

– Wojtek, czy to naprawdę jest to, co odebrało życie mnie i mojej rodzinie?

– Naprawdę.

Pogładziła tałes drżącą ręką. Uniosła lampę, powoli obróciła w obie strony, przyglądając się uważnie hebrajskim literom wygrawerowanym na wierzchołku, odstawiła ją i westchnęła:

– Pomogę.

Na widok człowieka w mundurze Abraham Zylbersztajn zamarł.

Tego nie było w umowie. Odruchowo rozłożył ręce jak kwoka skrzydła, żeby zasłonić stojące za nim dzieci. Rywka pociągnęła nosem. Przed nimi w bladym świetle zakurzonej żarówki stało pięciu mężczyzn, jeden z nich miał na sobie mundur SS. Abraham wodził oczami od jednego do drugiego i szukał w nich choćby cienia uczuć, na które tak bardzo liczył w swoich optymistycznych planach. Człowiek o owalnej i nieogolonej twarzy uśmiechał się, pokazując braki w uzębieniu. Ten drugi, chudy, próbował ukryć tożsamość pod nisko naciągniętym kaszkietem. To dobrze, pomyślał Abraham. Nie chce, bym go rozpoznał, to znaczy, że liczy się z moim przeżyciem. Ten w mundurze wyglądał na inteligenta.

Fryderyk Kublicki podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

– Nie bój się, mój drogi, to tylko maskarada. Poznaj pana Kolanowskiego...

– Von Knieprode! – zaprotestował człowiek w mundurze.

– Przepraszam, von Knieprode. Wprawdzie został Niemcem, ale to zapewne przejściowe. Zna świetnie niemiecki i będzie was eskortował do granicy Guberni. To znaczy dzieci, bo ty zostajesz, prawda? Chociaż zastanów się...

Objął Abrahama po przyjacielsku i pociągnął na środek, w kierunku wielkiej maszyny.

– No nie wiem. Macie paszporty? Mógłbym je zobaczyć?

Mężczyźni roześmiali się głośno, a ten gruby i nieogolony zawołał radośnie:

– Popatrzcie, Żydek nam nie ufa! Boi się. To po coś tu przyszedł, hę?

– Zamknij się, Łopatko! – warknął Kublicki. – Lepiej zawrzyj drzwi, bo nas tu jeszcze nakryją. Rżycie jak konie.

Gruby zwany Łopatką smarknął na podłogę i kaczym krokiem ruszył w stronę drzwi. Przechodząc obok, wyszczerzył do Abrahama dziurawe zęby. Za ich plecami szcęknęła żelazna sztaba. Byli zamknięci.

– Oczywiście, że mamy. Wróblík, podaj panu Zylbersztajnowi paszporty. A wy, dzieci, chodźcie tu do wujka Frycka i pokażcie, co tam dla niego macie. Bo macie coś,

prawda?

Chudy w kaszkiecie poszedł do rogu młyna i otworzył drewniane drzwiczki. Pstryknął włącznik i Abraham zobaczył skośny sufit schodzący w dół. Podziemia. Za gardło ścisnęły go najczarniejsze podejrzenia.

– Fryderyku, przysięgałeś... – wykrztusił słabo. Hrabia, który już szedł ku dzieciom, zatrzymał się.

– Co powiedziałaś?

– One są niewinne... przysięgałeś, że... że je wyprowadzisz...
z Oszpicyna... na wolność...

Kublicki zrobił w jego kierunku dwa kroki, rozłożył ręce i pokazał na sklepienie dachu młyna.

– Przecież wyprowadziłem – powiedział z uśmiechem. – To już nie jest miasto. A wolność, hmm... – potarł brodę, namyślając się nad znaczeniem tego słowa – ...wkrótce przyjdzie. Zaraz je uwolnimy.

Spodobało mu się, ponieważ uśmiechnął się i odwrócił w stronę dzieci.

– No, maluchy! Dostyc tej smarkaterii. Oddajcie wujkowi zabawki.

W tym momencie Abraham poczuł mocne pchnięcie i zatoczył się, tracąc równowagę. W szamotaniu płaszcz owinął mu się wokół nóg i Abraham omal nie upadł. Podbiegł ten w mundurze i obaj z grubym schwycili go mocno za ramiona, wykręcając ręce do tyłu. Powlekli po betonie jak więźnia do lochu. Nagle rozbłysła w nim czarna otchłań. To koniec. Zdrada. Nie ma ludzi. Nie ma Boga.

– Uciekajcie... – wychrypiał słabym głosem. Ci dwaj wzmocnili uścisk, zatrzeszczały ścięgna w nadwyreżonych stawach. Syknął z bólu.

Koniec. Koniec. Miał jeszcze sekundę, najwyżej dwie. Wciągnął powietrze w płuca, naprężył się i wrzasnął na całe gardło w jidysz:

– *Weglojfn!* Uciek...

Mocny kopniak wepchnął go w piwniczny otwór. Uderzył czołem w pochyły sufit i poleciał w dół. Ostatnie, co usłyszał, to stuknięcie drewna o ścianę i miał nadzieję, że to była okiennica. Ta od okna przy drzwiach. Uchylona...

Potem już tylko ciemność.

Skąd to wiem? Nie wiem. Snuję opowieść z okruchów i strzępów po tamtej rzeczywistości. A kiedy i ich nawet brak, wróżę z kształtu dymu i smug zielonej zorzy nad miastem. Czy to takie ważne, co się faktycznie wydarzyło, a co tylko mogło wydarzyć? Ktoś powie, że potrzebna jest dokładność. Zgoda. Właśnie to robię. Usiłuję jak najdokładniej przedstawić wydarzenia, po których nie zostało nic prócz paru imion i niewyraźnych twarzy na szarych fotografiach. Do tego fragmenty munduru, lampa, skórzany worek i pluszowy miś z rozciętym brzuchem. W obliczu powszechnego milczenia świadków słucham mowy rzeczy. Patetyczne? Pewnie. Mogło być całkiem inaczej? Pewnie.

No nie całkiem. Jest jeszcze mowa genów, a także symptomy obsesji maniakalno-depresyjnej. I tamten telefon.

– Słuchaj, Wojtek, mam wreszcie ten numer. Podyktować ci?

Po drugiej stronie zaszurały papiery na biurku podkomisarza Węgrzyna, a mnie złapał nagły strach. Teraz? Już? A co, jeśli po usłyszeniu nazwiska trzaśnie słuchawką i całe moje czekanie diabli wezmą? Nagle przeraziłem się możliwości negatywnego zweryfikowania ostatnich dziesięciu lat, czyli większości mojego dorosłego życia. Dla innych ta weryfikacja nastąpiła już dawno. Przesiedziałem pięć lat w zakładzie psychiatrycznym, żona mnie opuściła, matka wreszcie przestała się odzywać, a tych kilku znajomych widziało we mnie tylko niepewnego odchyleńca, kogoś, z kim można chwilę pogadać, ale nie za długo, żeby przypadkiem nie zarazić się jego obsesjami. Ja jeszcze się łudziłem. W dodatku czułem bliskość celu. Cała akcja zmierzała już do finału i nie na rękę było mi demolowanie misternie tkanej latami konstrukcji tylko dlatego, że jakiś stary Żyd z Izraela, którego geny całkiem przypadkowo odziedziczyłem, powie, że to nieprawda. Przecież mundur, lampa, rozpruty miś...

– Dawaj.

– No to pisz: Daniel Zylbersztajn...

– Wiem, kurwa, że Daniel! Sam ci podałem!

– Co się tak denerwujesz? Chcesz ten numer czy nie?

– Przepraszam, dyktuj.

Powtórzył go dla pewności, powiedział, że mieszka w mieście Rechowot, życzył powodzenia i rozłączył się. Zagapiłem się na cyferki.

Podniosłem słuchawkę, odłożyłem ją i spojrzałem za okno na łąki. Przez mgłę z trudem przebijało się słońce, gęstniejące od pąków gałęzie również przesłaniały widok, ale działka Szpindla rysowała się wyraźnie w otoczeniu zabudowy. Pusty plac, gdzie sześćdziesiąt pięć lat temu grupka dzieci pozowała do zdjęcia przed wyruszeniem nad rzekę pod opieką dwóch dziewczyn w roli przedszkolank. Usiłowałem sobie umiejscowić je na prostokącie działki. Tu stała huśtawka, one z przodu po prawej, więc gdzieś obok tej zrudziałej kępy trawy... Był tam z nimi?

A co, jeśli ten mały pulchny psychiatra miał rację i jestem tylko odjechanym świrem układającym głupstwa z nabożnością odkrywcy?

Głowa, która zapomniała już, co to są migreny, zaczęła pulsować tępym bólem. Ścisnąłem skronie. No co, Jaromin, chcesz się dowiedzieć czy nie? Nie musisz dzwonić. Jedź do Podborza i się przekonaj. Nie musisz dzwonić. Chyba że chcesz. Więc jak będzie?

Podniosłem słuchawkę po raz drugi i wybrałem numer. Na łączach rozległy się rytmiczne stuki, cak-cak-cak. Kosmos jest rytmiczny.

Zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się, jak mój sygnał leci przez Europę Środkową, mija Rumunię, Bułgarię, przecina Bosfor i Anatolię, przelatuje nad morzem, zahaczając o Cypr, i wreszcie ląduje w mieście Rechowot. Wyobrażałem je sobie jako spalone słońcem skupisko białych kwadratowych domków. Przestało stukać i zaczęły się przeciągłe brzęczenia. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

– *Allo?*

Poprosiłem po angielsku o pana Daniela Zylbersztajna i dodałem, że dzwonię z Polski. Na moment zapadła cisza.

– Jak się pan nazywa? – spytał twardą angielszczyzną.

– Wojciech Jaromin. Moja matka i pan... studiowaliście razem i...

Powinien pan ją pamiętać... Drobną blondynką, z niebieskimi oczami i trochę odstającymi uszami...

– Nie pamiętam – odparł zimno.

– Na pewno pan pamięta. Przez jakiś czas byliście... Myślę... – Wkurzyło mnie to stękanie po angielsku, więc wypaliłem po polsku: – Myślę, że pan jest moim ojcem.

Tym razem cisza zapadła na dłużej, a ja usiłowałem wyobrazić sobie siedzącego w fotelu i marszczącego brwi mocno szpakowatego faceta z czarnymi oczami. Może wła-

śnie klnie po hebrajsku pod tym swoim wielkim żydowskim nosem i zastanawia się, jak zbyć cwane Polaczka, który kombinuje, żeby sobie załatwić kontakt za granicą.

Przyjedzie w odwiedzin, zażąda gościny i prezentów, a potem trzeba mu będzie jeszcze wyszukać dobrze płatną pracę. Przynależność do nacji bywa uciążliwa – stereotypy tną w tyłek jak moskity.

– Ona tak powiedziała? – spytał chrapliwą polszczyzną, z tym charakterystycznym bulgotem człowieka o zbyt dużych policzkach i obwisłej wardze.

– Nie całkiem. Powiedział mi o tym Henryk Hirsch z Oszpicyna.

– Henryk żyje?

– Nie. Zginął dziesięć lat temu podczas...

– Wiem, jak zginął – znowu mi przerwał. Pytał tylko po to, by mnie sprawdzić. Oni już nigdy nam nie zaufają. – Dlaczego do mnie dzwonisz?

Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę z tego, że przeszedł na „ty”.

Chciałem mu powiedzieć o swoim podobieństwie do Abrahama Zylbersztajna, o śledztwie w sprawie dzieci, o wszystkich przypuszczeniach, poszlakach i domysłach, o nieszczęśliwych wypadkach, morderstwach i katastrofie z poszukiwaniem skarbu, ale skronie załazała mi fala nagłego bólu. Skoro rozmawiał z Henrykiem, to o wszystkim wiedział! I nawet nie próbował mi pomóc, a teraz jeszcze udaje, że nie wie, po co dzwonię. Ogarnęła mnie złość.

– Dobrze wiesz – powiedziałem twardo. – Szukam ich od dziesięciu lat. Henryk na pewno o tym mówił. Nie udawaj. Dzwonił do ciebie, kiedy się pojawiłem, prawda? Jestem blisko, ale potrzebuję pomocy, informacji, potwierdzenia, czegokolwiek.

– Nie wiem, czy ci wierzę z tym ojcostwem – odparł oschle. – Spróbuj mnie przekonać.

– Nie będę cię przekonywał, mam to gdzieś. Wystarczy mi zdjęcie dziadka Abrahama. Nie o mnie tu chodzi, ale o nich. Muszę ich znaleźć.

Nie dawał za wygraną, był skłonny pertraktować do upadłego, jakbyśmy zawierali trudną transakcję. Jeszcze jedną cholerną transakcją w całej tej mrocznej i potrzaskanej sprawie.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

– Ponieważ robię to, co należało do ciebie.

Poruszył się w fotelu, słyszałem skrzypnięcie pleców o skórzane oparcie. Pewnie założył nogę na nogę, dla większego dystansu.

– Jesteś trochę bezczelny, młody człowieku – stwierdził sucho. – Nie mam nic do powiedzenia. Chcesz szukać, to szukaj, mnie zostaw w spokoju. Niczego nie pamiętam. Do widzenia. Pozdrów matkę. I nie dzwoń do mnie więcej.

Najpierw powiedział, że nie ma nic do powiedzenia, a dopiero później, że nie pamięta. Kłamał, bo chciał spokoju. Nagle mnie olśniło.

Zrozumiałem jeszcze jeden powód, przez który cała ta historia spadła właśnie na mnie. Po pierwsze, przez całe życie pracował nad tym, żeby nie pamiętać, i bliskim też zabronił. Po drugie, gdy w tradycyjnych żydowskich domach dzwoni telefon, to podchodzi żona albo dorosłe dziecko i prosi ojca do słuchawki, jeśli uzna to za stosowne. On odebrał natychmiast. Mieszkał sam. Nie miał już dokąd uciekać, a nie chciał wracać. Samotny, opuszczony Żyd z Polski.

– Zrób to przez wzgląd na pamięć twoich zmarłych dzieci! – krzyknąłem. – To ostatnia rzecz, jaką możesz dla nich zrobić! Dla mojego rodzeństwa.

Myślałem, że trzaśnie słuchawką, ale zamiast tego usłyszałem szybki chrapliwy oddech. Nie odłożył telefonu, tylko dyszał jak ranny zwierzę. Przez myśl przemknęło mi, że i jego właśnie rozboleła głowa.

Cierpisz na migreny, tato? No to się dogadamy.

– Skąd wiesz, że moje dzieci nie żyją? – spytał głosem z dna studni.

– Nieżyjące dzieci to moja specjalność – odparłem zimno. – Muszę znaleźć tamtą szóstkę, rozumiesz? Muszę! To jedyne cholerne dziedzictwo, jakie dostałem w spadku po tobie i po dziadku Abrahamie.

Niosę je wbrew sobie, ale się nie wyrzekam jak ty. Docień to.

Milczał. Byłem pewien, że teraz gryzie mięsistą wargę i trze palcem wielkie ucho, z którego sterczą pojedyncze skręcone włoski.

Z jakichś powodów obraz ten sprawił mi satysfakcję. Dałem mu jeszcze parę sekund na przemyślenie tego, co usłyszał, ponieważ od pewnego czasu moi rozmówcy tego potrzebują. Ja gadam, a oni potem muszą to przemyśleć. Czyżbym aż tak wybiegał na przód? A potem spytałem:

– Czy to wydarzyło się w starym młynie?

Cisza. Odczekałem jeszcze chwilę i ciągnąłem swoje śledztwo. Nie miałem już nic do stracenia. Poza ojcem, ha, ha.

– Czy to hrabia Kublicki na was czekał? Czy to on miał was odebrać?

Cisza. Przyciskałem słuchawkę do uszu, żeby nie uronić ani jednego dźwięku. Dyszał. Powtórzyłem powoli i dokładnie, żeby nie udawał przed sobą, że nie dosłyszał.

– Czy hrabia Fryderyk Kublicki wziął złoto za przechowanie sześciorga żydowskich dzieci, a potem je zabił? A ty? Jak ocalałeś? Kto cię uratował?

Cisza. Oddech zrobił się jeszcze głośniejszy, przez moment bałem się, że zasłabnie i skończy się zabawa. Chrząknął. Był tam cały czas.

Stary i opuszczony Daniel Zylbersztajn, który przez całe życie próbował zapomnieć o małym chudym Danielu Zylbersztajnie przyprowadzonym do młyna przez własnego ojca na ocalenie. To znaczy, że przez całe życie nie potrafił zrozumieć, po co ocalał. Powinienem mu przypomnieć.

– Chaim Kupperman, lampa; Josele i Natan Krugerowie, worki ze złotem – wyliczałem bezlitośnie. – Dawid Liebermann, trzeci worek; Lora Blichstein, lampa; Rywka Lejbowitz, pluszowy miś z zaszytymi w środku rolkami; Daniel Zylbersztajn... co niósł mały Daniel?

Dziesięć sekund przerwy i dalszy ciąg śledztwa.

– Dmuchałą żabę? Mały Daniel niósł dmuchałą żabę Rywki?

Na łąkach mgła się roziała i otworzył się rozległy widok na rudziejącą równinę zamkniętą od południa osiedlem bloków, a nieco na wschód groblą wielkiego stawu. Leciał znad niego klucz dzikich kaczek.

Po działce Szpindla szwendał się mały kundelek. Podszedł do słupka przy bramie, podniósł łapę i się wysikał. Pokiwałem z uznaniem głową.

– Żabę niosła Rywka – wychrypiał wreszcie głos po drugiej stronie. Opadłem na oparcie krzesła i zamknąłem oczy. – Całą drogę marudziła, że to jej zabawka, więc *tate* wziął kółko i przewiesił jej przez ramię. Ja nie miałem nic. Dlatego uciekłem.

– Powiedz mi, czy... oni tam leżą?

– Nie wiem – warknął nieprzyjemnie. – Uciekłem. Uciekam.

– A co się stało z dziadkiem...

– Dosyć – znów mi przerwał. – Zadzwoń jutro.

Zanim zdążyłem zareagować, w słuchawce rozległ się szybki urywany sygnał. Uśmiechnąłem się do siebie. Świetnie. Bingo. Jaromin, jeden zero dla ciebie. A pan psychiatra niech się wali.

Daniel Zylbersztajn będzie miał czas na uporządkowanie wspomnień. Niewykluczone, że mu to wyjdzie na dobre. Porządki w przeszłości to jak porządki w starym biurku na poddaszu. Człowiek znajduje fajne rzeczy o sobie.

Na widok ojca wleczonego pod pachy przez dwóch mężczyzn mały Daniel pomyślał, że tak się nie chodzi i dlaczego ci panowie nie postawią tatusia na podłodze, by mógł iść sam. Myślał też o czarnym chłopcu, który siedział w krzakach pod drzewem, tam na grobli, niedaleko ogniska, i machał do niego ręką. Chodź, chodź. A potem pokazał palcem na wieś i pokręcił głową. Kiedy później maszerowali pod górę i w ciemności zamajaczyła bryła starego młyna, mały Daniel domyślił się, o co chodziło tamtemu chłopcu, więc kiedy usłyszał krzyk taty *weglojfn!*, był przygotowany. Skoczył i jednym sussem przesadził okno, chwytając się uchylonej okiennicy. Wrzaski za plecami tylko dodawały mu sił. Biegł na oślep przez noc, po swoich śladach, czując jeszcze w powietrzu resztki tamtego ciepła i zapachu ojcowego palta.

Starał się nie myśleć o krzyku ojca, o tupocie ciężkich nóg tuż za sobą, o niczym. Czuł, że wszystko zależy od tego, jak szybko pobiegnie. To coś za nim dudniło, charczało i bulgotało niewyraźnie, wcale nie jak gruby chłop z młyna, tylko jak dzikie zwierzę. Albo potwór.

Minął wierzby, potknął się i runął do płytkiego rowu, ale natychmiast poderwał się i pobiegł dalej. Tamto zwolniło, ryknęło jakieś straszne słowo po polsku i pomachało latarką. On biegł dalej, przeciął drogę i pędził w kierunku zagajnika. Minął drzewo, pod którym palili ognisko, wpadł do przykopy i zachłysnął się zimną wodą. Zakaszłał, poczuł w ustach ziemisty smak, wypluł wodę i kawałek jakiejś rośliny.

Wbił ręce w przeciwległy brzeg i zaczął drapać glinę, ale okazała się zbyt twarda i śliska. Nie dał rady. Osunął się. Przepłynął kilka metrów i spróbował jeszcze raz. Przykopa była głęboka i wartka jak strumień.

Potężny dreszcz oderwał mu palce od stromizny i chłopiec zaczął się zsuwać pod wodę.

Nagle poczuł czyjś uścisk na nadgarstku. I usłyszał szept:

– Wyaż.

Ktoś ciągnął go na drugą stronę, tam, gdzie nie mógł wyleźć.

– Chośstu.

Udało się. Wdrapał się na łąkę. Pobiegli razem, a kiedy się potykał, bo już nie miał

sił, ten drugi ciągnął go za rękę i szeptał „chośś, chośś”.

Wreszcie dopadli zagajnika, wniknęli w gąszcz i ostatnie, co mały Daniel widział przed zniknięciem pod ziemią na długie tygodnie, to ledwie widoczny brzask wstającego dnia daleko na wschodzie, nad linią lasu.

Chłopiec był Cyganem. Rozgarnął wiszar z paproci i wciągnął go w dziuplę między korzeniami. Wąskim korytarzem przeczołgali się do jamy i tam Daniel całkiem stracił siły. Opadł na legowisko z suchych traw i natychmiast zacisnął oczy. Chciał zasnąć. Zapomnieć i zasnąć.

Chłopiec nakrył go czymś ciężkim i miękkim jak kołdra i delikatnie pogłaskał po mokrych włosach. Kiedy mały Zylbersztajn się obudził, nie pamiętał już fikających do piwnicy nóg ojca ani przerażonej gromadki dzieci, tylko czuł zimno i dreszcze.

– Długo tam się ukrywałeś? – spytałem ostrożnie, kiedy przerwał opowieść.

– Nie pamiętam dokładnie – odparł natychmiast. – Wiesz, Maldor był trochę... jak to się mówi po polsku... upośledzony umysłowo. Nie rozumiałem go, bo okropnie seplenił, ale i gadał od rzeczy. Pokazywał na drzewo i mówił, że ptaszki mają wielki spór o gniazda. „Wielki spól, wielki spól”, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Ale to później, kiedy już mnie wyprowadził na słońce. Musiałem leżeć kilka tygodni, bo jak wyszedłem, zaczęło się lato, pamiętam ciepło i suchy wiatr. Ten chłopiec karmił mnie, głaskał po głowie i powtarzał: „Musiśiś, musiśiś”. Że niby muszę żyć. Nie wiem dlaczego on.

– Spotkałem go – powiedziałem do słuchawki, ciekaw reakcji po drugiej stronie.

– Naprawdę? – zdziwił się, ale jakoś tak twardo, jakby wcale go to nie zachwyciło.
– Żyje?

– Ostatni raz widziałem go pięć lat temu na strychu starego młyna.

Pilnował, żebym nie przegapił wejścia golema do akcji.

– Kogo?

– Golema – powtórzyłem. – Człowieka wielkiego na piętnaście metrów, który szedł przez łąki, a potem rozwalił groblę i zalał ludzi w wykopie.

Zapadła moja ulubiona cisza, kiedy rozmówca zastanawia się, czy robię sobie z niego jaja, czy mi para walnęła w dekiel. Bardzo przydatny moment, zyskuję wtedy przewagę psychiczną.

– Dobrze się czujesz? – spytał tym razem ostrożnie Daniel Zylbersztajn.

– Po pięciu latach w szpitalu psychiatrycznym świetnie. Maldor chyba też. W każdym razie dogadujemy się.

– Chcesz powiedzieć, że masz... miałeś kłopoty psychiczne?

– Ależ skąd! – wykrzyknąłem niemal entuzjastycznie. – Po prostu musiałem jakoś rozsądnie wybrnąć z tego, że rozmawiam z duchami zaginionych dzieci, zieloną zorzą oraz wagonami towarowymi na dworcu w Oszpicynie.

– One nie zagięły, tylko zginęły.

– Mam na myśli inne dzieci. Zagięły dziesięć lat temu, zagrzebane w ziemi przez twoich kolegów: Chaimka Kuppermana, Lorę Blichstein...

– Przestań! – W jego krzyku znowu był tamten strach. – To jakaś bzdura! Z tobą, synu, jest coś nie tak.

– No proszę, jednak „synu”. Dziękuję, ojczu. Ze mną jest dokładnie tak samo nie tak jak z tobą. Różnica polega na tym, że ja próbuję coś zrobić, w przeciwieństwie do państwa Zylbersztajnow z miasta Rechowot, którzy na wyraźny zakaz pana domu...

– Przestań! Nie wolno ci tak mówić! Nie zapomniałem! Bardzo chciałem, ale to nie takie łatwe.

– Gdzie oni są?! – krzyknąłem i natychmiast zasłoniłem dłonią usta. Siedziałem w gabinecie Węgrzyna na Jagiellońskiej, gdzie łaskawie udostępniono mi telefon służbowy, żebym nie zbankrutował z powodu rachunku za połączenie międzynarodowe. Trwało już z pół godziny.

– Nie wiem! – odkrzyknął równie głośno i pewnie też zasłonił usta dłonią.

– To się namyśl! Musisz coś pamiętać! Po to żyjesz!

– Gównu prawda!

– Powiedz to Maldorowi – odparłem ciszej. – Albo lepiej sam mu powiem. Z pozdrowieniami od ciebie. Tatusiu!

– Dostyc tego! Jesteś kompletnym wariatem!

– Ty też! Gdzie?! Wysil się!

– Nic nie widziałem!

– Musiałeś coś widzieć! Cokolwiek!

– Nie! Nic! Tylko kupę ziemi pod murem!

Opadłem na oparcie biurowego fotela z takim impetem, że coś w nim trzasnęło. Szybko się wyprostowałem.

– Co powiedziałaś? – spytałem całkiem cicho.

– Pamiętam górę ziemi pod ścianą tego budynku, starego młyna.

Musiałem ją obieć, żeby wydostać się do parku i dalej na łąki. Ciemna kupa, tuż przy murze.

– Gdzie dokładnie?

– Od strony parku. Świeżo wykopana, bo się pośliznąłem na mokrej glinie.

– Skąd wiesz, że to była glina?

– Miałem ją potem długo na butach.

– Przecież po drodze wpadłeś do wody.

Stary Daniel Zylbersztajn, niegdyś mały przerażony Daniel Zylbersztajn, westchnął ciężko jak człowiek inteligentny, który nie może wytłumaczyć prostej rzeczy imbecylovi.

– Synu, jesteś miastowym dziennikarzyną i nie znasz się na minerałach. Ta była z dziury głębokiej na kilka metrów, bardzo zbita.

Jak się przyklei, to nawet szczotką trudno zdrapać.

Faktycznie, przypomniałem sobie wykop pod groblą i ciemną czerwień gliny, zasychającą na butach w kamień.

– Nie nazywaj mnie dziennikarzyną. To wszystko?

Milczał, a ja czekałem, aż tam, po drugiej stronie, rzeczy poukładają mu się jak należy. Zastanawiałem się, jak pomóc.

– Woda...? – podrzuciłem na zachętę.

– Wpadłem do wody. Mówiłem już.

– Ale bliżej, pod młynem.

Przyszło mi do głowy, że prościej byłoby ściągnąć tego człowieka do Oszpicyna, wsadzić w samochód i przywieźć do Podborza, a następnie postawić na placu po młynie i posłuchać, co mówi. Czasami miejsca przemawiają za nas.

– Czekaj, pamiętam coś z tą wodą. Gdy szliśmy łąkami, tata mówił o podziemnej rzece płynącej od młyna aż tutaj. Pod te wierzby. I że Niemcy budują kanał, żeby doprowadzić... o, wiem, Młynówkę! Tak się nazywała ta rzeczka. Żeby ją doprowadzić do Sowy. Dlatego młyn już nie działał.

Aha, podziemna rzeka i tunel. Głęboki wykop pod rury, nikt nie znajdzie. Serce zaczęło mi bić mocniej. Czuję się jak szalony wynalazca, który latami upierał się przy swoim wynalazku, a teraz wreszcie miał w ręku wynik eksperymentu. Pozytywny. Od strony parku...

– Jesteś pewien, że od parku?

– Tak.

Chciałem pytać dalej, ale zawahałem się. Już mówił, że pamięta tylko, jak uciekł, leżał w jamie pod opieką cygańskiego chłopca, a potem dopiero punkt Czerwonego Krzyża, dokąd ktoś go przyprowadził, ale nie wiedział kto. W środku dziura na prawie cztery lata. Pamięć ludzka to też dziwny twór. Żyje własnym życiem i sprytnie udaje, że jest tobą.

Nie wiedziałem, jak mu podziękować. Powinien był mi powiedzieć od razu. W końcu powiedział. Bał się. Nie chciał pamiętać. A jednak...

– Może byś kiedyś nas odwiedził... tato – zasugerowałem ostrożnie. Cisza.

– Wiesz – sapnął w końcu – poprzysiągłem sobie wtedy, że nigdy już tam nie wrócę. Niech tak zostanie. Ale może ty byś przyjechał do Rechowot? Pod warunkiem, że jesteś moim synem – dodał i zarechotał.

– Przyślę ci zdjęcie – obiecałem ze śmiechem. – Trzymaj się.

– Ty też. I uważaj.

Rozłączył się. Patrzyłem na słuchawkę jak na wyświetlacz, na którym zgasł obraz i zostały tylko blade powidoki. Jednym z nich była sterta ziemi i wbita w nią saperka. Dlaczego akurat saperka? Nie, nie ten kształt, poza tym brakuje ząbkowanego ostrza... Potarłem dłoń skaleczoną w piwnicy Ewy. Pomyślałem sobie, że z chęcią poleciałbym do Izraela i popatrzył w twarz tego człowieka, by zobaczyć, co się odbije w jego oczach. Nie muszę chyba dodawać, że nigdy do tego nie doszło.

Ta historia raczej nie obfituje w tego typu wątki.

Mariusz Węgrzyn chyba czekał pod drzwiami, bo wszedł niemal natychmiast, gdy tylko odłożyłem słuchawkę.

– I co? I co? – dopytywał się. – Masz coś?

– O, bardzo dużo – pochwaliłem się. – Ale ci nie powiem, bo i tak mi nie uwierzysz. Żeby ci się jednak jakoś zwróciła ta inwestycja w telefon, dam ci podpowiedź – dodałem, bo właśnie kolejny element mojej łamigłówki wskoczył na swoje miejsce. – Potwór, który zjadł tego Wojnara pod wierzbą, też należał do Falangi i prawdopodobnie świetnie umie się posługiwać szwedzką sztychówką. Wiesz, taką, co ma na końcu szpada trójkątne zęby do przecinania darni.

– A rybi śluz? – spytał, gapiąc się na mnie zaskoczony.

– Nie wszystko naraz, chłopcze. Najpierw znajdź tę sztychówkę.

Nie ogarniał moich podpowiedzi.

– Takich rzeczy dowiedziałeś się w Izraelu?

– Nie, w Castoramie – odparłem i wyszedłem. Czekala mnie seria trudnych negocjacji.

– Chyba nie wyobraża pan sobie, że uwierzę w te bzdury.

Słowa Kazimierza Wróblika odbiły się echem od sufitu w salonie Kolanowskiej i zabręczały w szybach kredensu. Siedział na sofie i patrzył na mnie wyzywająco. Kobiety w milczeniu popatrywały to na niego, to na mnie. Paweł Kopec rysował coś w notesie, ale jego wzrok zdradzał zupełny brak zainteresowania dla tworzonych na kartce motywów. Z ruchów ręki wynikało, że są to po prostu abstrakcyjne esy-floresy. Grzesiek Wilk zwiesił splecione dłonie między kolanami i patrzył na blat ławy zastawionej filiżankami z kawą i talerzykami z ciastem.

– Może pan z nami pójść bez wiary – powiedziałem z pozornym spokojem, ponieważ w środku cały drżałem z napięcia. Wiele zależało teraz od efektu tej rozmowy. – Myślę, że udział symboliczny wystarczy.

Nie musi pan nic robić, ważne, żeby pan był z nami.

– Po co? – zdziwił się. – Pan masz żółte papiery z wariatkova, a reszta dała się nabrać. Ja taki głupi nie jestem.

– Kto mówi o głupocie? – zaproponowałem i wskazałem na pozostałą piątkę. – Ci ludzie przyszli tutaj, ponieważ dręczy ich to samo co pana i pańską żonę. Jeśli problem dotyczy wszystkich was, to już nie są bzdury. Oni chcą z tym coś zrobić. Pan nie?

– Na pewno nie chodzić po nocy z łopata pod pachą. Co ja grabarz żydowski jestem czy co? Baba głupia, dała się nabrać na te gadki, ale mnie, starego wróbla, na plewy nie weźmiecie.

Paweł Kopec parsknął w odpowiedzi na ten niezamierzony kalambur, a pan Wróplik zaperzył się jeszcze bardziej.

– Co wy myślicie, że ja nie wiem, po co idziecie? Złoto żydowskie wam się śni, a nie tam jakieś duchy! Ja się w takie brudy pakować nie chcę. A dzieciaka i tak nie odzyskam.

Chciałem mu powiedzieć, że jego córka świetnie sobie radzi w zaświatach, ale ugryzłem się w język. To tylko pogorszyłoby moją sytuację faceta z żółtymi papierami. W sukurs przyszedł mi Grzesiek Wilk.

– To bez sensu, co pan mówi. Gdyby nam chodziło o złoto, poszlibyśmy sami. Im

mniej do podziału, tym lepiej.

– No to idźcie! – zakonkludował Wróblak i poderwał się z animuszem, żeby wyjść. Powstrzymała go Ewa Kolanowska, kładąc mu rękę na ramieniu i uruchamiając jeden ze swoich cieplejszych uśmiechów.

– Proszę jeszcze zostać z nami – powiedziała miękko. – Każde z nas powie, co myśli, i wtedy zdecydujemy, dobrze?

Spojrzał na nią niepewnie, ale usiadł z powrotem. Obdarzył ją wdzięcznym spojrzeniem.

– Jezus Maria, takie nieszczęście! – jęknęła pani Szwaagrzykowa, żeby też coś powiedzieć.

– Wiem, że nie powinienem się odzywać jako pierwszy – zaczął Wilk, kiwając głową do podłogi. – Moja sytuacja jest... inna. – Zawahał się i dodał: – Znacznie lepsza, bo mój syn żyje, choć nie o takim życiu dla niego marzyliśmy. Nie rośnie, głowę ma słabą, ciągle choruje, mówiąc krótko: debil. Ale jak mi pozwolicie, to pójdę.

Jego dwumetrowe chude ciało znacznie wystawało poza fotel, co w połączeniu ze słowami o zahamowaniu wzrostu małego Dominika dawało efekt upiornie komiczny. W piłkę przestał już grać, stracił też sporo ze swojego dawnego humoru i miałem podstawy podejrzewać, że nie był to skutek wyłącznie dojrzałości ojca rodziny. Ten człowiek po prostu zapadł się w sobie i z rezygnacją przepędzał kolejne lata, dlatego na moją szaloną propozycję zareagował z zainteresowaniem. Nie pochodził stąd, przyjechał do Łozów z Kielecczyny, i początkowo nie dawał wiary moim opowieściom. Dopiero kiedy żona, rodowita sępnianka, zaczęła coś wspominać o dziadku, który zginął w czasie wojny w niewyjaśnionych okolicznościach, zaciekał się. Musieli sprawę oboje dogłębnie przedyskutować, ponieważ na spotkanie przyszedł i od razu zadeklarował gotowość wzięcia udziału. W czym tak naprawdę, to się miało dopiero okazać.

Basia Gawel jako jedyna nie zabrała dotychczas głosu. Ledwo ją namówiłem, ponieważ po zaginięciu syna i śmierci teścia opuścił ją mąż i żyła w ciężkiej depresji.

Mieszkała z matką, osiemdziesięcioletnią staruszką, i trudno było ocenić, kto tak naprawdę kim się tu bardziej opiekował. Klimat u nich przypominał

Zagładę domu Usherów. Za pierwszym razem trzasnęła mi drzwiami przed nosem. W końcu zamordowałem jej ojca. Przyszła, bo obiecałem opowieść o Łukaszku.

– Jaką opowieść? – spytała zmęczonym głosem, ale w jej oczach dostrzegłem błysk zainteresowania.

– Taką, która uwolni panią od niego.

– Skąd pan wie, że chcę się od niego uwolnić?

Miałem to przećwiczone w rozmowie z Danielem Zylbersztajnem.

Uśmiechnąłem się łagodnie, rozkładając ręce.

– Ponieważ jestem w tym mieście najlepszym specjalistą od zaginionych dzieci – wyjaśniłem.

– To może by pan go znalazł? – odparła. – Lepsze to niż nic.

– Właśnie znalazłem – powiedziałem z naciskiem. – Proszę przyjść.

Teraz międlila w rękach papierową serwetkę i co chwila drżącą dłonią sięgała po filiżankę, a ta przy odstawianiu za każdym razem głośno dzwoniła. Chyba nie bardzo nas słuchała. Przypuszczałem, że gdzieś tam w zakamarkach swojej świadomości ciągle rozmawia z synkiem. Może to on jej kazał przyjść. A może kto inny.

– Jak miałyby to wyglądać? – spytał rzeczowo Paweł Kopec, kiedy pan Wróblik już usiadł. Wyjąłem odręcznie narysowaną mapkę i rozłożyłem na stole, by pokazać wszystkim plan sytuacyjny i punkt startu.

– Jak się tam dostaniemy? – Grzesiek postukał długim palcem w krzyżyk. – Gdzie to w ogóle jest?

– Ogródki działkowe – wyjaśniłem. – Od Węgrzyna otrzymałem mapę cieków wodnych z zaznaczoną grubą żyłą podziemną. W czasie wojny Niemcy częściowo ją ocembrowali, żeby uregulować drobne dopływy Sowy. Tu jest ta mapa – wyciągnąłem drugi arkusz i rozłożyłem obok tamtego – a tu gdzieś powinno być wejście.

Dojdziemy nim aż pod młyn.

– Czemu nie wejdziemy po prostu od góry? – spytał pan Wróblik, który uległ reszcie i również pochylił się nad mapami. – Nie byłoby prościej?

– Teren jest otoczony parkanem i zamknięty. Gdybyśmy weszli tamtędy, ktoś niepowołany mógłby nas zauważyć i wezwać policję.

Patrzyłem mu w oczy z głębokim przekonaniem, licząc, że takie tłumaczenie wystarczy. Nie chciałem przed czasem zdradzać, że teren młyna jest w rękach kopaczy i spotkanie z nimi mogłoby mieć znacznie gorsze konsekwencje dla nas niż wezwanie policji. Tę niespodziankę zostawiłem na później.

– Przecież policja już i tak wie – nie dawał za wygraną Wróblik.

To dobrze, czuł się już członkiem grupy.

– Nie policja, tylko komisarz Węgrzyn. Zobowiązał się do dyskrecji. Jemu też zależy na powodzeniu naszej akcji.

Wróblík zrobił zdziwioną minę.

– Dlaczego w takim razie sam tego nie załatwi?

– Bo nie jest zbyt mocny w kontaktach z duchami – odparłem z uśmiechem.

– A pan jesteś?

– Oczywiście. Przecież mam żółte papiery.

Wróblík zagryzł wargi, a Paweł Kopeć gwałtownie zakaszał w zaciśniętą pięść. Kiedy wszyscy pochylali się nad moim rysunkiem, Grzesiek Wilk wziął do ręki drugą mapę i zaczął ją pilnie studiować.

Wreszcie postukał w nią palcem.

– Popatrz tu.

– Co to jest? – spytałem, patrząc na podwójną linię wijącą się od miasta, przez łąki, aż do krańca mapy na wschodzie, za Sępnią.

Wyglądała jak tor saneczkowy albo polna droga z długimi prostymi odcinkami i łagodnymi zakrętami.

– Kiedyś robiłem w wodociągach i jeden stary majster opowiadał mi o najbardziej idiotycznym pomysle wodnym czasów Gierka.

Stwierdzili, że Sowa ma za mało wody, żeby zaopatrzyć cały Śląsk, i postanowili zbudować rurociąg aż spod Wadowic. Wyobrażasz sobie?

Wymyślili, że przepompują część rzeki do innej rzeki. Czysty stalinizm!

– I co? – spytałem, wpatrując się w przebieg podwójnej linii. Szła tuż obok młyna i przecinała się z tamtym kanałem. Gdyby udało się tam wejść...

– I kiedyś wywaliło ten rurociąg. Zalało kilka wsi, pół Łozów znalazło się pod wodą, pamiętam to z dzieciństwa, bośmy w przykopie za stodołą kąpali się jak w rzece. Wysadziło zastawy i wszędzie pływały ryby. Potem zamknęli ten rurociąg. Zasypali go, ale tylko od tamtej strony. Podobno tu jest cały. – Popukał palcem w miejsce pod miastem.

– Myślisz, że by się dało...?

– Nie wiem, ale jakbyśmy chcieli wejść, to trzeba by od samej rzeki, gdzieś na Zasowiu. Może dojdziemy, jak nas szczury po drodze nie zeżrą.

– Nie ma szczurów, skończyły się! – wykrzyknęła z nagłym entuzjazmem pani Szwa-grzykowa. – Dawno już nie ma!

Wzniosłem oczy do góry, mając nadzieję, że Henryk gdzieś tam w swoim żydowskim niebie usłyszał ten radosny okrzyk.

– Były, to i wróćą – podsumował filozoficznie pan Wróblík i sięgnął po ciastko. Paweł Kopec postanowił ogarnąć sytuację.

– No dobrze, ale skupmy się na konkretach. Wchodzimy, założmy, że uda nam się dojść do podziemi młyna, i co dalej? Czego i gdzie mamy szukać?

Wyjąłem jeszcze jedną kartkę, tym razem z zarysowanym konturem nieistniejącego budynku, i cierpliwie wyjaśniałem swój pomysł punkt po punkcie. Liczyłem, że moja elokwencja ich przekona i nie zwróćą uwagi na cienkie druty tej konstrukcji. Kiwali głowami.

Odnosiłem wrażenie, że nie chcą ich widzieć, wszystkich tych ryzykownych przejść, jakby bez reszty ufali mojemu szaleństwu. Nie.

Sądzę, że ufali szansie pomocy zaginionym dzieciom. Ich dzieciom.

Tylko Wróblík chrząkał i mamrotał pod nosem, ale tak, żeby inni nie słyszeli. Kiedy skończyłem, Ewa spytała cicho:

– Kiedy chcemy to zrobić?

– W nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja – odparłem, składając mapy.

– Noc Walpurgii – mruknął Kopec.

– Noc żywych trupów – dorzucił wesoło Grzesiek Wilk, ale nikt się nie zaśmiał.

– Nasze wejście do Unii Europejskiej – dodała Ewa Kolanowska.

– Nasze wejście do grobu – palnął Wróblík, żeby też coś powiedzieć.

– Początek majówek dla Najświętszej Paniarki – oświadczyła głośno pani Szwagrzykowa i w ten sposób przelicytowała wszystkich. Ja nie miałem nic do dodania. To, co mogłem powiedzieć, zabrzmiałoby zbyt strasznie i zniweczyłoby cały plan. Pozostawało mi tylko pragnąć w głębi duszy, żeby z nich wszystkich najdalej od prawdy był Wróblík.

Kiedy zaczęli zbierać się do wyjścia i ścisnąłem wszystkim dłonie, dziękując za decyzję i zrozumienie, poprosiłem panią Szwagrzykową, by na chwilę została. O nią bałem się najbardziej.

– Naprawdę nie musi pani iść – powiedziałem, biorąc ją na stronę.

– A co, pójdę! – zaperzyła się. – Dla Monisi pójdę.

– To może być niebezpieczne. I nie da pani rady przejść tunelem.

Wystarczy, jak pani poczeka na nas przy wejściu.

– Dam radę – odparła stanowczo. – Nie ma co gadać. Sam pan mówił, że musimy wszyscy. Ja tak sobie myślałam, że jak nie pójdę, to ona tam, niebożę, nigdy nie będzie

miała spokoju. To jak mam nie iść?

Wyciągnęła chusteczkę i wytarła hałaśliwie nos, ocierając przy okazji wilgotne oczy. Objąłem ją ramieniem. Przed oczami stały mi tamte kobiety wtedy na obwodnicy, które w ulewnym deszczu, z zapaloną świecą pod parasolem, śpiewały litanie.

– Jest pani naprawdę wspaniała, pani Szwagrykowa. Niech pani założy płaskie, wygodne buty. I wie pani co? Przydałby się jakiś różaniec albo święty obrazek.

Uśmiechnęła się zza wymiętej chusteczki.

– Wszystko już przygotowane, panie Wojtku. Przecież pan wie, że czekałam na to dziesięć lat. Moja biedna Monisia! Biedny, głupi Maciej!

I biedny pan Piotr! – zaszlochała na koniec i od tej swojej prywatnej litanii całkiem się rozplakała. Objąłem ją mocniej i chciałem powiedzieć, że jest najdzielniejszą kobietą na świecie, ale zamilczałem. One i tak to wiedzą.

Dziesięć lat. Ja też czekałem. Nie miałem jednak poczucia, że jestem równie świetnie przygotowany jak pani Szwagrykowa.

Ciemność rzedła i jaśniała, aż stała się kłującą żółcią. Nie mógł rozewrzeć powiek, były sklezione bólem. Chłód. Połowa twarzy zdrętwiała i paliła zimnem. Czuł przyciśnięte ręce, skręconą szyję, którą bał się poruszyć, i drżącą strunę żaru w krzyżu. Poniżej nie miał niczego.

Ani bioder, ani nóg. Podciągnął łokcie pod siebie i spróbował się podnieść. Twarz drgnęła, ale nadal przywierała do lodowatej ziemi jak przymarznięta. Dlaczego szeol jest taki zimny?

Podrapał palcem. Goła ziemia. Mokra i zimna. Światło zgasło i rozległy się kroki po schodach. Wychodzi. Znowu ciemność.

Podciągnął wyżej łokcie i odkleił policzek od ziemi. Od karku przeszedł po rdzeniu kręgowym potworny impuls. Zrozumiał, że jest nie tylko połamany, ale i częściowo sparaliżowany. Otworzył oczy. Żadnej zmiany, ta sama ciemność. Położył głowę. Ból zelżał, chłód ziemi okazał się jednak lepszy od ognia pozrywanych nerwów.

Szum. Ziemia szepcze. Kołysze go prastarym językiem do wiecznego snu. Umieram, pomyślał Abraham Zylbersztajn i odetchnął z ulgą. Nareszcie koniec koszmaru, tylko sen. Spokój. Głuchy pomruk ziemi wezbrał, wydawało mu się, że odróżnia szelesty jak słowa.

Kaskady słów. Mój wieczny grób przemawia do mnie łagodnie i kojąco, uspokaja mnie: inaczej już nie będzie. Zawahał się. Nie, to kaskady wody. Pod jego zdrętwiałym policzkiem płynęła podziemna rzeka, szumiała i falowała z energetycznym naprężeniem. Młynówka. Przecież sam przed chwilą o niej opowiadał Danielowi. Była tuż pod nim, nadeszła mocnym przybojem, by zabrać go na drugą stronę. Styks.

Przeprawa łodzią. Tylko że na tę drugą stronę trzeba się jakoś dostać.

Nie, to nie koniec. Wciąż jestem po tej stronie. Daniel. Stał najbliżej okna. Może mu się udało. Boże, spraw, żeby mu się udało.

Ziemi, rzeko, ogniu – pomóżcie mu! Co z mojej przysięgi, jeśli obaj tu umrzemy?

Szum przybierał na sile. Ziemia drżała jak pod kołami pociągu, narastał huk zwałów wody. Abraham pomyślał, że nigdy jeszcze nie słyszał takiego łomotu rzeki pod ziemią, zupełnie jakby deszcz, co miał pójść na powierzchnię i użyźnić glebę, odmówił posłu-

szeństwa i zszedł do głębi. Zamiast życia śmierć. Daniel, uciekaj, słyszysz? Uciekaj!

Dokładnie jakby w odpowiedzi na jego zawołanie przez warczący szum rzeki przebiło się płaskie puknięcie. Nie! Szarpnął się na łokciach i zawył z bólu. Drugie puknięcie. Nieee! Trzecie. Z najwyższym trudem obrócił się na bok i przyłożył prawą dłoń do ucha. Wcisnął palce w małżowinę, żeby nie słyszeć, i stracił przytomność. Umarł. Zasnął.

Byle nie liczyć dalej.

Ale i to jeszcze nie był koniec. Kiedy się obudził, jego ciało zeszywniało całkiem jak u trupa. Wciśnięta w ucho dłoń nie chciała się wyprostować. Drugim słyszał nieustający huk wody pod sobą. Nawet jakby głośniejszy, bardziej otwarty i ostentacyjny. Kiedy wreszcie udało mu się oderwać dłoń od ucha, włożył ją pod siebie i przetoczył się na brzuch. Naciskając z całej siły ramieniem czarną ziemię, uniósł się kilka centymetrów i podpełznął do źródła hipnotycznego szumu. Znajdowało się blisko, gdzieś przed nim, zapraszało kojącym rytmem spienionego podziemia. Powtórzył cały manewr i znowu zyskał parę centymetrów.

Druga ręka, zachęcona sukcesem tamtej, włączyła się do akcji. Na dwóch zdołał się unieść nieco wyżej i tym razem zyskał dobre dwadzieścia centymetrów. Opadł ze zmęczenia, ale po chwili zebrał się znowu. Następne ćwierć metra. Szum zbliżał się jak wybawienie.

Wykonał jeszcze raz całą operację i wyrzucił ciało do przodu, wlokąc martwą połowę jak odwłok, byle bliżej kojącej wody.

Nagle na jego twarz buchnęła fala wilgoci. Dotarł do krawędzi.

Szumiało tuż przed nim, bystry nurt bulgotał jak niecierpliwy przewoźnik, który chce szybko załatwić sprawę i biec dalej, do następnych chętnych. Poczekaj jeszcze chwilę, Mistrzu, daj mi jeszcze minutę. Ile padło strzałów? Woda chlupnęła ze złością, policzki opryskała mu lodowata struga. Zacisnął zęby nad huczącą dziurą w ziemi. Sześć czy siedem? Ile ich przewiozłeś na drugą stronę? No ile?

Nagle błysnęło światło. Poderwał się na łokciach, ale paralizujący ból złapał go za kark i z powrotem przygiął ku wodzie. Szalała pod nim jak wściekła wiedźma, miotana wezbranym nurtem ściągającym posiłki z całej okolicy na ostateczną rozgrywkę. Jeszcze chwila i dygoczące fundamenty runą w tę oszalałą toń. Właściwie to chciał, żeby tak się stało.

Nie, jeszcze nie koniec. Promień latarki wbił mu się pod powieki.

– Wiedziałem – usłyszał znajomy głos. – To byłoby zbyt proste.

Prawda, Abramku?

– Nie używaj... słowa...

– Co tam mamroczesz? – Kublicki kucnął nad nim.

– ...prawda.

– Och, nie bądź taki pryncypialny. Już nie musisz. To koniec.

– Dlaczego... przysięgałeś...

– Ty też przysięgałeś, i co? Przysięgi to przeżytek, mój drogi. Nie nadają się na takie czasy jak nasze. Jesteś Żydem i wiesz lepiej ode mnie, że interes jest interes.

– Ile... strzałów?

Wysłuchał się w tę chwilę milczenia przed kłamstwem. Była o sekundę za długa.

– Siedem – powiedział głośno Fryderyk Kublicki. – Wszystkie siedem! – powtórzył i to Abrahamowi Zylbersztajnowi wystarczyło.

Z trudem obrócił się na plecy.

– Sześć – wychrypiał, wbijając śmiały wzrok w hrabiego.

Śmiech Kublickiego zabrzmiał tak samo nieszczerze jak wszystkie jego obietnice dotyczące złotego kontraktu.

Od zwykłych szmalcowników różniło go tylko to, że po arystokratycznemu wyrafinowany potrafił długo zwodzić ofiarę, nim ograbił ją z kosztowności, godności i życia.

Abraham rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu.

– Kłamiesz.

Tamten przestał się śmiać. Wydobył z kieszeni krótki nóż i przystawił mu go do szyi.

– Ty będziesz siódmy.

Koniec. Nareszcie. Uciekaj, Daniel, uciekaj. Ja przecież nie jestem krzywoprzysięcą. Uciekaj!

I wtedy przyszła wściekłość. Przeskoczyła na niego z huczącej wody jak iskra. Do był całą siłą z bezwładnej połowy i wtłoczył ją w ciągle sprawne ręce. Schwyciły w kleszcze goleń hrabiego, ten poderwał się do góry, szarpnął, nóż odleciał na bok. But drugiej nogi wylądował na twarzy Abrahama, ale on nie poczuł bólu, tylko pchnięcie.

Już nic nie bolało. Sześć. Na pewno było sześć.

– Żesz ty Żydk...

Drugie szarpnięcie przyniosło znacznie lepszy skutek. Kublicki ledwie stał na jednej nodze, podczas gdy druga jeszcze nie znalazła dobrego oparcia. Abraham objął ją ra-

mionami tak samo, jak Rywka Lejbowitz obejmowała swojego misia, nie miał już jednak sił, by pociągnąć. Odrzucił głowę do tyłu i czekał. Zwisał nad krawędzią wielkiej dziury i modlił się o pomoc przewoźnika. Pozwól mi go zabrać.

Błagam. Daj mi chociaż tyle. Jego jednego za wszystkie złamane przysięgi. No chodź, diable. Chodźże...

Jego prośby zostały wysłuchane. Kiedy hrabia dla odzyskania równowagi odsunął drugą nogę, płat ziemi tuż przed nim z pluskiem zwalił się do rozwścieczonego nurtu.

– Kurwa! – zakrzyknął hrabia nieswoim językiem, ale bezskutecznie. Ludzie z niewiadomych powodów lubią tym słowem żegnać świat.

Wyrwa powiększyła się na tyle, że mogła pochłonąć ich obu.

I zrobiła to. Abraham z lubością dociskał do piersi łydkę Kublickiego, kiedy obaj stoczyli się do podziemnej rzeki. Już nie puścił. Umarł, powtarzając: „sześć, sześć”.

– Saro, nie pójdziesz. Wybij to sobie z głowy. Tylko niepotrzebnie się narazisz. Wystarczy, że narażam ich i siebie. Ale oni są konieczni, a ty nie. Poza tym ktoś musi tu pozostać...

Zacisnęła usta i z uporem kręcąc głową, podsunęła mi pod nos kartkę z wielkim napisem: PÓJDE! Postanowiłem użyć jeszcze jednego argumentu, niezbyt uczciwego, ale mocnego.

– Posłuchaj, to wyprawa polska, a ty jesteś Żydówką. Twoja obecność może wszystko popsuć. A jesteśmy już tak blisko!

Sztywnym jak lufa pistoletu palcem postukała w moją pierś: ty też jesteś Żydem.

– Nie jestem. Zawieram w sobie jedynie pewne aspekty Żyda.

Zresztą ja muszę iść. To moja misja.

Wydeła wargi i odwróciła się obrażona do okna. Pogładziłem ją po włosach, ale pokazała mi faka.

– Saro, musisz tu zostać. Proszę cię. Im mniej ludzi pójdzie, tym lepiej. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, zaopiekuj się moimi rzeczami...

w razie czego. Nie wiem, czy wrócę.

Zadziałało. Popatrzyła chwilę na podwórze, którym ktoś przeszedł, a potem odwróciła się i objęła mnie mocno. Całowałem te jej zaciśnięte usta tak długo, aż ustąpiły. Przyłgnęła do mnie.

– Kocham cię – powiedziałem jej do ucha. – Wiem, że to beznadziejna miłość, ale nie chcę innej. Mam tylko ciebie. Zostań.

Nieznacznie skinęła brodą, a potem odsunęła się ode mnie, żebym widział ruch jej ust, i bezgłośnie powiedziała: „Będę czekać”.

Przyciągnąłem ją do siebie i znowu pocałowałem. Poszliśmy do sypialni i kochaliśmy się, jakby to był nasz ostatni raz. I wiecie co? To nie był ostatni raz.

Później zadzwonił telefon i po drugiej stronie usłyszałem podniecony głos Węgrzyzna.

– Słuchaj, miałeś rację! Zrobili dokładne analizy tych ugryzień i stwierdzili, że to

mogło być uderzenie łopaty z ostrymi końcami.

Dokładnie takiej jak te z Castoramy. Co za barany!

Nie wiedziałem, czy ostatnia uwaga odnosiła się do morderców, techników policyjnych czy może dostawców sztychówek do supermarketu budowlanego, ale pasowała do wszystkich.

– No widzisz, świat jednak daje się wytłumaczyć, jeśli ktoś bardzo chce. Pozostaje jeszcze problem rybiego śluzu.

– Sprawcy wyszli podziemnym tunelem i prawdopodobnie jeden z nich otarł się o jakieś świństwo, a potem zostawił je na korze drzewa – wyjaśniał Węgrzyn z wyraźnym zadowoleniem, że świat trzyma się kupy. – Badamy jeszcze te sprawy, ale takie wytłumaczenie wydaje się najbardziej logiczne. Tamci dwaj próbowali na własną rękę szukać skarbu na terenie kopaczy, więc dostali za swoje. Jednego ukatrupili, a drugiego puścili, żeby rozpowiedział o tym, co czeka takich amatorów w przyszłości. To zwykła banda. Słuchaj – zniżył głos, jakby dalsza część wywodu była tajna – w związku z tym mam propozycję. Te poszlaki wystarczą, by wejść na teren młyna i zgarnąć gości, a potem zabezpieczyć całość. Planujemy akcję na jutro. Nie musicie iść kanałami, możecie to zrobić od góry. Mniejszy kłopot, mniejsze ryzyko. Tylko poczekajcie, aż ich zgarniemy.

Miał rację. Po oczyszczeniu terenu mielibyśmy swobodę działania i nawet coś w rodzaju policyjnej ochrony. Tamtych zgarną, a my spokojnie przeszukamy miejsce, odkopimy starą niemiecką rozdzielnię prądu, pod którą prawdopodobnie spoczywają ciała dzieci, zbierzemy resztki i odstawimy na cmentarz, gdzie wezwany z Bielska-Białej rabin zorganizuje im prawdziwy żydowski pochówek. Wszystko będzie jak trzeba. Tamci zostaną przesłuchani, wytypują spomiędzy siebie jednego sprawcę, a reszta zostanie zwolniona do domu. Odczekają, aż sprawa przycichnie, i od nowa zabiorą się do grzebania w tej ziemi, aż ruszą następny grób i znowu się zaczną. Już wiedziałem, jak tatuś Nowicki robi popisową awanturę w komendzie, po czym z triumfem wyprowadza syna z aresztu i demonstracyjnie paraduje z nim przez centrum Oszpicyna.

Żeby wszystkie lokalne dupki, komuchy i żydofile widzieli, kto tu rządzi. Synuś będzie się uśmiechał tym swoim gładkolicym aryjskim uśmiechem i z dumą odstłoni na piersi tiszert z powstańczą kotwicą albo innym dmuchanym kondomem. Bohater. A jeszcze później nieznani sprawcy podłożą ogień pod synagogę Misznajot, gdzie mieści się muzeum Sary, a co jej samej zrobią, lepiej nie myśleć. Ja wtedy będę odsiadywał kolejny turnus w sympatycznym zakładzie na Podhalu i nawet jej nie pomogę...

– Nie – powiedziałem twardo. – To niemożliwe. Zaczekajcie jeden dzień.

Jak zwykle musiałem mu dać chwilę, aż przetrawi dane.

– Jesteś pewien? – spytał niechętnie. – Porywasz się na wielkie ryzyko.

– Od dziesięciu lat to robię. Poza tym – wydobyłem kolejny nieuczciwy, ale skuteczny argument – kopaczy może tam już nie być.

Wykopali swoje i się zmyli. Nie pojawiły się przypadkiem jakieś nowe ciekawostki u małopolskich złotników?

– Nie wiem, Wojtek – cedził powoli słowa rozsądny policjant – czy nadal chcę, żebyś mi pomagał. Jesteś trochę nieobliczalny. Mam sprawę w garści, chciałbym ją zakończyć. A w twoim głosie słyszeć coś...

bardzo nieciekawego.

– Może dlatego, że właśnie kochałem się z dziewczyną – odparłem.

– Przypominam, że tę sprawę masz w garści dzięki mnie. Odwdzięcz się.

Nawiasem mówiąc, nie wisi tam znowu kto na słupie? I co z tymi właścicielami amstafów?

– Kurwa mać! – zaklął brzydko pan podkomisarz.

– Mówisz to prywatnie czy służbowo? Bo jeśli służbowo, to musisz ją też aresztować.

– Kogo?

– No tę kurwę.

– Pieprz się, Jaromin, ty świrze. Mam jeszcze jedną wiadomość dla ciebie, ale w tej sytuacji nie wiem, czy ci powiedzieć. Poproś mnie.

– Proszę – zaskamlałem – powiedz mi. Chcę jedną piękną wiadomość.

– Otrzymaliśmy wreszcie odpowiedź od brazylijskiej policji.

W mieście Fortaleza rzeczywiście mieszkał człowiek o nazwisku Frederico Qublisio, który zmarł w roku 1977. Przyjechał wiosną czterdziestego piątego z Polski jako Fryderyk Kublicki. Znaleźli go dzięki temu, że podane przez nas nazwisko zapisali przez Q. W dodatku kazał się tytułować „grand”, co zostało uwiecznione na nagrobku. Niby wszystko się zgadza.

– Niby...?

– Pamiętasz, jak mi pokazywałeś tamto zdjęcie twojego dziadka z Kublickim na plantach nad Sową? Z Fortalezy przysłali nam fotografię Frederica Qublisia. Ludzie mogą się zmieniać z czasem, ale nie aż tak.

To nie ten facet.

– A nie mówiłem? – wykrzyknąłem, ponieważ to była naprawdę piękna wiadomość.
– Nazywaj mnie świrem, nie obrażę się. Ważne, że widzę dalej niż inni, ha, ha. Prześlesz mi to zdjęcie?

– Jasne.

– Dzięki, komisarzu Węgrzyn, jesteś wielki jak brazylijski grand.

– Pieprz się, Jaromin.

– I jeszcze jedno, Mariusz. Daj mi dwa dni, okej? Dwa dni.

– Jak wyżej.

Rozłączył się, ale byłem pewien, że poczeka. Koła się domykały, trójkąty układały w heksagramy, rytm pulsował, prawo kosmicznej harmonii działało bez zarzutu. Teraz jeszcze lepiej wiedziałem, dlaczego chcę iść kanałami. Golem. Potwór z rybim śluzem. Skłębiony cień pod drzewem.

A fe, pani hrabino! Troszkę jednak pani nakłamała.

Trzydziestego kwietnia wieczorem uczestnicy mojej ekspedycji ratowniczej dla dusz niewinnych żydowskich dzieci stawili się na łąkach pod miastem niemal w komplecie. Niemal, ponieważ Barbara Gawęł dostała kolejnego ataku depresji i odwołała swój udział. Myślę, że tak naprawdę albo się przestraszyła, albo ktoś ją przestraszył. Mój spiskowy temperament skłaniał się ku drugiej wersji. Siedzieliśmy z tobołkami pod wierzbą, jak uchodźcy z krainy normalności, i zastanawialiśmy się co dalej. Noc była czarna i gęsta, jakbyśmy już znaleźli się pod ziemią.

– Według twojej oryginalnej teorii powinniśmy być w komplecie, inaczej nic z tego – przypomniał rzeczowo Paweł Kopeć. – Zatem możemy wracać. I wiesz co, Wojtek? Jakoś mi z tym raźniej.

– Może uda się bez niej? – zasugerowała Ewa. – Są prawie wszyscy.

– Prawie robi różnicę – rzucił pan Wróblík. – Ja też wracam.

– A ja kanapki na drogę zrobiłam! – westchnęła pani Szwagrzykowa, pokazując wypchany plecaczek, który obok latarki, różańca na szyi i solidnej laski składał się na jej wyposażenie. Na stronie pokazała mi to cudo. Wysunęła rączkę laski i odsłoniła skrawek błyszczącego ostrza.

– Nieboszczyk mąż chadzał z tym po ludziach – wyjaśniła nie bez pewnej dumy. Nadrabiała miną, ale bała się nie na żarty. Wszyscy się bali i pomyślałem, że drugi raz już ich tutaj nie zbiorę.

– Ja i tak idę – powiedziałem. – Następnej okazji nie będzie.

– Powodzenia! Od początku wydało mi się to głupotą. Gawłowa dobrze zrobiła, że nie przyszła.

To był Wróblík, najbardziej oporny, z niewykorzenionymi uprzedzeniami do charakteru i przedmiotu wyprawy, co również stawiało ją pod znakiem zapytania. Po początkowej fali wściekłości przyszła rozluźniająca myśl, że właściwie mi wszystko jedno. Ta noc, ta czerń i dudnienie ziemi brały górę nad garstką przestraszonych ludzi, co do których zaczynałem mieć podejrzenia, że więcej mi napsują, niż pomogą. Może mieli rację? Ich obecność niczego nie wniesie, głupio to wymyśliłem, przecież to moja misja, niczyja inna.

– Ja idę – powtórzyłem. – Niepotrzebnie was tu ściągnąłem.

Przepraszam. Wracajcie do domów.

Podniosłem się i otrzepałem spodnie.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak zarzucam worek z narzędziami na plecy i sprawdzam obie latarki. Ręczną wcisnąłem za pasek, a czółówkę nałożyłem na głowę.

– Daj mi taśes – powiedziałem do Ewy, wyciągając rękę.

– Idę z tobą – odparła i podniosła się z ziemi. – Wszystko mi jedno.

– Nie musisz. W tej sytuacji twoja obecność jest bezcelowa. Daj mi taśes.

Oddała mi zawiniątko. Pokiwała głową i nie patrząc na nikogo, rzekła cicho:

– Nie mam po co wracać do domu.

– Ja też bym poszła – zgłosiła niepewnie pani Szwagrzykowa. – Ale to też nic nie zmieni, co?

– Nie zmieni – potwierdziłem. – W ogóle nic się nie zmieni.

Wszystko będzie tak jak dotychczas. U waszych dzieci również, bo nie mają innego wyjścia. Przy następnym ruszeniu ziemi znowu będą musiały kogoś zabić. I tak bez końca, ponieważ, pani Szwagrzykowa, nic się już nie zmieni. Piotruś i Pawełek znowu komuś zmiażdżą nogi, Gabrysia Wróblík wbije ołówek w oko następnemu gorliwemu pomocnikowi kopaczy, a mały Łukaszek kogoś udusi, dla odmiany nie za pomocą wędki, tylko, powiedzmy, biało-czerwonego szalika. Trudno powiedzieć, co zrobi Monisia. Nic się nie zmieni, bo nikt z was tego nie chce. Dlatego wolę iść sam. Do zobaczenia.

– Jezus Maria, moja Monisia! – jęknęła pani Szwagrzykowa.

– Wariat! – dodał piskliwym głosem Kazimierz Wróblík. – Niebezpieczny wariat!

– No właśnie – odparłem i ruszyłem wzdłuż płotu ogródków działkowych do wczasu przygotowanego przejścia, którym mieliśmy dotrzeć do najbliższego wjazdu. Grzesiek Wilk wyszukał go na planie i wczoraj sprawdził, że jest. Jedno z technicznych wejść do rurociągu, dla mechaników i inspektorów. Znajdowało się tuż przy działce Kolanowskich.

– Weź to – powiedział, gdy mnie dogonił, i podał mi niewielki łom.

– Inaczej nie podniesiesz klapy.

– Dzięki. Trzymaj się.

– Słuchaj, Wojtek, jak robiłem w elektrowni...

– Podobno robiłeś w wodociągach – przerwał mu Paweł.

– Potem robiłem w elektrowni – ciągnął Grzesiek. – Uczyli nas, że kabel kładzie się

nie w poprzek wzniesienia, tylko najpierw zjeżdża w dół, do równego, a dopiero potem skręca. Mówiłeś o hałdzie ziemi, co ją ten... Daniel, znaczy się... twój ojciec widział pod samym murem młyna...

– Tak – przerwałem mu zniecierpliwiony, bo czas uciekał. – Słuchaj, muszę iść.

– Wiem. Chodzi o to, że to nie była ziemia spod rozdzielni, tylko dalej... – Pokazał gdzieś palcem przed siebie. – Rozumiesz, o co mi chodzi?

Zrobiło mi się go żal; chciał jakoś pomóc, coś zrobić. Klepnąłem go w ramię, że rozumiem, i poszedłem w ciemność. Skręciłem w alejkę.

Za płotem zaszczekał pies, potem kolejny. Niektórzy działkowicze hodowali tu zwierzęta i przyjeżdżali codziennie je karmić, a dla ich obrony trzymali w zagrodach psy. Naprężyłem dziarsko mięśnie i wkroczyłem w ten rozszczekany ogród. Noc, psy, na zachodzie łuna od świateł przy dworcu kolejowym i wiadukcie prowadzącym do muzeum.

Niemal słyszałem stuk wagonów towarowych. Puk-puk. Puk-puk.

W rękę ścisnąłem łom. Mój osobisty rachunek wyglądał całkiem inaczej.

To się musi skończyć. Odwróciłem się ku stawom w poszukiwaniu zielonej zorzy. Wisiała nisko nad horyzontem, ledwie widoczna, gasnąca. Bardzo słaba. Mniej więcej tak jak moje szanse.

Nagle wszystkie psy umilkły. Zatrzymałem się. Coś było nie tak.

Wyłączyłem latarkę i skręciłem pod płot, skradając się na palcach krok po kroku. Właz powinien być za drzewem, którego pień majaczył niewyraźnie parę metrów przede mną. Skrzytnął żwir. Przysiadłem i wcisnąłem się w siatkę ogrodzenia. Cisza.

Wtedy usłyszałem cichy śpiew. Ledwie uchwytny, jak brzęczenie komara. Wyciągnąłem szyję, żeby się zorientować, skąd dobiega, ale słyszałem go wszędzie. Natychmiast poczułem ukłucie w skroniach i odruchowo zmrużyłem powieki. Ból narastał wraz ze śpiewem dochodzącym teraz z działki Kolanowskich. Podpełzłem kilka kroków, wczepiając się palcami w siatkę, aż dotarłem pod pień wyrosniętej brzozy i przywarłem do niej, nasłuchując. Kroki na żwirze przemieściły się pod daszek altany. Gdzie one są? Śpiew falował wyraźniej, rozchodził się w powietrzu jak egzotyczny aromat, szeleścił niezrozumiałymi głoskami i całymi frazami. Zdołałem wychwycić tylko *Adonai... Ismael...* Miał w sobie coś z nikłego światełka rozpraszającego bezdenne, trupi mrok. Przyśły. Przypląnęły z podziemną falą, ponieważ dochodzą wszędzie tam, gdzie sięgają ciekły wodne od starego młyna i nieczynnego rurociągu. Potrafiły nimi dotrzeć do placu manewrowego w Sępni, do pidła na mojej grobli za Podborzem i do słupa wysokiego

napięcia. Były tu wszędzie, panowały w podziemiu, gdzie wpełnęli je nieopatrzni oprawcy. Partacze, których kompetencje ograniczały się do bezmyślnego rabunku i zabójstwa. Głupcy, którzy myśleli, że wystarczy zabić.

Stały całą szóstką pod daszkiem, trzymając się za ręce tak samo jak wtedy, kiedy wchodziły do jaskini za Grotą Maryi. Buzie trochę niewyraźne, podobne bardziej do wypłowiałych fotografii na skale i jakby nieco zielonkawe, fosforyzujące. Na sobie miały ubranka swoich żydowskich braci i sióstr sprzed sześćdziesięciu trzech lat i śpiewały pieśń tamtych, teraz także ich własną. *Adonai... Ismael...* Jedna z dwóch dziewczynek wciąż tuliła do piersi pluszowego misia. Bliźniacy stali pośrodku i patrzyli wprost na mnie.

– Boże święty! – jęknął obok mnie kobiecy głos. – Moje dzieci!

Podskoczyłem z wrażenia. Przy mnie klęczała Ewa Kolanowska.

Zacisnęła mi dłoń na ramieniu, drugą wpełnęła w usta, szlochając bezgłośnie.

– Wojtek – zajęczała z dziwną, radosną rozpaczą. – Wojtek, to one!

Żyją!

Nie widziałem w ciemności jej pięknych sarnich oczu, ale domyślałem się, że są teraz szeroko otwarte i szkliste. Zdjąłem delikatnie jej dłoń z ramienia i ścisnąłem obie ma rękami.

– Nie, Ewo. Nie żyją. One tylko nie mogą odejść.

Zaszlochała głośnie.

– Piotruś. Pawełek. Moje dzieci. Czy one są... upiorami?

– Tak. Podobnie jak tamte. Pojmujesz teraz, dlaczego muszę pójść?

One nigdy stąd nie odejdą, dopóki nie załatwimy tamtej sprawy. To w gruncie rzeczy całkiem proste, nie trzeba być żadnym geniuszem ani szaleńcem, by to zrozumieć. My, Polacy, świetnie to znamy. Cała nasza kultura kręci się wokół rozmów z duchami, upiorami i zakopanymi ciałami; zlecają nam zadania, bo same już nie zdołają ich wykonać.

Dlaczego w przypadku tej szóstki małych, niewinnych Żydów miałoby być inaczej? Wychowali się na tej ziemi i należą do niej tak samo jak ty i twoi zaginieni synowie, czego nie potrafią zrozumieć idioci w rodzaju Łopatki i jego naśladowców. Niby czczą nasz naród, a naprawdę go obrażają swoim niedorozwiniętym patriotyzmem. Popatrz tam, na tę grupkę w ogrodzie. Te dzieci lepiej rozumieją, czym jest zobowiązanie wobec bliźnich, niż ich rodzice, którzy przed chwilą oświadczyli, że jestem wariatem, więc idą do domu. Dla nich wyprawa nie ma sensu, ale dla mnie ma. I dla tych maluchów, bo właśnie przyszły mnie prosić, żebym jednak poszedł. Chociaż, odwrotnie, to

ich rodzice powinni prosić.

– Dla mnie ma sens... – szepnęła Ewa, wciąż nieruchomo wpatrzona w szóstkę zielonych cieni. – Pozwolisz mi pójść z tobą?

Proszę cię.

Cholera, nie o to chodziło. Już przemeblowałem sobie w głowie całą wyprawę i przestawiłem jej charakter z grupowego na indywidualny, co miało swoje plusy. Nie musiałem martwić się o bezpieczeństwo uczestników ani o to, że ktoś będzie spowalniał tempo marszu. Sam, swobodny, uwolniony od ciężaru ludzkich słabości i lęków. Tak byłoby najlepiej. A tu masz babo placek.

Właśnie zabierałem się rzeczowo jej to wyłuszczyć i odesłać do domu, gdy zerwał się wiatr. Dmuchał nagle od zachodu i zakręcił na ścieżce brzoźowymi liśćmi, które od jesieni nie zdążyły zgnieć, z uporem przypominając, że nowe życie poprzedza stara śmierć. Zaszumiały wyrosnięte sosny na działce Kolanowskich, a spod nich oderwał się czarny kłęb i potoczył przez ogród. Śpiew nagle się urwał, a zielona gromadka zachwiała się pod naporem bazaltowej czerni. Chwilę stawiała opór, ale cień zawirował i rozerwał ją na strzępy, porywając ze sobą w górę, gdzie pyknęła jeszcze zieloną fluorescencją i znikła. Z otchłani nieba doleciało zduszone „mamo!” – i wiatr ucichł.

– Słyszałeś? – krzyknęła Ewa. – Wołają mnie! Moje dzieci!

Wojtek, muszę! – Złapała mnie za ramię tak mocno, że oparłem się całym ciałem o brzozę, żeby nie upaść. Szarpała mną i dyszała: – Muszę... moje dzieci... muszę...

Nie miałem wyjścia. Duchy podjęły decyzję za mnie. Na pocieszenie tłumaczyłem sobie, że to był znak, choć sensu jego nie umiałem dociec. Zresztą po co do całej tej historii jeszcze sens?

Wziąłem Ewę za rękę i doprowadziłem do betonowej płyty wjazdu, gładkiej i pozbawionej jakichkolwiek punktów podparcia, więc w myślach podziękowałem Grześkowi za łom. Spełnił swoją funkcję doskonale i po chwili schodziłem po metalowych prętach w głąb ziemi, z lampką na czole i drżeniem w sercu. Spode mnie bił odór zgnilizny, dudnienie i szum obracanego mułu, nade mną stukały podeszwy butów mojej towarzyski. Spojrzałem w górę na te niemożliwie długie i zgrabne nogi i przyszła mi do głowy głupia myśl, że nasze zejście pod ziemię dla odmiany ma jakiś sens. Idziemy odkupić nasz mały wspólny grzech.

Ostatecznie głupie myśli to u wariata normalka.

Wiszary. Uczepiły się mnie jak samo słowo, które naprawdę oznacza co innego. Zwiślały wewnątrz nieczynnego rurociągu malowniczo i upiornie: długie, gęste pajęczyny, kołyszące się przy najmniejszym podmuchu powietrza, oblepione suchymi truchłami owadów i drobinkami brudu. Musiałem rozgarniać je ręką, a potem nie mogłem się ich pozbyć. Gdyby nie wiszary, średnica rury pozwalałaby na w miarę normalny marsz. Jej dno pokrywała warstwa szlamu, gdzieniegdzie rozmiękczonego wąską strużką wody. Światło latarki na niewiele się tu zdawało, nic nie było widać, oprócz ponurych cieni na ścianach, więc parłem do przodu powoli, rozgarniając kurtyny brudu najpierw ręką, później saperką. Ewa szła za mną i co chwila kichała od kurzu.

– Na pewno jest nieczynny? – spytała, obchodząc nieco szerszą kałużę.

– Na pewno. Bardziej martwi mnie, czy to powietrze nadaje się do oddychania.

– Chyba nie – odparła i znowu kichnęła. – Udusimy się tu.

No i dobrze, pomyślałem. W istocie rurociąg miał otwarty wylot nad rzeką i następowała ciągła wymiana powietrza, co prawda utrudniona odległością. Po chwili rura zaczęła się wznosić, a więc musieliśmy dojść do podnóża parku. Spojrzałem na krokomierz, wynikało z niego, że zrobiliśmy nieco ponad sto metrów. Odór gnijących resztek organicznych mieszał się z zaduchem królestwa gryzoni.

– Nie ma tu szcurów? – spytała Ewa. Najwyraźniej jej wyobraźnia zajmowała się wyszukiwaniem nowych powodów do obaw. Całkowicie ją rozumiałem.

– Nie ma. Henryk Hirsz wytepił wszystkie dziesięć lat temu.

Jakby w odpowiedzi zza wiszarów rozległ się cienki pisk i dwa szare kłęбки przemknęły obok nas, umykając przed snopem światła. Ewa przywarła do ściany i westchnęła z cichym jękiem.

– Spokojnie, uciekły – powiedziałem, wbijając oczy w mrok przed nami. Rura szła pochyło do góry i aby móc dalej iść, musieliśmy pomagać sobie rękami. Gdy nachylenie się zwiększyło, zaczęliśmy pełznąć na czworakach. Parę razy noga pojechała mi na błotnistym podłożu. Pełnąca za mną Ewa przytrzymywała się mojego prawego buta.

– Jesteś pewien, że tędy dojdziemy?

– Nie – odparłem krótko, bo znudziło mi się pocieszanie jej.

Chciała iść, to niech idzie.

– Tak myślałam – burknęła, ale zamilkła na chwilę. Wspinanie się w górę rurociągu zaabsorbowało ją na tyle, że przestała zastanawiać się, co jeszcze może wyskoczyć na nas z ciemności.

Po kolejnych stu metrach rurociąg nieoczekiwanie się rozdwajał.

Tego nie było na mapie.

– Co dalej? – spytała Ewa. Jej nerwowość uwielbiała pytania.

Nie odpowiedziałem. Wyjąłem z worka kompas i porównałem go z mapą. Wynikało z niego, że powinniśmy skręcić w prawo.

Poświeciłem tam, ale oprócz gęstych wiszarów nie widziałem nic.

Pociągnąłem Ewę za rękę.

– Chodźmy, to powinno być tam.

– Jesteś pewien? – spytała natychmiast.

Zatrzymałem się i odwróciłem do niej bez słowa. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszam – szepnęła i dodała: – Boję się.

– Ja też – odparłem i pogładziłem ją po włosach. Przytknęła policzek do mojej dłoni i westchnęła z rezygnacją.

– Nie nadaję się do tego – oświadczyła.

W grobowej scenerii nieczynnego rurociągu, wśród błota, pajęczyn i zaschniętych trucheł stanowiła jedyny jaśniejszy element. Naprawdę wyglądała jak anioł. Pocałowałem ją w policzek.

– Jesteś bardzo dzielna. Już niedaleko. Trzymaj się.

– Przecież widzisz, że się trzymam. Powinnaś wrzeszczeć i okładać cię pięściami za to, gdzie mnie wywlokłeś. Kobiety tak robią.

– Dzięki za wielkoduszność. Swoją drogą, nie przypuszczałem, że nasz romans doprowadzi nas aż tutaj. Ciekawe, czy w ogóle zmyjemy to z siebie.

– Osobiście cię wyszoruję. Jak tylko znikną te napisy w łazience...

Uniosłem dłoń na znak, że dosyć gadania. Ze skracającej w prawo rury dochodził ledwie słyszalny szum. Woda. Ciek wodny pod młynem.

Na twarzy poczułem chłodny powiew. Pociągnąłem Ewę w ciemność po prawej i znowu parliśmy przez połączenie pajęczych firan, ślizgając się na plackach błota, których było coraz więcej. Po kilkunastu metrach nachylenie rury złagodniało i szliśmy płaskim

dnem do momentu, aż szum wody przed nami stał się całkiem wyraźny. Wyjąłem drugą, mocniejszą latarkę, poświeciłem przed siebie i zamarłem.

Dziesięć metrów przed nami naniesione błoto zwęzłał prześwit rury w górnej części do niewielkiego wypłaszczenia, skąd dochodził szum. Poniżej ziemia pulsowała kłębowiskiem ruchliwych szarych grudek. Właziły na siebie, strącały się w dół i przepychały we wszystkich kierunkach, sycząc i piszcząc. Jasne ogonki migotały jak sprężyste światłowodowy, przetykane błyskami setek jasnych punkcików.

Doskonale pamiętałem ten obraz, tkwił w mózgu od czasu, gdy Henryk po raz pierwszy demonstrował mi możliwości swojej radiopułapki. Tam przed nami odbywał się ożywiony wiec w jakiejś ważnej sprawie, najpewniej związanej z tym, kogo zjeść najpierw i w jakiej kolejności.

Zza moich pleców rozległ się płaczliwy jęk.

– Mówiłeś, że ich tu nie będzie...

– Spokojnie. Nic nie rób i milcz. Trzymaj mnie za pasek od spodni.

Posłusznie wepchnęła obie dłonie za pasek i trzymała się kurczowo. Wygrzebałem z dna worka zapałki i zgmiotłem obie mapy w rulon. Chyba nie będą mi już potrzebne. Szczęśliwym zrzędzeniem kanałowego losu rozwidlenie rurociągu doprowadziło nas do dawnego podziemnego koryta, które według wszelkiego prawdopodobieństwa przechodziło pod samym młynem. Przypuszczalnie gierkowscy inżynierowie wiedzieli o nim i postanowili zbudować dodatkową nitkę do zasilania głównego ujęcia. Być może chodziło też o awaryjne odprowadzenie wody na wypadek powodzi.

– Zamknij oczy i pod żadnym pozorem ich nie otwieraj. Po prostu trzymaj się paska i idź za mną. Jeśli poczujesz na łydkach łaskotanie, nie reaguj, jasne?

– Wiesz co, Wojtuś? – odparła mściwym szeptem. – Do szorowania ciebie kupię sobie drucianą szczotkę. I zacznę, wiesz od czego.

– Dzięki, nie mogę się doczekać. A teraz idziemy. Trzymaj się!

Zapaliłem zapałkę i przyłożyłem do rulonu. Buchnął płomień, a piski przed nami nabrały nowych odcieni, znacznie gwałtowniejszych.

Kłębowisko zawrzało. Zrobiłem trzy kroki do przodu i omal się nie przewróciłem, szarpnięty od tyłu za pasek.

– Nie otwieraj oczu – powiedziałem półgłosem. – Schowaj się za mną. Rób krok tą samą nogą co ja.

– Skąd mam wiedzieć, nie widzę twoich...

– Prawa noga, lewa noga. Prawa, lewa... Oprzyj się o mnie.

Jej czoło stuknęło między moimi łopatkami i ruszyliśmy powolutku, jak para ślepców. Kilka szczurów przemknęło mi po nogach.

Reszta nerwowo radziła, co robić. Kilka większych osobników uniosło się na tylnych łapach i wyszczerzyło cienkie ząbki. Niewykluczone, że wiedziały o moim udziale w zagładzie ich plemienia i szykowały się do zemsty. Nie, chyba jednak nie. Zemsta to przypadłość ludzka.

Dym z płonących map gęstniał i gryzł w oczy. Ewa zaczęła kaszleć. Zwierzęta na widok zbliżającego się płomienia pobiegły do wylotu rury, ale tego właśnie nie chciałem. Wycelowałem rulonem w prześwit, a kiedy płomień poszybował nad szczurami i wbił się w otwór, rozległ się chóralny pisk i kłębowisko runęło w naszym kierunku. Zaparłem się nogami, czekając na atak. Wyglądało to tak, jakby popłynęła na nas gotująca się, bulgocząca ziemia. Dwa typki zaczęły wdrapywać się na moje spodnie, strząsnąłem je kopniakiem w powietrzu.

- Nie otwieraj oczu – powtórzyłem stanowczo, na co usłyszałem odpowiedź:
- Chyba się porzygam.
- To może nie na moje plecy. Spróbuj w bok.
- Żartowałam.
- Ubawiłem się po pachy.

Kiedy ławica szczurów nas minęła, ostatni odwrócił się i stanął na łapkach, wyszczerzył zęby, po czym pobiegł za resztą. Byłem pewien, że pokazał mi środkowy palec.

Saperką przepchnąłem dymiące szczątki mapy na drugą stronę.

Pokryty pozostałościami po szczurzym obozowisku prześwit wynosił nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Ja mogłem się jeszcze precyzyjnie, ale w przypadku Ewy nie wchodziło to w rachubę. Utknęłyby w szczurzych odchodach i własnych wymiocinach. Musiałem najpierw zagrzebać całe to gówno.

- Pomóc ci? – spytała słabym głosem i natychmiast zakaszła.
- Tak. Nic nie rób. Po prostu stój.
- Dobrze – zgodziła się z ulgą.

Szeroką składaną saperką zabrałem się do roboty. Błoto, z wierzchu zmiękczone wodą i odchodami, pod spodem stanowiło zbitą kamienną masę. Zacząłem ją rąbać krawędzią łopatki i odrzucać bryły za siebie. Miękką ziemię rzucałem pod nogi, przysypując nieczystości.

Otwór powoli się poszerzał.

Nagle rozległy się kroki. Powolny tupot ciężkich butów niósł się echem po rurociągu od strony głównej nitki. Ktoś szedł za nami.

Natychmiast wyłączyłem latarkę.

– Ktoś idzie – jęknęła Ewa.

– Słyszę. Kucnij.

Przykucnęliśmy oboje wśród miękkiej, cuchnącej szcurzyną ziemi. Ciężkie kroki zbliżały się od dołu, skąd przyszliśmy, i musiały należeć do rosłego mężczyzny. Były powolne i głośnie, jakby szedł robot.

Albo golem. Ewa przyłgnęła do mnie.

– Kto to może być? – szepnęła.

– Każdy.

– A konkretnie?

– Konkretnie to nie wiem. Siedź tu. Gdyby coś się działo, przełóż przez dziurę i uciekaj w dół.

Pokiwała głową, a ja ruszyłem przed siebie. Stawiałem na Grzeška albo Pawła. Jeden z nich mógł przemyśleć sprawę i pójść naszym śladem. Mógł to być również kopcacz. Pilnował miejsca i chciał sprawdzić, kto wdziera się na ich teren. Wyczuł dym i domyślił się reszty. O innych ewentualnościach wolałem nie myśleć.

Ścisnąłem saperkę w prawej dłoni i zakradłem się ku rozwidleniu rurociągu. Daleko przede mną zajaśniała blada poświata. Szedł z latarką.

Nie bał się. Stąpał rytmicznie i nie przejmował się zbyt możliwością zdemaskowania. Blachy rur drżały. Bum, bum, bum. Podszedłem bliżej i przysiadłem z saperką uniesioną w pozycji gotowej do zadania ciosu.

Jeśli to jeden z nich, zaatakuję pierwszy i spróbuję go zatrzymać jak najdłużej. To powinno dać Ewie czas na ucieczkę. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Od połączenia obu rurociągów dzieliło mnie około dziesięciu metrów. Światło zbliżało się rozchybotaną żółtą poświatą, która raczej nie pochodziła od latarki. Zdziwiłem się, że ktoś wchodzi do kanałów ze świecą.

To nie była świeca, tylko lampa. Taka sama jak ta znaleziona w skrytce w piwnicy Kolanowskich. Niesiona na wyciągniętej ręce kołysała się przy każdym kroku w mechanicznym balansie, wzmacniając obrazem dźwięczne bum, bum. Mówiłem, świat to rytm. Mężczyzna doszedł do rozwidlenia. Ścisnąłem drewniany trzonek i wstrzymałem

oddech. Kaptur peleryny opadał mu na czoło, zasłaniając połowę twarzy.

Sztywna ręka z lampą sterczała jak bukszpryt przed okrętem. W drugiej trzymał śmieszny szpadel z szuflą w kształcie serca. Obrócił się w moją stronę, blask rozświetlił białą twarz.

Odległość nie mogła mnie zmylić. Ostry nos rzucał cień na policzek, tak samo jak wtedy, gdy pochylał się przy biurku nad starymi dokumentami. W żółtym płomieniu świecy zamkniętej w szklanym czworoboku jego oczy błyszcząły czerwono. Poruszył ustami.

– Henryk...?

Patrzył wprost na mnie, a ręka z lampą uniosła się nieco w górę, jakby chciał mi się dokładniej przyjrzeć.

– Henryku, chodź ze mną – powiedziałem drżącym głosem. – Chodź, pomóż mi.

Nie wiem, czy to tylko refleks migoczącego światła, czy naprawdę to zrobił, ale po kiwał wolno głową, a potem odwrócił się i pomaszerował w górę głównego rurociągu. Stałem skamieniały, a kiedy wreszcie mój mózg odzyskał władzę nad mięśniami, ruszyłem do rozwidlenia i poświeciłem latarką. Nikogo nie było. Poświata również zniknęła.

Chciałem pobiec za nim, ale pomyślałem o przerażonej Ewie tkwiącej samotnie przy wyjściu do kanału i zawałem się. Spojrzałem pod nogi.

W błocie widniały odciski tylko dwóch par stóp: Ewy i moich.

– Kto to? – spytała, kiedy do niej wróciłem.

– Henryk Hirsz.

– Ale przecież on... – szukała słów zdolnych nazwać jej domysły. – Widziałeś ducha?

– A ty widziałaś przed chwilą swoich zaginionych synów. To podziemia Oszpicyna, moja droga. Tu każdy widzi, co chce.

Nie odezwała się, zamiast tego wyjęła z kieszeni małą latarkę i poświeciła dokoła, jakby chciała poszukać kolejnych rewelacji.

Zabrałem się do roboty ze zdwojoną siłą, mając przed oczami ten ledwie zauważalny gest Henryka, który z narastającą pewnością odczytywałem jako „idź”. Po chwili przejście było gotowe.

Myślicie, że szedłem na pewniaka? Nic bardziej mylnego.

Nadrabiałem miną przed przestraszoną Ewą, udawałem, że idę, bo wiem dokąd i po co, ale to były pozory. Pewność ulegała we mnie roztopieniu, determinację podgryzało od środka czarne zwątpienie. A jeśli popełniam jakieś zupełnie bezdurne przestępstwo? I czy właściwie idę naprawić zło, czy je zabić? Co tak naprawdę mną kieruje – miłosierdzie i współczucie dla ofiar czy nienawiść i chęć zemsty na sprawcach? Dziedziczymy dług, dziedziczymy głupotę i lekkomyślność, poczucie winy i traumę niewolnictwa – to może i zemstę dziedziczymy? Mój biologiczny ojciec uciekł przed nią do Izraela i nie chciał mieć nic wspólnego z krzywdami, których wyrównanie powinien wziąć na siebie, a które zamiast tego przekazał mnie. A ja? Co mnie właściwie obchodził mój dziadek i to, że iście po żydowsku wszedł w ryzykowny interes z Bogiem i się na nim przejechał? Nie mogło być inaczej, przeszacował swoje siły i niedoszacował przeciwności losu. Czyli zła w ludziach. Czy naprawdę powinienem się podejmować wariackiej misji tylko dlatego, że mi go żal? I dlatego, że sam jestem wariatem?

Takie myśli chodziły mi po głowie, gdy Ewa krzyknęła na widok czegoś, o co zaważdził jej lewy but. Szliśmy tunelem, a tuż obok nas betonowym korytem płynęła podziemna Młynówka. Po obu stronach mieliśmy gliniaste ściany, wzmocnione w słabszych miejscach drewnianymi podporami, całkiem już przegniłymi. Podobnie jak w rurociągu, wszystko pokrywały wiszary zakurzonych pajęczyn.

– Uaa, co to jest?!

Odkoczyła jak oparzona i poświeciła latarką pod nogi.

– Obcas buta – odparłem ze spokojem, choć serce podeszło mi do gardła.

– Ale czyjego?!

– Zaraz się dowiemy – powiedziałem i wyjąłem saperkę.

– Nie! Nie chcę!

– Już za późno.

Rozgrzebałem trochę ziemi. Rozmiar buta wskazywał na osobę dorosłą, mężczyznę, więc to nie był grób moich dzieci. Podniosłem głowę i ujrzałem niewielkie zagłębienie w ścianie tunelu. I drzwiczki.

Podważyłem je, ale nie otwały się, tylko rozleciały na kawałki.

Z wąskiej komórki buchnął niehumaniczny zaduch. Zatkaną dłonią usta i nos.

– O Jezusie, nie wchodź tam! – krzyknęła Ewa. Poświeciłem do środka.

Leżeli obaj w dziwnej figurze przedłużonego człowieka, którego czaszka znajdowała się niemal trzy metry od stopy. Wyglądał, jakby wynurzał się spod ziemi, zadzierając głowę do góry, z tułowiem rozciągniętym w łuk i rękami wczepionymi w glinę. Widziałem pojedyncze kości palców.

– Poświeć mi – powiedziałem, wręczając Ewie swoją latarkę i ignorując jej pojękiwania. – I trzymaj się, to dopiero początek.

Zacząłem od buta, ostrożnie zdzierałem ziemię ze szczątków.

Wkrótce natrafiłem na resztki ubrania i po paru ruchach już wiedziałem, że mam przed sobą płaszcz dziadka Abrahama, znany mi ze zdjęcia nad Sową. Gdzieś daleko w kanałach rozległ się niski pomruk. Rozpoznałem kształt klapy, guziki, obszycie kieszeni. Ostrożnie odkopałem czaszkę, wtuloną w nieco grubszy materiał brązowego wełnianego płaszcza.

Piszczele łokci sterczały jak przycięte skrzydła, więc ręce musiał wcisnąć pod nogi Kublickiego. Szeroko rozwarte szczęki dziadka wskazywały, że w ten ostatni gest włożył całą siłę, jaka mu jeszcze została po upadku do Młynówki. Umierał ze skręconym karkiem, zaciskając ręce na kolanach Kublickiego. Tylko tyle mógł jeszcze zrobić.

Reszta jego historii właśnie opowiadała się przed moimi oczami.

Usiadłem i zamknąłem mokre oczy.

– Co się stało? Wiesz, kto to jest? – spytała Ewa.

– Mój dziadek Abraham Zylbersztajn

– wyszeptałem, powstrzymując płacz. – Ten drugi to hrabia Fryderyk Kublicki. Główni aktorzy w naszej epopei o zaginionych dzieciach. Tak wygląda koniec ich złotego kontraktu. Obaj przegrali, a wygrała Młynówka.

– Walczyli do końca... – szepnęła. – Co teraz z nimi zrobimy?

Przecież nie możemy ich tak tu zostawić. To szczątki ludzi, twojego dziadka...

– Musimy. Jutro ktoś tu po nich przyjdzie, może nawet my sami.

Ale nie teraz. Przed nami jeszcze tamci. To powinno być już gdzieś tu...

Nie dokończyłem, ponieważ kanałami od strony łąk szedł szum.

Jak podziemny wiatr. Jego świst przypomniiał mi tamten wczorajszy powiew w ogrodzie na działce Kolanowskich i czarny kłęb, który zmiotł zielone postacie. Jednocześnie pomruk powyżej nas przybrał na sile. Coś zbliżało się z dołu i z góry. Spojrzałem na dwa splecione w śmiertelnej walce ciała i zrobiło mi się zimno.

– Spadamy stąd! – krzyknąłem i porwałem Ewę za rękę. Jej latarka upadła i potoczyła się po betonie. Zauważyłem, że poziom wody w korycie podniósł się. W plecy uderzył mnie wściekły podmuch zgniłego powietrza, jak oddech potwora. Po godzinie leniwej wędrówki czas nagle się skurczył.

Pobiegliśmy w górę. Młynówka chlupotała i biła o kamienne brzegi. Na środku rwącego nurtu tworzyły się białe grzywy. Pędziła w dół jak szalona. Naprzeciw niej szło wycie napierającego powietrza.

Świeciłem jedną lampką pod nogi, drugą po sklepieniu kanału w poszukiwaniu poprzecznej rury. Zakładałem, że skoro jedno i drugie budowali Niemcy, to w jakiś sposób zsynchronizowali obie prace i dopasowali prąd do ziemi i wody. Przecież świat to rytm i harmonia sfer.

– Utopimy się! – krzyknęła Ewa.

– Nie! – odkrzyknąłem wprost w walące na nas z góry masy wody.

Zabrzmiało bardziej jak zakłęcie niż stwierdzenie faktu. Woda już nie mieściła się w korycie, pędziła po obu stronach i omywała nas z hukiem.

Czułem, że jeszcze trochę i nas zmiecie. Nurt sięgał nam już do kolan.

Za nami wył zgniły orkan.

Wreszcie odnalazłem poprzeczną betonową belkę. Przez odłupane kawałki zaprawy prześwitywała bakelitowa obudowa. Kable wysokiego napięcia. Idą od rozdzielni za ścianą młyna do dawnego przekaźnika znajdującego się niedaleko słupa, na którym powiesiła się nieszczęsna rowerzystka. Przekaznik siłowy – to określenie wydało mi się wyjątkowo trafne. Przekazywał niejasne i potworne siły.

Odmierzyłem od belki cztery metry dalej w głąb kanału – to powinno być gdzieś tu. Chwytając palcami nierówności ścian, zacząłem obtłukiwać sklepienie tunelu. Twarda ziemia nie miała zamiaru ustąpić.

Woda sięgała do pasa i spychała nas w dół. Zaparłem się nogami i rękami, to samo kazałem zrobić Ewie, co było bez sensu, bo i tak już walczyła wszystkimi czterema kończynami o utrzymanie się na powierzchni.

– Nie dam rady! – zawyła. Odwróciłem się, żeby pociągnąć ją za ramię, i znieruchomiałem. Od dołu parła na nas przeźroczyta pionowa ściana. Walące z góry potoki

wody natrafiły na falę powietrza i uniosły się, tworząc wielkie pionowe zwierciadło. Każdy z żywiołów napierał na przeciwny i oba znieruchomiały w tytanicznej walce, siłowały się i przepychały nawzajem. Woda ślizgała się w górę na powietrznym wirze, uderzała w sufit i opadała zwiniętą grzywą. Za lustrem majaczyła wielka twarz z czerwonymi oczami. Poziom wody zaczął gwałtownie przybierać, sięgał mi szyi. Ewa wisiała na kawałku zdrewniałego korzenia, wyłazącego z sufitu jak parafraza liny ratunkowej.

Wziąłem ostatni rozmach i łupnąłem saperką w sklepienie.

Usłyszałem głuchy pogłos drewna.

– To tu! – krzyknąłem do Ewy, ale woda zalała mi usta. Prześwit między napierającą rzeką a sklepieniem wynosił jakieś trzydzieści centymetrów. Zacząłem walić w deski nad głową i wreszcie dostrzegłem biały promień światła. Wbiłem saperkę w szparę i pociągnąłem z całej siły. Rozległ się zgrzyt kruszonego drewna i otwór powiększył się na tyle, że mogłem dostrzec łąsą główkę włączanej żarówki. To był pierwszy znak ostrzegawczy, ale i tak nie mieliśmy wyjścia.

– Złap mnie za nogę! – zawołałem, walcząc z wodą zalewającą mi twarz. – Wspinaj się za mną!

Rozłupałem jeszcze trochę deski i uchwyciłem się krawędzi. Ewa krzyczała, że się topi, ale nie słuchałem jej. Patrzyłem w górę, gdzie pojawiła się znajoma twarz i wyciągnięta ku mnie dłoń. Schwyciłem ją i zacząłem drapać się przez otwór do światła. Cały czas czułem na łydce zaciśnięte palce Ewy. Podałem jedną rękę człowiekowi nade mną, a drugą sięgnąłem pod wodę. Kiedy upewniłem się, że mocno trzymam jej dłoń, wydostałem się na podłogę w piwnicy starego młyna w Podborzu. Za mną wygramoliła się przemoczona i blada jak płótno Ewa. Usiadła na podłodze, wypluła wodę z ust, rozejrzała się wkoło i powiedziała:

– Kurwa mać.

– Wolałbym „dobry wieczór” – odparł Maciek Nowicki i uderzył ją w twarz.

– Żeby nie tracić czasu – powiedział Nowicki, bawiąc się mokrymi włosami Ewy Kolanowskiej – potrzebuję od was tylko jednej prostej informacji. A skoro czołgaliście się bezsensownie śmierdzącymi rurami, zamiast wejść po ludzku przez drzwi, z pewnością ją posiadacie. Co ci, Jaromin, strzeliło do głowy?

Owinał sobie garść włosów Ewy wokół dłoni i gładził je ostrzem noża. Jeden z jego łysych kumpli skrępował mi ręce na plecach i trzymał za ramię, drugi zaszczyił moją szyję towarzystwem całkiem sporej maczety. Wkoło walało się pełno gliny i narzędzi budowlanych, za pomocą których potraktowano ściany i podłogę piwnicy. Naliczyłem sześć obszernych dziur w różnych miejscach. Szukali na ślepo.

Usiłowałem sobie przypomnieć, jak chciałem ich załatwić, ale na próżno.

– Jak widzisz, bardzo się staramy, ale na razie nam nie wychodzi – potwierdził moje domysły Nowicki. – Łopatką zapewniał, że to tu, ale...

– cmoknął dziewczęcymi ustami – nie znał szczegółów. Dlatego ty nam powiesz.

Puścił Ewę i podszedł do mnie. Jego nóż powędrował do jednej z dziurek mojego nosa.

– Pamiętasz tę scenę z *Chinatown*? Sam Polański ją zagrał.

Nicholson na planie bez przerwy sprawdzał ostrze, czy na pewno się składa. Tu nie będzie tak dobrze. – Wepchnął nóż głębiej i poczułem, że krew zaczyna mi cieknąć na wargę. – Gdzie one są?

Nie odpowiedziałem, licząc, że powtórzy pytanie, zanim przystąpi do rzeźniczych przyjemności. Miałbym trochę czasu na myślenie. Ten z maczetą poszedł pilnować Ewy, drugi schwycił mnie za ramiona i pociągnął do tyłu. Woda pod nami huczała, bryzgając przez otwór brudną pianą.

– Kto? – spytałem i natychmiast pożałowałem. Pchnął nóż głębiej, a ja odruchowo szarpnąłem się i w ten sposób sam sobie rozciąłem nozdrze. Krew pociekła strumyczkiem.

– Nie szarp się – skomentował z satysfakcją Nowicki i wytarł nóż o moją mokrą bluzę. – Psujesz mi zabawę. Pytam o dzieci.

– Jakie dzie... – nie dokończyłem, ponieważ oddech odebrał mi jego mocny cios w brzuch. Wyglądał na komputerowego wymoczek, ale uderzenie było wyćwiczone. Chodził na siłownię i zajęcia z MMA.

Pochyliłem się i patrzyłem, jak ciurkająca mi z nosa krew wsiąka w glinę.

– Mówiłem, Jaromin, żeby nie tracić czasu. Gdzie kopać?

– Wiem tyle, co ty – wystękałem, kiedy wrócił mi oddech. – Kopmy razem.

Zaśmiał się krótko i uniósł nóż.

– Gadaj, gdzie to żydowskie ścierwo leży. Po to tu przyszedłeś, prawda? Nie musisz potwierdzać, moja droga kuzynka wszystko mi powiedziała. Piękny plan, ale głupi. Bardzo głupi. Gdybyś przyszedł z tym do mnie, dawno załatwilibyśmy sprawę. No ale w końcu przyszedłeś. To jak będzie? Współpracujemy?

Kuzynka. Barbara Gaweł to jego kuzynka. Mogłem się domyślić tej komitywy z Łopatką. Ładna rodzinka, nie ma co. Zrozumiałem, dlaczego nie przysłała na spotkanie. Wszystko się układało w czytelny wzór, którego nie przewidziałem. Pieprzona harmonia sfer.

– To bez sensu – powiedziałem powoli, zlizując krew z warg. – Są głęboko, kopanie zajmie kilka dni. Chcecie nas tu trzymać cały czas?

Zmrużył oczy. Facet za mną wzmocnił uchwyt. Mogłem się szybko uchylić i kopnąć go w kolano albo krocze, a potem odwinąć się Nowickiemu i uciec, ale ten drugi trzymał maczetę na szyi Ewy.

Siedziała z uniesioną głową i patrzyła na mnie przerażonymi oczami.

Teraz jej nerwowość nie musiała szukać powodów do strachu. Miała je na gardle. Naprawdę chcą nas tu zabić?

– A ty jak chciałeś to zrobić? – spytał Nowicki z tym swoim mięsistym uśmiechem. Nie był taki głupi, za jakiego go wziąłem podczas pierwszego spotkania.

– Nie chodziło o wykopywanie, tylko sprawdzenie przejścia – skłamałem. Jednym szarpnięciem otwarł mój worek i wyciągnął z niego przemoczony tałas.

– A to po co wzięłeś? Żeby odprawić kadysz?

– Dokładnie – odparłem, licząc na jego ignorancję. Nie dał się zaskoczyć.

– Potrzebny minjan. Nie masz dziesięciu Żydów. Kłamiesz.

Przybliżał ostrze ku mojej twarzy, ale w tym momencie woda uderzyła w dziurę z głośnym chlupotem i spora fala chlusnęła na podłogę. Łysy z maczetą poderwał się, uskakując i popychając Ewę.

– Co jest, kurwa, z tą wodą? – zaklął.

– Znowu deski w pidle wywalilo – odburknął ten za mną.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Kiedy Ewa przewróciła się na plecy, nagły bryzg wody ochlapał jej twarz. Myślałem, że się zakrztusi i dostanie ataku kaszlu, ale stało się coś dokładnie przeciwnego. Obmyta podziemną falą, uniosła się błyskawicznie, w prawej dłoni miała mokrą glinę. Cisnęła ją z niebywałą siłą i precyzją prosto w twarz łysego, zaklejając mu oczy, nos i usta. Ten lewą ręką zaczął po omacku ściągać błoto, ale Ewa go ubiegła. Skoczyła z kocią zwinnością, przełożyła sobie przez kolano jego ramię z maczetą i nim ktokolwiek z nas zdołał zareagować, rozległo się chrupnięcie łamanego stawu łokciowego. Facet zawył, maczeta pacnęła w błoto, a Ewa podniosła ją i wyciągnęła do Nowickiego, który właśnie ku niej ruszył. Woda w dziurze huczała jak piec.

– Jeden krok – zacharczała tygrysio. – Jeszcze jeden krok...

Nowicki stał tyłem do mnie, gość za moimi plecami zdębiał, drugi jęczał na podłodze – to było moje pięć sekund. Zrobiłem gwałtowny unik i z półobrotu kopnąłem tego za mną w kolano. Nie osiągnąłem tak spektakularnego efektu jak Ewa, ale facet poleciał na ścianę i kiedy się od niej odbił, zrobiłem krok do przodu i wyprowadziłem prostego kopa z biodra. Kiedy w Słupsku instruktor uczył mnie walki, pokazał mi kilka uderzeń kończących najtrudniejsze nawet starcie.

Kopnięcie w podbrzusze i prosty cios w twarz u nasady nosa odbierają przytomność nawet słoniowi. Niestety, miałem skrępowane ręce i nie mogłem go uderzyć, ale osunął się w błoto jak worek kartofli, a to mi wystarczyło.

Wykopałem mu spod dłoni nóż i szybko rozciąłem więzy. Cios w nasadę nosa okazał się już niepotrzebny – facet rzeził, ściskając w rękach pogruchotane kolano. Jednak nieźle mi poszło. Dotknąłem palcami rozciętego nozdrza, potwornie piekło, ale nie zwracałem na to uwagi.

Patrzyłem jak zahipnotyzowany na Ewę. Tę szczupłą i kruchą Ewę Kolanowską, która dopiero co jęczała w podziemiach, że nie da rady i zaraz się wyrzyga, a która teraz trzymała oburącz maczetę jak Lara Croft i mierzyła w szyję pobladłego Nowickiego. Narodowy patriota polski wyglądał, jakby mu ktoś zamiast majtek założył pas cnoty kolcami do środka.

– Spokojnie, Ewa – powiedziałem, wyciągając ręce przed siebie. – Spokojnie...

– Co spokojnie, co spokojnie! Weź nóż i rozetnij mu nochal – syknęła, unosząc maczetę nieco wyżej, jakby chciała sprawdzić, czy jej koniec zmieści się Nowickiemu do

nosa. Nie poznawałem Kolanowskiej.

Siła, jaką zaczerpnęła z ziemi i wody, przeniosła ją w rejony czystej nienawiści i przemocy. Byłem pewien, że przy najmniejszym ruchu rozplatałaby głowę blondynkowi o wiśniowych ustach. On też o tym wiedział, dlatego zamarł w bezruchu.

Mężczyzna z wyłamany łokciem pozbierał się i ruszył do schodów. Osadziła go jednym słowem.

– Wracaj.

Powiedziała to takim tonem, że natychmiast się cofnął i usiadł obok kolegi. Obaj jęczyli, ale żaden z nich nie śmiał się postawić.

Patrzyłem na ich zbaraniałe miny i myślałem o ich lekcji. Właśnie się dowiedzieli, że ogolona głowa plus napakowane mięśnie to nie wszystko. Trzeba mieć jeszcze pasję, ha, ha.

– Co teraz? – spytał Nowicki. – Chcecie nas tu trzymać cały czas?

Punkt dla niego. Nie miałem pomysłu na dalszy ciąg, a coś musiałem zrobić. Po co ja tu przyszedłem?

Spokojnie, Wojtek. Spokojnie.

– Dasz sobie radę? – zwróciłem się do Ewy.

Przemoczona, drżała od chłodu i żądzy mordy, i tylko czekała na pretekst. Skinęła głową. Nowicki był spięty, ale nie wyglądał na przerażonego. Wycofałem się tyłem do schodów i powoli szedłem w górę, patrząc na malowniczy obraz z mistrzynią maczety jako *punctum*.

Wyjście na plac zakrywała ciężka kłapa. Uniosłem ją ostrożnie i zerknąłem. Teren wewnątrz parkanu tonął w ciemności i ciszy. W kilku miejscach widniały hałdy wybranej ziemi. Ścisnąłem saperkę i poświeciłem dokoła, ale teren wyglądał na opuszczony. Nowicki nie wtajemniczał zbyt wielu osób w swoje poszukiwania. Miałem nadzieję, że ta trójka na dole to wszyscy.

Podszedłem do ogrodzenia od strony parku i serce mi zamarło.

Rozdzielnia prądu została wykopana, kawałki betonu i wiązki kabli zalegały pod parkanem, a w jej miejscu ział ogromny dół. Pobiegłem do piwnicy. Grupa Lary Croft trwała w niezmiennych pozycjach, fascynowała mnie skuteczność tej kobiety po obmyciu wodami podborskiego Styksu. Szarpnąłem Nowickiego za ramię.

– Co zrobiłeś ze szczątkami?

Unióś brwi. Woda w otworze nadal chlupotała i syczała, ale jakby z mniejszym im-

petem. Żywioł opadał.

– Jakimi szczątkami? – zdziwił się. – Ja nie szukam kości.

Pchnąłem go na ścianę i złapałem za kłapy zgrabnej kurteczki.

Marzyłem o rewanżu w postaci złotego strzału w splot słoneczny, ale się powstrzymałem. Nabuzowanie Ewy starczyło na nas oboje.

– Zabijmy go! – krzyknęła z entuzjazmem. Nowicki patrzył na mnie zmrużonymi oczami, w których widziałem raczej pogardę niż strach. Potrząsnąłem nim, ale nie zmienił spojrzenia. Ewa powtórzyła swoją entuzjastyczną propozycję, ale już z mniejszą energią. Żywioł opadał.

– Musiały tam być! Co z nimi zrobiłeś?

– Zastanów się, Jaromin – powiedział powoli, dociskając brodę do szyi. – Nie pytałbym cię o nie, gdybym je znalazł. Jesteś wariatem, nie myślisz logicznie.

Znowu punkt dla niego. Nie za wariata, bo to żadna nowość, ale za kości. Gdyby je znalazł, ryłby tam do upadłego, aż by się dorył do swojego zasranego skarbu. Nie mógł ich znaleźć.

Szum w dziurze zelżał, woda płynęła wolniej.

– To co, zabijemy go? – spytała jeszcze z nadzieją Ewa, ale gdy pokręciłem głową, opuściła z rezygnacją maczetę i pomasowała zdrętwiały nadgarstek. Kazałem jej wyjść na górę. Zrobiła to z ociąganiem. Była fantastyczna. Miałem ochotę ją pocałować.

– Zabij mnie, Jaromin – powiedział cicho Nowicki. – Bo ja cię na pewno zabiję.

– Wątpię – odparłem i wyszedłem za Ewą. Kłapę od piwnicy zablokowałem metalową zasuwą i zabraliśmy się do roboty. Dokładnie przejrzelismy miejsca prowizorycznych wykopków naszych bohaterów, przerzuciliśmy trochę ziemi z hałdy wokół dołu po rozdzielni, sprawdziliśmy narzędziownię, a na koniec łaziliśmy po placu i na wrywki dziobaliśmy w ziemi, licząc na łut szczęścia. Pudło. Nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad ich szczątków.

– Może są w tunelu? – zasugerowała Ewa. Znow wyglądała na słabą i niezdecydowaną, saperka zwisała jej jak walek do ciasta.

Wzruszyłem ramionami.

– Może. Ale skąd by się tam miały wziąć?

Przez ostatnie dni prześladował mnie bardzo sugestywny obraz rzezi we młynie i drobnych dziecięcych ciał wrzucanych do dołu wykopanego pod rozdzielnię prądu. Nie mogłem się teraz pogodzić z faktem, że to nieprawda. Nie było ich tutaj. Ale gdzie w

takim razie były? Dokąd je zabrali? Usiadłem na kupie gliny i zakryłem twarz. Nos bolał mnie jak diabli, ale nie zwracałem na niego uwagi. Gdzie one są?

W górze, pomiędzy strzępami porozrywanych chmur, świeciły gwiazdy. Ewa usiadła obok i wzięła mnie za rękę.

– Nie martw się. Jutro zaczniemy od nowa.

Dudnienie wody pod ziemią ustało, zapadła cisza. Z goryczą pomyślałem o ciałach Zylbersztajna i Kublickiego, które szalejąca Młynówka zgarnęła i poniosła gdzieś do Sowy. Drugi raz ich już raczej nie znajdę. Przeszłość rozmywała mi się w mgłę, dzieci znowu znikły.

Mój drogi, nieznany, żydowski dziadku – gdzie one są? Ale dziadek przecież też nie wiedział. Stoczył się z Kublickim do wody, zanim je pogrzebano. Dawid, Lora, Natan i Josele, Chaim, Rywka – gdzieście się schowali?!

Nie miałem już kogo pytać. Skończyły mi się pomysły. Podziemia starego młyna to ostatnie miejsce, gdzie zbiegały się linie wody, ziemi i złota. Ten, co ukradł paszport hrabiego i podszywszy się pod niego, uciekł do Brazylii, też już nie żył. Ciekawe, jak naprawdę się nazywał.

Wróblík? Może. Albo inaczej. Teraz to już bez znaczenia.

Siedzieliśmy na kupie ziemi i marziśmy. Ewa trzęsła się jak w febrze, więc wyszukałem w szopie na placu bluzę roboczą i kazałem jej włożyć wbrew protestom i marudzeniom, że „śmierdzi naziolem”.

Czas płynął, jeszcze trochę i trzeba będzie się zmywać, bo albo tamci wygrzebią się w końcu z piwnicy, albo ktoś nas tu nakryje. Spojrzałem na zegarek, minęła pierwsza. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Bolał mnie nos i było mi cholernie zimno, pod ziemią siedzieli trzej pokiereszowani kopacze złota, gdzieś obok nas, też pod ziemią, powinny leżeć szczątki sześciorga dzieci, które niosły to złoto z nadzieją, że kupią za nie trochę życia, i teraz czekały, aż je znajdę i pochowam na żydowskim cmentarzu. A ja, cóż, nawaliłem na całej linii. Z tyłkiem w glinie przeżuwałem klęskę jak kawałek podszwy. Ewa kichała.

Pędzące chmury bawiły się w chowanego z gwiazdami.

Ewa kichnęła i usiadła obok mnie na stercie ziemi, jak przy stoliku w knajpie. Spojrzała w stronę klapy, skąd rozległo się dudnienie i stłumione okrzyki.

– Można by ich powiązać i odstawić Węgrzynowi, jak świnie do punktu skupu – odezwała się.

– Obawiam się, że mógłby zwinąć kontrahentów razem z towarem – odpowiedziałem, kopiąc butem glinę. Tarłem czoło, bo coś pod nim znowu zaczęło pulsować. Jakieś zdanie, uwaga o kablach w ziemi, że powinny iść w dół. Moja zrozpaczona wyobraźnia czepiała się coraz cieńszych nitek.

– Wszystko na nic – westchnęła Ewa i znowu kichnęła. – Nie ma ich tu. O czym myślisz? O tym, że jakbyśmy poszli wszyscy, całą szóstką, toby się udało, co? Bo ja właśnie tak myślę. Sprawa się rozlazła, puściła na grubych i w dodatku zbyt rzadkich szwach. Marna fastryga.

Co? Nie wydaje ci się? Powiedz coś.

Gadała kompulsywnie, wciąż pod wpływem tych wszystkich nagromadzonych emocji. Naprawdę chciała mi pomóc, raz w życiu zrobić coś dobrego i ważnego, więc dała z siebie, ile mogła. A i tak jej synowie nigdy nie zaznają spokoju.

– Myślę o tym – zacząłem powoli, dobywając słowa z głębin – co Grzesiek Wilk mówił o kładzeniu kabli. Że idą w dół wzniesienia i że ziemia pod murem była inna...

Nagle zrozumiałem. Mój ojciec widział ją usypaną tuż pod ścianą młyna. Czyli dziurę wykopano kilka metrów dalej! Dziurę pod kabel biegnący w dół!

Poderwałem się i złapałem sztychówkę.

– Chodź!

Ewa patrzyła na mnie szerokimi oczami. Nie ruszyła się z miejsca, więc szarpnąłem ją za ramię. Pobiegliśmy do wykopu pod rozdzielnią, zeskoczyliśmy na dno i zaczęliśmy obmacywać ścianę jak geolodzy.

Tkwił dwa metry pod ziemią, okrągły trzyżyłowy przekrój kabla z czarną obwódką, niczym przecięty ogon wielkiego gryzonia. To miało sens! Woda szła w dół i prąd szedł w dół, na łąki, tam, gdzie kumulacja podziemnej energii narobiła tyle zamieszania.

Spojrzałem na zegarek – pierwsza czterdzieści trzy.

– Kopiemy? – spytała Ewa niepewnie. W ręku trzymała łopatę.

W kufajce z pakamery wyglądała na fachowca od robót ziemnych.

– Skoro już tu jesteśmy... – odparłem i wdrapałem się na górę.

Wymierzyłem prostą linię na powierzchni i wzięliśmy się do roboty. To znaczy zamierzaliśmy się wziąć, ponieważ przerwał nam głos zza pleców:

– A więc jednak.

Nowicki stał w otoczeniu trzech uzbrojonych mężczyzn – jeden z nich miał bejsbolowy kij, drugi maczetę, a trzeci owinięty wokół dłoni łańcuch. Musiał po nich zadzwonić. Byłem wściekły na siebie, że nie odebrałem mu komórki. Drobnym błędem. Ewa natomiast poderwała się z uniesioną łopatą, gotowa do walki, ale ją powstrzymałem.

– Dogadajmy się – zwróciłem się do Nowickiego. – Poczekajcie, aż załatwimy swoje, potem możecie szukać złota.

Ruszyli na nas z dwóch stron. Na znak dobrej woli odrzuciłem łopatę i wystąpiłem przed Ewę.

– Bądź rozsądny, Nowicki. Nie potrzebuję twojego złota, które, nawiasem mówiąc, nie jest twoje, a ty nie potrzebujesz kości dzieci.

Pozwól nam dokończyć robotę, a jak znajdziemy to, co cię interesuje, dostaniesz swoje. To korzystny kontrakt. My kopiemy, wy bierzecie skarb. Masz robociznę gratis.

– A potem cię zabiję – dokończył, rozciągając wargi w nieprzyjemnym grymasie. Z blond lokiem i niebieskimi oczami wyglądał niczym upadły anioł. Jego wygolona asysta już nie.

– Potem mnie zabijesz – zgodziłem się, a Ewa skoczyła do przodu.

– Zwariowałaś? Rozwalmy tych gnojników!

Woda pod ziemią huczała coraz głośniejsze, znowu coś wywaliło na stawach. Dudnienie mówiło, że to jeszcze nie koniec rozgrywki.

Należało działać spokojnie. Złapałem Ewę za łokieć, gdy napiętą jak sprężyna ręką uniosła sztychówkę niczym dzidę i dyszała tym swoim tygrysim pomrukiem. Szła druga fala nienawiści i zemsty.

Po tamtej stronie też rosło napięcie. Trzech ziomków uniosło broń i przygotowywało się do ataku. Nowicki włożył prawą dłoń do kieszeni kurtki. Jeśli dojdzie do walki, moja ostatnia nadzieja upadnie jak ten anioł. Uniosłem rękę i rzeczowym tonem powtórzyłem swoją propozycję:

– My kopimy, wy się przyglądacie. Znajdziemy złoto, trafia do was. Trafiamy na kości, zabieramy je i odchodzimy. Wy możecie kopać dalej. Jeśli ci zależy na mnie, zostanę. Ale ona odejdzie w spokoju.

Zatoczyłem ręką, chowając Ewę za siebie. Nowicki zmrużył oczy.

Łysol po prawej zabrzączał łańcuchem i czekał tylko na sygnał od szefa.

Ewa znowu zawołała:

– Zwariowałeś?!

– Tak, już jakiś czas temu. No co – zwróciłem się do Nowickiego – umowa stoi?

Zerknął na swoich i po krótkim namyśle powiedział:

– Okej, Jaromin. Wy kopiecie, my pilnujemy.

– Skopię twoje jaja! – syknęła Ewa.

Napięcie w powietrzu było takie, jakby nieistniejąca rozdzielnia prądu, na miejscu której staliśmy, nadal działała. Nowicki uśmiechnął się i wysunął język.

– Dobra, do roboty! – zawołałem, słysząc, jak pod ziemią wzbiera kolejne potężne uderzenie żywiołu. – Ewa, tu zaczynamy!

Klasnąłem w dłonie, żeby odciągnąć jej uwagę od batalistycznych myśli, i odwróciłem za ramiona, pokazując, gdzie ma zacząć. Obejrzała ze zdziwieniem sztychówkę i ostrze z ząbkowanym wykończeniem, po czym bez przekonania wbiła ją w glebę.

– Sprawdzaj, co wyrzucasz – poleciłem. Na gorąco wymyślałem plan robót, byle odwieść ją od chęci rzucenia się na tamtych. Widziałem w jej oczach pierwsze przebliski żądzы krwi. Praca powoli ruszyła.

Tamci otoczyli nas i świecąc latarkami, przyglądali się z uwagą przerzucanej ziemi, jakby ich upragniony skarb leżał tuż pod powierzchnią. Nie, chłopcy, tak pięknie to nie będzie.

Rzuciłem się w wir kopania, żeby nie słyszeć narastającego pod nami huku Młynówki i zrodzonych z niego, uporczywie krążących nade mną czarnych myśli. Czułem, że coś się zbliża, ale nie miałem pojęcia, co to jest. Nie potrafiłem nawet ocenić, czy to coś dobrego, czy wręcz przeciwnie. Dudniąca woda tłukła mi prosto w czaszkę. Zaciśnąłem szczęki i powtarzałem sobie w kółko: to musi być tu, to musi być tu...

Ustawieni obok siebie, wpadliśmy w rytm i wyrzucana ziemia dosłownie fruwała nad naszymi głowami. Początkowe skupienie na twarzach obserwujących nas mężczyzn stopniowo przechodziło w zniechęcenie. Po godzinie tkwiliśmy z Ewą po czubki włosów w wielkim dole, a ziomale na górze grzebali i grzebali, z coraz większym znudze-

niem.

Niczego nie znaleźliśmy. Ani kości, ani złota.

Kiedy opadłem z sił, rzuciłem łopatę w miękką glinę, która od spodu coraz bardziej nasiąkała podskórną wodą. Tak przynajmniej to sobie wtedy tłumaczyłem, bo później moje podejrzenia uległy modyfikacji. Gdy opierałem się plecami o ścianę wykopu, czułem drżenie ziemi. Tam w dole szalał żywioł.

– Skąd tyle tej wody? – mruknął pod nosem człowiek Nowickiego, ale nikt nie podjął tematu. Dyszałem ze zmęczenia, ale chyba jeszcze bardziej od podchodzącego mi do gardła podejrzenia, że to nie tu. Ewa sapała ciężko. Wraz z upływem sił opuszczała ją również ochota do walki. Mieliśmy dosyć. Wreszcie ciszę przerwał jeden z łysoli:

– Szefie, tu nic, kurwa, nie ma.

– Widzę – warknął wściekle mój następcą w redakcji „Głosu Oszpicyna”. – Jaromin, pograłeś ze mną w chuja. A teraz za to zapłacisz.

Pochylił się nad dołem i uniósł okazałą pałkę. Wtedy od placu dobiegł nas rozdzierający wrzask. Już minutę wcześniej odniosłem wrażenie, że podziemny huk nabrał nowych, nieprzyjemnych odcieni, a teraz miałem pewność. W piwnicy wywaliło otwór i woda najwyraźniej robiła coś z dwoma pokieroszowanymi łysolami, których koledzy zostawili tam do czasu zakończenia poszukiwań. To ich rozwrzeszczane głosy dobiegały przez kłapę.

– Niech to szlag trafi – powiedział dziwnie spokojnie Nowicki i wszyscy jak na komendę rzuciliśmy się z powrotem na plac. Pierwszy dotarł na miejsce ten wielki od łańcucha i zaczął szarpać zasuwę kłapy, ale ta nie chciała puścić. Kopnął ją butem, a potem próbował wyrwać.

Bezskutecznie. Patrzyliśmy na jego zmagania, wsłuchując się w nieludzki wrzask spod ziemi.

– Po coś ich, kurwa, zamknął?! – krzyknął gość z maczetą do Nowickiego. W odpowiedzi otrzymał od niewinnie wyglądającego blondyna z loczkiem błyskawiczne uderzenie pałką i runął na ziemię, trzymając się za łeb. Nowicki pochylił się, jakby chciał na niego wymiotować.

– Nikogo nie zamykałem, matole!

Furia Nowickiego była nagła. Prawdziwa. Zdradzała autentyczny strach. Ten drugi gapił się bezmyślnie to na szefa, to na tego z rozbitą głową, to na kłapę, spod której dochodziły wrzaski.

– Niech ich zeżre – burknęła półgłosem Ewa.

Właśnie w tym momencie siłacz przy klapie wstał i potężnym kopniakiem glana zerwał skobel. Zajrzał do środka i znieruchomiał.

– Co jest, kurwa...

Nowicki odepchnął go, zerknął i natychmiast się wyprostował.

W świetle latarki jego twarz przybrała blady odcień. Trzeci gapił się na niego i nie ruszył się z miejsca. Stałem obok Nowickiego i zajrzałem.

Ludzie w piwnicy właśnie zamilkli. Ten z wyłamanym łokciem leżał i orał palcami zdrowej ręki podłogę w przedśmiertnych drgawkach, a jego korpus przedstawiał kłębowisko pociętych ubrań i wnętrzności.

Był rozpruty od szyi po krocze. Odrąbana od golenia prawa stopa wykrzywiła się pod dziwnym kątem. W poszerzonym kolejnymi uderzeniami wody otworze, którym wydostaliśmy się z Ewą z kanału do piwnicy, kręcił się wir różowej piany. Wsysał tego drugiego. Jego nogi znikły już pod ziemią, lewa ręka na próżno usiłowała zaczepić się o coś na śliskiej, gliniastej powierzchni. W prawej trzymał zakrwawioną maczetę. Na wykrzywionej z bólu i przerażenia twarzy poruszały się otwarte w niemym krzyku usta. Nad jego łysą głową, tuż pod niskim sufitem, drżał czarny cień. Nagle z otworu buchnął w górę słup wody, zakręcił się malowniczym piruetem i porwał człowieka z maczetą, obracając nim jak szmacianą lalką. Sekundę trwał niewiarygodny taniec, po czym rozległo się donośne chlupnięcie i tułów z uniesionymi rękami zniknął w otworze, a maczeta z pacnięciem upadła w błoto. Czarny cień oderwał się od sufitu i skoczył za nim. Woda w dziurze zabulgotała jak w odpływie z wanny i zapadła cisza.

Zbiegłem na dół i pochyliłem się nad rzeżącym człowiekiem.

– Co tu się stało?

Obrócił na mnie głupie, zachodzące mgłą oczy.

– Chrrr...

– Co, do cholery? Mów!

Odpływał. Szarpałem go za ramię i krzychałem „co”, dopóki Ewa nie odciągnęła mnie na bok.

– On nie żyje.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wrzeszczał ktoś na górze, nie panując nad sobą. Podszedłem do otworu i spojrzałem w dół. Na powierzchni czarnej wody przez ułamek sekundy błysnęły czerwone oczy, a potem Młynówka z dudnieniem popłynęła dalej. W nozdrza buchnęło mi zatęchłe powietrze.

Ślizgając się w czerwonym błocie, wróciłem do Ewy, która bezradnie przyglądała

się zmasakrowanym zwłokom. Żeby w ogóle coś zrobić, powlekliśmy je ku schodom. Nie doszliśmy. Z góry stoczył się Maciek Nowicki, odbił się plecami od ściany, otrząsnął z błota i ruszył na nas. Umowa się anulowała, a raczej anulował ją podziemny żywioł.

Nowickiego przywitało bojowe wycie Ewy Kolanowskiej. Puściłem trupa i pobiegłem ku schodom, by wydostać się z powrotem na górę.

Ewa pobiegła za mną, wiedziałem dlaczego. Na górze została nasza broń.

No i zaczęła się następna jatka.

Kiedy staliśmy naprzeciw siebie i dyszeliśmy żądzą zwierzęcego mordy, pojąłem, że to jeszcze nie koniec. Że nigdy nie będzie koniec.

Prędzej czy później Młynówka znowu uderzy zgniłym, trującym powietrzem i odbierze nam rozum, popychając do bezsensownej walki.

O co? O nasze urojenia? Nagle zapłonęły ustawione na statywach lampy i na placu zrobiło się jasno. Nie wiem, kto je włączył, przecież wszyscy staliśmy tu i patrzyliśmy na siebie, czekając na dogodny moment do ataku. Próbowałem zapanować nad sobą, ale w tym gronie stanowiłem wyjątek. Pierwsza skoczyła Ewa. W ręku miała swoją sztychówkę z ząbkowanym ostrzem, a w oczach śmierć. Rzuciłem się, by ją powstrzymać, zmiotło mnie jednak błyskawiczne uderzenie pałki.

Padając, jednym okiem zobaczyłem, jak Nowicki zwała się obok, trafiony przez Ewę rozprawiającą się z wszystkimi trzema naraz.

Zwijąłem się z bólu i myślałem, że to wszystko jest kompletnie absurdalne.

Nowicki wykorzystał okazję. Przetoczył się na mnie i zacisnął mi ręce na szyi.

– To przez ciebie, skurwysynu – wycharczał.

Zdołałem jakoś przewrócić go na plecy, ale zwinął mnie ból sztucznej nerki. Zauważył to od razu i uderzył w nią zaciśniętą pięścią.

Zawyłem z bólu, a kiedy Nowicki odsunął się, przygotowując do kolejnego ataku, moja dłoń natrafiła na rękojeść maczety. Zacisnąłem na niej palce i właśnie zamierzałem się podnieść, gdy ktoś z tyłu złapał mnie za nadgarstek.

– Dostyc.

To był Mariusz Węgrzyn. Odebrał mi broń jak dziecku i rzucił ją w błoto. Szarpnąłem się, ale błyskawicznie skuł mnie kajdankami i posadził na glinie.

– Jeśli się stąd ruszysz, nie wyjdiesz z pierdła do końca życia – powiedział żelaznym tonem. Nie czekając na odpowiedź, wpadł z czterema policjantami między walczących jak porządkowy na scenę teatru, gdzie grana jest zakazana sztuka. Aktorzy nie zwracali na nich uwagi, grali swoje role z zapamiętałością gladiatorów, a ich talenty czerpały nieograniczoną moc z odmetów podziemnej rzeki. Odciągani przez policjan-

tów, szarpali się i rwali z powrotem do walki. Mówiłem, że prawda tkwi w emocjach, nie w rozumie.

Najdłużej przed policjantami broniła się Ewa. Przyglądając się jej zwinnym unikom, doszedłem do wniosku, że powinna się zapisać na kurs kung-fu. W walce wróciła jej młodość i cała energia, którą straciła wraz z rodziną. Odpracowywała grzechy przodków z godnym podziwu poświęceniem i po raz kolejny zrobiło mi się jej żal. Zwykle najwięcej płacą niewinni.

Zapanował nad nią Mariusz Węgrzyn. Rozpoznał schemat jej kroków, ustawił się w odpowiednim miejscu i kiedy doskoczyła do jednego ze skutych więźniów, objął jej ramiona od tyłu i już nie puścił.

Kopała go po goleniach, tłukła łokciami i potylicą, ale przywarł do jej pleców i jak doświadczony myśliwy wziął ją na przetrzymanie. Wreszcie opadła z sił i bezwładnie zwisała na jego rękach. Kiedy się ocknęła, podniosła na niego zdziwione oczy i powiedziała:

– Co to ma znaczyć? Niech mnie pan puści!

Puścił ją i wprawnie założył kajdanki. Już bez oporu dosiadła się do mnie i wymieniliśmy zadowolone spojrzenia, jak para młodocianych chuliganów, którzy cieszą się, że skutecznie narozrabiali. Część obrażeń wyglądała całkiem poważnie, wszyscy jednak się uśmiechali. Ewa posłała mi całusa, a ja w odpowiedzi wyszczerzyłem do niej zęby.

Szum wody ucichł, gdy Węgrzyn z dwoma policjantami zeszli do piwnicy. Po chwili wrócili bladzi i Mariusz wbił we mnie wzrok.

– Kto to zrobił?

Było już jasno. Szosą przejechał samochód, za nim na horyzoncie czerwieniły się chmury, podświetlone od spodu podziemnym słońcem.

Na stawach krzyczały rybitwy. Gwiazdy gasły. Piękno nie dawało za wygraną, jak zawsze. Wzruszyłem ramionami.

– Potwór.

Kiedy pan Zylbersztajn krzyknął *weglojfn!*, Dawidek wcale nie rzucił się pierwszy do ucieczki. Był najstarszy i powinien w pierwszej kolejności pomóc młodszym, więc pchnął Rywkę na drzwi młyna, a sam zasłonił ją swoim szczupłym ciałem. Pan w brązowym płaszczu skoczył jednak najpierw do okna, za którym znikł Daniel, a Chaimek właśnie drapał się za nim. Złapał małego Kuppermana za nogę i pociągnął z całej siły, wyrzucając na środek jak lalkę. Chaim zaczepił podbródkiem o parapet i teraz dociskał rozerwaną twarz do kurteczki, wijąc się i jęcząc jak piesek. Dawid znieruchomiał z przerażenia i upuścił worek ze złotem na podłogę. Dzieci szarpały zasuwę. Dopadł do nich gruby mężczyzna z dziurawymi zębami, złapał obu braci Krugerów za karki jak króliki, po czym wywlókł na środek i rzucił obok Chaimka. Pan zwany Fryderykiem porwał sakwę spod nóg Dawidka i schował pod poły płaszcza. Chłopiec rozkrzyżował ramiona.

– Nie wolno. Umowa... – wyszeptał.

Pan hrabia uderzył go mocno w twarz.

– Zamknij się, smarkaczu!

Ominął kulącego się Dawida i pobiegł za dziewczynkami, które właśnie odblokowały zasuwę i wydostały się na zewnątrz.

– *Weglojfn!* – krzyknął Dawidek tak samo jak pan Zylbersztajn i stracił przytomność od uderzenia w potylicę.

Dziewczynki znikły w kompletnej ciemności i mężczyźni nieźle się natrudzili, nim przywlekli je z powrotem do młyna. Mieli znowu całą szóstkę, tylko ten pierwszy, co wyskoczył przez otwartą okiennicę, rozpląnął się w mroku.

Hrabia zdecydował, że poszukają go rano.

– Daleko nie uciekł – oświadczył z przekonaniem, choć sam w to nie wierzył. Dzieci są jak zwierzęta, potrafią się zaszyć w najgorszej dziurze i szukać wiatru w polu. Zgarznął dwa pozostałe worki ze złotem, jeden z nich wyjmując z rąk Łopatki, który już zaczął grzebać w środku.

– Żydki jebane – mruknął chłop w kapeluszu z pogiętym rondem. – Co z nimi zrobimy?

– Ty się, Wróblík, głupio nie pytaj, tylko bierz sznury i wiąż – polecił mu hrabia. – Do roboty!

– Nie lepiej tu, na miejscu? – spytał von Knieprode, przytrzymując obu braci Krugerów. – Jeszcze nam znowu kto ucieknie.

– Nie moja sprawa, jak to załatwicie – odparł Fryderyk, macając złożone pod ścianą sakwy. – Wzięliście to na siebie. Dół macie gotowy.

– Pokazał palcem na zachodnią ścianę młyna i wrócił do swojej zdobyczy.

– Najpierw dzielimy – mruknął złowrogo Łopatko, przyglądając się spode łba hrabiemu. Ośrodek jego zainteresowania również znajdował się przy pękatych workach. Hrabia zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

– Chcesz brać zapłatę przed wykonaniem roboty? Nie taka była umowa.

– Umowa się zmieniła. Jeden uciekł. Tu nie możemy ich zakopać.

Dobrze gadam, chłopcy? – zwrócił się do pozostałych, a ci mruknęli z aprobatą. Kolanowski vel Knieprode niby bez związku wyjął z kieszeni rewolwer i bawił się bębenkiem.

– A to znaczy – ciągnął Łopatko – że trzeba je wywieźć. Kto to zrobi?

Hrabia westchnął ciężko nad niezgłębionym prymitywizmem polskiego chłopca, pogrzebał w jednym z worków i wyjął pierwszy przedmiot, jaki mu się nawinął. Wręczył go Łopatce, mówiąc:

– Ty to zrobisz. A tu masz zapłatę.

Chłop obmacał dokładnie złoty kałamarz z przewiazaną sznurkiem przykrywką. Chwilę posapywał pod nosem, wreszcie mruknął na zgodę i schował przedmiot do kieszeni.

– Gdy Szwagryk się dowlecze – dodał, a wtedy jak na zawołanie drzwi otwarły się i do środka wtoczył się woźnica Szwagryk w grubej kapocie i z przekrwionymi oczami.

– Niech będzie poch... – zaczął basem i przerwał na widok krwawiącego Chaimka.

– Właż i zamykaj! – warknął hrabia. Był wściekły, ponieważ jego plan się skomplikował. Ci durnie gotowi jeszcze sprzątnąć mu sprzed nosa złoto. Jego złoto! Przecież to on nagrał całą sprawę, on wciągnął naiwnego Abramka w piękny żydowski interes i jemu się należała nagroda. A te kmioty brały dwa worki! Ile taki kmiot potrzebuje?

– Podzielimy się – zaczął powoli – ale najpierw trzeba z nimi skończyć. Kto pierwszy?

– Pokażę wam, jak się to robi! – zakrzyknął z niezrozumiałą wesołością człowiek w mundurze i zatrzasnął bębenek w rewolwerze.

Zdjął płaszcz i szeroki pas oraz czapkę, wręczył to wszystko jednemu z chłopów, nakazując pilnować jak oka w głowie, i zatarł ręce. Złapał za kołnierz Natana, pociągnął pod ścianę i przystawił mu lufę do główki.

Rywka wydała z siebie cichy jęk, a starsza od niej Lora ścisnęła ją za rękę tak, że chrupnęły kości.

– Zamknij oczy – szepnęła. – Zamknij oczy...

– *Mamele!* Siusiu! – jęknęła Rywka i w tym momencie rozległ się strzał. Huk poniósł się pod dach i zawirował jak wiatr. Dziewczynki objęły się. Drugi z Krugerów, Josele, na odgłos strzału zemdlał. Drobne ciało stuknęło o podłogę jak wiązka chrustu. Kolanowski złapał go za rękę i pociągnął na wiecheć słomy. Rozległ się drugi strzał. Rywka zacisnęła palce do krwi na szyi Lory, ale ta nie czuła bólu. Nie słyszała strzału ani krzyków pijanych mężczyzn, tylko jak ziemia pod nimi dudni.

– Módl się – szepnęła Rywce na ucho.

– Nie umiem.

– To powtarzaj: *Adonai Jahwe sabbaot*. Tatuś tak mówił.

– *Adon...nai... Jahwe... sabba...*

Padł następny strzał. I jeszcze dwa kolejne. Rywka przestała mówić. Żadna z nich nie śmiała otworzyć oczu, wczepiły się w siebie i czekały. Doczekały się. Ktoś zaczął je szarpać, rozdzielać.

– Chodźcie, sikorki – wybełkotał czerwony na twarzy chłop i Lora pomyślała, że ma gębę wielką jak Czarnoksiężnik z krainy Oz. *Tatele* kupił jej taką bajkę. *Tatele...*

– Z tą można by się już zabawić – usłyszała, gdy wielki prowadził ją pod ścianę. Chłopcy leżeli zabici. *Tatele* mówił, że tak może być i żeby się nie bała, on na nią czeka w niebie.

– Zamknij się – powiedział ktoś inny, chyba ten hrabia.

Nie bała się. Chciała jak najszybciej do nieba. Zamknęła oczy i mówiła to, co jej kazał tatuś: *Adonai Jahwe sabbaot*. Tego strzału już nie słyszała.

Została tylko Rywka.

– To będzie moje – powiedział chudy w kaszkiecie, wrywając jej pluszowego misia. – Co tam zaszylaś w środku, he?

Wyjął nóż i rozciął zabawkę. Wszyscy znieruchomieli, wpatrując się w jego rękę,

nawet Rywka na moment przestała płakać i krzyknęła:

– Zostaw, to mojego taty!

Nagle zaczęli się głośno śmiać, a ona nie wiedziała dlaczego. Miała mokro w majtkach i strasznie ją szczypało, więc nawet nie zauważyła, kiedy ten w mundurze podprowadził ją pod ścianę. Sięgnęła ręką pod płaszczyk i chciała sobie poprawić bieliznę, kiedy...

W ciszy po ostatnim wystrzale zabrzmiał tylko jeden dźwięk. Po betonowej podłodze młyna toczył się metalowy pojemnik z rolką filmu pana Lejbowitza, który miał być ocaleniem oszpicyńskich Żydów od zapomnienia. Wypadł z rozciętego brzucha pluszowego misia, potoczył się ku zachodniej ścianie, przeciął stróżkę krwi Chaimka i znieruchomiał.

– Dobra, zwijamy się stąd – zakomenderował Fryderyk, poirytowany ciszą. Woda pod nimi przestała szumieć, ale czas nadal płynął. – Ładujcie ich na wóz i zabierajcie. Ty – dotknął palcem ramienia jednego z chłopów, który wydał mu się najmniej pijany – przypilnujesz, żeby nie zostało żadnych śladów. Żadnych, rozumiesz?

Chłop coś warknął, ale nadszedł Kolanowski z rewolwerem, więc tylko kiwnął łbem i odszedł. Patrzyli, jak tamci rozkładają płachtę na podłodze młyna i przenoszą ciała dzieci razem ze słomą, a szmatami ścierają podłogę. Grzebali trupkom po kieszeniach kurtek, rozdzielali podszewki. Kublicki odwrócił się.

– Jedźmy – powiedział do człowieka w mundurze. Niepokoiło go to wszystko. Nie tak miało być. Zabrał złoto i ruszyli do samochodu.

W Sępni podzielił się zawartością worka i na jakiś czas przerwą intratny biznes z ratowaniem Żydów. Kublicki w głębi duszy postanowił więcej do niego nie wracać. W oczach tego naiwnego, głupiego Abrahama było coś takiego...

– Muszę za potrzebą – wypalił nagle Kolanowski, gdy samochód podskakiwał na nierównej drodze między stawami. Niebo na wschodzie nieco poblądło.

– Ty idziesz ze mną – powiedział z uśmiechem Kolanowski, gdy hrabia zjechał, i pokazał lufą rewolweru na worek ze złotem. Kublicki wyłączył motor i wysiadł.

Być może zainspirował go meteor, który przeciął niebo nad lasem i zgasł z bezgłośnym pyknięciem jak magnezja. Kolanowski zatrzymał się w niemym podziwieniu, za co zapłacił życiem, ponieważ w tym samym momencie but hrabiego potracił spory kamień. Kiedy odwrócił się z uniesionym rewolwerem, Fryderyk właśnie się schylał. Na widok lufy uderzył z dołu kamieniem w szczękę Kolanowskiego, poprawił kilka razy w skroń, a następnie zawlókł ciało po grobli do pidła i wrzucił w mroczny otwór. Posłuchał chwilę ciurkającej wody, po czym schował do kieszeni śmieszny rewolwer i wsiadł za kierownicę. Poklepał z czułością worek na przedniej kanapie i nieco mu ulżyło. Wrócił do Sępni, zakopał złoto w samym rogu dworskiego parku, na wierzch położył rewolwer Kolanowskiego, zaznaczył miejsce na odręcznym rysunku i poszedł do siebie. Kiedy wchodził do pokoju, na korytarzu pojawiła się jego siostra.

– Gdzie byłeś? – spytała zimno.

– W mieście.

– Jesteś trzeźwy – zauważyła, mrużąc oczy.

– Miałem inne przyjemności – uśmiechnął się i zamknął za sobą drzwi. Schował plan do szuflady i zamknął ją na kluczyk. Kiedy usiadł na secesyjnym krześle i położył ręce na rzeźbionych oparciach, przypomniał sobie o Abrahamie. Natychmiast wrócił do garażu i wskoczył za kierownicę, a wtedy na tylnym siedzeniu zauważył tłumok. Rozchylił go – w środku znajdował się płaszcz Kolanowskiego, jego pas i czapka. Oraz jedna żydowska lampa. Zaklął cicho, uruchomił samochód i pojechał z powrotem do młyna...

Wróblík z tym chudym w kaszkiecie porwali swój worek i pobiegli prosto w zagajnik, chcąc jak najszybciej zniknąć z oczu pozostałym.

Wiedzieli, co się roi w ich pijanych głowach, sami mieli podobne myśli.

Kiedy uznali, że są bezpieczni, przycupnęli pod dębem i jeden sięgnął do worka, żeby rozpocząć dzielenie zdobyczy, a drugi sięgnął za pazuchę po nóż. Sprawnie dźgnął kolegę i zepchnął do stawu. Miał go później uratować jeden z mieszkańców Podborza, niejaki Borowiec. Zanim zabrał rannego do domu, obszukał jego ubranie i znalazł pluszowego misia z czymś w środku. Wziął do domu, a potem jego syn sprzedał zabawkę pewnemu jubilerowi z miasta. Widocznie znajdowanie ciekawych rzeczy było w tej rodzinie tradycją.

Wróblík przed zepchnięciem kompana do wody wyciągnął mu zza pazuchy butelkę samogonu i pociągnął spory łyk. Potem drugi. A że miał już wcześniej w czubie, poszedł dalej chwiejnym krokiem, mamrocząc coś pod nosem i tuląc worek jak dziecko. Gdyby ktoś go wtedy podsłuchał, usłyszałby zadziorną opowieść o najbogatszym chłopie we wsi, który będzie miał parę koni, kawał pola i „im pokaże”. Kiedy doszedł do grobli, ujrzał przy brzegu kołyszącą się łódź, a że wolał nie obchodzić całego Wójtowca naokoło i narażać się na spotkanie kogoś, wsiadł do niej i celując dziobem w światło latarni naprzeciwko, odepchnął się od brzegu. Siły uzupełniał łykami samogonu. Po stu metrach poczuł, że ma mokre nogi. Spojrzał pod siebie i krzyknął. Łódka tonęła. Zdążył jeszcze zawinąć swój worek bogatego gospodarza w kapotę i wrzucić do wody, po czym skoczył i popłynął, trzymając się burty. Lodowata woda zrobiła swoje, zasnął po pięciu minutach...

Szwagrzyk z Łopatką też pili na koźle, poganiając konie po dziurawej drodze, zwanej Groblą Tatarską, i pogadując od niechcienia.

Worek spoczywał między nimi tak, żeby każdy z nich mógł go czuć przez ubranie. Obaj byli wielkimi chłopami, z przeszłością bogatą w bójkę na noże na ludowych zaba-

wach, i nie ufali sobie za grosz.

Musieli jednak dotrzeć na miejsce razem, potem się zobaczy.

– Nie będziemy kopać, co? – upewniał się Łopatko. Szwagryk pokręcił głową i machnął batem.

– Dół jest gotowy, świeżo wykopany. Na krew dla ryb. Pasuje jak ulał – dodał i obaj zarechotali nieszczerze.

Kiedy dotarli na miejsce, świtało. Dół głęboki na dobre dwa metry miał co najmniej pięć metrów długości. Łapali je za ręce, brali rozmach i wrzucali na „dwa”, niczym worki we młynie. Przysypali ziemią, a kiedy uznali, że nic nie widać, obaj na „dwa” wyciągnęli noże. Alkohol nie pozbawił ich wyćwiczonej sprawności i ciosy padły równocześnie, szybkie i dobrze wymierzone. Szwagryk z przeciętą szyją wpadł do dołu na rybią karmę, zakrywając sobą ciała dzieci, ale jego nóż potężnym pchnięciem poszedł od dołu w serce przeciwnika. Poszedł i nie doszedł. Zsunął się po grubym szkle kałamarza ze złotą przykrywką, który Łopatko wetknął za pazuchę na swoje nożownicze szczęście.

Nóż przeszedł na wylot bokiem i rozciął mu pół brzucha, buchnęła krew, ale ten nie stracił przytomności. Dowłókł się do furmanki, wdrapał na kozioł i przytulając do siebie złotą sakwę, wziął w drugą rękę lejce i popędził konie. Nie docenił ich lojalności. Kiedy usłyszały, że to nie właściciel je pogania, zarżały i szarpnęły w bok, skręcając z grobli wprost do lasu. Stracił równowagę i runął na ziemię. Konie popędziły jak szalone, a ich rzenie długo niosło się leśnym świtem. Ostatnie, co zobaczył, to podskakujący na koźle worek, a potem stoczył się do rowu i zemdłał.

W ranę wdało się zakażenie i zanim umarł, powiedział swojej żonie o skarbie zakopanym przy żydowskich dzieciach. I jeszcze coś o młynie.

Nie uwierzyła mu, myślała, że bredzi w gorączce. Po jego śmierci opowiedziała jednak tę historię synkowi, tak po prostu, żeby miał pamiątkę po ojcu. Mały Alfred ją zapamiętał...

– Mój teść mawiał: gdzie woda była, tam woda będzie – odezwała się Ewa.

Siedzieliśmy na korytarzu komendy przed gabinetem Węgrzyna i czekaliśmy na kolejną rundę zeznań. Wezwano nas jako świadków w sprawie jednego morderstwa i jednego zaginięcia. Obrażenia na ciele ofiary z piwnicy wskazywały na maczetę jako narzędzie zbrodni, chodziło tylko o potwierdzenie, że sprawcą był zaginiony. Tak to Węgrzyn ułożył, żeby trzymało się kupy. Drugie ciało odnaleziono dwa dni później, przyciśnięte nurtem Młynówki do kraty u ujścia rzeczki do Sowy, nieopodal miejsca na plantach, gdzie wiosną czterdziestego roku Zylbersztajn i Kublicki zawierali złoty kontrakt.

W poczekalni Węgrzyn chciał nas rozdzielić, powołując się na jakieś przepisy o izolowaniu świadków, ale Ewa zaleciła mu pocałować się w dupę. Panu podkomisarzowi najwyraźniej uwaga dała do myślenia, bo najpierw zdębiał, a potem machnął ręką i poszedł sobie. Przysiadła się i mocno uścisnęła moją dłoń.

– Nie wiem, co to właściwie znaczy, ale w ten sposób zwykł się pocieszać, kiedy mu brakowało pieniędzy.

– Twój teść? – spytałem machinalnie, nie słuchając. Myślałem i myślałem.

– Tak, Kolanowski. Zresztą nie lubił wody. Mówił, że mu źle robi na kolana. To miał być taki dowcip. Kiedyś jechaliśmy drogą między stawami i zaczął prawie krzyczeć, że ta woda go boli. Nienawidził wody.

– Może nie chodziło o pociechę, tylko klątwę – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

– Nie. Zły sen z dzieciństwa. Idzie brzegiem jeziora, świeci księżyc i leci kometa, nagle wielka fala porywa go i topi. Przypomniała mi się jego opowieść, gdy cię trzymałam za nogę w tunelu. – Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. – Dzięki. Uratowałeś mi życie.

– I tak mówiłaś, że ci wszystko jedno – przypomniałem jej. – „Mnie już nie ma, Wojtek”.

– Zmieniłam zdanie. Wiesz, jak trzymałam tego pizdusia pod maczetą w piwnicy, to mi się tak zachciało żyć, mówię ci! Chyba się zapiszę na kung-fu.

– I na masaż – poradziłem. – Ta woda mogła wejść w kości i łatwo nie wyjdzie...

Nagle rozbolała mnie głowa. Rozpalony pręt przeszył skronie jak za najlepszych czasów, kiedy migrena nie odstępowała mnie na krok.

Docisnąłem pięści do czaszki.

– Co jest? – spytała zaniepokojona.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Ale o czym?

– Co twojego teścia denerwowało w wodzie.

– No... że mu szkodzi na kolana. Bo on jest Kolanowski...

– Nie. O tym śnie.

– Miał sen – mówiła wolno, starając się dokładnie powtórzyć tamte słowa – że idzie brzegiem jeziora, księżyc i wielka fala porywa go i topi.

Brzeg jeziora, księżyc, kometa, fala...

– Słuchaj – zacząłem powoli – chyba wiem, gdzie to jest. Gdy skończą się przesłuchania, musimy...

– Wiesz co, Wojtek, może byśmy chwilę odpoczęli?

Nie słuchałem jej marudzenia, tylko ścisnąłem głowę i powtarzałem półgłosem mantrę: brzeg jeziora, księżyc, kometa, fala, brzeg jeziora, księżyc, kometa, fala...

W tym momencie otworzyły się drzwi od pokoju Węgrzyna i wyszedł Maciek Nowicki. Utykał na prawą nogę, ale na nasz widok uśmiechnął się i przejechał palcem po gardle.

– Pamiętasz – powiedział i przechodząc, zaczepił o mój but.

– Jeszcze się z tobą policzę! – krzyknęła za nim Ewa, ale szybko usiadła na widok wychylającego się z gabinetu Węgrzyna.

– Wchodź. – Pokazał palcem na mnie, unikając wzroku Ewy. Gdy tylko znaleźliśmy się sami, złapałem go za łokieć.

– Słuchaj, Mariusz, wiem, gdzie to jest! Ewa mi właśnie opowiedziała o wstąpieniu jej teścia do wody. Rozumiesz, miał wrodzoną awersję, nabył ją jeszcze w życiu płodowym jako pogrobowiec, bo jego ojciec brał w tym udział. Ja tam już kiedyś byłem, tylko nie skojarzyłem, miałem za mało danych. Ale teraz wiem na pewno! Jedźmy tam!

Strząsnął z siebie moją rękę jak wiecheć. Siłą usadził mnie na krześle i z odległości sugerującej znaczną intymność wypowiedzi wycedził mi prosto w nos:

– Wojtek, jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie, że wiesz, gdzie one leżą i że powinniśmy tam natychmiast wszyscy pojechać z łopatami, tałasami, różańcami i torbami na

złoto, to cię zamknę i już nie wyjdiesz.

Nie wiem, jak to załatwię, ale załatwię. Koniec, słyszysz? Ani słowa!

– Przecież sam mnie prosiłeś...

– Ale już nie proszę. Odwołuję wszystko. Dosyć tego szukania, dosyć obłąkanych teorii, duchów i ruszającej się ziemi. KONIEC!

Ilekoć wracasz do tej historii, natychmiast jedni ludzie giną, a inni dostają amoku i biegają bez opamiętania po okolicy, jakby odgrzebywanie spraw sprzed sześćdziesięciu lat stało się zadaniem ich życia. Zostaw to! Rozkazuję ci jako oficer policji i proszę cię jako przyjaciel. Nie rób tego więcej. Zapomnij. Wszyscy na tym dobrze wyjdziemy. Zrozumiałeś?

– Ale... może to odwrotnie. Może przyczyną jest...

– Pytam, czy zrozumiałeś. Bo jeśli nie, zmieniam kierunek śledztwa i stajesz się podejrzany o zabójstwo. Dowodów nie ma, poszlaki prowadzą we wszystkie strony, więc mogą i do ciebie. Ostatni raz pytam: zrozumiałeś?

Brzeg, księżyc, kometa, fala... Wzięłem trzy głębokie wdechy, przetarłem palcami skronie i głośno przełknąłem ślinę. Koniec.

Zapomnieć. Łatwo ci mówić, komisarzu z szafą pełną segregatorów, protokołów i wyników badań. Można z nich bez końca budować racjonalne wyjaśnienia i następnie podawać jako prawdę. Ja miałem inną szafę u siebie, z dmuchaną żabą, lampą z hebrajskim napisem i zieloną fluorescencją nad miastem. Z tego też można ułożyć wyjaśnienie. Tylko po co? Dla kogo? Wczoraj Węgrzyn stwierdził, że zatrąłem umysły nieszczęsnych rodziców i wmówiłem im absurdalną historię o dzieciach, w nie do końca jasnym dla niego celu, ale nie wyklucza ukrytych intencji związanych z legendami o oszpiczyńskim złocie. Jakby zapomniał, że sam niedawno prosił mnie o pomoc, bo nic mu się nie składało. Na pytanie, po co według niego miałbym to wszystko robić, pokręcił tylko z nieukontentowaniem głową. Dzisiaj poszedł dalej. Koniec. Zapomnieć.

– Okej, wygrałeś.

– Powiedz to głośno.

– Ale co?

Węgrzyn pochylił się jeszcze niżej, czułem jego oddech.

– Że nie będziesz więcej ich szukał. Zapomnisz o sprawie i zajmiesz się własnym życiem. Sporo z niego już zmarnowałeś.

– Nie będę więcej szukał.

– Dalej – warknął.

– Zapomnę. Zajmę się własnym życiem. Sporo z niego już zmarnowałem.

Wyprostował się i spojrział mi w oczy z surowością, za którą czaiło się powątpiewanie. Usiadł, klepnął w teczkę i podsumował:

– Zamykam ją w szufladzie. Ale nie przenoszę do archiwum.

Będzie tu leżała i wyciągnę ją natychmiast, jak tylko złamiesz obietnicę.

A teraz idź i nie denerwuj mnie więcej.

Nie wiem, na ile zdawał sobie sprawę, że sparafrazował słowa Chrystusa do niezrządnicy, aluzja wydała mi się jednak ciekawa.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem, mijając się w drzwiach z Ewą.

Gdy schodziłem na policyjny parking na tyłach budynku, uśmiechnąłem się do siebie. Obietnica? Jaka obietnica? Przecież nie składałem żadnej obietnicy! Powtórzyłem tylko, co mi kazał.

Z komendy pojechałem do Sary. Czekala na mnie w Muzeum Żydów Oszpicyńskich. Pokazała mi zaśnieżone świeczniki i lampy wykopane niedawno przez archeologów na miejscu zburzonej Wielkiej Synagogi. Zostaną wystawione w specjalnej gablocie, podobnie jak odbitki ze starych filmów Mosze Lejbowitza. Muzeum działało już od jakiegoś czasu, ale nie cieszyło się wielką popularnością wśród turystów.

Ot, paru ludzi zajrzy z ciekawości, niemieckie praktykantki, które charytatywnie odpracowują tutaj winy Holokaustu, wyjaśnią coś łamaną polszczyzną, i tyle. Część muzeum urządzono jak bóżnicę, gdzie można się pomodlić, w mieście jednak nie ma gminy żydowskiej, więc miejsce służy do modlitwy tylko przyjezdnym.

Zaprowadziła mnie do mieszkania, usadziła w fotelu Henryka, przystawiła sobie taboret i usiadła naprzeciwko. Popatrzyła mi w oczy.

Wiedziała wszystko bez mówienia, jak to ona. Czuję się podle.

– Saro... – zacząłem, ale położyła mi palec na ustach. Siedzieliśmy w milczeniu i każde słuchało siebie. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to naprawdę koniec opowieści. Za oknem na podwórzu stuknęła kłapa od plastikowego kubła, ktoś wyrzucił śmieci i wrócił do mieszkania.

Szczeknął pies i umilkł. Światło dnia szarzało, nadchodził zmierzch, jak zawsze.

Cisza.

Tylko tyle można powiedzieć.

Nie, to jeszcze nie koniec. Nigdy nie będzie koniec. Pewnego dnia zabrałem Sarę na spacer nad stawy. Chciałem jej pokazać miejsce, o którym doniósł mi nieustający w poszukiwaniach Grzesiek Wilk.

Pracował teraz w gospodarstwie rybnym i z nudów przeglądał stare mapy z wyrysowanymi groblami i punktami technicznymi dla pracowników. W legendzie do jednej z nich znalazł ciekawy opis i natychmiast do mnie zadzwonił.

– Słuchaj, Wojtek, jak się nazywa ten staw, wiesz, co na nim widziałeś ducha Kublickiego?

– Nie pamiętam dokładnie... – zająknąłem się, ponieważ postanowiłem już nie wracać do tamtej historii. – Ruszkowski, jakoś tak.

– Ryszkowiec – odpowiedział szybko. – Ty siedziałeś na grobli przy drodze, a po drugiej stronie nad lasem przeleciał meteor, tak?

– Uhm.

– I stamtąd przypląnęła ta dmuchana żaba, tak?

– No tak. Do czego zmierzasz?

– Na starej mapie podborskich stawów znalazłem oznaczenia punktów technicznych dla pracowników obsługujących poszczególne rewiry – tłumaczył Grzesiek. – Do takich miejsc należały zbiorniki na karmę dla ryb, tak zwane doły rzeźnicze. Zapełniano je odpadami z rzeźni: krwią, resztkami wnętrzości... Wiesz, całym tym obrzydliwym badziewiem, którego trzeba się pozbyć, żebyśmy mogli w spokoju spożywać to, co dobre. Hodowcy dawno już odkryli, że ryby potrafią spożywać to, co niedobre. Słuchasz mnie?

– Mów dalej... – mruknąłem, naciskając kciukiem nabrzmiewającą skroń. Nadchodził gwałtowny atak migreny. Żołądek zaciskał mi się w kamień.

– No wiesz, pomyślałem, że oni te dzieci... w tym dole na Ryszkowcu...

– Przecież by je od razu znaleźli przy następnym wrzucaniu odpadów.

– No właśnie nie! – krzyknął radośnie, jakby trafił bingo. – Przy Ryszkowcu figurował znaczek, a na odwrocie mapy dopisek, że tego dołu ani dwóch innych właściwie

nigdy nie wykorzystano. Wykopali je i zostawili. Ktoś nawet dodał w nawiasie, że deszcze podmyły skarpe...

– Grzesiek...

– No co? – spytał niecierpliwie. Było mi go żal. Tracił życie tak samo jak ja.

– Po co to robisz?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Szukał dobrego słowa, ale widocznie nie znalazł, ponieważ usłyszałem ciężkie westchnienie.

– Nie wiem. Myślałem, że jakoś pomogę. Tobie, sobie i...

i Dominikowi.

– Dzięki wielkie, ale daj sobie spokój. Naprawdę. Szkoda życia.

Coś mu jeszcze tłumaczyłem, chyba też trochę straszylem, powtarzając groźby miotane na mnie przez Węgrzyna, ale Wilka niełatwo nastraszyć. W jego krótkim pożegnaniu wychwyciłem więcej pogardy niż lęku.

Nie wiem, czy on przestał, ale ja znowu zacząłem. Przez tydzień zasypiałem i budziłem się z myślą o tym, że pomysł Grzeska jest całkiem logiczny. Raczej nie pochowali by dzieci na miejscu, w młynie, ponieważ jedno z nich uciekło i mogło komuś opowiedzieć, co się stało i gdzie. Musieli coś szybko wymyślić. Ślady zbrodni można było zatrzeć, ale grób należało przenieść gdzie indziej. A dół na Ryszkowcu już czekał...

Po tygodniu rozmyślań odebrałem od Grzeska kserokopię starej mapy, opowiedziałem o wszystkim Sarze, a ona natychmiast napisała list do rabina w Bielsku-Białej. Wyzначył termin i kazał wszystko przygotować, zapewniając, że będzie minjan. Obdzwoiłem całą szóstkę i przykazałem, że absolutnie mają się stawić. Najtrudniej poszło mi z Barbarą Gaweł, ale ją Ewa wzięła na siebie. Mieli być wszyscy. Cały mój prywatny polski minjan, bez którego nie wyobrażałem sobie zakończenia całej historii. Nawet jeśli było tylko prowizoryczne.

Zaparkowałem tam gdzie zawsze, i poszliśmy zarośniętą groblą na przeciwległy brzeg, pod las. Trzciny szeleściły na wietrze, z brudnej szmaty nieba siąpił drobny deszcz, ale nam to nie przeszkadzało. Tam, gdzie piętnaście lat temu zerkał na mnie duch Fryderyka Kublickiego, nie było już drzewa. Ktoś je ściał. Pokryte spękaną ziemią i kulfonami zmurszałych pni dno spuszczonego stawu wyglądało jak olbrzymi zaschnięty wrzód. Wyliczyłem kroki, porównałem z kserokopią i usiedliśmy pod wielkim parasolem. Owinąłem Sarę swoją kurtką i przytuliłem do siebie. Niepotrzebnie. Grzała nas sucha i ciepła ziemia.

– Na pewno przyjedzie? – spytałem. Pokiwała głową, a potem spojrzała na mnie py-

tająco.

– Tak – potwierdziłem. – Będą wszyscy.

Pocałowałem ją w policzek, wstałem, wyjąłem spod kurtki kawałek białego materiału z czarnymi równoległymi paskami i rozpostarłem na trawie. Zszedłem po grobli i nabrałem w dłonie błota, by ułożyć je na tałesie. Po chwili dołączyła Sara i tak krążyliśmy oboje, tam i z powrotem, znosząc rybi muł do świętej żydowskiej chusty. Pół godziny później przytaszczyliśmy do samochodu ubłocone zawiniątko i pojechaliśmy do Oszpicyna. Do tego najdziwniejszego miasta na świecie. Mojego miasta.

Kiedy wkroczyliśmy w otwartą na oścież żelazną bramę kirkutu, wszyscy już czekali. Na nasz widok rabin zaintonował słowa modlitwy, a dziesięciu ubranych na czarno mężczyzn w czarnych kapeluszach powtarzało je za nim, czytając z otwartych ksiąg. Dół na ziemię z podborskiego stawu wykopano pod murem od strony placu targowego, na pustym miejscu po dawnym grobowcu. Przez moment myślałem, że to miejsce grobu Dory Klajman, siostry Peszki, ale może mi się coś pomyliło. Minęliśmy modlących się mężczyzn w kapeluszach, którzy udawali, że nas nie widzą, zgromadzeni wokół jednej z marmurowych macew. W końcu to nie był prawdziwy pogrzeb, tylko symboliczny, a oni musieli odmówić prawdziwy kadysz.

Moja szóstka stała nieopodal, skupiona i poważna, wpatrzona w nasz dwuosobowy kondukt. Grzesiek Wilk, Paweł Kopec i pan Wróblík nałożyli jarmułki, a kobiety chustki. Barbara Gaweł miała kamienną twarz, pani Szwagrzykowa szeptała pod nosem litanie do Matki Boskiej, Ewa Kolanowska płakała. Podeszliśmy do muru i ostrożnie złożyłem zawiniątko w rozkopanej ziemi. Rabin zakrzyknął głośnie, a dziwne słowa, powtórzone przez mężczyzn, uniosły się nad ogrodzeniem i poleciały ku miastu. Idący jego chodnikami ludzie nie rozumieli ich, ale zrozumiała je ziemia wokół Oszpicyna. Wziąłem do ręki grudkę gliny i wrzuciłem do dołu. Sara zrobiła to samo, a po nas zostali z mojej szóstki. Grzesiek i Paweł łopatomi zasypali nasz nieprawdziwy rytualny grób i staliśmy nad nim w milczeniu, wsłuchani w śpiewną deklamację mężczyzn i gorliwy szept pani Szwagrzykowej.

Z ciemnego stalowego nieba przestało padać, tylko wiatr gnał chmury gdzieś dalej na wschód, jakby się spieszył na następną uroczystość.

Po skończonej modlitwie rabin podszedł do mnie i uściśnął mi rękę, a potem delikatnie objął za ramiona.

– Dziękuję – powiedział i to było wszystko. Myślałem, że powie coś więcej, ale on ruszył już ku następnym z naszej grupy, mężczyznom ściskając dłoń, a kobiety całując w policzek. Barbara Gaweł zeszywniała, jednak nie odwróciła głowy. Następnie każdy z

Żydów zrobił to samo, skłonili się grzecznie na pożegnanie i opuścili cmentarz.

Zostaliśmy sami.

– Mogę już iść? – spytała pani Gaweł, nie patrząc na nikogo.

– Jeszcze chwileczkę – odparłem łagodnie. – Chciałbym państwu coś pokazać.

Na ich zdziwione miny uniosłem uspokajająco rękę i poprowadziłem ich pod obelisk na środku cmentarza. Wznosił się jak palec wskazujący na niebo. Albo grożący mu, nie wiem. Ktoś dokładnie oczyścił go z wszystkich wulgarnych maziajów i domyślałem się w tym inicjatywy Sary. Kiedy stanęli za mną półkolem, spytałem:

– Wiecie, kto zbudował ten obelisk?

– My – odparł od razu Paweł Kopeć, który jako ochotnik brał udział w pracach porządkowych.

– Nie, wasze dzieci. Zbudowały go w jedną noc, składając ułamki płyt i bawiąc się przy tym świetnie. Wiem, widziałem je tutaj. Możecie mi wierzyć lub nie, to bez znaczenia, ale dzięki temu, co mi tu powiedziały, dowiedziałem się o tamtych drugich dzieciach. O tym, czego właściwie mam szukać. Tak, i to chyba tyle.

Przez chwilę nikt się nie odzywał i już podejrzewałem, że zaraz zaatakują mnie za mnożenie bzdur, a może i w obawie, że chcę ich wciągnąć w kolejną pozagrobową aferę. Ale nie, milczeli poważnie i patrzyli na obelisk, jakby czekali, aż do nich przemówi.

– Czy to znaczy, że moja Monisia... – zaczęła pani Szwaagrzykowa i urwała z palcem wyciągniętym przed siebie.

– Tak, pani Szwaagrzykowa. Jeśli chce pani z nią porozmawiać, to najlepiej tutaj.

Kobieta zaszlochała i upadła na kolana. Pan Wróblak przeżegnał się, po nim Ewa i Paweł, którzy zaczęli się cicho modlić. Najdłużej opierała się Barbara Gaweł, ale w końcu i ona przyklęła.

Objąłem Sarę za ramię i ruszyliśmy do wyjścia. Bure chmury na chwilę rozstąpiły się i nieoczekiwanie błysnęło słońce. W bramie odwróciłem się i ostatni raz omiotłem wzrokiem obelisk i zgromadzonych pod nim rodziców zaginionych dzieci. Promień słońca odbił się od marmurowego odłamka na szczycie i uleciał w górę.

Błyszcząca fosforyzującą zielenią, ale może mi się tylko wydawało.

Koniec? Nie wiem. Nigdy nie będzie koniec.

Epilog

Nie mam puenty. Od wydarzeń w starym młynie minęło pięć lat i ludzie już trochę zapomnieli. Legenda o zakopanym żydowskim skarbie co jakiś czas jeszcze się odzywa, ale coraz mniej osób daje się nabrać. Miasto zostawiło za sobą straszną przeszłość i ruszyło z impetem do przodu. Dokładnie tak, jak mówił radny Alfred Łopatko. Nowe władze dały sobie radę z traumą w ten sposób, że rzuciły ogromne środki na uczynienie z Oszpicyna centrum kulturalnego i turystycznego, co w dużej mierze się udało. Umęczone przez historię miasto odżyło i teraz dopiero naprawdę zaczyna sobie radzić z autoterapią. Czasem lubię przejść się wokół pięknie odnowionego rynku i popatrzeć, jak dzieci chlapią się w fontannie, a młodzi ludzie z całego świata spacerują po tych samych uliczkach, którymi wiosną czterdziestego pierwszego roku biegał roztrzęsiony z przejęcia Abraham Zylbersztajn w poszukiwaniu dobrego człowieka. Teraz nie ma takiej potrzeby, wszyscy są dobrzy.

A koszmary? To już tylko mój problem.

Mieszkam z Sarą i wciąż nie możemy się zdecydować, jakiego rodzaju związek nas łączy i czy go sformalizować. Zalegające między nami milczenie jest jak tamten potwór spleciony z dwóch sił – raz nas łączy, a raz dzieli. Kiedy przygnębia mnie ponad miarę, zbieram się na odwagę i dzwonię albo do Izraela, albo do Krakowa i wtedy z obu stron słyszę zaproszenia. Chyba się jednak nie wybiorę, nie ciągnie mnie.

Zastanawiam się, czy nie zmienić nazwiska na Zylbersztajn. Albo Hirsch.

Wtedy nie musielibyśmy brać z Sarą ślubu, ha, ha.

Czasem też zaglądam do kawiarni Kofe Inka. Paweł Kopeć na nowo ją otworzył i przy rosnącym ruchu turystycznym całkiem nieźle prosperuje. Nie wymieniamy wspomnień z dawnych czasów, wystarczy nam wymiana spojrzeń. Niekiedy też przysłuchuję się, jak Grzesiek Wilk przy kawie i brandy z przejęciem opowiada o niezwykłych postępach w nauce syna Dominika. Po latach niedorozwoju chłopak przeżywa coś w rodzaju nadrozwoju. Nadrabia straty, jak całe miasto.

Dzwonię też czasami do Ewy Kolanowskiej, ale już do niej nie chadzam, ponieważ rolę tę przejął komisarz Mariusz Węgrzyn, zatroskany o jej kondycję psychiczną. Chyba się dogadują coraz lepiej.

Wiecie co? Ostatnio Ewa mnie zaskoczyła.

– Odwiedzają cię jeszcze? – spytałem, gdy już wymieniliśmy powitalne uprzejmości.

– Kto?

– Twój synowie.

W słuchawce zapadła zagadkowa cisza. Słyszałem tylko szybki i płytki oddech, tak dobrze mi znany.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła, cedząc słowa. – Nigdy nie miałam dzieci.

Zamieniliśmy jeszcze parę zdawkowych uwag i z ulgą się rozłączyłem. Zapomniała. Koniec. To dobrze.

Kiedyś wychodząc z kawiarni, natknąłem się na starego Cygana Maldora. Siedział na ławeczce na rynku i wystawiał okrągłą, uśmiechniętą twarz do słońca. Na moje radosne powitanie zmrużył tylko oczy i wymamrotał:

– Znalazłeś dzieci?

Zacząłem coś mówić, ale już mnie nie słuchał. Przymknął powieki i odwrócił się do słońca. Czyżbym zrobił coś nie tak?

Nadal chodzę nad stawy, żeby oglądać moje ulubione zachody słońca. Siadam wtedy na grobli i patrzę w lustro wody. Co odbija. Wiem, że gdzieś tu są, blisko, tuż pod moimi stopami, i pewnego dnia je znajdę.

Ja albo ktoś inny. Kopać nie będę, ale przynajmniej wiem. No więc siedzę i czekam, co się odbije w wodzie. Aha, i nie sikam już na grobli.

Nie boję się śmierci. Ona w tym wszystkim jest najmniej ważna.

Boję się zapomnienia i ciszy, tych dwóch ludzkich kłamstw, na które nie ma rady, ponieważ są wieczne i nieuchronne, jak pogoda. Nikt już nie chce mnie słuchać, ale nie szkodzi. Będę mówił do Sary, ona potrafi godzinami wpatrywać się w moje gadające usta. O nich.

Jutro idę na badania, ponieważ zaistniały obawy, że moja obsesja ma charakter cykliczny i należy zawczasu zapobiegać jej nawrotom. To na pewno pomysł Węgrzyna. Jeśli wyniki wypadną pozytywnie, prosto z badań pojedę na uroczystość wręczenia mi medalu „Przyjaciel Żydów”. Kompletnie nieźornie.

Dosyć. Idę spać.

Podziękowania

Bardzo dziękuję Beacie oraz Jarkowi, moim Pierwszym Czytelnikom. Bez ich krytycznej lektury nie odważyłbym się posłać książki do wydawnictwa.

Dziękuję również:

- mojemu bratu Januszowi Czernekowi – za fascynujące opowieści o Oświęcimiu;
- MBP Galeria Książki w Oświęcimiu – za serdeczną życzliwość;
- Karolinie Macios – za znakomitą „pracę z wątkami”;
- Tadeuszowi Bujnickiemu – za zdjęcie dmuchanej żaby z 1939 roku.



ZAPRASZAMY NA

WWW.EBOOK4ME.PL

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1994. DZIECI SIĘ BAWIĄ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

CZĘŚĆ DRUGA.

1999. ZIEMIA SIĘ RUSZA

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

CZĘŚĆ TRZECIA.

2004. ŻŁOTY KONTRAKT

Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84
Epilog
Podziękowania